

KATARZYNA KWIATKOWSKA

# ZBRODNIĄ W BŁĘKICIE



ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**KATARZYNA KWIATKOWSKA**  
**ZBRODNIA W BŁĘKICIE**

---

Zysk i S-ka Wydawnictwo

# 1.

— Jesteśmy na końcu świata — padło z narożnika sań.

Jan przytrzymał czapkę i odwrócił się w stronę, skąd dochodził głos. Mateusz, kamerdyner i najwierniejszy przyjaciel, siedział tak opatulony, że przypominał wielki kokon, mumię lub zraz zawijany.

Mimo ust na wpeł zdrętwiałych od mrozu, Jan spróbował pocieszyć malkontenta:

— Wielkie Księstwo Poznańskie to nie koniec świata.

— Już dawno przekroczyliśmy granicę z Królestwem<sup>[1]</sup>.

Jan uśmiechnął się w duchu i cierpliwie odpowiedział:

— Do granicy daleko. Poza tym jedziemy w innym kierunku.

— A kto w tej zadymce rozróżni kierunek?

Wątpliwość była jak najbardziej zasadna. Świat skrył się za zasłoną lodowatych płatków, pędzących z zawrotną prędkością. Wiał tak silny wiatr, że śnieg padał prawie poziomo.

Jan zasłonił dłonią usta — bez tego podmuchy aż zatykały, uniemożliwiając nie tylko mówienie, ale i oddychanie — i przypomniał:

— Na Alasce na polowaniu nie przeszkadzały ci gorsze zadymki.

— Nienawidzę zimy i nienawidzę wysp. Mają fatalny wpływ na moje samopoczucie. I nienawidzę być głodny. Mam nadzieję, że mają tam wystarczające zapasy żywności, bo utkniemy na wiele dni — krakał.

— Nikt nam nie pomoże na tym pustkowiu.

— Co ma z tym wspólnego wyspa? — wykrztusił zdumiony Jan, mając jednocześnie nadzieję, że po solidnej wielkopolskiej kolacji Mateuszowi wróci humor.

— Pałac wśród śniegu i lodu jest jak wyspa. Będziemy odcięci przez lata.

Po przedstawieniu tej krzepiącej wizji Mateusz zamilkł.

Jan wyraźnie nie podzielał nastroju swego towarzysza. Kochał wyzwania, był młody i spragniony wrażeń, a tych podróży przez zadymkę dostarczała aż nadto. Co prawda, zamiast siedzieć biernie z tyłu sań, wolałby nimi powozić, z drugiej jednak strony przy takiej pogodzie i na nieznanym terenie lepiej, że saniami kierował przysłany z Tarnowic fernal.

Im bardziej Jan był podekscytowany, tym bardziej zgryźliwy stawał się Mateusz. Z wnętrza zwoju dobiegło:

— Czy on wie, gdzie jesteśmy?

— Sprawia wrażenie, że wie. — Jan wierzył w fernala.

— Wrażenie to za mało, jeśli wolno mi zauważyć.

Po rzuceniu tej kwaśnej uwagi Mateusz zakrył sobie twarz pledem i całkowicie zniknął pod stertą futer.

Jan także cofnął się w głąb sań, gdzie wiatr nie hulał tak bezkarnie. Nie było widać nic i mimo woli podziwiał doświadczonego woźnicę najwyraźniej odnajdującego drogę dzięki sobie tylko znanim punktom terenu.

W pewnej chwili pochylił się i krzyknął w głąb kokonu:

— Już prawie jesteśmy. Minęliśmy bramę.

— To na pewno brama innego majątku.



Jan wybuchnął śmiechem, natychmiast zdławionym przez wicher. Postanowił zaprzestać prób podnoszenia Mateusza na duchu.

Zatrzymali się i Jan popatrzył na pałac. Widział właściwie tylko wejście tej prawdziwie wielkopańskiej siedziby — kilkanaście stopni, szeroki podest, cztery kolumny portyku. Odgarnął z siebie futra i wstał. W tym momencie poczuł tak silny powiew wiatru z boku, że aż musiał chwycić się sań. Odwrócił się lekko, by sprawdzić, jak idzie Mateuszowi — odkopywał się właśnie spod sterty futer i koców. Zgięci w pół skierowali się obaj w stronę schodów. Wyraźnie oczekiwano gościa, gdyż gdzieś na stopniach dostrzegli ślady odśnieżania, teraz prawie zasypane. Jan z Mateuszem ruszyli pod górę, natomiast woźnica zeskoczył na podjazd i zakrywając twarz od wiatru i śniegu, przesuwał się na tył sań.

W chwili, gdy Jan z Mateuszem dotarli na podest schodów, podwójne drzwi wejściowe się otworzyły i ktoś w nich stanął. W wejściu do pałacu czekał Tadeusz Tarnowski, pan domu i przyjaciel Jana. Objął przybysza serdecznie, nie bacząc na jego ośnieżone odzienie, poklepał po plecach i wprowadził do sieni.

— Witaj, Janie. Nareszcie. — Wyglądał na autentycznie szczęśliwego i Jan pomyślał, że warto było pokonać tę drogę, choćby tylko po to, aby być tak przywitany. — Nareszcie przyjechałeś.

Tuż za nimi do sieni wszedł Mateusz, tak samo jak Jan zasypany śniegiem. Szybko zamknął za sobą drzwi, odcinając ich tym samym od zamieci i od razu zaczął otrząpywać Jana ze śniegu. Uśmiechnięty Tadeusz wpatrywał się w długo wyczekiwanego gościa i na nic innego nie zwracał uwagi. Mateusz skończył odśnieżanie Jana i zajął się swoim okryciem. Całą trójką weszli do holu.

— Gdzie Franciszek? — zwrócił się Tadeusz do podbiegającego lokaja.

— Panicz Karol dopiero wrócił. Pan Franciszek mu pomaga.

Jan rozglądał się po imponującym holu. Ciemnobrązowe boazerie płycinowe pokrywały ściany od dołu i przechodziły w obramowania drzwi. Usytuowana w narożniku klatka schodowa miała kształt litery L, a jej główną ozdobę stanowiła balustrada z rzeźbionymi tralkami oraz masywne wsporniki. Sufit ubogaczyły drewniane kasetony, a ich wzór odtwarzała posadzka z kamiennych płyt. Nad olbrzymim kominkiem z piaskowca wisiała tarcza herbowa, a wyposażenie uzupełniały fotele na lwich pazurach i imponujący żyrandol na łańcuchu. Hol urządzone jak wnętrze mieszkalne — dodatkowy pokój, w którym domownicy mogą wspólnie spędzać czas.

Tadeusz pociągnął gościa na środek i pomógł mu pozbyć się ciężkiego od lodu futra, które natychmiast przechwycił lokaj. Potem bez ceregieli wziął Jana w ramiona, przez chwilę przyglądał mu się rozpromieniony, a w końcu roześmiali się obaj. Stali tak razem, pod pewnymi względami podobni mimo dzielących ich lat — obaj wysocy i szczupli, obaj ciemnowłosi.

— Wyglądasz prawie jak Afrykańczyk! — zażartował gospodarz. — Skąd wracasz, Janie?

— Z Persji.

Tadeusz zagwizdał.

— Ty szczęściarzu. A nas tu prawie zasypało. Zresztą, co ci będę opowiadał. Przejechałeś tę drogę, to wiesz lepiej niż ja, co się dzieje.

— Straszna pogoda, odwykłem od polskich zim.

Tadeusz roześmiał się i aż mu oczy rozbłysły.

— Pozwól, chciałbym, abyś poznał moją żonę — zbliżył się do kobiety w błękitnozielonej sukni, która w towarzystwie panienki w błękitcie właśnie ukazała się na progu.

— Kochanie, przedstawiam ci Jana, mojego przyjaciela. Nic więcej nie muszę dodawać, bo ciągle ci o nim opowiadam. Janie, moja żona, Julia.

Jan się uklonił i spojrzał uważnie na drobną, szczupłą, ciemnowłosą kobietę. Jej uroda zdała mu się orientalna. Jakby to ona wróciła z Persji. Brakowało tylko czadoru. W porównaniu ze swojskim Tadeuszem, a może z powodu roztaczanego przez nią słodkiego zapachu, Julia skojarzyła się Janowi ze wschodnimi słodyczami, z rachatlukum.

Pani domu również przyglądała się gościowi.

— Rzeczywiście, Tadeusz bez przerwy o panu opowiada — powitała go melodyjnym głosem.

— Proszę nie wierzyć w żadne jego słowo.

— Nawet jeżeli mówił o panu dobrze?

Skrzywił się komicznie i pochylił ku niej, jakby dzieląc się sekretem:

— Zwłaszcza w to proszę nie wierzyć.

Potem zaczął tłumaczyć się Tadeuszowi ze spóźnienia.

— Daj spokój, przecież to nie ty zesłałeś zamieć.

Gość nie zdążył odpowiedzieć, gdy Julia dodała:

— Mamy przynajmniej taką nadzieję.

Roześmiali się.

— Dziękuję, że przysłałeś po mnie konie — zwrócił się Jan do gospodarza, mając myśli zaprzątnięte Julią. — Całą drogę podziwiałem powożącego. Nie wiem, czy ktoś inny by tu dotarł.

— Jest najlepszy.

Jan uznał, że może znowu spojrzeć na żonę przyjaciela, choć nie chciał się w nią wpatrywać zbyt nachalnie. Wiele o niej słyszał. Na ogół powtarzano, że jest rozkojarzona, nieobecna, bez głowy do prowadzenia domu, towarzyskich konwenansów, religijnych nakazów. To akurat rozumiał doskonale. Tak samo jak to, że pani Tarnowska żyła według własnej fantazji i, ku oburzeniu poznańskich matron, jeśli nie było w domu gości, to nie przestrzegала nawet godzin posiłków.

Zwrócił się do niej, choć wiedział, że nie ona zarządza domem:

— Mam nadzieję, że tym opóźnieniem nie spowodowałem zbyt wielkich komplikacji?

Uśmiechnęła się, jakby taki drobiazg nie był wart wspomnienia. Odpowiedział mąż:

— Nic się nie stało. Ile to już lat, Janie? Pięć?

— Prawie. Na pewno więcej niż cztery.

Tadeusz robił przegląd pamięci:

— Genewa?

— Genewa.

— Musisz opowiedzieć, co przez ten czas robiłeś. Te wszystkie miejsca, z których do mnie pisałeś...

Znowu uściśli sobie ręce. Tadeusz poprowadził Jana w kierunku stojącej nieco z boku panienki.

— Chciałbym, abyś jeszcze kogoś poznał.

Gość oniemiał. Zdało mu się, że widzi zmarłą przed wielu laty ukochaną siostrę Tadeusza, Karolinę.

Dziewczyna, według oceny Jana mniej więcej osiemnastoletnia, miała takie same jasne włosy, przejrzystość, błękit oczu... Niemożliwe, żeby była jej córką — Karolina zmarła, mając piętnaście lat. Tadeusz nie dostrzegł oszołomienia gościa.

— Zosiu, poznaj proszę mojego przyjaciela, Jana Morawskiego. Janie, to panna Zofia Rusiecka, córka moich przyjaciół, która przebywa u nas w gościnie.

— Bardzo miło mi panią poznać.

— Mnie również. Ja także wiele o panu słyszałam — rzekła cichym, drżącym głosem, dygnęła szybko jak mała dziewczynka, po czym opuściła głowę i splotła za plecami ręce. Fryzurę miała bardzo młodzieńczą — próbując okiełznać włosy, uczesano je w koronę. Cel jednak nie został osiągnięty. Pojedyncze kosmyki wymykały się z upięcia i dziewczyna wyglądała, jakby puszysty obłok otaczał jej głowę. W tej chmurze przebłyskiwały szafiry diademu. Nieśmiało spojrzała na Tadeusza, jakby sprawdzała, czy jest zadowolony. Upewniwszy się, cała się rozpromieniła.

Jan przyglądał się Zosi ciekawie. Nie miewał kontaktu z nieopierzonymi panienkami, bo ze względu na krążące o jego przeszłości plotki uznawano go za niewłaściwe towarzystwo dla tych niewinnych duszyczek. Teraz zastanawiał się, czy Zosia mogła być córką Tadeusza. Czyżby zdecydował się na romans z mężatką i do tego żoną przyjaciela z dzieciństwa? Czy Zosia wie o swoim podobieństwie do

siostry Tadeusza? A przede wszystkim czy wie Julia?!

Kątem oka zauważył, że ciemno ubrana starsza kobieta wydaje w kącie polecenia lokajom. Służący wyszli do sieni, a Mateusz podążył za nimi. Po chwili wrócili, niosąc walizki, pakunki, pudła.

— Czy zechciałabyś, Mario, wskazać pokój naszemu gościowi? — zwrócił się do matrony Tadeusz.

Skinęła głową i ruszyła w stronę schodów.

— Spotkamy się na kolacji. Nie spiesz się.

— Pół godziny mi wystarczy, Tadeuszu.

Dwie boginie — jakoś nie umiał o nich inaczej myśleć — stały koło siebie. Jan ukłonił się im, a one odpowiedziały uśmiechem — jedna zagadkowym, druga nieśmiałym.

Wchodząc po schodach, Morawski dostrzegł na pierwszym piętrze ogromny portret pięknej ciemnowłosej damy. Sądząc po stroju — wspaniałej krynolinie w kolorze dojrzałej wiśni — obraz namalowano mniej więcej przed czterdziestu laty. Stanął, wpatrując się w oczy kobiety, z których biło ciepło i mądrość. Aż się uśmiechnął. Nie zauważył, że Maria również się zatrzymała i przygląda mu się z zainteresowaniem.

— To poprzednia pani Tarnowska.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że nie jest sam.

— Matka Tadeusza?

Maria skinęła głową i ruszyła jednym z korytarzy. Ociągając się, podążył za nią. Nie chciał rozstawać się z piękną panią. Wszedł do wskazanego pokoju, w którym Mateusz szybko wyciągał ubrania z walizki. Maria zlustrowała pomieszczenie, sprawdziła, czy wszystkie szuflady są zamknięte i czy piec jest wystarczająco ciepły. Lokaje stali przed nią na baczność.

— Czy będzie pan czegoś jeszcze potrzebował?

— Wydaje mi się, że nie. Mateuszu?

— Wszystko jest — potwierdził kamerdyner, kłaniając się Marii. Niedawna zrzędlivość ustąpiła miejsca właściwej mu dystynkcji.

— Śniadanie podajemy w jadalni od godziny dziewiętej. Goście schodzą o odpowiadającej im porze, ciepłe dania są rozstawione na fajerkach.

Jan z humorem dostosował się do narzuconej mu roli nowego ucznia w szkole z internatem: bez słowa posłusznie skinął głową, słuchając dalszych instrukcji.

— O ósmej służący roznoszą po sypialniach kawę lub herbatę i sucharki.

— Dla mnie tylko kawa.

— Jak pan sobie życzy.

Ostatni raz rzuciła okiem na sypialnię.

— Czy w pałacu przebywa wielu gości? — ośmielił się zapytać Jan.

— Hrabina Kareńska oraz panna Paulina i pan Wacław Bonikowscy. I oczywiście panienka Zosia i jej brat Karol. To raczej domownicy, nie goście. Jeśli to wszystko...

— Tak, nie zatrzymuję pani dłużej, bo z pewnością ma pani inne zajęcia.

Nie zaprzeczyła, za to przypomniała mu:

— Kolacja za niecałe pół godziny.

— Stawię się.

— Jest pan pewien, że nie potrzebuje jeszcze kogoś do pomocy? Może życzy pan sobie, by rozpalić w kominku? Niektórzy goście wolą takie ogrzewanie niż piec.

— Jestem pewien, że damy sobie radę. Piec nam wystarczy.

Na dany znak lokaje odmaszerowali jak na musztrze. Maria wyszła za nimi i zamknęła drzwi.

— Ostra. Jak brzytwa — podsumował złośliwie Mateusz, rozwieszając wieczorowe ubranie Jana.

— Jak brzytwa to jest twój język.

Jan z podróznego neseseru wyciągał książki, dokumenty, przybory do pisania, cygara i inne niezbędne

przedmioty. Na moment zatrzymał w ręce zaczytany tom de Montaigne'a i z zamyślnym uśmiechem go pogładził.

Mateusz także rozpakowywał swój bagaż. Jan jak zawsze nie mógł powstrzymać rozbawienia, gdyż kamerdyner niezmiennie zaczynał od swoich skarbów: czapki w kratkę, fajki, lupy, kilku książek Conan-Doyle'a i podręcznika medycyny sądowej. Prawdziwy niezbędnik wielbiciela i naśladowcy Sherlocka Holmesa. Brakowało tylko skrzypiec i laboratorium chemicznego.

Ku zdumieniu Jana kamerdyner gwizdał „Pieśń Torreadora” z *Carmen*. W przypadku Mateusza stanowiło to nieomylny znak rewelacyjnego humoru. Jednak żeby przed kolacją...?

— Wszystko dobrze, Mateuszu?

— Nawet lepiej.

Jakakolwiek była tego przyczyna, Mateusz przypisywał taki sam dobry nastrój wszystkim wokół.

— Pan Tarnowski wydaje się bardzo szczęśliwy. Nic dziwnego zresztą, ten pałac to królewski kąsek. To samo można powiedzieć o jego żonie.

Jan zacmokał karcąco, chcąc przywołać służącego do porządku, ale wolał ograniczyć się do takiej formy zwrócenia uwagi, gdyż słowa kamerdynera dziwnie zgadzały się z jego własnymi myślami.

— Jedyne, czego tu brakuje, to dzieci, nie uważa pan?

— To prawda — Jan znowu usłyszał swoją myśl.

— Czy naprawdę państwo Tarnowscy myślą o adoptowaniu tych młodych?

— Nie wiem, Mateuszu, być może adopcja jest już przeprowadzona.

— Znałem podobny przypadek. Małżeństwo przygarnęło dziewczynę, sierotę po jakimś dalekim krewnym, i wkrótce potem zdarzył się wypadek na polowaniu. Żona właściciela zginęła, a po kilku miesiącach wdowiec ożenił się ze swoją podopieczną.

— Wyobrażasz sobie Zosię jako morderczynię?

\*

Jan przebierał się błyskawicznie w wieczorowy strój. Kamerdyner po wzmiance o przebywającej w pałacu dziewczynie poczuł się upoważniony do wypowiedzenia swej opinii:

— Co do panienki to bardzo mi się podoba. Na pierwszy rzut oka, bo nie miałem czasu przyjrzeć się dokładniej. Obserwowałem wymianę spojrzeń między gospodarzami.

Zawiesił głos i spojrzał kątem oka, czy udało mu się zaintrygować Jana. Udało. Jan podniósł wzrok i czekał na ciąg dalszy.

— Państwo Tarnowscy popatrzyli na siebie znacząco, gdy pan rozmawiał z panienką. Coś mi się widzi, że zamierzają zabawić się w swatanie.

— Czyżbyś chciał mnie ożenić?

— Nie zdecydowałem się jeszcze — odpowiedział rzeczowo Mateusz. — Jeśli pana ożenię, wówczas koniec z podróżami, ale jeśli pana nie ożenię, to nigdy nie będziemy mieli domu.

— Mogę rozwiązać twój dylemat — przynajmniej jeśli chodzi o Tarnowice. Tadeusz wie, że w moim przypadku małżeństwo nie wchodzi w grę, a poza tym wspominał mi, że panienka jest zaręczona.

— Nie tracę jednak nadziei, że zdecyduje się pan na ten skok na głęboką wodę. Wtedy ja nareszcie zrealizuję moje marzenie i spiszę nasze przygody. Jak na Watsona przystało — Mateusz już otwierał usta, aby coś dopowiedzieć, ale Jan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Kamerdyner porzucił więc drażliwy temat, ale nadal miał szampański humor i sam zdradził jego powód:

— Pytałem lokaja, czy dobrze tu karmią służbę.

— I czego się dowiedziałeś?

— Że dzisiaj na kolację dostaniemy czerninę. Jeśli chodzi o mnie, to nie potrzebuję innej rekomendacji. Przy czerninie nie przeszkadza mi nawet towarzystwo nudziarzy.



— Nie sądę, abyś się nudził — roześmiał się Jan, wpinając szpilkę do krawata. — Majordomus Franciszek jest bardzo interesującą postacią. Wiele podróżował z ojcem Tadeusza i ponoć nielegalnie przywieźli coś z Indii, jakiś przedmiot kultu. Próbowano to odzyskać, napadając na Franciszka.

— Jaki przedmiot kultu? — zafascynowany Mateusz wpatrywał się w Jana.

— Nie wiem. Tylko Franciszek wie, ale milczy.

Z dołu dobiegł ich odgłos gongu. Jan uznał, że jest gotowy, skinął ręką Mateuszowi i wyszedł z sypialni. Korytarzem dotarł do górnego holu i zbiegł po schodach. Wszyscy już się zebrali. Patrzyli na niego z nieukrywaną ciekawością, co oznaczało, że i tym razem reputacja go wyprzedziła.

— Pozwolisz, że cię przedstawię. — Tadeusz wziął go lekko pod ramię i poprowadził w stronę nobliwie wyglądającej damy, w której Jan domyślił się hrabiny Kareńskiej. Siedziała w jednym z foteli, ale wyglądała, jakby zasiadała na tronie: wyprostowana i sztywna, w aksamitnej czarnej sukni, od której odcinał się zawieszony na szyi medalion. Szczupłe arystokratyczne palce zdobiło kilka staroświeckich pierścionków. Ciemne, gorejące oczy robiły wrażenie, zwłaszcza przy białej cerze i siwych włosach, ale tym, co przykuwało wzrok, był dumny, wręcz pyszny wyraz twarzy.

— Pani hrabino, pozwoli pani, mój przyjaciel, Jan Morawski. Pani hrabina Kareńska, Janie, przyjaźniła się w szkole z matką Julii.

Jan uklonił się i pocałował podaną dłoń. Tymczasem Tadeusz szedł dalej.

— Panno Paulino, mój przyjaciel, Jan Morawski.

Nie zdążył nic powiedzieć. Dłoń uniosła się wysoko, żeby wymusić pocałunek. Jan jednak miał manewr uniku po wielokroć przeciwczony: dłoń uścisnął, uklonił się nad nią i na tym zakończył. Zignorował też to, że podając mu rękę, Paulina pochyliła się, eksponując dekolt, którego wycięcie i bez tego sięgało granic... ostatecznych. Srebrna blondynka w srebrnej sukni, o spojrzeniu zimniejszym i twardszym niż diamenty kolii, którą nosiła, od razu przejęła inicjatywę.

— Wprost nie mogłam się pana doczekać — rzekła miękko głosem rozpieszczonej kotki.

Jan pomyślał, że panna Bonikowska uwielbia szokować, ale nawet takie zachowanie nie mogło stopić lodu, jaki od niej wyczuwał. Prawie wyrwał rękę. Tadeusz odchrząknął, widząc to przywitanie i spróbował zapanować nad rozbawieniem.

— Julię i Zosię już znasz.

Jan uklonił się boginkom, a Tadeusz poprowadził go w stronę dwóch mężczyzn.

Pierwszy z nich — ciężki, ogromny, z dumnie uniesioną głową i wyćwiczoną miną pełną godności — był to Waław Bonikowski, poseł, sąsiad i narzeczony Zosi. Jego wysiłki, by wyrzeć imponujące wrażenie, poszły na marne. Nie dosyć bowiem, że brat Pauliny miał małą głowę osadzoną na wielkim korpusie, to na dodatek usiłował ukryć przedwczesną łysinę, komicznie zaczesując włosy znad jednego ucha w stronę drugiego. Podał Janowi z wyższością końcówki palców i nawet nie oddał uścisku. Jan z trudem oderwał od niego wzrok i spojrzał na drugiego mężczyznę. Pogodny, otwarty chłopak w typie *sportsmana*<sup>[2]</sup>, wysoki i szczupły blondyn, który szczerze i z werwą uścisnął podaną dłoń, był bratem Zosi. Na jego widok człowiek sam się uśmiechał.

— A to Karol Rusiecki — dopełnił prezentacji gospodarz.

— Cieszę się, że nareszcie mogę pana poznać. — Patrzył na Jana z entuzjazmem i rozbijając go dodał: — Nie jest pan trochę za młody?

— Za młody?

— Za młody na mojego przyjaciela — wyjaśnił Tadeusz.

— Mój ojciec był przyjacielem Tadeusza — wytłumaczył Jan.

— Nie tylko przyjacielem — uzupełnił Tarnowski. — Był moim wzorem, nauczycielem.

Karol spoglądał to na jednego, to na drugiego, aż Jan z uśmiechem przerwał te kalkulacje.

— Już wyjaśniam — mój ojciec był starszy od Tadeusza o ponad dziesięć lat, ale najwyraźniej wiek w przyjaźni nie stanowi przeszkody.

— Zgadza się — potwierdził pan domu. — Jan jest przecież młodszy ode mnie o piętnaście lat i to też nie przeszkadza.

Tymczasem podano do stołu, Tarnowski podszedł więc do hrabiny, z atencją pomógł jej wstać i poprowadził do jadalni. Wacław zaoferował ramię Julii, a Jan został dosłownie porwany przez Paulinę. Za nimi do rozświetlonej jadalni weszli Karol z Zosią. Janowi wskazano miejsce między Julią siedzącą u szczytu stołu a Pauliną. Jego sąsiadką vis-à-vis została Zosia.

Światła wielkich żyrandoli i bocznych kinkietów odbijały się w srebrnej zastawie stołowej i sztućcach, w kryształowych naczyniach, w szybach witryn, w biżuterii pań. Wniesiono pierwsze danie — solę w sosie holenderskim. Jan zauważył, że Julia nałożyła sobie tylko ozdoby z warzyw i sos.

Tadeusz zwrócił się do zebranych:

— Czy wiedzą państwo, że nasz nowy gość, Jan, przybywa właśnie z Persji — zresztą widać po kolorze skóry, że nie spędzał ostatnio czasu w kraju — i wpadł prosto w największą od dwudziestu lat śnieżycę.

— Zmiana rzeczywiście radykalna. Ostatni raz widziałem tyle śniegu, kiedy spędzałem Gwiazdkę u dziadków.

— Nie rozmawiajmy o tym okropnym śniegu — włączyła się Paulina rozkapryszonym tonem. — Proszę opowiadać o Persji. Podróżować — to najcudowniejsze, co może być.

— Przecież podróżowałaś z matką przez całe dzieciństwo — przypomniał jej nietaktownie Karol. — Dopiero niedawno wróciłaś do kraju.

— Takie tam podróże — machnęła lekceważąco ręką. — Francja, Włochy. Co to za przygoda? Ja marzę o egzotyce, o dalekich krajach, obcych lądach, o spaniu w oazie w namiocie.

— U nas największym wielbicielem podróży jest Franciszek — zaśmiał się Tadeusz. — Cały czas namawia mnie i Julię, żebyśmy gdzieś wyjechali. Niestety, ciągle to odkładam. — Tu zwrócił się do Jana: — Jakoś nie potrafię zostawić posiadłości pod nadzorem administratora, choćby najlepszego. Gospodarstwo potrzebuje...

Nie dane mu było jednak dokończyć. Ostro przerwała mu panna Paulina, uznając, że powiedział już wystarczająco dużo. Jan stanowił obecnie centrum jej świata i tylko jego miała ochotę słuchać.

— Musi mi pan wszystko opowiedzieć o tej ostatniej podróży. Czy to prawda, że tam mężczyźni mają wiele żon?

— Tak, o ile ich na to stać.

— Racja — głosem pełnym śmiechu skomentował Karol. — Tutaj trudno utrzymać jedną żonę. A kilka? To przecież katastrofa.

Do rozmowy wtrąciła się hrabina, mroząc od razu dobry humor:

— Uważam, że wielożeństwo woła o pomstę do nieba. Chrześcijanie — tu znacząco spojrzała na Jana — w ogóle nie powinni udawać się w takie miejsca, przynajmniej dopóki misje nie nawrócą pogan.

Paulina marzyła dalej, ignorując wypowiedź Kareńskiej:

— Bardzo bym chciała tam pojechać. Obejrzeć. Zwiedzić.

— A zostać? — rzucił Karol.

— Tylko jeśli byłabym ukochaną sułtana.

Towarzyszyło temu kokieterijne spojrzenie na Jana. Karol nie ustępował:

— Nie wystarczy ci, że jesteś moją ukochaną?

Jan patrzył akurat na Zosię i zauważył, że opuściła głowę zakłopotana wyznaniem brata.

Tadeusz wyjaśnił:

— Nie wiem, czy ci wspominałem, Janie, ale zapowiada się, że będziemy mieli podwójne wesele. Zosia jest po słowie z Wacławem, Karol zaś oświadczył się panie Paulinie i wygląda na to, że będzie przyjęty.

— Wszystko zostanie w rodzinie — zażartował Karol.

— Nie przesądzałabym tego. Wiele się rzeczy niespodziewanych może wydarzyć między ustami a brzegiem pucharu — zmroziła ich znowu Kareńska niczym Zła Królowa.

Zapanowała konsternacja, której sprawczyni odłożyła sztućce i zwróciła się do Jana tonem niedopuszczającym sprzeciwu:

— Z moich obserwacji wynika, że młodzi ludzie są obecnie bardzo zmienni. Nie znajduje pan? Za czasów mojej młodości kochało się raz na zawsze.

— Co za nudy — dobiegł Jana szept Pauliny.

— Młodzi państwo Rusieccy na przykład, Zofia i Karol. Jakże oni są niestali — ostry głos hrabiny ciął jak nóż. — Panienska już kilka miesięcy po śmierci narzeczonego, którego rzekomo tak kochała, pocieszyła się innym. A jeśli chodzi o Karola, to miał bardzo chorą narzeczoną. Suchoty, stan beznadziejny. I cóż na to kochający pan Karol? Żeni się z inną.

Po wypuszczeniu dwóch zatrutych strzał arystokratka zamilkła. Bez wątpienia mogła być z siebie zadowolona — teraz także Karol miał zwarzony humor.

Na szczęście w tym momencie służący wnieśli comber sarni z truflami i sosem maderowym. Jadalnię wypełnił zapach dziczyzny i upajający aromat grzybów.

Jan jadł z coraz większym przymusem, mimo że przepadał za tym połączeniem smaków. Nie tylko wrogość panująca w jadalni odebrała mu ochotę na jedzenie i przyprawiła o zawroty głowy. To zapach perfum, którymi zlała się bez umiaru Paulina, tłumił inne aromaty i przenikał smak potraw.

— Uwielbiam trufle — oblizła wargi sprawczyni węchowych katuszy Morawskiego. — Podobno to afrodyzjak, próbował pan?

Rozległ się jej perlisty śmiech. Jan zignorował tę jawną prowokację i zwrócił się do Julii:

— Pani nie je mięsa?

— Nie, raczej nie. Ale to nie względy zdrowotne, po prostu nie lubię.

— Pani Julia jest wyznawczynią filozofii wegetariańskiej — podsłuchiwała Paulina.

— Nie jestem, bo nawet nie wiem, że coś takiego istnieje — padła spokojna odpowiedź.

Paulina spojrzała znacząco na Jana, sprawdzając, czy dostrzegł ignorancję gospodyni.

— To typ diety, w której nie występuje mięso — wyjaśnił Jan.

— W takim razie jestem jej wyznawczynią.

Do rozmowy włączył się Waław, który właśnie skończył drugą porcję pieczystego.

— To znaczy, że pani w ogóle nie jada mięsa?

Julia przytaknęła, a poseł się upewniał:

— Nie je pani pieczeni, pasztetów, szynka, wędlin?

— Ani jednej z tych rzeczy.

— To co pani je? — upodobania kulinarne gospodyni przekraczały jego możliwości pojmwania.

Tadeusz dostrzegł, że żona znalazła się w kłopotliwej sytuacji i odwrócił uwagę Bonikowskiego:

— Waławie, ponoć znowu wyjeżdżasz do Berlina?

— Tak, moja obecność jest tam niezbędna. Pracuję obecnie intensywnie nad powrotem do ery pojednania z czasów kanclerza von Capriviego<sup>[3]</sup> — donośnym, głębokim głosem zwrócił się do Morawskiego. — Poinformowano mnie jednakże, że wrogie siły podejmują działania przeciwne moim.

— Tadeusz wspominał mi, że jest pan posłem — chciał wspomóc gospodarza Jan, nie zdając sobie sprawy, na co się decyduje.

— Zgadza się. I z dumą muszę zaznaczyć, że jestem wybitnie aktywnym parlamentarzystą. Jak obliczono i podano do publicznej wiadomości, zajmuję drugie miejsce, jeśli chodzi o łączny czas przemówień.

— Jeszcze wczoraj to było trzecie miejsce — skomentowała półgłosem Paulina. — Opowiedz, drogi bracie, jak twoja mowa prawie zniszczyła tę ustawę o dziwnej nazwie.

Służba kończyła sprzątanie ze stołu. Karol mruknął:

— Chryste, słyszałem to już milion razy.

— Co takiego, Karolu?

— Mówiłem właśnie panu Morawskiemu, że jesteś ważną postacią i że Koło Polskie już dawno przestałoby bez ciebie istnieć.

Wacław uśmiechnął się łaskawie, uniósł rękę, aby uciszyć zebranych i zaczął:

— To było w listopadzie zeszłego roku. Nic nie zapowiadało, że ta sesja będzie odbiegać od...

Wniesiono kolejne danie — przyrumienione kwiczoły i przepiórki, atrakcyjnie udekorowane kompotami<sup>[4]</sup> i sałatami. Na widok tych smakowitości i na szczęście dla współbiesiadników Wacław natychmiast przerwał swoją anegdotkę i wpatrywał się zahipnotyzowany w półmiski. Po chwili wszyscy mieli już jedzenie na talerzach, nawet Julia, chociaż także i tym razem zrezygnowała z mięsa, zadowolając się kompotem z jabłek, sałatą z roszonej i drugą z selerów. Paulina wyraźnie przyznała sobie monopol na Jana i testowała na nim najstarszą metodę postępowania z mężczyznami, mieszaninę pochlebstwa i zainteresowania.

— Czy na czas zimy znajduje pan sobie jakieś fascynujące zajęcia? Taki mężczyzna jak pan na pewno nie zadowolą się zwykłym życiem.

— Nie bardzo rozumiem, co pani ma na myśli, mówiąc o fascynujących zajęciach?

— Coś niezwykłego. Na przykład narciarstwo. Zna pan ten sport?

— Poznałem go w Skandynawii, gdzie, ze względu na klimat, narty są niezastąpionym środkiem transportu.

— Słyszałem, że są też popularne w innych krajach w rejonach górskich — włączył się Karol.

Nagle ożywiona i pełna entuzjazmu Zosia klasnęła w dłonie i zwróciła się z pytaniem do brata:

— Widziałeś je w Meran<sup>[5]</sup>, jak odwiedzałaś Halszkę?

Karol patrzył na nią, z trudem hamując złość. Zarumieniona dziewczyna zaczęła niezbornie tłumaczyć:

— Halszka to... to moja przyjaciółka. Karol odwiedził ją... Był w okolicy, gdzie ona przebywa i odwiedził ją... w moim imieniu.

— Co czytasz, Zosiu? — zaatakowała zniecierpliwiona Paulina. — Zaczęłaś już Zolę, którego ci pożyczyłam?

— Ja... tak... ale...

— Ale co? Wypowiadaj się zdecydowanie.

Spłoszona dziewczyna czyniła bohaterские wysiłki, żeby sprostać oczekiwaniom przyszłej szwagierki. Kilkakrotnie przełknęła ślinę i w końcu udało jej się odpowiedzieć z drżeniem w głosie:

— Nie podoba mi się. Za bardzo.

— Bo jesteś staroświecka. Świat idzie do przodu. Nie możesz żyć ciągle w średniowieczu. Co ja mam z tą dziewczyną, to pan sobie nie wyobraża. Jak bym jej pozwoliła, to by się zatrzymała na etapie Tańskiej-Hoffmanowej i podobnych bzdur dla panienek. *Bestia ludzka* Zoli to niezbędna książka — kontynuowała kruczając Paulina. — Nie znając jej, nigdy nie staniesz się nowoczesną i modną kobietą.

Wacław uporał się z pierwszą porcją kwiczołów.

— Życzyłbym sobie, aby Zofia zajmowała się pożyteczną i rozwijającą lekturą. Swego czasu przywiozłem wielkiego Tomasza à Kempis. Czy poczyniłaś już postępy?

— Rozpoczęłam, ale to bardzo...

— Rozpocząć to za mało. Należy się z tą księgą dogłębnie zapoznać. Pozwoli ci to uniknąć w przyszłości błędów — rzekł nieznośnie mentorskim tonem.

— Och, daj jej spokój. Jakie błędy? — Jana zdumiała ta obrona, ale był to tylko pozór. Paulina popatrzyła złośliwie na Zosię: — Błędem było to, że miała ukochanego przed tobą czy to, że z nim zerwała? Moich ukochanych też mi masz za złe?

— Nie mogę cię winić, Paulinko, że mężczyźni za tobą szaleją. — Wacław mówił łagodnie, nawet z dumą, co tylko podkreśliło twardy ton, jakim zwrócił się do Zosi: — Od mojej narzeczonej zaś wymagam, aby pozostawała w panińskiej niewinności bez podnoszenia wzroku na jakiegokolwiek



mężczyznę poza mną i aby nie miała przede mną tajemnic. Żona Cezara musi być poza wszelkimi podejrzeniami — dorzucił po chwili z właściwą sobie skromnością, wpatrując się w siedzącą ze spuszczoną głową dziewczynę.

Jan nie mógł zrozumieć, dlaczego Tadeusz pozwala na takie traktowanie Zosi. Chyba tylko poczucie obowiązku gospodarza powstrzymywało go przed zwróceniem uwagi Waławowi, choć wobec tak karygodnego zachowania wszystkie zasady *savoir-vivre'u* mógłby schować do kieszeni. Morawski dostrzegł, że Julia położyła rękę na dłoni Zosi, aby jej dodać otuchy. Zrobiła to w dobrym momencie, bo właśnie hrabina postanowiła postawić kropkę nad i:

— Jest wiele zasad, którymi powinna się kierować młoda panna. Nie należy na przykład bawić się uczuciami zakochanego mężczyzny i doprowadzać go tym do śmierci. Prawda, panno Zofio?

— Wścieka się, bo Zośka puściła kantem jej syna, Michała Kareńskiego — dobiegł szept Pauliny.

Zosia spojrzała przelotnie na Tadeusza — już wcześniej Jan zauważył, że intuicyjnie zwracała się do niego po obronę — i po jej przezroczyście policzku spłynęła łza, której nie zdołała skryć za spuszczone szybko powiekami. Tarnowski zaciskał kurczowo palce na zmiętej serwetce, a Jan usiłował przyswoić wiadomość o Zosi i synu hrabiny.

Karol spróbował przerwać tę nagonkę choć jednym miłym akcentem:

— Muszę pochwalić moją siostrę, *à propos* książek, że wczoraj ukończyła trzeci, miejmy nadzieję, że ostatni, tom dzieła o prowadzeniu domu. Autorka, pani Zakwaska, poświęca mnóstwo...

— Nakwaska — skorygowała hrabina. — Karolina Nakwaska.

Chłopak uznał, że najlepiej będzie całkowicie zmienić temat.

— Pani Julio, czy mogę coś pani podać? Zawsze się martwię, że pani za mało je.

— Nie, dziękuję. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

— Sałatka selerowa jest wyśmienita.

Julia tylko skinęła głową i to bez tej uprzejmości, która dotychczas cechowała jej zachowanie.

Jan postanowił wspomóc Karola i za wszelką cenę utrzymać temat konwersacji z dala od Zosi.

— Panie Karolu, pan, jak rozumiem, studiuje?

— Szczerze mówiąc, nie. Przez kilka miesięcy studiowałem prawo, ale musiałem zrezygnować po śmierci naszych rodziców — pogłaskał Zosię czule po ręce. — Chciałbym kontynuować studia, ale już nie na tym wydziale. Gdy kończyłem Collegium Gostomianum, wydawało mi się, że prawo to coś dla mnie, ale jednak nie. A pan co studiował, jeśli można spytać?

— Między innymi również prawo, ale też uznałem, że to nie dla mnie. Okazało się, że bardziej niż sama litera prawa, interesuje mnie jego duch. Sprawiedliwość — to się dla mnie liczy. — Przez chwilę przy stole panowało milczenie — chyba niektórzy po raz pierwszy uświadomili sobie różnicę między prawem a sprawiedliwością. — A o jakim kierunku pan myśli, Karolu?

— O politechnice w Charlottenburgu lub o szkole rolniczej w Dublanach — widzi pan, najbardziej interesuje mnie hodowla koni.

— Uczelnia w Charlottenburgu uważana jest za jedną z najlepszych, prawda, Tadeuszu?

— Prawda. Jednym z jej absolwentów jest młody architekt ze znanej rodziny z Poznania, Roger Sławski. Widziałem kilka jego projektów, bardzo mi się podobały i chciałbym jemu powierzyć modernizację pałacu.

— Modernizację? — Karol był zaskoczony. — Przecież jest wspianały.

— Marzy mi się dobudowanie po obu stronach oficyn i połączenie półokrągłymi galeriami z główną bryłą. — Jak zawsze, gdy wspominał o budowaniu, jego oczy zaiskrzyły. — Marzy mi się Śmiełów.

— Zamierza pan zlecić przebudowę pałacu jakiemuś nieopierzonemu architektowi? — spytał z niedowierzaniem Waław. — I do tego Polakowi? Powinien pan się zdać na kogoś z Anglii. Ich wycucie stylu nie ma sobie równych. Miałem okazję zapoznać się z perłami architektury angielskiej podczas studiów uniwersyteckich w Oxfordzie, oczywiście bywałem tylko w domach

arystokratycznych...

— A pan gdzie studiował, Janie? — spytała przymilnie Paulina. — Jestem pewna, że w Paryżu.

— Tak między innymi również tam, ale...

— Ach Sorbona, jakże ja chciałabym móc tam studiować — wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma i dotknęła pieszczotliwie jego dłoni, nie pierwszy zresztą raz tego wieczoru. Niemal przy każdej wypowiedzi gładziła jego rękę lub mankiet i strzepywała nieistniejące pyłki. — Jakie pan prowadzi ciekawe życie, dziś tu, jutro tam... chciałabym być mężczyzną...

— Ja też panu zazdroszczę — przyznał Karol — tych podróży, zmian. Tutaj nigdy nic się nie dzieje. Musimy się wydawać prowincjuszami takiemu światowcowi jak pan.

— I dlatego ja to zamierzam nadrobić — zapowiedziała Paulina przerażonemu Janowi. — Rezerwuję sobie pana na jutro. Mam mnóstwo pytań na temat paryskiej mody, nowości literackich, skandali i innych pikantnych spraw. Naznaczmy sobie na jutro schadzkę, dobrze? Takie małe *tête-à-tête*.

Jan zastanawiał się, jak długo uda mu się opanowywać irytację. Tymczasem Paulina przeniosła swoje zainteresowanie na gospodarza, usiłując wzbudzić w Janie zazdrość.

— Panie Tadeuszu, nie mogę się doczekać przebudowy pałacu. Na pewno stworzy pan prawdziwe cacko. Jest pan przecież tak doświadczonym gospodarzem i tyle już pan zbudował. Zresztą cieszy się pan w sąsiedztwie opinią prawdziwego eksperta w tych sprawach. Już dawno postanowiłam, że jeśli będę cokolwiek budować, to zdam się we wszystkim na pana.

Tadeusz uklonił się i podziękował.

— Bardzo pani uprzejma.

— Nawet tu, we wnętrzach widać pana rękę.

— To trzeba Julii przypisać...

— Ten perfekcjonizm, ten styl. Coś wspaniałego!

Jan popatrzył współczująco na Julię, ale pani domu zapewniła go cicho:

— Ona tak zawsze, to nic groźnego. Proszę się nie przejmować.

Zdumiało go, że tak trafnie odczytała jego niewypowiedzianą troskę.

— Skąd pani wie?

— Taka rozrywka. — Obydwoje spojrzeli na Paulinę wdzięczącą się teraz do Karola, która jednak kątem oka kontrolowała przebieg rozmowy Jana z Julią. — Teatr. Zemsta na panu.

Paulina właśnie demonstracyjnie obraziła się na Karola za to, że zabrał ostatnie pieczone jabłko, na które przecież ona miała ochotę. Chłopak natychmiast oddał jej ów przedmiot pożądania, za co usłyszał słodkie:

— Dziękuję ci, kochanie.

Julia wykorzystała zamieszanie przy przekazywaniu owocu, by dodać półgłosem:

— Była nieładną córką pięknej matki. Teraz udowadnia sobie i innym własną atrakcyjność.

Służący właśnie wnieśli karczochy, szparagi i vol-au-vent z groszkiem, poukładane w barwne kompozycje na porcelanowych legumierach.

— Nareszcie coś dla pani, Julio.

Uśmiechnęła się, a Jan odezwał się do Tadeusza:

— Podobno wysłałeś jednego z chłopców wiejskich do Poznania do szkoły?

— Tak, to syn jednego z fernali. Odkryliśmy w nim niesamowite zdolności w naukach przyrodniczych, prawda, kochanie?

— Tak. A nauczyciele w Poznaniu to potwierdzili.

— A czy istnieje tu system stypendiów? — pytał dalej Jan.

— Oczywiście — Towarzystwo Naukowej Pomocy<sup>[6]</sup>. Dlaczego pytasz? Chciałbyś ufundować stypendium?

— Istotnie, ale może porozmawiamy jutro.

Zauważył na sobie spojrzenie Zosi — patrzyła nieśmiało, ale z ciekawością, zwłaszcza widząc sympatię Tadeusza do nowego gościa. Chyba ujął ją swoim zainteresowaniem dla stypendiów, bo odważyła się zapytać:

— Czytał pan *Janka Muzykanta*?

Nie ukrywała entuzjazmu, oczy jej zabłąkitniały i Jan pomyślał, że ta książka bardzo do niej pasuje.

Nie zdążył nawet otworzyć ust, gdy Paulina zganiła Zosię:

— Och, nie bądź nieznośna, daj spokój panu z tymi twoimi książkami dla dzieci.

Dziewczyna zgasła jak zdmuchnięta świeca. A Jan odpowiedział, starając się mówić tak ciepło, jak tylko potrafił:

— Czytałem. Bardzo piękna. I też uważam, że powinniśmy zajmować się utalentowanymi dziećmi, których nie stać na naukę.

Jan nie pomyślał, że przed wygłoszeniem tak wywrotowego stwierdzenia należało się upewnić, czy Waclaw ma pełen talerz. Poseł nienawidził warzyw, więc zjadł tylko ciasto francuskie i sos. Zareagował od razu:

— Życzyłbym sobie, aby temat nauki nie był poruszany przy tak nieufornym i chwiejnym umyśle, jak mojej narzeczonej.

Julia głośno odłożyła widelec na talerz i spojrzała z niechęcią na oświeconego, który kontynuował:

— Proszę sobie wyobrazić, że ostatnio wpadła na pomysł, że po naszym ślubie będzie prowadzić lekcje dla wiejskich dzieci. W moim majątku! Na szczęście szybko wybiłem jej to z głowy.

Patrzył na narzeczoną z taką naganą, że Julia znowu położyła dłoń na ręce Zosi. Tadeusz uśmiechem dodawał dziewczynie otuchy, ale nadal nie poskramiał agresji swoich gości. Tymczasem Paulina z radością dolała oliwy do ognia:

— Dobrze, że ja nie mam takich fantastycznych pomysłów, żeby uczyć wieśniaków. Nienawidzę prymitywnych ludzi.

— Boginie nie zajmują się takimi sprawami.

Nagrodą dla Karola był łaskawy uśmiech prosto z Olimpu.

Jan powątpiewał, czy ten łagodny prostolinijny chłopak da sobie radę z boginią niezgody, która uparła się grać zawsze pierwsze skrzypce. Aby się nieco odprężyć obserwował Franciszka z pasją dyrygenta dowodzącego służbą. Widać było, że lubi to, co robi, a robi to dobrze i pewnie.

— Czy odebrałeś leki dla Zosi, Karolu? — Tadeusz także szukał nowych tematów.

— Oczywiście, bałem się, czy zdążę przed zamiecią, więc na wszelki wypadek przekazałem je w miasteczku Waclawowi.

Po raz pierwszy Jan miał okazję przysłuchiwać się wymianie zdań między Tadeuszem a Karolem i stwierdził, że młody Rusiecki zwraca się do swego opiekuna z dużym szacunkiem. Nastąpiła chwila ciszy i Waclaw, wobec braku deseru na stole, zaatakował Jana:

— Czy ja dobrze zrozumiałem, że popiera pan wysyłanie wieśniaków do szkół?

— Tak.

— Nawłóczył się pan, nałykał dziwacznych idei, a nie zna pan sytuacji w kraju. — Mimo braku reakcji Waclaw się nie poddawał. — Z przyjemnością wprowadzę pana w nasze realia. Kluczem do powodzenia jest porozumienie, współdziałanie z rządem, kurs ugody. Muszę zaznaczyć, że jestem zdziwiony pana poglądami i zamiarami, bo z tego, co o panu słyszałem... jak by to powiedzieć... wydawało mi się, że nie interesują pana ważne kwestie społeczne ani narodowe.

— A jakie?

— Cóż, pana reputacja jest powszechnie znana... ale to nie jest temat do poruszania przy panienkach.

W tym momencie wniesiono wety, na które składał się imponujący piętrowy tort hiszpański i krem ananasowy, a także salaterki z konfiturami: morelową i truskawkową. Waclaw natychmiast stracił zainteresowanie dla Jana, jego reputacji i zgubnego wpływu na panienki. Pozostawała nadzieja, że kiedy

upora się z wielką górą słodyczy, którą zgromadził na talerzu, będzie zbyt objedzony, żeby kontynuować akcję nawracania otoczenia. Niewinna Paulinka wyjadała krem z tortu, głośno się nim rozkoszując. W pewnej chwili demonstracyjnie oblizała łyżeczkę i zapowiedziała Janowi półgłosem:

— Jutro mi pan opowie o tej... reputacji.

Jan spojrzał na panią domu. Do deserowej miseczki nałożyła konfitury morelowe, które w gęstym syropie wyglądały jak zakrzepłe w słońcu, i polała je śmietaną. Nałożył sobie to samo, a Julia na ten widok się uśmiechnęła.

— Pozwolą państwo — Jan akurat patrzył na Zosię i zauważył, że aż drgnęła, słysząc głos Kareńskiej. Ta ostatnia podniosła się, lekko zachwiała i dokończyła: — że was opuszczę na moment.

Mężczyźni wstali. Karol odstawił krzesło hrabiny i odłożył na stół jej serwetkę — mimo złośliwości Kareńskiej wobec niego i Zosi, zachowywał się z atencją, wręcz uniżonością. Waclaw właściwie nie wstał, a tylko uniósł pośladki i prawie natychmiast opadł z powrotem na siedzenie — czekał na niego krem ananasowy.

Tadeusz tymczasem odeskortował hrabinę do drzwi.

— Może panią odprowadzę? Bardzo pani zbladła.

— Nie, nie. Dziękuję.

— Może Maria by do pani zajrzała?

— Nie. Za chwilę wrócę.

Odsunęła podtrzymującą ją dłoń gospodarza i wyszła.

Jan mimo woli podziwiał Tadeusza. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Zosia jest naprawdę córką Tarnowskiego, który nie broni jej, żeby jego ojcostwo nie wyszło na jaw. Tymczasem kolacja dobiegła końca i panie, podążając za Julią, udały się do salonu. Panowie pozostali w jadalni, paląc cygara. Karol wnosił powiew wesołości w ciężkie powietrze mijającego wieczoru i nawet zatroskany Tadeusz się rozpogodził.

Niestety, wkrótce do rozmowy włączył się Waclaw:

— Czy opowiadałem już panom o ostatnim procesie rewolucjonistów?

Pytanie było czysto retoryczne. Poseł nie oczekiwał odpowiedzi i od razu rozpoczął opowieść o tym, jak jego działania przyczyniły się do skazania dwóch młodych ludzi na karę więzienia za rozprowadzanie w Berlinie ulotek uznanych za wywrotowe. Nikt się nie odzywał. Cała sprawa była oburzająca, a rola Waclawa niechlubna. Złamano życie dwójce polskich studentów, skonfiskowano nie tylko problematyczne druki, ale też polskie książki w księgarni, którą wzięto za siedzibę grupy. Poza tym proces był wodą na młyn dla pruskich polakożerców.

Waclaw, dumny z odegranej przez siebie roli, nie dostrzegał potępienia i niesmaku w oczach towarzyszy.

— Rewolucjoniści są niebezpieczni, ale nie wahałem się narazić swego życia dla poprawy stosunków polsko-pruskich. Grożono mi nawet...

Pozostali za milczącym porozumieniem szybko zgasili cygara. Tadeusz odchrząknął, podniósł się i zaproponował:

— Myślę, że możemy dołączyć do pań.

Zanim Waclaw zdołał otworzyć usta, Jan z Karolem również wstali i skierowali się do wyjścia.

W salonie tymczasem Julia nalewała kawę, a Zosia, wpatrzona w swą przyszłą szwagierkę, słuchała wykładu dotyczącego mody. Prelekcja trwała krótko, gdyż pannę Bonikowską bardziej ekscytował Jan.

— Jest cudowny. Po prostu cudowny. Te ciemne oczy. Jak czekolada. — Rozchyliła usta i przytknęła oczy. — Uwielbiam czekoladę.

Julia szepnęła do Zosi:

— Jej ojciec też miał takie oczy. I taki wzrost. I też był szczupły.

Paulina zachwycała się dalej:



— I ma takie silne dłonie. Ta mała blizna tylko dodaje mu męskości.

— Jest bardzo grzeczny.

— Grzeczny? Ty chyba sobie kpisz, Zosiu. Absolutnie nie jest grzeczny. I na tym właśnie polega jego urok. Czy ty wiesz, czego ja się o nim nasłucham we Francji? Skandale, romanse, pojedynki, rozbite małżeństwa. Moulin Rouge, berlińskie kabarety. Awanturnik. Prawdziwy, nie taki jak ci w Poznaniu — malowani. Nie rób tej swojej świętoszkowatej miny. Wszyscy wiedzą, że twój grzeczny pan Morawski jest przyjmowany w towarzystwie tylko ze względu na doskonałe pochodzenie. No i na majątek godzien Krezusa. Będę się mogła pochwalić, że go poznałam. Żadna z moich przyjaciółek nigdy go nie spotkała.

Paulina siedziała rozmarzona i nie wiadomo, czy przedmiotem tych snów na jawie była zazdrość przyjaciółek czy osoba Jana.

— Łajdak. Uwielbiam złych mężczyzn — zamruczała z uśmiechem. — Ma co prawda wadę — nie daje się łatwo podporządkować, przynajmniej na razie. — Spojrzała na pozostałe kobiety. — Jeszcze się nie urodził taki, na którego bym nie znalazła sposobu.

Wstrząśnięta Zosia z ulgą przyjęła pojawienie się panów, które położyło kres przemowom Pauliny. Chwilę później do salonu weszła hrabina. Jej czarne oczy wyglądały niczym dziury wypalone w prześcieradle. Jan pomyślał, że to coś poważniejszego niż złe samopoczucie.

Paulina nie zwróciła uwagi na wejście Kareńskiej.

— Czy zdajecie sobie sprawę, że jesteśmy literalnie odcięci od świata? A jeśli w pałacu ukrył się złoczyńca?

Wszyscy spojrzeli na nią uważnie, a Zosia objęła się ramionami, jakby zrobiło jej się zimno. Karol z roześmianymi oczyma podchwycił temat.

— Obudzimy się rano i okaże się, że ktoś wyniósł wszystkie klejnoty i srebra — prorokował złowieszczym szeptem.

— Obudzimy się rano i okaże się, że mamy trupa — przebiła go Paulina. Zapadło kłopotliwe milczenie, a ona prychnęła z uśmiechem: — Patrząc na wasze zwarzone miny, można by pomyśleć, że macie coś na sumieniu. I pewnie tak właśnie jest...

W tej samej chwili hrabina, już nie blada, lecz sina, zakryła dłonią usta i przymknęła oczy. Jan zerwał się i podbiegł do niej, to samo zrobiła Julia. Tadeusz zadzwonił na służbę.

Po pełnej napięcia chwili Kareńska poprosiła Julię słabym głosem:

— Odprowadź mnie na górę. Proszę — dodała z wahaniem.

---

[1] Wielkie Księstwo Poznańskie, powstałe na mocy kongresu wiedeńskiego w 1815 roku, formalnie istniało do 1848 roku, ale nazwa pozostała w użyciu społecznym oraz w tytulaturze władców Prus do roku 1918.

[2] Postawa dżentelmena, który nade wszystko przedkłada konie i wszelkiego rodzaju polowanie, ze szczególnym pominięciem zajęć intelektualnych, popularna od początku XVIII wieku.

[3] Era Capriviego (in. era pojednania) — złagodzenie polityki antypolskiej w latach 1890— 1894 podczas rządów kanclerza Leo von Capriviego. Koło Polskie w parlamencie pruskim prowadziło w tym czasie politykę ugodową, popierając projekty rządowe i spodziewając się ustępstw.

[4] Pod pojęciem kompot rozumiano wówczas zarówno przetwory owocowe, jak i warzywne, czyli kompoty octowe (dzisiejsze pikle, marynaty).

[5] Niemiecka nazwa kurortu w Alpach, w 1900 roku leżał na terenie Austro-Węgier, obecnie we Włoszech — Merano.

[6] Pierwsza na ziemiach polskich instytucja filantropijna, która miała na celu udzielanie materialnej pomocy niezamożnej młodzieży, aby umożliwić jej zdobycie wykształcenia bądź podniesienie

kwalfikacji. Założona w 1841 roku z inicjatywy Karola Marcinkowskiego.

## 2.

— Jak ci smakowała czernina?

— Słów nie starcza.

— Rozumiem, że już nie żałujesz przyjazdu?

— Możemy zostać na wieki. Kucharka to artystka. Nie zdążyłem, co prawda, porozmawiać z Franciszkiem na temat skarbu, ale przecież nie wyjeżdżamy jutro, więc będzie jeszcze niejedna okazja.

Jan wymruczał jakieś odruchowe przytaknięcie, Mateusz jednak nie dał się zwieść.

— Czy mi się wydaje, czy mój minorowy nastrój przeszedł na pana? — Odpowiedzi nie było. — Nie smakowała panu czernina?

Jan skupił wzrok na pytającym i odpowiedział bezbarwnie:

— Nie dali nam, prawdę mówiąc. W ogóle nie było zupy.

— W takim razie to pierwszy znany mi dom, gdzie służbę karmią lepiej niż gości. Tym bardziej możemy zostać.

Morawski nawet się nie uśmiechnął, co znaczyło, że sprawa jest poważna. Kamerdyner porzucił żarty.

— Co pana martwi?

— Nie wiem, Mateuszu.

— Coś się wydarzyło przy kolacji?

— I tak, i nie. Nic szczególnego, poza tym, że tu jest jak... w gnieździe os. Albo jak na dworze królewskim. Wszyscy sobie dogryzają. Nie wiesz, z której strony nastąpi uderzenie. Tadeusz próbuje łagodzić, jego żona ignoruje te złośliwości, a Karol się śmieje.

— A ta delikatna panienka?

— Zosia? Płacze.

— Goście w końcu wyjadą.

Jan tylko się skrzywił na to wątpliwe pocieszenie. Podeszedł do okna, za którym zawodził posepnie wiatr.

— Tak szybko nie wyjadą. Sam mnie przekonywałeś, że jesteśmy odcięci od świata. Nic to — próbował bagatelizować. — Nasłuchałem się twoich czarnych wizji i tyle.

Kamerdyner nie dał się jednak zwieść.

— Nie lubię pana złych przeczuć.

— Nie podoba mi się to wszystko, Mateuszu. Nie podoba mi się.

\*

Karol wchodził bezszelestnie po schodach wyłożonych ciemnoczerwonym chodnikiem. Gdy dotarł do holu na piętrze i ruszył bocznym korytarzem, zza załomu ściany wyszła ciemnowłosa pulchna dziewczyna w stroju pokojówki. Rusiecki uśmiechnął się do niej i spytał szeptem:

— Polowałaś na mnie?

— Szukałam pana. Czekałam. Cały dzień.

Pociągnęła go za sobą w stronę wnęki i przywarła do niego.

— I po co? Mówiłem, że wrócę.

— Tak się martwiłam. Tak się martwiłam. Tak się martwiłam — każde zapewnienie potwierdzała pocałunkiem w usta. — Tak tęskniłam. Tak strasznie. Wszędzie za panem pójdę.

Naraz usłyszeli dzwonek. Lekko się wychylili ze swej kryjówki. Dźwięk dobiegał od strony pokoju, którego drzwi na korytarz były uchylone.

— Zostawiłam drzwi otwarte, żeby w razie czego słyszeć panią. — Z trudem się od niego oderwała — Muszę iść, ale jeszcze jeden buziak. — Pocałowała go mocno. — Gdyby pani się dowiedziała, że ja z panem...

— To co?

— To by mnie zwolniła. Nienawidzi miłości. Zwolniła już pokojówkę za to, że się zakochała.

Objęła go mocniej, ale gdy dzwonek rozległ się po raz drugi, Karol zdjął jej ramiona z szyi.

— Musisz iść.

— Jeszcze chwilkę.

— Mam pomysł, Anetko, twoja pani jest chora, będzie dłużej spała. Spotkajmy się rano. — Posłała mu uśmiech tak promienny, że rozświetliła mroczny korytarz. — Zrobimy tak...

We wnęce rozległy się szepty.

\*

Z biblioteki wyszli Tadeusz z Julią i trzymając się za ręce, wolno szli korytarzem.

— Jak ci się podoba Jan?

— Bardzo. Bardzo. Dlaczego jest taki smutny?

Tadeusz aż przystanął.

— Smutny?

— Udaje wesołego. Ale wewnątrz jest smutny.

Tadeusz przyglądał się przez chwilę Julii. Ruszyli w stronę klatki schodowej.

— Może jest trochę nieswój. Nigdy nie miał domu i pewnie niektóre sprawy są tu dla niego nowością.

— Jak to nie miał domu?

— Małżeństwo jego rodziców było, mówiąc delikatnie, trudne. Pobrali się, a potem ciągle rozchodzili i schodzili. Jan mieszkał czasem z matką, czasem z ojcem, czasem z obojgiem. A oni nie umieli żyć ani ze sobą, ani bez siebie.

Dotarli do górnego holu i jak co wieczór przystanęli przed portretem matki Tadeusza.

— Zawsze w drodze, nigdzie nie zagrzewali miejsca. Cygańskie dzieciństwo. — Przyglądał się swojej matce, a jego twarz jeszcze złagodniała. — Myślę, że Jan zbyt wiele widział w zbyt młodym wieku. Stąd ten sceptycyzm. A przecież ma dopiero trzydzieści lat.

Julia posmutniała na myśl o bezdomnym małym chłopcu. Mąż jak zwykle znalazł też pozytywne aspekty:

— Z drugiej strony prowadzi fascynujące życie. Zwiedził chyba cały świat, brał udział w wielu niebezpiecznych wyprawach. Ponoć angażuje się w trudne misje międzynarodowe. Na nudę na pewno nie narzeka.

— Musi być strasznie samotny — powiadomiła Julia piękną panią z portretu.

— Nie można mieć wszystkiego — popatrzył na nią ciepło mąż. — Chodźmy.

Ruszyli korytarzem. Nagle ona zadrżała. Tadeusz wyczuł to od razu:

— Zimno?

— Nie.

— Masz lodowate ręce.

Rozcierał jej dłonie. Popatrzyła na męża, jakby oczekiwała od niego pomocy i zwierzyła się:



— Boję się, Tadeuszu.

\*

Nadal w wieczorowej sukni, klęczała przy kominku i cicho czytała. *Giaur*. Czasami zamykała oczy i recytowała z pamięci. Naraz usłyszała szelest za drzwiami, umilkła i w panice odwróciła się w stronę wejścia, jak ktoś złapany na gorącym uczynku. Przez chwilę nasłuchiwała, ale w końcu, uspokojona, wróciła do lektury. Wreszcie zamknęła książkę, przytuliła ją skrzyżowanymi ramionami do piersi i ze łzami wiszącymi na rzęsach wyszeptała:

*Tyle zostało o Giaurze podania  
I o Leili, którą on postradał,  
I o Hassanie, któremu śmierć zadał.*

Zamilkła, lecz jeszcze przez chwilę przebywała w tamtym cudownym świecie.

Otrzeźwienie przyszło nagle. Otworzyła oczy, a na twarzy pojawiło się przerażenie. I wstyd. Podniosła się i skarciła z groźną miną.

— Miałaś tego nie czytać.

Schowała książkę do szafki nocnej i wytarła oczy. Jeszcze tylko kilka głębokich oddechów.

— Jesteś, Zofio, poważną osobą, narzeczoną wybitnego polityka. Twoją lekturą jest teraz Pismo Święte.

Przekonała się. Chyba.

### 3.

Pałac trwał w úspieniu. A przynajmniej ta jego część, w której mieściły się pokoje gości i gospodarzy, bo na dole, zwłaszcza w kuchni, dzień pracy dawno się rozpoczął. Gotowała się woda, z pieca dochodził zapach świeżych bułek, pokojówki wyciągały z przepastnych szaf naczynia, z warzywnika i spiżarni przynoszono potrzebne wiktuały. Pod okiem kucharki Marianny, poza dwiema służącymi, przygotowującymi nakrycia do podóniadania, pracowały też *elewki*, młode dziewczyny ze wsi przyjmowane do pałacu do przyuczenia.

Kolejność i charakter czynności były wszystkim znane i uóświęcone zwyczajem, który zmieniał się w zależności od pory roku i dnia tygodnia. Sprężyny gospodarstwa nakręcono już dawno, machina działała idealnie, a czuwała nad tym Maria. Wszyscy wykonywali przypisane im prace sprawnie, bez pytań i poópiechu. W razie wątpliwości, na szafie wisiały wielkie płachty papieru z wypisanym rozkładem zajęć nie tylko na najbliższy dzień i tydzień, ale także miesiąc i kwartał.

Już niedługo zasiądą w służbowej jadalni do óniadania, racząc się gorącym pieczywem i kluberkami<sup>[7]</sup>. Zajmą miejsca przy stole według starszeństwa i hierarchii, których to zasad przestrzegano bardziej niż na cesarskim dworze. Będą posilać się spokojnie i z godnością. Rytuał codzienności. Tymczasem pokojówka Jadźka układała nakrycia do kawy na tacach dla gości, rozstawionych na blacie kredensu. Dzbanek, mlecznik, cukiernica, filiżanka na podstawku, talerzyk do podania domowych sucharków.

— Gdzie Franciszek? — Nikt nie odpowiedział. Marianna zwróciła uwagę Jadźce, która trzeci raz nastawiała wodę do zaparzenia kawy. — Zaczynij od herbaty dla panienki Zosi, na tamte masz czas. Co się z tobą dzisiaj stało?

Baśka, jedna z elewek, podsunęła wyjaśnienie:

— Jaki ten pan Mateusz szykowny...

— Baśka! Nie gadaj, tylko leć do wędzarni po ozory! — przerwała zachwyty Marianna.

Dziewczyna wybiegła, natomiast do kuchni weszła pokojówka hrabiny. Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni.

— A cóż to się stało? Dlaczego tak wcześnie? — spytała kucharka, nie przerywając wyrabiania drożdżowego ciasta.

— Tak sobie — zarumieniła się Anetka, po czym, wyraźnie dla odwrócenia uwagi, zaproponowała: — Może pomóc?

— Nakryj stół dla nas. Jadźka, pokaż jej, gdzie są naczynia.

Obie wyszły do przylegającej jadalni.

— Ciekawe, za którym lata — rzuciła z przekąsem kucharka do Marii, która właśnie weszła do kuchni i zamykała otwartą szufladę. — Niech lepiej uważa. Hrabina krótko trzyma służbę.

Maria przeglądała wielkie kartki i słuchała nieuważnie. Przez moment panowała cisza, zakłócana tylko brzękiem naczyń w sąsiednim pomieszczeniu. Po chwili służące wróciły, a z nimi lokaj, wpatrzony w Anetkę jak w obraz. Maria dostrzegła to od razu i odesłała dziewczynę do hrabiny.

— Czy ktoś widział Franciszka?

W progu stanął młody mężczyzna, ubrany w óśnieżony kozuch. W potężnych dłoniach gniótł czapkę, dreptał w miejscu i wydawało się, że nie wie, co ze sobą zrobić. Maria spytała:

— Odkopaliście ścieżkę?

Skinął potakująco głową.

— Wiecie, do kiedy padało?

— Stróż mówił, co przestało po północy. W niektóre miejsca tyle śniegu wiatery naniósł.

Zademonstrował wysokość zasp, które rzeczywiście musiały być ogromne, bo porównywał je do swego imponującego wzrostu. Naraz do kuchni wpadł piegowaty Witek w stroju lokaja. Ten bynajmniej nie czuł się tu nieswojo. Spod ciemnej czupryny błysnęły jasne oczy, nozdrza demonstracyjnie wciągnęły upajający zapach świeżych bułek.

— Ależ nas zasypało. Nikt nie przejedzie. Nikt.

Marianna skomentowała to z przekąsem:

— I nikt nie wyjedzie. Niestety.

Maria spojrzała na kucharkę karcąco.

— Panuj nad językiem.

Nie mogąc się w spokoju wygadać, Marianna wyżywała się na cieście drożdżowym. Witek wrócił do sprawy śnieżycy. Opowiadał z roziskrzonym wzrokiem:

— Musiało strasznie wiać. Pod ścianami są zwały śniegu, a na środku prawie nic.

— Gwizdało i wyło okropnie. Jak dusze potępione.

Jadźka wypowiedziała ostatnie słowa szeptem i od razu się przeżegnała. Marianna ją ofuknęła:

— A co ty opowiadasz za herezje?!

Ale też się przeżegnała. Ostrożności nigdy za wiele. Witek przyznał z żalem:

— Ja nic nie słyszałem. Spałem jak zabity.

I wyciągnął dłoń po sucharka, ale Maria okazała się szybsza — zanim dotknął ciastka, uderzyła go po dłoni. Wstała, zamknęła szufladę otwartą przez Mariannę i wyszła. Marianna popatrzyła za ochmistrzynią i półgłosem rzuciła do Witka:

— Bierz, łobuzie.

Złapał sucharka i władował od razu połowę do ust. Zachrupotało.

— Nikt nie piecze takich ciastek, jak pani Marianna.

— Ach ty miglancu.

Śmiała się i spoglądała na szczęśliwego chłopaka. Otworzyła szufladę z takim uporem zamykaną przez Marię i wymruczała:

— To jej ciągle domykanie wszystkiego to mnie do grobu wpędzi.

Witek zachichotał, a kucharka poprosiła go:

— Znajdź lepiej pana Franciszka.

— Lece.

Marianna wyciągnęła z kredensu chleb, przeżegnała się, na spodniej stronie bochenka uczyniła nożem znak krzyża i zaczęła kroić. Gdy tylko odkroiła piętę, do kuchni od strony kredensu wszedł Franciszek. Spojrzeli na niego, a Teresa, jedna z pokojówek, powiedziała:

— Zamartwialiśmy się, gdzie też pan Franciszek zniknął.

— Byłem w jadalni. Nastawiałem zegar.

Powiedział to dziwnie spokojnym głosem, pozbawionym typowej dla niego werwy. Kucharka spytała odruchowo:

— A co? Późni się?

Nie odpowiedział i dopiero teraz się zainteresowała na serio. Przerwała krojenie w połowie kromki, podniosła głowę i powtórzyła:

— Późni się?

— Nie. Staął.

Zamarli. Zatrzymali się jak na fotografii. Bez słów, bez ruchu. Wpatrzeni w jeden punkt. Trwało to

tylko chwilę, bo nagle Baśka zaczęła płakać, Marianna ze zgrozy zakryła usta, a Teresa wyjęczała:

— Panienko Przenajświętsza. Ktoś zemrze.

Na to proroctwo kucharka się opamiętała i wróciło jej poczucie odpowiedzialności za młodszych pracowników. Warknęła na Teresę:

— Nie gadaj głupot. Co ty tu jeszcze robisz? Zabieraj tacę dla panienki!

Franciszek osunął się na krzesło, a pozostali, pod wpływem spojrzenia Marianny, czym prędzej wrócili do przerwanych zajęć. Upłynęło kilka minut. Jadźka pokazywała elewce, w jaki sposób należy układać zastawę na tacach z podśniadaniem dla gości, gdy do kuchni wpadł zdyszany Witek. Miał szeroko otwarte oczy i ciemne rumieńce. Zatrzasnął drzwi, oparł się o nie i wyjąkał:

— Pani Maria prosi, żeby... żeby pan Franciszek jak najszybciej...

Majordomus już otwierał usta, aby ofuknąć chłopaka, ale zobaczył, że Witek cały się trzęsie.

— Dokąd?

— Korytarz.

— W części domowników?

Witek dygotał, blokując sobą dojście do drzwi. Franciszek odsunął go, popchnął w stronę Marianny, a sam szybko wyszedł.

\*

Pałac nadal zdawał się spać. Korytarze zatopione były w mroku, jeśli nie liczyć delikatnej poświaty, którą rzucała lampa, paląca się przy pokojach gościnnych dla bezpieczeństwa i komfortu osób nieobeznanych z budynkiem. Gospodarze i ich goście musieli spać snem sprawiedliwych, skoro nie obudził ich hałas upadających naczyń i krzyk rozhisteryzowanej pokojówki. Korytarzem wyłożonym dywanem bezszelestnie szedł Franciszek. Porzucił zwykłą pozę czarującego majordomusa i tak szybko, jak na to pozwalała trzymana w ręku lampa, zmierzał do sypialni pana domu. Przed drzwiami kilka razy głęboko odetchnął, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że wcale nie spieszy mu się do wykonania misji, z którą przybył.

Zapukał i otworzył drzwi. Nagły powiew lodowatego wiatru prawie wypchnął go na korytarz. „Że też pan nawet w taką noc otwiera okno”. Szczękając zębami, na palcach szedł przez pokój i tylko raz przystanął, gdy zaskrzypiała podłoga. Podeszedł do łóżka.

— Proszę pana.

Tadeusz Tarnowski spał. Służący się wahał. Przystąpił z nogi na nogę, przeczesał dłonią włosy. Odstawił lampę na stolik nocny, podeszedł do okna i zamknął je. Dopiero wtedy zauważył śnieg na parapecie. Zgarnął go, ale zamiast wyrzucić za okno, roztarł szybko na twarzy.

Wrócił do Tadeusza.

— Proszę pana.

Nic. Brak reakcji. Ośmielił się poruszyć ramię Tadeusza. Pan domu otworzył jedno oko i na widok Franciszka wychrypiał:

— Co się stało?

— Teresa znalazła... Maria do mnie...

Zachowanie Franciszka tak bardzo odbiegało od zwyczajnego zrównoważenia, że Tadeusz otworzył także drugie oko, oparł się na łokciu i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w służącego zmrużonymi oczami.

— Nic nie rozumiem. Teresa czy Maria?

— Panienka Zosia.

Tadeusz stał się czujny.

— Co z Zosią?!

— Teresa poszła i znalazła...

— Co z Zosią?!!!

Franciszek w końcu zebrał się na odwagę. Splótł dłonie i wyrzucił z siebie bez tchu:

— Nie żyje. Panienska Zosia nie żyje.

---

[7] Kluski z żytniej mąki.



## 4.

Tadeusz wpatrywał się we Franciszka, a na jego twarzy odmalowało się kolejno niezrozumienie i niedowierzanie. Jednak coś w postawie majordomusa musiało go przekonać, że sprawa jest poważna, gdyż nagle odgarnął kołdrę, poderwał się, złapał szlafrok i zakładając go po drodze, wybiegł boso z pokoju. Franciszek ruszył za nim.

Kilka kroków od sypialni Zosi stała Maria i tuliła łkającą Teresę, która na widok nadchodzącego wielkimi krokami pana domu zdołała pohamować spazmy. Drzwi były przymknięte. Tadeusz złapał za klamkę i delikatnie zapukał. Na chwilę zamknął oczy. Otworzył drzwi.

Pokój wyglądał tak jak zawsze. Mnóstwo ozdób i wszechobecny błękit. Tylko biurko było wolne od niebiańskiego koloru i panińskich drobiazgów — kilka grubych książek w ciemnych oprawach wprowadzało dysonans do tego na wskroś dziewczęcego wnętrza.

Tadeusz jednak skupił uwagę na postaci leżącej w łóżku. Wyglądała tak spokojnie. Popatrzył przez chwilę, odwrócił się do stojącego za nim Franciszka i zapewnił go:

— Zosia tylko śpi. — Uśmiechnął się do majordomusa, spojrzał znowu na dziewczynę i wyszeptał, jakby nie chciał jej obudzić: — Zobacz, jaka jest śliczna.

Tyle było dumy w jego głosie! Franciszek patrzył na Tadeusza z bólem, nie wiedząc, jak się zachować.

— Zaraz sam się przekonasz... Zosiu, obudź się.

Nie zareagowała. Tadeusz puścił drzwi, postąpił krok do przodu i dodał, tym razem natarczywiej:

— Kochanie, wstajemy.

Nadal nic. Podszedł do łóżka. Zawołał ją z naciskiem i prawie pretensją, że mu dotychczas nie odpowiedziała.

— Przecież zawsze jest taka posłuszna — poskarżył się Franciszkowi.

Leżała na łóżku oświetlonym tylko małą lampą. Szklista twarz była otoczona masą jasnych włosów, całkowicie zakrywających poduszkę. Tarnowski usiadł na brzegu łóżka i, po chwili wahania, dotknął nadgarstka dziewczyny, potem jej szyi. Zamknął oczy, marszcząc czoło.

Otworzył oczy i zapatrzył w rysy, które tak dobrze znał. Nigdy jeszcze podobieństwo do zmarłej siostry tak go nie uderzyło.

— Karolina — wyrwało mu się prosto spod serca.

Ta część umysłu, która mimo szoku pozostała świadoma, odnotowała dobiegający z boku szloch Franciszka.

Wpatrywał się w tę twarz, dotychczas tak ruchliwą, a która teraz zamarła w bezruchu. Jak wykuta w kamieniu. Jak posąg Karoliny w krypcie. Leżąca dziewczyna, rozpuszczone włosy. Zosi brakowało tylko róży w dłoni. Przetarł ręką twarz, na moment zakrywając usta. Wstał, odwrócił się i zapatrzył w ciemność pokoju. Potem stanął w nogach łóżka, przytrzymał się ramy i wychrypiał:

— Idź do pokoju pana Jana, obudź go i poproś, żeby przyszedł.

— Do pokoju pana Jana?

— Tak. Przyprowadź go.

— Może przyniosę panu...

— Idź!!!

Krzyknął i ułożył dłoń płasko na splocie słonecznym. Oddychał płytko. Z trudem. Mocno docisnął rękę. Franciszek zagryzł usta i wyszedł, zostawiając Tadeusza z niedawno odnalezionym, a już utraconym dzieckiem. Dzieckiem, o którego istnieniu jeszcze kilka miesięcy temu nie wiedział.

\*

Zaspany i niezbyt starannie ubrany Jan wszedł bosy i zaraz po wejściu potknął się o porzucone na podłodze naczynia. Za nim podążał Mateusz dla odmiany zapięty na ostatni guzik. Franciszek przesunął się na bok i odsłonił stojącego w nogach łóżka pana domu. Jan spojrzał na skamieniałego Tadeusza i podążył za jego wzrokiem. Najwyraźniej Franciszek nie uprzedził gościa, co zastanie, lecz Morawski oprzytomniał błyskawicznie. Podszedł do łóżka.

Dotknął szyi dziewczyny, bezskutecznie poszukując pulsu. Lewą ręką przysunął małą lampkę, a prawą delikatnie uniósł powiekę dziewczyny. Spośród koronek pościeli wyłuskał jej dłoń i ujął nadgarstek. Bardzo łagodnie ułożył dłoń z powrotem na kołdrze. Zosia nie żyła.

Podniósł książkę leżącą na pościeli. Pismo Święte. Zakładka wskazywała List do Efezjan, w którym, zapewne ręką Wacława, podkreślono: *Żony niech będą podporządkowane swoim mężom jak Panu.* Pasma materiału spadło na podłogę, a Jan, podnosząc je, zauważył wyhaftowany na zakładce napis: *Od nagłej i nieoczekiwanej śmierci, zachowaj nas, Panie.* Spojrzał na stolik nocny. Jego uwagę od razu przyciągnęła pusta szklanka i pakiet małych kopert, w jakich aptekarze dostarczają leki. Opaska, na której podano skład leku, była rozerwana, na wierzchnim opakowaniu napisano bardzo dekoracyjnym charakterem pisma: *Panna Zofia Rusiecka, 1 dawka przed snem.* Jan przewertował cały pakiet — wszystkie miały ten sam napis, zmieniał się tylko numer dawki: od 2 do 20. Na tacy obok szklanki leżała starannie złożona kopertka numer 1 — pusta, jeśli nie liczyć minimalnej ilości proszku, którą Jan dostrzegł przy zgięciu. Zebrał drobinę na palec i spróbował. Skrzywił się.

— Kto ją znalazł? — zapytał.

Cisza.

— Pokojówka. Przyniosła herbatę — odpowiedział Franciszek.

Tadeusz nadal wpatrywał się w dziewczynę. Jan przejął inicjatywę.

— Niech Franciszek obudzi i przyprowadzi Karola.

— Panicz nie śpi. Szedł sprawdzić, co z końmi.

— Proszę go znaleźć.

Franciszek skinął głową, jeszcze raz popatrzył na Tadeusza, na Zosię i wyszedł.

Jan starał się nie spoglądać na przyjaciela. Nie umiał okazywać uczuć i czuł się nieswojo, gdy musiał oglądać emocje innych. Odnotował tylko, że Tadeusz kurczowo zaciska dłoń na ramie łóżka i był to jedyny sygnał, że przed Janem stoi żywy człowiek, a nie kamień.

Morawski poszukał wzrokiem Mateusza i bezgłośnie polecił: sprawdź pokój. Kamerdyner skinął głową, cofnął się i zniknął w ciemnej części pomieszczenia. Rozległ się rozpaczliwy szept, prawie szloch Tarnowskiego:

— Moja mała dziewczynka. Co jej się stało?

— Morfina.

Tadeusz aż oderwał wzrok od zmarłej i spytał z niedowierzaniem:

— Morfina? Myślałem, że to jakaś choroba, atak czy coś takiego...

— Nie jestem lekarzem, ale moim zdaniem to zatrucie morfiną.

— Ale jak? Skąd?

— Ze środkiem nasennym.

Popatrzyli na dziewczynę.

— Nie sama. Nie mogłaby. Nie ona.

Towarzyszyło temu gwałtowne szarpanie ramą łóżka. Mimo że stwierdzenie przyjaciela pokrywało się z jego własnym przekonaniem, Jan spytał:

— Na pewno?

— Na pewno.

Sięgnął ponownie do pakietu z lekami, otworzył kopertę numer 2 i spróbował proszek, potem powtórzył to jeszcze z dwoma dawkami wybranymi przypadkowo. W żadnej nie wyczuł morfiny.

— Ja też myślę, że nie popełniła samobójstwa. Czytała Pismo Święte. Nie napisała listu. I w ogóle nie wyglądała na...

Tarnowski tymczasem szukał rozwiązania, które byłby w stanie zaakceptować. I znalazł:

— W takim razie pomyłka.

— Czyja? Miała dostęp do trucizny?

— Nie.

Jan potarł nieogolony podbródek i z wahaniem zasygnalizował ostatnią możliwość:

— Nieszczęśliwy wypadek jest wobec tego mało prawdopodobny. Ktoś musiał jej pomóc.

— Jak to pomóc? Ty uważasz, że to morderstwo? Nie wierzę! Kto mógłby chcieć... kto mógłby tak jej nienawidzić?

— Jeśli nie samobójstwo i nie wypadek, to zostaje tylko morderstwo.

Tadeusz nie chciał się zgodzić na to rozwiązanie.

— Może to było dla kogoś innego?

— Czy ktoś poza nią brał to lekarstwo?

— Nie.

— W takim razie...

Tadeusz gwałtownie szarpnął łóżkiem i w końcu zwolnił uchwyt. Rozważał. Jan go nie poganiał, nie przekonywał, nie udowadniał swojej racji. Czekał, aż Tarnowski przyjmie prawdę do wiadomości, aby móc powiedzieć mu resztę. W końcu Tadeusz spojrział Janowi prosto w oczy i powiedział przez zaciśnięte zęby:

— Znajdź go.

— Ten ktoś nadal tu jest.

— Tu?

— W pałacu. W twoim domu. Jesteśmy zasypani, uwięzieni. Nikt by się stąd nie wydostał.

Tadeusz ze świstem wciągnął powietrze.

— W moim domu.

Żyły na jego skroniach przypominały sznurki. Zazgrzytał zębami i wydał wyrok:

— Ktokolwiek to jest, znajdź go.

Jan skinął głową.

\*

Wrócił Franciszek. Patrząc jak poprzednio tylko na Tadeusza, wyszeptał:

— Znalazłem panicza. Pomagał utorować przejście do stajni. Zaraz przyjdzie.

— Powiedziałaś mu?

Majordomus pokręcił przecząco głową.

— Krzyknąłem tylko, że jest proszony do pokoju panienki. I uciekłem.

Przez chwilę obaj patrzyli na Zosię. Franciszek nagle podszedł do toaletki i dopiero wtedy Jan zauważył, że majordomus niesie pod pachą ciemne zawiniątko. Służący uniósł ręce do góry i rozwinął przyniesioną materię. Przez moment dopasowywał ją do ramy lustra. Po chwili się odsunął. Tkanina opadła. Tafla lustra zniknęła.

Jan wstrzymał oddech. Zaciśnął szczęki. Zamrugał oczami. Działania Franciszka obserwował także Tadeusz. Twarz miał ściągniętą, bezkrwiste usta, a żyły na dłoniach nabrzmięły od zaciskania rąk. Prosty gest Franciszka, odwieczny zwyczaj zakrywania lustra, przekonał go o śmierci Zosi skuteczniej, niż by to zrobiło świadectwo lekarza. Pałac stał się domem żałoby.

Nagle do pokoju wszedł Karol, zarumieniony od mrozu i zdyszany. Pełen życia. — Chciałaś mnie zobaczyć? Coś się...?

Nie skończył. Na moment zatrzymał się na widok mężczyzn stojących przy łóżku jego siostry. I dotarło do niego, że ich obecność w tym miejscu i o tej porze oznacza coś złego.

— Co z Zosią?

Jak na komendę Jan i Tadeusz odsunęli się na boki i Karol zobaczył siostrę. Ruszył w kierunku łóżka.

— Zachorowała? Trzeba jechać po lekarza! Ja pojedę! Franciszku, niech osiodłają konia! Maria. Maria będzie wiedziała, co robić. Dlaczego jej tu nie ma?

— Karolu — Zosia nie żyje.

Chłopak rozpaczliwie próbował przekonać siebie i ich, że to nieprawda. Zareagował tak samo, jak Tadeusz. Przysiadł na brzegu łóżka i lekko dotknął ręki Zosi.

— Obudź się.

Uniósł ją lekko, przytulił kurczowo i zaczął się razem z nią kołysać do przodu i do tyłu. Głaskał ją po głowie, wtulał twarz w chmurę włosów. W pokoju słychać było tylko coś, co przypominało szloch.

\*

Jan odwrócił głowę od zamykających się drzwi. Z cienia wyszedł Mateusz. Byli sami.

— I?

— Nic. Okna szczelnie zamknięte, na drzwiach żadnych śladów — jak dalece mogłem sprawdzić przy tej ciemności. Zresztą, tak jak pan powiedział, stąd by nikt nie uciekł. Nie w tym śniegu. Mogę zapalić dodatkowe świece?

— Proszę.

Mateusz podszedł do świecznika stojącego na komodzie i zapalił jedną ze świec. Przyglądał się jej uważnie, podniósł cały kandelabr do góry, obejrzał go, po czym odstawił z powrotem i przeniósł płomień na pozostałe świece.

Po całym pokoju nagle rozbiegły się kolorowe plamki. Tańczyły figlarnie na ścianach, suficie, na meblach. Tańczyły na Zosi. Jan dopiero teraz zauważył, że na świeczniku wisiały kryształowe pryzmaty w kształcie łezek i sopli. Po zapaleniu świec światło załamało się w wisiorach i sypialnia zamigotała feerią barw.

Mateusz wyniósł to niestosowne źródło wesołości i powrócił z lampą naftową. Od razu zrobiło się widniej. Morawski zauważył plamę po rozlanym płynie oraz porzuconą na podłodze tacę z dzbankiem i naczyniami, o które się potknął, wchodząc do pokoju.

— Widział pan? Tutaj nawet świece są błękitne.

— Jakoś mnie to nie dziwi...

Jan rozejrzał się po pokoju. Zwykle pokoje domowników i mniej ważnych gości urządzano zbieraniną starych mebli, wycofanych z pokoi reprezentacyjnych z powodu zużycia lub zmiany dekoracji. Tutaj było inaczej. Sypialnię wypełniały orzechowe meble, których miękkie linie dawały wrażenie lekkości i kobiecości. Zresztą, mebli tych nie było wiele — szafa ubraniowa, łóżko, szafka nocna, toaletka, biureczko, fotel przy kominku, komoda, mała biblioteczka. Oszalałymi natomiast bogactwem ozdób i bibelotów. Wszędzie pełno było koronek, haftów, wstążeczek, kwiatów, obrazków, zdjęć. A do tego błękit, błękit przede wszystkim. Tapety, dywan, zasłony, obicia, dekoracje na porcelanie, haft y na wyszywanych obrazkach z przysłowiami, wszystko było błękitne.

Morawski zaczął przeglądać książki ułożone na blacie biurka, jedyne prostego, wręcz ascetycznego, miejsca w pokoju. Postanowił później rozgryźć znaczenie tej enklawy surowości w arcyromantycznym świecie. Teraz zbierał fakty.

— Znalazłeś coś w kominku?

— Jeszcze ciepły, ale raczej nie palono w nim papierów. A w biurku jest coś ciekawego?

— Tylko książki. Słynna pani Ćwierczakiewiczowa, Tomasz à Kempis... Ambitne lektury, a raczej ambitny narzeczony. O, jest pamiętnik. Nareszcie.

Spomiędzy opasłych tomów Jan wyciągnął kajet. Niestety, był to zaledwie *cahier des citations*.

— Nic to nam nie pomoże?

— Cytaty z lektur. Pomogą zrozumieć ofiarę, ale dziennik byłby stokroć cenniejszy. Co z szafą?

Mateusz otworzył jej drzwi na oścież i zademonstrował zawartość.

— Suknie — a na dnie pudła.

— Z kapeluszami?

— Nie, szkice, rysunki, obrazki, podpisane przez panienkę. Z datami, ale chyba brakuje co najmniej jednego pudełka, bo nic nie jest z tego miesiąca.

Jan oderwał się od zeszytu i zmarszczył brwi.

— A może po prostu nic nie narysowała od miesiąca?

— To byłoby dziwne. Najpierw maluje jak szalona, a potem nagle przestaje?

— Niby tak, ale w tym wieku pasje się szybko zmieniają. Pudła przejrzymy później.

Wewnątrz szuflady biurka Jan znalazł teczkę — błękitną — podpisaną nieco zbyt ozdobnym pismem: *Zofia Rusiecka*. Kolejne obiecujące znalezisko.

— Listy, Mateuszu. Od Karola, Tadeusza, jakaś przełożona z klasztoru. Dziwnie ułożone...

— Dziwnie?

— Tak, kobiety zwykle układają listy, dzieląc je według nadawców, a te są ułożone według dat jak w kancelarii. Drugi od góry jest od Michała, tego pierwszego narzeczonego. Ciekawe, dlaczego jest poza kolejnością. Mimo że sprzed kilku miesięcy, jest prawie na wierzchu.

\*

— Czy wiadomość jest istotna? — chciał wiedzieć Mateusz, gdy Jan przeczytał list.

— Zdecydowanie. Hrabina twierdziła wczoraj przy kolacji, że Zosia zerwała zaręczyny i doprowadziła Michała do śmierci. Z listu natomiast wynika, że to on rzucił dziewczynę.

— Dlaczego?

— Tego nie wiemy. W kopercie jest tylko ostatnia kartka — początku nie ma. Bardzo interesujące. Może ktoś go zabrał. Tylko dlaczego koperta z końcówką listu została i to odłożona w niewłaściwe miejsce?

— Może przeszukujący został przez kogoś zaskoczony i się wystraszył?

Nie znali odpowiedzi. Jan sprawdzał zawartości szafki nocnej, wmawiając sobie, że leżąca na łóżku Zosia nie miałyby nic przeciwko temu. W dolnej części znalazł drewniane pudełko zamknięte na klucz, które tymczasem odłożył na blat szafki. Wyciągnął także książki, ale innego typu niż znajdujące się na biurku dzieła ojców Kościoła. W nocnej szafce był Byron. Z suszonymi kwiatami wewnątrz.

— Jest pan pewien, że to morfina? — Mateusz przyglądał się pakietom na blacie szafki.

— Cóż, raczej się na tym znam, jak pamiętasz...

W głosie Jana pobrzmiwała lekka kpina. Kamerdyner odchrząknął zakłopotany tym, że przypadkiem wywołał nieprzyjemne wspomnienie. Jan zaś ciągnął poważnym już tonem:

— Ktoś najwyraźniej planował zbrodnię na ten konkretnie wieczór i umieścił truciznę tylko w pierwszej kopercie.



— Idealne warunki — zgodził się Mateusz — goście, zamieszanie, więcej zajęć dla służby...

— Tak. Kilku dodatkowych podejrzanych. Przepracowani, a przez to mniej uważni służący. Jedyne pogoda nie sprzyjała mordercy. — Jan oglądał zamek wyciągniętej szkatułki. — Gdyby nie ta zamieć, można by brać pod uwagę chociażby włamanie. — Odłożył szkatułkę i zajrzał głębiej do szafki, aby sprawdzić, czy niczego nie przeoczył. — Poproszę Tadeusza, aby po zabraniu stąd ciała zamknął pokój — musimy tu wrócić i sprawdzić wszystko jeszcze raz. Najlepiej wtedy, gdy będziemy więcej wiedzieć. Widziałeś gdzieś mały kluczyk, który by pasował do tego pudełka?

— Może w biurku?

— Nie natknąłem się na nic takiego.

Jan wstał i rozejrzał się po pokoju:

— A teraz czas na małe podsumowanie. Czy coś cię tu dziwi? Uderza? Zaskakuje?

— To może się wydać dziwaczne, ale tu jest tak, jakby mieszkały dwie osoby.

Jan uśmiechnął się z aprobatą.

— Trafiałeś w samo sedno. Typowa pensjonarka: romantyczna, dziewczęca, poetyczna — chyba prawdziwa. Ta druga jest nadmiernie poważna, dorosła. I sztuczna. Dziewczynka, która udaje idealną żonę, panią domu, kobietę czytana. Najpierw czyta poezje, maluje, gra, śpiewa. A potem coś — a raczej ktoś — sprawia, że ona zmusza się, aby spoważnieć. Chowa to, co uznano za czcze rozrywki, a w miejsce szkicownika pojawiają się poradniki gospodarstwa domowego i książki religijne. Z poezji nie umiała zrezygnować — czytała nadal, ale w ukryciu.

— Może sama doszła do wniosku, że czas dorosnąć?

— To możliwe, ale wczoraj przy kolacji odniosłem wrażenie, że była podatna na wpływy, posłuszna. I bardzo wrażliwa. Dlatego myślę, że ktoś ją nie tyle zmusił, co raczej przekonał, że powinna się zmienić.

— Przecież nie pan Tarnowski...

— Jej uroczy narzeczony. To pewne.

Mateusz milczał. Jan skierował się tymczasem ponownie w stronę biurka, przyszło mu bowiem do głowy, że mógł przeoczyć skrytkę, w której Zosia chowała poszukiwany przez niego pamiętnik. Przez moment badał mebel, szukając śladu podwójnego dna lub ścianki, wciskając płaskorzeźby i fragmenty intarsji, ale niczego nie znalazł.

— Czy nie uważa pan, że powinniśmy przeprowadzić rekonstrukcję zbrodni? — wyraził nadzieję Mateusz.

Jan z trudem powstrzymał parsknięcie śmiechem. Mateusz, pokojowo nastawiony do świata, uczuciowy i życzliwy, rozczytywał się w kryminałach i czerpał z nich słownictwo, którego później z lubością używał. Miał poza tym to szczęście, że pracował u człowieka, który przyciągał zbrodnie — gdziekolwiek Morawski się pojawiał, natychmiast ktoś popełniał przestępstwo. Mateusz nie zdecydował się na pracę w policji tylko dlatego, że nie mógł znieść widoku krwi... Tak czy owak, lokaj bardzo poważnie podchodził do każdego śledztwa.

Janowi udało się zapanować nad sobą i rozpoczął ulubioną przez Mateusza procedurę.

— Spróbujmy to sobie wyobrazić. Wieczorem przyszła po kolacji, rozebrała się — najprawdopodobniej sama, bo nie lubiła sprawiać kłopotu — potem pewnie rozpuściła i wyszczotkowała włosy. Położyła się. Myślisz, że najpierw sięgnęła po książkę czy po lek? — Mateusz nie umiał odpowiedzieć, co Jan natychmiast wykorzystał jako pretekst, aby przesunąć rozmowę na później. — Dajmy sobie teraz spokój z tym zgadywaniem. O wszystko trzeba spytać Tadeusza, jego żonę i brata dziewczyny.

— Odniosłem wrażenie, że Maria zajmuje tu mocną pozycję. I dużo wie. O domu, o rodzinie, gościach. No i o panience.

— Pytanie tylko, czy będzie się chciała tą wiedzą z nami podzielić.

— Jest związana z rodziną od lat. Na prośbę pana domu na pewno udzieli nam potrzebnych informacji.

— Świetnie. A to, czego nie powiedzą nam zapytani, musimy dowiedzieć się nieoficjalnie.

— To zrozumiałe.

— O co zapytamy najpierw? Czy Zosi pomagała służąca? Czy ktoś tu wieczorem był? Jakie miała zwyczaje? Czy zawsze budzono ją tak wcześnie? Czy prowadziła pamiętnik? Dlaczego brakuje rysunków z ostatnich tygodni? No i najważniejsze — leki, od kiedy, jak często, kto ustalił dawkę, kto je przygotowywał? Powinniśmy też ustalić...

Przerwał na odgłos otwieranych drzwi prowadzących z bocznego pokoju, dzielącego sypialnię Zosi od pokoju brata. Obaj z Mateuszem odwrócili głowy w tamtą stronę.

Wszedł Tadeusz.

Wszedł sam. Przygarbiony, jakby skurczony, z opuszczoną głową. Cicho zamknął drzwi i zajął swoje poprzednie miejsce w nogach łóżka. Zacisnął dłonie na oparciu i zapatrzył się w nieruchomą twarz dziewczyny.

— Co z chłopakiem?

Tarnowski się ocknął.

— Jest w szoku.

— Jak my wszyscy.

— Miał tylko ją. Najpierw stracił rodziców. Teraz siostrę. Zaprowadziliśmy go do jego pokoju. Franciszek przyniósł brandy i udało nam się trochę w niego wmusić.

— Może ktoś powinien z nim zostać?

— Maria na zmianę z Franciszkiem będą do niego zaglądać. Próbowałem go trochę pocieszyć, ale co można w takiej sytuacji powiedzieć?

— Tym bardziej że to dla ciebie również ogromna strata.

Mateusz chrząknął cicho. Tadeusz, wchodząc, chyba nie zauważył służącego, bo teraz na dźwięk jego głosu aż drgnął. Kamerdyner zaproponował:

— Franciszek ma dosyć na głowie, więc odniosę tacę na dół.

Jan skinął głową, milcząco pochwalając dyskrecję Mateusza.

— Na razie tu skończyliśmy. Gdy wrócisz z kuchni, poczekaj na mnie w sypialni, zaraz tam przyjdę.

Zostali sami. Jan zdawał sobie sprawę, że stąpa po grząskim gruncie, ale chciał, żeby Tadeusz wiedział, że on wie.

— Tak jak mówiłem, twoja strata jest nawet większa niż Karola.

— Co masz na myśli?

— On stracił siostrę, ty... córkę.

Tadeusz był tak zaskoczony, że nawet nie okazał zakłopotania.

— Wiedziałeś? Nie sądziłem, że to się rzuca w oczy.

— Nie rzuca się, nie rób sobie wyrzutów. Zachowywałeś się bardzo dyskretnie i z umiarem.

— Więc jak się domyśliłeś?

— Nie zapominaj, że widziałem u ciebie dagerotyp Karoliny.

— Nie umiałem ich uratować, ani jednej, ani drugiej.

Tadeusz nadal wpatrywał się w Jana, który czuł, że powinien powiedzieć coś pocieszającego. Nie potrafił, więc czym prędzej wrócił na pewniejszy teren faktów i działań.

— Powiadomiłeś żonę o śmierci Zosi?

— Nie, właśnie się do niej wybieram. Chciałem najpierw z tobą ustalić, co robimy dalej.

— Podczas twojej nieobecności przyjrzeliliśmy się z grubsza pokojowi i na razie to musi wystarczyć. Myślę, że można przenieść ciało...

— Nie używaj tego słowa!

Jan wzdrygnął się na tę gwałtowną i niespodziewaną reakcję. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek wcześniej słyszał krzyczącego Tadeusza. Pan domu, ciężko oddychając, powoli się

uspokajał.

— Zosię. Przenieść Zosię.

Jan również kilka razy głębiej nabrał powietrza.

— Myślę, że możemy przenieść Zosię do innego pokoju. A potem chciałbym, abyś zamknął jej sypialnię bez ruszania czegokolwiek. Musi zostać zamknięta pod twoim lub moim nadzorem, tak abyśmy byli pewni, że nic nie zostało zmienione.

— Dobrze, dopilnuję tego. — Tadeusz odpowiadał z oddali, z opóźnieniem.

— Myślałeś, dokąd można przenieść Zosię?

Tym razem mocno zaakcentował imię. Tadeusz znowu zapatrzył się na dziewczynę.

— Wiesz, że Zosia przypominała Karolinę nie tylko za życia? Teraz przypomina ją jeszcze bardziej. Karo też wyglądała po śmierci jak śpiąca królewna. I też kochała ten kolor. Błękitne śpiące królewny. Zbyt nieziemskie, żeby żyć. Zbyt anielskie. Poetyckie dusze.

Uśmiechnął się łagodnie i umilkł. Cisza. Jan wbrew swemu zamiarowi pozostawania zimnym i rzeczowym, również poddał się tej wizji. Przed oczami pojawiła mu się inna kobieta, ciemnooka słodka Konstancja. A potem przez umysł przebiegła nagła myśl, że ona też mogłaby stać się śpiącą królewną i ten obraz wstrząsnął nim bardziej, niż chciał to przyznać. Udało mu się odegnać niechcianą wizję.

— I to mówię ja — bardziej prozaiczny niż Matka Ziemia — zakpił z siebie nagle Tadeusz.

Jan patrzył na niego z troską. Jednak Tarnowski raptownie podniósł wzrok i powiedział rzeczowo:

— No nic, koniec z tym roztkliwianiem.

Zanim Jan zdążył coś odpowiedzieć rozległo się lekkie pukanie i wszedł Franciszek.

— Co z Karolem? — zatroszczył się Tadeusz.

— Siedzi na brzegu łóżka, opiera łokcie na kolanach.

— Płacze?

Franciszek zmarszczył brwi i odpowiedział z wahaniem:

— Trudno powiedzieć. Zakrywa dłońmi twarz.

— Poproś Marię, aby przygotowała boczny gabinet na dole — tam jest duży stół — tam przeniesiemy panienkę.

Majordomus skinął głową i wyszedł, szczęśliwy, że może się zająć czymś konkretnym. Pozostali dwaj mężczyźni poczekali, aż zamknie za sobą drzwi.

— Jeszcze jedna kwestia: zdajesz sobie sprawę z tego, że aby spełnić obietnicę znalezienia mordercy, muszę rozmawiać z gośćmi i służbą?

— Wydam polecenie, aby służący byli do twojej dyspozycji, ale czy przesłuchiwanie...

— Nazwijmy to rozmową.

— Nie wiem, czy moi goście zgodzą się na to, co nazywasz rozmową, a nawet jeśli się zgodzą, to jestem pewien, że ten pomysł nie wzbudzi ich zachwyty.

— Nie mamy wyjścia. Jeśli mam znaleźć mordercę, to muszę porozmawiać ze wszystkimi. — Jan wypowiedział na głos myśl, której Tadeusz chyba wciąż sobie nie uświadamiał: — Tak jak już powiedziałem, morderca jest wśród nas. I to może być, choć nie musi, jeden z twoich gości.

Tadeusz nie zareagował oburzeniem, nie zaprotestował, a Jan argumentował dalej:

— A skoro przestępca jest na miejscu, możliwe są następne morderstwa.

Tarnowski zbladł jeszcze bardziej i przymknął oczy. Wyszeptał bezgłośnie jakieś słowo.

— Masz rację, nie mamy wyjścia. Najważniejsze to znaleźć mordercę Zosi.

Jan odetchnął z ulgą.

— Proponuję, abyśmy zebrali ich i poinformowali wszystkich od razu.

— Zgadzam się. Hrabina źle się wczoraj czuła i zapewne rano pozostanie u siebie. Przy jej sypialni jest mały salon — tam się możemy zebrać. Okażemy jej tym specjalne względy i może będzie mniej obrażona.

— *De facto* to będzie nowość tylko dla hrabiny i Bonikowskich.

— Teraz idę do Julii, a potem zejść na dół, oficjalnie poinformuję służbę o tym, co się stało i nakażę pełną współpracę z tobą.

Jan skinął głową z aprobatą. Tadeusz przypomniał sobie o obowiązkach pana domu.

— Może najpierw zjesz śniadanie? Poproszę Marię, aby w jadalni...

— Nie jestem głodny. Potrzebuję tylko kawy, ale tym zajmie się Mateusz. Muszę się ubrać, sprawdzić coś o zatruciach morfiną, a później mogę zaczynać.

Ruszyli w stronę drzwi.

— Zakładam, że twoi goście nie wiedzą o tobie i Zosi?

— Myślę, że nie. W gabinecie był, co prawda, portret Karoliny, ale od razu po przyjeździe Zosi został zdjęty.

— Tadeuszu...

Tamten zatrzymał się z ręką na klamce i odwrócił w stronę Jana.

— Tak?

— Czy Julia wie, że Zosia była twoją córką?

— Tego niestety nie wiem.

## 5.

Kolor, który Julia zastosowała tej zimy do ożywienia buduaru, zatrzymał Tadeusza w pół kroku.

Kolor młodej trawy, wiosennych liści i groszku. Kolor radości, odrodzenia, nadziei. Najbardziej nieodpowiedni kolor, z jakim mógł się dzisiaj zetknąć. Szalona wesołość uderzała z każdego zakamarka, mimo że światło pochodziło wyłącznie z niesionej przez niego lampy. Zacisnął zęby i szybko przeszedł przez pokój w kierunku przeciwnych drzwi. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do sypialni żony. Jednym krokiem znalazł się w baśni z tysiąca i jednej nocy.

Mimo rozpaczy nie potrafił pohamować zachwytu. Przezroczyste tkaniny częściowo zasłaniały łóżko, w którym, pólżąc, spoczywała małeńka i krucha Julia. Ciężki orientalny zapach pochodził z palących się w wysokich świecznikach świec. Na rozkładanym stoliku przy łóżku stała kryształowa misa z owocami w cukrze z Kijowa. Pozostałe meble były proste i stanowiły tło dla imponującego łoża. A głównym punktem łoża była ona — sułtanka Julia.

— Ty tutaj, o tej godzinie?

Jej słowa wyrażały zdziwienie, twarz natomiast i głos — radość.

— Wiesz, że nie niepokoiłbym cię bez potrzeby, ale...

Nie udało mu się skończyć. Julia zdążyła w tym czasie uklęknąć w łóżku. Splotła dłonie na podolku i rzuciła urywanymi zdaniem:

— Dobrze, że przyszedłeś. Przywołałam cię. To było straszne.

— Kochanie...

— Miałam koszmarne sen. Okropny.

— Julio, muszę ci coś...

— Z tych najgorszych. Chciałam, żebyś przyszedł. I przyszedłeś. Jesteśmy połączeni i mogę cię przyzywać myślą.

Poddał się. Coś nią wstrząsnęło. Przypominała przestraszone dziecko, wybudzone w nocy i szukające ukojenia. Usiadł na łóżku koło klęczącej żony, pogłaskał ją po twarzy, odgarniając rozpuszczone włosy, i zapytał troskliwie:

— Co ci się śniło?

— Zęby.

— Zęby? A co w tym strasznego?

— Wypadały mi. A to oznacza śmierć. — Gdyby nie była tak zaabsorbowana i przestraszona, dostrzegłaby szok na twarzy męża, w której zazwyczaj czytała jak w otwartej książce. — Pełno krwi. Czerwonej. Żywej jak ogień. Czyli umrze ktoś z krewnych.

Nagle się uspokoiła. Jakby ktoś dmuchnął i wygładził zmarszczki na zatroskanym czole.

— Przecież my nie mamy rodziny, więc ten sen się nie spełni.

Tadeusz głośno nabrał powietrza.

— Julio, musimy porozmawiać. Poważnie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i z szelmowskim półuśmiechem zapewniła:

— Byłam grzeczna, słowo honoru.

— Julio... Muszę ci coś powiedzieć.

— Masz romans?

To mógł być żart, to mógł być niepokój. Cokolwiek się za tym pytaniem kryło, była niebezpiecznie bliska prawdy. Miał romans dziewiętnaście lat temu.

— Wyjdźmy stąd, Julio. Obiecaliśmy sobie, że w tym pokoju będzie panować tylko miłość. A to, co chcę... co muszę ci powiedzieć... Nie chcę, żeby cokolwiek zniszczyło... Po prostu chodźmy stąd.

Podał jej dłoń, a gdy stanęła na materacu, pomógł zejść po schodach i sięgnął po jej matinkę leżącą w nogach łóżka. Troskliwie zawinął żonę w ciemnoczerwony miękki aksamit i na moment przytulił się do niej. Usiadła na gondolce przy toaletce, a on uklęknął i wsunął jej na stopy ukochane baletki w kolorze płaszcza. Zamawiała ten typ miękkiego obuwia do każdego stroju dziennego i nocnego. Trzeba zresztą przyznać, że wyjątkowo do niej pasowały. Wziął ją za rękę, zaprowadził do buduaru. Usiadła na szeszlengu, a on cofnął się do sypialni i po chwili wrócił z dwoma lampami naftowymi. Zieloność uaktywniła się natychmiast pod wpływem światła, a myśl o wiosnie wzmacniał dodatkowo zapach konwalii.

Wstała, podeszła do Tadeusza i zatoczyła przed nim krąg ramionami.

— Chandra mnie nie dopadnie tej zimy. Zawsze, gdy na zewnątrz będzie buro i mokro, wystarczy tu wejść. Pięknie, prawda? Aż chce się żyć.

Gdyby wiedziała, jaki ból zadaje mu każdym słowem...

— Usiądź, proszę.

Przypomniał jej tą prośbą, że stało się coś złego. Usiadła i zażartowała:

— Zaczynam się bać.

— Nie przynoszę dobrych wiadomości.

Poklepała miejsce koło siebie, zachęcając go, aby też usiadł.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nie wiem, jak zacząć.

— Pomogę ci. Policzę głośno raz, dwa, trzy, a na trzy ty wypowiesz nowinę jednym zdaniem. Uwaga, liczę: raz, dwa, trzy.

— Zosia została zamordowana.

Zamarła. Tak właśnie musiała wyglądać biblijna żona Lota.

— Powiedz to jeszcze raz.

— Zosia nie żyje. Wezwałem Jana. Twierdzi, że została zamordowana. I że biorąc pod uwagę pogodę i sytuację na zewnątrz, morderca jest nadal wśród nas.

Milczała, próbując ogarnąć myślą wiadomość, którą przekazał mąż. I od razu wychwyciła to, co najważniejsze:

— Och, ty mój biedaku — wyciągnęła dłoń i delikatnie pogłaskała go po policzku. Osunął się na kolana i przytulił głowę do jej miękkiej piersi, szukając ukojenia. — Tak krótko się nią cieszyłeś — słysząc to, znieruchomiał. Przytuliła go mocniej i szeptała, owiewając jego twarz ciepłym oddechem: — Myślałeś, że nie wiem?

Odsunął się i spojrział na nią, po czym schował twarz na jej szyi.

— Czasami mi się wydawało, że wiesz. Ale byłaś dla niej taka dobra... A przecież gdybyś wiedziała, że to córka moja i innej kobiety...

— Głuptasie. Ona była twoim dzieckiem, twoim spełnionym marzeniem. Którego ja spełnić nie potrafię — ze smutkiem zagryzła wargi.

— Julio, wszystko ci wyjaśnię. Nie wiedziałem o Zosi...

— Dała ci szczęście. Więc ja też byłam szczęśliwa. I też ją pokochałam.

Oparł się o szeszleng i delikatnie ją pocałował.

— Nie zasługuję na ciebie.

— Powiedz mi, co się stało.

— Teresa znalazła Zosię martwą. Sprowadzili mnie, a ja kazałem obudzić Jana. Wykluczył



samobójstwo i wypadek. A to znaczy, że zostało morderstwo. Poprosiłem go, aby spróbował znaleźć zabójcę. Zgodził się. Całe szczęście — ja nie wiedziałbym nawet, jak zacząć.

Tadeusz wstał, podszedł w stronę jednej z lamp i odruchowo regulował jasność. Julia przez moment siedziała w milczeniu, po czym zapytała:

— A Karol? Wie?

— Tak.

— Jak to przyjął?

— Źle. Niczego innego zresztą się nie spodziewaliśmy. Najpierw nie uwierzył, a potem wpadł w rozpacz.

— Co zamierzacie teraz?

Wykazała zainteresowanie rzeczywistością i do tego nieprzyjemną, co było w jej przypadku zupełnie wyjątkowe.

— Przeniesiemy Zosię do bocznego gabinetu na dole. Jej pokój zostanie zamknięty. Jan się w tej chwili ubiera, kiedy będzie gotowy, poprosimy naszą trójkę gości do żółtego salonu przy sypialni hrabiny i poinformujemy ich, co się stało i że Jan będzie chciał z nimi rozmawiać.

— Mogę wam coś doradzić?

— Oczywiście.

— W rozmowie z naszymi gośćmi podkreślaj konieczność znalezienia mordercy, aby zapewnić im bezpieczeństwo. Mają takie poczucie własnej wartości, że jeżeli istnieje argument, który skłoni ich do współpracy, to chyba tylko ten.

Wyraźnie go zaskoczyła i przez chwilę rozważał jej słowa. Spojrzał na nią z wdzięcznością i przytaknął.

— Masz rację. Nie pomyślałem o tym.

Podszedł i usiadł na fotelu naprzeciwko Julii. Rzucił niby żartobliwie, ale z ciekawością:

— Jak byś mnie podeszła?

— Odwołałabym się do twojej prawości.

— Zawsze mnie dziwi, skąd wiesz takie rzeczy.

Zmarszczyła brwi.

— Właściwie to nie wiem, skąd wiem. To chyba nie jest wiedza. To przeczucie.

— Wiele bym oddał, żeby tu z tobą zostać. Ale muszę iść.

— Chciałabym... Czy mogłabym wybrać sukienkę dla niej? Dla Zosi? I kwiaty?

Zacisnął szczęki i kilkakrotnie zamrugał oczami. Odpowiedział zachrypniętym głosem:

— Tak. Oczywiście, że tak.

Przytulili się. Ona odsunęła się pierwsza.

— Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Najważniejsze, że wiesz o Zosi i że mnie nie potępiasz. Najważniejsze, że jesteś...

Pochylił się i pocałował ją. Smakowała kandyzowanymi truskawkami.

## 6.

Jan stał w gabinecie Tadeusza, zadowolony, że wybrali to pomieszczenie na miejsce rozmów z gośćmi. Ciemne, surowe meble, zielone pluszowe obicia, szafy wypełnione dokumentami i książkami, wiszące na ścianach mapy posiadłości Tarnowskich, wszystko to skłaniało do skoncentrowania się na rzeczywistości, na faktach, a nie na wyobrażeniach. Brakowało tylko trofeów myśliwskich charakterystycznych dla tego typu pomieszczeń, chociaż Tadeusz polował od lat i z sukcesami.

Ten męski pokój był bardziej gabinetem pana domu niż kancelarią. Tutaj Tarnowski pracował lub przyjmował gości. Tu także, przynajmniej sądząc po dymnym zapachu, delectował się swoim popołudniowym cygarem El Rey Del Mundo. Rozmowy z pracownikami i interesantami odbywały się w sąsiednim pomieszczeniu przylegającym do bocznej klatki schodowej, co pozwalało wprowadzać ich wejściem od strony podwórza. Zajmując gabinet, Morawski nie zakłócał więc pracy majątku, zwłaszcza że przy tej pogodzie trudno byłoby podejmować wielkie działania w posiadłości. Zresztą, sprawa, którą zajmował się Jan, miała znaczenie nadrzędne.

Tarnowski wyznał przy okazji, że gabinet jest jego miejscem odosobnienia. Cała służba znała poranny rytuał Tadeusza — przynoszono mu dzbanek kawy i wysoki kubek jak do czekolady, a potem nie należało mu przeszkadzać w przygotowaniach do kolejnego dnia.

Od tych rozważań oderwało Jana pukanie. Drzwi się otworzyły, wszedł Karol. Jan powitał go i wskazał fotel naprzeciwko biurka. Normalnie stało tam krzesło, ale Jan w trosce o wygodę, a tym samym pozytywne nastawienie swoich rozmówców, ustawił w tym miejscu jeden z foteli. Karol bez słowa usiadł na brzegu, oparł się o podłokietniki i zapatrzył w splecione kurczowo dłonie.

Jan stanął po drugiej stronie biurka i powiedział cicho:

— Przede wszystkim proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Kiwnięcie głową.

— Tadeusz prosił mnie o podjęcie próby znalezienia mordercy pana siostry. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby go nie zawieść.

— Ja też — Karol gwałtownie wstał, przewracając fotel. Spojrzał Janowi prosto w oczy. — Też zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć tego... tego...

Przez chwilę wpatrywał się w Jana z napięciem. Wypuścił głośno powietrze, pochylił się i podniósł fotel. Usiadł, oparł łokcie na kolanach, głowę na łokciach i ukrył twarz w dłoniach. Przyływ energii był chwilowy. Jan zauważył, że chłopakowi dziwnie unosiły się plecy. W końcu Karol odezwał się do Jana prawie spokojnie:

— Przepraszam.

— To ja przepraszam, że w takiej chwili zawracam panu głowę, ale nie mam wyjścia. Pan może udzielić mi bardzo wielu informacji, które rzucą światło na tę sprawę i pomogą mi znaleźć winnego.

— Nam, pomogą nam znaleźć winnego. Jestem do pana dyspozycji, jeśli tylko... jeśli to pomoże znaleźć... mordercę.

Przy ostatnim słowie Karol aż zacisnął szczęki. Jan skinął głową z aprobatą.

— Zacznijmy od powodu, dla którego pan i siostra znaleźliście się tutaj. Znam tylko podstawowe fakty a raczej wnioski, które udało mi się wyciągnąć z listów Tadeusza i podczas wczorajszej kolacji.

Wolałbym usłyszeć całą historię od pana.

— Ojciec był w młodości przyjacielem pana Tarnowskiego. Potem zakochali się w tej samej dziewczynie i ona wybrała ojca — to była nasza matka. Od tej chwili nie utrzymywali kontaktu i nigdy więcej się nie spotkali.

Jan pomyślał, że Tadeusz co najmniej raz spotkał się potem z matką Zosi... Rusiecki mówił dalej:

— Mieszkaliśmy w Królestwie — tam był rodzinny majątek ojca. Kilka miesięcy temu nasi rodzice zginęli w wypadku we Lwowie i znaleźliśmy się z siostrą w trudnej sytuacji. Już za życia rodziców bywało niewesoło, ojciec nie był wybitnym gospodarzem, a po ich śmierci sytuacja stała się tragiczna. Musieliśmy zlikwidować gospodarstwo. Ja, wstyd się przyznać, narzucałem się kolejnym znajomym. — Na chwilę przerwał i Jan pomyślał, że dumny chłopak pewnie z trudem znosił taki tryb życia. — Oczywiście, Zosia nie mogła tak żyć, musieliśmy się rozłączyć. Tymczasowo zamieszkała przy klasztorze we Lwowie, gdzie przeorysza była krewną naszej babki. To trochę ułatwiło jej rozstanie z domem, a właściwie jego likwidację — trafiła w znane sobie miejsce, bo tam skończyła szkołę. Potem przyszedł do mnie zaskakujący list, ale jak się zastanowiłem, to powinienem był się spodziewać takiej decyzji. Zosia informowała mnie, że w klasztorze znalazła spokój i ukojenie i że chciałaby tam pozostać. Chciała od razu złożyć śluby, ale na szczęście przełożona, mądra i doświadczona, uznała, że to decyzja podjęta pod wpływem smutku po śmierci rodziców. Uważała, że Zosia jest za młoda, zbyt impulsywna, a do tego stworzona do życia w rodzinie.

— A co na to siostra?

— Upierała się — po swojemu. Nie kłóciła się, nie przekonywała, nie obrażała. Po prostu tam była. Spokojna po raz pierwszy od wielu miesięcy. Tymczasem pan Tarnowski dowiedział się o śmierci rodziców, o naszych kłopotach. Przyjechał, zaprosił nas do siebie, obiecał pomoc.

— Czy siostra od razu zgodziła się na opuszczenie klasztoru?

— Nie chciała nawet o tym rozmawiać. A potem przełożona zaproponowała: opuść klasztor na rok, baw się, wróć do świata. Jeśli zechcesz, to wrócisz.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza i Jan mógł się założyć, że ich myśli biegną tym samym torem: czy Zosia żyłaby nadal, gdyby pozwolono jej zostać tam, gdzie była szczęśliwa. Jan wierzył, że dzień i sposób naszej śmierci jest nam przypisany już w chwili urodzenia. Co zrobimy z życiem pomiędzy urodzeniem a śmiercią, zależy od nas, ale końcówka jest z góry ustalona. Zgodnie z tą teorią, życie Zosi zakończyłoby się wczoraj niezależnie od tego, czy zostałaby w klasztorze, czy nie. Oczywiście, Jan nie zamierzał raczyć Karola tymi rozważaniami, zwłaszcza w takiej chwili.

— Z tego, co zrozumiałem, panna Zosia miała kiedyś narzeczonego.

— Tak. Była zaręczona, ale nieoficjalnie. Rozstali się jeszcze przed śmiercią naszych rodziców.

Jan czekał na wyjaśnienia, ale bezskutecznie.

— I on nie żyje?

— Tak. Nie znam szczegółów, bo słyszałem ich zbyt wiele i nie wiem, które są prawdziwe.

— I tak się nieszczęśliwie złożyło, że matka nieżyjącego narzeczonego, hrabina Kareńska, przyjechała tu i trafiła na swoją niedoszlą synową?

— Niech pan lepiej nie nazywa Zosi narzeczoną Michała przy hrabinie — pominął sens pytania Karol.

— Nigdy nie zaakceptowała tego związku.

— Dlaczego?

— Zdaniem jaśnie pani nikt nie byłby wystarczająco dobry dla jej syna. Chyba nawet królowa Wiktoria. — Lekko się uśmiechnął, ale na wspomnienie tamtego uczucia z jego głosu natychmiast zniknęła ironia: — Kochali się. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Zosia zresztą twierdziła, że nie ma innej, że tylko taka istnieje.

— Gdzie się spotkali?

— Na balu. W sąsiedztwie. Jakiś rok temu. Zaręczyli się prawie od razu, po kilkunastu dniach.

Oczywiście nieformalnie. Właściwie to potajemnie. Michałowi zależało na tym, aby utrzymać to narzeczeństwo w tajemnicy przed światem, chodziło głównie o zachowanie sekretu przed jego matką.

— Pana siostra nie protestowała? Panny zazwyczaj lubią ogłaszać światu swoje szczęście. Poza tym traciła okazję do przyjęcia, wymiany pierścionków, przygotowywania wyprawy, całej tej oprawy, która dla niektórych młodych dam wydaje się ważniejsza niż samo małżeństwo.

— To prawda, kobiety to uwielbiają. — Spoważniał. — Ale Zochna była inna. Kochała go szczerze, z głębi serca. Poza tym dla jej romantycznej natury takie potajemne zaręczyny miały swój szalony urok. — Rusiecki odetchnął kilka razy głębiej, zmarszczył brwi i opowiadał z napięciem: — Pewnego wieczoru przyjechał bardzo zdenerwowany Michał. Jakby gdzieś się spieszył. Rozmawiał z Zosią, sam na sam oczywiście. Potem wypadł z domu bez pożegnania. Więcej go nie widziałem.

— A siostra? Mówiła coś?

— Przyszła otępiała, jakby ją ktoś uderzył.

— Wyjaśniła, co się stało?

Karol pokręcił przecząco głową.

— Powiedziała tylko, że Michał musiał wyjechać. Gdy pytałem, kiedy wróci, wybuchała płaczem, więc przestałem pytać.

Karol popatrzył na Jana, który usiadł po drugiej stronie biurka, oparł się o blat i słuchał całym sobą. Tej właśnie umiejętności zawdzięczał to, że jego rozmówcy tak chętnie mu się zwierzali. Jan nie oceniał, nie potępiał, nie poganiał. A jeśli pytał, to po to, aby upewnić drugą stronę, że słucha uważnie.

— Pewnie się ugiął przed tą starą wiedźmą, swoją matką. Los ją ukarał — wkrótce przyszła wiadomość o śmierci Michała. I to w podejrzanych okolicznościach.

— Podejrzanych?

— Słyszałem kilka wersji — samobójstwo, wypadek. Nie wiem. Zosia nie przeboleła jego śmierci. Los, karząc matkę, skrzywdził też narzeczoną.

— A jednak zgodziła się wyjść za pana Waclawa.

Jan miał rację, wahając się przed wygłoszeniem tej kwestii, bo Karol zareagował ostro.

— A co miała zrobić?! Potępicie ją wszyscy.

Jan nie próbował przerwać i zaprzeczyć. Obserwował.

— Ocenicie ją według siebie! Co miała zrobić? Nie wiecie, co to bieda. Ona chciała zapewnić nam, nam obojgu, przyszłość, stabilizację. Chciała spokoju. — Spojrzał Janowi prosto w oczy i dodał, akcentując każde słowo: — Kochała Michała bardzo. Nie wierzyła, że jeszcze pokocha kogokolwiek. A skoro tak, to co za różnica — Waclaw czy ktoś inny. Imponował jej, z nim byłaby bezpieczna.

— Przecież Tadeusz przygotowywał adop...

— To było pisane palcem po wodzie. Obietnice i nic poza tym.

Wybuch zmęczył go albo zawstydził. Zwierzył się:

— Marzyła, że jak wyjdzie za Waclawa, to postara się, abym wrócił na studia. — Myśl o siostrze wywołała na jego twarzy marzycielski uśmiech. — Cała Zosia — nic dla siebie. Wspaniała córka, wspaniała siostra. Od dzieciństwa byliśmy sobie bardzo bliscy. Czasami między rodzeństwem jest zawiść, rywalizacja o względy rodziców. U nas tego nie było. Kochałem ją. Była słodka i łagodna. Nie taka, jak inne dziewczynki. Żadnego skarżenia, wymuszania płaczem, obrażania się. Zgadzałyśmy się ze sobą, zawsze stawialiśmy po swojej stronie. Jak ktoś mógł zrobić jej krzywdę?! Nie miała wrogów, wszyscy ją kochali! Ja tego nie mogę pojąć, wciąż mi się wydaje, że to sen, że się zaraz obudzę.

— Wszyscy na wiadomość o śmierci pana siostry reagowali niedowierzaniem. A im więcej się o niej dowiaduję, tym trudniej jest mi uwierzyć, że panna Zosia mogła się komuś narazić w takim stopniu, by ta osoba zdecydowała się na takie... skrajne rozwiązanie. — Spojrzał z namysłem na Karola. — Chyba, że naraziła się zupełnie nieświadomie.

— Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby pragnąć jej śmierci.

— Rozważaliśmy przez chwilę samobójstwo.

Chłopak zaprzeczył z całym przekonaniem:

— Nie wierzę, niemożliwe, nie ona. Nie.

— Tadeusz też tak uważa.

Karol wstał, podszedł do jednego ze sztychów powieszonych na ścianie i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w niego. Jan nie chciał stracić nawiązanego kontaktu i również wstał — już dawno zaobserwował, że nawet częściowe naśladowanie ruchów, postawy, gestów rozmówcy skłania tego ostatniego do większej otwartości.

— Ostatnio się wydawało, że wszystko zaczyna się układać. Tadeusz obiecał nam opiekę, znowu byliśmy razem, Zosia miała szansę na dobre małżeństwo, ja też miałem widoki na szczęście — pan wie, że panna Paulina i ja... A potem przyjechała hrabina. I tak się zaczęło.

— Trudno to nazwać... fortunnym spotkaniem. Aż się nie chce wierzyć w taki zbieg okoliczności.

Karol spojrział z nagłym zainteresowaniem.

— Nie patrzyłem tak na to do tej pory, ale to rzeczywiście zastanawiające. — Wpatrywał się w Jana ze zmarszczonym czołem. — Jeśli to nie przypadek, to przecież ktoś musiał ją wezwać lub chociaż donieść.

— To wrażenie wywołane napiętą atmosferą przy wczorajszej kolacji.

Chłopak przytaknął.

— Brakowało tylko piorunów.

— Znam Tadeusza jako spokojnego, stabilnego i widziałem go w sytuacjach, gdy inni tracili nerwy, a on zawsze panował nad zdarzeniami. Teraz, gdy wiele mi pan wyjaśnił, nie dziwię się, że nawet on nie był w stanie poprawić nastroju przy kolacji. Nie pomogła mu też pani Julia, osoba bezkonfliktowa...

— Tak, raczej tak — powiedział Karol. — Choć pani tego domu specjalnie za mną nie przepada, nie wiem czemu. A wracając do wczorajszej kolacji, to tak wyglądają tu posiłki od przyjazdu jaśnie pani hrabiny. Na początku ignorowała Zosię, potem zaczęła jej docinać. Prawdziwy koszmar się zaczął, gdy jej wysokość poinformowała Wacława, że nie jest on pierwszą miłością Zosi. Od tej pory oboje zaczęli prześcigać się w robieniu Zosi przykrości.

Karol podszedł do okna i oparł się o nie dłonią. Nagle uderzył z całej siły pięścią we framugę i rzucił przez zęby:

— To moja wina, że ona nie żyje. Była taka bezbronna. — Odwrócił się do Jana, który odniósł wrażenie, że chłopakowi zaszklily się oczy. — Powinienem był ją stąd zabrać. Powinienem był coś zrobić, a tylko jej radziłem, aby schodziła hrabinie z drogi.

Jan zapytał wprost:

— Czy hrabina groziła panu siostrze? To bardzo ważne. Groziła?

— O ile wiem — nie, przynajmniej nie dosłownie. Ale ciągle wypominała Zosi, że zabiła Michała, a sama wydaje się za męża. Na każdym kroku powtarzała wyrzut — ja straciłam syna, a ty się świetnie bawisz.

Jan zastanawiał się, co za zły wiatr przygnał tu hrabinę.

— Czy Tadeusz wspominał panu, jaka była przyczyna śmierci siostry?

— Mówił coś o morfinie.

— Wszystko wskazuje na to, że podmieniono jeden z pakietów z proszkiem nasennym — w jego miejsce wsypano narkotyk.

— To wszystko jest niepojęte. Niepojęte.

— Czy wie pan cokolwiek o leku, który siostra przyjmowała na noc?

— Po rozstaniu z Michałem przez wiele nocy nie sypiała. Nasz lekarz zapisał jej proszki. Najpierw brała tylko czasami. Od przyjazdu hrabiny co wieczór.

— Czy zamawialiście te leki w Poznaniu?

— Nie, przygotowywał je aptekarz tu, w miasteczku, według recepty przepisanej przez naszego doktora.

Rusiecki trwał w bezruchu i wpatrywał się w powierzchnię biurka.

— Aptekarz je przysłał?

Karol potwierdził, ale coraz bardziej rwał zdania. Jan uznał, że dalsza rozmowa traci sens.

— Nie będę już pana więcej męczył.

Rusiecki wstał. Potargany, z opuszczonymi kącikami ust wyglądał żałośnie. Z rezygnacją powiedział:

— Nie pomogłem.

— Wprost przeciwnie — bardzo pan pomógł. Wiem teraz o wiele więcej, zwłaszcza o przeszłości. A być może w niej kryje się klucz do całej zagadki.

— Jeśli cokolwiek mógłbym...

— Na pewno się zgłoszę. Tymczasem proszę spróbować zasnąć.

— Nie mógłbym. Idę do stajni. Konie, w przeciwieństwie do ludzi, nie mordują.

\*

Jan skracał sobie czas oczekiwania na hrabinę wyglądaniami przez okno. Niewiele udało mu się dostrzec — rozróżnił tylko linię gazonu przed wejściem, zarys podjazdu i oczywiście drzewa, w tej chwili całkowicie przysypane śniegiem. Poza tym wszędzie wokół widział tylko biel, jednolitą biel. Wiatr przestał wiać i na zewnątrz panował bezruch przerywany spadaniem czap śniegu z przeciążonych drzew i krzewów. Janowi przyszło do głowy, że ta monotonia ma chyba równoważyć nadmiar wydarzeń w pałacu.

Usłyszał pukanie i weszła Maria.

— Wysłał pan Franciszka do hrabiny z pytaniem, czy zechciałaby teraz porozmawiać z panem.

Jan skinął głową.

— Hrabina wolałaby zejść trochę później, za pół godziny.

— Oczywiście. Skoro już się pani tu pofatygowała, to może skorzystamy z okazji i porozmawiamy?

Jan wskazał jej fotel naprzeciw biurka, ale Maria usiadła na stojącym obok krześle. Przyjrzał jej się z ciekawością. Szczupła, wyprostowana, ubrana skromnie w popielatą suknię, przy pasku miała przypięty pęk kluczy, symbol władzy w domu. Ciemne, lekko siwiejące włosy Marii splecione były w warkocz i zwinięte na karku w ciasny kok, morderczo przebity szpilkami. Przepęniała ją godność i duma. I świadomość tych dwóch cech, która je potęgowała. Jana uderzyło ponadto spojrzenie Marii: intensywne i skierowane prosto w oczy rozmówcy — ta kobieta postępowała, przynajmniej w swoim mniemaniu, uczciwie i niczego się nie wstydziła.

— Jeśli zechciałaby pani opowiedzieć mi w skrócie wydarzenia tego ranka... Wiem, że była pani jedną z pierwszych osób, które trafiły do pokoju Zosi.

— Drugą. Pokojówka poszła obudzić Zosię i znalazła ją nieżywą. Z krzykiem wybiegła z pokoju. Uważałam jej zachowanie za histerię i poszłam sama sprawdzić. — Maria zagryzła wargi. — Panienska leżała w łóżku, bez ruchu.

Umilkła. Kilkakrotnie zamrugła, jakby chciała odpędzić ten obraz. Po raz pierwszy okazała cień uczucia, ale szybko się opanowała.

— Wysłałam z pokoju Zosi. Wysłałam służącego na dół po Franciszka. Przyszedł i zaprowadziłam go do pokoju panienski. Potem poszedł obudzić pana Tarnowskiego. Odprowadziłam Teresę do kuchni — była w szoku, dałam jej nalewkę ziołową. Resztę pan zna. Potem przyszedł Franciszek i prosił, żebym zajrzała do panicza Karola. Poszłam tam, ale nic nie chciał.

— Czy coś panią niepokoiło wczoraj?

— Wszystko przebiegało jak zawsze.



— Mimo opóźnień spowodowanych pogodą i gośćmi?

— Aby opanować tak niewielkie komplikacje wystarczy dobra organizacja.

— Zauważyłem już wczoraj, że cały zarząd domem jest na pani głowie. Tadeusz może spokojnie zajmować się majątkiem, wiedząc, że ma panią jako prawą rękę.

Nie pozbyła się sztywności, ale zaczynała topnieć.

— Pracuję dla rodziny od wielu lat i wierzę, że nigdy nie dałam powodu do niezadowolenia.

— Jestem pewien, że nie. Widziałem panią w działaniu i od lat słyszałem Tadeusza wypowiadającego się o pani wyłącznie w superlatywach. — Jan powiedział to tonem pełnym szacunku i głębokiego przekonania. — I stąd też moje pytanie, czy działo się coś, co panią martwiło, coś niezwykłego. Jako osoba z jednej strony inteligentna, a z drugiej zaznajomiona z rodziną i jej zwyczajami, jest pani dla mnie bezcenna.

— Ja nie plotkuję.

Musiała to zastrzec, ale się nie obraziła.

— Nie chodzi o plotki, lecz o pani opinię. Odnoszę wrażenie, że jest pani uważnym obserwatorem. Zrównoważonym. — Jan postanowił odwołać się do jej uczucia lojalności wobec Tadeusza. — Tadeusz jest zbyt zrozpaczony, żeby próbować ustalić, kto zabił Zosię. Poprosił mnie o pomoc. A ja proszę o pomoc panią. To wszystko.

Wygrał. Aby podkreślić, że obydwójce działają na rzecz Tarnowskiego, podszedł i usiadł po tej samej stronie biurka co ona, i to nie na fotelu, ale na przystawionym przez siebie krześle. Siedziała koło niego ze splecionymi dłońmi, schludna i pachnąca mydłem.

— Chciał pan wiedzieć, czy działo się coś niepokojącego, coś złego. Cała sytuacja była zła. Hrabina

— nie powinnam mówić tego o gościu, zwłaszcza tak dostojnym, ale myślę, że źle zrobiła, przyjeżdżając tu. Miała żal do panienki i podkreślała to na każdym kroku. Tym, co mówiła i jak się zachowywała.

— Czy hrabina przed przyjazdem wiedziała o obecności młodych Rusieckich?

Maria zawahała się i odpowiedziała, ważąc każde słowo:

— Nigdy dotychczas tu nie przyjeżdżała. Kilka razy spotkała się z panią Julią, ale poza tym nie okazywała żadnego zainteresowania dla, bądź co bądź, córki swojej najbliższej przyjaciółki z dzieciństwa. Dlatego byłam zdziwiona jej planami. Tym bardziej że, z tego co słyszałam, hrabina spędza większość roku za granicą, a już zimą obowiązkowo na Riwierze.

Słowa brzmiały niewinnie, ale pełen przekąsu ton zdradzał, co Maria myśli o „patriotkach” wydających pieniądze u obcych, zamiast pozostawiać je w kraju.

— A państwo Tarnowscy? Też byli zdziwieni?

— Reakcji pana na list hrabiny nie widziałam, natomiast pani Julia... nie zawsze umiem... trudno mi...

— Pomogę pani. Pani Julia dziwi się rzeczom, które są dla większości oczywiste i na odwrót.

— Można tak to ująć. Oczywiście, poczyniliśmy wszelkie przygotowania na przyjazd pani hrabiny.

— To zrozumiałe. Gościnność przede wszystkim.

— Byłam przy powitaniu w zeszłym tygodniu i moim zdaniem pani Kareńska nie zdziwiła się na widok panny Zosi. Przez chwilę nawet myślałam, że hrabina nie poda panience ręki. Na szczęście panu Tarnowskiemu udało się załagodzić całą sytuację. Ale w domu zrobiło się od tej pory naprawdę nieprzyjemnie.

Maria się zawahała i przez moment świdrowała Jana wzrokiem.

— Może pani spokojnie mówić. I Tadeusz, i pan Karol opowiedzieli mi o pierwszym narzeczonym panny Rusieckiej, ale chętnie usłyszę o tym również od pani. Jako niewiasta zwróciła pani zapewne uwagę na inne kwestie niż oni.

Pochlebił jej, nawet tego nie planując — dostrzegł w niej kobietę, kiedy ona sama zaczynała już o swojej kobiecości zapominać.

— Syn pani hrabiny był zaręczony z panienką, ale się z jakiegoś powodu rozstali. On nie żyje — chyba się zabił. Pani hrabina obwiniała o to panienkę.

— Oskarżała Zosię o śmierć młodego Michała?

— Tak, ale nie tylko o to. Oskarżała ją, że zabiła jej syna, a sama korzysta z życia.

— W trakcie rozmowy z Karolem odniosłem wrażenie, że hrabina groziła panience.

— Nie słyszałam. Ale wczoraj, gdy rozpakowywałyśmy z panną Zosią pościel z jej wyprawy — była wysłana do sióstr do haftowania — przyszła hrabina. Zaczęła przekładać te rzeczy posagowe, takie cieniuteńkie, z koronkami klockowymi. Patrzyła na nie jak na jakieś szmaty. A potem spojrzała na panienkę z taką nienawiścią, że aż mnie dreszcz przeszedł, i rzuciła jej w twarz: „Bądź przeklęta”. I wyszła. Panienka cała dygotała. Chciałam wezwać pana. Nie pozwoliła. Tłumaczyła, że nie wolno go martwić, że to tylko kilka dni. A ja w nocy jeszcze o tym myślałam i we śnie mnie te niedobre oczy prześladowały. I te słowa, ta klątwa. Postanowiłam, że w tajemnicy przed Zosią powiem jednak panu Tarnowskiemu. Żeby mógł ją chronić. — Ostatnie słowa wyszeptała. Miała łzy w oczach. — Nie zdążyłam.

Odwróciła głowę zakłopotana tym, że obcy mężczyzna widzi ją w takim stanie. Aby nie pogłębiać jej konfuzji, Jan wstał i odwrócił się, dając jej czas na otarcie łez. Nie przerywał rozmowy, gdyż wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze uda mu się doprowadzić Marię do takiej otwartości.

— A jak na to znęcanie się reagował pan Waław?

Maria się zawahała i widocznie nie chcąc skarżyć, dała Janowi szansę, by sam sobie odpowiedział.

— A czy wczoraj podczas kolacji słyszał pan, aby stawał w obronie narzeczonej?

— Nigdy. I to mnie dziwiło. Tym bardziej że panna Rusiecka wprost obezwładniała swoją bezbronnością. Nawet ja chciałem stanąć w jej obronie. Powstrzymał mnie błagalny wzrok Tadeusza. Takie sceny pewnie się powtarzały, bo Tadeusz z wprawą zmienił temat.

Maria odpowiedziała z zapalczywością, której Jan się po niej nie spodziewał:

— Ostatnio miał wiele okazji ćwiczyć łagodzenie scysji. Wstyd, żeby ludzie z taką pozycją zachowywali się jak hrabina i pan Waław, oni, którzy powinni świecić przykładem. Przez pierwsze dwa dni pobytu hrabiny narzeczonej nie odwiedzał panienki. Był w Berlinie w tych swoich Bardzo-Ważnych-Sprawach, wokół których robi tyle zamieszania. Wtedy pan Tarnowski jeszcze panował nad sytuacją. A potem pan Waław został przedstawiony pani hrabinie i porozmawiali. Od tej chwili w pałacu rozpętało się piekło: oboje atakowali panienkę, napadali na nią. Przy każdej okazji Bonikowski ją kłął — że go oszukała, że zataiła pierwsze narzeczeństwo, że jest skryta i podstępna. Wyobraża pan sobie? Ona nie umiałaby dziecka oszukać. Sama myśl o kłamstwie sprawiała, że się rumieniła. Moja matka, Panie świeć nad jej duszą, mówiła o takich: kryształowa natura.

— Bardzo ją pani kochała, prawda?

Zapytał pod wpływem impulsu. Maria się zawahała, jakby te słowa z trudem przechodziły jej przez usta. O ile kiedykolwiek przedtem w ogóle je wypowiedziała.

— Tak, kochałam ją. Nie wyobrażam sobie, kto mógłby chcieć... bo przecież, mimo wszystko, nie hrabina, taka wielka pani, a poza tym, jej syn nie był pierwszym ani ostatnim odrzuconym.

— Pracuje tu pani od wielu lat.

Skinęła głową, trochę zaskoczona nagłą zmianą tematu.

— Czy znała pani siostrę Tadeusza, Karolinę?

Najpierw aż zeszywniała, a potem spojrzała na niego z uwagą. W końcu spytała z wahaniem:

— Wie pan?

— Widziałem dagerotyp Karoliny u Tadeusza. Rozpoznałem Zosię, gdy tylko ją zobaczyłem. Może pani mówić swobodnie — Tadeusz, gdy go zapytałem, potwierdził.

— Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wiedziałam, że to jego córka. Tym bardziej ją kochałam.

Drżały jej usta, a dłonie ścisnęła tak, że zbieleły jej kostki. W tym momencie wszedł Tadeusz. Maria

odwróciła głowę w przeciwną stronę, wstała i podeszła do okna. Jan, chcąc dać jej czas na opanowanie się, zasłonił ją sobą i poinformował Tadeusza, że skończył już rozmowę z Karolem i że chłopak poszedł do stajni. Tadeusz skinął głową:

— To jego ulubione miejsce, tam się może trochę uspokoi. A co z hrabiną? Nie chciała przyjść?

— Odpoczywała i poinformowała panią Marię, że będzie gotowa za pół godziny, czyli lada moment. Tymczasem skorzystałem z okazji i poprosiłem panią o chwilę rozmowy. Mam nadzieję, Tadeuszu, że nie masz mi za złe tej małej zmiany kolejności?

— Oczywiście, że nie. Masz całkowicie wolną rękę i moje pełne zaufanie.

Maria odzyskała panowanie nad sobą i usiadła na krześle.

— Proszę opowiedzieć o Zosi.

Przez moment się nie odzywała, zbierała myśli. Wyraźnie chciała pomóc, zwłaszcza po deklaracji Tadeusza, wprost wyrażającej akceptację działań Jana.

— Była bardzo romantyczna — tak się chyba mówi. Artystyczna. Ale inaczej niż pani Julia. Malowała, śpiewała, grała. Cały dom wypełniały jej prace — tak je nazywała. I nic nie kończyła. Żadnego szkicu, obrazu. Do wszystkiego zamierzała wrócić, poprawić. Tylko książki z wierszami kończyła.

— W jej pokoju znaleźliśmy przybory do rysowania zamknięte w kartonie, a na biurku książki poświęcone gospodarstwu kobiecemu.

— To się zmieniło dopiero ostatnio, po zaręczynach z panem Wacławem, po którejś z pogadank. Kochała te swoje pasje. Ale narzeczony jej powiedział, żeby się skupiła na czymś jednym, porządnie, i nie na bzdurach, tylko na sprawach poważnych. Dodał jeszcze, że i tak nie ma talentu i że nigdy nie będzie dobrze malować.

Siedziała z zaciętą miną, wspominając te okrutne słowa.

— Jak jej to powiedział, to wyglądała, jakby zgasił światło, które miała wewnątrz. Wychowywał ją sobie na żonę z taką bezwzględnością.

Tarnowski, który dotychczas stał przy biurku i wpatrywał się w mówiącą Marię, teraz odwrócił się w stronę okna i wykrztusił:

— Ja... nie wiem, co powiedzieć. Nie zdawałem sobie sprawy, że on wywiera na nią taki nacisk. Wiedziałem, oczywiście, o zmianie jej zainteresowań, ale myślałem, że to był jej pomysł. To ona się upierała, aby za niego wyjść. Julia mnie prosiła, żebym się na to małżeństwo nie zgadzał, ale Zosia wydawała się taka zdecydowana. Jak nigdy.

Maria chyba zamierzała wyjaśnić, że Zosia parła do tego małżeństwa, aby nie być dla uwielbianego Tadeusza ciężarem. Na szczęście w porę się pohamowała.

— Szkoda, że postanowiła wyjść za pana Wacława. I ta jego bezwstydną siostra...

W tym momencie zegar wybił godzinę. Na ten dźwięk oczy Marii rozszerzyły się, raptownie się zerwała i rzuciła:

— Muszę iść dopilnować przygotowań w kuchni.

— Jeszcze tylko ostatnia kwestia: czy w domu znajduje się morfina?

— W apteczce, którą ja zawiadamuję — nie. Pani Julia ma swój zapas leków w sypialni, ale nie wiem, czy posiada morfinę.

Skinął głową:

— Prawdopodobnie pojawią się jeszcze inne pytania, ale w tej chwili nie chciałbym przeszkadzać pani w jej obowiązkach. W końcu ma pani cały dom na głowie.

Wstała i skierowała się do wyjścia. Jan dotarł tam przed nią i pełnym szacunku gestem otworzył przed nią drzwi. Lekko skinęła głową, ale nie zdołała ukryć błysku zadowolenia w oczach.

— Zaczarowałeś ją?

— Słucham?

— Nigdy z nikim nie rozmawia inaczej niż poleceniami. Odpowiada monosylabami, tylko mnie się

czasem udaje wydobyć z niej coś więcej. A z tobą rozmawiała jak człowiek. Nawet się do ciebie uśmiechnęła.

Jan, zadowolony, że Tadeusz choć na chwilę oderwał się od morderstwa, odpowiedział tym samym lekko żartobliwym tonem:

— Chyba nie myślisz, że zdradzę ci swoje sekrety? Zresztą, zapewniam cię, że to stan chwilowy. Zaraz się tego zawstydzisz i nic już się od niej nie dowiem.

Rozległo się pukanie i Tadeusz bezbłędnie odgadł, kto znajduje się po drugiej stronie:

— Tak, Mario?

— Pytaliście panowie, czy zauważyłam coś dziwnego. — Jan skinął głową, aby ją zachęcić. — Teraz przypomniałam sobie, ale nie jestem pewna, czy to ma znaczenie.

— Tak?

— Wczoraj hrabina zasłała przy kolacji i dziś rano chciałam sprawdzić, jak się czuje. Poszłam do niej, a na oparciu krzesła wisiała suknia, którą hrabina nosiła wczoraj wieczorem. To bardzo elegancka suknia i została wyciągnięta specjalnie na wczorajszą kolację. Na tej sukni znalazłam małe plamki z wosku. Błękitnego. Tego, którego używamy w pokoju pani Zosi i tylko tam.

## 7.

Maria już dawno wyszła, a oni nadal stali, wpatrując się w drzwi.

Jan pierwszy odzyskał równowagę:

— I co ty na to?

Tadeusz kilkakrotnie potrząsnął głową:

— Szczerze mówiąc, odjęło mi mowę. Czy to jest możliwe? Hrabina?

Jan powoli podszedł do biurka i kilkakrotnie zagrał palcami po blacie. Uwielbiał grę na fortepianie i ten gest go uspokajał. Po chwili odwrócił się do przyjaciela i ostrożnie odpowiedział:

— Godzinę temu powiedziałbym, że każde z rozwiązań jest w równym stopniu mało prawdopodobne. Teraz niektóre są mniej niemożliwe od innych.

Sądząc z miny Tadeusza, dla niego wszystkie wersje były niemożliwe i wykraczające poza jego pojmowanie.

Ktoś znów zapukał do drzwi i, po krótkim przyzwoleniu Tadeusza, wszedł Franciszek. Przyniósł ze sobą tekturowe płaskie pudło.

— Maria prosiła, abym to przyniósł. Nic więcej nie dodała, twierdziła, że panowie wszystko wiedzą.

Tadeusz, który nic nie wiedział, przytaknął, a Jan potwierdził:

— Tak, czekamy na to. Bądź tak uprzejmy i połóż na stole.

Po wyjściu Franciszka Jan położył dłonie na pokrywce, uśmiechnął się i spytał:

— Naprawdę nie wiesz, co to jest?

— A ty wiesz?

— Suknia wieczorowa hrabiny z plamami z błękitnego wosku.

Jan uniósł wieko jak iluzjonista. Wewnątrz znajdowały się zwoje czarnego aksamitu, od którego wyraźnie odcinały się jasne plamki. Rozłożyli miękką materię na stole i owionął ich zapach tuberozy. Plamki znaleźli tylko na przodzie suto marszczonej spódnicy. Jan ułożył suknię z powrotem w kartonie i rozejrzał się po gabinecie — to miał być jego as w rękawie. Pozostawało tylko znaleźć rękaw. Tadeusz po chwili namysłu umieścił karton w rogu pokoju za kotarą i wrócił do rozważań przerwanych wejściem Franciszka.

— Nadal nie chce mi się wierzyć, że hrabina... — nie wiedział, jak dokończyć.

— Nie przesądzajmy sprawy — to może być ona, ale wcale nie musi.

— Po tym, co powiedziała Maria?

Jan w skrócie zreferował Tadeuszowi, czego dowiedział się od Karola. Okazało się, że Tadeusz znał relację Kareńskiej, jakoby Zosia bawiła się jej synem, odrzuciła go, a chłopak z rozpaczyc zaczął ignorować wszelkie niebezpieczeństwa i w końcu zginął tragicznie.

— Julia mi to powtórzyła — opowiadał dalej Tadeusz — a ja oczywiście nie uwierzyłem. Zosia nie byłaby do tego zdolna.

— Pytałeś ją o to?

— Absolutnie nie. Gdybym ją spytał, to by znaczyło, że w ogóle dopuszczam możliwość, że to prawda. Obraziłbym ją tym.

— Zobaczymy, co nam powie hrabina.

— Naprawdę uważasz, że moja obecność jest wskazana?

— Tak, wydaje mi się, że będzie się lepiej czuła, jeśli w trakcie rozmowy tu będziesz.

Hrabina wkroczyła jak udzielna księżna. Miała na sobie codzienną suknię i wdowi welon, a jedyną ozdobę stroju stanowił medalion. Jan zaczął ją traktować jak panującą władczynię i chciał wierzyć, że robi to z własnej woli.

— Jeszcze raz dziękuję, że zgodziła się pani przyjść do nas, aczkolwiek ponawiam wcześniejszą propozycję, aby ze względu na pani złe samopoczucie odbyć to spotkanie w dogodniejszym dla pani miejscu.

— Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym być traktowana inaczej niż pozostali.

Słowa stały w tak jawnej opozycji do tonu, jakim je wypowiedziała, że Jan musiał pochylić głowę, aby ukryć uśmiech.

— Dziękuję za zrozumienie. Zechce pani usiąść.

Zechciała i łaskawie przyzwoliła:

— Może pan zaczynać.

— Dziękuję. Jeśli zechciałaby pani podać mi swoje miejsce zamieszkania i ostatnie miejsce pobytu...

— Pochodzę z Królestwa. Wracam z Rzymu, gdzie spędziłam ostatnie miesiące. Przed przyjazdem tutaj odwiedziłam moją przyjaciółkę w powiecie gostyńskim.

— A jakie są pani dalsze plany, jeśli wolno spytać?

— Jadę do swojego majątku i po załatwieniu niezbędnych spraw wyjeżdżam z powrotem do Włoch. Po śmierci syna nie przebywam często w kraju — wspomnienia są nadal zbyt żywe i zbyt bolesne.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu jego śmierci.

Hrabina zacisnęła usta i skinęła głową.

— Czy może pani opisać, co robiła wczoraj, chodzi mi o popołudnie i wieczór.

— Popołudniu odpoczywałam, czytałam, napisałam list do mojego plenipotenty. Potem przebrałam się do kolacji. Opóźnionej, ale o tym pan wie.

Spojrzała na niego znacząco i zrobiła pauzę, jakby spodziewała się przeprosin. Jan próbował wzbudzić w sobie wyrzuty sumienia, że przez niego pani Kareńska nie dostała posiłku o oznaczonym czasie. Udało mu się przywołać na twarz skruszoną minę.

— Pół godziny przed kolacją spędziłam w salonie, razem z młodymi Bonikowskimi. Od czasu do czasu dołączali do nas Julia lub obecny tu gospodarz.

Jan zdecydował się na błąd:

— Gdy przyjechałem, widziałem wychodzącą z salonu pannę Rusiecką.

— Być może, nie zwróciłam uwagi. Pan, mężczyzna, zauważa inne osoby niż ja.

Dodała to z przekąsem, a Jan poczuł się jak uczeń.

— Czy w czasie kolacji zauważyła pani coś nietypowego?

— Nie, niczego dziwnego nie zauważyłam. Zresztą, był pan tam również, więc chyba sam zwróciłby pan uwagę na ewentualną anomalię.

Rozmowa z hrabiną przypominała grę w tenisa. Jan musiał przyznać, że refleks miała znakomity, a uderzenia celne.

— Pod koniec kolacji słabo się pani poczuła, prawda?

— Tak, nie czułam się najlepiej i musiałam na moment odejść.

Ton świadczył, że pani Kareńska uważa jego pytania za nietaktowne, ale Jan nie zamierzał się tym przejmować.

— Wróciła pani na dół po tym, jak dołączyliśmy do dam w salonie.

— Tak, chwilę odpoczęłam i uznałam, że czuję się na tyle dobrze, że mogę zejść do salonu.

— Wróciła pani, ale na krótko.

— Poprawa była tylko chwilowa i znowu źle się poczułam, Julia i Maria mnie odprowadziły. W



pokoju moja służąca podała mi lek i położyłam się. W końcu udało mi się zasnąć.

— Mam nadzieję, że dzisiaj czuje się pani już lepiej.

— Tak, dziękuję.

— Jak rozumiem, znała pani zmarłą poprzednio, przed przyjazdem tutaj.

— Bardzo słabo.

— Słyszałem, że panna Zosia była zaręczona z pani świętej pamięci synem.

Zmrużyła oczy i przez chwilę patrzyła na niego lodowato, po czym wycedziła:

— To była dziecinada, a nie zaręczyny. Zauroczenie uczciwego i czystego chłopca przez sprytną kokietkę.

Jan kątem oka dostrzegł, że Tadeusz poruszył się w fotelu i zamierzał zaprotestować. Czym prędzej zadał kolejne pytanie, uniemożliwiając panu domu podjęcie dyskusji z zaślepioną arystokratką.

— Jak ułożyły się pani relacje z Zosią po przyjeździe do Tarnowic?

— Nie ukrywałam swej... niechęci, nie mam zwyczaju udawać — odpowiedziała z dumnie uniesioną głową hrabina. — Mówię, co myślę, robię, co zapowiem. Zresztą, co do niej, to miałam rację. Nie byłaby odpowiednią żoną dla Michała, taka niezrównoważona.

— Niezrównoważona?! — nie wytrzymał Tadeusz.

— Przecież się otruła, a trują się ludzie niezrównoważeni lub winni, dręczeni przez sumienie. W jej przypadku obie możliwości mogły mieć zastosowanie.

Jan lekko uniósł dłoń, mając nadzieję uspokoić Tadeusza.

— Wykluczylismy samobójstwo, wszystko wskazuje na morderstwo.

Zadowolony zauważył, że udało mu się ją zaskoczyć.

— Następne pytanie zadam wszystkim, z którymi będę rozmawiał, dlatego proszę, aby nie nadawała pani szczególnego znaczenia temu, że ją o to pytam. — Jan zrobił dramatyczną pauzę. — Czy była pani wczoraj w pokoju Zosi?

— Czy pan mnie oskarża o zamordowanie tej pannicy?

Po raz kolejny zastosowała zasadę, że najlepszą obroną jest atak, ale tym razem Jan odpowiedział jej oficjalnym tonem:

— O nic pani nie oskarżam. Ze względu na warunki pogodowe urzędnicy pruscy nie mogą tu dotrzeć. Popelniono morderstwo. Właściciel majątku poprosił mnie o pomoc w znalezieniu winnego. Działam w imieniu właściciela i na rzecz urzędników administracji państwowej, którym wszelkie poczynione przeze mnie ustalenia zostaną przekazane. I tylko z tego względu pytam: czy była pani wczoraj w pokoju panny Rusieckiej?

— A po cóż miałabym tam iść?

— A była pani?

— Nie, nie byłam wczoraj w sypialni panny Rusieckiej.

— A przedtem?

— Pan mnie chyba naprawdę uważa za morderczynię — wstała obrażona.

Jan wstał również i z za zasłony wyciągnął karton, położył go na biurku i zapytał:

— Skoro nie była pani w pokoju Zosi, to jakim cudem to znalazło się w pani pokoju?

— A cóż to jest?

— To pani suknia...

Tym razem straciła panowanie nad sobą i ruszyła na Jana, prawie od razu przenosząc swoją furię na Tadeusza:

— Przeszukiwano mój pokój? To... oburzające! To skandal! — Tadeusz, wielbiciel spokoju i łagodności, aż się wzdrygnął od tego syku. — Hańba. To kompromitacja tego domu. Dopilnuję, aby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Zmierzała do wyjścia, a Jan kontynuował tonem gawędziarza:

— A na pani sukni są plamki błękitnego wosku.

Nie reagowała.

— Wosku z pokoju Zosi. Czy wie pani może, jak się tam znalazły?

— A skąd mam to wiedzieć? — Głos jej drżał, gdy powtórzyła po raz kolejny: — Pan chyba naprawdę uważa, że to ja ją zabiłam. — Odwróciła się od Jana i poinformowała Tadeusza głosem jak stal: — Nigdy przedtem nikt mnie tak nie obraził. Wyjeżdżam natychmiast.

— A jeśli powiem, że widziano panią, jak wieczorem wchodziła pani do pokoju Zosi?

Odwróciła się gwałtownie od drzwi, aż jej welon zafalował, a Jan z satysfakcją zauważył, że się zaczerwieniła. Zaraz potem zbladła.

— Kto? — spytała ostro.

— Widziano panią — oznajmił spokojnie.

Zacisnęła usta.

— Tylko zaglądałam.

— Widziano, jak pani wchodziła.

— Ale tylko na chwilę.

— Ale wchodziła pani.

Zamknęła oczy, co nie pomogło powstrzymać łzy, która spłynęła jej po policzku.

Wróciła bardzo wolnym krokiem do biurka i usiadła z powrotem w fotelu. Przez chwilę siedziała bez słowa, z kurczowo zaciśniętymi dłońmi. W końcu potwierdziła:

— Tak. Wchodziłam.

— Po co? — Jan poczuł, że znowu może głęboko oddychać. — Dlaczego pani tu przyjechała?

— Wiedziałam, że ona tu jest. Słyszałam, że się zaręczyła z kimś ważnym, chciałam zobaczyć, czy to prawda. Nie wiem po co. Może, żeby mieć satysfakcję, że miałam co do niej rację, gdy nie aprobowałam jej zaręczyn z Michałem? Potem, już tutaj, usłyszałam od kogoś, że ona ma ostatni list od Michała. Chciałam przeczytać. Musiałam. Ostatni list mojego chłopca. Nie do mnie. Do niej. A dla mnie liczył się tylko on. Tylko on był ważny, jedyny.

Zamilkła i próbowała uspokoić oddech.

— Nie wiecie, jaki był kochany. Taki dobry. Zawsze byliśmy razem, chciał mi wynagrodzić to, że zostaliśmy sami.

Głos jej się łamał i na chwilę przerwała. Z fałd sukni wydobyla koronkową chusteczkę i na moment przyłożyła ją do oczu, a potem do ust.

— Po kolacji poszłam do jej pokoju. Wiedziałam, że nikt mnie nie zaskoczy. Panie poszły do salonu, panowie zostaliście przy kieliszku. Znalazłam list. — Nieobecny wzrokiem patrzyła w przestrzeń. — To on zerwał zaręczyny. Uznał, że musi odszukać ojca. Wtedy, przy zerwaniu, nie powiedział jej prawdy, choć już ją znał.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią pytająco. Zagryzła wargi.

— Michał dorastał w przekonaniu, że jego ojciec nie żyje, że zaginął na morzu. Mówiłam mu tak przez lata. Stworzyłam całą opowieść o wspaniałym bohaterze, o ojcu, z którego syn może być dumny. Nie chciałam, aby Michał znał prawdę. — Zrobiła przerwę, po czym spojrzała Janowi prosto w oczy: — A prawda jest taka, że mój mąż od wielu lat przebywa w domu opieki we Francji. — Ze świstem wciągnęła powietrze. — W domu opieki dla chorych na umyśle.

Patrzyła w bok, dłonie szarpały chusteczkę. Mężczyźni wymienili spojrzenia i Jan z miny Tadeusza wyczytał, że ta wiadomość zaszokowała ich obu w równym stopniu.

Kareńska przerwała i Jan miał czas na przeanalizowanie swoich uczuć. Przepęłniała go mieszanina współczucia i zazdrości wobec Michała. Matka oszukiwała go, ale również kochała ponad wszystko. Jan zaś wiedział, że *sam* był tylko kartą przetargową w sporach między rodzicami. Gdy byli razem, dla niego już miejsca nie było.

— Michał poznał prawdę, nie ode mnie — mówiła hrabina coraz bardziej beżładnie. — Powinnam była mu powiedzieć. Fałszywa duma... gdyby wiedział wcześniej, ode mnie, umiałby z tym żyć...

Zawsze pełen współczucia Tadeusz chciał do niej podejść, ale Jan zatrzymał go gestem dłoni. Teraz już otwarcie płakała:

— Ta prawda go zdruzgotała, miał do mnie żal, pretensje, wykrzyczał mi w twarz: „Zniszczyłaś moje życie” — nie przestawała rozdrapywać tej rany. — Postanowił odszukać ojca. A przedtem pojechał do Rusieckich i zerwał zaręczyny. Zosia nie zawiniła, ją też porzucił. Jak mnie. Potem przysłał jej list, w którym wyznał prawdę o ojcu. I napisał, że nie może się z nią ożenić, bo takie choroby są dziedziczne. — Na chwilę przestała mówić i tylko łkała. — Nie wiem, jak długo stałam z listem w ręku. Nagle usłyszałam jakieś głosy z dołu i to mnie otrzeźwiło. Schowałam list i wyszłam z pokoju Zosi.

— I wróciła pani do salonu?

Zawahała się.

— Nie od razu, na chwilę weszłam do swojego pokoju.

— Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego?

Nie odpowiedziała. Zasugerował:

— Żeby coś schować?

— Żeby schować pierwszą kartkę listu Michała, którą zabrałam... którą ukradłam Zosi — przyznała z rezygnacją.

— Skąd wiedziałeś?

Tadeusz nie wytrzymał — musiał zadać Janowi to pytanie. Morawski odpowiedział:

— Znalazłem kopertę z końcówką listu. Doszedłem do wniosku, że pierwszą kartkę zabrał albo ktoś, komu zależało na ukryciu czegoś, co było w tym liście, albo ktoś, dla kogo ten list przedstawiał wielką wartość. Gdy pani hrabina użyła słów: Zosię też porzucił, pomyślałem, że podzieliła list Michała między dwie kobiety, które go kochały. Czy tak?

— Jak pospolita złodziejka — wyszeptwała. Dumnym ruchem, który tak dobrze znali, uniosła brodę do góry. — Resztę znacie — wróciłam do salonu, ale zasłabłam. Panie odprowadziły mnie i zażyłam lekarstwo.

— Pomogło?

— Nie ma leku na wyrzuty sumienia. A te dręczyły mnie do rana. Sen przyszedł, gdy postanowiłam wyjechać następnego dnia, wybrać coś z pamiątek po Michale i wysłać Zosi, żeby jej zrekompensować stratę połowy listu.

Jan popatrzył na Tadeusza, który kilkanaście minut temu chciał zrobić Kareńskiej krzywdę, a teraz wpatrywał się w nią ze współczuciem. A ona kontynuowała swą spowiedź, jak ktoś, kto przez wiele lat powstrzymywał się od zwierzeń i kiedy w końcu tamy puściły, nie umie się zatrzymać.

— Rano wstydziłam się jeszcze bardziej. Kradzieży, ale przede wszystkim zachowania wobec tej dziewczyny. Postanowiłam nie czekać i spotkać się z nią od razu. Chciałam wysłać pokojówkę do Zosi, ale Maria powiedziała, że przekaze pannie Rusieckiej moje zaproszenie. Myślałam, że ona nie chce dopuścić do spotkania z Zosią, bo się boi kolejnych szykan z mojej strony. A potem się okazało, że opamiętałam się za późno.

Ostatnie słowa wyszeptwała z pochyloną głową. Jan dostrzegł tylko głębokie pionowe bruzdy na jej czole. Tadeusz zbliżył się do hrabiny i chciał ją pocieszyć. Ale ona już odzyskała równowagę i powstrzymała Tarnowskiego gestem dłoni. Znowu była księżną. Jan patrzył z mimowolnym uznaniem.

— Bardzo pani dziękuje. Wiele kwestii się wyjaśniło.

Nie odpowiedziała — chyba nie była w stanie. Skinęła tylko głową, wstała i ruszyła w kierunku wyjścia. Tadeusz odprowadził ją i otworzył przed nią drzwi.

Jan usiadł, zetknął opuszki obu dłoni, przyłożył je do wydętych warg i przez moment się zastanawiał, zbierając to, co przez ostatnie minuty hrabina powiedziała i czego nie powiedziała. Zdecydował się.

— Wierzę jej. Przynajmniej w świetle znanych mi obecnie faktów. Bo nie wykluczam, że dowiem się czegoś, co zmieni moją opinię o pani Kareńskiej.

Tadeusz naraz zmarszczył czoło i zwrócił się do Jana z pytaniem, które musiało go męczyć już od dłuższej chwili:

— A właśnie — nie mówiłeś mi przedtem, że ktoś ją widział.

— Nie mówiłem.

— A kto ją widział?

— Nie mówiłem, że ktoś ją widział.

Tadeusz patrzył na przyjaciela z otwartymi ustami. A Jan się uśmiechnął szeroko:

— Naprawdę nie mówiłem.

\*

— Myślisz, że pan poseł znajdzie dla nas chwilkę?

Jan miał już gotową koncepcję, w jaki sposób przekonać Wacława do rozmowy:

— A jeśli go osobiście i uprzejmie poprosimy, przeprosimy, wyjaśnimy, przypochlebiby się i ukorzymy?

Tadeusz uśmiechnął się blado, a widząc wyczekiwanie Jana, spytał:

— Rozumiem, że chciałbyś mi zlecić tę zaszczytną misję?

— On mnie nie znosi. Uważa, że z moją skandaliczną reputacją nie powinienem się nawet do niego zbliżać.

— Przesadzasz.

Poszedł jednak. Czekając na powrót Tadeusza, Jan wyglądał przez okno na boczne podwórze. Jego wiedza na temat prowadzenia majątku była tak nikła, że nawet nie próbował odgadywać przeznaczenia poszczególnych budynków, zwłaszcza że pokrywała je gruba warstwa śniegu. Mógłby spędzić przy tym oknie cały dzień, a nie odróżniłby stodoły od obory, o chlewie, kurniku i innych zabudowaniach nie wspominając. Zaczął rozważać wzięcie latem kilku lekcji zarządzania w majątku Tarnowskich. Nie wyobrażał sobie jednak całkowitego poświęcenia ziemi i pracy na niej przez wszystkie dni w roku.

— Nadal nie mogę uwierzyć w to, jak zagrałeś przed hrabiną. Nie wiedziałem, że stosujesz takie... nieszablonowe metody — przerwał jego rozmyślenia powracający od posła przyjaciel.

— Poker to moja ulubiona gra — zaśmiał się Jan. — Jakie wieści z kół rządowych?

— Wacław zgodził się udzielić audiencji. Za chwilę przyjdzie. — Zobaczywszy szeroki uśmiech Jana, spytał podejrzliwie: — Dlaczego jesteś aż tak zadowolony?

— Spodziewam się świetnej zabawy.

— Daj spokój, obrazi się.

— Chyba żartujesz, na niczym się nie pozna, bo do głowy mu nie przyjdzie, że ktoś mógłby z niego kpić. Jest na to zbyt zadufany.

— Janie, proszę cię...

Drzwi się otworzyły — poseł widocznie uważał, że takie ceremonie jak pukanie do drzwi go nie obowiązują.

Jan wczuł się w rolę istoty niższego gatunku i ukłonił bardziej, niż to było przyjęte.

— Dzień dobry, panie Wacławie.

W odpowiedzi otrzymał łaskawe skiniecie.

— Zechce pan spocząć, nie, nie na krześle, fotel będzie z pewnością odpowiedniejszy.

Wacław godnie przemieścił się ze wszystkimi swymi dodatkowymi kilogramami i zajął miejsce w fotelu podsunętym przez Jana. Tadeusz pokiwał głową z dezaprobatą, obserwując ten teatr, ale mimo woli odczuwał rozbawienie.

Gość zapowiedział z wyższością:

— Mogę poświęcić panu zaledwie kilka minut. I to tylko ze względu na osobistą prośbę pana Tarnowskiego.

— Doceniam to. Jestem wielce zobligowany, że mimo swoich obowiązków, których waga jest niewspółmiernie wyższa od tego, czym ja się zajmuję, znalazł pan chwilę na rozmowę ze mną i zapewniam, że dołożę wszelkich starań, aby zabrać panu jak najmniej czasu.

Ta przemowa wyraźnie ukontentowała Wacława, bo udzielił Janowi głosu.

— Zwyczajowo zaczynam od pytań ogólnych dotyczących mojego rozmówcy, myślę tu o takich kwestiach jak wykształcenie, miejsce zamieszkania, ale jest pan osobą powszechnie znaną, więc możemy spokojnie pominąć tę formalność i przejść od razu do rzeczy.

— Chętnie udzielę panu informacji na temat mojej osoby. — Wacław nie zwykł pomijać okazji do autoprezentacji. — Jestem synem Macieja Bonikowskiego i Felicji z Bukowskich.

Jan pomyślał, że skoro poseł zaczął *ab ovo*, zejdzie im czas do roztopów.

— Ojciec zmarł, kiedy miałem szesnaście lat, pozostawiając mnie, matkę i moją sześcioletnią siostrę Paulinkę w nieutulonym żalu. Zdążył jednakowoż przekazać mi swoje priorytety, na których ja, jego syn, dziedzic i kontynuator, zbudowałem swoje życie: prawość, uczciwość, praca dla społeczeństwa i narodu.

Tu nastąpiła mała przerwa, aby Jan przyswoił te wiadomości, po czym Wacław lekko skinął głową i wygłaszał dalszy ciąg swego *curriculum vitae*:

— Ukończyłem Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, następnie studiowałem w Berlinie i Oxfordzie, gdzie zajmowałem się prawem, uznając tę dziedzinę za najbardziej przydatną w moim przyszłym życiu, jako że postanowiłem poświęcić się służbie ojczyźnie. Działam czynnie w organizacjach społecznych i politycznych na terenie Wielkopolski i Prus, wiele publikuję.

Jan rzucił okiem na Tadeusza, którego mina mówiła: „Sam tego chciałeś”. Zmusił się, aby słuchać dalej:

— Zarządzam majątkiem moim i siostry, aczkolwiek brakuje mi czasu, by tak jak pan Tarnowski, móc doglądać każdego szczegółu gospodarskiego. Wytyczam ogólny kierunek, a wdrażaniem moich zaleceń i inicjatyw zajmują się specjalnie dobrani przeze mnie urzędnicy.

Poseł zrobił pauzę dla nabrania oddechu i Jan dostrzegł szansę przerywania tego słowotoku.

— Dziękuję za to sprawozdanie, a rozumiejąc teraz jeszcze lepiej, jak cenna jest pana osoba dla spraw Księstwa, czym prędzej przejdę do interesujących mnie kwestii. Przyjechali państwo wczoraj po południu.

— Tak. Byliśmy, co prawda, na kolacji dzień wcześniej, ale Paulinka wspomniała pani Julii, że chciałyby przyjechać także następnego dnia.

— Przepraszam, na chwilę panów zostawię, ktoś mnie szuka — cierpliwość Tadeusza dobiegła kresu.

Wacław udzielił swego przyzwolenia. Gospodarz wyszedł, a Jan, zdeterminowany, by nie dopuścić do ponownego rozpoczęcia perory, szybko naprowadził Wacława na poprzedni temat:

— Więc pana siostra...

— Pozwoli pan, że przerwę, ale nie należy rozpoczynać zdania od słowa więc.

— Bardzo dziękuję, że mi pan zwrócił uwagę.

— Jestem wielkim propagatorem idei poprawnego wyrażania się — zapewnił Wacław.

— Bardzo słusznie. Obawiam się, że moja polszczyzna po tylu latach pobytu za granicą odbiega od pańskiej doskonałości.

— Tak, zauważyłem to już wczoraj. To prawdziwy problem, zbyt wielu młodych ludzi z wyższych sfer spędza młodość poza ojczyzną. A przecież to my, klasa uprzywilejowana, powinniśmy dawać przykład tym, dla których los był mniej łaskawy.

Jan nie wytrzymał.

— Wspominał pan, że pańska matka i siostra spędziły wiele lat poza Polską.

— Ależ to tylko kobiety. Dobry Bóg stworzył je ku naszej radości, jako nasze towarzyszki, ale błędem jest wymagać od nich czegoś ponad to. Proszę na przykład spojrzeć na Paulinkę. To prawdziwa kobietka, zmienna, urocza, niepoważna, której dziecinne fanaberie, ja, poważny mężczyzna, spełniam. To jedyna słuszna linia postępowania, zapewniam pana.

— Muszę się nad tym poważnie zastanowić. A wracając do naszego tematu, panna Paulina wyraziła życzenie spędzenia kolejnego wieczoru tutaj i zasugerowała to pani Tarnowskiej?

— Pani Julia oczywiście, jak to kobieta — wyrozumiała dla spraw sercowych, zaprosiła nas oboje, Paulinka bowiem z oczywistych względów przyzwoitości nie mogłaby przyjąć zaproszenia sama. Ustaliliśmy, że przyjedziemy po południu i zostaniemy na noc.

— I tak się stało.

— Tak, ale przyjechaliśmy później, niż planowałem — był wyraźnie zły na samo wspomnienie.

— Coś się stało?

— Po drodze wstąpiliśmy do miasteczka, tak jak projektowałem — Paulinka chciała odebrać od doktorowej jakieś kobiece zakupy z Poznania. Obiecała tylko po nie wstąpić i mieliśmy natychmiast, zgodnie z planem, ruszyć dalej. Czekałem na nią, ale jak wiadomo, kobiety zupełnie nie liczą się z czasem. — Aż sapał z irytacji, że siostra nie tylko łamała ustaloną przez niego dyscyplinę, ale co gorsza nie dostrzegała wagi swego przestępstwa. — Wyjechaliśmy z dużym opóźnieniem, które się jeszcze zwiększyło przez śnieżycę.

— Wczoraj przy kolacji pan Karol wspominał, że spotkał państwa w miasteczku?

— Tak.

Słyszając tak lakoniczną odpowiedź, Jan zrozumiał, że na coś trafił. Pytał dalej, tonem pozbawionym zainteresowania:

— Tylko pana czy także pańską siostrę?

— Tylko mnie.

— Pewnie zamieniliście panowie kilka słów?

Wacław nabrał wody w usta, ale przyciśnięty do muru pękł. Wymyślanie wymówek na poczekaniu przekraczało jego możliwości.

— Jeśli musi pan wiedzieć, Karol prosił mnie o zabranie czegoś do pałacu.

— Czegoś?

— Przesyłka, na którą czekał, jeszcze nie nadeszła. Zbliżała się śnieżycyca i Karol bał się, że nie dotrze tego wieczoru do domu i że panna Rusiecka nie dostanie leku.

— Leku?

Poseł poddał się ostatecznie.

— Panna Zosia nie mogła bez tego zasnąć, a nie miała zapasu. Karol martwił się tym, ale na szczęście spotkał mnie. Poszliśmy do apteki, odebraliśmy lek i ja go wziąłem.

— Co za niesamowity zbieg okoliczności — Jan wydawał się doprawdy uszczęśliwiony wyczuciem Wacława.

— *The right man in the right place in the right time* — rozpromienił się Wacław, po czym się zwierzył: — Przez moment z niechęcią myślałem o przyznaniu się do przywiezienia leku, zwłaszcza że to właśnie proszek nasenny został zastąpiony śmiertelnie działającym narkotykiem. Widzę jednak, że mimo wszystko jest pan rozsądnym człowiekiem i nie zalicza do grona podejrzanych mnie, kogoś na takim stanowisku, cieszącego się poważaniem i estymą, tylko dlatego, że z czystej uprzejmości podjął się przekazania medykamentu.

W tej chwili wszedł Tadeusz, a rozpędzony Wacław ciągnął:

— Na pewno zdaje pan sobie sprawę z tego, że przy wykonywanych przeze mnie funkcjach mam wielu wrogów i zależy mi, aby fakt mojej obecności w miejscu morderstwa nie został upubliczniony. Mogłoby to przynieść bardzo niekorzystne konsekwencje naszej sprawie narodowej.

— Gospodarz jest tego świadom i dlatego, nie czekając na władze, zlecił mi rozpoczęcie śledztwa.

Ukłonili się sobie — Waclaw jak król przyjmujący hołdy, Jan jak jego zaszczycony wasal.

— Wracając do tematu, poszliście panowie razem, pan i Karol, do apteki.

— Tak, aptekarz pracował na zapleczu, ale gdy zdał sobie sprawę z mojej obecności, porzucił swoje zajęcia i przyniósł paczkę z lekami.

— Paczkę?

— Wie pan, taki zwykły pakiecik, jaki przygotowują farmaceuci. Małe koperty, cały plik, spięte papierową opaską.

— Rozumiem. Odebrał pan zatem lekarstwo od aptekarza...

Waclaw przerwał i z uniesionym do góry palcem sprostował:

— Dla ścisłości zaznaczę, że to Karol odebrał lekarstwo i przekazał je mnie — jeszcze w aptece. Wymieniliśmy także kilka męskich żarcików z aptekarzem, który trwa w słomianym wdowieństwie, jako że jego małżonka wyjechała.

Jan bezskutecznie usiłował wyobrazić sobie męskie żarciki świętoszkowatego Waclawa. Czym prędzej wrócił na stabilny grunt.

— Co było potem?

— Dojechaliśmy do państwa Tarnowskich.

— Nie zatrzymywaliście się państwo po drodze?

— Tylko na chwilę przy poczcie, gdzie czekała na mnie ważna przesyłka z kancelarii prezesa prowincji Karla von Bittnera.

— Przypuszczam, że zostawił pan pakiet leków w saniach?

— Tak, w pudle z zakupami mojej siostry.

— Na pocztę poszedł pan sam, a siostra czekała w tym czasie w saniach?

— Tak. Potem ruszyliśmy w drogę. W pałacu rozlokowano nas w przeznaczonych nam pokojach gościnnych i przygotowywaliśmy się do kolacji.

— A kiedy przekazał pan leki?

— W holu przywitała nas moja narzeczona. Wziąłem proszki od mojej siostry i oddałem panie Zofii. Przebrałem się w strój wieczorowy i mimo że uprzedzono nas o przesunięciu pory posiłku, uznałem za stosowne zejść do salonu o godzinie, którą ustalono pierwotnie.

— Przebieg kolacji i dalszej części wieczoru znam, zapytam więc tylko, co pan robił później.

— Odprowadziłem moją siostrę do jej pokoju i udałem się do siebie. Po odmówieniu wieczornych modlitw położyłem się, a przed snem czytałem dzieło Tomasza Morusa — to moja ulubiona lektura — oraz wyznaczony na ten wieczór fragment Pisma Świętego.

— I do rana nie opuszczał pan pokoju.

— Absolutnie nie. Nie mam zwyczaju zwiedzać nocą domostw, w których przebywam w gościnie.

— To znaczy, że wczoraj nie wchodził pan do pokoju narzeczonej.

— Słucham?

Zdumienie w głosie Waclawa powinno było zaalarmować Jana. Niestety, nieświadomy niebezpieczeństwa, brnął dalej:

— Pytałem, czy wczoraj wchodził pan do pokoju panny Zosi?

— Jak pan śmie coś takiego sugerować? Oczywiście, że nie byłem w pokoju mojej świętej pamięci narzeczonej!!! Ani wczoraj, ani nigdy!

Przez chwilę Jan odnosił wrażenie, że Bonikowski wobec tej obelgi podniesie się z fotela, ale Waclaw był niezdolny do takiego zrywu energii i ograniczył się do uderzenia pięścią w biurko. Głos, tak dotychczas dźwięczny i przyjemny, pod wpływem irytacji zamienił mu się w skrzekot, jakby poseł przechodził spóźnioną mutację.

— Źle mnie pan zrozumiał. Nie chciałem pana...



— Sądzi pan innych wedle siebie. Pan mnie obraził. Gdyby nie to, że znajdujemy się pod dachem państwa Tarnowskich natychmiast żądałbym ... satysfakcji. Ostrzegałem pana, panie Tadeuszu, przed przyjmowaniem pod swój dach osobnika o tak wątpliwej reputacji, ostrzegałem.

— Mój drogi Waławie, przecież Jan nie zamierzał... — usiłował załagodzić sytuację gospodarz.

Waław przerwiał mu ponownym uderzeniem ręką w biurko, tym razem nie pięścią, lecz otwartą dłonią.

— Teraz ja mówię. Jestem przyzwyczajony do zasad parlamentarnych i kiedy mówię, to oczekuję, że nikt nie będzie mi przerywał.

Po otrzymaniu tej nagany Tadeusz zamilkł jak skarcone dziecko, natomiast znieważony Waław zajął się ponownie Janem.

— Może trudno to panu przyjąć do wiadomości, ale Zosia jest... była idealnie wychowaną panną, czystą i niewinną. Tego zresztą oczekiwałem od przyszłej żony. Panna Rusiecka wiedziała o tym. Była także świadoma innych oczekiwań wobec jej osoby związanych z zajmowaną przeze mnie pozycją.

— Rozumiem, że akceptowała te oczekiwania.

— Była dumna, że zostanie moją żoną.

— Czy zdarzało się państwu kłócić?

— Nigdy. Zgadzaaliśmy się w każdej sprawie. — Wstał ciężko. — A teraz muszę iść, mam bardzo ważny list do napisania w sprawach Księstwa. Zresztą poświęciłem panu i tak więcej czasu, niż zamierzałem.

— Bardzo dziękuję i jeszcze raz zapewniam, że nie zamierzałem pana obrazić. Jeśli byłby pan tak uprzejmy i zapytał swoją siostrę, czy znalazłaby teraz dla mnie chwilę?

Bonikowski osłupiał.

— Jak to? Chce pan z nią rozmawiać? Po co?

— Żeby poznać jej wersję wydarzeń.

— To znaczy, że nie wierzy pan w moją? Sugeruje pan, że kłamię?

— Nic nie sugeruję. Po prostu każdy człowiek zwraca uwagę na inne rzeczy i dlatego przy wyjaśnianiu takich spraw należy rozmawiać z każdym, kto miał kontakt z osobą zamordowaną.

— Ale co Paulinka może wniesić? Jest poza tą sprawą. Całkowicie.

— Proszę pamiętać, że była rówieśnicą pańskiej narzeczonej. Kobieta. Wczoraj wieczorem rozmawiały w salonie pod naszą nieobecność. Panna Paulina może znać fakty, o których nikt z nas nie wie.

Jan nie trafił tymi argumentami do nadopiekuńczego brata.

— Moja siostra nic przede mną nie ukrywa i na pewno nie wie nic więcej niż ja. — Wierzył w to głęboko. — Nie pozwolę, aby ją denerwowano. Jest bardzo subtelna.

Tadeusz poparł Jana.

— Waławie, tylko krótka rozmowa.

— Wykluczone, dla pani o takiej delikatnej konstytucji to by się skończyło załamaniem nerwowym.

— Jeśli przesłuchamy wszystkich poza panną Pauliną, to może się to wydać podejrzanym — doznał olśnienia Jan.

— Ależ to absurd! Moja siostra miałaby być zamieszana w zbrodnię? — Głos Waława brzmiał już mniej pewnie.

— Dla nas to oczywiste, ale wie pan, jacy są ludzie. Plotki, gadanie...

Ten argument przesądził.

— Dobrze, ale rozmowa odbędzie się w mojej obecności. Sam po nią pójde, żeby załagodzić szok.

— Wprawił mnie w takie osłupienie — wyznał oszołomiony Jan po wyjściu posła — że zapomniałem zapytać o jego opinię o zaręczynach Zosi z Michałem Kareńskim. Myślałem, że niedorzeczność i głupota mają granice. Okazuje się, że byłem w błędzie.

Wacław wrócił, prowadząc pod ramię swą siostrę, i Jan przypomniał sobie wczorajsze wrażenie dysonansu między rodzeństwem. Paulina szła, mocno kołysząc biodrami obciśniętymi wąską suknią, a każdy ruch obliczony był na zrobienie wrażenia. Wraz z nią w gabinecie pojawił się ten sam zapach, który podczas kolacji tak dręczył Jana. Poseł usadził dziewczynę, całkowicie ignorując dwóch gospodarzy gabinetu.

— Moja droga, ci panowie przyrzekli mi, że odniosą się z szacunkiem dla twojej skromności niewieściej. Zapewniałem ich, że nie wiesz nic ponad to, co ja już powiedziałem, ale niezbędne jest niestety dopełnienie formalności. Postawię ci kilka pytań i obiecaj mi, że nie będziesz sobie zawracać swojej ślicznej główki myśleniem o nich później.

Dotknął palcem czółka tej ślicznej główki, a droga Paulinka wpatrywała się w niego ze łzami w oczach, chłonąc każde słowo jak gąbka.

— Czyż istnieje na tym świecie kobieta, która ma takiego brata jak ja? Czymże ja na ciebie zasłużyłam?

Znając *credo* brata dotyczące kobiet i ich roli w życiu mężczyzny, doskonale ją odgrywała.

— Jeżeli tylko poczujesz się zmęczona lub zdenerwowana, od razu powiedz, natychmiast cię odprowadzę do twojej sypialni.

— Nie wiem, czy dam radę zeznawać. A tak chciałabym pomóc — uwielbiałam Zosię. Była najmilsza, najśłodsza na świecie.

— Wiem, kochanie, ale musisz to znieść.

Opanowała się z wyraźnym wysiłkiem, odsunęła suchą chusteczkę od suchych oczu i zanurzyła w Morawskim spojrzenie zranionej łani.

— Brat mnie pociesza, a przecież dla niego to prawdziwa tragedia. Taka strata. Ale mężczyźni są silniejsi, bardziej odporni.

— Jako mężczyzna muszę żyć dalej — puchł z dumy Wacław. — Przy moich funkcjach nie mogę sobie pozwolić na okazywanie rozpacz, muszę kontynuować działalność, od której tyle zależy.

— Dlatego prosiłam cię — idź, napisz ten ważny dokument.

Była pełna poświęcenia dla Ojczyzny. To się rzucało w oczy.

— Ależ Paulinko, nie mogę zostawić cię samej.

— Postaram się być dzielna — tak jak ty. Zresztą nie będę sama. Pan Tarnowski będzie tu cały czas.

Teatralnym gestem wyciągnęła dłoń w kierunku Tadeusza, który z pewnością poczuł się doceniony tym awansem na przyzwoitkę.

— Wacławie, możesz spokojnie zostawić pannę Paulinę i wrócić do swojego listu — będę czuwał nad nią.

Przekonali go. Wyszedł. Jan rozpoczął z ulgą:

— Może zechce mi pani opowiedzieć kilka rzeczy o sobie. Wiek, szkoła, miejsce zamieszkania.

— Zawsze słyszałam, że to nietakt pytać kobietę o wiek.

Nawet Jan nie był przygotowany na tak błyskawiczne porzucenie tonu zrozpaczonej szwagierki *in spe*. Szybko skorygował pytanie.

— Uczęszczałam przez kilka lat na pensję w Poznaniu, ale atmosfera była zbyt parafialna, zbyt drobnomieszczańska. Przeniosłam się do liceum Urszulanek w Breslau, a potem do Paryża.

— Mieszka pani z bratem?

— Tak. Jako dziecko mieszkaliśmy z matką, która spędzała czas w uzdrowiskach, głównie francuskich i niemieckich. Teraz mieszkam z bratem.

— Po takim dzieciństwie nie nudzi się pani w jednym miejscu?

Roześmiała się głośno.

— Szczerze mówiąc, nie dogadujemy się już z matką. Tu jestem swobodniejsza. A pan gdzie mieszka?

— W różnych miejscach.

— To znaczy, że nie ma pan domu, że nie ma pan dokąd wracać? Jak mi pana szkoda!

— Czy to pani prosiła Julię o zaproszenie na wczorajszy wieczór?

— Wiem, że nie powinnam była, ale tak mi zależało na spędzeniu kilku chwil z narzeczonym, powiedzmy z prawie narzeczonym.

— Nie jesteście państwo oficjalnie zaręczeni?

Uniosła znacząco brew do góry i natychmiast skierowała rozmowę na ulubiony tor.

— Czyżby był pan zainteresowany?

— Jako prowadzący śledztwo, tak.

— A prywatnie? Jako mężczyzna?

To już była jawna próba flirtu, ale piękną Paulinę miał spotkać kolejny zawód.

— Narzeczoną innego — nie.

— Niech pan nie będzie taki zasadniczy. — Kpiący śmieszek. — Tym bardziej że ja i Karol nie jesteśmy, jak pan to ujął, oficjalnie zaręczeni. A nawet gdybyśmy byli, zaręczyny to nie ślub. Jak to powiedziała wczoraj jaśnie pani hrabina: „Wiele się rzeczy niespodziewanych może wydarzyć między ustami a brzegiem pucharu”.

— Proponuję, żebyśmy kontynuowali. Po drodze tutaj wstąpiliście państwo do miasteczka. Czy tak?

— Tak, musiałam odebrać kilka drobiazgów od doktorowej, wie pan, upiększające błahostki niezbędne światowej kobiecie.

— Brat spotkał pana Karola, prawda?

— Wspominał o tym.

Nudził ją tymi pytaniami i nawet tego nie ukrywała. Wstała i kołyszącym krokiem zaczęła chodzić po gabinecie, co chwila spoglądając na Jana.

— Pan Karol przekazał coś pani bratu dla Zosi.

— Tak, mój brat schował coś do pudła z moimi sprawunkami.

— Czy pan Waclaw mówił pani, co to jest?

— Być może. Ale robił mi tyle wymówek o nieliczenie się z jego planem, z czasem i podobnymi bzdurami, że przestałam go słuchać. Być może w tej gadaninie wspomniał, co Karol dał dla Zosi. Swoją drogą — to byłaby największa zaleta małżeństwa mojego brata — miałyby żonę do słuchania tych przemów i ja wreszcie bym odpoczęła.

— Musi pani jednak przyznać, że pan Waclaw ma piękny, dźwięczny głos.

Wybuchnęła śmiechem.

— Mam nadzieję, że mu pan tego nie powiedział. I bez tego się nim pyszni. Tak kocha słyszeć swój głos, że jak już nie ma do kogo przemawiać, to mówi do siebie. — Tu zaczęła naśladować brata: — *Very well, my dear chap, very well.*

Jan po prostu musiał się roześmiać, a niedobra siostra zachwyciła się swoim sukcesem. Morawski z radością zauważył, że Paulina coraz mniej się pilnuje, zapomina grać i zaczyna pokazywać to, co można było uznać za jej prawdziwe oblicze.

— Później pani brat odbierał przesyłkę na poczcie. Pani w tym czasie została w saniach. A dalej?

— Dojechaliśmy tutaj, Zosia nas powitała w holu. Wyglądała okropnie. Wielokrotnie jej przedtem proponowałam, żebyśmy pojechały do Berlina po wyprawę dla niej — w Poznaniu nic przyzwoitego nie można kupić. Ale ona wolała te swoje mnisie szatki. O fryzurze nawet nie wspominałam — gładko, prosto — brakowało tylko welonu zakonnego. Tłumaczyłam jej, jak chodzić, siadać, w jaki sposób...

Jan, zmęczony po rozmowie z Waclawem, nie zawahał się przerwać.

— Czy pani brat przekazał paczkę bezpośrednio Zosi?

Z bezwzględnością oderwana od fascynującego monologu miała głupią minę.

— Tak, od razu.

— I zaprowadzono was do pokoi gościnnych.

— Tak. Przebrałam się do kolacji, służąca mi pomagała.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi służbowych. Tadeusz wyjrzał do sieni, po czym przeprosił Paulinę i Jana, że musi ich zostawić. Wyszedł.

Jan nie tracił czasu.

— Czy podczas kolacji coś panią zaniepokoiło, zdenerwowało?

— Chlipanie Zosi. Ta stara hrabiowska jędza na niej ujeżdżała, a Zośka na to pozwalała. Zamiast warknąć: „Ty wredna ropucho”, chlipała pod nosem.

— Aha, a potem w salonie?

— Tam było lepiej niż ostatnio. Swobodniej. Ropucha dostała słabości — chyba zalał ją nadmiar żółci i poszła do siebie. Pani Julia nie odzywała się — jak zwykle. Pewnie myślami była w innym świecie.

— A pani?

— Po raz nie wiadomo który próbowałam przekonać tę szarą mysz, moją niedoszłą przyszłą bratową, żeby o siebie zadbała.

— Czy zamierzała skorzystać z porad ekspertki?

— Niby przytakiwała, ale ona tak zawsze. W ogóle nie miała własnej woli. — Jakkolwiek sposób przedstawienia tego poglądu był dyskusyjny, Jan nie mógł odmówić Paulinie racji. — Zamierzałam zająć się nią po ślubie — nosiłaby przecież nasze nazwisko i nie pozwoliłabym, aby narażała je na śmieszność w towarzystwie.

— A na początku tej rozmowy deklarowała pani taką sympatię do panny Zosi...

Jeśli liczył na to, że ją zawstydzi, to się przeliczył.

— Nie oszukujmy się: była nudna, głupia i prosta — prychnęła kpiąco. — W powieściach o takich mówią: naiwna parafianka. Byłam przeciwna temu małżeństwu, jednak Waclaw i tak by się ożenił, a Zosia była najlepszym możliwym wyborem. Słaba, łatwa do kierowania. Rządy nadal należałyby do mnie.

— Ale zamierzała ją pani ukształtować na swój obraz i podobieństwo.

Roześmiała mu się prosto w twarz z cynizmem zaskakującym u dwudziestolatki wykształconej na katolickiej pensji.

— Gdyby to było możliwe! Z próznego i Salomon nie należy.

— A co na to pani brat?

Zaskoczył ją tym bezsensownym pytaniem.

— Waclaw? On w tych kwestiach zdaje się tylko na mnie.

— W tych kwestiach?

— Światowego życia — ten biedak w ogóle się w tym nie orientuje. Kto z kim, dlaczego, parantele, koneksje, pierwszeństwa. Savoir-vivre wielkiego świata to moja domena.

— I nad tym również zamierzała pani popracować?

— Prosta panienka z dworku — ten sielski obrazek ma może dla niektórych urok, ale przyzna pan, że nie bardzo pasuje do żony posła i arystokraty. Zresztą wie pan o tym więcej niż ja.

Wychyliła się do przodu, lekko oparła przedramiona o blat biurka i wyeksponowała kusząco biust. Ruch był jednoznaczny i taki sam był ton głosu, gdy zaproponowała na przydechu:

— Może pan udziela lekcji? Byłabym pojętną uczennicą...

Jan zbyt często oglądał takie popisy, aby ten wywarł na nim zamierzone przez Paulinę wrażenie. Twardo trzymał się tematu, całkowicie ignorując podteksty i sugestie.

— Później my dołączyliśmy do pań w salonie, a chwilę po nas hrabina Kareńska. A pani wymieniała pomysły z Karolem...

— O, zauważył pan! Czy to zazdrość?

— Wkrótce hrabina znowu gorzej się poczuła, prawda?

— Być może — Paulina wzruszyła ramionami i udawała, że próbuje sobie przypomnieć. — Tak, rzeczywiście robiła wokół siebie zamieszanie. Chyba pani Julia z Marią ją odprowadziły.

— Nie zwróciła pani na to uwagi?

— Fochy i histerie takich bab mnie nie interesują. Chociaż sporo jej zawdzięczam.

Jan szczerze się zdziwił, ale czuł, że za tym coś się kryje.

— To starucha z manią wielkości i obsesją pomszczenia syna. Ma jedną zaletę — po jej przyjeździe atmosfera się pysznie zagęściła. Uwielbiam takie sytuacje. Przedtem tu było nudno i gdyby nie Karol, przesyłabym każdą wizytę. Ostatnio zrobiło się ciekawie, jak w książkach. Czasami aż nie mogłam się doczekać, co się stanie.

Jan nie skomentował jej zamiłowań.

— A potem poszła pani do siebie.

— Raczej zostałam odprowadzona. Nie chciałam iść — nudziarze zniknęli, został pan i Karol, mogło być interesująco. Niestety, mój świętoszkowaty brat dostałby zawału na sam pomysł, że miałabym zostać bez niego. Musiałam iść.

— Jak pani to zniosła?

— Przewidziałam taką sytuację i przywiozłam ze sobą nową powieść i pudełko czekoladek. Rozpływały się w ustach. — Oblizwała wargi i dodała z półprzymkniętymi powiekami: — Były doprawdy rozkoszne.

— Czy w ciągu tego wieczoru lub nocy coś panią zaniepokoiło?

Paulina wpatrywała się w Jana z uwodzicielską intensywnością, zastanawiając się nad jakąś kokieterijną odpowiedzią. Na szczęście wrócił Tadeusz.

— Nie — nic nie widziałam, nic nie słyszałam — odrzekła chłodno.

— Czy podczas wieczoru lub nocy wchodziła pani do pokoju Zosi?

— Nie, a po cóż miałabym to robić?

— Czy Zosia pisała pamiętnik?

— Ciągle coś gryzmołała, ale to były raczej fragmenty tych durnych książek, które mój brat kazał jej czytać.

Tadeusz zareagował od razu.

— Kazał?

— Zalecał. Czyli kazał. Same nudziarstwa — mnie się nie udało na to namówić, na szczęście z Zosią poszło mu łatwiej i dał mi spokój.

Jan uznał, że dalsze przeciąganie tej rozmowy nie ma sensu.

— Cóż, na razie to chyba wszystko.

— Jeśli mogłabym cokolwiek dla pana zrobić...

— Dziękuję, będę pamiętał.

— Oczywiście wie pan, gdzie jest moja sypialnia...?

Jan zauważył, że Tadeuszowi odebrało mowę.

— Oczywiście nie wiem, ale jestem pewien, że w razie potrzeby Maria bez problemu panią odnajdzie.

— Maria?!

Tadeusz, chcąc, aby ta rozmowa skończyła się jak najszybciej, wstał i podszedł do dziewczyny.

— Chodźmy, odprowadzę panią do brata.

— Przecież trafię sama.

— Obiecałem, że się panią zaopiekuję.

Nie zamierzała się podporządkować.

— Nie dotrzymał pan obietnicy, wychodząc i zostawiając mnie samą z panem Janem. Skoro już raz pan zgrzeszył, to i drugi raz nie zaszkodzi. Idę sama.

Jak powiedziała, tak zrobiła.

## 8.

Tadeusz wpatrywał się oszołomiony w drzwi, którymi wyszła Paulina. Przeniósł wzrok na Jana.

— Ona zachowywała się tak przez cały czas?

— To była tylko jedna z kreacji. Wyodrębniłem cztery.

— Wszystkie takie... prowokacyjne?

— Na swój sposób tak, ale to ostatnie było wcieleniem najbardziej efektownym, najbardziej obliczonym na zrobienie wrażenia.

Tarnowski pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Nigdy dotychczas nie widziałem jej takiej. Wiedziałem oczywiście, że manipuluje bratem i usiłuje przerobić Zosię. Widywałem też, jak flirtowała z Karolem, ale nigdy nie przekraczała dopuszczalnej granicy.

— Może chciała na mnie poćwiczyć, bo wie, że będę tu krótko. Takie wprawki, jak ćwiczenia na fortepianie. Natomiast Karol to kandydat na męża i nie wolno zachowywać się wobec niego zbyt swobodnie.

Tadeusz nadal nie mógł się otrząsnąć. Nie był przyzwyczajony do tak jawnej kokieterii.

— Jak ci się udało przez to przebrnąć?

Jan nie wahał się wyjaśnić, znając tolerancyjność Tarnowskiego.

— Nie zrozum mnie źle, to nie ma być przechwałka: w porównaniu z paryskimi kurtyzanami to dziecięcy teatrzyk. Muszę jednak przyznać, że panna Bonikowska ma ogromne możliwości i pozostaje mi nadzieję, że nie będzie miała okazji ich rozwijać.

Podszedł do Tadeusza i przez moment obaj wpatrywali się w niesamowitą biel za oknem. Słońce zaczynało przedzierać się przez chmury i chwilami cała okolica lśniła od iskierek światła, odbijającego się w śniegu. Na tle tak białej, że aż niebieskawej powierzchni, odcinały się czarne fantastyczne sylwety nagich drzew. Dwóch mężczyzn odgarniało śnieg na ścieżce wzdłuż fasady pałacu. Jan zabębnił o parapet fragment *Zimy* Vivaldiego.

— Ciekawe, czy taka była, czy coś... pomogło jej stać się taką. Wiesz coś o jej przeszłości, Tadeuszu?

— Czyżbyś był wyznawcą tej modnej teorii, że dzieciństwo kształtuje nasze zachowania?

— Jestem o tym przekonany, zresztą widzę to po sobie. Nigdy nie miałem domu i wątpię, czy sprawdziłbym się w życiu rodzinnym.

— Przesadzasz.

— Wiesz, że nie. Dziwię się nawet, że ci to powiedziałem — nigdy z nikim o tym nie rozmawiam.

Przez chwilę obaj milczeli.

— Wracając do naszej panny Bonikowskiej, interesuje mnie, czy wydarzyło się w jej życiu coś, co by uzasadniało jej kokieterijność. Jej nadmierną kokieterijność, bo taka w normie mi nie przeszkadza.

Tadeusz usiadł na fotelu, który zajmował przedtem.

— Porozmawiaj z Julią. Wie więcej o Paulinie, a poza tym także interesuje się psychologią, choć dla niej intuicja i przeczucia są ważniejsze niż naukowe teorie. Zapytaj ją.

— Zapytam, tym bardziej że — Jan stał przy biurku z kartką w dłoni — czas na panią Tarnowską.

— Mogę zostać?



— Uważasz, że przyzwoitka potrzebna jest mi czy twojej żonie?

— Żadne z was nie potrzebuje przyzwoitki, natomiast ty będziesz potrzebował wsparcia.

Jan nie zdołał powstrzymać rozbawionego prychnięcia, więc Tadeusz go ostrzegł:

— Zobaczysz, że sobie nie dasz rady.

— Chyba mnie nie doceniasz, ale jeśli masz ochotę...

— Pójdę po nią — zaproponował Tadeusz, wstając.

Jan ruszył za nim w kierunku drzwi.

— Mam inny pomysł. Siedzę tu już cały ranek — to nie jest oczywiście zarzut, twój gabinet świetnie się nadaje do takich spotkań — ale potrzebuję odmiany. Rozmowa z twoją żoną nie musi być bardzo oficjalna, nie zależy mi na wywołaniu u niej wrażenia, że prowadzę profesjonalne śledztwo. Może przeniesiemy się gdzieś indziej?

Tarnowski, również prowadzący aktywny tryb życia, wydawał się doskonale to rozumieć. Zgodził się od razu.

— Może do jej buduaru?

— Nie chciałbym naruszać prywatności twojej żony.

— Jesteś moim przyjacielem i wiem, że jej się spodobałeś. Nie będzie miała nic przeciw temu.

Wyszli z gabinetu w kierunku schodów. W holu było ciepło, w kominku płonął ogień — zjawisko rzadko spotykane w polskim domach, gdzie zazwyczaj w holu było zimniej niż w pałacowej psiarni. Aż chciało się tu przystanąć, zapatrzeć w płomienie, zasłuchać w trzask pękających kłód, zanurzyć w lekko dymnym aromacie palącego się drewna.

— Chciałbym cię o czymś uprzedzić, żebyś nie był zdziwiony.

— Tak?

— Julia jest wrażliwa na punkcie kolorów. Uwielbia się nimi bawić, suknie wybiera w zależności od nastroju, od pogody, od fazy księżyca. Lubi zmieniać barwę wnętrza — nigdy nie jestem pewien, co zastanę po powrocie do domu.

— A co zastaniemy w buduarze?

— W buduarze zastaniemy... zielony groszek.

— Groszek?

— Zielony. Taki jak Anglicy podają do jagnięciny.

— Nawet ja wiem, Tadeuszu, jak wygląda groszek.

Stanęli pod drzwiami buduaru. Tadeusz zapukał i uchylił drzwi.

— Kochanie, możemy? Jest ze mną Jan, chciałby z tobą porozmawiać.

— Tak, wejdźcie.

Nie zastali zielonego groszku. A właściwie zastali, tylko ktoś go polał białym sosem. Wszystkie meble zakryto białymi prześcieradłami, spod których gdzieniegdzie wystawały soczyście zielone fragmenty. Drewniana podłoga lśniła parkietem — dzieło ostatnich chwil, gdyż z boku nadal leżał zwinięty dywan. Ktoś ogołocił całe pomieszczenie z ozdób, aczkolwiek książki, papiery i astrologiczno-wróżbiarskie akcesoria wciąż były porozkładane w najdziwniejszych miejscach.

Zmiana dekoracji oszołomiła Tadeusza i Jan zaczął się poważnie martwić, jak zdrowie przyjaciela zniesie dzisiejszy ciąg niespodzianek.

Sprawczyni tej metamorfozy siedziała na kanapce z pokojówką. Służąca próbowała opanować płacz, a Julia głaskała ją po dłoni i coś cicho do niej mówiła.

— Co się stało, Julio?

— Nie mogłam znieść tej radości dookoła.

Dziewczyna wstała, Julia również się podniosła i z ciepłym uśmiechem pogładziła ją po ramieniu. Ta pociągnęła nosem, dygnęła i nie patrząc na przybyłych, wybiegła z buduaru.

— Teresa — wyjaśnił Janowi Tadeusz. — To ona znalazła rano Zosię.

Dalej drążył temat zmiany koloru.

— Dlaczego biały?

— Biały to żałoba. — Odpowiedziała takim tonem, jakby chodziło o najbardziej oczywistą rzecz na świecie, po czym zwróciła się do Jana z uśmiechem: — Proszę usiąść.

Sama przycupnęła na szeszlengu. Tadeusz zdjął książki z jednego z foteli i gestem zachęcił Jana, aby zajął miejsce. Dla siebie wypatrywał inny fotel, zgarnął z niego pliki kartek na stół i również usiadł. Zażartował:

— Powinnaś raz na jakiś czas wpuszczać tu Marię, żeby to poukładała.

— Nigdy bym już nic nie znalazła, bo wszystko by stąd usunęła.

— Maria ma kilka pasji, a największą jest porządkowanie — wyjaśnił Janowi Tadeusz.

— Czasem myślę, że ona uwielbia segregować i usuwać, bo wtedy jej się wydaje, że przez to porządkuje swoje życie — dodała Julia. — Proszę się nie przejmować i od razu zacząć pytać.

— Bardzo pani dziękuję — docenił jej bezpośredniość Jan. — W takim razie zaczynamy: co pani sądziła o pobycie młodych Rusieckich tutaj?

— Zosia była córką Tadeusza i tu był jej dom.

— Wiedziała pani?

Teraz dla odmiany Julia zdziwiła się jego zaskoczeniem. Wyjaśniła:

— Podobieństwo do Karoliny. I więź między ojcem a córką.

— Zosia podobała się pani?

— Na początku byłam jej trochę niechętna, ale szybko dostrzegłam jej prawdziwą wartość.

— Próbowowałaś ją buntować — włączył się z udawanym wyrzutem Tadeusz.

— Tłumaczyłam jej tylko, że nie powinna podlegać konwenansom i temu, co mówią inni.

Jan zainteresował się tym niecodziennym, bądź co bądź, kierowaniem młodą panną.

— I udawało się?

— Nie bardzo — przyznała. — Zosia szła za tym, kto głośniej powiedział, czasami był to Karol, ostatnio częściej Waław, niestety.

— Niestety?

Jan zadał to pytanie z przekory, a ona odpowiedziała wprost:

— Sprzeciwiałam się małżeństwu Zosi z Waławem, tam nie było miłości ani z jednej, ani z drugiej strony. Poza tym Waław to idiota i szkoda było Zosi dla niego.

— Zosia wierzyła, że byłby dla niej odpowiednim mężem.

Najwyraźniej nie zwróciła uwagi na słowa Jana, bo powiedziała smutno i cicho, jakby do siebie:

— Tadeusz kochał Zosię. Zwłaszcza, że ja... że my...

Przerwała, odwróciła głowę w bok, objęła się ramionami.

Jan poczuł się zakłopotany, że poruszyła tak prywatny i bolesny temat. Tadeusz uklęknął przy żonie i pogłaskał po rozpuszczonych włosach.

— Kochanie...

Ona delikatnie dotknęła opuszkami jego policzków i pocałowała w usta. Jan odwrócił głowę i gwałtownie wstał. Podeszedł do stołu i zaczął przeglądać, a raczej udawać, że przegląda mapy nieba. Zateśnił za Konstancją.

— Tadeusz chciał adoptować Zosię i najchętniej tylko Zosię, bez Karola — kontynuowała Julia. — W zupełności popierałam ten pomysł.

Teraz to ona wstała, podeszła do okna i część twarzy zanurzyła w kotarze. Zamilkła, a zamiast niej opowieść podjął Tadeusz.

— Moje panie spędzały razem sporo czasu, tym bardziej że miały wiele cech wspólnych — młodość, spontaniczność, umiłowanie przyrody.

— A potem przyjechała pani Kareńska?

Morawski skierował to pytanie do Julii. Odezwała się od okna:

— Marzyłam dla niej o innym mężu — dobrym, opiekuńczym.

Jana po raz kolejny zaskoczył brak związku między jego pytaniem a jej odpowiedzią.

— Julio, opowiedz jak to się stało, że hrabina przyjechała — przyszedł mu z pomocą Tadeusz.

— Ja ją zaprosiłam.

— Skąd ten pomysł?

— To było okropne, tu się nie dało oddychać — zadygotała.

— Po kolei, najmilsza. Skąd się znacie?

— Moja matka i hrabina przebywały razem na pensji.

— Widywałaś przedtem panią Kareńską?

— Kilka razy.

— Ale tu nie przyjeżdżała. Co było dalej?

— Dostałam list. Pisała, że chciałyby przyjechać. Nie wiem, czy wiedziała, że Zosia u nas jest.

Zaprosiłam ją. — Zniżyła głos. — Nie mogłam oddychać, zrobiło się ciemno i duszno. Na każdym kroku.

— Co hrabina mówiła Zosi?

— Ja nie umiałam sobie z nią poradzić, z jej agresją. Zła aura. Jak anioł zemsty. A Zosia nie mogłaby zdradzić. Nigdy.

Jan nie wytrzymał i spytał:

— Czy hrabina groziła Zosi?

— Źle jej życzyła.

— Groziła jej?

Jan się zniecierpliwiał, a Julia powtórzyła, ignorując — tak jak dotychczas — jego pytanie:

— Życzyła jej cierpienia i śmierci.

— Julio, czy ty słyszałaś złe myśli hrabiny czy jej groźby? — zapytał wprost Tadeusz.

— Słyszałam jej złe myśli i złe życzenia.

Jan zrozumiał już, że tylko Tadeusz umiał tak sformułować pytanie, że żona odpowiadała.

— Bonikowscy byli poprzedniego dnia, zaprosiłaś ich na kolejny wieczór. Paulina cię o to prosiła?

— Tak, wprost mi oznajmiła z tą swoją niby skromną minką, że chce przyjechać, by spędzić więcej czasu z Karolem.

— I ustaliłyście, że zostaną na noc.

— Chciałam napisać, żeby nie przyjeżdżali. Wczoraj od rana czułam, że coś złego się wydarzy. Horoskop był przerażający. W jakikolwiek sposób rozłożyłam karty — zawsze widziałam katastrofę. I te chmury tak nisko, jakby miały spaść nam na głowę, te złowieszcze ptaki i ich krzyki. — Przycisnęła dłonie do skroni. — Cały dzień krzyki ptaków. A potem cisza.

Zamilkła, zamknęła oczy, przeżywała wszystko jeszcze raz. Wzięła głęboki oddech.

— Nawet Zosia była rozdrażniona. Przyszła do mnie, chciałam ją trochę rozerwać, zaproponowałam: „Powrózę ci”. A w jej kartach czytałam śmierć.

— Więc chciałaś odwołać przyjazd Bonikowskich? — delikatnie przerwał Tadeusz.

— Tak, napisałam list. I zostawiłam do dostarczenia. Na kominku. A oni i tak przyjechali.

Tadeusz przyglądał jej się przez chwilę, po czym wstał i podszedł do kominka.

— Tu go nie ma.

— Pewnie go nie dostali. Albo zignorowali.

Tadeusz nadal rozglądał się po pokoju. Podszedł do biurka, stołu, stolika przy szeszlunku, na którym leżała książka. Jan zauważył *Tales of Alhambra* we wspaniałej okładce zdobionej kością słoniową. Z książki jako zakładka wystawała koperta.

Tarnowski wyciągnął ją i pokazał zdumionej Julii.

— Ten?

— Nie położyłam go na kominku?

— Już rozumiem, czemu tak się zdziwiłaś, gdy przyjechali...

Załamano rękę, a w wielkich oczach pojawiły się łzy.

— Przeze mnie Zosia nie żyje, gdybym tylko wysłała ten list...

Janowi zrobiło się jej żal.

— Jeśli wszystkie znaki od rana wskazywały na jej śmierć, to ten list i tak nic by nie zmienił.

Tadeusz skinięciem głowy potwierdził słowa Jana, a potem spojrział na niego z wdzięcznością. Jan postanowił wykorzystać nadarzający się moment i spytał o przeszłość Pauliny. Julia powtórzyła to, co powiedziała podczas kolacji:

— Próbuje uwolnić się od przekleństwa brzydkiej córki pięknej matki. Flirtuje z każdym, szukając mężczyzny, który będzie ją kochał jak ojciec — bezwarunkowo. Żal mi jej.

— Litujesz się nad nią, a ona cię ciągle atakuje złośliwościami.

— Kąsa, żeby nie być pokąsaną.

— Dajmy sobie z nią spokój i wróćmy do wczorajszego dnia. Zastanów się: czy byłaś wczoraj u Zosi?

— Nie.

Odpowiedziała tak pewnie i bez wahania, że Jan uwierzył od razu. Tadeusz jednak lepiej znał Julię i jej roztargnienie.

— Przecież poszłaś zaproponować jej diadem.

Julia spojrzała na niego zdziwiona. I nagle się rozpromieniła.

— Ach rzeczywiście, byłam u Zosi. Poszłam jej zaproponować diadem.

Jej uśmiech zgasł tak samo nagle, jak się pojawił, szarpała niespokojnie mankiet tuniki i wyrzucała z siebie urywane zdania:

— Tak się denerwowała. Trzęsła. Jakby czuła. Że to koniec.

— A więc poszłaś jej zaproponować biżuterię. Ucieszyła się?

Zawahała się, po czym wyznała szczerze:

— Nie wiem. Najpierw zapomniałam o diademie. Taka była nieszczęśliwa, więc opowiedziałam jej o nowym kolorze w buduarze. Ale jej nie pocieszyłam.

Tadeusz zadawał kolejne pytania, nie pozwalając Julii uciec we własny ulotny świat.

— I co dalej, kochana?

— Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Chciałam poprawić kwiaty w wazonie i mi kilka wypadło, i rozlałam wodę, a potem chciałam ułożyć rzeczy na stoliku nocnym i rozerwało się opakowanie kopert z proszkiem, a potem zobaczyłam...

Jan od razu zrobił się czujny i wbił wzrok w Tadeusza, który z udawanym spokojem przerwał opowieść żony:

— Rozerwałaś opakowanie ze środkiem nasennym? To nowe?

— Tak, chyba tak. Przecież sam mówisz, że jak jestem zdenerwowana, to zupełnie...

Zobaczyła, jak mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia i nagle dotarło do niej, co to może oznaczać. Przez moment siedziała bez ruchu, a jej oczy stawały się coraz większe. Opadły jej ramiona.

— Ależ ze mnie idiotka. Sama się obciążyłam. To ten nowy proszek został zamieniony?

Tarnowski spojrział poważnie na Julię i potwierdził.

— Tak, Julio, to ten nowy proszek zamieniono.

— Byłoby lepiej, gdybym nie miała tego w ręce, prawda?

— Nie da się ukryć. Tak byłoby lepiej.

Jan zaryzykował pytanie.

— Pani Julio, kogo pani podejrzewa?

— Ja tak zawsze. Jak się zdenerwuję, to chodzę, wszystkiego dotykam, niby poprawiam, a tylko to psuję.

— Kochanie, zostaw już w spokoju rozerwany pakiet i zastanów się: kto twoim zdaniem zabił Zosię?

Kogo podejrzewasz?

— Karola.

Odpowiedziała natychmiast. Bez wahania. Jan uniósł brew. Tadeusz obie.

— Dlaczego?

— Nie wiem, dlaczego ją zabił.

— Nie pytam, dlaczego ją zabił. Pytam, dlaczego go podejrzewasz?

— Po prostu wiem. Czuję to.

Jan zdał sobie sprawę, że rozmowa z Julią jest zakończona. Miała nieobecny wzrok, nieruchome ciało

— zapadła się w siebie. Tarnowski podszedł jeszcze do żony, pochylił się i pocałował ją w czoło. Jan również się do niej zbliżył i podziękował.

Odpowiedziała nieprzytomnym uśmiechem.

Idąc korytarzem i w dół po schodach, Tadeusz opowiadał o żonie.

— Wierzy w sny, przecucia, w intuicję. Wiem, że dla ciebie to są bzdury, ale dla niej to realny świat.

Miała tylko dużo starszych braci i ojca, więc przez lata bawiła się z wymyśloną przyjaciółką.

— Ja miałem w każdym miejscu, gdzie mieszkaliśmy, takiego przyjaciela na niby. Tak robią chyba wszystkie samotne dzieci. A jeśli chodzi o intuicję, to też w nią wierzę.

Tadeusz zatrzymał się w pół stopnia.

— Naprawdę?

— Wierzę, że umysł rejestruje pewne fakty, ale sam o tym nie wie. Potem podejmujemy decyzję, twierdząc, że kierowaliśmy się intuicją. A to po prostu wiedza, z której nie zdajemy sobie sprawy.

— Nieuświadomione fakty?

Jan przytaknął. Przystanął u podnóża schodów i zwrócił się do Tarnowskiego:

— Wybacz, że pytam, ale Julia tak zawsze?

— Odkąd się znamy. Wiedziałem o tym przed ślubem i to akceptowałem. Zresztą to niegroźna mania. To może zabrzmieć górnolotnie, ale jestem jedynym łącznikiem, tak bym to nazwał, między nią a światem zewnętrznym, jej oparciem.

— A kim ona jest dla ciebie?

Doszli tymczasem do gabinetu, weszli do środka i Jan zamknął drzwi. Tadeusz patrzył na niego spod brwi. Jan natychmiast wycofał się z ostatniego pytania.

— Wybacz mi. Nie chciałem być wścibski.

— Nie przepraszaj — odpowiem, bo zależy mi, żebyś zrozumiał, czym może być małżeństwo.

Przez moment Tarnowski zbierał myśli, patrząc na młodszego mężczyznę, w końcu nabrał głęboko tchu.

— Ona jest jedynym przebłyskiem romantyzmu w moim świecie płodozmianu, hipotek, melioracji i Hakaty<sup>[8]</sup>. Jest moim spełnionym snem.

— Zazdroszczę ci.

— Jestem szczęściarzem.

Jan poczuł, że wewnętrzna równowaga, z której był tak dumny, zaczyna się chwiać. Należało zająć myśli czymś innym.

— Dlaczego Julia podejrzewa tego biednego Karola?

Tadeusz machnął ręką lekceważąco.

— To może być cokolwiek — miał brzydką aurę albo tarot tak powiedział. Wystarczy, że Karol kocha polowanie.

— Ciekawy sposób oceniania innych.

Tadeusz lekko się uśmiechnął.

— To prawda, na szczęście Julia nie miesza się do zarządzania domem i służbą. Mielibyśmy tu niezły zestaw, gdyby to ona dobierała pracowników.

---

[8] Hakata — potoczna nazwa Niemieckiego Związku Marchii Wschodniej, nacjonalistycznej organizacji antypolskiej działającej w latach 1894–1934. Jej celem była ostateczna germanizacja ziem zaboru pruskiego. Od początku istnienia cieszyła się poparciem rządu.

## 9.

— Wiesz już coś? — spytał Tarnowski, gdy pokrzepiali się w gabinecie przygotowaną tam dla nich kawą.

— O pojedynczych elementach wiem zdecydowanie więcej. Natomiast o całości zdecydowanie mniej. Obraz się zamazuje.

Tarnowski zmarszczył czoło na to zagadkowe stwierdzenie.

— Ominęliśmy kogoś ważnego — zwrócił uwagę.

— Kogo?

— Franciszek.

Udało mu się zaskoczyć Jana.

— Masz rację — przyznał. — Jak to się mogło stać, na litość boską?

— Proste. To ktoś na pograniczu — więcej niż służba, mniej niż domownik.

— Tak samo byłoby z Marią, ale ją przesłuchałem trochę przy okazji.

— Poprośmy Franciszka tutaj.

— Poczekaj.

Jan przez moment się zastanawiał. Prowadzenie dochodzenia wśród arystokracji wymaga wycucia, ale rozmowy ze służbą tej arystokracji wymagają jeszcze więcej dyplomacji. A majordomus to, jak wiadomo, arystokracja wśród służących arystokracji. Nie można sobie pozwolić na żaden fałszywy krok.

— Mam wątpliwość, czy rozmawiać z nim tu, czy gdzieś, gdzie czułby się swobodniejszy, gdzie nie odczuwałby tak bardzo dystansu między sobą a mną.

— Może kredens?

— Nie chciałbym, aby co chwilę wchodziła kucharka albo służąca i nam przeszkadzała — skrzywił się Jan.

— Właściwie mamy dwa pomieszczenia kredensowe: jedno bardziej kobiece, z zastawą stołową, i drugie, zdecydowanie męskie. Tam są srebra, cenne alkohole, cygara. To królestwo Franciszka.

— Wiem, kto rozwiąże ten dylemat.

— Kto?

— Mateusz — odpowiedział Jan z szerokim uśmiechem — ekspert w kwestii: „Dyplomacja w postępowaniu ze służbą”. Zawsze mu powtarzam, że powinien napisać taki poradnik.

— Poproszę, żeby ktoś go znalazł.

Po chwili Tarnowski wrócił bocznymi drzwiami, prowadząc z sobą Mateusza, który w czarnej marynarce i prążkowanych spodniach idealnie pasował do wnętrza. Nigdy nie nosił klasycznej liberii, zresztą, sądząc po prostych strojach pałacowej służby, Tadeusz również nie lubił przesady.

Kamerdynier wszedł i lekko się skłonił.

— Chciał pan ze mną rozmawiać?

— Tak, Mateuszu, potrzebuję rady. Gdybyś miał być przesłuchiwany przez prowadzącego śledztwo, to wolałbyś, aby to się odbyło w pomieszczeniu reprezentacyjnym czy służbowym?

— Rozumiem, że chodzi o Franciszka?

Mateusz odgadł od razu intencję Jana, wprawiając tym Tadeusza w konsternację. Jan potwierdził.



— I waha się pan między gabinetem a...?

— Kredensem.

— Chodzi o męski kredens? Ze srebrami?

— Widzę, że orientujesz się już niezłe. Gdzie byś wolał?

Mateusz zastanawiał się przez chwilę.

— To zależy, co chce pan osiągnąć. Jeśli go pan podejrzewa i chce nastraszyć czy wzbudzić respekt, to lepsze będzie pomieszczenie oficjalne — gabinet, a jeszcze lepiej ta ogromna biblioteka. Ale jeśli chce pan go zjednać, to radziłbym spotkanie na jego gruncie. Będzie swobodniejszy.

Jan uśmiechnął się, skinął głową i zawołał:

— Tadeuszu — kredens. Mógłbyś to zorganizować?

— Idę.

Mateusz poczekał, aż Tarnowski zamknie za sobą drzwi i nagle z jego zachowania zniknęła oficjalność idealnego służącego. Zapytał cicho, ale z prawdziwym zainteresowaniem:

— Jak postępuje sprawa?

— Powoli. Niby nikt nie może uwierzyć, że dziewczynę zamordowano, nie ma winnych, nie ma podejrzanych. A potem się okazuje, że niektórzy mieli motyw, inni okazję. Sprawa się komplikuje. A ty? Ustaliłeś coś?

Mateusz lekko skinął głową.

— Wszyscy na dole kochali panienkę. Źle mówią i o Bonikowskich, i o pani Kareńskiej.

— Domyślam się. A co mówią o sobie nawzajem?

— Raczej się ze sobą zgadzają. — Mateusz zawahał się, jakby nie wiedział, czy powinien coś dodać.

— Odnoszę wrażenie, że pani Maria coś ukrywa, ale nie umiem tego określić. Muszę się temu przyjrzeć.

— Franciszek?

— Bardzo przywiązany do pana Tarnowskiego — cała służba zresztą.

— Franciszek jest do twojej dyspozycji — wrócił Tadeusz. — Zaprowadzić cię?

— Nie chciałbym zabierać ci czasu. Mateuszu, wiesz, gdzie to jest?

— Oczywiście — odpowiedział zapytany tonem mistrza ceremonii na królewskim balu.

Jana zawsze bawiły te przemiany kamerdynera, ale przypuszczał, że jeszcze większą radość sprawiały samemu Mateuszowi.

— Świetnie. Tadeuszu, jak skończę, moglibyśmy się tu spotkać na małe podsumowanie.

— Będę.

— Zastanów się, czy nie zaprosić też Karola. Może być zainteresowany, chodzi przecież o jego siostrę. Poza tym bardzo chciał nam pomóc.

— Zobaczę, w jakim jest stanie.

Rozeszli się.

\*

Jan był chyba pierwszy raz w życiu w takim pomieszczeniu. Chociaż nie, już raz widział coś podobnego — w starym angielskim domu z czasów elżbietańskich.

W Tarnowicach z kuchni przechodziło się do jadalni przez, jak to między sobą mówili lokaje — babski kredens. Dwie ściany zabudowane były od podłogi po sufit szafami, w których przechowywano zastawę stołową. Franciszek, widząc zainteresowanie gościa, pokazał mu zawartość niektórych szuflad i szaf. Oczom Jana ukazały się nieprawdopodobne ilości naczyń ustawianych kompletami — porcelanowych, szklanych, kryształowych. Poza tym naczynia posrebrzane, od najbardziej codziennych półmisek po wymyślne sosjery osadzone na podgrzewaczach, rynny z ociekaczami do serwowania szparagów i inne przedmioty, których przeznaczenia Jan, mimo obycia w świecie, nawet nie próbował

odgadywać. Dolne części szaf były głębsze niż przeszklone nadstawki i na powstałych w ten sposób blatach stały najdziwniejsze przybory. Franciszek wyjaśnił, że niektóre potrawy podgrzewa się lub dekoruje w kredensie, bezpośrednio przed podaniem w jadalni. W szufladach znajdowały się sztuce, również skompletowane, a najbardziej rozbudowany zestaw miał wygrawerowany monogram JT i stanowił część wyprawy Julii. Zdaniem Morawskiego, przedmiotów tych starczyłoby na zapełnienie kilku sklepów.

— Skąd tyle się tego wzięło?

— Te rzeczy pochodzą z wypraw kolejnych pań Tarnowskich. Część ulega zniszczeniu, ale zawsze większość zostaje. Każda następna panna młoda wносиła w posagu pełne zestawy. I dlatego jest tego aż tyle.

Między szafami były drzwi — z jednej strony do kuchni, z drugiej do jadalni — a na krótszej ścianie zakratowane okno. Czwartą ścianę również zabudowano szafami. A raczej tak się wydawało do chwili, gdy Franciszek podszedł do jednej z nich i ją otworzył. To były drzwi do kolejnego pomieszczenia.

Weszli. Wnętrza szaf kryły najcenniejsze srebra, najwartościowsze kryształy, najstarsze pamiątki rodowe. Prawdziwy skarbiec. Franciszek z pasją prezentował eksponaty. Pomieszczenie kryło też zbiór trunków, które nie wymagały przechowywania w piwnicy oraz imponującą kolekcję cygar, pasję i chlębę pana domu. Jan wciągnął głęboko powietrze. Tytoń, koniak i drewno pudełek do pakowania cygar. Jeszcze kawa i byłby zestaw doskonały. Klucze do tego sezamu posiadali tylko pan domu i Franciszek.

Morawski zajął miejsce przy stole, a naprzeciwko niego, zachowując dystans i czujność, stanął majordomus.

— Usiądźcie, Franciszku.

Posłuchał, ale siedział idealnie wyprostowany, na brzeżku krzesła.

— Tragedia, prawda? — zaczął cicho Jan.

— Prawda, proszę pana.

— Chciałbym, żebyś mi powiedział, czy wczoraj zdarzyło się coś niezwykłego.

— Nie, proszę pana, wszystko było jak zawsze.

— Jak zawsze ostatnio czy jak zawsze przed przyjazdem hrabiny?

Majordomus rzucił szybkie spojrzenie na gościa i się zawahał.

— Jak zawsze — ostatnio.

— Co się działo wczoraj?

— Niby nic, ale wszyscy byli jacyś dziwni, mrukliwi. Myślałem, że to przez śnieg. Czułem, że się zbliża.

— Reumatyzm?

To pytanie pomogło — Franciszkowi pochlebilo zainteresowanie jego zdrowiem. Może zresztą przypomniał sobie, że jego ukochany pan tak ufał temu młodemu, który rzeczywiście rano pomógł przy Zosi. Lekko odtajał.

— Tak. Wiadomo — starość nie radość.

— Niekoniecznie starość — mój ojciec miał te dolegliwości od trzydziestego roku życia.

Zestawienie arystokraty i służącego cierpiących na tę samą przypadłość poprawiło notowania Jana jeszcze bardziej.

— Każdy ma swój krzyż. — Franciszek chwilę pomilczał. — Wczoraj od rana wszyscy byli nie w sosie. Dwie służące się pokłóciły, kucharka miała scysję z Marią.

Spojrzał znacząco na Jana, który się cicho roześmiał:

— Przypuszczam, że w to wolałeś się nie mieszać.

— Zna pan, widzę, kobiety. Lepiej ich nie godzić, na tym się tylko źle wychodzi.

— *Nie mieszaj się głupi w ten spór biskupi, oni się pogodzą, na tobie się skrupi*— zacytował hrabiego Aleksandra Jan.

— Święta racja.

— Mówiłeś, że wczoraj wszyscy byli dziwni.

— Tak. Każdy siedział u siebie.

— A hrabina?

— Słabowała od rana i nie wychodziła z sypialni. Nikomu przynajmniej nie psuła krwi — dodał z przekąsem, po czym natychmiast się zreflektował. — Przepraszam, tak mi się powiedziało.

— Nie szkodzi, Franciszku. Nie powiedziałaś nic nowego. Opowiadaj dalej.

Franciszek wyraźnie się uspokoił.

— Panicz Karol wyjechał jeszcze przed południowym posiłkiem. Po południu przyjechał pan Bonikowski z siostrą.

— Pan Waclaw, jak słyszałem, miał pretensje do panny Zosi o pierwszego narzeczonego.

— Tak. — Jan aż się wzdrygnął, gdy Franciszek zazgrzytał zębami. — Jak wczoraj przyjechał, to ledwo skinął jej głową. Mam nadzieję, że teraz go zeżrą wyrzuty sumienia.

— I co było dalej?

— Wysłałem Witka, żeby pomógł panu Waclawowi przy toalecie. Panna Paulina przyjechała ze swoją pokojówką — bo ona potrzebuje specjalnej obsługi.

— Wasze pokojówki nie są dość dobre?

— Widocznie nie. Zresztą one nie mają na kim ćwiczyć — panienka była zbyt skromna na takie przebierania, kłafiury, malunki i inne cuda.

— A pani Tarnowska?

— Pani Julia jest artystka, wszystko zależy od humoru. Zawsze ubiera się i czesze sama, zapomina wezwać pokojówkę. Więc nasze służące są według panny Pauliny do niczego.

— A jaka jest pokojówka panny Bonikowskiej?

Majordomus miał swoje zdanie także na ten temat.

— Zadziera nosa, proszę pana. Żąda, żeby jej przynosić jedzenie do pokoju, próbowała traktować z góry nawet Marię. Tu się nie udało — dodał z nietajoną satysfakcją.

— Mogę to sobie wyobrazić. A która ze służących zajmowała się panią Kareńską?

— Ona też ma swoją pokojówkę. Anetkę. Ta jest dla odmiany zbyt... bezpośrednia.

— To znaczy?

— Flirtuje na lewo i prawo. I plotkuje. Ale poza tym jest robotna. I przywiązana do swojej pani — oddał jej sprawiedliwość. — Potem przyszła wiadomość o pana spóźnieniu i pan Tarnowski zadysponował kolację na późniejszą godzinę. Pan Karol też miał kłopoty po drodze i cudem zdążył. Poszedłem z nim na górę pomóc mu się przebrać.

— A potem przyjechałem ja.

Skinął głową.

— Tak, chyba tak, jak zesłaliśmy z panem Karolem na dół, to Maria powiedziała, że gość, znaczy się pan, już jest.

— Później była kolacja, ale to już znam. Gdy panie przeszły do salonu, ty zostałeś z nami w jadalni, więc pewnie nie wiesz, co tam się działo?

Franciszek rzeczywiście niewiele wiedział o tej części wieczoru.

— Tylko ze słyszenia. Wiem, że hrabina źle się poczuła i że później znowu trzeba ją było odprowadzić. To mówiła jej pokojówka dzisiaj rano.

— Dzisiaj rano?

— Tak, wczoraj już nie schodziła na dół, była ze swoją panią. Zeszła dopiero dzisiaj rano.

Doszli do najgorszego momentu — odkrycia śmierci Zosi.

— To ty zawiadomiłeś pana Tarnowskiego o śmierci panienki.

— Maria mnie wezwała. — Szare oczy majordomusa zamigotały. Szeptał: — Nasza maleńka leżała jak

aniołek. Jakby spała. Dotknąłem jej — była zimna. Jak ten śnieg.

Zwiesił głowę na pierś. Przez chwilę obaj mieli przed oczami ten sam obraz.

— Poszedłem obudzić pana Tarnowskiego. Nie chciał mi wierzyć. Jak ją zobaczył... udawał mi, że ona żyje, że śpi... I wysłał mnie po pana.

— Potem zajmowałaś się Karolem i pomagałaś zorganizować spotkania ze służbą.

— Tak.

— Mimo że pękało ci serce.

Jan od razu pożałował tych słów.

— Na pękające serce praca jest najlepsza.

Morawski skinął głową.

— Dlatego nie możemy pozwolić, aby pan Tarnowski został sam ze swoimi myślami.

Franciszek nadal patrzył na gościa, badawczo, wręcz taksująco, jakby chciał przeniknąć jego myśli i wyczuć, ile Jan wie. Wahał się.

— Pan wie?

Jan zrozumiał niewypowiedziany na głos dalszy ciąg pytania.

— Tak, przecież widziałem portret Karoliny.

— Ja też wiedziałem. — Zapora pękła i pełne emocji słowa popłynęły niepowstrzymanie. Prosto spod serca. — Wiedziałem, jak tylko przyjechała. Przecież znałem panienkę Karolinę od takiej dziewczynki, takiej, że jak tu przychodziła, to nie sięgała do stołu. To był promyk tego domu — szloch dławił mu głos. — Od przyjazdu panienki Zosi nasz pan był taki szczęśliwy. Pani Julia też się do niej przekonała, były jak siostry.

Spazmatycznie próbował nabrać tchu. Jan patrzył na niego bez słowa — nie umiał powiedzieć nic, co by wyraziło współczucie, które odczuwał, nic, co by przyniosło pocieszenie temu przyjacielowi rodziny. Oparł się o stół i kojąco poklepał Franciszka po przedramieniu.

— Przepraszam pana, ale tak to jest — była za dobra, za łagodna, aby żyć, a oni tylko patrzyli, jak jej dokuczyć.

— Oni?

— Hrabina, narzeczony, wszyscy. — Wymieniał ich z zaciętrzewieniem, z oburzeniem. — Po co tu przyjeżdżali? Żeby ją dręczyć?

— Słyszałem o tym, już Maria mówiła, że zamienili życie Zosi w...

— Hrabina, niby taka wielka pani, zadawała cios za ciosem. A narzeczony? Zamiast bronić — obrażał się, pouczał, ganił. I ta złośnica, jego siostra, niby przyjaciółka, słodycz...

Jan patrzył na niego ze współczuciem.

— Franciszku, jedno pytanie, ostatnie.

— Oczywiście. Ja przecież zrobiłbym wszystko, żeby pomóc, żeby znaleźć tego, tego...

— To jest właśnie to pytanie. Kto to jest? Ten, którego musimy znaleźć?

— Każdy z nich mógł... — nagle przyłożył dłoń do ust. — Przepraszam, nie powinienem był. Tylko jak sobie pomyśle, że nasz pan znów został sam...

\*

— Odprowadzę pana.

— Dziękuję.

Przeszli przez zwykły kredens, gdzie Jan czekał, aż Franciszek zamknie drzwi do skarbcza, i dalej przez jadalnię wrócili do holu.

Zatrzymali się i Jan zapytał z troską:

— Dasz sobie radę?

— Tak, dziękuję. — Był zdziwiony zainteresowaniem Jana, ale wdzięczny. — Proszę się zająć panem.

— Zrobię to.

Wzrok Franciszka zatrzymał się nagle na czymś za plecami Jana. Wyszeptał ze zgrozą:

— Złamię ją.

— Słucham?

— Tarczę herbową. Przełamię ją nad grobem ostatniego Tarnowskiego. I to będzie koniec rodu.

Janowi przeszedł po plecach dreszcz i mimo woli się wzdrygnął. A Franciszek wieszczył jak w transie:

— Tak jak na pogrzebie hrabiego Działyńskiego: przełamię tarczę, przełamię szablę, przełamię pieczęć.

Jan ujął majordomusa pod ramię i delikatnie oderwał od ponurej wizji. Stanęli pod drzwiami gabinetu, Morawski zapukał i, gdy usłyszeli zaproszenie Tadeusza, weszli do środka.

— Skończyliśmy, Tadeuszu. Franciszek bardzo mi pomógł.

— To dobrze. Dziękuję, Franciszku.

Jan uściśnął majordomusowi dłoń i również mu podziękował. Franciszkowi nie udało się ukryć wzruszenia. Wyszedł, a Tadeusz patrzył za nim w osłupieniu, po czym powiedział do Jana:

— Ty masz dziwne właściwości, wiesz? Potrafisz zamienić każdego w trzęsącą się z emocji galarete.

— Nie wiem, o czym mówisz, mój drogi.

— O Marii, o Kareńskiej, o Franciszku. Rozpadli się przy tobie na kawałki.

— Przesadzasz.

— Wcale nie. Zaczynam się ciebie bać.

To, co powiedział Tadeusz, nie było dla Jana niczym nowym. Słyszał wielokrotnie, że potrafi sprawić, iż ludzie się przy nim odprężają, stają sobą, ujawniają emocje, które dotychczas skrywali lub z których istnienia nie zdawali sobie sprawy.

— Co z Karolem? — wołał zmienić temat Jan.

— Niedobrze, kompletnie się załamał.

— Nadaje się do rozmowy?

Tadeusz pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Trudno z nim nawiązać kontakt. Niewiele do niego dociera.

— Gdzie był?

— W stajni. — Podeszli do okna wychodzącego na podwórze. — Siedział w boksie swojego konia i wpatrywał się w niego. Biedny chłopak.

Jan też się martwił.

— Nie powinien zostawać sam. Zaproponowałeś mu, żeby przyszedł?

— Tak, przyjdzie. Dołączy do nas w bibliotece. Pomyślałem, że teraz także mnie przydałaby się zmiana otoczenia. Jeśli oczywiście się zgadzasz?

— Naturalnie. Wiesz, że przepadam za bibliotekami, księgarniami i antykwariatami. Poza tym, z tego co słyszałem, twój księgozbiór jest imponujący.

Wyraźnie sprawił tym Tadeuszowi przyjemność.

— Powiedziałbym, że całkiem obszerny, ale bardzo mu daleko do kolekcji zgromadzonych przez Raczyńskiego czy Działyńskiego.

— Wysoko mierzysz.

— Trzeba równać do najlepszych.

Biblioteka była dużym pomieszczeniem z oknami na jednej ścianie, pomiędzy którymi stał olbrzymi kominek. Oszklone szafy wypełniały pozostałe ściany. To dzięki tym przeszkleniom, które odbijały światło, biblioteka nie sprawiała przygnębiającego wrażenia, mimo iż meble były ciemnobrązowe, a obicia i zasłony w kolorze czerwonego wina. Na środku stał wielki stół, cały zarzucony gazetami, wokół

którego ustawiono kilka foteli. Umieblowanie dopełniały dwie kanapy i niewielkie stoliki. Wszystko tu służyło wygodzie czytającego. Większość mebli miała kółka, które pozwalały na ich przesuwanie w zależności od pory dnia i roku. Stoliki, również przesuwalne, przeznaczone były do odkładania książek, filiżanek i lamp.

— Dobry Boże, skąd masz to чудо?

Tadeusz podążył za wzrokiem Jana, który wpatrywał się urzeczony w olbrzymi wolno stojący globus. Zachwyt odebrał Janowi głos. Przyklęknął i obiema dłońmi dotykał kuli, radosny jak dziecko, które dostało nową wymarzoną zabawkę. Tadeusz nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok tego szczęścia.

— Piękny, prawda?

W odpowiedzi usłyszał tylko mruknięcie. Dał Janowi jeszcze chwilę na kontemplowanie nowo odkrytego skarbu.

— Rozumiem, że biblioteka ci się podoba?

— Na twoim miejscu nie wychodziłbym stąd.

— Gdy jesteśmy sami, spędzamy tu z Julią wszystkie wieczory.

Jan spojrzał badawczo.

— A odkąd zamieszkali z wami Zosia i Karol?

— Zosia bardzo lubiła tu z nami być.

Zapadła krępująca cisza. Jan oderwał wzrok od globusa — nadarzyła się okazja, żeby wreszcie wyjaśnić tę kwestię.

— Odnoszę wrażenie, że poczucie bliskości z Zosią nie przeniosło się na wasze relacje z Karolem.

— Nie, niestety nie.

Tadeusz chciał dodać coś jeszcze, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Witek.

— Pani Maria prosi powiadomić, czy panowie życzą sobie uraczyć się kawą — po swojemu wspiął się na wyżyny słowotwórstwa.

Tadeusz spojrzał pytająco na Jana, który gorąco przytaknął.

— Opowiedz mi o Karolu — poprosił, gdy lokaj zamknął za sobą drzwi.

— Jest starszy od Zosi, ma dwadzieścia trzy lata. I inny niż ona. Może dlatego nie mam do niego przekonania.

— Co znaczy inny?

Tadeusz zaczął się wymigiwać od odpowiedzi.

— Nie umiem opisywać ludzi.

— To nieprawda, zauważasz zdecydowanie więcej od innych.

Tarnowski potraktował to stwierdzenie jako grzecznościowe.

— Zawsze mi się wydaje, że ten obraz jest niepełny, fałszywy.

— Zawsze taki obraz jest niepełny, ktokolwiek go tworzy. Tylko że w przeciwieństwie do większości ludzi, ty sobie z tego zdajesz sprawę. Opowiadaj — na czym polega ta różnica między Karolem a Zosią?

— Jest błyskotliwy, śmiały, wszędzie go pełno. Prawdziwy talent towarzyski — tu się różnimy, ja i on.

— Wyznawcy najnowszych teorii dotyczących zachowań ludzkich powiedzieliby ci, że mu po prostu zazdrościsz.

— Być może. Owszem, podziwiam tę jego łatwość niezobowiązującej, lekkiej rozmowy.

— A jego pasje, zainteresowania?

— Konie. Konie. Konie.

— Studia, jak mówił, musiał przerwać z uwagi na brak funduszy.

— Tak, ponoć tak.

To „ponoć” było bardzo znamienne.

— Sądzę, że gdybyś spytał moją żonę, powiedziałaaby ci, że pod tym akurat względem brak funduszy był Karolowi na rękę.

— Tak, pamiętam, że ona za nim nie przepada.

— Próbowałem na początku dochodzić dlaczego, ale się zgubiłem.

Zrobił przy tym tak komiczną minę, że Jan się zaśmiał.

— Jest inteligentny, inteligentniejszy niż Zosia — podjął opowieść Tarnowski. — Nawet ja muszę to przyznać. I myślę, że jest... hm, jak to powiedzieć?... Płytki. Powierzchnowny, niestały. Tu akurat zgadzam się z hrabiną.

— Może wydorosłeje.

— Może. Myśli dużo o sobie — Zosia nigdy nie chciała nic dla siebie, zawsze dla innych. Różnili się.

— Niebo i ziemia — dopowiedział Jan.

To porównanie przyszło mu do głowy machinalnie, ponieważ ponownie stał przy globusie. Jedną ręką wprawiał gładką kulę w ruch, zatrzymywał drugą na chybił trafił i sprawdzał miejsce. Przypomniała mu się zabawa z dzieciństwa — co wieczór wspólne z dziadkiem wertowanie wielkiego starego atlasu i wybieranie miejsca wspólnej podróży. Zawsze w to grali. W czasie świąt, gdy rodzice wyjechali, bo właśnie burzliwie przechodzili po raz kolejny rozstanie lub powrót. Te miejsca zwiedzał Jan później sam — dziadek nie żył wystarczająco długo. Szkoda.

— Lato i zima. Albo lepiej ona — wiosna i on — zima — doprecyzował Tadeusz. — Cokolwiek by powiedzieć, byli do siebie bardzo przywiązani i nasza zima kochała wiosnę.

— Z tego, co wczoraj widziałem, a dzisiaj słyszałem, z wiosną było jak to z wiosną — łatwo było ją kochać.

— Wiemy od rana, że co najmniej jedna osoba jej nie kochała.

Ktoś ponownie zapukał i weszła pokojówka z tacą, na której niosła zastawę do kawy, a za nią druga dziewczyna z piętrową etażerką wypełnioną ciastkami. Jan z przyjemnością odnotował klery z karmelową polewą, makaroniki i pierniczki. Były też tajemnicze czekoladowe kule, a także, oby Allah pobłogosławił kucharkę — babeczki.

Jan głośno przełknął ślinę, a w drzwiach pojawił się Karol. Wyglądał źle: potargany, zaczerwienione oczy, półprzytomny wzrok. Wszedł, na nikogo nie spojrzał, usiadł. Tadeusz zaczął nalewać kawę, co trochę pomogło rozładować napięcie.

— Karolu?

Kiwnął odmownie głową.

W bibliotece przez chwilę panowała cisza. Tadeusz pił kawę, a Jan pałaszował ciastka. Skończył już klera — to była jednak polewa kawowa, nie karmelowa — i poznał czekoladową kulę — wyborna, z suszonymi figami. Po zaspokojeniu pierwszego głodu — a właściwie ataku łasuchowania — nadszedł czas na babeczki. Nałożył sobie od razu dwie, żeby nie wzbudzać sensacji, gdyby za szybko zdecydował się na dokładkę. Odgryzł kawałek.

Ciasto kruche, pękające od razu, maślane, mało słodkie. A wewnątrz pyszna masa waniliowa — ni to budyń, ni to krem. Lekka i gładka, topniejąca w ustach. Janowi przysłała na myśl niania Luiza, która uwielbiała takie babeczki. Przymknął oczy i prawie poczuł zapach werbeny, jej zapach. Nie wiedział, że Tadeusz przygląda mu się z sympatią.

— Myślę, że możemy zaczynać.

Jan natychmiast oprzytomniał. Równocześnie do rzeczywistości powrócił Karol i spytał Jana:

— Wiadomo coś?

— Odpowiem tak jak Tadeuszowi: znam zdecydowanie więcej faktów, ale sprawa się z każdą chwilą gmatwa.

— Nawet nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać — przyznał Tadeusz.

— Zasada jest prosta: morderca musi mieć motyw, sposobność i dostęp do trucizny.

Rusiecki przez moment wpatrywał się w Jana, po czym skinął głową i zauważył:

— Teraz już rozumiem, dlaczego sprawa się komplikuje — nie znalazł pan nikogo, kto miałby motyw.



— Wręcz przeciwnie. Problem polega na tym, że znalazłem zbyt wiele takich osób.

Karol odpowiedział od razu, bez namysłu, i Jan nie wiedział, czy przeważało zdziwienie czy oburzenie.

— Niemożliwe. Nie ma nikogo takiego.

— Oto co udało się ustalić. Najpierw hrabina Kareńska. Motyw: Zosia była narzeczoną jej syna i hrabina uważa, że dziewczyna zerwała zaręczyny, przez co jej jedynak wyjechał i zginął. Dowiedziała się, że Zosia tu jest — na spojrzenie Tadeusza dopowiedział — nie wiemy od kogo. Wprosiła się tu, dręczyła dziewczynę i oskarżała ją o śmierć Michała. Bez trudu mogła przypisać sobie rolę Nemezis.

Słuchacze wpatrywali się w Jana z napięciem, którego pozazdrościłby mu każdy aktor.

— Miała okazję — gdy wyszła wieczorem z jadalni pod pozorem złego samopoczucia, w istocie szukała w pokoju Zosi ostatniego listu od swego syna. Morfinę mogła przywieźć ze sobą. Lekarz wypisałby jej receptę, wystarczyłoby symulować bóle.

Karol podbiegł do Jana, złapał go za rękaw i jak w gorączce żądał:

— Trzeba ją zamknąć. Jak najszybciej, żeby nie uciekła — teraz. Od razu!

— Jest tylko jeden drobny szkopuł.

— Jest niebezpieczna, zdolna do wszystkiego!

— Pani Kareńska wyczytała w tym liście, że to jej syn porzucił Zosię, a nie na odwrót. Można więc powiedzieć, że motyw zniknął. Nie miała powodu zabijać.

— Ona kłamie, na pewno kłamie! — Karol wykrzyczał to, szarpiąc Jana za ubranie i jednocześnie zwracając się do Tadeusza, jakby u niego szukał poparcia. — Zosia nie miała żadnego listu.

— Widziałem ten list. Poza tym przecucie mi mówi, że hrabina powiedziała prawdę. Idźmy dalej. Pan poseł.

Karol znowu się ożywił.

— Waclaw? On by nigdy...

— Nigdy? — Ironia w głosie Jana aż kłuła w uszy. — Od hrabiny dowiedział się, że nie jest pierwszym narzeczoną. To obudziło jego zazdrość, uraziło dumę i pychę. Stwierdził, że go oszukano i nie pozwalał Zosi o tym zapomnieć. Dla kogoś z taką, nie wahajmy się tego nazwać wprost, manią wielkości, odkrycie, że jest się drugim to cios. I to jest motyw — to może być motyw.

Karol niespokojnie wodził oczami po całej bibliotece, w końcu zatrzymał wzrok na Janie i zaprotestował:

— Nie wchodził do pokoju Zosi. Nie zaryzykowałby. Przecież gdyby ktoś go tam spotkał...

— Nie musiał wchodzić. Proszę sobie przypomnieć — razem z panem odbierał lek z apteki, a potem przywiózł go Zosi. Mógł bez problemu zamienić dawkę po drodze. Bywa w Berlinie — łatwo mógł zdobyć narkotyk.

Tadeusz wtrącił się po raz pierwszy:

— Janie, to, co mówisz, przeraża mnie.

— Tak, wiem. A to dopiero początek. Teraz kolejna osoba, aczkolwiek ze względu na pana Karola waham się, czy ją wymienić...

Karol uniósł wysoko brwi.

— Paulina.

— Paulina?

Zerwał się jak opętany i Jan przez moment obawiał się, że młody Rusiecki rzuci się na niego.

— Przecież panna Paulina marzyła o ślubie Waclawa z Zosią. Niemożliwe. Nie uwierzę.

— Karolu, uspokój się — mitygował Tadeusz. — Choć przyznam, Janie, że ja również nie mogę w to uwierzyć.

— A czy ja mówię, że w to wierzę? Nie wierzę.

Reakcja była natychmiastowa i równoczesna.

— Nie?

— Nie. Ale uczciwość nakazywała mi o tym wspomnieć. Bo teoretycznie taka możliwość istnieje. Miała doskonałą sposobność: jechała z Wacławem i bez trudu mogła zamienić pakiety.

Karol uniósł prawą brew do góry i prychnął z kpiną:

— Na oczach brata?

— Brat po drodze odbierał przesyłkę na pocztę i zostawił leki w saniach w kuferku z jej rzeczami.

Zdumienie chłopaka sprawiło Janowi satysfakcję.

— Dostęp do trucizny? W Poznaniu, w Berlinie, lekarze łatwo ulegają pacjentkom i zapisują morfinę, szczególnie jeśli chodzi o młodą, elegancką damę.

Jan nalał sobie kolejną filiżankę kawy. Chciał mieć jasny umysł. Poza tym zamierzał zjeść jeszcze co najmniej jedną babeczkę, a wiedział, że doceni ją lepiej, jeżeli nie będzie przesłodzony. Gorzka kawa jako przerywnik rozwiąże ten problem. Upił dwa łyki i ciągnął dalej:

— Mam tylko problem z motywem. Mogła chcieć wyeliminować Zosię, aby większy majątek przypadł panu, ale uznałem to za zbyt słabe. Co więcej, Zosia nie byłaby żadną konkurentką, a wręcz bezpiecznym rozwiązaniem. I tu jest słaby punkt — brak motywu.

W bibliotece panowała cisza. Jan przesunął fotel, bo oślepiało go niskie styczniowe słońce, coraz odważniej wyglądające zza chmur. Delektował się kawą i czekał na reakcję.

— Kiedy oznajmiasz, że kogoś podejrzewasz, najpierw wydaje mi się to absurdem — zaczął Tadeusz.

— Gdy punkt po punkcie to analizujesz, wszystko zaczyna pasować i jestem pewien, że znalazłeś mordercę. Po czym ty sam udowadniasz, że ta osoba nie zabiła.

— Aż się boję mówić dalej...

— Ktoś jeszcze?

— Myślałem o Julii...

— Żartujesz?!

— Kazalesz Karolowi słuchać o Paulinie, więc wysłuchaj też tego.

Argument był wybrany z rozmysłem. Tadeusz, przeczulony na punkcie sprawiedliwości, nie mógł odmówić. Zaciśnął zęby.

— Słucham.

— To tylko teoria — pamiętaj. Obaj wiemy, że Julia była tego popołudnia w pokoju ofiary. — Jan dostrzegł zdumienie Karola. — Proponowała Zosi, że jej pożyczycy diadem. Chodziła po pokoju, przestawiała przedmioty, przez przypadek rozerwała nowy pakiet z proszkami. Mogła je zamienić. I bez trudu mogła zdobyć morfinę.

Nieoczekiwanie w obronie Julii stanął Karol.

— Jaki motyw mogłaby mieć pani Julia?

— Na przykład zazdrość o młodszą kobietę.

— Przecież Zosia nie była dla Tadeusza kobietą, raczej dzieckiem.

— No to zazdrość o dziecko.

— Przecież Zosia...

Karol nagle zamilkł. A Jan też się zatrzymał, w ostatniej chwili.

— Zosia mogła się stać tą osobą, którą Julia chciała ci dać, Tadeuszu — wybrnęła.

Tarnowski patrzył na Jana z bólem, a on nienawidził się za to, że jest tego bólu sprawcą. Zapewnił przyjaciela, akcentując każde słowo:

— Tadeuszu, ona tego nie zrobiła. — Wiem o tym.

Karol od razu zareagował:

— A skąd?

— Po prostu wiem. Moja teoria ma kilka słabych punktów, przedstawię jeden i pozostałe stracą znaczenie. — Usiadł wygodnie w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi, splótł palce dłoni, spojrzał

najpierw na Karola, potem na Tadeusza i wyjaśnił: — Odnoszę wrażenie, że to morderstwo zostało zaplanowane i przeprowadzone na zimno. Przez kogoś umiejącego planować, przez kogoś wyrachowanego. Twoja żona, Tadeuszu, nie byłaby w stanie zabić w ten sposób. Potrafię sobie wyobrazić, że zabija. Ale nie w taki sposób. I nie Zosię, bo wierzę, że naprawdę ją lubiła.

Tadeusz odwrócił głowę na bok i głęboko odetchnął. Jan też poczuł ulgę — przedstawił dwie najgorsze koncepcje — tę o Paulinie i o Julii. Reszta będzie banalna.

— Rozważałem też samobójstwo. Jednak, pomijając wszystko inne, była na to zbyt religijna.

— Głęboko wierząca — skorygował go Tadeusz. — I niezdolna do sprawienia nam bólu. Samobójstwo możemy skreślić. Jakie są jeszcze możliwości, Janie?

— Sporo: Maria — brakuje mi motywu, Franciszek — to samo, jest też reszta służby. Nadal szukam.

— A ja? Nie wzięliście mnie pod uwagę? — Karol był prawie urażony, że go pominięto.

— A kiedy miałby pan to zrobić? Leki odbierał pan przy Waławie, on je przywiózł i przekazał Zosi. Przyjechał pan spóźniony, a potem był cały czas z Franciszkiem lub z nami.

— A poza tym, jaki miałbyś mieć powód, mój drogi?

Karol wzruszył ramionami.

— Proponuję przerwę — przejął dowodzenie Tadeusz, widząc, że Jan przygląda się budyniowym babeczkom. — Jeśli to już wszyscy.

— Wszyscy — potwierdził Jan.

Karol, nagle skoncentrowany, wyprostował się, jakby tknięty niespodziewaną myślą. Spojrzał na Tadeusza i zmarszczył czoło. Już otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

## 10.

Po wyjściu Karola, który nagle się zerwał i oznajmił, że potrzebuje samotności, Jan z Tadeuszem siedzieli w ciszy w bibliotece.

— Tadeuszu? — w końcu Jan przerwał milczenie.

Przyjaciel odwrócił się od okna, przy którym stał, i podszedł do stołu, odstawiając pustą filiżankę po kawie. Spojrzał pytająco na Jana.

— Musiałem, wiesz o tym, prawda? Wziąć także Julię pod uwagę.

— Dlaczego, skoro nie wierzysz, że zamordowała Zosię? Po co ta cała analiza, skoro sam zbijałeś swoje argumenty.

— Właśnie po to. Żeby zbić te argumenty, Tadeuszu. Ale bałem się mieszać Julię do tego. Za nic nie chciałbym stracić twojej przyjaźni.

— Nie straciłeś jej. Teraz rozumiem. Choć w pierwszej chwili sam miałem ochotę stać się mordercą.

Do biblioteki weszła Julia.

— *Lupus in fabula* — powitał żonę Tadeusz.

— Jeśli wchodzę i słyszę o wilku, to znaczy, że o mnie plotkowaliście.

— Kochanie, mężczyźni nie plotkują — podtrzymał przekomarzanie mąż.

— Tak, zapomniałam, wy tylko wymieniacie poglądy.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Co u ciebie, malutka? Wszystko dobrze?

— Tak, przyszłam, bo wyobraź sobie, że Maria zadawała mi dziwne pytania na temat obiadu.

Jan z trudem powstrzymał parsknięcie śmiechem.

Mąż był wyrozumiały.

— Jakie pytania?

— Czy obiad na ciepło, czy nie lepiej na zimno, tak jak późne śniadanie. Przecież śniadanie już było. Coś tam jeszcze mówiła, że nie zna waszych planów. I że tak byłoby wygodniej. I taktowniej. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Tłumaczyła, że zwraca się z tym do mnie, bo ty jesteś zajęty.

Julia była autentycznie zdziwiona. Tadeusz pospieszył zdjąć z niej ten ciężar.

— Jak ją spotkasz, to powiedz, że ma rację, że tak jak późne śniadanie. Na zimno, może z jednym ciepłym daniem. Między drugą a trzecią.

— Między drugą a trzecią. Na zimno, z jednym ciepłym. Wszystko jasne, już do niej idę. Ale się zdziwi.

Klasnęła lekko w dłonie, cała radosna na myśl o niespodziance, którą sprawi Marii. Wyszła, ale nim którykolwiek z nich zdążył otworzyć usta, wróciła.

— Ja właściwie przyszłam, bo hrabina chciała z wami porozmawiać.

— Powiedziała ci to?

— Poszłam do niej, sprawdzić, jak się czuje. Wychodząc stamtąd, spotkałam Marię. Swoją drogą są podobne — zauważyliście? Takie dumne i obowiązkowe. I nikomu nie pozwalają się do siebie zbliżyć. Jakby się bały uczuć. I ten upór. Idą jak taran. Do celu. To oczywiście dlatego, że obie są spod znaku Koziorożca. Z drugiej dekady.

Tadeusz gładko przełknął ten argument i przypomniał żonie, że miała im opowiedzieć o hrabinie.

— Czuje się marnie. Wygląda jakby... coś ją złamało. Albo jakby z czymś się pogodziła.

— I chciała się z nami spotkać?

— Tak. Zaproponowałam, żebyście porozmawiali u mnie, tam jest tak uspokajająco, mogłabym jej rozpylić olejki lawendowe, pomagają przy migrenie... Ale wolała zostać u siebie.

— Czyli mamy iść do jej pokoju.

— Tak, tak powiedziała.

Tadeusz spojrział na Jana, który zafascynowany wpatrywał się w Julię. Stała przy stole, wzięła do ręki klera, rozdzieliła ciastko i łyżeczką wyjadała ze spodu krem. Jan obiecał sobie, że na osobności musi wypróbować tę metodę.

— Dokąd idziemy? — zapytał, gdy już byli na schodach.

— Do sypialni paradnej. To dawna sypialnia mojej matki. Oboje z Julią woleliśmy te pokoje, które teraz zajmujemy, więc pokój mamy, największa sypialnia w domu, został zamieniony na pokój gościnny. Między sobą nazywamy go sypialnią paradną.

Akurat dotarli na pierwsze piętro.

— To jej portret. Wszyscy się dziwią, że wisi tak z boku, przy schodach. A to nie o schody chodziło, tylko o to okienko — wyjaśniał nagle rozpozgodzony Tadeusz.

Wskazał małe okrągłe okno, właściwie świetlik, umieszczony nad podestem schodów. Portret wisiał tuż obok.

— Uwielbiała to okno, siadaliśmy na schodach i wyglądaliśmy przez nie. Było nam razem wspaniale.

Jan oparł się łokciami o górną balustradę i zapatrzył się w tę piękną kobietę. Tadeusz dołączył do niego i ciągnął swe wspomnienia:

— Co rano przychodziłem do niej do sypialni. Siedziała w łóżku i czytała, czekając na mnie ze śniadaniem. Guwernantka upierała się, abym jadł kaszkę, ale mama po kryjomu częstowała mnie tym, co sama jadła, a kaszkę dawała psu. Potem oglądaliśmy razem książki z obrazkami. Czasami gazety, takie dorosłe. Szczęśliwe czasy.

Ruszył wolno korytarzem, a Jan z niechęcią oderwał się od podziwiania pani Tarnowskiej i podążył za gospodarzem. Stanęli przed podwójnymi drzwiami i Tadeusz zapukał. Odpowiedziano im i weszli.

Jan rozglądał się ciekawie po dużym, imponującym pomieszczeniu. Dół ścian pokrywały kremowe boazerie, a górę tapeta w pasy w kolorze écru i starego złota. Centralnym punktem pokoju było olbrzymie łóżko z czterema kolumnami i iście królewskim baldachimem. Przeciwwagę dla łóżka stanowił wielki kominek, z którego boku widoczne były drzwi do następnego pomieszczenia. Mahoniowe biedermeierowskie meble dobrano konsekwentnie — umeblowanie stanowiły kanapa i fotele wokół stołu, toaletka i kilka drobniejszych elementów. Tapicerkę i zasłony dopasowano kolorystycznie do tapet i obrazów. Harmonijna całość wydała się Janowi w doskonałym guście. Przypominała stonowane francuskie wnętrza z początku wieku. W sypialni unosił się wyraźny zapach tuberozy, ten sam, który przenikał suknię hrabiny naznaczoną woskiem Zosi.

Na kanapie siedziała blada pani Kareńska.

— Dziękuję, że panowie przyszli. Chciałabym coś opowiedzieć. Możesz nas zostawić — zwróciła się do pokojówki — na razie nie będę cię potrzebować.

Dziewczyna dygnęła — najpierw hrabinie, potem w stronę obu mężczyzn, a Jan na deser otrzymał jeszcze uśmiech.

— Właśnie opowiadałem Janowi, ile pięknych wspomnień mam związanych z tym pokojem. To był pokój mojej ukochanej matki, spędzałem tu poranki, jedząc z nią śniadanie.

— Jedynek?

— Nie, miałem siostrę, dużo młodszą.

— I co się z nią stało?

— Zmarła. Na suchoty. W wieku piętnastu lat.

Posmutniała.

— Twoja matka miała jeszcze ciebie.

— Moja matka już wtedy nie żyła. Nigdy nie doszła w pełni do siebie po urodzeniu Karoliny.

Pani Kareńska pokiwała głową ze zrozumieniem. Julia słusznie zauważyła, że hrabinę coś złamało. To nie była ta sama osoba. Oczywiście Jan nie byłby sobą, gdyby natychmiast nie zaczął się zastanawiać, jak długo potrwa ta cudowna transformacja.

— Tak długo karmiłam się myślą o zemście, tak długo żyłam tylko tym, że teraz nie wiem, co ze sobą zrobić — przyznała nieoczekiwanie Kareńska.

Zapadła cisza.

— Nie o tym chciałam rozmawiać. Zastanawiałam się, jak wam pomóc i pomyślałam, że zazwyczaj najwięcej wie służba.

— To prawda. Jan rozmawiał ze wszystkimi — jednak bez większego rezultatu.

— Wypytywałam moją służącą. Jest, co prawda, przyjezdna, niemniej odnoszę wrażenie, że dobrze jej się układa z miejscowymi. Okropna z niej plotkarka, za to jest staranna i chętna, no i pracuje dla mnie od lat, tak jak przedtem jej matka.

Jan wiedział, że przerywanie damom na pewnym stanowisku jest ryzykownym pomysłem, ale niecierpliwił się i musiał ją trochę popędzić:

— Coś wie?

— Początkowo nie chciała mówić. Potem plątała się — nie wiedziała, w jaki sposób nie powiedzieć mi, co służba sądzi o tym, że dręczę ich panienkę. — Przestała mówić, pochyliła nisko głowę i uderzyła się w pierś. Po chwili podniosła głowę. — Do rzeczy. Pokojówce Pauliny wymknęło się, że Bonikowski odwiedza w Poznaniu pewną pannę z bardzo dobrego domu. Ponoć już wcześniej się nią interesował, mówiono o zaręczynach, ale pojawiła się Zosia.

— Więc skończył z tamtą, bo zakochał się w Zosi — uspokajał się Tadeusz.

— Nie wiem, czy się zakochał. Na pewno Zofia bardziej mu odpowiadała pod względem usposobienia. A tamta ponoć jest charakterna, do tego, mówiąc ogólnie, nie grzeszy urodą. Teraz jednak on znowu ją odwiedza.

Tadeusz wyglądał na zaszokowanego i Jan przypuszczał, że jego prostolinijny przyjaciel nie potrafił pojąć, jak można zaręczyć się z kobietą, a jednocześnie utrzymywać kontakt z inną kandydatką na żonę.

— Pani wspomniała, że tamta jest dziedziczką? — Tadeusz chciał to dobrze zrozumieć.

— Tak, służba mówi też o niej: „milionowa”. Byłam zdziwiona, bo Bonikowski ciągle podkreśla swoją znakomitą sytuację finansową, ale wiadomo, że dla większości ludzi pieniądze są najważniejsze i uznają, że nie można mieć ich zbyt wiele.

— Na pewno przy wyborze Zosi nie kierował się posagiem — skomentował Jan.

— Nie kierował się posagiem? — zerwał się wzburzony Tadeusz. — Odwiedził nas krótko po przyjeździe Zosi i widzieliśmy, że podobała mu się od razu — cicha, skromna, podziwiająca go. Nie wspominał o małżeństwie, bo to byli moi krewni trzymani z litości. Potem zacząłem myśleć o adopcji i gdy to się rozeszło po okolicy, pojawili się konkurenci. Przedtem za wszelką cenę Wacław unikał jakichkolwiek wzmianek o żonie, o rodzinie. Nagle zaczął występować w roli wielbiciela, adoratora.

— Ha! — podjęła pani Kareńska. — To już nie była uboga krewna, tylko potencjalna spadkobierczyni.

— Jakiś miesiąc temu przyszedł do mnie wywiedzieć się, czy pogłoski o adopcji są prawdziwe i „na jaki posag mógłby liczyć, gdyby...”. Określiłem sumę. Po dwóch dniach przyjechał i się oświadczył.

Jan skrzywił się z niesmakiem.

— Czyli jednak pani informatorka mogła mieć rację — decydował posag.

Tadeusz podszedł do stojącego z boku klęcznika podróznego hrabiny i przez chwilę wpatrywał się w ślady kolan odcisnięte w pluszowej wyściółce.

— Co było dalej? — chciała wiedzieć Kareńska.

— Oczywiście rozmawiałem z Zosią, przedstawiłem jej propozycję Bonikowskiego. Poprosiła o czas do namysłu. Liczyłem, że odmówi. A ona przyszła już następnego dnia — przemyślała to, zgadza się, czas zakończy dzieciństwo. Powiedziała, że postanowiła być idealną żoną i panią domu i że natychmiast rozpoczyna przygotowania do tej roli.

Milczeli.

— Może go kochała? — w głosie Tadeusza brzmiała i nadzieja, i wątpliwość.

— Niemożliwe, żeby znając Michała, będąc przez niego kochaną, mogła kochać tego bufona — zdecydowała hrabina.

— Zgodziła się — Jan nie mógł oszukiwać przyjaciela — bo nie chciała być dla ciebie ciężarem.

— Na pewno tak nie myślała. Była moją radością. Wiedziała o tym.

— A powiedziałaś jej to? — znacząco zapytała hrabina.

— Nie, ale przecież widziała.

— Kobietom trzeba mówić takie rzeczy. Po tylu latach małżeństwa powinieneś to wiedzieć.

— Tym bardziej że Zosia była skromna, że nie wierzyła w siebie — dodał Jan.

Tadeusz nadal wątpił.

— Skąd wiesz o tym, że nie chciała być ciężarem?

— Od Karola. Marzyła, że jak wyjdzie za Waclawa, to jej mąż sfinansuje dalsze studia Karola.

— Ciekawe, czy jej mąż byłby w stanie opłacać naukę szwagra — zauważyła Kareńska. — Jeśli tak mu zależy na posagu, to może ma kłopoty.

Tadeusz wydawał się złamany.

— Jest jeszcze jedna sprawa — ciągnęła hrabina. — Proszę pamiętać, że powtarzam słowa służącej. Służba Waclawa uważa, że ich pan się rozmyślił co do małżeństwa z Zosią po tym, jak wyszło, że poprzednio kochała innego. Uważają, że śmierć Zosi jest Bonikowskiemu na rękę, bo będzie mógł ożenić się z tamtą. Chyba chciał nawet wykorzystać zatajenie... znajomości z moim Michałem jako pretekst do zerwania.

Zauważyli, że oddychała z coraz większym świstem. Jan podniósł się z fotela, nie wiedząc, czy powinien zaproponować dumnej pani pomoc, czy też zdoła ona sama wrócić do równowagi. Nie zdołała — zaczęła szlochać i wśród spazmów usłyszeli jej samooskarżenie:

— Po co ja tu przyjechałam!?

Tadeusz szybko do niej podszedł, przyklęknął i ujął ją za rękę. Jan zadzwonił na służbę, ale by nie tracić czasu wybiegł na korytarz. Dostrzegł w holu Marię i zawołał ją. Wystarczył jej rzut oka na chorą, by wiedzieć, co robić. Dobiegła do szafki nocnej, spośród kilku buteleczek wybrała właściwą i z lekarstwem w jednej, a kieliszkiem w drugiej ręce podeszła do oddychającej chrapliwie damy. Nalała ciemny płyn z butelki i podała chorej.

Tymczasem weszła służąca, wezwana dzwonkiem Jana.

— Biegnij po Anetkę — rzuciła krótko Maria. — Szybko.

Słyszeli, jak zbiega ze schodów. Jan z łatwością podniósł Kareńską i delikatnie ułożył na łóżku, a Tadeusz nerwowo zapytał Marię:

— Co możemy zrobić?

— Dam sobie radę. Lekarstwo dostała, a zaraz przyjdzie jej pokojówka.

Mężczyźni opuścili sypialnię i odeszli kawałek w głąb korytarza. Tadeusz wskazał niewielką niszę z fotelami i palmą w donicy.

— Wejdźmy tu.

— Szpetna dziedziczka. Wiesz, o kogo chodzi?

— Domyślam się.

Nie powiedział nic więcej. Nagle spojrzął na Jana i wyszedł z powrotem na korytarz.

— Karol może wiedzieć więcej, razem z Wacławem bywali u brata tej dziewczyny. Jeśli wiedział, powinien był mi powiedzieć — rzucił przez ramię podążającemu za nim Janowi.

\*

Tadeusz prawie biegł. Jan dogonił go i złapał za ramię.

— W bibliotece wycofałem się w ostatniej chwili z pytania, bo nie wiedziałem, czy Karol wie, że Zosia była tylko jego przyrodnią siostrą.

— Nie wie — rzucił Tadeusz. Ruszył i się zatrzymał. — Wolałbym, aby nie wiedział. — Ponownie ruszył i się zatrzymał. — A właściwie, to nie wiem, czy wie.

Odwrócił się do Jana.

— Ja już nic nie wiem — zaczął wyrzucać z siebie. — Zauważyłeś to? O ilu rzeczach nie wiem? Czy ja jestem ślepy czy po prostu głupi? Możesz mi to...?

Stali na korytarzu i każdy mógł z łatwością usłyszeć ich rozmowę, która bynajmniej nie należała do cichych. Jan zorientował się, że znajdują się tuż obok buduaru Julii. Miał nadzieję, że pani domu zgodnie ze swoim zwyczajem gdzieś się zawieruszyła i że jej pokój będzie pusty. Zaproponował Tadeuszowi szeptem, ale z naciskiem:

— Wejdźmy tu.

Tadeusz się nie opierał. Był jak w transie, jakby cały stres i zdenerwowanie nagromadzone od rana teraz znajdowały ujście. Miotał się po buduarze żony, w pędzie potrącał mniejsze meble i rozwiewał leżące na podłodze kartki.

— Co tu się dzieje? Sądziłem, że Zosi jest z nami dobrze, że o nią dbam. A czego się dowiedziałem? Że przez ostatnie dni była dręczona, że jej własny narzeczony ją prześladował, że zgodziła się za niego wyjść, żeby nie być mi ciężarem? Że ten... drań dogadywał się na boku z inną? Poza tym wierzyłem, że nikt nie wie o mnie i o Zosi, a tu się okazuje, że wiedzą wszyscy.

— Nie wszyscy.

— Kto nie wie?

— Na przykład hrabina.

Tym stwierdzeniem udało się Janowi zbić Tadeusza z tropu. To był fakt. Hrabina nie wiedziała. Ale Tarnowski nie zamierzał przestać.

— Więc jestem ślepy czy głupi? Odpowiedz!

— Zbyt prostolinijny i uczciwy. Zbyt dobry. Sądzisz innych według siebie. Wydaje ci się, że wszyscy wyznają te same zasady, co ty. Zakładasz, że jeśli ty jesteś niezdolny do podłości, to inni też.

W tym była i prawda, i pocieszenie.

— Dlaczego ukrywają to wszystko przede mną?

— Bo cię kochają. Bo widzą, ile pracujesz i nie chcą cię martwić. Bo swoim postępowaniem wysoko im ustawiałeś poprzeczkę...

— Na Boga, ja przecież nic nikomu nie narzucam.

— Ale chcieliby do twoich ideałów dorównać, a to... trudne.

Z twarzy Tadeusza zniknęło napięcie, które wykrzywiało mu rysy. Popatrzył na Jana z wdzięcznością.

— Jesteś prawdziwym przyjacielem. Nawet jeśli ty też nie powiedziałeś mi teraz prawdy, to potrzebowałem tych słów.

— Ty też jesteś moim przyjacielem.

Tadeusz skinął głową.

— Chodźmy do Karola.

Przeszli kilka kroków dzielących ich od drzwi wspólnego pokoju łączącego sypialnie Zosi i Karola, które znajdowały się po przeciwnej stronie korytarza. Chłopak leżał na kanapie z nogami opartymi na



podłokietniku, niedbale ubrany, z dłońmi na oczach. Na stoliku stała opróżniona do połowy karafka z bursztynowym płynem.

— Karolu, wiem, że chciałeś być sam — zaczął łagodnie Tadeusz.

Chłopak wstał i cała trójka równocześnie spojrzała na karafkę.

— Ja tylko tak... trochę...

— Wszystko w porządku.

Usiedli.

Jan rozglądał się po niewielkim pomieszczeniu, zastanawiając się, czy to dzięki Julii każdy pokój w tym domu urządzony był w innym kolorze. Tutaj panował żółty w pięknym nasyconym odcieniu. Barwa ta stanowiła doskonałe tło dla mebli, które, jakkolwiek pochodzące z różnych epok, dobrze do siebie pasowały. Na ścianach wisiało kilka pejzaży i kopia jednego z ulubionych obrazów Jana: *Czytająca dziewczyna*. Nie mógł oderwać oczu. *Czytająca Konstancja*.

Z tej przyjemnej kontemplacji wyrwał Jana głos Tadeusza tłumaczącego powód ich przyjścia:

— Rozmawialiśmy z hrabiną — zaczął powoli, bacząc, by nie przedstawić Kareńskiej jako plotkarki.

— Dowiedzieliśmy się, że Waław odwiedza w Poznaniu pannę z najwyższych sfer i że uważany jest za kandydata do jej ręki. Ponoć zaręczyny były już prawie przesądzone, ale pojawiła się Zosia i Waław skierował na nią swoje... zainteresowanie.

— O tym nie wiedziałem.

— Przecież razem z Waławem...

— Nie wiedziałem, że Waław był z nią przedtem prawie zaręczony.

— Wiedziałeś za to, że nie zrywał tego kontaktu.

— Odwiedzaliśmy jej brata...

To było marne, zdaniem Jana, tłumaczenie, ale nie zabierał głosu, tylko dalej rozglądał się po pokoju. Naprzeciwko drzwi wiodących z korytarza było okno, a w bocznych ścianach drzwi do sypialni: z lewej strony Karola, z prawej do Zosi. Jan przypomniał sobie, że pokój Zosi jest na jego prośbę zamknięty i że musi wrócić tam z Mateuszem.

Tadeusz tłumaczył:

— Jeżeli byli przedtem prawie zaręczeni, a on stał się narzeczonym innej, to prosta delikatność wobec obu kobiet nakazywałaby nie odwiedzać tamtej.

Ciągle do tego wracał, bo nie umiał zrozumieć i nie mógł przeboleć. Natomiast Karol z uporem powtarzał, że odwiedzali brata, mimo że wyczuwał słabość tego argumentu. Jan też miał swoją obsesję, która wróciła, gdy znalazł się koło sypialni Zosi — czy dziewczyna prowadziła pamiętnik, a jeśli tak, to gdzie znajduje się on w tej chwili.

— Karolu! — zirytował się Tadeusz.

— Słyszałem, że Waław interesuje się nią, ale uważałem to za niegroźne, za pozostałości zauroczenia z dzieciństwa, takie tam sentymentalne bzdury.

Jan uważał, że zauroczenia z dzieciństwa to często najtrwalsze sympatie bądź miłości, bo zmitologizowana przeszłość łączy bardziej, niż można by przypuszczać. Na konsoli dostrzegł zaczytaną książkę. Choderlos de Laclos.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, Karolu? — nie dawał za wygraną Tadeusz.

— Przecież Zosia z Waławem byli zaręczeni. Nie mogłem dopuścić do skandalu.

— Wolaleś, aby nieszczęśliwie wyszła za mąż?

— Niepokoiłem się tym. Ta druga dziewczyna jest niezbyt atrakcyjna, zwłaszcza przy Zosi, ale pochodzi z najwyższej arystokracji, co dla ambicji Waława ma ogromne znaczenie. A co najważniejsze jest oszałamiająco bogata. — Karol smutno się uśmiechnął i dodał gorzko: — A ja nie powinienem mieć do niego o to pretensji.

— Jak to nie możesz mieć do niego pretensji? Ten łotr oszukiwał twoją siostrę!

— Nie mogę go winić, że szukał kobiety z posagiem — ja wiem dobrze, co to znaczy potrzebować pieniędzy.

— Nie porównuj się z nim — uciął ostro Tadeusz. — Tobie brakowało na zaspokojenie podstawowych potrzeb, na studia, a jemu? Ty z braku pieniędzy musiałeś się po śmierci rodziców rozstać z siostrą. A Bonikowski to bardzo majątny człowiek i jeśli zamierzał ożenić się dla pieniędzy, to tylko z chciwości, z pazerności.

Rusiecki zaoponował.

— To samo można by powiedzieć o mnie — że staram się o pannę Paulinę z myślą o jej posagu.

Przez chwilę panowała cisza.

— Przepraszam, że nic nie powiedziałem — przygnębiony Karol podszedł nagle do Tadeusza. — Myślałem, że on tylko tak sobie tam jeździ. Trochę z nudów, trochę ze snobizmu. Żeby mógł mówić, że u nich bywa.

— Ty też się na mnie nie gniewaj. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

— Tadeuszu, martwiłeś się, że nie masz czasu zająć się swoimi gośćmi — włączył się Jan. — Może Karol zastąpiłby cię i spędził trochę czasu z panną Pauliną? Tym bardziej że będziemy chcieli porozmawiać z jej bratem, więc znowu zostałaby sama.

— Doskonały pomysł! — Tadeusz od razu wyczuł intencję Jana, by nie pozostawiać Karola samego z czarnymi myślami. — Co ty na to, Karolu? Miałbym jedno zmartwienie mniej...

Karol nie wykazał nadmiernego entuzjazmu — nie oczekiwali go zresztą — ale też nie zaprotestował.

— Zaraz do niej pójde. Chciałbym się tylko trochę ogarnąć.

Tadeusz skinął ze zrozumieniem głową i wyszedł za Janem.

\*

— Idziemy do Waclawa — zdecydował Tadeusz.

— Najpierw musimy to wszystko zebrać, przemyśleć.

— Jak uważasz. — Dla Tadeusza sprawa była jasna, uznawał jednak Jana za postać wiodącą i nie zamierzał się z nim spierać. — Gdzie chcesz z nim rozmawiać?

— W gabinecie. Tylko tam jest dostatecznie oficjalnie. Urzędowo.

Doszli do schodów i zeszli, wymieniając ciepłe spojrzenie z matką Tadeusza.

— Powiedz mi, co wiesz o Waclawie — poprosił Jan już w gabinecie.

— Nie będę sprawiedliwy po tym, czego się dowiedziałem.

— Dasz sobie radę. Podaj tylko fakty. Podstawowe. Bez komentarzy.

— Sąsiad, poseł. Mniej więcej w twoim wieku. Ojciec nie żyje — był wspaniałym człowiekiem. Społecznikiem. Przekazał synowi ideały, ale Waclaw przerobił je na swoją nutę. Jest głęboko przekonany o wyższości własnej, narodu polskiego i klasy, do której należy. Jego działanie, praca dla kraju i społeczeństwa wynikają z pychy, z chęci wzbudzenia podziwu. Robi to dla poklasku.

— Wyobrażam sobie, że na co dzień może być męczący.

Tadeusz skinął głową.

— Możliwe, aczkolwiek to, jaki jest w domowych pieleszach, wiem tylko z opowieści, a właściwie z żartów jego siostry. Ile w tym prawdy, nie potrafię ocenić.

— A co ona mówi?

— Że jej brat jest pedantem i kutwą. Że wszystko robi na pokaz.

— Coś w tym musi być, skoro ty twierdzisz właściwie to samo.

— Paulina śmiała się też, że jest hipochondrykiem, że każdą dolegliwość, prawdziwą bądź wyimaginowaną, konsultuje z lekarzami.

— Przy takiej diecie...

— Nie da się ukryć, że tyje i to w szybkim tempie.

Jan się uśmiechnął — z wyższością człowieka obdarzonego, co prawda, znakomitym apetytem, ale poza tym energicznego i ruchliwego, któremu nadmierna tusza nie groziła. Przynajmniej na razie.

— Powiedz mi — jako sąsiad i człowiek zarządzający majątkiem — czy jest możliwe, że jego sytuacja finansowa jest gorsza, niż on sam rozgłasza?

— To jest zawsze możliwe. Aczkolwiek nic o tym nie słyszałem.

— Co wiesz o jego finansach?

— Majątek odziedziczył po ojcu duży, utrzymał go chyba bez strat, ale nie powiększał.

— Inwestuje?

— Nie unowocześnia i nie modernizuje ważnych części gospodarstwa. Mnie uważa za fantastę, bo wprowadzam udogodnienia. Z tego, co mówią okoliczni gospodarze, Waclaw w majątku do wszystkiego się wtrąca, a na niczym się nie zna. Wymyśla jakieś bzdury i domaga się wcielania ich w życie.

— A majątek Pauliny?

— Teoretycznie pod jego zarządem, ale o ile mi wiadomo, posag został ulokowany przez ojca w bezpiecznych papierach, więc Waclawowi trudno tu coś zepsuć.

— Kosztowne nałogi, hazard, ryzykowne inwestycje poza majątkiem?

— Czy ja wiem? Znam tylko mały fragment jego życia, a raczej wydawało mi się, że znam. Od kilku godzin odkrywam na nowo człowieka, któremu zamierzałem powierzyć swoją jedyną córkę.

Ktoś zapukał. Weszła Maria.

— Przepraszam, że przeszkadzam.

— Nie przeszkadzasz, Mario. Co się stało?

— Chciałabym tylko wiedzieć, czy obiad może być podany na zimno. Przez cały czas kilka osób ze służby odmawia modlitwy przy panience i przygotowanie pełnego posiłku sprawiłoby trochę kłopotu. Poza tym tak byłoby, moim zdaniem, właściwiej — nie każdy będzie dziś gustował w towarzystwie, a przy posiłku na zimno łatwiej uniknąć współbiedniaków.

— Czy moja żona ci nie przekazała? — spytał Tadeusz nie za bardzo zdziwiony.

— Nie, nie było jej — Maria też nie zdawała się zaskoczona.

— Julia zupełnie nie ma do tego głowy — Tadeusz usprawiedliwił żonę przed Janem. — Zrób tak, jak powiedziałaś, Mario.

Maria skinęła głową zadowolona, że zaakceptowano jej propozycję.

— *À propos*, Mario, co z hrabiną?

— Uspokoili się i teraz jest tylko bardzo zmęczona tym ostatnim atakiem. Jest z nią jej pokojówka, a ja ją później zmienię, żeby dziewczyna mogła coś zjeść.

— Gdyby nie ten śnieg, moglibyśmy wezwać doktora Jankowskiego, ale tak...

Maria przerwała Tarnowskiemu, zupełnie nieświadomie podkreślając swoją silną pozycję w domu:

— Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Lekarstwo działa, a ona potrzebuje przede wszystkim spokoju. A tego jej lekarz nie zapewni.

Pewny ton głosu uspokoił Tadeusza.

— Czyli sytuacja jest opanowana.

— Oczywiście.

— Jak zawsze. Wracając do poprzedniego tematu, Janie, Waclawowi na pewno podobało się absolutne podporządkowanie się Zosi, to, że zawsze przyznawała mu rację, że nie było między nimi kłótni.

— Jak to pan Waclaw się nie kłócił z panienką? — Maria obróciła się zdziwiona w drzwiach. — Ale ja przecież słyszałam...

— Co pani słyszała? — błyskawicznie zainteresował się Jan.

— Właściwie to się nie kłócili — zawahała się Maria. — To on krzyczał na panienkę.

— Kiedy?

— Przedwczoraj, gdy pan Waław z siostrą byli na obiedzie.

— Słyszalaś może o co? — Tarnowski zaczął ostrożnie badać Marię.

— Nie wiem o co, nie rozróżniałam słów, może pojedyncze. Wyraźnie słyszałam tylko krzyk pana Waław i płacz panienki.

— Gdzie to było?

— W salonie panienki i pana Karola.

— A gdzie ty byłaś?

— Byłam w pokoju panicza Karola — prosił...

— Karol też tam był?

— Tak.

Ton głosu Tadeusza zaczął się niebezpiecznie wznosić. Karol znowu coś zataił.

— I słyszał to, co ty?

— Tak, myślę, że tak. Nie dało się nie słyszeć.

— Nic nie powiedział — Tadeusz mówił z trudem przez zaciśnięte zęby. — Znowu nic nie powiedział. Czy ten chłopak oszalał?

— Postaraj się go zrozumieć. Wystraszył się. Już bez tego byłeś podenerwowany, nie chciał dokładać więcej.

Jan zamierzał powiedzieć coś jeszcze, jakiś frazes o kłótniach narzeczonych, cokolwiek, żeby pocieszyć przyjaciela, ale nic mu nie chciało przejść przez usta. Usłyszał chrząknięcie Marii, która ze zmartwioną miną stała przy drzwiach.

— Gdy pan Karol się zorientował, że słyszę te krzyki, to zaczął mnie zagadywać — nadal zwracała się do Tadeusza. — Tak jakby chciał odciągnąć moją uwagę.

— I nie wiesz, o co chodziło?

Była zbyt uczciwa, żeby zmyślać.

— Nie i nie chcę zgadywać. Ale pan Waław krzyczał, agresywnie, a panienka płakała.

— Piekło i szatani...

— Może panicz Karol wie?

— Może. Zapytamy go. Dziękuję ci, Mario. Że chociaż ty mnie nie oszukujesz.

— Pójdę zająć się dyspozycją posiłku.

Wyszła, a Jan zamknął drzwi i skomentował:

— Atmosfera wokół szanownego się zagęszcza.

— Pójdę po niego.

— Może Franciszek mógłby go sprowadzić.

— Masz rację, tak będzie bezpieczniej. Dla wszystkich. Mogłoby mnie ponieść i mielibyśmy drugie morderstwo.

— Każdy sąd by cię uniewinnił.

— O ile trafiłbym na sędziego, który znał Waław...

\*

W milczeniu czekali na Franciszka.

— Pan mnie wzywał?

Zanim Tarnowski zdążył odpowiedzieć, włączył się Jan.

— Przepraszam, że wam przerywam. Czy widziałeś może Mateusza?

— Właśnie chciał z panem rozmawiać. Przyszedł ze mną i czeka w holu.

— Świetnie, zaraz do niego podejść.

— Niech Mateusz wejdzie od razu, Janie. Jak skończymy z Franciszkiem, to i tak muszę pójść na chwilę do kancelarii, więc będziecie mogli swobodnie porozmawiać.

Po wejściu kamerdynera Tadeusz objaśniał.

— Franciszku, mamy zadanie specjalne. Szczerze mówiąc, może się okazać nieprzyjemne. Chciałbym, abyś poszedł i przyprowadził pana Waława.

Franciszek, który po pierwszym zdaniu Tadeusza spodziewał się, że będzie musiał kogoś otruć, oszukać lub co najmniej obezwładnić, spojrzał na swego pracodawcę zdumiony i chyba trochę zawiedziony. Zmarszczył czoło i bardzo powoli zapytał:

— A na czym polega... specjalność tego zadania?

— On będzie niezadowolony. Bardzo niezadowolony. Dużo bardziej niż zwykle. A trzeba tak zrobić, żeby przyszedł i żeby się nie obraził.

— A czy istnieje powód, dla którego nie zechce przyjść?

— Twierdzi, że pisze bardzo ważny list.

Mateusz i Franciszek wymienili kpiące spojrzenie, które Jan od razu wyłapał.

— O co chodzi, Mateuszu?

— Mogę mówić wprost?

— Wiesz, że tak.

— Jeżeli pan Bonikowski mógłby teraz coś pisać, to wyłącznie poradnik kulinarny. Zażyczył sobie, aby mu przyniesiono do pokoju całą polędwicę na zimno, *chaud-froid* z kurczaka, pasztet z zająca i pół tuzina bułek.

— O butelce wina nie wspominając — uzupełnił Franciszek. — Z całym szacunkiem.

— Nie wspominając, bo miałeś nikomu o tym nie mówić — udał wyrzut Mateusz.

— Dlatego pozwoliłem to powiedzieć tobie — zripostował majordomus.

Morawski z sympatią obserwował przyjaźń rodzącą się między obu mężczyznami. Widać było, że to pokrewne dusze.

— Może poczekamy, aż zje — zaproponował. — Jeśli mu teraz przerwiemy, to nie będzie szczęśliwy.

— Potem też nie będzie szczęśliwy — jak to zje, to będzie chory — obawiał się Mateusz.

— Za to będzie mniej czujny.

— Pozwolę sobie zauważyć, że jak zje, to zadzwoni po deser — podzielił się swym doświadczeniem Franciszek.

— Widzisz, Tadeuszu — zakpił Jan — jesteś regularnie objadany. Ten deser przesądza sprawę — trzeba wezwać go teraz i nie pozwolić mu pochłonać moich babeczek. Franciszku — powodzenia. Będziemy trzymali za ciebie kciuki.

— Przepraszam, ale czy wolno mi... lekko zabarwić zaproszenie dla pana Waława? Chodzi o to, że gdyby oponował... Mógłbym go delikatnie zachęcić, że niby panowie natrafili na nowy ślad.

— Doskonale. I dodaj, że musimy to z nim skonsultować. To zadziała, Tadeuszu. Franciszek ma świetny pomysł.

— Waław będzie miał później do niego pretensje.

— Ale o co? Przecież to prawda — pojawił się nowy fakt i chcemy to z nim skonsultować.

Tadeusz musiał przyznać rację.

— Dobrze. Idź. A ja idę na chwilę do kancelarii.

Jan zapoznał Mateusza z nowymi faktami.

— Jeśli Maria powiedziała, że słyszała kłótnię, to słyszała — Mateusz nie miał wątpliwości. — Sama myśl, że mogłaby skłamać, wydaje się absurdalna. Ona jest taka... praworządna.

— Też tak uważam, ale odpowiedź Waława, o ile zechce się tu do nas pofatygować, może dużo dać.

— Jakież zlecenia?

Jan lubił tę bezpośredniość w przechodzeniu do rzeczy.

— Dwa zlecenia, dwie służące. Wybadaj pokojówki Pauliny i Kareńskiej. Coś nie tak? — dodał, widząc minę kamerdynera.

— Jakoś nie mam wspólnego języka z tą trzpiotką od hrabiny. Za to Franciszek umie z nią postępować. Wprowadzę go lekko w sprawę i może zgodzi na pogawędkę z tą rozświergotaną Anetką.

— Dlaczego miałby się nie zgodzić?

— Słyszałem, że Franciszek od lat kocha Marię, ale ona jest wierna pamięci pierwszego narzeczonego. Jan aż uniósł brew, a Mateusz mówił dalej.

— Z pokojówką Bonikowskiej idzie mi lepiej. Jej imponuje to, że z panem tyle podróżuję.

Z bocznego korytarza dobiegł głos Tadeusza. Jan szybko dopowiedział:

— Pamiętaj, że czeka nas jeszcze ponowne przeszukanie pokoju Zosi. Gdzie będziesz?

— Trudno powiedzieć, ale Franciszek zawsze mnie znajdzie.

Do gabinetu wszedł Tadeusz.

— Słyszę kroki na schodach, może poseł...

Rozległo się pukanie wszedł majordomus i ceremonialnie zapowiedział:

— Pan Waclaw Bonikowski.

Mateusz stanął obok Franciszka i obaj się skłonili swoim pracodawcom, po czym rozstąpił, robiąc przejście niczym szpaler honorowy. Gabinet wypełnił się aromatem pieczonego mięsa, niezbitcie świadczącym o tym, że poseł poświęcił cały ranek na zagadnienia epistolarne.

— Mam nadzieję, że to rzeczywiście coś istotnego.

— Zdecydowanie tak — zapewnił go Jan.

— Właśnie pisałem ważny list w sprawach Koła Polskiego. Z pewnością panowie sobie przypominają

— opowiadałem o tym przy kolacji. Sprawa jest priorytetowa i nie waham się stwierdzić, że przyszłość narodu zależy od zręcznego przedstawienia przeze mnie argumentacji.

— Tak, tak Waclawie, wczoraj nam to bardzo wyczerpująco wyjaśniłeś.

Mateusz z Franciszkiem z zachowaniem ceremoniału obowiązującego na dworze królewskim ukłonili się i opuścili gabinet. Waclaw zasiadł w fotelu gospodarza i z uniesioną wysoko brodą przemawiał dalej:

— Nie wiem, drogi sąsiedzie, czy wspomniałem wczoraj, że zostałem poproszony o wygłoszenie...

Jan przejął inicjatywę.

— Dzisiaj rano stwierdził pan, że zawsze byliście z Zosią zgodni.

— Oczywiście.

— W trakcie rozmów, które dziś odbyliśmy okazało się, że słyszano pana kłótnię z Zosią. Dzień przed morderstwem.

— Słucham?

— Ktoś słyszał, jak krzyczał pan na Zosię.

— To kpina.

To była cała odpowiedź. Morawski wpatrywał się w rozsierdzonego posła, czekając, co będzie dalej. W końcu padło pytanie, którego Jan się spodziewał.

— Kto to powiedział?

— Jedna z osób należących do służby.

— Ktoś ze służby? Ktoś ze służby na mnie doniósł?

— Nie doniósł, tylko odpowiedział na zadane pytanie.

Waclaw wybuchnął śmiechem. Bardzo nieprzyjemnym, bo pełnym pogardy.

— To kłamstwo. Pomówienie.

— Więc zaprzecza pan?

— Oczywiście, że zaprzeczam. — Spojrzał na Jana jak na kogoś niespełna rozumu. — Już rano oznajmiłem, że nigdy nie byłem w żadnym z prywatnych pokoi mojej narzeczonej. W ogóle nie rozumiem,

jak możecie panowie brać coś takiego pod uwagę.

— Musimy sprawdzać każde zeznanie.

— Mając moje słowo, szlachcica, posła, człowieka szanowanego, daje pan wiarę temu, co mówi służba? To jakiś żart. Jak pan śmie coś takiego sugerować? Jak pan śmie wątpić w moje słowa?

Zrobił się wiśniowy na twarzy. Jan zaczynał się poważnie obawiać o stan zdrowia posła, tym bardziej że nadal byli odcięci od świata i w przypadku apopleksji Wacława byłiby zdani tylko na siebie.

— Prowadzę śledztwo dotyczące...

— Proszę zostawić takie kwestie urzędnikom państwa pruskiego.

Jan poczuł niesmak. Te słowa lojalnego poddanego wypowiedział człowiek piszący ważny list w „polskiej sprawie”. Nic dziwnego, przecież już wczoraj zaznaczył, że jest zwolennikiem trójlojalizmu.

— Pogoda na razie...

— Proszę się nie tłumaczyć pogodą.

— Urzędnicy nie mają tu...

— W takim razie jedynym przedstawicielem władz jestem ja.

Stwierdzeniu temu towarzyszył jednoznaczny gest Wacława: prawym kciukiem uderzył się w splot słoneczny. Przy okazji przesunął palec kilkakrotnie w górę i w dół, tak jakby chciał coś poluzować. Może gorset?

Jan w porę przypomniał sobie słowa Tadeusza, że wbrew temu, co Wacław rozgłasza, nie jest nikim znaczącym w polskich kręgach w Berlinie. Niesmak przeszedł w szczerą niechęć — z politykami, którzy chlubią się wysługiwaniem zaborcy trudno będzie odzyskać niepodległość.

— Jednak pan nie podjął żadnych...

— A skąd pan może to wiedzieć? Zresztą nie o tym rozmawiamy...

— Właśnie cały czas rozmawiamy o tym: o tragicznej śmierci pańskiej narzeczonej, która najwyraźniej pana mało interesuje.

— Jak pan śmie mnie pouczać? — wykrztusił Wacław. — Pan, ze swoją reputacją!

— Jaką reputacją? — chciał wiedzieć Jan.

— Reputacją... libertyna. Uwodziciela pozbawionego zasad. Wyrzutka. Bezbożnika.

Wacław szukał jeszcze dostatecznie obelżywego słowa, a Jan kątem oka zauważył, że Tadeusz uniósł się z fotela. Morawski, nie patrząc na przyjaciela, dał mu ręką uspokajający znak, żeby się nie włączał.

— Dosyć ostro mnie pan osądza. A jak mówi dzieło literackie, na które tak pan lubi się powoływać: *Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień.*

Wacław podniósł się z wyćwiczoną godnością i z namaszczeniem oznajmił:

— Ja jestem bez winy i dlatego mogę rzucać kamieniem. Całe moje życie było i jest nienaganne.

— Zazdrość. Elastycznego sumienia.

Jan rozważał, czy nie przypomnieć zatwardziałemu hipokrycie o drugiej narzeczonej, ale zdecydował, że zostawi tę kartę na później.

— Dziwię się, panie Tadeuszu, że zdecydował się pan przyjąć pod swój dach, gdzie przebywa nie tylko pańska szanowna małżonka, ale też niewinne panny, kogoś o takiej reputacji. Gdyby drogi były przejezdne, natychmiast zabrałbym stąd moją siostrę.

Ruszył w stronę wyjścia, wyszedł i trzasnął drzwiami. Wrócił.

— Na pana miejscu, sąsiedzie, odebrałbym temu... komuś prowadzenie śledztwa. Kto wie, czy to nie on dopuścił się tego bestialstwa. Sądząc z tego, co się o nim słyszy, nie jest to wykluczone.

Jan z Tadeuszem patrzyli, jak z urażoną godnością wychodzi.

— Wróci?

Wrócił.

— I proszę wysłać czym prędzej kogoś po landrata<sup>[9]</sup>. Proszę zaznaczyć, że ja tu jestem. To na pewno przyspieszy bieg sprawy. Sam bym pojechał — ale mam list do napisania, a obowiązek wobec ojczyzny

to dla mnie rzecz święta.

Wyszedł i nie trzasnął drzwiami. Po prostu ich nie zamknął. Po chwili usłyszeli, jak z mozołem wspina się po schodach.

Tadeusz zamknął drzwi i zwrócił się do Jana:

— Przepraszam cię.

— Daj spokój, gdyby nie sprawa Zosi, to świetnie bym się nim ubawił. Zwróciłeś uwagę na jego oburzenie, że mógł być w pokoju narzeczonej?

— Tak, już rano się o to wściekał.

— Ale ja nie powiedziałem mu, że według Marii sprzeczka miała miejsce w salonie Zosi i Karola. Co o tym myślisz? O tym, że zaprzeczył?

— Maria jest wiarygodna.

— Karol ich rozsądzi.

— Poproszę, żeby ktoś go przyprowadził.

\*

— Tadeuszu, czy wśród polskich przedstawicieli w Berlinie wielu jest takich Waclawów?

Zapytany uniósł głowę znad dokumentu, w który się zagłębił, gdy czekali na przyjście Karola.

— Znaczą miernot?

Jan roześmiał się głośno, słysząc to określenie, i potwierdził, że o ten właśnie aspekt mu chodziło.

— Myślę, że nie. A raczej mam nadzieję, że nie. Znam ich tylko kilku, a wszyscy na szczęście są rozsądniejsi od mojego niedoszłego zięcia.

— Być od niego rozsądniejszym to żadne osiągnięcie.

— Nie jest bardzo szkodliwy, bo nikt się z nim nie liczy, cokolwiek by mówił — dodał Tadeusz uspokajającym tonem.

Morawski siedział ze złączonymi opuszkami palców, przyłożył je do ust i patrzył spod brwi na przyjaciela. Wydawało mu się, że uodpornił się na takie ataki, że przyzwyczaił się do niesprawiedliwych określeń, przypominających o tej namiastce dzieciństwa, za którą nie ponosił odpowiedzialności. Nie przeszkadzało mu wypominanie dorosłych ekscesów, ale to jedno słowo „wyrzutek” bolało, bo bliskie było prawdy. Jan nigdy nigdzie nie czuł się u siebie.

Od tych rozmyślań oderwał go łagodny głos Tadeusza, który, nieświadomy gorzkich myśli przyjaciela, kontynuował wypowiedź:

— Zresztą ja się nie znam na polityce — zostawiam to mądrzejszym.

— Mądrzejszym?

— Tak. Uważam, że każdy powinien robić to, na czym się zna. Nie ma lepszej służby dla Polski. Ja znam się na zarządzaniu majątkiem ziemskim, więc tym się zajmuję. Najlepiej jak potrafię.

— Święte słowa.

Jan potwierdził i uświadomił sobie, że nie wie właściwie, czym powinien się zająć. Tyle rzeczy go interesowało, ale żadna nie na tyle, aby poświęcić się jej całkowicie.

Tarnowski nie zwrócił uwagi na zamyślenie Jana.

— Każdy z nas ma jakieś predyspozycje i powinien je rozwijać. Dlatego wierzę fachowcom, natomiast przyznam ci się, że nie ufam ludziom... hm... za bardzo bystrym. Jeśli chodzi o służbę ojczyźnie, to wspieram polskie organizacje, teatr, czytelnice, kółka rolnicze. Wierzę w sens pracy społecznej. I tego, co propagowano pod hasłami pracy u podstaw. Ale moim najważniejszym zadaniem jest uprawa tej ziemi i utrzymanie jej w polskich rękach. Żeby nas stąd nie wygryźli, nie wypędzili. Bo powrót będzie bardzo trudny.

— A nauka polskiego?



— Jest zabroniona.

Lakoniczność tej odpowiedzi od razu zainteresowała Jana.

— Ponoć Zosia zamierzała po ślubie uczyć czytania po polsku dzieci w majątku męża?

— Taki wierny poddany nigdy by do tego nie dopuścił, zapowiedział to przecież. Pomysł Zosi nie zgadzałby się z jego wizją powrotu do ery pojednania.

Rozmowę przerwało im wejście Witka.

— Nie ma panicza Karola w salonie.

Jednocześnie w bocznym korytarzu usłyszeli krzyki, trzaskanie drzwiami. Do gabinetu wpadł mężczyzna w kozuchu i ośnieżonych butach.

— Proszę pana — z trudem łapał oddech — coś się dzieje z dachem starej stajni.

I wybiegł. Tadeusz poderwał się i ruszył za nim.

— Zostań, Janie, zajmij się Karolem.

Morawski podszedł do okna i zobaczył, jak Tadeusz bez futra biegnie częściowo odśnieżonym podwórzem w kierunku zabudowań gospodarczych. Z głębi pokoju usłyszał chrząknięcie. Przypomniał sobie o Witku i poleceniu Tadeusza.

— Gdzie szukałeś panicza Karola?

— W salonie.

— A gdzie jeszcze może być?

Witek podrapał się w głowę.

— W normalny dzień to bym powiedział, że w stajni.

— A w taki dzień jak dzisiaj?

— Może w ogrodzie zimowym. Albo u siebie.

— W ogrodzie zimowym? — Chłopak zwlekał z odpowiedzią, co naturalnie obudziło ciekawość Jana.

— Dlaczego miałby tam być? — Witek nerwowo się kręcił i unikał wzroku gościa. Jan doznał przyływu natchnienia: — Już wiem, to przecież jego miejsce spotkań.

— To pan wie? — ucieszył się lokaj. — Zawsze jak jest panna Paulina, to panicz Karol spędza tam dużo czasu. To jedyne miejsce, gdzie pan Waław nie pójdzie. Twierdzi, że nie znosi tego całego zielska. Pan Karol chyba się z nią ożeni, prawda?

— Jeżeli panna Paulina będzie chciała. Bratem kręci, to czemu nie miałyby sobie dać rady z paniczem. Zresztą widać, że on jej się... podoba.

— Nie tylko jej. Ta dziewczyna od hrabini to do niego błyska oczami. On do niej też — przecie ślepy nie jestem. — Witek nagle zasłonił dłonią usta. — Panie Jezusie Przenajświętszy, przecie ja miałem nic nikomu.

— Ale przecież ty nic nikomu. I ja też nic nikomu. Poza tym ta informacja może być ważna. Może się okazać, że to, co powiedziałaś, pozwoli znaleźć mordercę. Nie wiem, gdzie jest ogród zimowy. Ty idź i tam sprawdź, a ja poszukam panicza na górze.

Jan skrzył korytarzem do prywatnej części piętra. Minął po drodze Anetkę, która szła w przeciwnym kierunku.

\*

Karol nie skorzystał z sugestii, by spotkać się z Pauliną — był w tym samym miejscu, w którym go zostawili z Tadeuszem. Podniósł mało przytomny wzrok, a Jan poczuł się jak intruz.

— Przepraszam, że znowu pana nachodzę, ale pojawiły się nowe fakty i chyba będzie pan mógł nam pomóc.

Chłopak podążył za wzrokiem Jana spoczywającym na karafce, wziął do ręki kieliszek z resztą płynu, powąchał go i oznajmił:

— Nawet koniak przestał mi smakować.

— Rozumiem. Mnie też się zdarzyło dojść do takiej rozpaczki, że już nawet picie nie pomagało.

Karol spojrział na gościa bez wrogości i przytaknął.

— Tak, jak byliście tu poprzednio, czułem, że pan by zrozumiał. Pan Tadeusz jest pod każdym względem tak godny podziwu, że człowiek boi się okazać przed nim najmniejszą słabość. To znaczy, on nigdy nie robi wyrzutów — pospieszył Karol ze sprostowaniem — po prostu chciałoby mu się dorównać.

Siedział, wpatrując się tępo w butelkę.

— Nigdy nie nadużywałem alkoholu, ot, przy różnych okazjach, jak wszyscy.

— Najgorsze jest picie w samotności. I z samotności.

— Ja nie umiem — próbowałem teraz, ale mi nie wchodzi.

— Proszę więcej nie próbować — jak się raz zacznie, to potem trudno skończyć.

— Pan Tadeusz by nie pił. Nie jest słabeuszem. Czasami zastanawiam się, jak to jest, być takim jak on.

— Pytał go pan?

Karol pokręcił przecząco głową, a Jan przysiadł na parapecie i wyjaśnił tonem zwierzeń:

— Ja też go znałem jako opanowanego, a dzisiaj po raz pierwszy widziałem, jak okazuje uczucia. On chyba dotychczas nie pozwalał sobie na ten luksus — zawsze otoczony ludźmi, za których się czuje odpowiedzialny, którzy w niego wierzą. Uważamy go za niezawodnego i stara się taki być. A uczucia, obawy — on to po prostu chowa.

Rusiecki wpatrywał się w blat stołu.

— Nigdy tak na to nie patrzyłem. A gdzie on jest? — ocknął się nagle.

— Został wezwany na podwórze. Coś niepokojącego dzieje się z dachem stajni.

Otępienie Rusieckiego spłynęło z niego w mgnieniu oka.

— Konie! Chodźmy!

Już był za drzwiami. Jan nie miał innego wyjścia, niż tylko pobiec za Karolem, który ruszył w kierunku bocznej klatki schodowej.

— Która stajnia?

— Stara.

Chłopak natychmiast zwolnił i powiedział już prawie ze spokojem:

— A to mniejszy problem, tam nie ma zwierząt.

Karola najwyraźniej nie interesowali ludzie. Zatrzaszczył się za to o swego opiekuna.

— Pan Tarnowski się zmartwi, miał nadzieję, że ta stajnia wytrzyma do wiosny i wtedy wymienią dach.

Schodzili bocznymi schodami. Były trochę węższe niż główne usytuowane w holu, ale również bardzo wygodne, choć zwykle boczne klatki schodowe, służące wyłącznie domownikom, były strome i poruszanie się po nich wymagało nie lada zręczności.

— Nigdy pan tu nie był? — Karol zauważył zainteresowanie Jana.

— Nie, dotychczas korzystałem tylko z głównej klatki schodowej.

— Ta jest domowa, tamta jest „gościowa”.

Jan uśmiechnął się na to określenie z dzieciństwa — tak w domu babki nazywał najlepsze konfitury.

— Ta być może jest dla domowników, ale nie widać różnicy w wyposażeniu między tą nieoficjalną częścią a reprezentacyjną.

— O tak, to prawie tak jak u Waława — głos Karola był wyraźnie kpiący. — Pokoje na dole — on to nazywa recepcyjne — są urządzone bardzo bogato, przeładowane, aż w złym guście. A jego prywatne pokoje i zaplecze mają stare meble i podstawowe wyposażenie, bo na inne szkoda mu pieniędzy — i tak tego nikt nie widzi.

Dotarli na dół. Jan zorientował się, że znajdują się w bocznym korytarzu, należącym do służbowej części domu. Stało tu kilka ogromnych kredensów, mniej ozdobnych niż te w jadalni, a przestrzeń między

nimi zapełniały drzwi. Te do kuchni Jan zidentyfikował po charakterystycznych odgłosach uderzeń garnków i sztućców. Dwuskrzydłowe były wyjściem kuchennym na zewnątrz. Z innych weszła służąca, z naręczem ułożonej bielizny. Ktoś biegł schodami z góry. Karol lekko się skrzywił.

— Chodźmy stąd, o tej godzinie tu zawsze jest takie zamieszanie.

Podeszli do szerokich drzwi i okazało się, że są w korytarzu prowadzącym do holu.

— Chciał pan ze mną rozmawiać?

— Tak, może w gabinecie?

— Jeszcze tylko wyjrzę, co się dzieje w stajni.

— Pójdę z panem.

Karol nie protestował i obaj wyszli do bocznej sieni. W tym momencie wrócił Tadeusz. Był zmarznięty, ale spokojny.

— I co? Poważna sprawa? — pospieszył z pytaniem Karol.

— Dach rzeczywiście wydaje piekielne odgłosy — skrzypi, trzeszczy. Nic zresztą dziwnego, śnieg jest ciężki, a napadało go mnóstwo. Na szczęście tam nie ma zwierząt.

W gabinecie Jan poszedł na swoje poprzednie stanowisko obserwacyjne, z którego widział fragment zagrożonego budynku. Nadal stali tam ludzie.

— Oby tylko ktoś nie wpadł na pomysł, żeby wchodzić.

— Surowo tego zakazałem — rządca za to odpowiada i wie o tym.

— Rozumiem, że teraz trzeba czekać na roztopy?

Tadeusz stał przy piecu i próbował się rozgrzać.

— Posłałem po mularza i cieślę — mają sprawdzić, czy jakakolwiek część dachu jest bezpieczna. Jeśli tak, to można, stojąc na niej, próbować usunąć chociaż trochę śniegu.

— A gdyby podeprzeć konstrukcję dachu od środka?

— Wykluczone, pracownicy musieliby to robić od wewnątrz, a ja nie zamierzam ryzykować ich życiem. Już lepiej niech ten dach się zawali. — Tadeusz podjął decyzję, wydał polecenia i uznał temat za zakończony. — Zapoznałeś Karola z nowymi faktami? — wrócił do sprawy najważniejszej.

— Nie, dopiero zeszliśmy i chcieliśmy najpierw sprawdzić, co z tobą.

— Na razie jestem do waszej dyspozycji.

— Może zadzwonimy po coś ciepłego dla ciebie?

— Jestem przyzwyczajony, spędzam codziennie sporo czasu na zewnątrz.

— Coś się stało? — przyjrzał im się Karol. — Macie strasznie poważne miny.

— Maria słyszała kłótnię między Waławem a Zosią. Dzień przed morderstwem. Czy ty coś o tym wiesz?

Karol odwrócił głowę. Wobec przedłużającego się milczenia Tadeusz dodał:

— Maria nie wie, o co chodziło, słyszała tylko podniesiony głos Waławy i płacz Zosi.

— To prawda.

— Czy to znaczy, że też to słyszałeś?

Karol zrozumiał, że się nie wymiga i potwierdził wprost:

— Słyszałem fragmenty kłótni Waławy z Zosią. Nie wspominałem o tym, bo uznałem to za sprzeczkę kochanków...

Do rozmowy włączył się Jan.

— Czy rozróżniał pan słowa?

— Tylko czasami, pojedynczo.

— To nie był pierwszy raz, prawda? To się już zdarzało.

— Te zwady powtarzały się od kilku ostatnich wizyt, chociaż nie były tak gwałtowne. Tym razem Waław się wściekł...

— Dlaczego do mnie nie przyszedłeś, na litość boską? — Tadeusz nie wierzył własnym uszom.

— Myślałem o tym, ale dzisiaj rano, po znalezieniu... po tym jak się okazało... zdecydowałem, że nie mogę tego nikomu powiedzieć.

Pojęcie tej logiki kompletnie przekraczało możliwości Tadeusza.

— Przecież ją zamordowano! Twoją siostrę! Właśnie dzisiaj tym bardziej powinienes mi o tym powiedzieć.

— To była sprzeczka narzeczonych — a ja czułem, że po śmierci Zosi można tę kłótnię opacznie zrozumieć.

— Jak to opacznie?

— Pytałem potem Zosię, o co poszło. Najpierw nie chciała powiedzieć, ale w końcu wyznała, że Waclaw był zazdrosny o Michała.

— Nic więcej nie powiedziała? — wtrącił Jan.

— Nie, tylko to. Zresztą nie byłaby w stanie powiedzieć więcej — płakała tak bardzo, że dostała spazmów i nie mogłem dalej z nią rozmawiać.

— Tadeuszu, uspokój się! — Jan próbował przywołać do porządku przyjaciela, który poderwał się z fotela. Mebel przewrócił się, strącając stojącą na stoliku lampę. Ta spadła na podłogę wraz z niewielkim popiersiem Sobieskiego. Hałas sprawił, że Jan i Karol aż się wzdrygnęli.

— Po prostu krew mnie zalewa, jak o nim pomyślę!

— Trudno go winić, że jak się dowiedział o Michale, to się zdenerwował — próbował zrozumieć Karol.

— Przestań go bronić — wycedził Tadeusz przez zaciśnięte zęby. — Ten człowiek znęcał się nad twoją siostrą!

— To była tylko scena zazdrości. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym się dowiedział, że panna Paulina była z kimś poprzednio zaręczona, a przecież nie jestem tak na tym punkcie przeczulony jak Waclaw.

Tadeusz rzucił Karolowi takie spojrzenie, że Rusiecki dał sobie spokój.

— A co o tej kłótni powiedział Waclaw? — doznał olśnienia Karol. — On wszystko wyjaśni.

— Już z nim rozmawialiśmy. Myślał, że o kłótni wie tylko ktoś ze służby, i wyparł się wszystkiego — do rozmowy włączył się Morawski.

— Jak to się wyparł?

— Ze świętym oburzeniem zaprzeczył, że do czegoś podobnego w ogóle doszło. Upiera się, że nigdy nie był w państwa pokojach. Zlekceważył też, gdy powołałem się na zeznanie służby. Rzucił takimi hasłami jak: „słowo sługi przeciw słowu szlachcica” i tym podobne. — Janowi jeszcze teraz oburzenie odbierało głos. — Mówiąc wprost, wyśmiał nas.

Reakcja Waclawa zdruzgotała Karola.

— Przecież ja sam słyszałem... — Zamilkł. Zmarszczył czoło. Bił się z myślami. — Uważałem go za człowieka honoru, ale jeśli w tej sprawie kłamie — a kłamie — to czy w ogóle w czymkolwiek można mu wierzyć? I jeszcze powie, że nigdy nie był u nas? Te sprzeczki zawsze miały miejsce w naszym salonie.

— Zawsze?

— Tak, przecież na dole ktoś mógłby usłyszeć. A tego ten dwulicowy drań by nie zniósł. — Karol mówił coraz bardziej zrozpaczonym tonem. — Tak się cieszyłem, gdy jej się oświadczył, że będzie bezpieczna, bogata, beztroska, że on się nią zaopiekuje. A najgorsze, że teraz nie wiemy, które z jego słów są prawdą, a które kłamstwem.

— Proszę się nie zadrećzać i zostawić to nam — rzekł z mocą Jan.

— Karolu, idź i postaraj się odprężyć — doradził Tadeusz.

— Pójdę może do ogrodu zimowego — Zosia tak go lubiła.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

— No to sprawa się wyjaśniła — skomentował Jan. — Nasz nienaganny nie jest taki nienaganny.

— Do tego tak wierzy w swoją nietykalność, że pozwala sobie na każde kłamstwo.

— Zostawię cię teraz, Tadeuszu, muszę parę rzeczy ustalić. I przemyśleć. Nie zapominajmy o jeszcze jednym, o awaryjnej narzeczonej.

— Racja — przeraził się Tarnowski. — Nie zapytaliśmy o to Wacława.

— Celowo, drogi Tadeuszu. Celowo.

---

[9] W państwie pruskim urzędnik zarządzający powiatem. Do jego kompetencji należały wszystkie sprawy administracyjne i policyjne.

## 11.

Jadalnia. Serce polskiego domu. I żołądek — pomyślał Jan. Jedno z największych pomieszczeń, ustępujące rozmiarem salonowi i sali balowej, o ile taka istnieje. Jadalnia w pałacu Tarnowskich nie sprawiała pod tym względem zawodu, co nie dziwiło, jeśli wziąć pod uwagę liczebność rodzin i zwyczaje polskiej szlachty, panujące jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej. Teraz tak wielkie pomieszczenie rzadko było potrzebne — nieczęsto organizowano wesela na dwieście osób, właściciele nie otaczał już cały dwór złożony z rezydentów i panien respektowych, a goście nie przesiadywali miesiącami.

Jan z przyjemnością rozglądał się po pokoju, zajadając kolejne przysmaki. Siedzieli z Tadeuszem przy ogromnym dębowym stole, rozsuwanym z dokładanymi blatami. Jan nie wiedział, ilu biesiadników mógłby pomieścić, bo jak wczoraj wyjaśnił gospodarz, kilkanaście dodatkowych blatów przechowywano w schowkach za płycinami boazerii, razem z zapasowymi krzesłami. Na co dzień stół był rozstawiony na osiemnaście osób, tyle też stało przy nim krzesel z siedzeniami wyplatany trzcina. Całą ścianę naprzeciwko poczwórnych drzwi do holu zajmowały okna z centralnie umieszczonym wyjściem na taras. Na jednej bocznej ścianie były drzwi do kredensu, na drugiej — do ciągu salonów. Już wczoraj Jan zauważył, że w jadalni udawało się utrzymać przyjemną temperaturę dzięki aż dwóm piecom ulokowanym w narożach — miła odmiana po posiłkach spożywanych w zazwyczaj lodowatych salach jadalnych polskich dworów. Na dole ścian położono, tak jak w holu, ciemne boazerie. Było to kiedyś niezbędne, bo przy hucznych spotkaniach, gdy nie wylewano za kołnierz, zabawy wesołego towarzystwa pozostawiały na ścianach ślady, które łatwiej usuwa się z boazerii. Z tego samego powodu unikano w jadalni obić na meblach.

Zauważył także dwa rzeźbione kredensy na ścianie graniczącej z holem oraz zegar i konsole ustawione między oknami. Mimo że meble były ciemne i solidne, jadalnia nie sprawiała przygnębiającego wrażenia. Było w niej dużo światła, ściany nad boazerią pomalowano w apetycznym kolorze masła, a właściwie w kolorze waniliowego nadzienia babeczek. Lekkości dodawała wielka żardiniera z kompozycją kwiatową, na czas posiłku przestawiona na jeden z krańców stołu, a także kryształowe lampy: trzy żyrandole nad stołem i kinkiety na ścianach.

— Tadeuszu, powtórzę — piękny pokój.

— Cieszę się, że ci się podoba.

— I już nawet wiem, co podoba mi się najbardziej. Brak portretów przodków.

— Możesz podziękować mojej żonie — roześmiał się Tadeusz — zdjęliśmy je na jej prośbę. Twierdziła, że czujny wzrok pań Tarnowskich odbiera jej apetyt. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci ta uproszczona forma posiłku.

— Uproszczona? Ty chyba żartujesz?

— Powinieneś zjeść coś ciepłego.

— Mówisz jak moja niania — roześmiał się Jan. — Poza tym przecież było danie na ciepło.

— Bulion się nie liczy.

— Widzę, że udało się uratować trochę pasztetu przed apetytem Wacława. Chyba sobie szybko nałożę, dopóki jesteśmy sami...

— Może jednak zjadłbyś coś mocniejszego.

— Tadeuszu, przestań się przejmować. Wszystkiego było aż w nadmiarze. I wszystko wyśmienite. Nawet ja, wielbiciel słodkiego, nie potrafiłem odejść od waszych wspaniałych wędlin. Wszystkie są domowe?

Jeszcze kilka lat temu takie pytanie nie przyszłoby nikomu do głowy, gdyż wędliny wytwarzano wyłącznie w gospodarstwie. Jednak obecnie mnóstwo produktów było dostępnych w handlu i w wielu majątkach odchodzono od przetwarzania mięsa. Zdaniem Jana, z wielką szkodą dla jakości.

— Tak, wszystko jest robione w domu.

— Macie wędzarnię?

— Oczywiście, najlepsze wędliny — serwolatki<sup>[10]</sup> i te podwędzane kiszki pasztetowe pochodzą właśnie stamtąd. I pyszne ozorki, ale tych teraz nie podano.

— Importowana szynka nie skala progów tego domu?

— Raczej nie, mam tu silną partię propolską. Kiedyś kucharka zrobiła szynkę westfalską, ale się nie przyjęła. Może przez nazwę.

Talerz z serami również wyglądał bardzo interesująco. Jan odkroił sobie dwa różne, wziął małą kiść winogron i wrócił do stołu.

— I nic nie kupujecie?

— Ależ kupujemy! Przyprawy, kawę, herbatę, bakalie. Czasami ostrygi. I mój ulubiony kawior astrachański — mam nadzieję, że próbowałaś.

Wskazał na połówki ugotowanego jajka z nałożonymi czarnymi kuleczkami.

— Szczerze mówiąc, nie przepadam za kawiosem. Natomiast zaskakuje mnie wybór serów, które podajecie. Zazwyczaj dostaję białe kwaśnawe coś, a ty tu masz i holenderski, i parmezan, i brie.

— To dzięki Julii, przepada za serami. To, co tu widzisz, to tylko maleńki fragment jej zapasów.

— Rozumiem, że owoce kupujecie.

— Prawie nigdy.

— Żartujesz? A te winogrona? Ananasy?

Gospodarzowi pochlebiała pełna zdumionego podziwu reakcja gościa. Odpowiedział z dumą:

— I winogrona, i ananasy, i pomarańcze, wszystko pochodzi z pałacowej oranżerii. Poza tym mamy ogromne sady, które dostarczają owoców w sezonie.

— Uwielbiam czereśnie. I te śliwki, wiesz, te takie w środku pomarańczowe z ciemną pomarszczoną skórką.

— Węgierki. Mamy. I wiśnie, gruszki, morele. I jabłka, mnóstwo jabłek. Moja żona jest ich prawdziwą koneserką.

— Też to mam. Dzień bez jabłka jest dniem straconym. Co robicie z tymi owocami. Przetwarzacie?

— Bardzo dużo, poza tym sporo sprzedajemy i rozdajemy ubogim. A resztę zjada Julia — dodał z komiczną miną. — Zawsze powtarza, że gdyby musiała wybrać na resztę życia tylko jeden typ jedzenia, to byłyby to słodczyce lub owoce. Nie potrafi się ostatecznie zdecydować.

— Też bym nie potrafił.

— A wiesz, co nigdy mi się nie nudzi? Świeży chleb. Jego zapach, smak, dotyk. Wspomnienie dzieciństwa, domu, beztroski. Symbol szczęścia. — Jan patrzył na niego z życzliwą zazdrością. — Niektórym chleb może się kojarzyć z codziennością, szarzyzną. Dla mnie to symbol pracy, dobrobytu. Nie jest źle, dopóki starcza chleba. — Tarnowski wpatrywał się w talerz i rozrywał suchy kawałek pieczywa, oddzielając skórkę od miąższu. — W dniu pieczenia chleba jestem najszczęśliwszy, ale w taki uspokojony sposób, to nie jest euforia, to raczej poczucie harmonii. A wracając do twojego pytania o kupowane wiktuały, także jarzyny mamy swoje i to takie, które nadal uchodzą tu za egzotyczne.

— Jak te podane wczoraj karczochy?

— To jeden z wynalazków Julii. Dzięki niej mój ogrodnik został zmuszony do poszerzenia wyboru warzyw. A ja zostałem zmuszony do zbudowania szklarni.

— Rozwijasz się przy niej.

— O tak, zdecydowanie. Ogrodnik groził odejściem, ale teraz współpraca między nimi się ułożyła.

— Julia chyba nie ma kłopotów ze służbą?

— Nie, żadnych. Po prostu pozwala im na wszystko, tak jak pozwala sobie na wszystko. Zupełnie nie dostrzega różnicy między pozycją Witka i hrabiny.

— Pewnie odpowiada im ta swoboda.

— Maria dba, żeby nie przesadzali.

Roześmiali się.

— Nie wszystkie pomysły mojej żony zostały wprowadzone. Próbowала przekonać kucharkę do podawania niektórych warzyw na surowo, ale trafiła na mur nie do przebicia. Na surowo dostajemy więc tylko sałatę i mizerię z ogórków, bo, cytuję: „nie jesteśmy stadem królików, żeby jeść surowiznę”.

Jan kroił ostatni kawałek wyśmienitej gruszki, zastanawiając się, czy Julia ma w swych zapasach dojrzały roquefort i orzechy włoskie — pasowałyby doskonale do tak pysznego owocu. Odłożył sztucce na talerz, a Tadeusz odczytał to jako znak, że gość zakończył jedzenie.

— Jak twoje przemyślenia?

— Na razie w chaosie. Trochę porozmawiałem, a teraz wybieram się do pokoju Zosi.

— Potrzebujesz pomocy?

— Nie, dziękuję.

Jan już przed obiadem postanowił, że popracuje sam. Tuż przed posiłkiem udało mu się zadać kilka pytań Witkowi, a przed przeszukaniem pokoju Zosi zamierzał jeszcze porozmawiać z Marią. Rozejrzał się po pustej jadalni i rzucił żartobliwie:

— Mam nadzieję, że pozostali goście nie omijają posiłku ze względu na moją obecność?

— Nie przesadzaj. Paulina czasami w ogóle nie przychodzi w ciągu dnia. Hrabina prosiła o coś delikatnego do pokoju. Karol, jak go znam, wpadnie w ostatniej chwili i wymiecie wszystko, czego nie zdołał zjeść Waław.

— Drogi Tadeuszu, ty chyba jesteś złośliwy.

Tarnowski się uśmiechnął i wymieniał dalej.

— Julia przyjdzie, jeśli będzie głodna.

Jan był pod wrażeniem wyrozumiałości, z jaką Tarnowski traktował zwyczaje żony. Dla większości ludzi byłyby to fanaberie.

— Tadeuszu, co ze stajnią i twoim spotkaniem z cieślą?

— Czeka ją na mnie w kancelarii — Tadeusz wyglądał na zakłopotanego — dlatego jeśli nie przeszkadza ci, że cię zostawię...

— Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś? — Jan od razu wstał i odłożył serwetkę. — Wszystko było wspaniałe, a teraz idziemy do swoich obowiązków.

Tadeusz roześmiał się na to dyktatorskie zachowanie gościa, który poradził na koniec:

— Możesz wysłać Franciszka z wiadomością do Waław, że zostawiamy mu wolne pole bitwy.

— Najpierw służba będzie musiała zadbać o zaopatrzenie...

Śmiejąc się, wyszli razem z jadalni. Na korytarzu Jan spotkał Waław wychodzącego z biblioteki.

— Panie Waławie — odezwał się tym sztucznie unizonym tonem, w którym każdy, poza posłem, słyszał udawanie i komedię.

— Nie sądzę, abyśmy mieli sobie cokolwiek do powiedzenia.

— Ja właśnie o tym.

Posł wykonał lekki obrót i Jan mógł podziwiać jego profil, w którym wyróżniała się harmonijka podbródków.

— Może wejdziemy tutaj — Jan wskazał na drzwi biblioteki.

Waław niechętnie posłuchał, a Jan się kajał:



— Chciałbym prosić o wybaczenie, jeśli pana w czymś uraziłem.

— Powinienem wysłać do pana moich sekundantów!

— Mam nadzieję, że list udało się panu mimo wszystko napisać.

— Jest na ukończeniu. Gdyby nie moje lekkie pióro i wieloletnia praktyka w pisaniu tego typu not, miałbym poważne kłopoty ze stworzeniem takiej epistoły po tym, co mi pan dzisiaj zarzucił.

Jan spuścił głowę, aby ukryć uśmiech, a Waclaw przemawiał dalej:

— Pozostaje mi mieć nadzieję, że pan Tarnowski odzyskał swój zdrowy rozsądek i stanowczo zakazał panu dalszego mieszania się do tej bolesnej sprawy.

— Nadal nie wiemy, kto zabił.

— To przecież oczywiste. Nie ulega wątpliwości, że to był włamywacz.

— Jak tu się dostał?

Ton głosu Jana sugerował, że poważnie rozważa taką możliwość.

— Już oni mają sposoby.

— Nawet gdyby tu wszedł, to już by nie wyszedł — przecież jesteśmy zasypani.

— Ktoś ze służby go ukrywa w pałacu — Waclaw przemyślał wszystko dokładnie.

— Wszyscy pracujący w pałacu są związani z Tarnowskimi od lat. Tadeusz im ufa.

— A komu on nie ufa? — Jan usłyszał pogardę, a na pewno dezaprobatę. — Zbytńio się spoufala ze sługami. Na przykład ten jego ostatni pomysł — wysłał wieśniaka na nauki do Poznania. Ale to nie jest najgorsze. Ignoruje nauki Kościoła — oznajmił z palcem wzniesionym ku górze. — Para żyła we wsi bez ślubu i on to tolerował, bo rzekomo nie mieli gdzie się podziać. Obraza boska!

Obrońca czystości moralnej aż się zasapał.

— Służbę trzeba trzymać krótko — grzmiał Waclaw z pasją Wielkiego Inkwizytora. — Mają spełniać polecenia i to wszystko. Zobacz pan, że policja znajdzie winnych wśród służby. Może nawet nie było włamywacza — tylko służący.

— Jaki byłby powód?

— A czy musi być powód? To nie są ludzie kulturalni, więc motyw ich postępowania nie będą dla nas zrozumiałe. Wystarczy przypomnieć, jak pana omotali. Ktoś z nich naopowiadał o mnie kłamstw i sam pan wie, do czego to doprowadziło. Proszę zapamiętać — to wszystko ludzie bez czci i wiary.

— Przemyślę to. Nie będę pana dłużej zatrzymywał, bo pewnie wybiera się pan na posiłek.

— W rzeczy samej — od śniadania nie miałem nic w ustach i porządnie zgłodniałem.

Jan przypomniał sobie małą przegryzkę posła, której objętość przewyższała dzienne spożycie dorosłego mężczyzny pracującego fizycznie. Uznał, że w trosce o zdrowie swego ulubieńca powinien zniechęcić go trochę do jedzenia.

— Skoro jesteśmy przy temacie służby i tego, co zeznano na temat pańskiej kłótni z Zosią...

— Myślałem, że ten temat uznamy za zamknięty. Przeprosił mnie pan i nawet rozważam, czy by o tym nie zapomnieć.

— Pański przyszły szwagier zdziwił się, że nie pamięta pan kłótni z Zosią — poinformował Jan lekkim tonem.

— A co Karol może o tym wiedzieć?

— Nie wspominałem panu? Rozmawiał z ochmistrzynią, panią Marią, i tak jak ona słyszał pańskie krzyki i płacz swojej siostry. Dobiegały z ich salonu, w którym przecież, jak sam pan twierdzi, nigdy pan nie był.

Waclaw stał z nisko opuszczoną dolną szczęką. Morawski podszedł do drzwi biblioteki.

— Żegnam tymczasem. Byłbym zapomniiał — proszę koniecznie skosztować półgęsków, są wymienite.

Jan dotarł do swojej sypialni. Porozmawiał z Marią o zwyczajach Zosi, a teraz zamierzał z Mateuszem przeszukać jeszcze raz sypialnię dziewczyny. Wszedł i już otwierał usta, aby zaproponować to kamerdynerowi, kiedy okazało się, że pokój jest pusty. Jan usiadł i wziął do ręki wczorajsze wydanie „Berliner Tageblatt”. Nie zdążył rozłożyć gazety, gdy poszukiwany pojawił się w drzwiach. Morawski zaszeleścił nieposłuszną płachtą dziennika.

— Jesteś. Doskonale. Jadłeś?

Błogość na twarzy Mateusza mówiła więcej, niż słowa byłyby w stanie wyrazić.

— Karmią tu cudownie. Była pieczona kaczka i te ich pyszne kluski, te ogromne jak bułki. Kucharka zrobiła je specjalnie dla mnie, bo to ich przysmak i powiedziała, że koniecznie muszę spróbować. I do tego kapustka. Czerwona. Chociaż oni mówią na nią modra. A na te kluski mówią pyzy.

— Dostaliście normalny obiad?

— Tak, kucharka stwierdziła, że zimny obiad to nic dobrego i że jeśli państwo chcą coś takiego, to dla niej lepiej, ale my będziemy jedli ciepły obiad, tak jak Bóg przykazał. Już się nie mogę doczekać kolacji. Najpierw trzeba jednak popracować — zdyscyplinował się kamerdyner. — Co robimy?

— Pokój Zosi. Musimy przejrzeć wszystko jeszcze raz. Najważniejsze — znaleźć pamiętnik.

— A jeśli nie pisała?

— Wyobraź ją sobie — tłumaczył Jan, kiedy szli korytarzem w stronę sypialni dziewczyny — romantyczna panienka, w nowym miejscu, po stracie rodziców, dręczona przez dwa potwory. Nie chce martwić bliskich. Emocje ją zalewają — i te prawdziwe, i te wymaginowane. Musiała pisać pamiętnik.

Jan otworzył drzwi i zatrzymał się, by sprawdzić, czy widać ślady czyjejś obecności. Dostrzegł od razu dwie różnice. Było jasno, ale wtedy był przedświt, a teraz wczesne popołudnie, więc ta zmiana nie dziwiła, zwłaszcza przy odsuniętych zasłonach i bieli za oknem. Po drugie łóżko starannie pościelono. Poza tym wydawało się, że wszystko jest tak, jak było, nawet plama po wylanej herbacie.

— Czy mi się wydaje, Mateuszu, czy czuję zapach drewna sandałowego?

— Nie wydaje się panu. Pokojówki mówiły, że pani Julia okadziła sypialnię panienki, żeby odpędzić złe duchy.

Brwi Jana doszły prawie do linii włosów. Mateusz to dostrzegł, uderzył się pięścią w pierś i dodał:

— Słowo honoru.

Jan w końcu otrząsnął się ze zdumienia.

— Zabierajmy się do pracy.

Podszedł do małej podręcznej biblioteczki. Gust dziewczyny nie zaskoczył go: romantyczna poezja Tennysona, sporo Szekspira, Słowacki, Sienkiewicz. Z Mickiewicza tylko *Pan Tadeusz*. Znalazł też kilka dzieł teologicznych, które prawdopodobnie zostały wybrane przez światłego narzeczonego i miały podnieść morale panny Rusieckiej. Od rozważań oderwał go hałas przedmiotów uderzających o drewnianą podłogę.

— Co się stało?

— Strąciłem wazon, ale na szczęście go nie stłukłem. Właśnie zrozumiałem, jakie to szczęście, że pan nie ma pasji do tego całego sentymentalnego zbieractwa. Niby porządek, ale od drobiazgów w głowie mi się kręci.

— Ależ marudzisz. Kaczka z pyzami okazała się za ciężka? — Jan oglądał rozstawione na gzymsie zdjęcia: Karol, Zosia chyba z rodzicami, zdjęcie młodych panienek, między którymi wypatrzył Zosię. Przypomniał sobie zadanie powierzone Mateuszowi.

— Jak wam poszło z przyjezdnymi pokojówkami? — spytał, roztrącając pogrzebaczem popiół w kominku.

— Ta moja nie była wylewna, ale udało mi się z niej wycisnąć, że faktycznie pan Wacław odwiedza jakąś rodzinę i że jest tam panna, z którą był kiedyś prawie zaręczony.

— A co Paulina mówi o tamtej?

— Że jest brzydka jak noc. I żeby móc na nią patrzeć, trzeba cały czas przypominać sobie wartość jej posagu.

— Cała Paulina. Co masz w tej szafie?

— Farby, pędzle, wszystko spakowane.

Jan podszedł i rozsunął suknie wiszące na wieszakach.

— Wyciągałeś te kartony?

— Próbowałem, ale są okropnie ciężkie.

— Poczekaj, pomogę ci.

Przyklękł obok Mateusza. Razem unieśli i złożyli na podłodze dwa wielkie pojemniki. Zajrzał do szafy i przejechał dłonią po pustym fragmencie dna. Jego dłoń natrafiła na wstążkę na styku tylnej ściany z podłogą szafy. Chwycił ją mocno i pociągnął do góry. Poczuł, że robi mu się ciepło z emocji. Szarpnął jeszcze raz i płyta lekko drgnęła.

— Podwójne dno! Mateuszu, tam jest skrytka!

Skrytka była, owszem. Pusta. Leżało w niej tylko kilka arkuszy papieru pakowego i przecięty sznurek.

— Szkoda. No, ale nic. Szukamy dalej.

— Może ktoś zabrał pamiętnik?

Kłęczeli przy szafie.

— Może, ale raczej nie sędzę. Musi być inne miejsce, łatwiej dostępne. W pamiętniku pisała przecież codziennie, a żeby otworzyć skrytkę w szafie musieliśmy się natrudzić we dwóch. Ona sama nigdy by tego nie otworzyła.

Nowa nadzieja wstąpiła w Jana.

— Może nawet o tym schowku nie wiedziała. A może, Mateuszu, odkryła to i dlatego musiała zginąć?

Popatrzyli na siebie, a potem znowu w głąb szafy.

— Myśli pan?

— Dlatego tak chcę znaleźć pamiętnik. Moim zdaniem Zosia mogła zginąć, bo coś wiedziała. A jeśli wiedziała, to być może wpisała to do pamiętnika.

Jan zabrał papier i sznurek ze skrytki, wstał i położył to wszystko na łóżku.

— To też jest ciekawe. Coś było w niego zapakowane. Nie, nie rozprostowuj go. Postarajmy się po układzie zagięć rozpoznać, co było w to zawinięte.

— Zgięcia są ułożone równo. Może to były pudełka.

— Może. A jeśli pudełka, to mogło być w nich wszystko.

Zielony sznurek był przecięty, a węzeł nadal spleciony. Mateusz zaproponował:

— Pokażmy to komuś — Marii, panu Tarnowskiemu. Może ktoś z nich to rozpozna?

— Jeśli ujawnimy, że znaleźliśmy ten schowek, to osoba, która z niego korzystała, może spanikować i przeszkodzić nam w dalszych poszukiwaniach.

Schowali wszystko z powrotem, zasunęli płytę i poukładali pudła.

— A jak poszło Franciszkowi z pokojówką hrabiny?

— Potwierdziła tylko to, co już pan wie o Michale. — Mateusz oglądał dokładnie ramy okien i jednocześnie opowiadał Janowi rozbawiony: — Ależ z niej latawica! Franciszek mówił, że kilka razy zniknęła, jakby miała schadzkę, tylko nie mogą dojść, o którego z lokai chodzi. Pani Maria się denerwuje, ale nic nie może zrobić, bo dziewczyna nie należy do służby pałacowej. A mi się wydaje, że ona kocha się w paniczku Karolu.

Jan uniósł głowę znad cytatów.

— Naprawdę?

— Cała się rumieni, jak ktoś go wspomni.

Jan otworzył szufladę biurka i powiedział do siebie:

— Listy wezmę do przejrzenia na spokojnie — wyciągnął całą szufladę na zewnątrz, przyklękł i

badał wnękę biurka. — Pamiętaj, Mateuszu, że szukamy nie tylko pamiętnika, ale też klucza.

— Klucza?

— Do pudełka, które znaleźliśmy w szafce nocnej.

Mateusz potarł brodę.

— Przecież nie potrzebuje pan klucza, żeby otworzyć to pudełko — zasugerował nieśmiało. — Ma pan w bagażu...

Jan podniósł głowę i kamerdyner od razu zamilkł. Morawski zdecydowanym tonem odpowiedział:

— Na razie nie bierzemy tej możliwości pod uwagę. — Podniósł się z kolan i wrócił do przeglądania książek, cały czas mówiąc ni to do siebie, ni to do kamerdynera: — Teraz, gdy więcej o niej wiemy, te książki już tak nie dziwią: *Podarunek ślubny* pani Ć., Tomasz à Kempis. A skąd to się tu wzięło? *Broń przeciwko germanizacji Ziemi Słowiańskiej*? Ta książka jest zakazana przez władze.

— Przecież nie raz widywaliśmy zakazane przez Prusaków...

— Nie tak na widoku. Poza tym ta jest naprawdę bardzo niebezpieczna. Zresztą sam posłuchaj. Wystarczy otworzyć i już na pierwszej stronie czytasz: „Kiedyż Krzyżak tępić prawych właścicieli ziem słowiańskich mieczem i ogniem przestanie?”. I co ty na to?

Mateusz szeroko otworzył oczy i skomentował.

— Dziwne, że panienka ją miała.

— Prawda? — Jan też dostrzegł ten aspekt sprawy. — Kto by jej zawierzył? Takie rzeczy widuje się u ludzi innego typu: poważne kobiety, ziemianie, młodzi mężczyźni z pasją do przygód. Ale Zosia? Ciekawe dlaczego?

— I skąd?

Jan dalej układał książki.

— Zosia korzystała z pomocy służących bardzo rzadko — rozważał na głos — właściwie tylko przed dużymi zebraniem, przed balem. — Jakby nawiązując do przygotowań do balu, podszedł do toaletki i przestawiał stojące tam przedmioty, zaglądał do puderek, wąchał zawartość flakonów.

— Dlaczego? — zdziwił się Mateusz.

— Maria twierdzi, że Zosia nie lubiła robić wokół siebie zamieszania, a poza tym przyzwyczała się do dawania sobie rady sama.

Przez moment panowała cisza, obaj myśleli o dziwnych kolejach losu, które przywiodły dwójkę młodych do Wielkopolski, co tragicznie się skończyło dla młodziutkiej Zosi.

— Maria wątpi, żeby ktoś tu wieczorem wchodził — ciągnął Jan. — To część dla domowników. Zosia kładła się spać wcześniej, pani Julia wieczory spędzała głównie u siebie lub z mężem w bibliotece. Tadeusz i Karol udawali się na spoczynek później.

— To znaczy, że gdyby ktoś z gości pojawił się wieczorem w tej części piętra, od razu zwróciłby na siebie uwagę.

— To prawda, ale w domu była uroczysta kolacja, goście, sporo zamętu. Służący byli zajęci.

Jan oczyścił dłonie z kurzu po tym, jak sprawdził, czy nic nie ukryto na biblioteczce, po czym usiadł w fotelu, wyprostował nogi i opowiadał dalej:

— Według Marii, Zosia wieczorem wracała do siebie i przygotowywała się do snu. Potem się kładła, brała leki i czytała. Zawsze brała leki, już leżąc w łóżku. I zawsze rozpuszczała proszek w wodzie, którą co wieczór przynoszono tu w karafce i stawiano na stoliku nocnym.

— Witek powiedział mi, że jeszcze niedawno panienka wstawiała jak przyzwoite panny — na ósmą lub dziewiątą, ale od kiedy postanowiła pracować nad sobą, prosiła, żeby budzić ją jak najwcześniej.

Jan spojrział na ułożone na blacie pakiety.

— Trochę się dowiedziałem od Marii o środkach nasennych. Zosia brała je od rozstania z Kareńskim, najpierw gdy nie mogła zasnąć, potem coraz częściej, a ostatnio co wieczór. Była kłębkim nerwów, a poza tym wykańczało ją ukrywanie tego przed Tadeuszem.

Staął przy stoliku nocnym i przeglądał koperty z proszkiem.

— Proszek przygotowywał miejscowy aptekarz. Był dostarczany z innymi lekami lub odbierany przez Marię, bo często upierała się, że sama pojedzie do apteki. Tak przynajmniej twierdzi Witek.

Mateusz zachichotał.

— Widziałem, jak Witek pisze i powiedział, że nauczył się od aptekarzowej. To ona opisywała opakowania leków, a jak kazali mu je potem wyrzucać, to wyciągał i naśladował pismo, takie z zawijasami i zakrętami.

— Właśnie widzę te zawijasy i zakrętasy — zaśmiał się Jan. — Zauważyłem, że chłopak jest zafascynowany pisaniem — nie tylko tobie to opowiadał. Widywał Zosię piszącą, czasem na kartkach, czasem w zeszycie, ale nie wie, czy prowadziła pamiętnik. Maria również nie jest tego pewna.

Jan zawiesił głos, jakby zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale tymczasem stał zamyślony. Przypomniał sobie, jak Maria zaniepokoiła się, gdy wspomniał o szukaniu w pokoju Zosi. Czuł coraz większe zniechęcenie — w tej sprawie wyraźnie działała zasada: im dalej w las, tym więcej drzew.

— A rysunki? Te brakujące?

— Żadne z nich nie wie, dlaczego brakuje rysunków z ostatnich tygodni. Maria twierdzi, że po prostu pod wpływem narzeczonego Zosia porzuciła poprzednie zainteresowania. Powiedziała też, że widywała pudełko, ale nie wie, co się stało z kluczem.

Jan wyciągnął szufladę z szafki nocnej i położył ją na łóżku. Wewnątrz był różaniec, świece, książeczka do nabożeństwa, Pismo Święte, chusteczki do nosa. Przyklęknął i wsunął dłoń do szafki, sprawdzając wnętrze. Schował szufladę z powrotem i otworzył dolną część. Zawartość nie zmieniła się od rana.

— Zastanówmy się. Jestem młodą panienką. Piszę pamiętnik, przelewam na papier wszystkie żale, nadzieje, tęsknoty. Przestań się śmiać, Mateuszu, tylko myśl. Nie chcę, żeby ktokolwiek znalazł moje zapiski. Jestem wstydliva, niewinna. Muszę ukryć pamiętnik. Ukryłam.

Ważył pudełko w dłoniach i potrząsał. Wewnątrz coś się przesunęło, ale towarzyszące temu dźwięki były stłumione. Usiadł na łóżku i położył szkatułkę na kolanach. Zamknął oczy. Mateusz z uwagą obserwował te manewry.

— Gdzie?

— W drewnianym pudełku, a pudełko zamknęłam na klucz. Muszę teraz schować klucz. — Jan zacisnął dłoń, jakby ukrywał klucz, i mówił dalej w transie: — Najchętniej przy sobie, ale jest za duży, żeby powiesić go na szyi lub schować w medalionie.

Naraz otworzył oczy i zapytał:

— I co, Mateuszu? Gdzie schowałeś klucz?

— Ani rusz nie mogę sobie wyobrazić, że jestem niewinną panienką.

Jan rzucił mu spojrzenie pełne dezaprobaty. Zamknął oczy i cicho mruzczał:

— Jestem wstydliva. Nie mam oryginalnego umysłu ani pomysłowości.

Po czym wstał i zdecydowanym krokiem podszedł do komody. W trzeciej szufladzie od góry były majtki i tam zaczął szukać, przerzucając bieliznę. Rozległ się delikatny stukot. Jan podniósł do góry jedną parę pantalonów i od wstążki odczepił klucz. Mateusz patrzył na niego jak na iluzjonistę.

— Skąd? Jak?

— Nie jestem pomysłowa — więc chowam tam, gdzie większość kobiet. Jestem wstydliva, więc wszystkich za takich uważam i chowam tam, gdzie wydaje mi się, że reszta świata nie ośmieli się zajrzeć.

Podszedł do łóżka i z uśmiechem włożył kluczyk do zamka.

— *Voilà!*

Wyciągnął ze środka kajet, kilka zdjęć, kilka listów, kartek, pierścionek, zasuszoną różę.

— Jak na mało pomysłową panienkę, jest pan raczej pomysłowy.

— Zacznijmy po kolei: pierścionek.

— Może to hrabiego Michała?

— To kobiecey drobiazg, powiedziałbym, że to jej pierścionek, który zwrócił Michał. Spytamy Karola. Wziął do ręki kajet i z triumfem zakomunikował:

— Tak, Mateuszu, to pamiętnik. Wezmę to do siebie i od razu zacznę czytać. Tu może być rozwiązanie.

— Widział pan?

Mateusz wskazał na górną krawędź zeszytu. Jan obrócił pamiętnik: brakowało części kartek.

— Niech to diabli... wyrwane. Te sprzed kilku miesięcy. Pytanie, kto to usunął?

— Może z czasów końca narzeczeństwa? Może sama wyrwała?

— Może. Jak napisał Dante: *Nic tak nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli.*

Już nie odczuwał triumfu. Czyżby ktoś ich uprzedził?

— No nic, przeczytam. Może uda się coś ustalić z tego, co zostało. — Ponownie pochylił się nad znalezionymi przedmiotami i wziął do ręki kilka fotografii. — Zdjęcia. Zobacz, wygląda jak męska wersja hrabiny. To musi być Michał. „Zosieńka i Karolek” i data — sprzed szesnastu lat. — Oglądał kolejne zdjęcia i podawał je Mateuszowi. — To musi być ich matka, ta sama data.

— Piękna pani. Nic dziwnego, że pan Tarnowski...

Jan spojrzał ostrzegawczo.

— I ostatnie: Michał, Karol, Zosia i jeszcze jedna dziewczyna.

— Pochodzi sprzed roku.

Jan przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie i obliczał daty.

— To wtedy Zosia poznała Michała. Tak, to by pasowało... Wczoraj hrabina zrobiła kąśliwą uwagę, że Karol i Zosia są zmienni. Dodała, że on też miał już narzeczoną, gruzliczkę, że to była taka wielka miłość i co? Gdzie ona teraz jest? — Jan naśladował złośliwy ton Kareńskiej. — Mówiła o tej dziewczynie: moja imienniczka.

— A jak ma hrabina na imię?

— Elena.

— Biedny panicz Karol. Najpierw zmarła narzeczona, potem rodzice, teraz siostra i to wszystko w niecały rok...

— Mmm. Jeszcze te kartki. Stary list... ależ zaczytany i poplamiony, od przyjaciółki, właściwie nieczytelny. Pojedyncze słowa, nic z tego nie wynika. Podpis. Chyba „Maszka”. Czyli Maria.

— To wschodnia wersja — popisał się Mateusz.

— Pewnie były razem u sióstr. — Jan wziął kolejną kartkę. — Jeszcze jeden, też stary, nawet w gorszym stanie. „Kochana córeńko”, nieczytelne, „przyjadę”... „ucz”... „grzeczna”... „sióstr”. Podpis — tym razem „Mama”.

— Ten też chyba od matki. Same starocie.

— I ostatni: „Karolku”, zamazane, „niedługo”... „spotkamy”... znowu pojedyncze wyrazy.

Jan złożył kartki.

— To raczej relikwie. Najnowszy jest ten ze szkoły. Pozostałe są starsze. A co my tu mamy?

Morawski wziął do ręki kartkę, a zaciekawiony Mateusz wykręcił głowę i próbował odczytać tekst.

— Wygląda na adresy, taki wykaz miejsc.

Jan zaczął czytać. Uniósł brwi i przejechał dłonią po włosach.

— Dobry Boże. Wiesz, co to?

— Miejscowości.

— Nie jestem całkiem pewien, ale wiem, że co najmniej trzy z wymienionych miejsc to polskie dwory sprzedane Niemcom. A, ten też. Czyli cztery.

Przez chwilę wpatrywał się w kartkę, kiwając głową.

— Słyszałeś o pracach nad *Czarną Księgą*?

— Listą majątków sprzedanych zaborcom?

— Właśnie. Ponoć jest przygotowywana we Lwowie. Co Zosia mogła mieć z tym wspólnego? I jeszcze tamta książka. — Jan bębnił palcami w blat stolika i wpatrywał się w Mateusza. — Miej oczy i uszy otwarte. Szeroko. A ja popytam Tadeusza o te dwory. Może łączy je coś innego niż tylko *Księga*.

Popatrzył na przedmioty rozłożone na łóżku.

— Zabieramy listy i kajet. Na razie wystarczy.

— A pierścionek?

— Też zabieramy. Pokażę go Karolowi. A właściwie to weźmiemy całe pudełko.

— A rekonstrukcja zbrodni? Będzie niepełna, bo nie wiemy, kto i kiedy podmienił lek, ale możemy odtworzyć, co robiła panienka.

— Oddaję ci głos.

— Weszła, rozebrała się, zdjęła i odłożyła diadem, ułożyła ubranie.

Mateusz naśladował wszystkie te czynności z pasją niedosłzłego mima. Jan bardzo to lubił.

— Wyszczotkowała włosy i umyła zęby. Maria mówiła, że Zosia miała prawdziwą obsesję na tym punkcie. Ubrała się w koszulę nocną. Położyła się, wzięła lek z nowego pakietu i czytała Pismo Święte.

Mateusz położył się na łóżku, przygotował wymyślony lek, wypił go, wziął do ręki wymyśloną książkę.

— Najpierw chyba Byrona, a potem Pismo — zasugerował.

— Słusznie — Pismo było na kołdrze. Czytała *Giaura*, a potem Biblię.

— A potem umarła.

— A potem umarła.

\*

Paulina w pół leżała na wymoszczonym poduszkami szezlongu. W szafirowej sukni, jak zawsze zbyt strojnej i zbyt dorosłej, wyglądała jak rajski ptak, otoczona przez egzotyczną roślinność wypełniającą niewielki ogród zimowy.

Ogród był prezentem Tadeusza dla Julii i to ona zdecydowała, że rośliny pochodzić będą ze strefy śródziemnomorskiej: niektóre odmiany palm, gardenie, mirty, drzewka laurowe. Nie stanowił osobnego budynku, ale przeszkloną dobudówkę, nakrytą dachem w kształcie kopuły, wzorowaną na słynnym ogrodzie zimowym w Paryżu.

Ów *jardin d'hiver*, jak go nazywała panna Bonikowska, nie był duży i poza roślinami mieściło się w nim kilka foteli, szezlong i małe stoliczki. Na jednym z nich, umieszczonym w zasięgu ręki Pauliny, stała misa z zielonymi winogronami i pudełko z owocami w cukrze. Naprzeciwko dziewczyny siedział Karol, ciągle bez krawata i marynarki, za to w założonej dla przyzwoitości kamizelce. Nie dosyć, że się nie odzywał, to jeszcze zdawał się nie zwracać na Paulinę uwagi, a tego nie zamierzała tolerować.

— Kochany mój, nie smuć się, gdy jesteśmy razem.

Nic. Nawet nie spojrzął.

— Uśmiechnij się do mnie, Charles. — Tym razem do prośby dołączyła wyciągniętą do chłopaka upierścienioną dłoń. — Bo pomyślę, że się pogniewałeś na swoją Paulinkę.

— Jak mam się uśmiechać? Straciłem całą rodzinę, nie mam nikogo. Zostałem sam.

— Jak to sam? Przecież masz mnie.

— Dzisiaj tak mówisz. Skąd mogę wiedzieć, co powiesz jutro?

— Chyba nie wątpisz we mnie, niedobry?

— Nawet nie jesteśmy zaręczeni.

— A jakie to ma znaczenie?

— Dla mnie ma. Zwłaszcza teraz, kiedy nie mam rodziny. Chcę... chciałbym, żebyś chociaż ty do mnie należała.

Nastąpiła nieoczekiwana przemiana. Naprzeciwko Karola nie było już rozkapryszonej sześciolatki,

tylko pewna siebie wyrafinowana kobieta, która rzuciła dwuznacznie:

— Nigdy nie będę do ciebie należała.

— Nawet po ślubie?

— Zwłaszcza po ślubie.

Akcent postawiła na słowie „zwłaszcza”, pozostawiając Karolowi dowolność interpretacji. On chyba nie miał głowy do zastanawiania się, co miała na myśli.

— A jeśli twój brat nie zgodzi się na nasze małżeństwo?

— Waław? A skąd ci, ty zabawny dzieciaku, przyszło do głowy, że on ma cokolwiek do powiedzenia?

— Jest przecież twoim opiekunem.

— Chyba ja jego.

— Boję się, że będzie przeciwny, teraz, gdy Zosia nie żyje...

— To raczej dodatkowy argument.

— Jak to?

Spojrzała na niego z politowaniem.

— Przecież mieliście być adoptowani — ty i Zośka. Ona nie żyje, więc część majątku przypadająca na nią zostanie dla ciebie.

— Nie pomyślałem o tym...

Pokręciła głową, ubolewając nad jego brakiem dalekowzorności.

— Wy, mężczyźni, tacy jesteście niepraktyczni.

— A jeśli Tadeusz zrezygnuje z adopcji?

— Oszalałeś? Dlaczego miałby to robić?

Wstała wyćwiczonym, powolnym ruchem i sięgnęła po kiść winogron. Wzięła jeden owoc do ust, patrząc mu wyzywająco prosto w oczy. Jeśli jej zamiarem było odwrócenie uwagi Karola od śmierci siostry i innych smutków, to osiągnęła swój cel. Patrzył na nią i głośno przełknął ślinę. Kołyszając biodrami, podeszła i usiadła na oparciu jego fotela. Wzięła do ręki kolejną kuleczkę.

— Winogronko?

Połknął owoc. Ona oderwała kulkę dla siebie, przegryzła ją i zjadła, demonstracyjnie przymykając oczy i mrużąc.

— Wyjdź za mnie — wychrypiał.

— Zastanowię się.

— Mam uklęknąć?

Zastanawiała się przez chwilę i wyraziła zgodę. Natychmiast zsunął się z fotela do jej stóp.

— Wyjdź za mnie.

— Zastanowię się.

— Powiedziałaś, że jeśli uklęknę... — wyjąkał.

— Nic takiego nie powiedziałam. Zapytałeś: czy mam uklęknąć, ja przytaknęłam. Bo w końcu — czemu nie?

Wróciła na szeslong. Ułożyła się w poprzedniej pozie.

— Ty diablico! — szepnęła Karol w zachwycie.

Roześmiała się zadowolona. Sięgnęła po kandyzowaną wiśnię, wzięła do ust, po czym, patrząc na niego, wyzywająco oblizała palce z lukru.

— Kocham cię — powiedział, gdy skończyła jeść.

— Wiem.

Spojrzała na niego i zapytała lekkim tonem:

— A skoro już wspomniałeś o adopcji, na kiedy Tadeusz planuje to, co nazywacie dopełnieniem formalności?



— Czyli jednak to jest dla ciebie ważne.

Był w tym stwierdzeniu i niepokój, i wyrzut. Może liczył, że ona zaprzeczy.

— Mój drogi, bądźmy realistami. Pieniądze są ważne, chyba nie będziesz temu przeczył.

— Nie, nie będę.

Znowu posmutniał, a ona przywołała na pomoc rozpieszczoną sześciolatkę.

— Nie rób tej minki. Nie lubię jej. Przecież nie chcesz, żeby twoja Paulinka nosiła brzydkie sukienki i musiała obywać się bez służby. Prawda, Charles? Potrzebujemy pieniążków.

— Może porozmawiam z Tadeuszem?

Sześciolatka wykonała zadanie i na jej miejsce wróciła wyrachowana manipulatorka.

— Porozmawiaj. Powołuj się na Zosię, na moją miłość do niej, opowiadaj, jak bardzo sobie życzyła naszego małżeństwa.

— Porozmawiam.

Opuściła nogi z szezlonga na ziemię i oglądała owoce w misie.

— A co w ogóle Tadeusz ci obiecywał? — spytała lekkim tonem, ale ukradkiem rzucała mu uważne spojrzenia.

— Tylko raz mówił coś konkretnie. Wtedy, gdy pytał mnie o zdanie na temat małżeństwa Zosi z Waławem. Oczywiście się zgodziłem i dałem do zrozumienia, że być może będzie też drugie małżeństwo, ale musiałbym wiedzieć, na czym stoję w kwestiach finansowych. Tadeusz określił to wyraźniej — teraz pensja, spora kwota w przypadku małżeństwa. Julia dodała, że to dotyczy związku zaakceptowanego przez nich.

— Ach, tak powiedziała?

Karol nagle jakby odzyskał energię. Wstał i twardo oznajmił:

— Masz rację, nacisnę go. Tak jak mówiłaś.

— Hm.

— I wtedy ogłosimy zaręczyny.

Zaśmiała się.

— Nie tak szybko.

— Ależ kochanie, dlaczego?

Ułożyła się wygodnie na poduszkach i wyjaśniła chłodno:

— Jeśli ogłosimy je teraz, krótko po śmierci Zosi, to zaręczyny będą musiały być ciche, a ja nie zamierzam rezygnować z przyjęcia zaręczynowego.

— Ja myślałem, że my z Waławem, Tadeusz z Julią to wszyscy.

— A potem się dziwisz, gdy mówię, że to ja jestem opiekunem Waława, a nie na odwrót — przecież wy nie macie o niczym pojęcia. Przyjęcie zaręczynowe połączone z balem i wymianą pierścionków — planowała, chodząc po ogrodzie. — Kucharza sprowadzę z Poznania, na zaręczyny wystarczy, bo na ślub nie. Na ślub... może ktoś z Berlina?

— Z Berlina?

— Suknia taka jak widziałam w ostatnim „Journal” — model z pracowni Wortha. W tym nowym kolorze: Księżycowy Błękit.

— Przecież suknia musi być biała.

Odważył się odezwać, bo w tym punkcie był pewien, że ma rację. Suknia powinna być biała. Nie dosyć, że wybił ją z rytmu, to jeszcze gadał bzdury.

— Przecież ja mówię o zaręczynach — skarciła go.

— Więc wyjdiesz za mnie?

— Zastanowię się. Najpierw muszę wiedzieć, czy będziemy mieli za co żyć.

— Rozmówię się z Tadeuszem.

Wyglądało na to, że pewne sprawy przemyślała już wcześniej, bo kolejna rada padła natychmiast.

— Nie musisz chyba czekać z tym zbyt długo — w końcu Zosia nie była ich krewną, więc dla Tarnowskich to nawet nie jest żałoba.

— No tak, ale żałoba obowiązuje mnie.

— Przekonamy ich, że na twoją rozpacz po stracie siostry małżeństwo będzie najskuteczniejszym lekarstwem. Bo przecież będzie, prawda?

Temu pytaniu towarzyszyło spojrzenie szeroko otwartych oczu, tak szeroko, jakby Karol miał przez nie zostać wchłonięty. Te oczy pomogły mu odpowiedzieć.

— Wiesz, że tak, najmilsza. Przecież tylko myśl o tobie powstrzymuje mnie, żeby to wszystko skończyć...

— Dlatego, że twoja siostra nie żyje?

— Oczywiście, przecież poza nią... zresztą wyobraź sobie, że zostajesz bez Waclawa. To tak samo.

— Pewnie bardzo bym nie płakała. Oczywiście, musiałabym być na zewnątrz zrozpaczona, bo tak wypada, wszyscy by tego oczekiwali, ale nie martwiłabym się, że on nie żyje. W gruncie rzeczy wcale by mi to nie przeszkadzało.

Chyba go zaszokowała. Była nawet z tego zadowolona. Sięgnęła po kawałek melona, nadgryzła, skrzywiła się i wrzuciła z powrotem między owoce.

— Zresztą, Waclaw nie jest taki zły, co prawda to nudziarz, ale jako dostawca pieniędzy się sprawdza. Wiem, że to nadęty głupiec, ale tym lepiej — bez problemu można go owinąć wokół palca.

— Zosi się to nie udawało.

— Bo biedaczka była jeszcze głupsza od niego. Nie rób takiej oburzonej miny, przecież mówię prawdę. A wracając do mojego brata, życzę sobie, aby skończyły się wasze odwiedziny u tej panny. Jeśli nie, to mogę się zrobić nieprzyjemna...

— Skąd ty o tym...

— Masz mnie za idiotkę? Znam ją. Jest ostra i nie pozwoli sobą rządzić, tak jak pozwalała twoja siostra. Przejmie kontrolę nad Waclawem... i pieniędzmi.

— Ale co ja mogę?

Znowu zmieniła wcielenie. Pochyliła się do przodu, oparła dłońmi o stół i kusząco wyeksponowała biust.

— Coś wymyślisz, przecież jesteś taki mądry — zamruczała. — Najlepiej by było, gdyby w ogóle się nie ożenił — ciągnęła chłodno. — Wtedy cały majątek papy przypadnie mi. To znaczy nam. Pomyśl o tym.

— A wyjdiesz za mnie?

— Jeśli obiecasz, że będziesz grzeczny...

— Najgrzeczniejszy. Tylko oznacz datę.

— Jak Tadeusz przepisze na ciebie twoją część i jak się skończy żałoba — postawiła sprawę jasno.

— Ależ kochanie! Nie mogę tyle czekać.

— Będziesz musiał. Ja chcę mieć huczne wesele.

— Cały rok!?

— To mało czasu — przygotowanie wyprawy zajmie tyle. Czy ty wiesz, jak długo trwa samo haftowanie u sióstr w Paryżu?

— A nie możesz oddać gdzieś bliżej?

— Chyba oszalałaś. Żebym się potem musiała wstydzić, gdy mnie któraś z pań zapyta, gdzie miałam szytą wyprawę?

Zdenerwowała się. Od razu skapitulował.

— Dobrze, kochanie, zrobimy, jak będziesz chciała.

— Wiem. Zastanawiaj się lepiej, gdzie będziemy mieszkać.

— Myślałem, że może tu lub u twojego brata.

— Żartujesz? Zamierzam mieć własny dom.

— Nie sędzę, kochanie, żebym się znał, jak Tadeusz, na prowadzeniu majątku. Oczywiście, moglibyśmy zatrudnić rządcę, a tobie do pomocy ochmistrzynię...

— Ja, mój drogi, nie pozwolę się zakopać na wsi. Chcę mieszkać w mieście. Najchętniej w Paryżu, ewentualnie w Berlinie. Taki Poznań, na przykład, nie wchodzi w grę. To właśnie najwspanialsza strona małżeństwa, oczywiście z kimś odpowiednim: wolność i wysoka pozycja.

Tę kwestię też już miała przemyślana, pozostawało tylko przekonać Karola. Podeszła do niego i wsunęła się obok niego na fotel.

— Powiedz, że się zgadzasz. No, powiedz.

— Ja nie wiem, dotychczas nie brałem pod uwagę mieszkania w mieście.

Miał kłopoty z oddychaniem, a ona kusiła, szepcząc mu do ucha:

— Moglibyśmy chodzić na przyjęcia, do teatru. Bywać. Zajęlibyśmy należne nam miejsce. Sezon w Londynie, Ascot, Deauville, zima na Riwierze.

— Jesteś pewna, że to by ci odpowiadało?

— Jestem tego pewna od lat.

Wstała, popatrzyła na niego z odległości kilku kroków i zapewniła:

— A ty — z twoim wyglądem, z twoją klasą, zrobiłbyś furorę! Słyszałam, że masz ogromne powodzenie.

— Naprawdę? Od kogo?

— To moja słodka tajemnica! Tajemnica! — cofała się i podśpiewywała. — Wszystkie leżą u twoich stóp. Jedyna, która jest na ciebie odporna, to Julia — dodała jakby zdziwiona.

Karol podeszedł nagle do drzwi prowadzących do salonu.

— Wydawało mi się, że ktoś tu jest.

— Posmutniałeś. Chodzi o to, co powiedziałam o Julii? Chyba się nią nie przejmujesz? Przecież to wariatka.

— Trudno, żeby Julia lubiła kogoś, kto ją przejrzał — odpowiedział z powagą.

— To znaczy?

Zainteresował ją. Czyżby coś przeoczyła?

— Ale to, co powiem zostaje między nami?

— Oczywiście. Wiesz, że nienawidzę plotek.

Przez chwilę milczał, jakby to, co zamierzał powiedzieć, nie chciało mu przejść przez usta.

— Julia nienawidziła Zosi za to, że Tadeusz był tak moją siostrą oczarowany — wyszeptał. — Nie wiem, czy to była zazdrość o przyszlą adoptowaną córkę, której Julia nie mogła mężowi dać, czy o kobietę.

— Wszystko jest możliwe, ona jest taka dziwaczna, nie wiem, jak pan Tarnowski może znosić te jej fochy.

— A co ma zrobić? Wczoraj przy kolacji miałem nadzieję, że wszystko się ułoży.

Znowu ją zaskoczył — coś się wydarzyło poza nią, a tego nie lubiła.

— A co się stało wczoraj?

— Nie mówiłem ci? Julia nagle, ni stąd, ni zowąd wymyśliła, że pożyczycy Zosi diadem.

Paulina zamrugnęła oczami i od razu skojarzyła:

— Ten, który twoja siostra miała na sobie przy kolacji?

— Tak. Więc widziałaś?

— Widzieć widziałam, choć nie jest tak piękny jak ten od Boucheron, który dostałam na ostatnie imieniny. Wczoraj nawet spytałam Zosię, skąd go ma. Ale zanim odpowiedziała, Julia się zwróciła do mnie. Z jakąś głupotą. Coś o pokoju, czy jest wystarczająco ciepło.

Paulina siedziała ze zmarszczonymi brwiami.

— Jeśli Julia poszła do Zosi, to znaczy, że miała możliwość zamienić proszki.

— Słucham?

— Jeśli Julia poszła do Zosi, to znaczy, że miała możliwość zamienić proszki.

— Nie pomyślałem o tym — wykrztusił zaszokowany Karol.

— Co powtarzał ten Jan? — zaczęła gorączkowo chodzić Paulina. — Szukamy mordercy, czyli kogoś, kto miał motyw, okazję i dostęp do trucizny.

Zatrzymała się, spojrzała na Karola z triumfem i odliczała, podnosząc kolejno palce:

— Dostęp ma każdy, okazję — wiemy, że Julia ją miała, motyw — zazdrość. Nie ma lepszego powodu.

Siedział z otwartymi ustami, wpatrując się w nią w oszołomieniu.

— Jesteś niesamowita. Niebezpieczna. Podniecająca.

— Tarnowska poszła tam pod pozorem pożyczania twojej siostrze biżuterii. Zosia przygotowywała się do kolacji, więc na pewno nie patrzyła, co robi Julia. Wystarczyło podmienić pierwszą z wierzchu kopertę z proszkiem na przygotowaną wcześniej kopertę z morfiną.

— Dobry Boże. Julia. Ty masz rację. Ty powinnaś prowadzić to śledztwo.

Jej mina wyrażała zachwyt nad własną inteligencją. A spojrzenie Karola i jego słowa tylko ją w tym utwierdzały.

— Ciekawe, czy Jan wie?

— Nic nie wspominał.

— W takim razie czas, żeby ktoś mu powiedział, jaki był przebieg morderstwa. I tym kimś będę ja.

\*

Jan siedział w sypialni w swojej ulubionej pozie — z wyprostowanymi wyciągniętymi przed siebie nogami i brodą opartą o mostek. Czytał znaleziony pamiętnik i dopasowywał wyczytane fragmenty do całości szarady.

Od tej lektury oderwało go pukanie do drzwi. Mateusz przerwał przygotowywanie wieczorowego ubrania i otworzył. Wszedł Tadeusz. Był nieswój. Zamiast zgodnie z tym, co miał w zwyczaju, przejść od razu do rzeczy, zaczął rozglądać się po pokoju.

— Czy nie brakuje ci niczego?

— Nie, pokój jest bardzo wygodny.

Rozejrzeli się obaj. Było to pomieszczenie średniej wielkości — wystarczająco duże, aby funkcjonalnie rozmieścić w nim meble i rzeczy gościa, ale z drugiej strony przytulne i zaciszne. Ściany pokrywała kremowa tapeta w srebrzysty deseń, meble były ciemne, a obicia i zasłony w pięknym głębokim odcieniu granatu. Tarnowski, nadal zakłopotany, zauważył zeszyt na fotelu.

— Jak przebiegły poszukiwania u Zosi?

— Znaleźliśmy pamiętnik.

— Spełnił twoje nadzieje?

— W małym stopniu. Zosia pisała go w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Nie wspomina, czy pisała wcześniej. Na pewno można dzięki niemu lepiej poznać Zosię, ale żadnych sensacji ani tajemnic nie znalazłem. Nawet nie wspomina o kłótniach z Wacławem.

Tadeusz z czułością pogłaskał błękitną oprawę kajetu, który podał mu przyjaciel.

— Chciałbym go przeczytać.

— Oczywiście. Dla ciebie będzie miał największą wartość.

— Jesteś zawiedziony?

— Bardzo. Rozważam możliwość, że Zosia zginęła, bo coś wiedziała. A jeśli tak, to mogła to wpisać do pamiętnika. Coś, czego nie powinna była wiedzieć. O kimś. Ten ktoś mógł poczuć się zagrożony i ją...

wyeliminował. Zresztą pamiętnik mógł być bardziej interesujący, zanim ktoś usunął z niego kilkanaście stron.

— Jak to usunął?

Jan wziął od Tadeusza zeszyt i wskazał miejsce, z którego wyrwano kartki.

— Nie wiem, kto. I nie wiem, co tam było. Tadeuszu, przeczytaj uważnie zapiski przed i po wyrwanych stronach. Może to, co dla mnie było niezrozumiałe, dla ciebie będzie jasne.

Tadeusz kilka razy skinął głową. Trzymał kajet w obu dłoniach jak skarb. Jan patrzył na niego ze współczuciem, aż wreszcie zachęcił:

— A teraz powiedz mi, z jaką trudną sprawą przyszedłeś.

— To bardzo niezręczne. Wysłałem Franciszka do Waclawa i Pauliny, aby ich powiadomił o godzinie kolacji. Wrócił zakłopotany i powiedział, że przepraszają, ale nie zejdą do jadalni i proszą o podanie posiłku w pokoju.

— Znam powód, ale chciałbym mimo to usłyszeć, co on wymyślił.

— Powiedział, że jego siostra bardzo źle się czuje i chciałby z nią zostać.

— Widziałem ją po obiedzie i nie wyglądała na cierpiącą — zakpił Jan.

— Poczekaj na najlepsze. Waclaw skończył to mówić i w tym momencie, ku konsternacji jego i Franciszka, do pokoju weszła Paulina. Jak to ująłeś — nie wyglądała na cierpiącą. Poszedłem tam i wypytałem Waclawa, co się stało. Powiedział, że oskarżasz go o zamordowanie Zosi i zmuszasz innych do składania, jak to ujął, fałszywych zeznań. Poza tym uważa, że nasłali cię jego polityczni wrogowie, żeby go zdyskredytować.

— Sądząc po sformułowaniach — roześmiał się Jan — spodziewam się, że poczęstował cię także przechwałkami o swoim prawniczym wykształceniu nabytym na renomowanych uczelniach?

Mina Tadeusza potwierdzała przypuszczenia Jana. Tarnowski chciał wiedzieć, za co cierpiał.

— Coś ty mu powiedział, Janie?

— Że oprócz Marii także Karol słyszał, jak robił Zosi awanturę. Nawet mu nie wspomniałem, że wiemy o jego zapasowej narzeczonej. Pomyśl, co by było, gdybym to ujawnił? — Jan pokiwał głową z komicznym ubolewaniem. — Nie zazdroszczę ci, biedaku. To prawie skandal międzynarodowy. Na czym stało?

— Zgodził się przyjść pod warunkiem, że temat morderstwa nie będzie poruszany. Przynależem to, również w twoim imieniu. Wiem, że to jakieś szaleństwo...

— Tadeuszu, nie tłumacz się. Dobrze zrobiłeś. Zgadzam się. O nic się nie martw.

— Nie masz mi tego za złe? Stwierdziłem, że łatwiej porozumiem się z tobą niż z tym wariatem.

— I miałaś rację. Wszystko będzie dobrze.

Tadeusz wyprostował się i klepnął po kolanach. Nareszcie się uśmiechnął.

— Idę w takim razie i nie przeszkadzam ci w przygotowaniach.

Wyszedł. Zza parawanu dobiegł głos Mateusza.

— Rzeczywiście nic pan nie znalazł w pamiętniku?

— Niestety. W tym, co zostało, Zosia pisze o Michale, o Karolu, o jego dobroci dla niej. O powrocie do klasztoru. O podziw i szacunku dla Tadeusza. O sympatii dla Julii.

— Z jakiego czasu pochodziły te wyrwane kartki?

— Mniej więcej sprzed czterech do sześciu miesięcy. Wtedy Rusieccy przyjechali do Księstwa. A to oznacza, że usunięta część może dotyczyć czegoś, co się wydarzyło jeszcze na wschodzie lub już tutaj. Może Tadeusz się czegoś domyśli. Jeśli chcesz, to przejrzyj te listy. Ja rzucę na nie okiem przed snem.

Na dole rozległ się gong. Jan wstał na ten dźwięk i podszedł do drzwi. Gdy wychodził, dobiegł go głos kamerdynera:

— Ja też idę coś zjeść.

Po wejściu do jadalni Jan od razu odnotował wprowadzone od obiadu zmiany. Stół zmniejszono, aby nie raziło uszczuplone grono, a świecił się tylko jeden żyrandol i kinkiety. Jan zajął wskazane mu miejsce i stwierdził, że w tej trudnej sytuacji gospodarz znalazł rozwiązanie chyba najlepsze. Naprzeciwko siebie, zgodnie z tradycją, siedzieli Tadeusz i Julia, po jednej stronie stołu Paulina i Jan, po drugiej Waław i Karol. Wszystko ułożono tak, aby Jan miał jak najmniejszy kontakt z Waławem.

I to ten ostatni właśnie zadał pytanie, które dręczyło chyba wszystkich:

— A hrabina Kareńska?

— Hrabina, niestety, nie zaszczyci nas dzisiaj swą obecnością — pospieszył z wyjaśnieniem Tadeusz.

— Przeprasza, ale czuje się nadal osłabiona.

Wszedł służący z wazą i rozpoczął nalewanie zupy. Była to *consommé royal* i wszyscy zabrali się do jedzenia. Wszyscy poza Waławem, który w demonstracyjny sposób odmawiał szeptem modlitwę. Po tym wstępie jedzono w milczeniu, a cisza z każdą chwilą stawała się trudniejsza do zniesienia.

Przerwała ją Paulina, ale nie po to, by poprawić atmosferę. Rzuciła lekko w stronę Julii:

— Zosia nosiła wczoraj całkiem ładny diadem. Wspominała, że to pani jej pożyczyła.

Pani domu posłała jej blady uśmiech. Wszyscy się wzdrygnęli.

Od początku posiłku Karol pił sporo wina i rzucał dziwne spojrzenia na Julię. Jan przyglądał się temu z niepokojem.

— Podziwiałem już wczoraj ten piękny serwis, pani Julio — wymyślił naprędce.

— To mój ulubiony.

— To zdaje się Blue Mandalay, prawda?

Cała się rozpromieniła, a Jan poczuł bijące od niej ciepło. Jak od słońca.

— Zgadza się. Interesuje się pan tym?

— Niespecjalnie. Ten należy do tych kilku, które mi się podobają i które rozpoznaję.

— Ja uważam, że prawdziwie wykwintna jest tylko porcelana z Sèvres, ewentualnie z Miśni, zwłaszcza z Łabędziego Serwisu Brühla — włączyła się Paulina. — Już dawno postanowiłam, że będzie stanowił część mojej wyprawy.

Spojrzała znacząco na Karola, co zauważyli wszyscy poza nim. Paulina próbowała przekonać obecnych, że posiada prawdziwie wyrafinowany gust.

— Oglądałam ostatnio w Berlinie srebrne serwisy do kawy i herbaty, ale żaden mi się nie podobał. Jeśli dzbanek do kawy był ładny, to kształt imbryka wołał o pomstę do nieba. Jeśli oba dzbanki mi odpowiadały, to znowu cukiernica była szczytem bezguścia. Dlatego myślę, że wybiorę coś w Paryżu. Państwa zestaw pochodzi od Frageta, prawda? — Zmarszczyła lekko nos, jakby sam pomysł kupowania krajowych produktów powodował u niej mdłości. — Cóż, o gustach się nie dyskutuje, ale ja nie uznaję polskich wyrobów. Są takie... prymitywne. Najważniejsze to wiedzieć, gdzie można nabyć rzeczy najwyższej jakości — pouczała. — Jedwab musi być lyoński, materiał na ubranie angielski, perfumy francuskie. Nie wyobrażam sobie, aby kupować gdzie indziej.

Monolog przerwało wejście pokojówek z paszтетem z kwiczołów.

— Janie, polecam ci ten przysmak. Zawdzięczamy go Karolowi, który jest prawdziwym mistrzem polowania.

— Naprawdę, panie Karolu? Chętnie spróbuję.

Karol nawet nie zwrócił uwagi. Zaprzętało go wyłącznie pilnowanie, by Franciszek napełniał mu na czas kieliszek. Temat podchwyciła Paulina.

— Uwielbiam polowania.

— Pani poluje?

Jan nie był zdziwiony. To do niej pasowało.

— Ja to po prostu kocham — odpowiedziała z prawdziwą namiętnością. — Pogoń, osaczenie zwierzyny, to cudowne uczucie panowania.

Ta deklaracja wyrwała z zamyślenia panią domu, która nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek może gustować w zadawaniu cierpienia żywym stworzeniom.

— Nawet zabijanie? Lubisz też?

— Przecież to część polowania. To normalne — zwierzę musi zostać zabite, inaczej cała zabawa byłaby bez sensu.

— Muszę tu wspomnieć, że moja droga siostra z upodobaniem jeździ konno i doskonale się prezentuje jako amazonka.

Zadowolona z komplementu spuściła wzrok, co zapewne miało podkreślać jej skromność panięńską, dziwną trochę u zatwardziałej morderczynie zwierząt.

— Pan poluje? — zwróciła się do Jana.

— Okazjonalnie. Kiedyś polowałem często, ale ostatnio jakoś tego zaprzestałem.

— Nie lubi pan wyzwania?

— Lubię, ale inne.

Karol na moment odstawił kieliszek.

— Na przykład jakie?

— Na przykład wspinaczka górską. Wtedy można się zmierzyć ze sobą, a to największe wyzwanie.

— W Szwajcarii zawsze podziwiałam mężczyzn, którzy wracali z tych wypraw — ekscytowała się Paulina. — Wydawali się tacy silni, tacy pierwotni. Tacy... mężczy — ostatnie zdanie wypowiedziała chrapliwie, zwierzęco. — Karolu, koniecznie powinieneś spróbować — zażądała.

— Nie sądzę, żeby mnie było na to stać. To zajęcie dla bogaczy. Dolej mi. — Bardziej niż wyzwania Karola interesowała zawartość kieliszka.

Podano comber sarni i jarzyny: nadziewane pieczarki, kapustę brukselską i nieznane Janowi warzywo przypominające szparagi. Wacław dwukrotnie wskazywał gestem obsługującemu go lokajowi, żeby dołożył więcej mięsa, po czym skrzywił się na widok półmiska z jarzynami.

— A cóż to za wynalazek?

— To skorzonera — pospieszyła z wyjaśnieniem Julia. — Przepyszna. Zimowe szparagi. Proszę spróbować.

— Nie, dziękuję, nie lubię takich dziwactw.

Wypowiedział to z takim obrzydzeniem, że Jan od razu poczuł apetyt na skorzonere. Uśmiechnął się do Julii i powiedział:

— Ja chętnie skosztuję. Przyznaję, że nie jadłem tego jeszcze.

Służąca nałożyła mu kilka sztuk i poliała sosem holenderskim. Odkroił kawałek i spróbował.

— Doskonałe.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale jego uwagę przyciągnął ostry głos Karola.

— Nie, tego nie. Chcę tego. — I pstryknął w znowu pusty kieliszek.

Franciszek dolał mu wina, ale na twarzy miał coraz silniejszy wyraz dezaprobaty.

— Ile razy mam powtarzać: bez sosu — warknęła z drugiej strony Paulina. — Zabierz to.

Powiedziała to tak ostro i arogancko, że nikt by się nie domyślił, jak aksamitnie potrafi się odzywać. Franciszek ruszył przestraszonej służącej z pomocą, zabrał skalany sosem talerz, postawił przed Bonikowską czysty i osobiście nałożył jej mięso. Bez sosu. Tymczasem powrócił problem Karola.

— Franciszku.

Towarzyszyło temu stuknięcie nożem w kieliszek. Franciszek wymienił zaniepokojone spojrzenie z Tadeuszem, który zwrócił się do swego podopiecznego:

— Karolu, może jednak zjadłbyś trochę sarniny?

— Właściwie, czemu nie. Nie wiadomo, jak długo jeszcze będę miał szansę jadać takie frykasy.

Nędzarze tak nie jadają, prawda?

Zapadła kłopotliwa cisza, przerywana tylko dźwiękiem sztućców Waława i jego pracowitym mlaskaniem.

— Nie wiem, czy wspominałem, ale Jan jest wielbicielem nowej gry. Nazywa się golf. — Tadeusz zdołał podsunąć nowy temat i miał nadzieję, że okaże się neutralny.

Wszyscy drgnęli na dźwięk noża, którym Karol ponownie uderzył w swój kieliszek. Franciszek dolał mu wina. Rusiecki wypił je duszkiem i odezwał się niespodziewanie:

— Kobiety preferują inne gry. Zresztą wszystko zależy od tego, czy do tego jakiegoś tam golfa potrzebny jest specjalny strój. Jeśli tak, to kobiety też będą to uprawiać.

— Już uprawiają, w Wielkiej Brytanii podobno od szesnastego wieku. A od kilku lat działa Ladies Golf Union — odezwał się Jan.

— Kobiety? Grają w to? Słyszałam, że to gra bez walki i że dużo się chodzi?

Mógł się domyślić, że pani Tarnowska, uwielbiająca przebywanie na świeżym powietrzu i spacerować, zainteresuje się golfem. Odpowiedział zachęcająco:

— Tak, kobiety grają w to od lat, a za pierwszą golfistkę uznawana jest królowa Maria Stuart.

— Naprawdę? Muszę się koniecznie z tym golfem zapoznać.

— Pan uważa, że to nowość — tonem pełnym wyższości pouczył Waław. — A my tu nie jesteśmy tak zacofani, jak się panu może wydawać. Moi bliscy przyjaciele, państwo Sawiccy, są wielbicielami i wręcz znawcami tej gry. Planują nawet budowę u siebie specjalnego placu — to się fachowo nazywa pole golfowe. Cała rodzina jest w to zaangażowana.

— Nie powiesz mi, że Klotylda też zamierza w to grać? Jak byliśmy tam w zeszłym tygodniu, nic mi nie wspominała.

Było to *faux pas* w pełnym tego słowa znaczeniu. Nastąpiła cisza. Jan ośmielił się podnieść głowę i zdołał dostrzec twarz Waława w pięknym kolorze apoplektycznej czerwieni. Panujące zakłopotanie przerwał Karol.

— Będziesz jej musiał, drogi Waciu, po ślubie też wybudować taki placik. — Przerwał na moment, bo dopadła go czkawka. — Ale co tam, stać cię będzie — z takim posagiem jak jej, będziesz mógł całe to cholerne Księstwo zmienić w pole do golfa. Dolej.

Franciszek tym razem nie zareagował, w jadalni nadal panowała konsternacja.

— Ciekawe, czy Zosieńce by się ten golf podobał. — Na wspomnienie siostry Karol zaczął płakać. — Ona nie była zbyt dobra w grach. W karty przegrywała nawet z dziećmi.

Dopiero teraz Jan dostrzegł Mateusza. Kamerdyner wyszedł z panującego przy drzwiach cienia, zbliżył się do Karola, pochylił i coś mu wyszeptał do ucha. Rusiecki przestał się rozczulać i na jego zaczerwienionej twarzy rozlał się uśmiech.

— Przyniosłeś? A gdzie to jest?

— W pańskiej sypialni.

— No, to idziemy.

Wstał, zatoczył się i byłby upadł, gdyby go Mateusz nie podtrzymał.

— Dziękuję ci, mój drogi. Niestety, nie mogę ci dać napiwku, nie mam ani grosza.

— Nie szkodzi, proszę pana, przy innej okazji.

Mateusz prawie wyniósł chłopaka z jadalni. Julia patrzyła za nimi i, kiedy Franciszek zamknął drzwi, zapytała Jana:

— Co on mu powiedział?

— Nie wiem. Najważniejsze, że zadziałało.

— Nie pojmuję doprawdy, jak można się tak zachowywać. Jak zwierzę. — W takich sytuacjach można było liczyć na komentarz Waława.

— On przeżywa dramat — ujęła się za Karolem Julia.



— To go nie tłumaczy. Kulturalny człowiek powinien panować nad sobą w każdej sytuacji. Będę musiał starannie rozważyć moje stanowisko w kwestii mariażu Karola z moją siostrą. Poza tym nieumiarkowanie należy do grzechów głównych, a nadużywanie alkoholu...

Nie dokończył, gdyż służący wnieśli indyka nadziewanego kasztanami, roztaczającego wokół siebie zapach przyrumienionej skórki. Waclaw się rozpromienił, a przestrzeń wokół niego stała się jaśniejsza. To wrażenie zaburzył nie bardzo anielski głos Pauliny, która po swoim nietakcie była zdecydowanie nie w humorze. Jako doskonale wychowana panna nie śmiała wyżywać się na współbiesiadnikach, natomiast całą złość wyładowywała na służbie. Wycodziła przez zęby:

— Nie jadam kasztanów. Zabierz to. A mięso ma być bez skóry.

Brat musiał zainterweniować.

— Pani Julio, nie chciałbym, broń Boże, wchodzić w pani kompetencje ani krytykować sposobu zarządzania domem, ale doprawdy uważam, że powinna pani zwrócić uwagę służbie. Moja siostra wielokrotnie wyrażała swoje preferencje co do sposobu przygotowywania potraw. Idealny służący, takich ja na przykład zatrudniam, powinien zapamiętywać upodobania gości.

— Kasztany są dzisiaj po raz pierwszy, więc służący nie mogli wiedzieć, że pana siostra ich nie jada — nie przejęła się rodzeństwem Julia.

— Zarządzanie służbą jest potwornie męczące — ubolewała Paulina nad następnym nowym talerzem, bez kasztanów, bez skóry. — I nudne. Te ich kłótnie, to lenistwo, ta głupota.

— Pani zarządza domem?

— Ależ skąd — szybko wyprowadziła Jana z błędu. — Nie zniżam się do takich spraw. Raz w życiu byłam w kuchni, właściwie na progu, i tego swądu nie mogłam się pozbyć przez tydzień. Przeniknął mi włosy, ubranie, skórę. Okropieństwo. Suknię kazałam wyrzucić.

— Mamy ochmistrzynię i ona się tym zajmuje — oświadczył Waclaw.

Tadeusz uchwycił się tematu zarządzania domem, mając nadzieję, że tu przynajmniej nie kryją się żadne pułapki:

— Rozumiem, że udało się państwu znaleźć osobę godną zaufania?

— Oczywiście. Sam ją wybierałem spośród kandydatek, a że znam się doskonale na ludziach, więc trafiliśmy wybornie.

— Jeśli się nie będzie sprawdzać, po prostu ją wyrzucę — wzruszyła ramionami Paulina.

— I co się z nią stanie? — To Julia podniosła głowę, jak zbudzona ze snu i zatroszczyła się o ochmistrzynię Bonikowskich.

— A czy to mój problem? Ja płacę, ja wymagam. Wszystko ma działać idealnie. Poza tym uważam, że jestem dobrym pracodawcą — rzadko się wtrącam, ale jeśli już to robię, to nie toleruję sprzeciwu. To oburzające, jeśli służba dyskutuje.

— My też mamy skarb, prawdziwy skarb, nie ochmistrzynię. Nie jest to oczywiście moja zasługa, tylko matki Tadeusza. Maria to jej wybór. Ponoć razem stanowiły wspaniały duet.

Tarnowski przytaknął i dodał:

— Zawsze się zgadzacie ze sobą, prawda, kochanie? Tylko raz, ostatnio, był spór.

Paulina spojrzała na Tadeusza pytająco.

— Zginęło kilka rzeczy. Maria oskarżała służącą, a Julia twierdziła, że dziewczyna nic nie ukradła, ale nie miała dowodu jej niewinności. Służącą odesłano.

— Nie wyrzucił pan ochmistrzyni? Jak śmiała podważać opinię swojej pani?

— Wiedziałam, że ta dziewczyna tego nie wzięła. Ale nie miałam dowodu na jej obronę.

Julia w ten prosty sposób zakończyła opowieść, a Jan tylko dla formalności zapytał Tadeusza:

— Zginęło coś wartościowego?

— Kilka drobiazgów.

Morawski zauważył, że pani domu nagle śmiertelnie zbladła i zasłoniła usta dłonią. Oczy miała

szeroko otwarte, a w nich wyraz paniki. Wyjąkała:

— Lekki Zosi. Jednym z tych przedmiotów był pakiet leków! Tadeuszu, nie pomyślałam o tym wcześniej.

— Chryste. Ja też o tym zapomniałem.

Wpatrywali się w siebie. Tarnowski zdecydował:

— Trzeba odszukać dziewczynę. Może ktoś wie, co się z nią stało.

Od razu wstał i powiedział, patrząc po kolei na zebranych:

— Bardzo przepraszam za ten kolejny dzisiaj niepełny posiłek. Musimy z żoną państwa opuścić i natychmiast porozmawiać z Marią.

\*

Jan siedział sam w pustej jadalni po tym, jak Waław odmówił pozostania z nim pod nieobecność gospodarzy i odszedł wraz z opierającą się Pauliną. Wrócił majordomus.

— Czy podać panu deser?

— A co byś miał, Franciszku?

— *Bombe Wellington*.

— Lepiej nie — bohatersko odmówił Jan. — To powinno być podawane w całości, a jeśli mi odkroisz, to Waław się obrazi, a przecież zażądał, abyś mu zaniósł deser na górę.

— Przecież pan wie, że to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Zaraz przyniosę.

— Franciszku, nie ma sensu, żebyś się narażał. Ale... Macie Stiltona?

— Oczywiście. Czy przynieść również porto?

— Nie śmiałem o to prosić.

— Za chwilę wracam.

— Dziękuję.

Został sam. Po chwili postawiono przed nim wino i ser. Idealne zakończenie nie tylko posiłku, ale całego dnia: wino z doskonałego rocznika i król angielskich serów, podany zgodnie z regułami sztuki w całym walcowatym kawałku z łyżeczką do nabierania. Jan nałożył ser do miseczki, spróbował kawałek i popił winem, łącząc oba elementy jednej z najwspanialszych kombinacji świata.

\*

Spędził chyba z godzinę na samotnych rozmyślaniach, po czym wyszedł do holu. W bocznym korytarzu ktoś otworzył drzwi i Jan usłyszał pieśń, którą pamiętał jeszcze z domu dziadków: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*. Podeszedł bliżej i dał ręką znak pokojówce, by zostawiła uchylone drzwi. Widział tylko róg katafalku i stojącą na nim błękitną zapaloną świecę. Na podłodze klęczało kilka kobiet, ale wewnątrz musieli być również mężczyźni, Jan słyszał bowiem męskie głosy śpiewające tradycyjną pieśń. Nie dostrzegł Marii, być może nadal zajętej rozmową z Tarnowskimi. Wiedział, że trafił na obrzęd Pustej Nocy, o którym wspominał Tadeusz: czuwanie połączone ze śpiewami i modlitwami. Gdyby nie śnieg, w tej ceremonii wzięłyby udział także kobiety ze wsi.

Zebrani skończyli pieśń i zmówili modlitwę *Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci*. Jan przyłączył się do nich, po czym wolnym krokiem odszedł w stronę holu. Nagły impuls popchnął go do salonu. Usiadł przy fortepianie. Otworzył instrument. Palce popłynęły po klawiaturze, a pokój wypełniły ciche dźwięki *Marsza żałobnego* Chopina. To było pożegnanie, po którym poczuł się trochę oczyszczony. Posiedział jeszcze chwilę i poszedł do swojej sypialni.

[\[10\]](#) Wędzona kiełbasa z krojonego mięsa wołowego i boczku.

## 12.

— Schodzę na śniadanie, Mateuszu.

— Powinien pan o czymś wiedzieć.

Jan odwrócił się od drzwi i poczuł niepokój.

— Nie chciałem pana denerwować przed jedzeniem, ale może powinien pan być przygotowany...

— Mateuszu...

— Pokojówka panny Bonikowskiej była tu już dwukrotnie.

Morawski nienawidził być nagabywany, a ta metoda była chyba jedną z ulubionych w arsenale Pauliny.

Westchnął ciężko.

— Jej pani chce się z panem widzieć w sprawie niecierpiącej zwłoki.

— Nie ucieknę przed nią, prawda?

— Nie, proszę pana, przed nią się nie da uciec.

— Spotkanie z nią na czczo byłoby jeszcze trudniejsze. Najpierw śniadanie.

Schodząc na dół, uśmiechnął się i przywitał z portretem matki Tadeusza:

— Dzień dobry, piękna pani.

Przy niej był w stanie zapomnieć nawet o czekającym go przejściu z upartą panną Bonikowską.

W jadalni zastał tylko Franciszka. Podszedł do kredensu i uniósł pokrywę półmiska stojącego na podgrzewaczu. W nozdrza uderzył go zapach podsmażanej wędliny. Aż pochylił głowę, żeby poczuć lepiej aromatyczne jajka na szynce.

Sięgnął po talerz.

— Pan jest w Latarce — rzucił scenicznym szeptem majordomus.

— Gdzie?! — oniemiał Jan.

— W małej jadalni. Ukrywają się z panią.

— Przed kim?

— A jak pan myśli?

— Czyżby już wstał?

— Wstał, zjadł konia z kopytami i poszedł do biblioteki. Niby pracować.

— To dlaczego się ukrywają?

— Zawsze wraca. Przychodzi pierwszy. Niby wychodzi. A potem wraca.

— Na drugie danie...

— Pan jest w Latarce, a ja mam tu czekać. Jeśli miałby pan ochotę dołączyć do naszego pana, to proszę sobie nałożyć śniadanie i ja pana zaprowadzę.

Jan skinął głową, biorąc na talerz jajka i szynkę.

— Pieczywo i kawa tam są.

Franciszek ruszył w kierunku drzwi prowadzących na taras. Jan poszedł zdziwiony za nim. Majordomus otworzył boczne przeszklone drzwi i okazało się, że prowadzą one do łącznika, a dalej do niewielkiego, bardzo słonecznego pomieszczenia. Jan uśmiechnął się na widok siedzącego przy stole Tadeusza, zajął wskazane miejsce i rozejrzał się wokoło.

Pokój był niewielki, mocno przeszklony, a ściany pomalowano na żółto. Meble były lekkie, a dookoła

stały kwiaty w doniczkach. Spod sufitu zwieszały się klatki dla ptaków, w których posadzono pnące rośliny. Całość przypominała wiosenną altanę, tym bardziej że pogoda, jakby starając się zrekompensować śnieżycę, była wspaniała. Powietrze oszałamiało krystaliczną czystością, a słońce świeciło intensywnie, migocąc na śniegu i w powstałych nocą soplach lodu.

Nawet perspektywa dalszego poszukiwania mordercy stała się mniej przygnębiająca.

— Cudownie tu — nie ukrywał zachwyty Jan. — Od razu poprawił mi się humor.

— To był pomysł mojej matki, aby wydzielić i zabudować część tarasu. Kiedy byłem mały, spędzały tu wakacje dzieci jakiegoś kuzyna ojca. Nie pamiętam już, które z nas wymyśliło nazwę Latarka i to się przyjęło. Jedz.

— A twoja żona?

— Zjadła już. Wstała bardzo wczesnie — ta wczorajsza kolacja wszystkim zszarpała nerwy — poskubała bułkę, zjadła słoik powideł i poszła. Spytać kart, gdzie jest ta służąca.

— Dowiedzieliście się czegoś wczoraj?

— Marii się wydaje, że wśród zaginionych przedmiotów były leki, ale nie jest pewna.

— A pozostałe służące?

— Niestety, dziewczyna pracowała u nas tylko miesiąc, więc z nikim nie zdążyła nawiązać przyjaźni.

— A Karol? I jego katzenjammer?

— Franciszek go rano ratował. Chłopak nie jest przyzwyczajony do alkoholu.

Tadeusz sięgnął po koszyk z chlebem. Poczęstował Jana i sam również wziął kolejny kawałek. Rozdzielił skórkę od mięszu i zaczął z niego lepić gałki. Jan obserwował ten ceremoniał, a zamyślony Tadeusz relacjonował:

— Nawet nie pamięta, jak rozrabiał. A teraz, po lekarstwie zaaplikowanym przez Franciszka jest niesamowicie pobudzony.

Jan tymczasem zjadł powidła, które okazały się tak wspaniałe, że nałożył sobie dodatkową porcję, tym razem zdecydowanie większą. Nie kłopotał się, by je nakładać na pieczywo, jadł łyżeczką. Były takie, jak lubił: gęste, słodkie, jakby lekko przydymione.

— Dzisiaj rano przejrzałem listy, które Zosia miała w biurku — przypomniał sobie, że ma kilka informacji dla Tadeusza. — Nic nowego. Absolutnie nic. Od przyjaciółek, od matki przełożonej, kilka od Karola z czasów ich rozstania. No i połówka listu od Michała.

Franciszek dolał obu panom kawę.

— Hrabina twierdzi, że czuje się lepiej — odezwał się Tadeusz. — Maria była u niej rano i również uważa, że jest zdecydowana poprawa. O Waławie wiesz?

— Tak, jest po pierwszej rundzie pierwszego śniadania i wkrótce przystąpi do drugiej rundy.

— Drugiej rundy pierwszego śniadania.

— Nie należy tego mylić z drugim śniadaniem.

— Broń Boże.

Roześmiali się.

— Dekoracyjna siostra, jak rozumiem, na śniadania nie schodzi.

— Nie. I u siebie też ich nie jada.

Franciszek chrząknął bardzo wymownie. Tadeusz, zajęty apetycznie błyszczącą skórką chleba nie zwrócił na to uwagi, natomiast Jan od razu się zainteresował.

— Franciszku, ty coś wiesz.

— Panna Paulina na śniadanie zjada bombonierkę.

— Bombonierkę?

— Wielkie pudło pełne czekoladek. Nadziewanych. Likierem. Zjada tylko połowę pudełka. A właściwie to połowę każdej czekoladki. Każdą nadgryza, likier wypija i resztę zostawia.

— Założę się, że jak na prawdziwą snobkę przystało, zadowala się tylko najlepszymi produktami. A

jeśli tak, to bombonierka pochodzi ze Szwajcarii.

— Lindt Spruengli — potwierdził Franciszek.

Zamyślony Tadeusz nie zabierał głosu.

— Jakie plany na dzisiaj, Tadeuszu?

— Jeśli pozwolisz, to cię zostawię. Zdecydowaliśmy, że spróbujemy usunąć część śniegu z dachu stajni.

— Nie przejmuj się mną. Mam kilka wątpliwości i muszę je zweryfikować.

Tarnowski skinął głową, obaj wstali od stołu i przeszli w kierunku jadalni, w której Franciszek trwał na warcie i osłaniał ich odwrót.

— Jakie są prognozy, jeśli chodzi o pogodę?

— Mróz się utrzymuje, ale niebo jest czyste, więc śnieg nam raczej nie grozi. Dwóch fornali ruszyło w kierunku miasta, mają sprawdzić stan dróg i jeśli uznają to za możliwe, jechać do landrata.

Jan skinął głową.

— W takim razie idę. Nie ma czasu do stracenia. Czy mógłbyś mi udostępnić pamiętnik Zosi?

— Oczywiście. Franciszek zaraz ci go przyniesie.

— Dziękuję.

W połowie schodów Jan spotkał nadętą pokojówkę Pauliny, która bez wstępów oznajmiła:

— Panienska chciałaby z panem rozmawiać, jak najszybciej.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła przed siebie, nawet nie sprawdzając, czy Jan idzie za nią. Zapukała i weszli, przy czym pokojówka bez słowa przeszła do sąsiedniej sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Na centralnie ustawionym szezlongu, w nieśmiertelnej pozie Pauliny Borghese, spoczywała jej imienniczka. Cesarskim gestem wskazała Janowi fotel koło siebie.

— Jest pan szalenie niedostępnym człowiekiem. Przez chwilę myślałam, że będę zmuszona złożyć podanie o audiencję.

Usiadł na innym fotelu, bardziej oddalonym i rozejrzał się po pokoju.

Był bardzo podobny do saloniku Zosi i Karola — również stanowił łącznik między dwiema sypialniami. Różnił się kolorem — w tym przypadku ściany pokryto tapetą w kolorze zgaszonego różu. Poza tym tutaj najbardziej wyeksponowanym meblem był szezlong, czy też, jak wolą niektórzy, reklamiera, który najwyraźniej był Paulinie niezbędny do odpowiedniej autoprezentacji.

Ona sama, w bardzo śmiałym stroju porannym, odpowiednim wyłącznie do przyjmowania kochanka, czekała aż jej gość skończy oględziny. Jeśli spodziewała się, że wyrze na nim oszałamiające wrażenie, to jego słowa sprawiły jej zawód:

— Wolałbym, abyśmy porozmawiali na bardziej neutralnym gruncie.

— Czyżby pan brał sobie do serca to, co wygaduje mój brat?

Wstała bardzo powoli, zbliżyła się i obeszła go wokoło, przesuwając dłoń po jego ramionach.

— Nie biorę sobie tego do serca. Po prostu kocham święty spokój.

— A co jeszcze pan kocha? — podchwyciła natychmiast.

— Czy po to chciała pani się ze mną widzieć? — spytał lodowato. — Aby przedyskutować moje życie uczuciowe?

— A jeśli tak? — patrzyła na niego wyzywająco.

— W takim razie umówimy się na inny termin. Jestem teraz zajęty.

— Jaki niegrzeczny...

Podeszła i paluszkami dotknęła guzika jego kamizelki.

— Słyszałam o panu — wyszeptwała dwuznacznie.

— Gratuluję...

Odwróciła się i szła przez pokój, zalotnie kołysząc biodrami, aby zaprezentować swoją sylwetkę,

modnie uformowaną przez gorset i lekko tylko zakrytą przejrzystą suknią. Jan przywołał z pamięci miękkie ruchy i łagodne linie Julii.

Panna Bonikowska obrzuciła go ognistym spojrzeniem.

— Zawsze chciałam pana poznać. Pana życie — podróże, przygody, wyprawy! — nagle uderzyła w inną nutę. — Pan nie wie, jakie ja życie tu muszę wieść — wśród tych wszystkich zaściankowych pań domu, ich powideł, pieluch i nowych odmian drobiu. A mężczyźni — nudziarze, którzy gadają tylko o polityce i tej ich całej sprawie narodowej jak mój brat albo o krowach jak ten pański Tadeusz.

— Nie musi pani tu mieszkać.

— Co w tym dziwnego, że interesuję się panem, takim swobodnym, nieskrępowanym? — dalej litowała się nad sobą. — Co w tym dziwnego, że też chciałabym tak żyć?

— Pani wybaczy, ale mam sporo kwestii do wyjaśnienia w związku ze śmiercią Zosi, więc jeśli to już wszystko, to się pożegnaj.

Wstał. Szedł w kierunku wyjścia, kiedy dobiegło go wypowiedziane z autentyczną złością:

— Zosia, Zosia, zawsze ta głupia Zosia. Na pierwszym miejscu.

— Przyzna pani chyba, że to w tej chwili najważniejsza sprawa.

— Nie, nie przyznam. Nie żyje, więc po co się tym zajmować? Świat należy do żywych takich jak pan i ja.

Jan skinął jej głową i nacisnął klamkę. Paulina złożyła broń.

— Dobrze, już dobrze. Jeśli się pan upiera, żeby rozmawiać o morderstwie, to proszę bardzo. Wiem, kto zabił.

— A wczoraj pani mówiła, że nic pani nie widziała i nie słyszała.

— Bo nie znałam wielu faktów. Teraz wiem więcej i pewne sprawy stały się jasne.

— Słucham z niecierpliwością. Kto, pani zdaniem, zabił Zosię?

— Julia.

Zaniemówił. Było to tak niespodziewane, że aż usiadł. Ona dla odmiany wstała i zaczęła uzasadniać.

— Wiem, bo dużo o tym czytałam, że musi być motyw, dostęp do narzędzia i okazja. — Usiadła naprzeciwko Jana, tym razem wyjątkowo bez intencji uwodzenia, i wyliczała: — Miała motyw — najmocniejszy ze wszystkich: zazdrość o Tadeusza zakochanego w Zosi, młodszej, atrakcyjnej i zapatrzonej w niego, co jest szalenie ważne dla każdego mężczyzny. Julia jest bezpłodna, nie dała Tadeuszowi dziecka, więc nie może liczyć na to, że go przy pomocy dziedzica zatrzyma.

— Przecież Tadeusz zamierzał adoptować Rusieckich, aby mieć komu przekazać majątek. Po co w takim razie...?

Przerwała mu zniecierpliwiona, bo wyraźnie nie kojarzył faktów.

— Nie widzi pan, jak się sprawa tej adopcji wlecze? Nie zastanawiał się pan, dlaczego tego jeszcze nie załatwiono? Może pański przyjaciel, taki idealny i święty, wcale taki święty nie jest?

— Pani zdaniem Tadeusz odstąpił od pomysłu adopcji, a zamiast tego postanowił...

Nie dokończył, natomiast dopowiedziała Paulina z kpina:

— Boi się pan powiedzieć to na głos? Ja się nie boję: postanowił rozwieść się z Julią, ożenić z Zosią i mieć z nią dzieci.

— Ciekawe. A pozostałe dwa warunki morderstwa — okazja i dostęp do trucizny?

Była przygotowana na te pytania.

— Julia miała morfinę. Wiem od niej samej, że zażywała na jakieś tam bóle. Sposobność? Poszła do Zosi przed kolacją, żeby jej zaproponować swój ukochany szafirowy diadem — taka nagle dobra ciocia.

— Może chciała, żeby Zosia dobrze wyglądała? Może chciała jej zrekompensować złośliwości, które prawil dziewczynie pani brat?

Prychnęła pogardliwie:

— Do tej pory nie przejmowała się w najmniejszym stopniu tym, co ta biedaczka nosi, aż tu nagle taka

propozycja? — spojrzała na niego z politowaniem. — Pan może nie znać kobiet, ale nienawidzimy pożyczać ulubionych przedmiotów, zwłaszcza konkurencji. Za tym się coś kryło i teraz już wiadomo, co.

— Wątpi pani w szczerść intencji Julii?

Roześmiała mu się prosto w twarz ze wzgardą.

— Wątpić? Nie, ja nie wątpię. Ja wiem, że to był tylko pretekst. Jak mogłaby chcieć, żeby kobieta, która może wysadzić ją z siodła, wyglądała korzystniej? Potrzebowała wymówki, żeby wejść do sypialni Zosi i diadem to była ta wymówka. Proste.

— I uważa pani, że Julia podmieniła lekarstwo na oczach Zosi?

— Niezgrabność Tarnowskiej jest powszechnie znana. Rozwala i przewraca każdą napotkaną rzecz. Zosia nie zwróciła uwagi na rozerwanie pakietu, bo przecież chwilę wcześniej Julia, rzekomo poprawiając kwiaty, zniszczyła całą kompozycję.

— Zapomina pani o jeszcze jednym elemencie, aby portret mordercy był spójny — o jego psychice. Nie każdy jest w stanie popełnić morderstwo.

— No tu chyba nie ma pan wątpliwości.

— Szczerze mówiąc, mam.

— Przecież to wariatka. Jeżeli wywróżyłaby z kart, że mąż kocha Zosię, to miałoby to dla niej większą wartość, niż gdyby ich przyłapała *in flagranti*. Ja się znam na kobietach — ona jest zdolna do uczuć ekstremalnych — do zazdrości, do nienawiści. Poza tym to urodzona aktorka — te pozy, te przebieranki, ta zabawa w nawiedzoną wróżkę to przecież teatr. Prowincjonalny na dodatek. Bez problemu i bez mrugnięcia okiem byłaby w stanie zamordować Zosię, udać zdumienie i rozpacz, a potem pomagać w szukaniu sprawcy.

Paulina patrzyła na Jana z nadzieją, licząc, że w końcu coś do niego dotarło. Gdy zorientowała się, że nie rzuciła go na kolana, pokręciła głową z ubolewaniem.

— Jak widać wspaniała z niej manipulatorka.

— A to po czym pani poznała?

— Pomijając, jak omotała męża, określiła też sobie pana wokół małego palca — odpowiedziała z gniewem. — Przedstawiam tu panu całe gotowe rozwiązanie, a pan tego nie chce przyjąć do wiadomości. No chyba że za tą niewiarą w jej winę kryją się inne pobudki, bardziej osobiste. Czyżby należał pan do tych mężczyzn, którym podobają się tylko mężatki i to w... pewnym wieku?

— Proponuję, żeby zostawić moje upodobania jako nienależące do sprawy.

— Coś mi się wydaje, że pana ideał to balzakowska kobieta trzydziestoletnia — przerwała mu uszczypliwie.

— Może jednak zajmiemy się śmiercią Zosi?

— *À propos* tej pana Julii, to powiem panu jeszcze, że nienawidziła nie tylko Zosi. Nienawidzi Karola. Wszyscy wiedzą, że namawiała męża, aby adoptował tylko Zosię. A wie pan dlaczego? Bo próbowała Karola uwodzić, ale on się oparł. Karol, inaczej niż pan, nie przepada za starszymi kobietami. Poza tym on nie widzi świata poza mną.

Paulina nagle zbladła. Wstała. Otworzyła szeroko oczy, na chwilę zasłoniła dłonią usta i naprawdę przestraszona wyszeptwała:

— Ja też jestem zagrożona. Kto wie, czy ona skończy na usunięciu Zosi?

Wstał. Paulina podbiegła do niego, wczepiła się w rękaw jego marynarki i błagała:

— Musi pan coś z nią zrobić, ona jest niebezpieczna.

— Proszę się uspokoić. Jestem pewien, że nic pani nie grozi.

— Zostanę w sypialni i zamknę się na klucz.

— Nie ma takiej potrzeby. Brat się panią zaopiekuje.

Nie zakpiła z Waclawem, jak to miała w zwyczaju, a Jan zastanowił się, dlaczego Paulina tak się uwzięła na Julię? Widział trzy możliwości: chroni swego brata, nienawidzi kobiet lub... ma rację.



Morawski poczuł się tak zmęczony rozmową z Pauliną, że wbrew wcześniejszym zamiarom postanowił odetchnąć trochę w swojej sypialni.

Mateusz siedział przy biurku bez marynarki i czytał. Oczywiście huśtał się na krześle, bo, jak twierdził, sprzyjało to koncentracji.

Jan poznał po okładce, że przedmiotem lektury jest jedna z ulubionych ksiązek kamerdynera, *Medycyna sądowa* Wachholza, którą w zeszłym roku dostał od Jana na imieniny.

— Co czytasz?

— O zatruciach morfiną.

— Bardzo niewiele o tym piszą.

— Zauważyłem. Franciszek przyniósł pamiętnik, o który pan prosił. — Ze sterty ksiązek, które miał ułożone koło siebie, wziął pierwszy od góry tom i przyniósł Janowi. — Chciałbym potem też rzucić na niego okiem.

— Może ty coś tam znajdziesz.

Mateusz wrócił do biurka.

— Widział pan, co pożyczyłem z biblioteki? Za zgodą pana Tarnowskiego, oczywiście. Dzieło niejakiego Lavatera o fizjonomii i sztuce czytania z twarzy.

— Nie sądziłem, że interesują cię takie sprawy.

— Pozaznaczałem najciekawsze. Chce pan posłuchać?

Jan skinął głową i Mateusz zaczął:

— Najpierw o hrabinie: nos prosty i długi, zwany rzymskim znamionuje jednostki energiczne, stanowcze, szorstkie. Często gardzą wszelkimi normami międzyludzkimi. Dla osiągnięcia celu nie zawahają się przed żadnym krokiem. I co pan na to?

— Jest wiele takich osób.

— To jest jeszcze lepsze — o naszym niejadku: nozdrza rozszerzone — zmysłowość, łakomstwo, chęć użycia. Posiadacze takiego nosa są leniwi w pracy, niestali w uczuciach.

Jan się roześmiał.

— Chyba będę musiał też to poczytać.

— Jeszcze to — szerokie czoło — energia i silna wola. Pan Tarnowski ma szerokie czoło. Wszystko się zgadza.

Mateusz przymknął ksiązkę.

— Musimy to kupić — stwierdził.

Jan wertował pamiętnik w poszukiwaniu interesującego go fragmentu, natomiast Mateusz ponownie zagłębił się w lekturze.

Ciszę przerwało pukanie. Jan spojrzał w kierunku drzwi, które ktoś, nie czekając na zaproszenie, otworzył tak, że aż szcęknął zamek. Do pokoju wpadł Karol. Zatrzasnął drzwi i wysapał:

— Dobrze, że pana zastałem.

— Co się stało?

Karol nie odpowiadał, a przy tym nawet na chwilę nie przestawał chodzić po pokoju. Wodząc wzrokiem za gościem, Jan zorientował się, że przy biurku nie ma Mateusza, który nagle wyłonił się zza parawanu w pełnej liberii i oficjalnie przywitał Karola.

— Mam nadzieję, że czuje się pan lepiej — próbował nawiązać rozmowę Jan.

— Przepraszam za te wczorajsze... występy. Jak zacząłem pić — tłumaczył się zakłopotany Karol — to udawało mi się na moment zapomnieć o tym wszystkim. A ja nie jestem przyzwyczajony do takiej ilości alkoholu...

— To było widać. Dobrze to o panu świadczy. Gdyby był pan opojem, nie rozłożyłby się pan na kilku

kieliszkach wina.

— To było... żałosne.

— Pan ma do mnie jakąś sprawę, a i ja też chciałem z panem rozmawiać — rzekł łagodnie Jan.

— To może pan zacznie, a ja przez ten czas oprzytomnieję.

— Doskonale. Usiądźmy. Wczoraj byliśmy z Mateuszem jeszcze raz w pokoju pańskiej siostry.

Rusiecki był zdziwiony.

— Myślałem, że zakończyliście poszukiwania i pokój został zamknięty?

— Pokój został zamknięty, aby nikt tam niczego nie ruszał i abyśmy mogli tam później wrócić. — Jan mówił wolno, aby jego słowa przebiły się przez mgłę, która osnuwała umysł Karola. — Znaleźliśmy kilka przedmiotów i miałbym w związku z nimi pytania do pana. — Podszedł do komody i przyniósł tacę z eksponatami z pokoju zamordowanej dziewczyny. Odstawił wszystko na stolik i usiadł. — Poznaje pan?

— Tak, oczywiście. To pierścionek Zosi. Dostała go od matki.

— A nosiła ostatnio?

— Nie. Wymienili się pierścionkami z Michałem w dniu zaręczyn. Potem on jej oddał ten, a ona jemu zwróciła sygnet.

Karol odpowiadał bez wahania, wyraźnie znał tę historię. Jan dopowiedział ciąg dalszy:

— A potem zamknęła z innymi skarbami w pudełku i przestała nosić.

— Pewnie tak.

— No to jedno się wyjaśniło. A zna pan to?

— Przypomina te zeszyty, w których Zosia ciągle coś pisała.

— Zeszyty? To znaczy, że było ich więcej?

Karol wzruszył ramionami.

— Widywałem je od kilku lat.

— Rozumiem, że to pismo Zosi.

— Tak. A co tu się stało?

— Tego nie wiemy.

Karol właśnie odkrył, że część kartek została usunięta. Jan uważnie mu się przyglądał, starając się nie przeoczyć żadnego drgnienia lub napięcia mięśni twarzy, czegokolwiek, co zdradziłoby, że Karol wie więcej, niż przyznaje. Rusiecki był zaskoczony częściowym zniszczeniem zeszytu.

— Niewykluczone, że wyrwała to pana siostra.

— A dlaczego miałyby...?

— Wyrwany fragment dotyczy czasu sprzed czterech do sześciu miesięcy. Nie przychodzi panu do głowy jakieś dramatyczne wydarzenie? Jakaś przykrość?

Karol przez moment siedział bez słowa i przeszukiwał pamięć.

— Tylko rozstanie z Michałem i śmierć rodziców. Może było coś jeszcze, ale po tym, co dał mi Franciszek, mam pustą głowę — uśmiechnął się przepraszająco.

— Jeśli coś pan skojarzy...

— To oczywiście przyjdę.

— Jeszcze jedno, czy widział pan więcej tych zeszytów w trakcie pakowania rzeczy siostry przed przyjazdem tutaj?

— Zosia przebywała w klasztorze i stamtąd ją zabierałem. Nie było mnie przy pakowaniu.

— Oczywiście. W tym czasie nie mieszkaliście państwo razem.

Jan był początkowo zły na siebie, że zapomniał o tym, ale po chwili zdał sobie sprawę, że dzięki temu wie przynajmniej, że mgła utrudniająca chłopakowi myślenie nie jest tak gęsta, jak się wydawało.

Sięgnął po kolejny przedmiot.

— Znalazłem też teczkę z listami — podał Karolowi. — Sytuacja jest ta sama, co z pamiętnikiem — są tu tylko ostatnie. Przypuszczam, że nie orientuje się pan, gdzie są poprzednie.

— Niestety, nie. — Na niektóre listy nie zwracał uwagi, kilka odwrócił, sprawdził podpisy, przy kilku czule się uśmiechnął. — Na pewno ich nie wyrzuciła. Kochała te stare śmieci. Uwielbiała wszelkie pamiątki, często je przeglądała. A jeśli byłem w pobliżu, to potrafiła skierować do mnie sto zdań, każde zaczynając od: „A pamiętasz?”. I pokazywała mi wydobyty ze skarbca przedmiot. To mogło być cokolwiek: kawałek wstążki, zbitej bombki, kory drzewa, pestki jabłka. Tylko ona potrafiła zapamiętać, z jakim wydarzeniem się to wiązało.

— Tak, są ludzie, którzy potrafią zacczarować całe wspomnienie w jeden niewielki przedmiot.

Karol siedział i jak zauroczony wpatrywał się w teczkę z listami. Wyglądał zgięcia listów, po których niedawno przesuwały się palce Zosi.

Pozostawała jeszcze jedna kwestia i Jan zdawał sobie sprawę, że będzie stąpał po śliskim gruncie.

— Czy bierze pan udział w tym, co jest nazywane walką narodowowyzwoleńczą?

Karola zamurowało.

— Oczywiście, popieram tę sprawę — jak wszyscy Polacy.

— Chodziło mi o czynny udział.

— W czasie studiów należałem do tajnej organizacji studenckiej.

Chłopak odpowiadał ostrożnie i niezobowiązująco. Wyraźnie czekał, aż Jan wyjawi swoje intencje.

— A czy pańska siostra interesowała się tym?

— Raczej nie — wykrztusił jeszcze bardziej zaskoczony. Nie wiedział, na ile można Janowi ufać. W końcu przypomniał sobie, że to przecież przyjaciel Tadeusza i dorzucił: — Miewała takie zrywy, jak to ona: jak były jakieś obchody, jakieś zbiórki na zbożny cel, to zajmowała się tylko tym. I kiedyś słyszałem od matki, że Zosia uczestniczy w klasztorze w tajnych lekcjach języka polskiego.

Jan był zawiedziony. Wszystkie Polki na pensjach uczestniczą w takich nielegalnych kompletach.

— A potem? Po szkole?

— Ostatnio wpadła na ten pomysł z uczeniem dzieci czytania i pisania. Jednak jej narzeczony oburzył się, rozgniewał i zrobił awanturę.

— Jako zadeklarowany wojownik o sprawę niepodległościową powinien się cieszyć z takiego postanowienia przyszej żony i je popierać. Czyż nie?

— Tak by się wydawało, ale on jest zwolennikiem porozumienia i współpracy z rządem Jego Cesarskiej Mości. Waclaw jest praworządny do bólu i nie zniósłby żadnej nielegalnej akcji.

— A nie orientuje się pan, kto podsunął siostrze pomysł tych lekcji?

— Nie zastanawiałem się nad tym. Może pan Tadeusz? Zosia zaczęła o tym mówić dopiero tu.

— Pytam, ponieważ znaleźliśmy u niej kilka książek trudno dostępnych — tak bym je nazwał. Wszystkie pochodzą zza kordonu, a jedna uznawana jest przez zaborcę za bardzo niebezpieczną.

Rusiecki był przerażony.

— Co pan mówi? U Zosi? Ale skąd je brała, na litość boską? Przecież prawie stąd nie wyjeżdżała.

Stał za fotelem z dłońmi na oparciu. Wzrok miał wlepiony w ścianę nad głową Jana i, tak jak przeszukiwał wzrokiem deseń na tapecie, tak samo przeczesywał pamięć.

— Pojechała raz czy dwa z panią Julią do Poznania po jakieś tam fatałaszkę, to samo z panną Pauliną.

— Może to któraś z nich?

Jan rzucił to przypuszczenie, ale bez przekonania. Karol był chyba podobnego zdania, bo zmarszczył nos, a potem odpowiedział bardzo wymownym spojrzeniem.

— Poza tym, kto by jej zaufał? — argumentował dalej. — Przecież sam by się narażał. A ona była taka...

— Spontaniczna? — podpowiedział Jan.

— Tak. I nieogłędna w tym, co mówiła. Zaskoczył mnie pan. Nawet nie wiedziałem, że Zosia może mieć cokolwiek z tym wspólnego.

— To wszystko, co miałem do pana.

Chłopak jakby nagle się przebudził.

— Muszę pomyśleć — oświadczył. I wyszedł.

Jan wstał i skonsternowany wpatrywał się w drzwi. Zza parawanu wyłonił się Mateusz i zapytał:

— Czy mi się wydaje, czy on przyszedł, bo chciał coś panu powiedzieć?

— Poczekajmy, może wróci. Co ten Franciszek mu dał?

— Specjalny koktajl na otrzeźwienie. Strasznie kwaśny. Franciszek pomylił chyba proporcje, bo panicz Karol chwilami zachowywał się, jakby sfiksował.

— Nie powiedział nam nic nowego, co najwyżej niektóre rzeczy potwierdził. Nadal nie wiemy, gdzie są wcześniejsze zapiski i listy.

— Myśli pan, że przyczyna śmierci panienki jest w tak dalekiej przeszłości?

— Nie wiem. Co się mogło z nimi stać? Może je zniszczyła? Schowała poza swoim pokojem? Ktoś je zniszczył?

Mateusz zdecydował się podzielić swoją teorią, którą Jan najwyraźniej pominął.

— A brał pan pod uwagę możliwość, że zostawiła to na przechowanie u tej przeoryszy w klasztorze?

„Co za kretyn ze mnie? Zadufany w sobie kretyn!” Jan był zupełnie oszołomiony. Zanim odzyskał głos i tym samym możliwość pogratulowania kamerdynerowi, drzwi otworzyły się z impetem i wpadł Karol.

— Właśnie się zastanawialiśmy...

Karol nie dał skończyć, tylko poinformował triumfalnie:

— Wiem, kto jest mordercą.

Jan pochylił się pod ciężarem tej wiadomości. Po chwili przypomniał sobie wczorajsze przejścia chłopaka i bliżej nieznaną miksturę, którą mu zaserwowano, i uznał, że należy z dystansem podchodzić do tych rewelacji.

— Wiem. Już teraz wiem. Niedługo wrócę. Wszystko przedstawię.

Jan chciał wysondować, kto tym razem zostanie mu zaprezentowany jako morderca. Delikatnie zasugerował:

— Rozmawiał pan z panną Pauliną i...

— To o pani Julii? Tak, mówiła mi wczoraj. Niech pan sobie da spokój.

Machnął lekceważąco ręką i podjął swój bieg od ściany do ściany, mamrocząc chaotycznie:

— Wiedziałem wczoraj. Po tej rozmowie w bibliotece. Ja to sobie wtedy uświadomiłem.

— Możemy to rozważyć razem, ale musiałyby pan powiedzieć mi więcej.

— Powiem. Niedługo. Obiecuję. Muszę tylko jeszcze coś sprawdzić. Muszę się co do jednej kwestii upewnić.

Jan poczuł niepokój. Dla kogoś, kto już raz zabił, drugi raz nie będzie stanowił problemu. A Karol nie zachowa ostrożności.

— Może byłoby lepiej, gdyby podzielił się pan...

— Nie, nikt by mi nie uwierzył. Muszę sam. Zrobię jeden mały sprawdzian. I wrócę.

— Może pójdę z panem? — zaproponował Mateusz, ale Karol się nie zgodził.

— Proszę, aby pan uważał na siebie — powiedział Jan z powagą. — Jeśli pańskie podejrzenia się sprawdzą, to może być pan w niebezpieczeństwie.

— Bez obaw. Zadam swoje pytanie tak, że nikt się nie domyśli, że wiem.

Chłopak wypadł z pokoju podekscytowany, zostawiając otwarte drzwi. Z oddali dobiegł jego głos:

— Witek, gdzie jest pan Tarnowski?

\*

Jan zamknął drzwi, wrócił w głąb pokoju i doszedł do wniosku, że Karol jednak zwariował, jeśli myślał poważnie, że to Tadeusz jest winny.

— Sądzi pan, że coś mu grozi?

— Jeśli moje przypuszczenia są prawdziwe, to nic mu nie grozi, bo to, co wymyślił, to po prostu bzdura. Wracajmy lepiej do tego, na czym skończyliśmy, czyli do twojego geniuszu i mojej głupoty. Bezdennej.

Na twarzy Mateusza malowało się sto znaków zapytania.

— Przełożona klasztoru, Mateuszu. Nie pojmuję, dlaczego dotychczas ją pomijałem? Może się okazać skarbnicą wiedzy o Zosi. Co prawda, i tak nie mógłbym się z nią dotychczas skontaktować, drogi są nieprzejezdne. Jednak jak tylko to będzie możliwe, pojedziemy do miasteczka i wyślemy telegram do Lwowa. Muszę się zastanowić, o co ją zapytać, co jest najważniejsze.

— Myśli pan, że odpowie? Przecież uzna pana za obcego.

— Tadeusza nie uzna za obcego, prawda?

Lewa brew Mateusza podjechała do góry. Zawahał się i zapytał ostrożnie:

— Czy pan myśli o tym, o czym ja myślę?

Jan się roześmiał.

— Telegram to nie list, którego autentyczność można stwierdzić po charakterze pisma lub podpisie — odparł wymijająco.

— Jestem przekonany, że pan Tarnowski nie miałby nic przeciwko temu...

— Właśnie, Mateuszu. Tymczasem muszę porozmawiać z panią Kareńską. Mógłbyś sprawdzić, czy hrabina może mnie przyjąć?

— Oczywiście, już idę.

Jan podszedł do tacy ze skarbami Zosi i wziął zdjęcie czwórki młodych i ostatni list Michała. Wpatrywał się w pozostałe przedmioty, aż usłyszał wracającego Mateusza.

— Hrabina czeka na pana.

— Świetnie. Idę. Jeśli możesz, to zejdź na dół i dowiedz się, czy fornale wysłani do landrata zdołali się przebić przez zasy.

\*

Pani Kareńska siedziała na kanapie i wyglądała zdecydowanie lepiej niż poprzedniego dnia. Na jej twarzy pojawiły się pastelowe kolory i nawet uśmiechnęła się, wskazując Janowi miejsce.

— Mam nadzieję, że czuje się pani tak doskonale, jak wygląda.

Wyciągnęła w jego kierunku rękę, a on ją ujął, nisko się pochylił i pocałował.

— Tak, rzeczywiście czuję się lepiej. Dziękuję.

— Nie zabiorę pani dużo czasu — rzekł Jan, siadając w fotelu.

— Nie zazdroszczę panu zleconego zadania. Tego oddzielania ziarna od plew.

— Dobre porównanie — uśmiechnął się z nagłym przyływem energii i optymizmu, zrodzonym chyba z przekory wobec okazanego mu współczucia. — Do dzieła, czas ucieka, a nam z Tadeuszem się marzy, że kiedy dotrą tu urzędnicy, przedstawimy im gotowe rozwiązanie.

— Tak byłoby najlepiej. Dla wszystkich. Słucham pana zatem.

Podał jej fotografię.

— Czy rozpoznaje pani to zdjęcie?

Ze wzruszenia trzęsły jej się ręce. Zamknęła oczy, chcąc chyba odgrodzić się od nadmiaru wrażeń. Po chwili spojrzała ponownie na fotografię, przechyliła głowę i wyszeptała łzawym głosem:

— Nie widziałam go wcześniej.

— Trzy osoby naturalnie pani zna: Zosię, Karola i Michała. Czy wie pani, kim jest ta druga dziewczyna?

Przestała dygotać, chyba dlatego, że pytanie Jana odciągnęło jej uwagę od ukochanego syna.

— To jest... — zawahała się — to z nią zaręczył się młody Rusiecki.

— Pani ją znała?

— Ależ skąd! — odpowiedziała ostro, po czym szybko się zreflektowała i dodała łagodniej: — Oczywiście, widziałam ją kilka razy w czasie większych zebrań towarzyskich, ale nie została mi przedstawiona.

— Obracaliście się panie w tych samych kręgach?

— Absolutnie nie, miała fatalne pochodzenie. Dorobkiewiczze, ludzie znikąd. Małżeństwo Michała z Zosią byłoby mezaliansem, ale jeszcze gorszy byłby związek Karola z tą dziewczyną.

— Słyszeliśmy tu o niej jako o umierającej narzeczonej Karola, ale niewiele o niej wiadomo.

— Galopujące suchoty. Ja też wiem niewiele. Uznawano ją za bardzo bogatą, mieszkała gdzieś niedaleko. Była sierotą i opiekę nad nią sprawował stryj. Wszyscy się dziwili młodemu Karolowi — chodziło nie tylko o jej zaawansowaną gruźlicę, ale przede wszystkim o owo niskie pochodzenie. Mimo jednoznacznej diagnozy lekarzy, stryj do końca próbował ją ratować. Chyba bardzo ją kochał. Wysłał ją w góry na leczenie.

— Pamięta pani, kiedy Karol ją poznał?

— Niestety, nie.

— A w przybliżeniu? Pół roku, rok temu?

— Dawniej. Rok, może więcej.

— A co było z nią dalej?

— Chyba pół roku temu rozpoczęła się agonia. Nie dawano jej najmniejszej szansy. Próbowano jakiejś nowej metody leczenia, ale bezskutecznie.

— Rozumiem. A teraz druga sprawa: dotyczy feralnej kolacji. — Szukał słów, żeby nie sprawić jej nadmiernej przykrości, przywołując nieprzyjemny epizod. — Z jadalni poszła pani prosto do pokoju Zosi.

— Tak.

Poczuł zawód. Gdyby tylko odpowiedziała inaczej...

— Wstąpiłam tutaj jedynie po świecę.

Serce Jana stanęło, a po chwili ruszyło takim galopem, że słyszał szum krwi. Zaczął odtwarzać przebieg wydarzeń.

— Wzięła pani stąd świecę i poszła do Zosi.

— Tak.

— A świeca była taka jak ta?

Wskazał na świecę w neutralnym kolorze, osadzoną w pięcioramiennym świeczniku stojącym na konsoli.

— Tak, ale w tym kaganku przenośnym.

— Chodzi o świecę. Była kremowa?

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— Jak w całym domu.

— W całym — poza pokojem Zosi.

— Być może.

Wzruszyła ramionami. Jan wpatrywał się w nią i widział, jak coraz szerzej otwierają jej się oczy.

— Tam są inne. Błękitne, prawda?

— Zgadza się.

Teraz ona wstała i zaczęła chodzić.

— Skoro byłam z kremową świecą, to skąd się wziął na mojej sukni niebieski wosk?

Patrzyli na siebie i myśleli o tym samym. Było jedno zastrzeżenie zdolne zniszczyć całą tę konstrukcję, którą wspólnie właśnie zbudowali. Jan musiał się upewnić, aby nie brnęli w ślepią uliczkę.

— Jeśli dotykała pani świec u Zosi...

Usiadła i przymknęła oczy. Odtwarzała, co dokładnie robiła w pokoju dziewczyny. Spojrzała Janowi w oczy i powiedziała z pełnym przekonaniem:

— Były zgaszone. Tak, były zgaszone. Ta odrobina światła pochodziła z kominka. A może gdzieś były plamy z wosku i ja się oparłam?

— Wątpię. Wosk na pani sukni był, jak to się mówi, pryśnięty.

Dłoń hrabiny zamknęła się na medalionie, który nosiła na szyi. Na jej czole gromadziły się głębokie linie.

— Rozumie pani, co to znaczy, prawda?

— Ktoś to zrobił celowo? Żeby mnie oskarżyć? — zamilkła, aby dodać słabszym głosem: — Ktoś mnie aż tak nienawidzi?

— Moim zdaniem bardziej chodziło o to, że była pani naturalnym wrogiem Zosi, miała pani najsilniejszy motyw.

— Sama jestem sobie winna. — Nie oczekiwała, że Jan zaprzeczy. — Kto to ukartował?

— Morderca. Najprawdopodobniej.

Postanowił zadać jej jeszcze kilka pytań. Na część z nich odpowiedziała już poprzedniego dnia, ale teraz wydawała się w bojowym nastroju i Jan liczył, że to pozytywnie wpłynie na jej pamięć.

— Skąd wziął się pomysł, aby tu przyjechać, hrabino?

— Znałam matkę Julii z czasów młodości.

— Chodziło mi o to, dlaczego postanowiła pani przyjechać właśnie teraz?

— Byłam u przyjaciółki i to ona wspomniała, że młodzi Rusieccy są tutaj. Nie wiem, czy była świadoma, że ich znam.

— A skąd wiedziała pani, że Zosia ma list od Michała?

Przez chwilę wpatrywała się w Jana bez słowa. Zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć.

— Nie wiem — odpowiedziała po dłuższej chwili. — Dziwne, ale nie wiem.

— Może od tej przyjaciółki?

— Zdecydowanie nie. Nie wiem, od kogo się dowiedziałam, ale to było tu. Gdy tu jechałam, to nie wiedziałam o liście.

Zdenerwowała się tą rozmową. Jan poczuł wyrzuty sumienia i winił się za to, że wcześniej nie dostrzegł jej zmęczenia. Kareńska podniosła do nosa flakonik z solami trzeźwiącymi. Mężczyzna wyczuł zniechęconą przez siebie woń amoniaku — na niego sole wywierały wręcz odwrotny skutek od zamierzonego. Poczuł lekkie mdłości, ale szybko o nich zapomniał, widząc, że hrabina cała drży.

— Dlaczego ja tego nie pamiętam?

— Może dlatego, że teraz próbuje pani to sobie za wszelką cenę przypomnieć. Gdy przestanie pani, to wspomnienie samo wróci.

Uśmiechnęła się grzecznościowo.

— Może tak.

— Mogę liczyć, że da mi pani wtedy znać?

— Oczywiście.

— Zostawię panią za chwilę, ale przed wyjściem miałbym prośbę. Czy mógłbym rzucić okiem na pierwszą kartkę listu pani syna do Zosi? Dotychczas widziałem tylko końcówkę.

— Ta kasetka na szafce nocnej.

Jan ze wskazanego miejsca przyniósł drewniane pudełko i podał Kareńskiej. Otworzyła je małym kluczykiem, który wydobyła nie wiadomo skąd, wyciągnęła kartkę i wręczyła mu ją.

W liście nie było nic nowego poza tym, co hrabina powiedziała wczoraj i czego sam się domyślił z drugiej kartki: Michał wyjechał do ojca, nie wolno mu się ożenić, bo choroby nerwowe są dziedziczne. Jan poczuł litość dla obojga młodych.

Złożył kartkę, oddał hrabinie i podziękował. Schowała list i siedziała, obejmując kasetkę. Jan się podniósł.

— Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

Skinęła głową. Była bardzo blada i miała fioletowe usta.

— Proszę znaleźć tego nikczemnika.

\*

Tymczasem Karol na swoje pytanie o Tadeusza usłyszał od Witka, że pan Tarnowski jest nadal na podwórzu.

— A widziałeś pannę Paulinę?

— Ostatnio ją widziano w ogrodzie zimowym.

Istotnie była tu nadal. W swojej ulubionej pozie spoczywała na kanapce, czytając *Dzieci szatana*. W każdym razie trzymała książkę w ręce, a sądząc po znudzonej minie, nie była to pasjonująca lektura.

— Gdzie ty byłeś? Zanedbujesz mnie. Będę się gniewała.

— Posłuchaj, myślałem o Zosi i...

Nie dosyć, że po zapowiedzi jej gniewu nie zaczął się kajać, to jeszcze znowu ruszył ten zakazany wątek. Poza tym nie zauważył nowej liliowej sukni ani nawet nie spojrział w kierunku odsłoniętego dekoltu.

— Mam dosyć tego tematu.

Już nie mówiła dziecięcym głosem, to zostało powiedziane twardo i bez żartów. Karol nie ustępował.

— Wiem, kto jest mordercą.

— Ja też wiem i co z tego.

— Nie mówię o Julii. Powiem ci. Nie teraz. W każdym razie to nie Julia.

— Jak to nie Julia? Mówię ci, że to ona.

Sięgnęła po książkę, ale on usiadł w fotelu naprzeciwko niej, wyjął tom z jej ręki, odłożył i powiedział zdecydowanym tonem:

— Nie. Ja już teraz wiem. Teraz wszystko jest jasne.

— Czy ty piłeś? Bo jeśli tak, to z nami koniec. Nie zamierzam...

— Początkowo nie mogłem w to uwierzyć.

— W co?!

— Powiem ci, słowo. Ale zanim go, to znaczy tego kogoś, oskarżę, muszę być całkowicie pewien.

— Co chcesz zrobić?

— Zobaczysz, tylko jeden mały test.

— Nie chcę czekać, chcę żebyś mi powiedział.

— Nie mogę. Janowi też nie powiedziałem.

— To znaczy, że byłeś najpierw u niego? A mówiłeś, że jestem najważniejsza, że... — ruszyła na niego z furią.

— Nic mu nie powiedziałem. Też by mi nie uwierzył.

Obraziła się. Z przyzwyczajenia podjął próbę przebłagania.

— Kochanie...

— Nie jestem twoim kochaniem.

— Jesteś za to ekspertem w kwestiach... hm... damsko-męskich.

— Jestem.

— A czy umiałabyś odróżnić u mężczyzny spojrzenia ojcowskiej miłości od spojrzeń zakochanego?

— Oczywiście, że bym umiała.



Wstał, odszedł kilka kroków i słyszała, jak mrucał do siebie. Zrozumiała tylko: „zakochał się w młodszej” i „nie umiał oddać innemu”.

— Nie ma sensu tego odwlekać — oświadczył po chwili, uśmiechnął się niewesoło i wyszedł.

Paulina wstała i na paluszkach pobiegła za nim, przytrzymując suknię, aby szelest hałek nie zdradził jej obecności. Przy drzwiach salonu usłyszała, jak Karol pyta pokojówkę odkurzającą meble:

— Czy wrócił już pan Tarnowski?

Panna Bonikowska wolno cofnęła się do ogrodu.

## 13.

— Czy pan Tarnowski wrócił?

— Przed chwilą widziano go jeszcze na podwórzu — informował Jana Witek swą nieco specyficzną polszczyzną. — Był uprzednio również poszukiwany przez panicza Karola.

Jan przypomniał sobie koncepcję Rusieckiego i zmarszczył czoło.

— A fornale wrócili od landrata?

— Dotarli do jego siedziby, ale go nie zastawszy, pozostawili mu wiadomość — wznosił się na wyżyny finezji gramatycznej Witek.

— Trudna przeprawa?

— Jeden z nich to mój kuzyn Józek — lokaj wypadł z roli lingwisty. — Opowiadał, że zasy py większe niż kowal Franczak. Jechali i jechali i od tej białości to ich oczy kłuły. Raz to nawet myśleli, że drogę zgubili, bo wszystko wyglądało tak samo, ale później zobaczyli stary młyn. I Józek poznał, gdzie są.

— A landrat gdzie?

— Wybył. Nie powiedzieli, dokąd. Ma wrócić jutro albo jeszcze dziś na wieczór. List mu zostawili, co się stało z panienką. Landratowa da staremu, jak wróci, to przyjadą.

— A ten Józek to mądry chłopak?

— Jeszcze jak. Sam ten list napisał. Co to niby panienkę struto.

— Umie pisać?

— Jeszcze jak! I po niemiecku, i po polsku!

— A skąd?

Chłopak cały się spłonił, a Jan obserwował z zainteresowaniem, jak lokaj się wił i usiłował zatuszować swoją niedyskrecję.

„Wiadomo, że w całym zaborze trwa walka Polaków z Kulturkampfem<sup>[11]</sup>, że działa stowarzyszenie Tomasza Zana<sup>[12]</sup>, że w dworach organizowana jest nauka polskiego. Tu jednak ciągle się na to natykam. Kto ich tu uczy?”

— Nie możesz powiedzieć, nie mów — uspokoił chłopaka. — Po co miałbyś komuś robić szkodę.

— Ja wiem, że pan by nigdy nie... Ale nie wolno...

Jan poprosił jeszcze, by Maria zajrzała do Kareńskiej i poszedł do swojego pokoju. Mateusz robił porządek na stole, co w jego przypadku oznaczało, że układał wszystko według wielkości od największych do najmniejszych przedmiotów. Jan już się do tego przyzwyczyił i protestował tylko w przypadku książek, bo Mateusz był gotów wymieszać ze sobą słowniki, poezje, książki religijne i podręczniki. Zrelacjonował kamerdynerowi rozmowę z hrabiną.

— Wosk — ożywił się Mateusz. — To się nazywa dowód spreparowany.

Janowi tymczasem przypomniało się powracające wrażenie, że w pałacu skrywana jest tajemnica i że ma to związek z nauczaniem polskiego. Z niezadowoleniem stwierdził, że niewiele wie o polityce wynaradawiania prowadzonej przez pruski rząd i tylko trochę więcej o oporze swoich rodaków. Walczyła większość — kto się nie przeciwstawiał zaborcy, poddawany był ostracyzmowi społecznemu, a tajne nauczanie i troska o utrzymanie ziemi były najpowszechniejszymi formami tej walki.

Podzielił się swoimi wrażeniami z Mateuszem i dodał:

— W Księżstwie prowadzą wojnę — wiemy przecież o tym. Cichą i codzienną. Ale tutaj to nie tylko nauka języka — tak mi się wydaje. Jest więcej śladów — książki u Zosi, ta kartka w skarbczyku, jej pomysł prowadzenia nauki w majątku męża. No i ta skrytka w jej pokoju. I wszystko to powiązane z dziewczyną, którą ktoś zamordował. Czy ten wątek łączy wszystkie fakty?

— Będę miał oczy i uszy otwarte — obiecał Mateusz. — Pan ma rację. Zwykle służba opowiada o tym, że państwo od Niemca nie kupują, że chodzą tylko do polskiego teatru, wszyscy ciągle podkreślają polskość domu. A tutaj nie. Ani słowa.

— Byłeś na dole?

— Tak. Ludzie wysłani wrócili. Przedarli się, choć z trudem. Nie zastali landrata, wyjechał przed śnieżycą. Pomyślałem, że warto wybadać tych ludzi.

— I?

— Jeden zupełnie niegramotny, natomiast drugi całkiem do rzeczy.

— Józek?

— Tak, skąd pan wie?

Mateusz spojrział na Morawskiego jak na magika, na co ten wzruszył ramionami i zrobił pół przeproszającą minę.

— Nie pada, więc droga będzie z każdą chwilą lepsza — zdecydował. — Skoro oni przejechali, przejedziemy i my.

— Niebezpieczna pora.

— A może poprosimy Tadeusza, żeby nam pożyczył tego gramotnego Józka?

Uśmiech zrozumienia i ulgi pojawił się na twarzy kamerdynera. Jan polecił:

— Pakuj rzeczy. Poszukam pana Tarnowskiego.

— Kiedy wrócimy?

— Jutro.

— Jak Bóg da.

— I czas pozwoli.

Była to ich zwyczajowa formułka, przerobiona z arabskiego odezwania, które przywieźli ze wspólnej wyprawy do Bagdadu.

\*

Gospodarz stał przy biurku w gabinecie i czytał coś z kartki. Chyba właśnie przyszedł z podwórza, bo nadal miał na sobie futro, a jego ciemne włosy lśniły od wilgoci.

— Co z dachem, Tadeuszu?

— Dobrze, wszystko dobrze. Większość śniegu z najbardziej zagrożonej części usunęliśmy, więc jest szansa, że do wiosny wytrzyma. Jakieś nowe wieści?

— Wydaje mi się, że tu już nic więcej się nie dowiem.

— Chyba nie zamierzasz gdzieś jechać w tym śniegu?

— Taki mam plan.

— Absolutnie nie wyrażam zgody.

— Stan dróg się poprawia. Poza tym podróżowałem już w gorszych warunkach.

— Nie zgadzam się. Jesteś synem mego przyjaciela i również moim przyjacielem. Jesteś moim gościem. Ponoszę za ciebie odpowiedzialność. Nie jedziesz.

— A swoich pracowników wysłałeś.

— To co innego.

— Zawsze podkreślałeś, że praca jest najważniejsza, że dla ciebie więcej jest wart pracujący chłop niż leniący się magnat. I że wszystkich trzeba traktować równo, bo praca zaciera różnice. Skoro

zaryzykowałeś życie swoich pracowników, możesz zaryzykować moje. Tym bardziej że ja jestem leniący się magnat i pasożyt.

Gospodarz był skonfundowany.

— Ty lisku — w jego głosie słychać było i naganę, i podziw.

Jan musiał się roześmiać. A Tadeusz argumentował:

— Janie, zrozum, oni znają okolicę, warunki, umieją sobie radzić.

— Ja też umiem sobie radzić. I mam dla ciebie propozycję, która być może cię przekona.

Obydwaj zdawali sobie sprawę, że Tadeusz nie ma prawa zabronić Janowi jakiegokolwiek wyjazdu i że w gruncie rzeczy jest to rozmowa grzecznościowa. Byli jednakże przyjaciółmi i Tarnowski miał prawo troszczyć się o Jana, tak jak Jan miał obowiązek liczyć się z uczuciami i obawami Tadeusza.

— Pożycz mi jednego z tych ludzi — Józka. Co ty na to? Będziesz spokojniejszy?

— Tak. Będę spokojniejszy. Naprawdę musisz jechać?

— Zdecydowanie tak.

Tadeusz zadzwonił i polecił odnaleźć fornała.

— Mogę spytać, jaki jest cel tego wyjazdu? To pewnie ważne, skoro decydujesz się na takie ryzyko?

— Cele są dwa: poczta i apteka.

— Poczta?

— Chcę wysłać co najmniej jeden telegram.

Wydawało się, że Tadeusz czeka na dodatkowe szczegóły, ale Jan chciał jak najszybciej przedstawić swoją kontrowersyjną prośbę.

— Tadeuszu, czy możesz podać mi nazwę klasztoru i imię przełożonej? Tej, która tak dobrze знаła Zosię?

— Oczywiście: klasztor Sacre Cœur, siostra Bernadetta.

— Sądząc po tym, że odradziła Zosi szybkie wstępowanie do klasztoru, to ma dobrze poukładane w głowie?

— Jest bardzo rozsądna — powiedział z uznaniem Tadeusz. — Myślisz, że ona może coś wiedzieć?

— Jest taka szansa. Mam też prośbę, nietypową.

— Mów, Janie.

— Czy wysyłając telegram do siostry Bernadetty, mogę podpisać się jako ty?

— No tak, tobie nie odpowie — zrozumiał Tadeusz po chwili. — Oczywiście, podpisz się moim nazwiskiem.

— Dziękuję.

— Urzędnik na poczcie jest świętszy od papieża. Właściwie nawet świętszy od Wacława.

— Może odmówić wysłania?

— Napiszę do niego, że to mój telegram, a ty go tylko oddajesz. To załatwi sprawę. Zresztą, jak zobaczy Józka, to nie powinien robić trudności.

— A gdyby odpowiedź przyszła jutro, po moim wyjeździe z miasteczka, to jak szybko zostanie dostarczona tutaj?

— Gdy będą przejezdne drogi. Przejezdne według ich standardów, nie twoich. — Na widok miny Jana roześmiał się i dodał: — Nie martw się, poproszę tego formalistę, żeby wysłał wiadomość sztafetą. Poczta to jeden cel, a drugi?

— Apteka. Chcę porozmawiać z aptekarzem. Może byś mi trochę o nim opowiedział?

— Nazywa się Weichert, ale to Polak.

— Czy zawsze leki dla Zosi przychodziły z tego samego miejsca?

— Raz chyba pochodziły z Poznania — przypominał sobie Tadeusz. — Kilka tygodni temu Zosia pojechała tam z Pauliną. Wtedy się okazało, że brakuje proszku i kupowały na miejscu.

Jan odnotował fakt, że zakup odbywał się z Pauliną. Nie zdradził się jednak, że zrobiło to na nim

jakikolwiek wrażenie.

— Wiesz, jaka to była apteka?

— Nie. Zupełnie nie. Może Paulina pamięta?

— Tylko jeżeli tam był przystojny aptekarz...

— Może Waclaw wie — zasugerował Tadeusz.

— Był z nimi?

— Można tak powiedzieć. One się zatrzymały w mieszkaniu Bonikowskich, on w Bazarze. Proszę!

Do pokoju od strony boczego wejścia wszedł wysoki mężczyzna, mniej więcej w wieku Jana. W ogorzałej twarzy jaśniały błękitne oczy, którymi Józek bez lęku i zawstydzenia patrzył wprost na swego pracodawcę i jego gościa. Odezwał się tubalnym głosem, pasującym do imponującej postury.

— Pan wielmożny chciał mnie widzieć.

— Tak, mój gość musi pojechać do miasteczka.

— Teraz?

Józek spojrział na Jana i jego wzrok był równie wymowny, jak pytanie. Widać nie chciało mu się wierzyć, że jeden z tych wydelikacyonnych miastowych może się poważić nawet w myślach na taką wyprawę. Pewnie wątpił, czy Jan kiedykolwiek jechał w śniegu.

— Trudna droga — rzucił lakonicznie.

— A wy, dalibyście radę?

— Co miałbym nie dać.

— A pojechałbyś z panem jako przewodnik?

— Co miałbym nie pojechać? A pan wielmożny wierzchem jeździ, czy tak jak te niektóre, ino sankami?

— Jeżdżę wierzchem — o to się nie martw. Pojedziesz?

— Pan każe, pojedę.

— Ja nie mogę ci kazać — odpowiedział poważnie Tadeusz. — Ja cię mogę tylko poprosić.

— To ja tym chętniej pojedę.

Jan stwierdził, że bez obaw odda się pod jego komendę.

— Co mamy zabrać? Jedzie z nami mój służący.

— Ciepło się ubrać, mało tobołów. Konie wybiorę ja. Resztę też zabiorę, co potrzeba.

Jan skinął z aprobatą dla takich wytycznych.

— Kiedy możemy jechać?

— W pół godziny będę gotów. Im szybciej, tym lepiej.

Tadeusz zaprotestował.

— Nie możesz tak bez obiadu.

— Zgadzam się, Tadeuszu, że im szybciej, tym lepiej.

— Powiedz w kuchni, że mają wam przygotować zapasy na drogę — polecił Tarnowski Józkowi. —

Ty zdecyduj, co.

— A czy ja tam wiem, co szanowny pan gość i jego sługa lubieją.

— Wszystko, nami się nie przejmuj.

Po wyjściu Józka Jan wrócił do nieskończonej rozmowy.

— Co to za człowiek ten aptekarz?

— Rzetelny, nikt się nigdy nie skarżył, dba o zaopatrzenie.

— Pochodzi stąd?

— Nie, z Pomorza, sprowadził się kilka lat temu. Poprzednio była tu tylko mała drogeria.

— I nic więcej o nim nie wiesz?

Tadeusz nagle zrozumiał.

— Zastanawialiśmy się, kto mógł podmienić leki — powiedział z namysłem. — A może Karol już je odebrał z apteki zmienione. Ale dlaczego miałby... Kręci mi się w głowie od tych wszystkich podejrzeń.

— Chciałbym zadać temu Weichertowi parę pytań. Myślisz, że zgodzi się ze mną rozmawiać?

— Napiszę do niego. Na kiedy planujesz powrót?

— O ile nie nastąpi nic nieprzewidzianego, zostanę tam do jutra.

— Nie podoba mi się to, Janie.

— Wiem.

— Idź się przygotuj, a ja napiszę te listy. Józek wskaże wam obozisko. Znają nas tam i dopilnują, żeby wam niczego nie zabrakło.

— Dobrze, dziękuję.

— Janie, jeszcze jedno. Może powinieneś przed wyjazdem porozmawiać z Marią. Ona ma najczęściej kontakt z Weichertem.

— Jeśli będę miał czas przed wyjazdem, to porozmawiam, a jeśli nie zdążę, to jutro po powrocie.

Skinął Tadeuszowi głową i usłyszał:

— Tak, ona będzie wiedziała najwięcej, tym bardziej że znali się jeszcze przed jego sprowadzeniem się tutaj. Właściwie, to chyba za jej sprawą tu się osiedlił.

\*

— Oni nie przestaną mnie zadziwiać.

— Oni? — Mateusz kończył pakowanie dwóch skórzanych toreb.

— Mieszkańcy tego domu i ich goście.

— Rozumiem, że właśnie pojawiły się nowe fakty?

— Czegokolwiek tu nie dotknę to pojawiają się nowe fakty — odparł kwaśno Jan. — I nowi podejrzani. A właściwie to nie nowi, tylko ci sami, którzy już byli podejrzani, tylko że ja ich rozgrzeszyłem. Pierwsza sprawa, wyjeżdżamy za pół godziny. Z Józkiem — relacjonował. — Rozmawiałem z Tadeuszem o aptekarzu. Nazywa się Weichert.

— Niemiec?

— Tadeusz zapewnia, że mimo nazwiska to szczerzy Polak. Napisze do niego kilka słów, prosząc, żeby w miarę możliwości udzielił nam potrzebnych informacji.

— Dobry pomysł.

— Zgadzam się. Gdy wychodziłem, to Tadeusz dodał, że sporo o aptekarzu może wiedzieć Maria. Ponoć znali się, jeszcze zanim Weichert przeprowadził się tutaj, może nawet aptekarz został tu sprowadzony właśnie przez Marię.

— Coś w tym może być, bo podobno Maria zawsze się upiera, że osobiście pojedzie po leki.

— Wygląda na to, że nasza Maria, pozornie bez skazy, coś jednak skrywa.

Mateusz wzruszył ramionami i wygłosił sentencjonalnie:

— Wszyscy skrywamy.

— Prawda. Wiesz, ja dotychczas nie brałem pod uwagę nikogo ze służby. W sprawie Zosi.

— Przecież przepytawał ich pan.

— Pytałem, co wiedzą, cały czas mając na myśli kogoś z gości lub domowników — przyznał Jan wprost. — Komu byłoby najłatwiej zabić dziewczynę?

— Marii?

— Mogła się pojawić w dowolnym miejscu o każdej porze dnia i nocy, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, prawda?

— No, tak.

— Nie było jej na kolacji, więc nikt z nas nie może stwierdzić, co wtedy robiła.

Mateusz przytaknął, a Jan rozważał.

— Dostęp do morfiny? Cóż to trudnego dla kogoś, kto od lat sprawuje nadzór nad domową apteczką,

— kto wprowadza do domu lekarza, kto utrzymuje kontakt z aptekarzem...

— Dlaczego żaden z nas wcześniej o tym nie pomyślał?

— Myślmy dalej: kto nam tak obrazowo przedstawił Zosię i upokorzenia, których tu doznawała? Kto nam powiedział o kłótni Wacława z Zosią. Kto dostarczył dowód przeciwko hrabinie w postaci sukni z plamkami wosku?

— W gruncie rzeczy Marii byłoby najłatwiej zrobić te plamki. Przecież w zapasach ma błękitne świece, a sami widzieliśmy, że bez problemu wyniosła suknię z pokoju hrabiny.

Jan wyliczał:

— Jej pewność siebie, kompetencje, zaufanie państwa sprawiają, że żaden jej krok nie jest przez nikogo kwestionowany. Skoro ona coś robi, to tak ma być i już.

— Brakuje tylko motywu.

— Niekoniecznie brakuje. Po prostu go nie znamy.

— Nic mi nie przychodzi do głowy.

— A ja miałbym kilka propozycji — stwierdził Jan z przekornym uśmiechem. — Może miała żal do matki Zosi o odrzucenie Tadeusza? Tyle lat była związana z rodziną, a tu jakaś dzierlatka odmawia swej ręki paniczowi. Maria mogła pielęgnować uczucie nienawiści latami i przelać je na Zosię. A jak dziewczyna się tu pojawiła, to najpierw urządziła jej piekło, powiadamiając Kareńską, a gdy się nasyciła zemstą, to po prostu ją otruła. Sam sposób morderstwa pasowałby do zawziętej Marii.

Mateusz chyba wyobraził sobie taki przebieg zbrodni, bo głośno przełknął ślinę i nerwowo pogładził się po brodzie.

— Wersja zbliżona: Maria mogła sama kochać się w Tadeuszu, ale on zakochał się w tamtej. I znowu przeniosła nienawiść na Zosię. W końcu zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. Jednak w tym wypadku już dawno wyeliminowałyby Julię.

— Może uważa panią Julię za nieszkodliwą, a tylko tamtą pierwszą za prawdziwą miłość?

— Może. Sam widzisz, że powodów nie brakuje. A wymieniłem tylko te, które mają związek z przywiązaniem do Tadeusza.

Jan w zamyśleniu zamykał i otwierał jedną ze stojących na stole toreb. Należał do ludzi, którym rytmiczne powtarzanie prostych czynności pomaga w koncentracji. Okazało się, że muza go dzisiaj nie opuszczała.

— Mamy dalej Weicherta. Jeśli coś łączy lub łączyło z nim Marię, to mogła go namówić, aby przygotował narkotyk.

Mateusz pokonał pierwszy szok i odzyskał zdolność myślenia.

— I wtedy nie musiałyby nic podmieniać tu. Po prostu panienka sięgnęłaby po dawkę już przygotowanej morfiny.

— Zresztą niekoniecznie musiał się na to zgadzać. Znają się od lat. On ma na sumieniu jakieś sprawy, ona o tym wie. Weichert przeprowadza się tu i ma nadzieję, że uciekł przed starymi historiami. A na miejscu zastaje Marię, która wie o nim niejedno.

— Mógł być na przykład podejrzany o otrucie.

— Jeszcze jedna rzecz z nim związana. Czy nie wydaje ci się dziwne, że w takim małym miasteczku jest apteka? Przecież to właściwie wieś. Nie ma banku, jest kilka małych sklepików, jedna oberża. Jeden lekarz. I apteka, do tego ponoć znakomicie zaopatrzona. Weichert, według wiedzy Tadeusza, często jeździ do Berlina po nowości.

— Ciekawe, jak udaje mu się utrzymać? — dostrzegł sedno problemu Mateusz.

— Zwłaszcza że okoliczne majątki mają duże powierzchnie, a co za tym idzie, dworów jest mniej niż w innych częściach Księstwa.

Mateusz przez moment bił się z myślami.

— Skoro jesteśmy przy Marii...

— Coś sobie przypomniałeś?

— Byłem w kuchni i przyszedł Józek. Powiedział, że ma nas przeprowadzić do miasteczka i przekazał polecenie pana Tarnowskiego o zapasach. Maria nie protestowała. Od razu wydała dyspozycje, co mają nam przygotować. Natomiast Franciszek był przeciwny, w ogóle nie rozumiał, po jakie licho musimy tam jechać, że lepiej poczekać. Szkoda, że pan nie widział, jak się takie spotkania odbywają. To jest formalna narada, każdy wypowiada opinię, przedstawia argumenty.

— Macie tam na dole prawdziwy parlament.

— Tak, ale w przeciwieństwie do parlamentu szanujemy odmienne zdanie. Oczywiście wszystko się odbywa według kolejności starszeństwa i zajmowanej pozycji. No i nie wszyscy mają prawo głosu. To znaczy niby wszyscy, ale młodszy nie powinni mieć innego zdania niż starsi. Kiedy Józek powiedział — powrócił do głównego nurtu opowieści Mateusz — że pan się wybiera do aptekarza, Maria nagle się zdenerwowała. Zaczęła przekonywać, że Franciszek ma rację, że to głupota jechać.

— Gdy usłyszała o aptece?

— Nawet chciała iść przekonywać pana Tarnowskiego, żeby nam zakazał jechać. Wtedy Franciszek ją zmiłogował, że pan może robić, co chce i że lepiej niech nam wszystko przygotuje na drogę. Rzuciła mu takie spojrzenie, że powinien paść jak gromem rażony.

— Wyobrażam to sobie.

— To nie jest najciekawsze.

— Jeszcze coś? — Jan nie krył podziwu.

— Józek wyszedł do stajni i wtedy było to zamieszanie z Marią. Potem wrócił, ona coś mu szeptała na boku i dała kartkę. Może to był list do aptekarza?

— List miłosny lub list w interesach.

Jan cenił prywatność i uznawał prawo każdego do własnych spraw i sekretów. Nie znosił, kiedy ktoś niepowołany wdzierał się w jego życie i sam starał się tego nigdy nie robić. I dlatego teraz czuł niezadowolenie, że musi dochodzić, co ukrywa Maria, bo przecież jej sekret nie musiał mieć nic wspólnego ze sprawą Zosi. To było jednak nie do uniknięcia, i wszystko, co mógł zrobić, to starać się postępować z taktem.

— Z Marią łączy się jeszcze jeden wątek. Opowiadałem ci o kradzieżach? Wyrzucono za to służącą, a najbardziej naciskała na zwolnienie właśnie Maria.

— Franciszek o tym wspominał. Coś, że dziewczyna tu pracowała krótko, ale dobrze. A potem nagle zginęło kilka rzeczy, Maria zrobiła przeszukania i to wszystko znalazła koło pokoju tej służącej. Franciszek się dziwił, że dziewczyna narażała się dla bezwartościowych przedmiotów.

— Jak kochać, to księżniczki, jak kraść, to miliony? — skomentował Jan ulubionym powiedzonkiem Mateusza.

— Święta racja. Wszyscy dziwili się uporowi Marii, żeby dziewczynę oddalić.

— Temu nie powinni się dziwić. Maria wygląda na kogoś z twardym kręgosłupem. I chyba nie grzeszy nadmiarem wyrozumiałości.

— Tak, ale w tym przypadku w obronie dziewczyny stanęła pani Julia, a Maria z zasady jej ustępuje.

— Franciszek ma rację. To jest dziwne.

— Przynajmniej nie ma związku z morderstwem.

— Wręcz przeciwnie. Jednym z ukradzionych przedmiotów, *notabene* tym nieodnalezionym, był pakiet leków Zosi.

— Kręci mi się w głowie od tych wszystkich śladów. Już się wydawało, że jesteśmy blisko, że wszystko wskazuje na Marię, a to może być ta służąca.

— Służąca może być kozłem ofiarnym. Możliwe, że na nią zrzucano odpowiedzialność za kradzieże, a w gruncie rzeczy, poza proszkami, pozostałe przedmioty to zasłona dymna.

— Gdyby zginęły tylko leki, to każdy by pamiętał. A tak to zniknęły w tłumie. I sprytny był wybór



obcej dziewczyny.

— Obcej?

— Oni tu wszyscy pracują z dziada pradziada. Tylko Franciszek nie jest stąd. Przyjechał z poprzednim panem Tarnowskim z jakiejś wyprawy. A poza tym funkcje przechodzą z ojca na syna, z matki na córkę.

— Tak, to powszechny obyczaj. Masz rację. To był sprytny wybór. Można było zrzucić winę na tę nietutejszą, bo nikt za nią nie mógł zaręczyć ani jej obronić.

— A po zwolnieniu poszła w świat i słuch o niej zaginął.

— Mam dla nas dwa tematy do rozmyślań — zapowiedział Jan. — Pierwszy, do kogo wyślemy telegramy. Na pewno do przeoryszy, zastanawiam się tylko, o co ją zapytać, co ona może wiedzieć.

— A drugi temat?

— To będzie zabawa w „co by było, gdyby”.

— Nie lubię tej zabawy.

— Wiem, mój drogi, a temat też ci się nie spodoba. Przeanalizowaliśmy postać Marii jako morderczyni i przyznasz sam, że to były rozważania... owocne.

— Zbyt owocne.

— Teraz zrobimy to samo z Franciszkiem.

— On by nie mógł skrzywdzić...

— Nie dalej jak kwadrans temu tak samo się zarzekałeś w sprawie Marii. Ja nie mówię, że on zabił Zosię. Nawet nie mówię, że go podejrzewam. Chodzi o to, że zlekceważyliśmy służbę. I to był błąd. Wystarczyło przyjrzeć się Marii i sam widziałeś, co znaleźliśmy. Nie możemy drugi raz dopuścić do takiego zaniedbania. Po prostu pomyśl i porównamy wnioski — spojrział na smutnego Mateusza.

— Idź już na dół. Zaraz do was dołączę. Zostaw swoją torbę, przyniosę ją.

Mateusz wyszedł. Jan sięgnął do szkatułki zamordowanej dziewczyny, wyjął z niej pamiętnik i kilka innych przedmiotów i schował je do torby. W górnym holu odpowiedział na uśmiech matki Tadeusza. Chciał powiedzieć jej coś miłego, ale z dołu dobiegł go głos, za którym zaczynał już tęsknić:

— Ja też się z nią witam.

Spojrział na stojącą na dole Julię i się zarumienił. Zatrzymał się u szczytu schodów i przyglądał portretowi, który tak go przyciągał. Tymczasem dołączyła do niego obecna pani domu, która także w niewytłumaczalny sposób fascynowała Jana. Coś go pchało, aby pochylić głowę w jej stronę. Może to zapach — taki jak wtedy, w ogrodzie na Sycylii, z Konstancją. Zacisnął zęby, zacisnął oczy. Niebezpieczeństwo minęło.

— Jest w niej coś — powiedział, patrząc na portret.

— Coś mądrego i dobrego.

Uśmiechnął się. Po chwili zgodnego milczenia Julia się zwierzyła:

— Wybrałam ją sobie na mamę. Moja zmarła, gdy miałam cztery dni, więc teraz ona ją zastępuje.

— Piękny pomysł. Ludzie adoptują dzieci, pani adoptowała matkę. Żałuję, że wcześniej na to nie wpadłem.

— Wszystko przed panem. Tak mądrze patrzy — dodała, przechylając głowę. — Jakby wszystko wiedziała, wszystko rozumiała.

— Bo ona wszystko wie. A jeśli odkryje pani sekret, jak z nią nawiązać kontakt, to może podpowie mi coś o mordercy Zosi.

— Na pewno wie, kto zabił jej wnuczkę.

Jan po raz pierwszy uświadomił sobie, że Zosia była wnuczką pięknej pani.

— Słyszałam, że pan jedzie do miasta.

— Tak. Wbrew życzeniu Tadeusza, który uważa taki wyjazd za zbyt niebezpieczny.

— Wszystko będzie dobrze.

— Proszę to powiedzieć jemu.

— Miałam zły sen — niespodziewanie wyszeptała łamiącym się głosem Julia. — Powódź. Cały pałac zalany. Woda była taka brudna. Mętna. Jak błoto. Jak bagno, które wszystko pochłania.

— O kogo się pani martwi?

— Mam złe przeczucia.

Objęła się ramionami i nie zwracając więcej uwagi na Jana, ruszyła w stronę buduaru.

— Czy Tadeusz jest u siebie?

— Tak, wychodził gdzieś, ale został zatrzymany.

— Nie będę mu przeszkadzał. Pożegna go pani ode mnie?

Nie odpowiedziała na jego pytanie.

— Jak wychodziłam z gabinetu, to wchodził Karol.

\*

W holu czekał na Jana Witek z dwiema kopertami.

— Pan Tarnowski prosił, abym to panu oddał, zanim pan wyjedzie. Do aptekarza i tego tam na pocztę.

To w sprawie morderstwa? — dodał konspiracyjnym szeptem.

— Tak, bez tych listów polecających nie chcieliby ze mną rozmawiać.

— Do aptekarza to chyba lepiej, żeby pani Maria napisała. Dobrze się znają, bo przecież to od niego przysłała ta dziewczyna, co to ją potem wyrzucili.

Jan czuł łomot serca i wpatrywał się w chłopaka z taką intensywnością, że zachwycony tym zainteresowaniem Witek paplał dalej.

— I pani Maria zatrudniła tę dziewczynę, bo ona przysłała z listem. Od aptekarza. Wiem, bo sam ją wpuszczałem. Od razu powiedziała, że chce rozmawiać z panią Marią i że ma list. A jak go zanośliem, to widziałem, że od aptekarza. Po piśmie poznałem. No i ta Róża została. Ale krótko.

---

[11] Kulturkampf (niem. walka o kulturę) — działania rządu Cesarstwa Niemieckiego w latach 1871–1878 mające na celu ograniczenie wpływów Kościoła katolickiego i podporządkowanie go państwu. Na ziemiach polskich prowadzone równocześnie z germanizacją. Zainicjowane przez kanclerza Ottona von Bismarcka.

[12] Towarzystwo Tomasza Zana — tajne stowarzyszenie gimnazjalne, którego zadaniem było krzewienie ducha patriotycznego przez poznawanie literatury i historii ojczystej.

Już widzieli zabudowania miasteczka. Domy różnej wielkości przycupnęły po obu stronach drogi, natomiast budynki gospodarcze stały w drugiej linii i wzdłuż nich biegły tzw. *latówki*, jak je nazwał Józek, czyli letnie dojazdy do folwarków.

Podróż okazała się niezła. Jak okiem sięgnąć wszystko było białe i obłe. Wiatr wiejący podczas śnieżycy potworzył w niektórych miejscach ogromne zasy. Wszędzie było pusto i cicho, świat ludzi i zwierząt zamarł.

Dotarli na miejsce tylko dzięki Józkowi. Jan powiedział mu to, gdy się zatrzymali tuż przed miasteczkiem i poczęstował swoich kompanów stawką z piersiówki. Józek wyjaśnił, że orientuje się w terenie po charakterystycznych drzewach, stodołach, świętych figurach, krzyżach przydrożnych, a w lesie po szałasach.

— Dojechaliśmy nawet szybciej niż do landrata, bo tę drogę znam lepiej.

Jan miał już gotowy plan: po zakwaterowaniu w zajęździe Józek z Mateuszem zaczną jeść sami obiad, a on później do nich dołączy. Później, czyli po spotkaniu z Weichertem.

Na ulicy wioski z zadęciem, według określenia Tarnowskiego, widzieli tylko kilka osób, Józek kiwnął raz lub dwa razy ręką jakimś znajomym. Zmierzali w kierunku zajazdu, gdy Mateusz kaszlem przywołał uwagę Jana i wskazał na budynek na rogu: apteka.

Zatrzymali się przed zajazdem i zsiadli z koni. Był to stary budynek, z niewielkimi okienkami, parterowy, bardzo rozległy, z olbrzymią połacią dachu krytego gontem. Jan ruszył do wejścia, ale Józek go zatrzymał.

— Pan pozwoli, pójdę pierwszy i uprzedzę oberżystę Macieja, że będzie miał gości. Zdarza mu się burczeć.

— Idź, ty wiesz najlepiej, jak to załatwić.

Józek otworzył jedno skrzydło gigantycznych dębowych drzwi i zniknął we wnętrzu.

— Słuchaj, bo on zaraz wróci. Muszę go zatrzymać w oberży. Już to przemyślałem w drodze. Obiad.

— Wskażą pokój, ja i on zejdziemy, zaczniemy jeść, a pan zniknie — myśli Mateusza biegły tym samym torem. — Mam nadzieję, że jest boczne wyjście.

— To będzie mój problem. Zadanie dla ciebie: dowiedzieć się jak najwięcej o Waławie.

— I drugiej narzeczonej?

— I czy ma problemy finansowe.

— Dalej pewnie Maria.

— Jej związek z aptekarzem.

— Idzie.

— Jak tam? — Jan zwrócił się do Józka. — Da się przenocować?

— Dużo ludzi, ale najlepsza izba została. Czeka ją.

— Miałeś problemy? — spytał Jan, z trudem naciskając monstrualną klamkę.

— Był niechętny, jak to on, dopiero jak żem powiedział, że to od pana Tarnowskiego, to zmienił gadkę.

Gdy próbowali, mimo ciemności panujących w sieni, otrzepać się ze śniegu, drzwi prowadzące do

główniej izby otworzyły się i wkroczył mężczyzna, którego gabaryty były proporcjonalne do wielkości lokalu.

Olbrzym miał rozwichrzone bokobrody i łysą czaszkę. Odezwał się tubalnym głosem:

— Witam szanownego pana. Nie spodziewaliśmy się, że w taki czas ktoś się tu zjawi.

Otworzył przed nimi wejście. Punkt główny wielkiej i niskiej sali stanowił murowany kontuar, za którym stała Maciejowa, co Jan wywnioskował z jej pewnej siebie miny. Wszystko tu było jak w podróży Guliwera: nie tylko budynek i gospodarze. Gigantyczny był kominek, mogący swobodnie pomieścić wołu, a żyrandol przerobiono chyba z młyńskiego koła. Jan, nigdy nieuważający się za liliputa, poczuł się naprawdę mały.

Wewnątrz było sporo ludzi, miejscowych i przyjezdnych zatrzymanych przez śnieżycę, którzy umilali sobie czas grą w karty i kości, oraz oczywiście piwem. Trudno było określić bliżej skład towarzystwa, bo izbę wypełniały kłęby dymu, pochodzącego z palonych fajek i papierosów.

Po wejściu Jana zapanowała cisza, ale gdy zauważono Józka, zebrani powrócili do przerwanych rozrywek.

— Baliśmy się, że nie będzie dla nas miejsca — zagadnął Macieja Jan, gdy szli w kierunku szynkwasu.

— Udało się ocalić najlepszy pokój.

— Przecie nie wpuszcze tych łapserdaków do najlepszej izby — odezwała się jejmość o posturze niewiele ustępującej oberżycie. — Pluskiew bym się do końca świata nie pozbyła.

Miała ciemne tłuste włosy związane z tyłu głowy i niezbyt czysty fartuch na czerwonej sukni. A do tego w uszach największe kolczyki, jakie Jan kiedykolwiek widział. Stali bywalcy byli chyba przyzwyczajeni do sposobu wypowiedzania się pani Maciejowej, bo wybuchnęli śmiechem zaraz po tym, jak nazwała ich zapluskwionymi łapserdakami. Maciej skarcił swoją połowicę.

— Nie gadaj, stara, nie gadaj. Zajmij się obiadem dla wielmożnego pana.

— Chętnie coś zjemy.

— Niestety, nie mogę zaproponować nic wyszukanego, mamy dzisiaj same proste potrawy. Wstawię do pana pokoju stół.

— Nie ma potrzeby, zjemy razem, tu.

— Wedle życzenia. Pokażę panu pokój.

Ruszyli do sieni.

Komunikacja z poddaszem rozwiązana była nietypowo. Zamiast schodów prowadzących na górę z głównego pomieszczenia klatkę schodową umieszczono w sieni, dzięki czemu pozostawała niewidoczna dla biesiadujących. Mogło to być niekorzystne dla właścicieli zajazdu, ale dla Jana stanowiło prawdziwy uśmiech losu. Weszli po schodach do górnego korytarza, tylko trochę mniej mrocznego niż dolna sień. Maciej otworzył jedno z drzwi.

— Skromnie tu, ale to najlepsze, co mamy.

— Całkowicie nam wystarczy.

— Służący może spać na sienniku na podłodze, a Józek na ławce na dole.

Jan rozejrzał się po pokoju, większym niż niejedna wiejska chata, a łóżko, sądząc po rozmiarach, wykonano chyba na specjalne zamówienie jako małżeńskie łożo Maciejów.

— Łóżko pomieściłoby trzy osoby. Ja i mój służący, będziemy na nim spali, a Józkiowi proszę przygotować siennik na podłodze.

— Ale...

— Ja i Mateusz na łóżku, Józek na sienniku.

— Mi wystarczy ławka na dole — wtrącił się Józek.

— Ale mi nie.

Janowi zależało, żeby i fornał, i oberżysta zdawali sobie sprawę, kto rządzi. Maciej szybko to zrozumiał.

— Oczywiście, wielmożny pan decyduje.

Skoro uzgodniono kompetencje i Jan demokratycznie wybrał się na kierownika wycieczki, przeszedł, w ramach rekompensaty, do najmilszego z tematów:

— Kiedy moglibyśmy coś zjeść?

— Ot choćby od razu.

— Doskonale. Idźcie, ja dołączę do was, jak tylko napiszę list.

Skinęli głowami i wyszli z Maciejem. Jan odczekał chwilę, po czym wybiegł na korytarz.

— Mateuszu, gdzie pióro?

— Już idę. Jestem pewien, że je spakowałem.

Morawski powtórzył zaszokowanemu Mateuszowi słowa Witka o zatrudnieniu w pałacu służącej przysłanej przez Weicherta.

— Naprowadzaj rozmowę na aptekarza i na służącą — po cichu wydawał polecenia Jan. — I na Wacława. I Marię. Ale dopóki jest Józek, nie wpytuj za mocno. Tu masz pieniądze. Zorientuj się, kto jest najbardziej wygadany — powyciągasz go na zwierzenia wieczorem. Idź.

Mateusz wyszedł. Jan wyciągnął pakiet z lekami Zosi i listy polecające, po czym cicho opuścił pokój.

\*

Apteka była całkowitym przeciwieństwem zajazdu: jasna, czysta, lśniąca. Przypominała laboratorium, które Jan kiedyś oglądał na Sorbonie. Nowoczesna i elegancka, pasowałaby może w Poznaniu, ale na pewno nie tu. W całym pomieszczeniu wyczuwalny był zapach ziół i lekarstw. W głębi apteki Jan zobaczył drzwi z napisem *herbarium*, i drugie, lekko uchylone — *officina*. Stamtąd wyszedł mężczyzna, który pasował do tej apteki, tak jak Maciej do Gościńca Pod Psem.

Aptekarz był wręcz zbyt wymuskany, zbyt gładko wygolony i zbyt równo uczesany. Do tego miał przedziałek pośrodku głowy i wypomadowane wąsy, spod których wychylały się wystające siekacze. Cały w uśmiechach i ukłonach, i powitaniach.

— Dzień dobry, szukam pana Weicherta.

— Właśnie go pan znalazł.

Następny ukłon i następny uśmiech. Jan podał mu list od Tadeusza i przeszli na zaplecze.

— Rozumiem z listu pana Tarnowskiego, że chciałby pan uzyskać informacje o lekach przygotowywanych dla panny Rusieckiej? — aptekarz sięgnął do szafy z samymi szufladkami.

— Prowadzi pan kartoteki?

Weichert się ukłonił, a Jan aż zagwizdał z podziwu.

— Nie wiem, czy widywałem taką organizację w Poznaniu.

Zachwycony aptekarz odsłonił królicze jedyńki.

— Proszę spojrzeć, pod literą R: Zofia Rusiecka: proszek nasenny, składniki, zaordynował dr Muchowiecki, dozowanie: doraźnie.

— A te daty? W tych dniach proszek był sporządzany? I za każdym razem zapisujecie? Jestem pod wrażeniem.

To że Weichert był podejrzany, a poza tym śliski i ugrzeczniony, nie zmieniało faktu, że aptekę zorganizował i prowadził profesjonalnie. Morawski sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął stosik małych kopert spiętych papierowym paskiem.

— Przywiozłem na wszelki wypadek pakiet tych proszków, to czysta formalność, ale gdyby zechciał pan rzucić okiem...

— Tak, pochodzą ode mnie. To pismo mojej szanownej małżonki.

Widać było, że jest ogromnie dumny. Z czułością gładził palcem napis na pierwszej dawce. Jan wyczuł słabość i błyskawicznie ją wykorzystał.

— Tak myślałem, że to pana żona znakowała ten pakiet — od razu widać, że to charakter pisma osoby na najwyższym poziomie.

Weichert prawie pękł.

— Opaska nie pochodzi ode mnie — oprzytomniał.

— Zgadza się, tamta się rozerwała i została zastąpiona — sprawdził czujność aptekarza Jan. — Pan Tarnowski wspominał mi, że ostatnie opakowanie zostało odebrane przez młodego Rusieckiego dwa dni temu.

— Tak, tuż przed śnieżycą. Był tu razem z szanownym panem Bonikowskim, swoim przyszłym szwagrem.

Weichert na samą wzmiankę o pośle aż się rozpromienił i od razu odłonił kolejną piętę Achillesa. Poza dumą z żony i apteki był snobem — uwielbiał swoich utytułowanych lub co najmniej bogatych klientów.

— To chyba wyjątkowa sytuacja, że Karol tu przyjechał, bo najczęściej leki odbiera pani Maria, zarządzająca domem Tarnowskich, prawda?

Pierwszy raz padło w tej rozmowie imię Marii, a Weichert, zamiast ją skomplementować, spłoszył się i zaprzeczył:

— Czy najczęściej? Niekoniecznie. Często mój pomocnik dostarcza medykamenty do pałacu.

— Dobrze się złożyło, że pan Wacław tu był, bo Karol bał się, czy zdąży wrócić przed śnieżycą, a wtedy siostra zostałaby bez leków.

— Tak, bez nich miała kłopoty ze snem — odprężył się Weichert. — Właściwie to nie powinienem tego zdradzać, ale skoro pan Tarnowski określił pana jako swego najbliższego przyjaciela...

— Proszę się nie obawiać, Tadeusz jest dla mnie jak rodzina. Poza tym znam trochę temat proszków panny Zosi, od pani Marii właśnie.

Aptekarz znowu się napiął — tym razem Jan już był pewny, że to imię Marii wywołuje taką reakcję. Weichert złożył starannie pakiety Zosi i podał je Janowi. Poczęstował go nerwowym uśmiechem i wrócił do poprzedniego tematu.

— Panienska brała chyba codziennie lekarstwo, bo i częściej ostatnio zamawiali, i nawet pan Karol dwa dni temu liczył, na jak długo wystarczy.

Gość oglądał pod światło butle wypełnione różnokolorowymi płynami.

— Wciąż nie mogę wyjść z podziwu nad pana apteką. To jest poziom europejski! Pan miał okazję, żeby podpatrywać najlepsze wzory, prawda? Słyszałem u Tarnowskich, że działa pan tu dopiero od kilku lat. A Tadeusz wspominał, że z poprzedniego miejsca datuje się pana znajomość z Marią.

Weichert kilkakrotnie przełknął ślinę i chyba wymyślił, jak wybrnąć z sytuacji, bo na twarz wypłynął mu uśmiech olśnienia.

— Wie pan, ta moja znajomość z panią Marią...

— Nie powinienem o tym wspominać, przepraszam pana bardzo, nie...

— Skądże znowu, tu nie ma o czym wspominać. Powiem jak mężczyzna mężczyźnie — nie jestem do końca przekonany, czy ją spotkałem.

— A ja myślałem, to znaczy ona mówiła...

— Tak wiem, mi też mówiła, ale ja sobie nie przypominam, a przecież nie powiem jej, że nie pamiętam.

Jan uśmiechnął się porozumiewawczo, a aptekarz, pełen podziwu dla własnej pomysłowości tłumaczył dalej:

— Przy paniach czasami trzeba trochę pooszukiwać. — Zachichotał. — Aczkolwiek nie posunąłbym się tak daleko jak wspomniany tu pan Bonikowski.

— A co on takiego zrobił?

— Ale nikomu?

— Będę milczał jak grób.

Weichert usiadł na brzegu biurka.

— Słyszał pan o gorsetach dla mężczyzn?

— Zdaje się, że widziałem gdzieś ogłoszenie, ale nie przypuszczałem, że tutaj ktokolwiek byłby zainteresowany czymś takim.

Aptekarz popatrzył na Jana znacząco.

— Sprowadziłem specjalnie dla niego. Najdroższy model. Bardzo wyszczuplający. — Tu farmaceuta zademonstrował na sobie jak bardzo wyszczuplający.

— Bonikowski zamówił?

— Tak, akurat przesyłka doszła w dniu śnieżycy. Zaprosiłem pana posła, aby odebrał to na zapleczu. Wie pan — nie chciałem, żeby się krępował.

— Cóż w tym dziwnego, że chce się podobać — skoro Weichert unikał tematu Marii, Jan zdecydował powyciągać go na plotki o innych. — W końcu chodzi nie tylko o Zosię, ale także o pannę Klotyldę.

— To pan wie? I pan Tarnowski także?

Aptekarz był zachwycony, już dawno nie trafił mu się taki rozmówca.

— Takie wieści szybko się rozchodzą.

— To prawda, ale żeby tak postępować? Wobec takiej panienki jak panna Zosia? — Cmoknął z dezaprobatą. Najwyraźniej aptekarz miał swoje zasady. — I to dla pieniędzy. A gdzie tu miłość? Gdzie uczucie?

— Czy jest na to miejsce w obecnym świecie? — rzucił Jan niezobowiązująco. — Pieniądze, jak to mówią, szczęścia nie dają, ale za to pozwalają być wygodnie nieszczęśliwym. A Wacław trochę ostatnio stracił...

— Trochę? — wykrztusił Weichert. — Przecież stoi na skraju bankructwa! Te jego pomysły, inwestycje! Co rok nowy rządca z nowym genialnym wynalazkiem. Ciekawe, jak poseł z tego wybrnie. Przecież kiedy w końcu przestanie oszukiwać i zerwie zaręczyny z panną Zosią, to i tak będzie związany z nią przez małżeństwo swojej siostry z panem Karolem. Ten to zgarbiec... Posag Bonikowskiej to mała fortuna. I do tego połowa olbrzymiego majątku Tarnowskich. Co najmniej połowa. Szczęściarz.

Jan nie odpowiedział, bo nagle zaburczało mu w brzuchu.

— Przepraszam, nie jadłem obiadu.

— Powinien pan coś zjeść.

— Czekają na mnie z posiłkiem. Pożegnaj się zatem. Bardzo panu dziękuję za rozmowę i jeszcze raz gratuluję wspaniałej apteki.

— Sługa uniżony.

— Jeszcze jedno. Oczywiście posiada pan morfinę?

— Tak, ale nie mogę...

— Nie chciałem kupić. Chciałem tylko wiedzieć, czy nie zginęła panu ostatnio.

Aptekarz pokręcił przecząco głową i odpowiedział bez wahania.

— Nie. Tego typu środki są zamknięte i regularnie weryfikują ich ilość.

— Rozumiem.

— Zresztą mogę to sprawdzić nawet teraz, przy panu.

Wrócili na zaplecze, gdyż tam, zgodnie z wyjaśnieniem farmaceuty, w specjalnej szafce zamykanej na klucz, przechowywał on morfinę. Wyciągnął pęk kluczy, wybrał odpowiedni i otworzył szafkę. Sprawdzał flakony z ilością wpisaną do rejestru, a w tym czasie jego ciekawski gość zaglądał mu przez ramię i zobaczył coś, czego absolutnie się nie spodziewał. Na dolnej półce leżała paczka zawinięta w papier i sznurek identyczne jak te znalezione w skrytce w pokoju Zosi. Weichert zamykał sejf, a Jan błyskawicznie się odsunął.

— Wszystko jest zgodne, nic nie zniknęło.

— Doskonale. Jeszcze raz panu dziękuję.

Jan wyszedł, czując, że przegapił jakiś bardzo ważny ślad.

Pospieszył do małego biura agencji pocztowej. Wewnątrz siedział człowiek bez wyrazu. Jan przywitał się po niemiecku, gdyż był to język obowiązujący w administracji.

— Dzień dobry, panie poczmistrzu. Mam uprzejmą prośbę o wysłanie depechy.

Mężczyzna nie reagował, więc Jan sięgnął po kartę atutową.

— Byłbym zapomniał, to dla pana.

I podał list Tadeusza. Indywiduum wzięło list i czytało. Jan w tym czasie wypisał treść telegramu.

— Tylko te trzy zdania i podpis pana Tarnowskiego, gdyby był pan tak uprzejmy.

Skinięcie głową.

— Adresat: zakład naukowo-wychowawczy Sacre Cœur we Lwowie, siostra przełożona Bernadetta. Sprawa bardzo pilna, mieszkam w zajeździe i czekam na odpowiedź.

Jan zapłacił, zostawił ogromny napiwek i się pożegnał. Pierwszy raz załatwił sprawę na poczcie, nie wiedząc, czy urzędnik umie mówić.

W zajeździe zobaczył Mateusza siedzącego samotnie przy stole. Niewiele się zmieniło, chociaż atmosfera była bardziej senna, nawet dym się trochę przerzedził i nie wyciskał już łez z oczu. Jan nigdzie nie dostrzegł Józka.

— Poszedł sprawdzić, co z końmi — poinformował go Mateusz. — Długo pana nie było.

— Byłem w aptece i na poczcie. Co się stało?

Mateusz aż sapał ze zdenerwowania.

— Przy tym ponuraku nie można się niczego dowiedzieć. Sam nic nie powie, a przy nim nikt nie chce się odezwać. Przez cały ten czas nie ustaliłem niczego nowego.

— Wieczorem zostaniesz tu, a ja pójdę na górę, bo przy mnie też się niczego nie dowiesz. Może chociaż namierzyłeś jakiegoś gadułę?

— Dwóch i mam propozycję, co zrobić z naszym towarzyszem.

— Już się zgadzam. Znam tę twoją minę. Czuję, że masz podstępny pomysł.

— Damy mu proszek nasenny panienci. Bo na pewno je pan zabrał, żeby sprawdzić u aptekarza?

Jan nie był w stanie wyrazić swego zachwytu słowami, za to wybuchnął takim śmiechem, że w karczmie ucichły rozmowy. Wszyscy patrzyli na gościa, ponoć pierwszej kategorii, człowieka z gestem i fantazją, który do tego potrafił się tak gromko śmiać.

— Jesteś nieoceniony — Jan ocierał łzy. — Dobry Boże. Co za koncept!

— Czy to oznacza, że pan się zgadza?

— Jasne, że się zgadzam. W piekle będziemy siedzieć w sąsiednich kotłach.

— Grunt to dobre towarzystwo...

Do stołu zbliżył się Józek i uklonił Janowi.

— Już się zaczynaliśmy z panem Mateuszem martwić.

— Wszystko dobrze, byłem się przejść. Te dwa dni w zamknięciu w pałacu mnie zmęczyły, nie jestem przyzwyczajony do takiego bezruchu.

— Święte słowa. Ja też wolę otwartą przestrzeń.

— A ja lubię przestrzeń, ale żeby nie była zanadto otwarta — zwierzył się Mateusz.

— Siadaj, Józku.

— Poczekam tam na ławie.

Jan nie zamierzał ustąpić i fernal usiadł, aczkolwiek był zakłopotany. W tym momencie podszedł do ich stołu oberżysta.

— Jedliście już? — upewnił się Jan.

— Tak — potwierdził Mateusz. — Zamówiłem dla pana kaczkę, powinna być lada chwila gotowa.

— Wspaniale, ale jestem tak głodny, że zjadłbym coś już teraz. Zdaję się całkowicie na was —



zwrócił się do oberżysty.

— Boczek wędzony i kiełbasa? I kiszone ogórki?

— A może mimo wszystko coś ciepłego? — włączył się Mateusz. — Mają pyszny *eintopf*.

— Zupa z wkładką! — przypomniał sobie dzieciństwo Jan. — Od stu lat tego nie jadłem. Proszę o *eintopf*.

— I piwo waszej żony — rozchmurzył się wreszcie Mateusz.

— Trzy.

Jan chciał, aby wypili razem, ale Józek zaczął się wymigiwać:

— Dla mnie nie potrzeba, jaśnie panie.

— Oczywiście, że potrzeba. Wiem, że się mnie krępujesz. Ale chodzisz na polowania, to wiesz, że na takich wyprawach obowiązują inne prawa niż w pałacu. — Nie zważając na protesty chłopaka, zwrócił się ponownie do karczmarza: — Trzy piwa waszej żony. A właściwie pięć.

Gdy czekali na powrót oberżysty, Jan dyskretnie sięgnął do kieszeni płaszcza i z pakietu środków nasennych wyjął dwie dawki. Tymczasem wrócił Maciej, niosąc pięć piw, a za nim szła żona z miską zupy.

— Trzy dla nas.

Od razu spróbował. Piwo było doskonałe.

— A te dwa?

— Jedno dla was, jedno dla żony. I pijemy jej zdrowie, bo piwo jest wyśmienite.

Początkowo Maciejowie byli zaskoczeni. Pierwsza oprzytomniała ona — roześmiała się na cały głos i wzięła jedno z dwóch piw. Maciej sięgnął po ostatnie i się uklonił:

— Dziękujemy.

Jan zafascynowany patrzył, jak Maciejowa duszkiem opróżniła całą szklanicę. Maciej ruszył w stronę rusztu, a ona rzuciła Janowi prawie kokietyjne spojrzenie i wróciła za kontuar. Jan zjadł trochę zupy tak gęstej, że można było postawić w niej łyżkę. Dostrzegł marchew i pasternak, sporo fasoli i przede wszystkim kapustę. Oczywiście mięso — chyba żeberka. Przerwał na moment jedzenie i zaczął obmacywać swe okrycie, które przewiesił przez oparcie sąsiedniego krzesła.

— Chyba przemoczyłem płaszcz na tym śniegu.

Zgodnie z przewidywaniami, Józek od razu się poderwał.

— Może powieszę przy kominie? Migiem wyschnie.

— Świetny pomysł. Dziękuję.

Józek chwycił okrycie i odszedł.

Jan wsypał w tym czasie dwie dawki proszku nasennego do piwa fornała.

\*

Jeszcze przez chwilę próbował zignorować hałas i zasnąć, ale w końcu się poddał. Wstał i rozejrzał się po najlepszej izbie w Gościńcu Pod Psem.

Źródło hałasu nie musiał szukać. Były dwa. Osobisty służący i przyjaciel Jana leżący w ubraniu na łóżku oraz Józek na sienniku przy kominku. Chrapanie brzmiało właściwie identycznie, aczkolwiek każdy z mężczyzn hałasował w innym rytmie.

W izbie było przeraźliwie zimno, tak zimno, że Jan zrezygnował z golenia. Początkowo chciał przemóc własną słabość, gdyż zgadzał się ze stwierdzeniem, że myśli człowieka ogolonego są sto razy lepsze niż nieogolonego. Jednak gdy stwierdził, że woda w misce zamarzała i żeby umyć zęby musiał rozbić lód na powierzchni, doszedł do wniosku, że dla odmiany może poznać myśli człowieka z jednodniowym zarostem.

Szybko się ubrał i wyszedł do mrocznej sieni. Po omacku odnalazł schody i udało mu się zejść na dół.

Wszedł do izby. Gości było mniej niż wczoraj, zostali chyba tylko przyjezdni. Spali na ławach lub na prowizorycznie przygotowanych legowiskach na podłodze. Jan nie dostrzegł gospodarza, natomiast za kontuarem siedziała Maciejowa. Sądząc po odgłosach, zliczała wczorajszy utarg. Jan miał nadzieję, że zarobek był niezły, bo chciał wyciągnąć oberżystkę na plotki i zależało mu na jej dobrym nastroju.

— Dzień dobry, kogo ja widzę?

— A dobry, dobry.

Dostrzegł zręczny ruch ręki chowającej sakiewkę pod ladę, lecz udał, że niczego nie zauważył.

— Pani na nogach już tak z rana?

— Czy się chce czy nie — podnieść się trzeba. Robota się sama nie robi.

— A mąż?

— Próbuje się zwlec.

Jan oparł się o kontuar i przyglądał, jak Maciejowa odstawia naczynia na półki. Ubrana była tak samo jak wczoraj, z tą tylko różnicą, że fartuch był brudniejszy. Poprawiała coś pod płytą pieca.

— Zawsze tu tak wesoło jak wczoraj?

Wyprostowała się i podparła pod boki.

— Przecie to ten pana służący ich tak wszystkich spoił — rzekła z udawanym wyrzutem.

— Mój służący?

Maciejowej wyraźnie odpowiadała ta gra.

— Niby taki, co to do trzech nie umie zliczyć, a wlać w siebie, to nie wiem, ile wlał. I w innych też. Mój stary to do teraz ani ręką, ani nogą.

— Niech się Maciejowa nie martwi, za wszystko zapłacę.

— A czy ja się martwie? Zresztą on zapłacił. Za siebie i za te kolejki, co to innym fondował.

— A to szelma. Pewnie miała pani z nim kłopoty?

Roześmiała się i to bez typowej dla siebie zgryźliwości. Odłożyła pogrzebacz, a na płycie ustawiła wielki gar, chyba z kapustą.

— Są takie, co to jak się spiją, to robią burdy i od razu do noża, a Mateusz na wesoło. I jeszcze innych wciągnął. Dawno tu nie było takiej zabawy. — Zamieszała w garze. — A te listy, co to pan pisał?

— Teraz czekam na depeszę.

— Jak stary przyjdzie, to go pošlem na poczte, co by sprawdził. — Maciejowa skończyła wrzucać grzyby do zupy i zatroszczyła się o gościa. — A może by pan co zjadł? Śledzie mam i sosyski. I jaj mogle usmażyć.

— Chętnie, jestem bardzo głodny. A Maciejowa jadła?

— Jeszcze nie.

Pojawiła się szansa na rozmowę sam na sam z kobietą, która musiała siłą rzeczy wiedzieć wszystko, co się działo w okolicy i należało z tej okazji bezwzględnie skorzystać.

— A może zjadłaby Maciejowa ze mną śniadanie?

— A co bym miała nie zjeść, jak zaprasza.

— Zaprasza, zaprasza.

Chleb, który przyniosła oberżystka, to nie był bochenek, tylko bochen. Kroiła nie na blacie, lecz w powietrzu, używając do tego wielkiego noża. Bochen był okrągły, więc pokroiła go najpierw wzdłuż na trzy części, a dopiero te pasma na kromki. Podąła Janowi pajdę ze środka, całkowicie pozbawioną skórki.

— Wolałbym ze skórką. Jeśli nie jest potrzebna do czegoś innego.

— Niech sobie weźmie kawał, jaki sam chce. Ja dałam ośródkę, bo one z pałaców ino takie chcą. Pewno im się gryźć nie chce.

— Na pewno. Za leniwe — zażartował Jan, biorąc piętę.

Zamknął oczy i powąchał chleb — pachniał cudownie i był jeszcze lekko ciepły. Oderwał kawałek i

powoli żuł. Smakował tak samo, jak pachniał: domem i dobrobytem. Jan zrozumiał, dlaczego dla Tadeusza to jedyny smak, który nigdy mu się nie nudzi. Otworzył oczy i zorientował się, że Maciejowa przyglądała mu się z aprobatą podczas tej degustacji. Od pieca dolatywał nowy zapach — smażonego boczku.

Po chwili oberżystka przyniosła wielki rondel i postawiła go na stole. Wewnątrz był ów pachnący boczek, cebula i usmażone jajka — tuzin, może nawet mendel. Maciejowa odeszła, by po chwili wrócić z naczyniami: przed Janem postawiła ogromny talerz, który przetarła rękawem, zgodnie z zaleceniami nowej nauki zwanej higieną, natomiast dla siebie przyniosła zwykłą blaszaną miskę. Miski nie przecierała, bo nie dla niej takie nowomodne wymysły. Brakowało tylko najważniejszego elementu każdego posiłku. Podeszła do kontuaru i przyniosła dwie szklanice piwa. Już mogła usiąść.

I całe szczęście, bo zawartość rondla pachniała tak niebiańsko, że Jan bał się, iż lada chwila zacznie mu kapać na stół ślina.

Maciejowa wzięła jego talerz i nałożyła mu solidną porcję około trzeciej części zawartości. Chciał zaprotestować, że to zbyt wiele, ale się powstrzymał. Po pierwsze, mogłaby go uznać za mięczaka — co to za chłop, co nie potrafi zjeść pięciu jaj, skoro ona zaraz pochłonie dziesięć. Po drugie, nie było wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna okazja, żeby coś zjeść. Po trzecie, planował dłuższą pogawędkę, i chyba najważniejsze — okazało się, że śniadanie nie tylko wspaniale pachniało. Już po pierwszym łyku Jan stwierdził, że żaden wykwinny przysmak nie wytrzymałby porównania z tym prostym posiłkiem.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

— Byłem wczoraj w aptece.

— Jak chory, to niech mówi. Zaprowadzę do starej Bejmowej, ona poradzi.

— Dziękuję, będę pamiętał. To znaczy, że nie kupujecie w aptece?

— A czy to co dobrego? Takie wynalazki dobre dla państwa. Na te jeich migryny i globusy. Jak kto chory na co zwykłego, to wiadomo, do Bejmowej.

— Zdziwiłem się, że jest tu taka nowoczesna apteka. Jeżeli kupują u niego tylko mieszkańcy dworów, to z czego on żyje?

— A kto go tam wie. — Dopija swoje piwo. — Może ma jakie kapitały. Stary mówi, musi mieć, bo z czegoś płaci za te swoje rozjazdy.

— Podróżuje?

— On do Prusiech, niby po te medykamenta. Ta jego to też ciągle wybywa — do córy. Za kordon. Tera też tam jest, już będzie ze dwa tygodnie, jak pojechała, bo młoda zległa.

— Aptekarz wydaje się bardzo w żonie zakochany...

— A kto ich tam wie. — Maciejowa skończyła wycierać swoją miskę kawałkiem chleba, zajrzała do rondla i zamieszała w nim łyżką. — Ona to jest dopiero o niego zazdrosna. Żadna dziewczka tam nie chce być, bo od razu Weichertowa robi dzikie awantury. A umie je robić, bo to hekxa, jakich mało. — Raz to nawet przyjeli obcą, ale też była krótko.

— I co się stało?

— Ano poszła se. Szkoda jej. Grzeczna była.

Oberżystka znowu zajrzała do rondla, po czym rzuciła okiem na talerz Jana, który jeszcze nie skończył śniadania. Wahala się jednak, czy to wypada, żeby zjadła resztę na jego koszt.

— Wiecie co, Maciejowa? To, co mam, mi wystarczy, ale martwię się, żeby się reszta nie zmarnowała. Może dacie radę?

— Jak ma się zepsuć, to moge spróbować.

Jan sięgnął po kolejną piątkę chleba.

— Ja myślę, że żona powiedziała Weichertowi, że dziewczka co ukradła albo że jest śpiegiem z policji — ciągnęła oberżystka. — Dlatego ją wyrzucił.

— Myślicie, że on coś ukrywa przed policją?

— Mój stary słyszał, że Weichert musiał zamknąć stary skład<sup>[13]</sup> i wyjechać. Pono jego rodzony brat konspirował i go Prusaki złapały. A Weichert powiedział, że to nie jest już jego brat, skoro zdradził cysarza.

— Odciął się od własnego brata? — oburzył się Jan.

— Tak mówią.

— A co z bratem? — zapytał szeptem.

— Uciekł, jak go wywozili.

— Na szczęście.

— Święte słowa.

Maciejowa podeszła do beczki i dołała sobie swojego przysmaku. Na stojąco wypila połowę zawartości dzbana.

— Nie pije?

— Nie od rana. Mam kilka spraw do załatwienia i muszę mieć przytomną głowę. A piwo Maciejowej takie jest pyszne, że jak człowiek raz zacznie, to nie potrafi przestać. Więc ja wolę nie zaczynać.

Usiadła rozpromieniona, a Jan dalej ciągnął ją za język.

— To widzę po tej historii z aptekarzem, że macie tu więcej gorliwych poddanych, niż początkowo myślałem.

— A kogo ma na myśli?

— Tego posła. Pana Bonikowskiego.

— Pana? — plunęła pogardą. — A co to za pan? Przecie to nie chłop — nawet na koniu nie jeździ. Tam u nich to spodnie bardziej jego siostra, ta, wie pan, wysztafirowana, powinna nosić. O, to twarda sztuka. I sprytna. Brat jest jak baba — tylko by gadał. Ćwok jeden.

W drzwiach pojawił się Maciej. Miał przekrwione oczy, opuchniętą twarz i wyraźne problemy z poruszaniem się po linii prostej, ale jak na ofiarę talentu Mateusza i tak nie wyglądał źle. Nieważne na kacu czy trzeźwy, na swoją połowicę warczeć potrafił zawsze:

— Sama lepiej przestań gadać, pierduśnico ty.

— O, mądry się znalazł. Nie byłeś taki hardy rano, jak płakałeś, że podłoga się na ciebie przewraca.

— Ten pana Mateusz to ma czerep. Pił i pił, i nic mu nie było.

— Ale teraz leży jak martwy — pocieszył oberżystę Jan.

Maciejowa uznała, że wystarczy udzielania głosu poślubionemu przez nią pijakowi.

— Bonikowski, niby taki wykwintniś, a to zdrajca bez zasad.

— Stara, przestań plotować.

Na szczęście Maciejowa miała przewagę w wymowie nad mężem i nie zamierzała przestać:

— Plotować, plotować. Wszyscy się boita powiedziec panu Tarnowskiemu. A on dobry pan, ludzki, zawsze pomaga. I tak mu się wywdzięczacie. Nie chcesz powiedziec ty, to ja powiem — Bonikowski niby się żeni z panienką z Tarnowic, a jeździ do innej. A tamci go kuszą, bo ich młody puścił fortunę w jakimś tam badzie. I teraz muszą córę wydać za bogacza, a to niełatwe, bo brzydka jak noc zadusznna.

Maciej siedział naburmuszony i rzucał wściekłe spojrzenia na żonę. Maciejowa była bezcennym źródłem informacji, nie wiadomo, co prawda, czy wiarygodnym.

— Proszę się nie gniewać na żonę — łagodził Jan. — Nie zdradziła żadnego sekretu, a dzięki niej przynajmniej wiemy, o co chodzi. Pan Tarnowski będzie wam bardzo wdzięczny.

Jan zamierzał jeszcze coś dodać, ale drzwi się otworzyły i wszedł, powłócząc nogami, Mateusz.

— Ależ to pani piwo... Nie można przestać.

— Nie martw się, kochanieńki — przyniosę wody od ogórków, zara ci wszystko minie.

— Mi też — zgłosił się Maciej.

— Dla ciebie mam co innego — kuraki do zarznięcia.

Maciej ruszył potulnie w kierunku tylnego wyjścia. Jego połowica, mrużąc coś do siebie, szła tuż za

nim i od czasu do czasu go popychała. Zamknęła za nim drzwi i z wielką chochłą podeszła do kamionkowego gara stojącego przy kontuarze. Zdjęła kamlot, który służył jako ciężarek, i do przygotowanej szklancy wlała chochłą lekarstwo na kaca. Mateusz wypił od razu pół szklanki i przez moment miał dziwną minę, ale po chwili się rozchmurzył.

Gdy oberżystka odeszła, z głosu Mateusza zniknęło wahanie, zacinanie się i bełkotliwa melodia. Jan spytał cicho:

— Jak było?

— Pominę zbędne szczegóły.

— No chyba nie zamierzasz mnie pozbawiać barwnych opowieści o twoich pijackich ekscesach?

Wiesz, że zawsze podziwiałem twoją umiejętność upijania innych i pozostawiania samemu trzeźwym.

— Tym razem trafili mi się twardzi zawodnicy.

— Martwiłem się, że przez tę pogodę nie dotrą tu stali bywalcy i zabraknie ci rozmówców.

Mateusz otworzył jedno oko i wyjaśnił:

— Rozmówców znalazłem tylko dzięki tej pogodzie. Ponoć tu wszędzie działają te towarzystwa wstrzeźliwości czy jak tam to nazywają. Zaczęli księża, włączyły się gazety. Narobili hałasu, że karczmy to wylęgarnie zła, że pijaństwo wśród chłopów, że trzeba z tym walczyć. Maciej twierdził, że wczoraj przyszło tylu miejscowych tylko dzięki śnieżycy — wiedzą, że w taką pogodę proboszcz się nie pokaże.

— Mów, czego się dowiedziałeś, a jak będziesz jadł śniadanie, to ja ci opowiem o wczorajszej rozmowie z Weichertem.

— Poznałem jego pomocnika. Po piwie zrobił się rozmowny, nie umie pić. Naprowadzałem go na romanse Weicherta, ale chyba w tym nic nie ma. Ponoć aptekarz bardzo kocha żonę. Jej teraz nie ma, pojechała do córki do Królestwa.

— To samo mówiła Maciejowa, jak jedliśmy śniadanie.

— Zostało coś dla pana?

— Tylko dlatego, że nałożyłem sobie na początku.

Zaśmiali się cichutko obaj.

— Pytałem pomocnika, jak udaje się utrzymać tutaj tak nowoczesną aptekę, ale powiedział, że dostarczają leki do wielu nawet odległych dworów, bo znani są ze świetnego zaopatrzenia.

Maciejowa przyniosła śniadanie dla Mateusza. Sięgnęła po talerz nadal stojący przed Janem.

— Skończył?

— Skończył.

Zabrała talerz. Ku konsternacji obu mężczyzn przetarła naczynie rękawem, nałożyła solidną porcję mieszanki z rondla i postawiła przed Mateuszem. Przez chwilę wpatrywał się w talerz, ale w końcu wzruszył ramionami, sięgnął po łyżkę i zaczął jeść. Po jednym kęsie zjedzonym ostrożnie i z ociąganiem dotarł do niego wspaniały smak potrawy.

— Posłałam starego na pocztę wedle tej depeszy — poinformowała zadowolona oberżystka.

— Bardzo wam dziękuję. Pamiętajcie o wszystkim.

Patrzyli, jak odpływa ku garnkom.

— Próbowaliśmy nawiązać do Marii, sugerowałem, że może ona i aptekarz... Nie podjął tego. — Mateusz powąchał z wyraźną przyjemnością chleb i zjadł kawałek. — Tyle pomocnik. Dużo bardziej pikantne szczegóły podawał jeden z tych gadułów, które wybrałem na początku.

— Miejscowy?

— Fornal, ktoś w rodzaju prowodyra młodych, pracował w Niemczech.

— Skoro jesteśmy przy fornalach, jak tam Józek?

— Śpi. Jak zarżnięty — parsknął Mateusz. — Weichert musiał opuścić poprzednie miejsce. W grę wchodzi dwie przyczyny: podobno wyparł się brata, gdy się okazało, że ten brat zaangażował się w

konspirację i został złapany.

— Tak też mówiła Maciejowa — potwierdził ze smutkiem Jan.

— Druga wersja też niesprawdzona. Ponoć zmarła tam młoda dziewczyna — otruta.

Jana замуrowało.

— Niestety, nie żartuję. O otrucie podejrzewano Weichertę. Nawet go nie oskarżono, ale wystarczyła plotka, by ludzie przestali się u niego zaopatrywać.

— A z plotką nie da nie walczyć, bo nie wiesz, skąd się bierze.

Mateusz gryzł grubą pajdę chleba ze smalcem, a Jan opowiedział mu, czego się dowiedział w aptece. Usłyszawszy także rewelację Maciejowej, Mateusz chwilę szukał słów, odchrząknął i uściślił:

— On chce się z nią ożenić, bo myśli, że ona ma majątek. A ona chce za niego wyjść, bo myśli, że to on ma majątek. — Zmarszczył czoło, bo widocznie jego własna wypowiedź wydała mu się zagmatwana. — Taki cud przydarzy się jaśnie panu posłowi?

Jan wybuchnął śmiechem.

— Byłem na poczcie — przyczłapał Maciej. — Stara mówiła, że wielmożny pan czeka na pilną depeszę.

— Prosiłem urzędnika, żeby dał mi znać, jak tylko coś nadejdzie.

Maciej wyciągnął z kieszeni kartkę.

— Z tym nieużytkiem to się pan nie dogada, ale natarłem mu uszu i jak tylko przyjdzie coś jeszcze do pana, to przyleci ruk cuk. Moja w tym głowa.

— Bardzo wam dziękuję, Macieju. — Jan złożył telegram.

— Ale się zdziwi. — Mateusz wciąż marzył o przyszłości Bonikowskiego. — Myśli pan, że to się wyda przed ślubem czy dopiero...?

Przerwał, bo zobaczył wchodzącego Józka. Fornal trzymał się za głowę i lekko zataczał. Z trudem dowlóknął się do nich, oparł o stół i wybełkotał:

— Przepraszam. Nie wiem, co się stało. Tak długo nie śpię. I nic nie piłem. Poza tym piwem.

— Nie masz za co przeproszać, byłeś zmęczony. Siadaj — polecił Morawski, a do Mateusza rzucił: — Musimy wyjść, Mateuszu. Na pocztę. Maciejowa zajmie się śniadaniem Józka?

— A pewno, że się zajmę. A co on taki małotomny?

Jan zachwycił się określeniem stanu pośredniego między przytomnym a nieprzytomnym.

Fornal uniósł ciężką głowę.

— Ja nie będę jadł.

— Proszę go nie słuchać.

— Ja mam prośbę — zdobył się na wysiłek fornal. — Ja muszę wyjść, coś załatwić. Czy wolno?

— Oczywiście. Ale wrócisz?

— Tak, tak, muszę tylko coś odnieść do apteki.

— Dopiero po śniadaniu. — Jan pogroził palcem Józkowi.

Fornal wrócił do stołu, a Mateusz poszedł na górę po okrycia.

Tymczasem w sieni Jan wyciągnął z kieszeni telegram, ponownie go przeczytał i schował.

\*

— W życiu nie słyszałem czegoś tak uciesznego. To jest doprawdy zbyt wiele, nawet jak dla mnie. Taki przypadek powinien się nazywać bankructwo krzyżowe.

— Ładnie to tak się cieszyć cudzym nieszczęściem?

Teraz śmiali się oboje. Jan otworzył wrota oberży — były tak ogromne i ciężkie, że nazywanie ich drzwiami zakrawało na kpinę. Ruszyli wzdłuż karczmy przez podsien. Nagle z naprzeciwka pod zadaszenie wjechał pędem jeździec i zmierzał prosto na nich. Jan w ostatniej chwili odskoczył, ciągnąc

za sobą Mateusza, który w swojej wesołości nie zauważył konnego. Nowo przybyły albo ich nie dostrzegł, albo zupełnie zignorował, w każdym razie nawet się w ich stronę nie odwrócił. Zeskoczył z konia i wbiegł do zajazdu.

Mateusz właśnie zdał sobie sprawę, co im groziło. Z miejsca ruszył w kierunku gospody.

— Daj spokój, nie mamy czasu na burdy — złapał go za ubranie Morawski. — Później się nim zajmiesz.

Szli w stronę poczty, a Jan zwrócił uwagę, że ich radość może być przedwczesna.

— Nie zapominaj, że nasi przyjaciele z oberży z pewnością nie pałają miłością do Waclawa. Z łatwością mogą sobie wyobrazić, jak bardzo daje im się we znaki. Jestem pewien, że jest głównym motorem tego towarzystwa wstrzemięźliwości, o którym opowiadałeś, a które niszczy interesy oberży.

— Niech mi pan nie odbiera nadziei. Już widzę tę scenę, jak poseł odkrywa, że nie poślubił posagu.

— Mateuszu, ja cię nie poznaję. Przejąłeś część złośliwości Maciejowej?

— Może piwo było doprawione?

Ruszyli powoli dalej. Niepoprawny Mateusz gwizdał Wesele Figara! Jan zwolnił kroku i myślał na głos:

— Jeśli jest tak, jak mówiła oberżystka, to jedną z osób, które skorzystają na śmierci Zosi, jest druga narzeczona. Dobrze myślę?

— Tak by można powiedzieć.

— Więc może morderca, na przykład Maria, jest związany z rodziną tej drugiej narzeczonej. Strasznie naciągane. Przecież Maria była na miejscu, w pałacu. Ma tam takie wpływy, że byłaby w stanie bez problemu nie dopuścić do zaręczyn lub je później zerwać. Nie musiałyby się posuwać do morderstwa.

Z przeciwka nadchodziły dwie służące, a gdy ich minęły, zaczęły chichotać.

— Dowiedziałeś się czegoś o służącej? — skojarzył Jan.

— Próbowałem. Ktoś coś tam mówił, ale mało. Nie była stąd, popracowała trochę i ją zwolnili. Nikogo to nie zdziwiło, bo żadna służąca nie przepracowała w domu aptekarza ponoć dłużej niż miesiąc.

— Ciekawe, czemu Weichertowa jest taka zazdrosna?

— Może z natury? Może narozrabiał kiedyś i ona teraz woli dmuchać na zimne? Może sama go puszcza kantem, a wie pan, jak to jest: każdy sądzi według siebie.

— Powinni zatrudniać służącego mężczyznę.

Mateusz stanął i wpatrywał się zdumiony w Jana.

— Ależ właśnie to zrobili! — wykrzyknął. — Skąd pan wiedział?

Jan się cicho roześmiał i wszedł po dwóch stopniach na ganek małego budynku poczty. Przypomniał sobie zapewnienie Macieja, że popracował trochę nad urzędnikiem, i ciekawiło go, czy lekcja przyniosła oczekiwane rezultaty. Rzut oka na twarz pocztowca wystarczył za odpowiedź. Nie uśmiechał się — co to, to nie. Za to spojrzął na Jana.

— Dzień dobry, panie poczmistrzu.

— Dobry. Depesza dotarła?

Jan postanowił spytać Macieja o tajemnicę jego pedagogicznych sukcesów. Podziękował i dodał:

— Chciałbym wysłać jeszcze jedną.

Dostał papier, usiadł przy stole i pisał z namysłem tekst. Gdy treść depeszy była gotowa, urzędnik spojrzął, coś popisał na kartce i zażądał adresu.

— Panna Konstancja Radolińska, Bozen<sup>[14]</sup>.

Z tyłu dobiegło przeciągłe gwizdnięcie. Jan się odwrócił. Za nim stał Mateusz z najniewinniejszą na świecie miną człowieka, który po pierwsze nie podsłuchuje cudzych rozmów, po drugie nie komentuje spraw sercowych swojego pracodawcy, a po trzecie absolutnie nie umie gwizdać.

— Odpowiedź dostarczyć do gospody?

— Tak, a gdyby mnie tam już nie było, proszę pchnąć umyślnego do Tarnowic.

Skinął głową. Jan zapłacił, uklonił się i razem z Mateuszem wyszli.

— Jeszcze o tej służącej, nie wiesz, co się z nią stało po tym, jak Maria ją usunęła?

— Nikt nawet nie wiedział, że pracowała potem w pałacu.

— Maciejowa mi mówiła, że aptekarz nie chciał się zgodzić na zwolnienie dziewczyny, więc jego żona oskarżyła ją o coś, ale Maciejowa nie była pewna o co. O kradzież, ciążę, nawet o szpiegostwo.

— Może to ostatnie. Jeśli on, Polak, wyparł się rodzzonego brata, bo ten walczył o niepodległą ojczyznę, to mógł zatrudnić dziewczynę, która pracowała dla policji. Żona się dowiedziała, że to nie jest taka sobie zwykła służąca i zażądała jej usunięcia. A na to on się nie chciał zgodzić, bo być może to jego mocodawcy ją tu przysłali.

— W końcu ją jednak zwolnił.

Mateusz wysoko uniósł brew.

— Może Weichert zgodził się na wydalenie dziewczyny dla świętego spokoju. Nie mógł zostawić jej na łodzi, więc skierował ją do Marii, wiedząc, że ona przychyli się do prośby i przyjmie dziewczynę.

Zerwał się przeraźliwy wiatr. Udało im się schować na osłoniętym ganku składu z towarami żelaznymi, który wydawał się nieczynny. Stali tam we względnym spokoju i rozmawiali, czekając na koniec zamieci.

— Tu jest strasznie dużo wątpliwości i sprzeczności — pokręcił głową Jan.

Wiatr chwilowo się uspokoił, więc nie czekając na ponowne uderzenie, opuścili zaciszne schronienie i ruszyli w stronę zajazdu. Mateusz rozważał:

— Jeśli to on wysłał dziewczynę do Marii, to oskarżenie jego żony musiało być pretekstem. Przecież nie skierowałby tam złodziejki albo zdrajczyni.

— Chyba że sam jest zdrajcą. A poza tym czy nie dziwi cię ta przyjaźń między Marią a aptekarzem?

— Owszem.

— Człowiek podejrzewany o otrucie lub współdziałanie z zaborcą — nie wiem, co gorsze — przyjaźni się z kobietą znaną ze swoich zasad i prawości.

— Albo to o Weichertcie to plotki, albo Maria tylko udaje świętą.

— Albo ich rzekoma przyjaźń to bujda.

— Hm, nie można tego wykluczyć.

Stali w podsieni, wpatrując się w zadymkę.

— Jest też możliwość, że między nimi jest jakiś układ handlowy. Może jedna ze stron, ona lub on, nie działa dobrowolnie, lecz pod przymusem.

— Szantaż?

— Zastanawiam się, czy nie ma związku między ewentualnym oskarżeniem służącej o kradzież u Weichertów, a późniejszym zniknięciem leków Zosi w pałacu.

Weszli do gospody. Większość gości już wstała i zewsząd w stronę Mateusza leciały powitania, żarty i słowa podziwu. On wszystkim odpowiadał, słowami lub gestami, daleki bardzo od kamerdynerskiej sztywności. Jan nie pierwszy raz pomyślał, że Mateusz to prawdziwy Dr Jekyll i Mr Hyde.

— A dobrze, żeśta wrócili — ucieszył się Maciejowa. — Zara jak żeśta poszli, przyleciał tu taki jeden, gadał że z pałacu, od pana Tarnowskiego. Zobaczył tego waszego Józka i coś tam pogadali. Poszli razem.

— Nie słyszała Maciejowa, co mówili?

— A przecie ja nie podsłuchuje.

— Ja wiem, ale mogła Maciejowa coś słyszeć przypadkiem, przechodząc — Jan próbował naprawić swą niezręczność.

— Nic. Byłam przy piecu. Ale ten co przyjechał, to jakiś w gorącej wodzie kąpany.

Istniała szansa, że oberżystka jednak coś wiedziała, choć sama nie zdawała sobie z tego sprawy, zwłaszcza iż zataili przed nią fakt śmierci Zosi.



— Wleciał tu, szukał pana. A tu nagle za nim wpadł jeden z gości, że nie patrzy, jak jedzie, byle szybciej. Wzieli się za chachoły, ale stary ich rozdzielił. A potem ten pędziwicher zobaczył Józka. Pogadali, pogadali i wyszli.

— A nie wiecie dokąd?

— Pytali, dokąd pan poszedł. Powiedziałam, że coś mi się słyszało chyba na pocztę.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w oszołomieniu. Mateusz stwierdził:

— Musieliśmy się minąć po drodze. Ale gdzie?

— Pamiętasz, staliśmy przez chwilę na tym ganku przy składzie.

— Jak przy żelaźniaku, to was nie było widać, jak oni szli w tamtą stronę — objaśniła oberżystka.

— Idziemy — rzucił krótko Jan.

— Może piwa na rozgrzewkę?

— Dziękujemy. Musimy ich znaleźć. Napijemy się, jak wrócimy.

Mateusz miał inne marzenie i nie omieszkał podzielić się nim z Maciejową. Zwierzył się jak najbliższemu przyjacielowi:

— Ja to bym wypił grzańca.

— Serduszko ty moje. — Cała rozpromieniona uszczypnęła go w policzek i obiecała: — Przygotuje ja ci takiego, co go jeszcze świętemu Pietrowi będziesz wspominał. A może pan Mateusz zostanie?

— Nie, pan Mateusz nie zostanie, pan Mateusz pójdzie ze mną.

Jan był nieubłagany. I w duchu rozbawiony, bo widok Mateusza podszczypywanego z czułością przez niezbyt czystą i nazbyt tłustą jejmość był doprawdy wart wszystkich cierpień. Opanowując śmiech, poprosił Maciejową:

— Jeżeli ta dwójka wróci tu, jak nas nie będzie, to niech nigdzie dalej nie idą, tylko czekają.

— Spokojna głowa. Zatrzymam ich.

Był tego pewien.

Gdy wyszli, Jan przypomniał sobie:

— Jeszcze jedno, o czym miałem ci powiedzieć. O aptekarzu. Pamiętasz skrytkę u Zosi?

— W szafie? Pamiętam.

— A pamiętasz, co w niej znaleźliśmy?

— Przecież była pusta. Nie licząc tego papieru.

— Chodzi o ten papier. Wychodząc, spytałem aptekarza, czy nie zginęła mu morfina. Zaproponował, że sprawdzi przy mnie. Zabezpieczona była niezłe, w zamykanej szafce. Wewnątrz, poza lekami, była paczka, owinięta w taki sam papier i zawiązana takim samym sznurkiem jak te znalezione w pałacu.

— To przecież może być przypadek, każdy może mieć w szafie pakunek zawinięty w...

— Zawinięty w taki papier, owszem. Ale sznurek był charakterystyczny, a węzeł na nim jeszcze bardziej.

— Skąd pewność, że węzeł...

— Sznurek w pałacu nie był rozwiązany, lecz przecięty. Dlatego węzeł się zachował i był taki sam lub łudząco podobny do tego w aptece.

— A może to jednak zbieg okoliczności?

— Raczej dziwny. Pamiętasz, że ze zgięć na tamym papierze próbowałem ustalić wielkość zawiniętego przedmiotu? Ten pakiet u aptekarza był właśnie tej wielkości. A poza tym zastanawia mnie, co takiego jest w tej paczce, że trzeba ją przechowywać w zamykanej szafce na truciznę.

— Czyli to nie jest zbieg okoliczności?

— Dlaczego tak się upierasz, żeby to uznać za przypadek?

— Bo ta sprawa i bez wątku papieru do pakowania jest zagmatwana. Jak dodamy jeszcze to, to możemy się tylko iść upić. Na trzeźwego to jest nie do rozwiązania.

Jego głos był pełen takiej desperacji, a pomysł na metodę śledczą tak nowatorski, że Jan musiał się

roześmiać.

— Dowiedzmy się wreszcie, o co chodzi temu szaleńcowi.

— Właśnie, przy okazji natrę mu uszu, że prawie nas stratował.

Niestety, wewnątrz poczty, pomijając urzędnika, było puste. Ten ostatni na widok wchodzących mężczyzn uniósł brwi ze zdziwienia i powiedział do Jana:

— Za prędko, nic nie ma.

— My nie w tej sprawie. Ponoć ktoś nas szukał.

— Było tu dwóch takich.

Jan z Mateuszem popatrzyli na siebie. Gdyby nie niepokój o Tadeusza i wieści z pałacu, to zabawa w chowanego w miasteczku tej wielkości dostarczyłaby im dużo rozrywki.

— I poszli?

— Kilka minut temu.

Stanęli zdezorientowani przed pocztą.

— Jak mogliśmy się minąć?

— Apteka. Wczoraj Józek tam nie dotarł, bo go wyeliminowaliśmy z gry.

— List Marii. Trochę późno.

— Zajrzyj ty. Mnie zna.

Mateusz zniknął w aptecę na dłuższy czas.

— Zabłądziłeś?

— Był tylko Weichert — zignorował złośliwości Mateusz. — Przynajmniej tak myślę, że to on.

— Jak wyglądał?

— Fryzura, wąsy i maniery fryzjerczyka.

— To on.

— Nie chciałem, żeby to wyglądało podejrzanie, więc kupiłem te nowe pastylki Vichy. Faktycznie ma niezłe zaopatrzenie. Nawet w Poznaniu nie mogłem ich zdobyć.

— Chodźmy stąd. Może nas zauważyć. A Józek i ten drugi?

— Dotarli wcześniej. Jak wszedłem, to fryzjer coś czytał i szybko schował do kieszeni. Ale musiał iść na zaplecze, po te pastylki. Przechyliłem się przez ladę. List schował, ale koperta została. A na kopercie było pismo Marii.

— Skąd wiesz, że to Marii?

— Przecież widziałem w pałacu. Znam jej pismo, bo to ona wypisuje codzienny jadłospis.

— Najważniejszy dokument w twoim życiu.

— Każdy ma swoje priorytety. Dokąd teraz?

— Do zajazdu.

Szli wolno, omijając nowe zwały śniegu naniesione przez wiatr w czasie ostatniej zimy.

— Miejmy nadzieję, że Maciejowa ich zatrzymała. Mam dosyć tej zabawy w chowanego. Tym bardziej że każdy taki spacer odrywa perspektywę mojego grzańca.

Przy zajmowanym przez nich dotychczas stole siedział Józek i nieznany im mężczyzna, w którym Mateusz od razu rozpoznał tego szaleńca z podsieni. Ruszyli w stronę stołu i wtedy Józek również ich dostrzegł. Powiedział coś do swego towarzysza i obaj zerwali się na równe nogi.

— Szukałem jaśnie pana — zaczął posłaniec.

Janowi wystarczył rzut oka na jego twarz, by upewnić się, że w pałacu naprawdę zaszło coś poważnego.

— Mam wiadomość od pana Tarnowskiego.

— Nie tutaj. Do sieni.

Mateusz zamknął za nimi starannie drzwi.

— Teraz mów.

— Pan Tarnowski prosi, co by jaśnie pan zara wracał. Dzisiaj rano ktoś strzelał do panicza.

---

[13] Skład — w Wielkopolsce: sklep.

[14] Niemiecka nazwa miasta w Alpach, w 1900 roku leżało na terenie Austro-Węgier, obecnie we Włoszech — Bolzano.

## 15.

Przez chwilę w sieni panowała taka cisza, że gdyby padał śnieg, to słyszeliby płatki dotykające podłogi. Naraz wszyscy poza Janem zaczęli mówić jednocześnie, przy czym należy oddać sprawiedliwość Mateuszowi, że to on zadał najważniejsze pytanie.

— Żyje?

Jan nie mógł w tej chwili sformułować żadnego wniosku, bo jego towarzysze robili taki jazgot, że nie słyszał własnych myśli. Krzyknął:

— Cisza!

Umilkli. Wskazał na posłańca.

— On tam był, on przyjechał, on mówi.

— Więc, jak mówiłem, jaśnie panie, to było rano, to pan Franciszek wezwał...

— Najpierw mów, co z Karolem. Żyje?

— Tak, jaśnie panie, ranny.

Powiedział to jak oczywisty fakt, bardzo zdumiony, że Jan o to pyta.

— Tu nie możemy rozmawiać — zdecydował Jan. — Na górę.

Cała czwórka weszła do zajmowanego przez nich pokoju. Morawski zamknął drzwi.

— A teraz mów.

— Więc jak go znaleźli, to pan Tarnowski mi powiedział, ty jedź...

— Po kolei. Kiedy?

— Rano. Dzisiaj. I pan Tarnowski powiedział: ty dojedziesz najszybciej. Bo ja, jaśnie panie, to zaraz po Józku...

— Ja pytam, ty odpowiadasz — zirytował się Jan. — Tylko na to pytanie, które zadałem. Rozumiesz?

Wyglądał tak groźnie, że chłopak tylko kiwnął głową.

— Czy panu Karolowi grozi niebezpieczeństwo?

— Nie mogliśmy znaleźć doktora, bo jak tam...

— Grozi mu niebezpieczeństwo? Co powiedziała Maria?

— Że nic mu nie będzie.

Jan chciał znać fakty.

— Dzisiaj rano. Rano, czyli kiedy? Przed śniadaniem? Po?

— Przed. Był jeszcze półmrok.

— Gdzie?

— Na ganku. Przed pałacem.

— Wiadomo, co Karol tam robił?

— Pan Tarnowski powiedział, że chyba szedł do koni, bo tak był ubrany.

Myśl Mateusza wyraźnie pobiegła tym samym torem co Jana.

— Dlaczego przodem, przecież do stajni wychodzi się bokiem.

— Wiadomo dlaczego wyszedł na ganek? Tak czy nie?

— Nie.

— Kto go znalazł?

— Pan Franciszek. Słyszał strzał.

— Gdzie panicz ma ranę?

— Na uchu. Pełno było krwi.

— Co było dalej? Jak Franciszek już go znalazł?

— Po kolei to nie wiem, ale potem był pan Tarnowski i z panem Franciszkiem i Witkiem przenieśli panicza do pokoju pani Marii. I ona go tam opatrzyła.

— I co powiedziała?

— Co by dał na msze.

Józek z Mateuszem zaśmiali się na ten komentarz i nawet Janowi minimalnie drgnęły kąciki ust.

Atmosfera zelżała.

— A potem pan Tarnowski wezwał ciebie?

— Tak. Na ganek. Bo tam był z panią Julią.

— I kazał ci tu jechać.

— I prosić, aby pan wracał jak najszybciej. Jeśli pan może.

— Jak wyjeżdżałeś, goście już wstali?

— Nie widziałem, na dole była tylko pani Julia. Na ganku, jak pan mi kazał jechać.

Jan odwrócił się do nich plecami, podszedł do kominka i oparł się o gzyms. Mateusz podjął wypytywanie w jego zastępstwie:

— Pewnie była zdenerwowana?

— Nie wiem. Powtarzała w kółko to samo: „To przecież niemożliwe, to nie ma sensu”. Kilka razy tak powiedziała.

Jan odwrócił się od kominka.

— Niemożliwe, to nie ma sensu?

Chłopak przytaknął, a Jan o nic więcej nie zapytał.

— I jesteś pewien, że paniczowi nic nie grozi? — nie dowierzał Mateusz.

— Tak powiedziała pani Maria. A ona się zna.

Jan ocknął się z zamyślenia.

— Landrat był?

— Jeszcze nie.

Jan wrócił od kominka i stanął przy stole. Bębnił po blacie, przesuwając wzrok po pozostałej trójce. Przyglądali się temu ze zdenerwowaniem, niezdolni przewidzieć, co postanowi. Na koniec spojrzenie Jana zatrzymało się na Mateuszu. Pierwszy nie wytrzymał napięcia posłaniec.

— Pojedzie pan?

Jan nie odpowiedział. Wpatrywał się w swego kamerdynera z taką intensywnością, że ten zaczął się niepokoić. Wiedział z doświadczenia, że to spojrzenie nie wróży niczego dobrego. Odwrócił wzrok. A Jan przedstawił plan działania.

— Musimy się rozdzielić, Mateuszu.

— Nie zgadzam się.

— Ja też tego nie lubię. Ale potrzebuję cię tu.

Jan nie wiedział, czy zadziałał ten ostatni komplement, czy też Mateusz zdał sobie sprawę, że nie przekona swego pracodawcy.

— Zostaniesz z Józkim, Mateuszu. Jak masz na imię? — zwrócił się do posłańca.

— Adam.

— Ja wracam z Adamem.

Reszta tego, co chciał powiedzieć, przeznaczona była tylko dla Mateusza. Poleciał fernalom przygotować konie do drogi.

— Musisz tu zostać. Z dwóch powodów. Trzeba dokończyć nasze poszukiwania. Nawiązałeś

znajomości, wszyscy cię lubią.

Kamerdyner wzruszył ramionami i nadal nic nie mówił. Jan nie lubił się rozczulać, ale też było mu ciężko. Zazwyczaj byli nierozłączni. Popatrzył ciepło na Mateusza i odwołał się do ostatecznego argumentu:

— Przecież Sherlock Holmes rozstawał się z Watsonem, gdy było zadanie do wykonania.

Mateusz od razu wczuł się w rolę.

— Czym mam się zająć?

— Spróbuj dowiedzieć się więcej o aptekarzu — dlaczego tu przyjechał, czy utrzymuje kontakty z Prusakami.

— Podejrzenia o otrucie. Jeśli coś w tym jest, to mógł spróbować ponownie.

— Pamiętaj, że aptekarz jest niepewny, na wszelki wypadek pilnuj, żeby się nie zobaczył z Józkiem.

— Jak daleko mogą się posunąć?

— Żeby powstrzymać Józka? Jak daleko chcesz. Zostawię ci dwa proszki Zosi. Wsyp mu, gdybyś sobie nie dawał z nim rady. Możesz powłóczyć się po tych kilku składach, które tu są. Wspominaj o Waławie i o rodzinie tej Klotyldy czy Kunegundy. Być może ktoś zareaguje i dowiemy się, kto jest bankrutem. I najważniejsze — czekaj na telegram.

Mateusz miał tak dziwną minę, że Jan spytał:

— O co chodzi?

— Trochę się dziwię, że tu takie zamieszanie, że przecież było prawie drugie morderstwo...

— A ja myślę o Konstancji?

Kamerdyner skinął głową. Miał przy tym zawstydzoną minę, gdyż wiedział, że ta sprawa nie powinna go interesować.

— Tak to jest w życiu, że wielkie sprawy są przemieszane z tymi małymi.

Mateusz nie wyglądał na przekonanego.

— Zaufaj mi. Czekaj na telegram. Zaglądaj na pocztę, a jak przyjdzie odpowiedź, natychmiast wracaj.

— A jeśli nie przyjdzie dzisiaj?

— Jeśli trzeba, czekaj do jutra.

— Spakuję pana torbę.

— Zapłacę Maciejowej, a tu masz na inne wydatki.

Podał kamerdynerowi zwitek banknotów. Mateusz wziął je i starannie schował. Jan wyjął z kieszeni płaszcz swoje notatki — wołał je na czas podróży umieścić w torbie. Złożył kartki i podał Mateuszowi.

— Jeszcze jedno. Ta paczka u aptekarza. Na poczcie, ale tylko jeśli wyczujesz, że ten sztywniak jest przychylny, spróbuj wybadać, czy dużo przesyłek przychodzi do Weichertta.

— Nie podoba mi się, że będzie pan sam w pałacu. Tam grasuje morderca.

— Będę ostrożny. *À propos* — czy widziałeś tam broń?

— Tylko w gabinecie — Mateusz zrobił szybki przegląd pomieszczeń.

Jan spojrzał na niego.

— Tak jak wcześniej cię prosiłem, pomyśl, czy Franciszek mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Zosi. I uważaj na siebie.

Mateusz skinął głową bez słowa, wziął torbę i wyszli z pokoju.

\*

W sali Jan podszedł do Maciejowej.

— Znaleźliście się? — chciała wiedzieć.

— Tak.

— Niedobre wieści.

— Niedobre.

— Jak inom zobaczyła tego piekielnika, to wiedziałam, że nic dobrego nie powie.

— Muszę wracać do Tarnowic.

— Ano, jak mus, to mus. Ale szkoda.

— Zostawię wam Mateusza.

— Nie może być? — rozpromieniła się Maciejowa.

— Nie wiem tylko, na jak długo. Może na kilka godzin, może do jutra. Zaopiekujecie się nim?

— No, jasna sprawa.

Jan, ze względu na innych gości, mówił dotychczas cicho. Teraz zniżył głos prawie do szeptu:

— Jeszcze jedno — może przyjść do mnie depesza. Rozmawiałem z urzędnikiem na poczcie, ma telegram dostarczyć tu.

— Stary będzie chodził i sprawdzał. Już on se da rade z tym urzędasem.

— A tu wasze należności.

— To za dużo.

Janowi nie zdarzyło się jeszcze, żeby właścicielka oberży odmówiła przyjęcia zapłaty, twierdząc, że ofiarowywana kwota jest za wysoka.

— To z małym naddatkiem — wydukał, gdy odzyskał głos. — Możliwe, że Mateusz zostanie aż do jutra.

— To i tak za wiela.

Wcisnął jej pieniądze na siłę do ręki.

— Niech tak zostanie. Proszę pożegnać ode mnie męża.

Zacisnęła pięść z zapłatą i ruchem głowy wskazała tylne wyjście na zaplecze.

— Niech idzie tędy.

Kiwnął głową i wyszedł przez wskazane drzwi.

Znalazł się w zaułku olbrzymiego pomieszczenia gospodarczego, zwanego stanem i będącego połączeniem stajni z wozownią. Był to nieodłączny i niezbędny element oberży i zajmował zwykle większą część parteru. Wchodziło się tam z sieni, a wejście znajdowało się na wprost głównych drzwi do karczmy. Dodatkowe przejście prowadziło z izby, ale używali go tylko właściciele. W stanie rozłokowywano konie gości, zapasy obroku, poza tym Jan zauważył z tyłu wóz, wstawiony tu prawdopodobnie na czas zimy, i kilka małych sanek.

Przy tylnym wyjeździe dostrzegł Mateusza, Józka i Adama oraz towarzyszącego im oberżystę. Ruszył w ich stronę, a po drodze zauważył mężczyznę leżącego w boksie. Sądząc po głośnym chrapaniu, był to jeden z wczorajszych klientów, być może nawet ofiara twardej głowy Mateusza i wyśmienitego piwa Maciejowej.

— Za dużo berbeluchy<sup>[15]</sup>.

Jan zwrócił się do Józka:

— Mateusz obejmuje dowodzenie, jasne?

Józek przytaknął. Przyczłapała do nich oberżystka.

— A niech jeszcze przyjedzie — rzuciła.

— Postara się.

I pod wpływem impulsu wyciągnął do niej rękę, a gdy mu podała swoją, pochylił się i pocałował tę szorstką spracowaną dłoń. Maciejowa zarumieniła się, jakby znów miała czternaście lat i z zawstyżeniem odgarnęła kosmyk włosów za ucho. Do pełnego obrazu brakowało tylko, aby zaczęła kręcić w palcach róg fartucha. Mężczyźni patrzyli na tę scenę zdumieni. Jan wsiadł na konia i zawołał:

— A niech Maciejowa nie zapomni, że obiecała Mateuszowi grzańca.

Roześmiała się i skinęła głową.

— Uważaj na siebie — powtórzył Mateuszowi. I nie czekając na odpowiedź, polecił Adamowi: — W

drogę.

Zatrzymali się jeszcze tylko przed pocztą. Depesza nadal nie doszła.

— W zajeździe został mój służący — zwrócił się Jan do zaskoczonego urzędnika. — Jakby coś przyszło, proszę dostarczyć jak najszybciej do niego. Do widzenia.

\*

Drogę pokonali bez przeszkód. Śnieg był w wielu miejscach rozjeżdżony przez sanie i konie, co znacznie ułatwiało jazdę. Jednakże o ile podczas wczorajszej podróży Jan był pełen nadziei i nowych pomysłów, o tyle teraz czuł się przede wszystkim skonfundowany.

Pełnym galopem wpadli na podjazd i zeskoczyli z koni. Zajął się nimi Adam, a Jan wbiegł na schody. Tu strzelano do Karola. Rozejrzał się — na pierwszy rzut oka nic nie było widać. Śnieg został odgarnięty od razu po śnieżycy, więc nie liczył na znalezienie śladów, plam krwi też nie dostrzegł.

Widocznie oczekiwano ich z niecierpliwością, bo nie zdążył zadzwonić, gdy drzwi otworzyły się i w progu stanął Franciszek. Nawet nie próbował ukryć radości na widok Jana.

— Jak dobrze, że pan jest.

— Franciszku, postaw jednego z lokai przy wyjściu. Niech pilnuje, żeby nikt nie wchodził na ganek. Absolutnie nikt, aż przyjdę i sam to obejrzę. Może nie wszystkie ślady zostały zdeptane.

— Oczywiście. A gdzie Mateusz?

— Zostawiłem go w miasteczku, bo czekam na depeszę. Słyszałem, że Karol jest ranny w ucho. Miał szczęście.

Majordomus z powagą skinął głową.

— To samo powiedziała Maria, jak go opatrywała: „Dziecko, ty powinieneś krzyżem w kościele leżeć”. Pan posłał po doktora, żeby przy okazji zbadał panią hrabinę.

— Gorzej się poczuła?

— Nie, ale nie byliśmy pewni, czy na wieść o strzałach nie zacznie znowu słabować.

— Ty znalazłeś Karola?

— Tak. Usłyszałem strzał. Najpierw pomyślałem, że mi się tylko zdawało, ale potem przypomniałem sobie, że wtedy rano też nie wierzyłem, że panience coś się stało. Więc na wszelki wypadek przyszedłem.

— Wzywał pomocy?

— Nie. Zostawił drzwi na zewnątrz otwarte i czułem przeciąg. Dlatego tam poszedłem. Ale nie rozumiem, dlaczego wyszedł przodem, przecież...

— Jak to zniósł Tadeusz?

Majordomus aż zacisnął szczęki na to wspomnienie.

— Bardzo źle. Najpierw mówił: „I to w moim domu, w moim domu”. A potem: „Chyba klątwa wisi nad nami”. Cekał na pana, ale jeden z ludzi wyrąbywał przeręble i się skąpał. Pan wolał sam sprawdzić, czy wszystko dobrze. Poślę Witka po niego.

— Dobrze. A jak pani?

— Przyszła zaraz po tym, jak go znaleźliśmy.

Franciszek był zakłopotany. Julia stanowiła dla niego zagadkę i nawet teraz, po tylu latach, nie zawsze wiedział, o co jej chodzi. Tym bardziej w takich okolicznościach.

— Ona była taka... zdziwiona. I ciągle mówiła, że to się nie zgadza, że to bez sensu.

— A pozostali?

— Bardzo zdenerwowani. I chyba się boją.

— Dobrze. Pokaż mi, gdzie leży Karol.

— Zaprowadzę pana.



— Daj spokój. Przecież słyszę, że na górze coś się dzieje. Macie pełne ręce roboty. Gdzie to jest, Franciszku?

— Tym korytarzem do końca, przedostatnie drzwi po lewej. Pokój napoleoński. To pokój starego rezydenta. Maria stwierdziła, że tam będzie najłatwiej przenieść panicza i się nim opiekować.

Jan oddał płaszcz majordomusowi i ruszył we wskazanym kierunku. Z bocznego saloniku wypadła wprost na niego Paulina, która wyraźnie tam na niego czekała. Wyciągnęła obie ręce, wczepiła się w rękawy jego marynarki i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

— Dobrze, że pan wrócił, muszę coś panu powiedzieć!

Próbował się od niej uwolnić, ale okazała się wyjątkowo silna.

— To ważne, to ma związek ze strzelaniem do Karola.

Wciągnęła go do małego pokoju. Poddał się, bo nie chciał szarpać się na korytarzu z kobietą, do tego najwyraźniej znajdującą się na granicy hysterii.

— Ja wiem, kto próbował go zabić.

— Kto?

— Wczoraj przyszedł do mnie Karol i mówił, że już teraz wie, że teraz wszystko jest jasne, że to jest tak okropne, że nie mógł w to uwierzyć. Próbowałam dowiedzieć się, o kogo chodzi, ale nie chciał powiedzieć, bo twierdził, że musi mieć dowód.

— Jaki dowód?

— Tego nie powiedział. Mówił tylko o jednym pytaniu, które musi zadać. Tej osobie. Może planował jakąś pułapkę?

— Czyli nie powiedział, o kogo chodzi?

— Ja się domyśliłam!

Czuł się coraz bardziej poirytowany.

— Panno Paulino, ja muszę iść z nim porozmawiać.

— Powiem panu, skąd wiem, o kim on myślał. Karol spytał mnie, czy umiałabym odróżnić u mężczyzny spojrzenia ojcowskiej miłości od spojrzeń zakochanego. Oczywiście przytaknęłam, bo to przecież...

— Muszę iść.

— A potem mrucał do siebie i dosłyszałam: „nie umiał jej oddać innemu”. I coś o zakochaniu. Nic to panu nie mówi?

Patrzył na nią chłodno.

— Przecież chodziło o Zosię — ciągnęła. — Kto miał ją oddać innemu? Kto mógł żywić do Zosi uczucia ojcowskie lub się w niej zakochać?

Pokiwała głową z pogardą i spojrzała na niego z wyrazem twarzy, który uczynił ją wręcz brzydką.

— Nie chce pan przyjąć tego do wiadomości z zazdrości, że to nie pan odkrył mordercę.

— Muszę iść.

Ruszył do drzwi. Gdy miał rękę na kłamce, usłyszał:

— A gdy Karol wychodził, to poszłam za nim i słyszałam, jak pytał pokojówkę o pana Tarnowskiego!

\*

Jan szedł długimi krokami, zaciskając szczęki i z trudem się powstrzymując, żeby w coś nie uderzyć. Doszedł do końca korytarza i odliczył drugie drzwi. Zapukał. Nic. Położył dłoń na kłamce i powoli ją nacisnął. Uchylił minimalnie drzwi, ale niewiele zobaczył. Otworzył szerzej i wszedł do zaciemnionego pokoju. Dostrzegł łóżko i leżącą w nim postać. Podeszedł bliżej.

Karol powoli otworzył oczy i spojrzał na Jana nieprzytomnie. Zaczął mrugać. Chyba dopiero po chwili wzrok nabrał trochę ostrości i chłopak rozpoznał gościa. Dzielnie próbował przywołać na twarz uśmiech.

— To pan?

— Jasne, że ja. Coś mi pan obiecał, prawda? Miał pan na siebie uważać.

— Miałem. Uważałem.

— Chyba nie bardzo, sądząc po tej stylowej ozdobie głowy.

— Nie spodziewałem się ataku na siebie.

— Ja też nie, szczerze mówiąc.

Chłopak ponownie zamknął oczy. Jan przyzwyczyił się do panującego w pokoju półmroku. Rozejrzał się dookoła i w pierwszej chwili wydawało mu się, że cofnął się w przeszłość o sto lat. Wiedział, że w wielu polskich domach kult cesarza Napoleona jest nadal żywy, ale nie spodziewał się znaleźć czegoś takiego u Tadeusza, pozytywisty i wielbiciela pokoju.

Mahoniowe meble pochodziły z czasów Księstwa Warszawskiego, a centralny punkt stanowiło *bateau-lit* — wielkie łóżko w kształcie łodzi. Jan, mimo marnego oświetlenia, był prawie pewien, że na obiciach dostrzeżę cesarską pszczołę. Na ścianach wisiały obrazy o tematyce napoleońskiej, z których dwa udało się Janowi rozpoznać jako *Napoleona na moście pod Arcole* i *Napoleona przekraczającego przełęcz św. Bernarda*. Biurko zdobiło popiersie księcia Pepe.

— Da pan radę porozmawiać? — spytał Jan, gdy Karol znów otworzył oczy.

— Tak — wycharczał poszkodowany.

— Jeśli poczuje się pan zmęczony, to proszę mi dać znać, natychmiast przerwiemy. Postaram się tak zadawać pytania, aby mógł pan kiwnąć głową tak lub nie. Wiem, że dzisiaj przed świtem wyszedł pan na przejażdżkę. — Kiwnięcie głową: Tak.

— Wyszedł pan na ganek. — Kiwnięcie głową.

— I Franciszek, i fernal dziwili się, że wychodził pan przodem. Twierdzą, że zawsze używa pan bocznego wyjścia na podwórze.

— Nie było klucza.

— Nie miał pan swojego?

Karol popatrzył na pytającego, jakby był zdumiony, że ktoś może zadawać takie pytanie.

— Zawsze był. W drzwiach.

— Nigdy dotychczas się nie zdarzyło, żeby musiał pan szukać klucza?

Karol zaprzeczył ruchem głowy.

— Czy schodząc na dół lub szukając klucza, spotkał pan kogoś? — Zaprzeczenie.

— Nikogo z gości?

— Nie.

— Domownicy?

Ranny się zawahał.

— Zwykle tylko Tadeusz był na dole.

— A dzisiaj?

— Nie było go. Szukałem w gabinecie. Żeby dał klucz.

— W którym miejscu na ganku pan stał?

— Po lewej stronie.

— Przy której kolumnie?

Tu musiał się zastanowić. Przypomniawszy sobie.

— Druga z lewej.

Jan patrzył na Karola niewidzącym wzrokiem, bo w jego umyśle rysowała się mapa.

— Czy jest pan w stanie określić, z której strony padł strzał?

— Z prawej od przodu.

To znaczy, że był widoczny. Ciemna postać na jasnym tle ścian. Do tego oświetlony z góry przez wiszącą latarnię. Ten przedświt nie utrudniał tak bardzo mordercy zadania, raczej działał na jego korzyść, czyniąc go niewidzialnym.

Jana zastanowiło coś innego. Spojrzał badawczo na Karola i spytał:

— A dlaczego stał pan z lewej?

— W lewo idzie się do stajni.

Słusznie, strzelec też to przewidział.

— Strzał był z bliska?

— Z bardzo bliska, odrzuciło mnie.

— Proszę się starannie zastanowić: czy kogoś pan widział?

Jan położył nacisk na słowo starannie, ale Karol odpowiedział natychmiast:

— Nie patrzyłem tam. Patrzyłem, jak dojść do stajni. Poza tym było ciemno.

— Czy pomijając zniknięcie klucza, coś pana zdziwiło?

Ranny odpowiedział z wahaniem, jakby wbrew sobie:

— Nie było w gabinecie pana Tadeusza.

Pozostawały oskarżenia o morderstwo siostry, które chłopak wczoraj sformułował. Jan nie mógł dłużej omijać tego tematu.

— Kiedy wyjeżdżałem, zamierzał pan zadać pytanie sprawdzające osobie, którą pan podejrzewał o zamordowanie siostry. Czy zadał je pan?

Karol zamknął oczy. Właściwie to je zacisnął. Kiwnął potwierdzająco.

Nic więcej. Jan mimo wszystko próbował dalej.

— Rozmawiałem z Pauliną — mówił łagodnie. — Martwi się o pana, o pana bezpieczeństwo.

Chłopak raptem się ożywił.

— Proszę jej nie słuchać.

— Spokojnie.

Karol nie zwrócił uwagi na Jana. Lekko uniósł się z poduszki i wyrzucał z siebie zdanie za zdaniem.

— Proszę nie traktować poważnie. Tego, co ja wczoraj... — Opadł z powrotem na pościel i chrypiął:

— Myliłem się. To nie jest tak — szeptał z rozpaczą. — To nie może być tak. Zresztą nie widziałem, kto strzelał — zapewniał Jana, szcękając zębami.

— Muszę porozmawiać ze wszystkimi — może ktoś coś widział.

— Proszę mi obiecać, że zapomni pan to, co wczoraj mówiłem. I to, co panna Paulina.

Jan zadzwonił.

— Niech się pan uspokoi.

— Niech mi pan obieca.

Karol próbował wstać, a Jan starał się go przytrzymać w łóżku. Na szczęście w tej chwili do pokoju wbiegła Maria.

— Rozmawialiśmy i strasznie się zdenerwował.

— Niech mi pan obieca.

Karol prawie łkał, a na twarzy miał krwiste wypieki. Maria nalewała jakiś ciemny płyn do kieliszka.

— Najlepiej będzie, jeśli pan wyjdzie. Ja się nim zajmę.

Jan skinął głową. Gdy zamykał za sobą drzwi, widział, że Maria wprawnie podaje chłopakowi lekarstwo, mruczając coś do niego uspokajająco. Przez zamknięte drzwi pokoju, w którym spoczywała Zosia usłyszał ciche głosy i zrozumiał, dlaczego Maria tak szybko zareagowała na wezwanie: modliła się przy zmarłej. Wracał w kierunku holu, ale w bocznym korytarzu dostrzegł Witka.

— Jak dobrze, że pan jest.

Chłopak nie krył swego zadowolenia, a Jan na widok tej piegowatej rozpromienionej twarzy też się uśmiechnął. Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i poczochnął mu włosy.

— Widziałeś pana Tarnowskiego?

— Nie, jeszcze nie wrócił. Byłem po niego, powiedział, że zaraz przyjdzie.

Jan uznał, że równie dobrze może wysłuchać relacji Witka teraz, tym bardziej że w słowniku Tadeusza

„zaraz wróć” miało wiele znaczeń, zwłaszcza gdy zajmował się sprawami majątku.

— Pokażesz mi miejsce, gdzie strzelano?

Ruszyli w kierunku głównego wejścia do pałacu.

— Widziałeś coś?

— Nie, zupełnie nic — rzekł z zawodem.

Zgodnie z obietnicą Franciszka, na ganku przy drzwiach stał lokaj.

— Tam go znaleźli.

Jan przykucnął. Po lewej stronie znalazł niewielką czerwoną plamę. Podniósł się i rozejrzał. Kilka metrów od wejścia na schody rosły po obu stronach olbrzymie cisy cięte w kule o średnicy przekraczającej dwa metry. Zza takiej osłony bez problemu można oddać strzał. Jan zszedł z ganku. Podjazd przed pałacem był odgarnięty ze śniegu, ścieżki niestety też.

W lewo prowadziła droga na podwórze, w prawo do ogrodu zimowego. Stamtąd każdy mógł bez śladu wyjść i poczekać za cisem na Karola, zmuszonego brakiem klucza do wyjścia przodem.

— Gdzie byłeś, Witku, jak Franciszek go znalazł?

— W kuchni. Krzyczał z holu, to przyleciałem.

— Kogo widziałeś przedtem?

— Kucharkę, panią Marię, pana Franciszka, Jadźkę.

— A z domowników lub gości?

— Naszego pana.

— A byłeś na piętrze przedtem?

Witek przytaknął.

— I wszystko było tak jak zawsze? Nic cię nie zdziwiło? Myśl, Witku, myśl. Liczę na ciebie.

— U pana Wacława świeciło się światło. Nawet zszedłem i mówiłem o tym kucharce. Powiedziała, że pewnie zaraz zadzwoni, żeby mu przynieść „coś do przekąszenia”. Nie zadzwonił.

— Zawsze dzwonił tak wcześnie po coś do jedzenia?

— Tak wcześnie to nie. Później. Ale to pierwsza rzecz, którą robi natychmiast po obudzeniu.

Jan przestał się dziwić, że Wacław musiał zamówić w aptece gorset. A Witka poklepał po ramieniu.

— O takie właśnie informacje mi chodzi. Coś jeszcze? Pomogę ci. Wacława mamy. Panna Paulina?

Witek zaprzeczył głową.

— Pani hrabina?

To samo.

— Pani Julia?

Chłopak zawahał się zakłopotany.

— Zeszła prawie od razu.

— Mówiła coś?

Znał odpowiedź, ale chciał znowu usłyszeć te słowa, które ciągle kołatały mu się w głowie.

— „To bez sensu”. To znaczy, tak mówiła: „To bez sensu”.

— Gdzie był pan Tarnowski? Mówiłeś, że go widziałeś.

— W gabinecie. Tam go widziałem, jak tylko wstałem.

— A potem?

— Potem to nie wiem, gdzie był. Jak pan Franciszek wołał z holu, to poleciałem. Krzyczał: „Wołaj pana, strzelali do panicza”. No to ja poleciałem do gabinetu i on tam był.

— Witku, teraz pomyśl. Kto był w kuchni, gdy Franciszek zaczął wołać?

— Kucharka. Ja. Jadźka.

Spojrzał na Witka i spytał ostro, chcąc zmusić chłopaka do szybkiej odpowiedzi.

— Przedtem mówiłeś też, że pani Maria.

— Pan pytał, kogo tego ranka widziałem. I ją widziałem. Ale jak pan Franciszek wołał, to jej w kuchni

nie było. — Zamknął oczy, żeby to ponownie zobaczyć. Mądry chłopak. — Nie było. Przybiegła później, jak żeśmy przenosili panicza.

— Byłeś wczoraj przy kolacji? — zmienił temat Jan.

— Tak.

— Kto był?

— Wszyscy. Poza paniczem. Ale nie wiem, czemu nie przyszedł.

— Działo się coś? Ktoś powiedział coś dziwnego? Ktoś się zdenerwował? Była jakaś kłótnia?

Na wszystkie pytania służący odpowiadał, kręcąc przecząco głową.

— Widziałeś u kogoś broń? Poza gabinetem oczywiście.

— Widzieć to nie widziałem, ale kiedyś pan zapowiedział pani, że kupi jej pistolet. Ale czy kupił, to nie wiem. — Pospieszył z wyjaśnieniem: — Bo nasza pani to miała dwóch starszych braci i oni ją nauczyli strzelać do tarczy.

Jan próbował ustalić linię strzału od prawego cisu do miejsca upadku Karola. Podszedł do muru. Znalazł odłupany narożnik przy brzegu pilastru. Poniżej leżało pełno śniegu pozostałego z odgarniania. Jeśli cokolwiek tam spadło, to trudno będzie to znaleźć przed roztopami.

— No i pan Franciszek ma broń, ale to pan pewnie wie.

„Teraz już wiem” — pomyślał Jan.

„Czy Franciszek dałby radę? — zastanawiał się dalej. — Tak. Zdecydowanie tak. Dla pieniędzy nie, ale gdyby coś zagrażało temu, w co wierzy, byłby zdolny do wszystkiego. W co wierzy Franciszek? W Tadeusza”.

— A o broń to może pan spytać pannę Paulinę — natchnęło Witka.

— Dlaczego?

— Jak kiedyś przyjechała, to pokazywała przy rozpakowywaniu kufra Jadźce, że ma przy sobie broń.

— A wyjaśniła po co?

— Powiedziała, że prawdziwy myśliwy musi być zawsze gotów.

Dopiero teraz Jan poczuł, że stoją od dłuższego czasu bez okrycia na dworze.

— Wejźmy. Za chłodno na takie pogawędki. Witku, jeszcze jedno. Czy wyjście boczne, to przy kancelarii, jest zamykane na klucz?

— Tak, na noc.

— A gdzie jest przechowywany ten klucz?

— Przecież zawsze jest w drzwiach.

Odwrócili głowy w stronę bocznego korytarza, skąd dobiegały głosy Tadeusza i Franciszka.

Do holu wszedł Tarnowski. Wyglądał źle, nawet gorzej od Karola; blady, twarz ściągnięta, sińce pod oczami, głębokie bruzdy biegnące w dół od kącików ust. I znękanе spojrzenie. Trochę się rozjaśnił na widok Jana. Podszedł, wyciągając rękę.

— Jesteś. Dziękuję ci. — Ścisnął gościowi dłoń i wskazał ruchem głowy wejście do pałacu.

— Oglądałeś?

— Tak, Witek mi pokazał i objaśnił to, co wiedział.

— Dobrze. Jesteś przemarznięty. Witku, poproś Marię, żeby przysłała do gabinetu coś ciepłego do jedzenia, najlepiej barszcz lub bulion.

\*

— Najpierw mi wszystko opowiedz — poprosił Jan już w gabinecie.

Tadeusz pomilczał chwilę, po czym rozpoczął swoją relację, która pokrywała się z tym, co już ustalił Jan.

Tarnowski był w gabinecie, usłyszał krzyki. Strzału nie słyszał. Wpadł Witek, wołał, że wzywa go pan

Franciszek, że strzelano do panicza. Pobiegł. Karol siedział, a Franciszek go podpierał. Chłopak trzymał się za bok głowy, przez palce sączyła się krew. Podnieśli go. Gdy byli w holu, nadbiegła Maria, kazała zanieść rannego do siebie. Tam opatrzyła ranę i zdecydowała, żeby przenieść Karola do pokoju rezydenta. Podała mu nalewkę uspokajającą i chłopak zasnął.

— Zastanawiałem się, czy przyspieszać twój powrót, ale potem stwierdziłem, że nie dam sobie rady.

— Bardzo dobrze zrobiłeś — uspokoił go Jan.

— Rozmawiałeś z Karolem?

— Tak, ale krótko, bo za bardzo się podekscytował i musiałem wyjść. Maria się nim zajęła.

— Posłałem po lekarza, ale wątpię, żeby szybko przyjechał.

— Franciszek się dziwił, dlaczego Karol wyszedł przodem. Zapytałem go o to i stwierdził, że chciał wyjść bokiem, ale nie znalazł klucza.

— Jak to było? — Tadeusz próbował odtworzyć swoje ruchy. — Zszedłem na dół i wychodziłem na zewnątrz, ale czy klucz był? Nie pamiętam.

Wyszedł do sieni. Prawie natychmiast wrócił i powiedział:

— Klucz jest. Dziwne.

Janowi przyszło do głowy, że jemu też przydałby się klucz. Nie do tych drzwi, tylko do zagadki.

— Czy był tu rano ktoś, kogo być nie powinno?

— Nie, wszystko było jak zawsze.

— A goście? Nikt nie schodził? Nie dzwonił?

— Nikogo nie spotkałem, ale rano zawsze korzystam z bocznych schodów, aby nikogo nie budzić.

Jana znowu podkusiło, żeby spytać:

— Jak Julia zniosła to, co się stało?

Twarz Tadeusza pociemniała.

— Zeszła prawie od razu, widocznie nie mogła spać. Z pewnością była wstrząśnięta, bo ciągle powtarzała, że to niemożliwe.

Jan zadawał wciąż te same pytania — liczył, że ktoś odpowie inaczej niż pozostali, że gdzieś pojawi się rysa, niekonsekwencja, cokolwiek, co stanie się punktem zaczepienia.

— Kto ma broń, Tadeuszu?

Spytany wskazał ręką szafę stojącą w narożniku. Jan nawet nie spojrzał w tamtym kierunku.

— A poza tym?

— Franciszek.

— Goście? Julia? Karol?

Przynagłał Tadeusza, bo czuł, że nie posunął się ani o krok.

Tarnowski dostosował się do stylu Jana i odpowiadał krótko:

— Goście nie wiem, Julia — zamierzałem jej kupić, ale jakoś nigdy... Karol — broń myśliwską przechowuje tu.

— A sprawdziłeś, czy nic ci nie brakuje?

Tadeusz był zaskoczony.

— Ależ ze mnie idiota!

Otworzył szafę — wszystkie przegródki były pełne, niczego nie brakowało. Jan nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy martwić. Tadeusz zatrzymał wzrok na kasecie na pistolety pojedynkowe spoczywającej na dnie szafy. Wyciągnął ją na stół. W środku było miejsce na dwie sztuki. Tarnowski zrobił się szary na twarzy.

— Chryste, brakuje jednego pistoletu — wyszeptał ze zgrozą.

— Kiedy go widziałeś ostatnio?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nie korzystam z nich. Może miesiąc temu. Może dawniej. Nie wiem.

— Nie muszę już pytać, kto ma broń — skomentował z goryczą Jan. — Nie ma to znaczenia, bo prawdopodobnie strzelano z twojego pistoletu. Zamiast tego pytania mam inne: gdzie jest twój pistolet. I chyba znam odpowiedź.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyły się i weszła Maria z tacą. Tadeusz nawet tego nie zauważył.

— Gdzie?

— W śniegu. Czyli czekamy do wiosny.

Maria postawiła tacę na stole. Rozłożyła serwetki i zaczęła ustawiać na nich dzbanek, bulionówki i paterę z pasztecikami. Jan, mimo narastającego zdenerwowania, zmusił się, by ją spytać w tonie towarzyskiej konwersacji.

— Jak się czuje pani pacjent? Doszedł do siebie?

— Tak, już się wyciszył.

Odpowiedziała również spokojnie, nalewając parujący ciemnoczerwony płyn.

— Był bardzo wojowniczy — pogodnie opowiadał Jan. — To pewnie przez ten pokój. Duch cesarza unosi się tam i człowiek, czy tego chce czy nie, robi się agresywny.

Tadeusz z ulgą przyjął tę chwilową przerwę.

— To był pokój przyjaciela mojego dziadka. Walczył w gwardii Napoleona i był jego zagorzałym wielbicielem. Towarzyszył mu nawet na Elbie i brał udział w bitwie pod Waterloo. — Wypił kilka łyków z bulionówki. — Potem wrócił do kraju, próbował ułożyć sobie życie, nawet się ożenił. Niestety, po latach spędzonych u boku boga wojny wszystko inne było dla niego nieciekawe. Z niego był wojak, a nie gospodarz.

Jan w tym czasie wypił już ostry w smaku barszcz i kończył gorącego pasztecika nadziewanego mięsem i grzybami.

— Problem odwieczny jak sama wojna. Co zrobić z żołnierzami w czasie pokoju.

— Stary Ignacy został sam, bez rodziny, bez majątku. Przyjechał na zaproszenie dziadka i już stąd nie wyjechał. Dożył dziewięćdziesiątki. A ja do snu słuchałem opowieści o cesarzu zamiast bajek.

— Mam nadzieję, że rozmowa ze mną nie zaszkodziła Karolowi? — Jan zwrócił się do Marii.

— Nie powinien był pan go męczyć w tym stanie.

— Słyszałem, że to pani go opatrywała. Czy rana jest poważna?

— Draśnięcie. Niegroźne.

— Czy kogoś widziała tu pani rano przed atakiem na Karola?

— Franciszka, kucharkę, Witka, Jadźkę. — Zastanawiała się zaskoczona. — Właściwie całą służbę.

— A z domowników i gości?

— Nikogo.

Jan odstawił bulionówkę, wytarł palce w serwetkę. Rzucił pytanie za pytaniem, a ona odpowiadała, utrzymując jego tempo.

— A kto był w kuchni, jak Franciszek zaczął wołać?

— Kucharka, Jadźka, Witek.

— No i oczywiście pani.

Zawahała się. Ale przytaknęła ruchem głowy.

— Nic pani dzisiaj nie dziwiło? Albo wczoraj przy kolacji?

— Nie, nic.

— Mario, jeszcze jedno — przypomniał sobie Tadeusz. — Klucz w bocznych drzwiach.

— Co z nim?

— Zabierałaś go?

Zaskoczył ją pytaniem o rzeczy tak oczywiste.

— Nie, ale wydaje mi się, że był w zamku.

Jan wyjaśnił powód pytania, a Maria wykonała ten sam manewr, co chwilę wcześniej Tadeusz: wyszła

do sieni, a gdy po chwili wróciła, popatrzyła na obu mężczyzn, jakby stroili sobie z niej żarty.

— Klucz jest. Poza tym panicz Karol nie musiał iść przodem. Mógł pana poprosić o otwarcie.

Jan również zwrócił się do Tarnowskiego:

— Powiedział mi, że zaglądał tu, ale ciebie nie było.

— Byłem, przecież jak Franciszek wysłał do mnie Witka, to ten mnie znalazł. Tutaj.

Jan wpatrywał się w niego.

— Janie, ja nic z tego nie rozumiem — wyrwało się Tadeuszowi.

— Dowiedzieliście się czegoś o tej zwolnionej służącej?

— Nie. I nikt nic o niej nie wie.

Jan stanął przy stole i obracał pokrywkę dzbanka.

— Szukałem jej śladu w miasteczku, ale jakby się zapadła pod ziemię. A pani nic sobie nie przypomni?

— Nie.— Ruszyła w stronę bocznych drzwi, oświadczając: — Zostawię panów.

Jan patrzył przez moment w stronę wyjścia, po czym ponownie zaszokował Tadeusza.

— Czy ona umie strzelać? Nie patrz tak na mnie, pytam wszystkich. Umie?

Z holu dobiegły głosy. Tadeusz podniósł się z fotela i podszedł do jednego z frontowych okien.

— Nareszcie. Landrat. Chociaż właściwie nie wiem, czy się cieszyć.

— Zostawię was.

— Nigdy w życiu. Liczę na ciebie i na twoją obecność.

— To nie jest dobry pomysł. On i tak tylko wysłucha twojej relacji i pośle po śledczych do Poznania. Ciebie zna, więc będzie przy tobie mniejszym formalistą, niż byłby przy mnie. Łatwiej się z nim porozumiesz sam na sam.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Jan skinął ręką i wyszedł bocznym wyjściem, zanim Tarnowski zdążył zaprotestować.

---

[15] Wódka, zwłaszcza najgorszego gatunku, samogon, bimber. — skomentował oberżysta.



Morawski wyszedł do służbowego korytarza i skręcił w stronę holu. W ostatniej chwili wrócił do rodzinnej klatki schodowej, aby nie wpaść na landrata.

Początkowo zamierzał iść do swojego pokoju, ale przechodząc koło sypialni paradnej, zmienił zdanie. Zapukał do drzwi. Otworzyła Anetka, a Jan nie zdążył się odezwać, gdy z pokoju dobiegł głos:

— Kto przyszedł?

— Pan Jan.

Pokojówka otworzyła szerzej drzwi. Na kanapie siedziała pani Kareńska z książką na kolanach.

— Proszę wejść. Słyszałam, że pan przyjechał, ale przypuszczałam, że będzie pan zbyt zajęty, żeby mnie odwiedzić.

Jan wszedł do pokoju, zbliżył się do kanapy i pocałował hrabinę w dłoń. Wewnętrzny chochlik, zawsze przekorny i ironiczny, od razu szepnął: „Ciekawe, co by powiedziała ta arystokratka, gdyby wiedziała, że poprzednia dłoń, którą całowałeś należała do niezbyt czystej oberżystki”. Jan uprzejmie kazał chochlikowi zamknąć buzię.

— Do Tadeusza dotarł w końcu długo wyczekiwany landrat, więc czmychnąłem i postanowiłem zajrzeć do pani, sprawdzić, jak pani zniosła poranne... niepokoje.

— Całkiem dobrze. Staram się tam w ogóle nie schodzić.

— Mam nadzieję, że nie czuje się pani zagrożona.

Popatrzyła na niego z ironią.

— W moim wieku, mój drogi panie, człowiek już się nie obawia śmierci. Zresztą mam niezawodne lekarstwo na smutki. — Podniosła spoczywającą na jej kolanach książkę. — *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza.

— Czyżby dołączyła pani do działającego tu klubu wielbicieli pana Henryka?

— Istnieje tu taki klub?

— Założył go Tadeusz i w krótkim czasie zaraził tą pasją Zosię.

Zdziwiła się. Czyżby tym, że odkryła kolejne ogniwo łączące ją z tą nienawidzoną jeszcze niedawno Zosią?

— To pani ulubiona?

— Najbardziej lubię chyba *Potop*. To na drugim miejscu.

— Ja też bardzo lubię *Potop*. A poza *Trylogią* także *Bez dogmatu*.

Spojrzała z uwagą na Jana.

— Zbyt cyniczne jak dla mnie.

— Prawdziwe.

— Jak dla kogo. Ta książka wychwala złą postawę — brak celu i przede wszystkim brak zasad moralnych. — Nie spuszczała wzroku z Jana. — Możliwe, że brak dogmatu i kwestionowanie wszystkiego są przydatne przy poszukiwaniu mordercy.

— Ja mam dogmat. Jeden ponad wszystkim.

Patrzyła na Jana przepaścistymi oczyma, a on wyjaśnił:

— Wierzę w sprawiedliwość. I pomagam Tadeuszowi także po to, aby znaleźć winnego i nie pozwolić

skrzywdzić niewinnych.

Skinęła kilkakrotnie głową.

— Tak jak mój ojciec. Często powtarzał za Augustynem: *Sprawiedliwości musi się stać zadość, choćby niebo miało runąć*. I wprowadzał to w życie, niezależnie od tego, komu to było niewygodne.

Przez chwilę każde z nich zajęte było swoimi myślami.

— Wie pan, co w tej książce pociąga mnie najbardziej? — przerwała milczenie hrabina. — Imię bohaterki. Halszka.

Pogładziła tom i uśmiechnęła się z nostalgią.

— Tak na mnie mówił mąż. „Moja Halszko”. Ale nie przypominał Skrzetuskiego. O nie. Już prędzej tego szaleńca Bohuna — zaśmiała się z czułością.

— Słyszałem, że Sienkiewicz pisał to przy umierającej żonie.

— Tak, gruzlicza. Przez pewien czas była w Meran, tam gdzie później trafiła ta dziewczyna od Karola. Sienkiewiczowa zmarła kilkanaście lat temu, przy postępie medycyny może teraz by ją uratowali.

Przez moment siedziała zatopiona we wspomnieniach.

— Pan nie przyszedł rozmawiać o książkach, tylko o tych strzałach — zreflektowała się. — Nie pomogę panu wiele. Spałam. Dopiero rano przyszła pokojówka ze śniadaniem i opowiedziała, co się stało.

— A czy wczoraj przy kolacji coś się działo?

— Raczej nic szczególnego. Tadeusz był przygaszony. Młoda Bonikowska też — nie było ani pana, ani Karola, więc nie miała przed kim roztaczać swych wdzięków.

— Widzę, że czuje się pani naprawdę nieźle — roześmiał się.

— Nie będziemy się przecież czarować. Wie pan, co było inaczej? — dodała nagle. — Julia. Była zdenerwowana. Bardzo. Ciągłe spoglądała na Tadeusza, jakby się martwiła. Nagle zaczęła płakać i wybiegła.

— Całkiem zrozumiała reakcja — ostatnie wydarzenia nie należą...

— Julię wychowywał ojciec i bracia. Ona nie płacze. Z zasady. Tego ją nauczyli. To była chyba jedyna rzecz, której od niej wymagali. Żadnych babskich łez.

Kareńska zawahała się, po czym uzupełniła obraz wczorajszego posiłku.

— Bonikowski się upił.

— Zauważyłem, że raczej nie wylewa za kołnierz...

— Wczoraj przeszedł samego siebie. Nie jestem panu w stanie powiedzieć, ile w siebie wlał. I jakie głupoty opowiadał. A potem, jak wytaczał się z salonu, to kazał lokajowi przynieść sobie butelkę starki — powiedział, że dla kurażu.

— Muszę zadać pani jeszcze dwa pytania — zaznaczam, że stawiam je wszystkim.

— Słucham pana.

— Czy umie pani strzelać?

— Umie i to dobrze. Wzrok mi na szczęście dopisuje.

— A czy posiada pani przy sobie broń?

— Nie.

— Nie przeszkadzam zatem. Dziękuję i miłej lektury.

Uśmiechnęła się i ciepłym głosem dodała:

— Proszę nie czytać zbyt często *Bez dogmatu*. I proszę nie wmawiać sobie, że to o panu.

Nie odpowiedział. Zawahał się na moment, po czym nie patrząc na nią, wyszedł. Nie miał teraz głowy do roztrząsania, co chciała przez to powiedzieć.

Na korytarzu czekała na niego pokojówka Kareńskiej. Zaczęła gorączkowo.

— Pan powiedział, że jak mi się coś przypomni...

— Tak?

— Dzisiaj rano, jak nie wiedziałam, co z paniczem Karolem, ta stara, znaczy się pani Maria, wyrzuciła mnie z pokoju na dole, żebym się przestała narzucać. I ja czekałam w holu i usłyszałam głos pana Tarnowskiego. W jadalni.

— Poszłaś tam?

— Tak, to znaczy nie. Chciałam go tylko spytać, czy panicz jest ciężko ranny. I uchyliłam drzwi, ale ona, znaczy się, pani Maria, też tam była.

— I?

— I słyszałam, jak mu mówiła: „Niech pan lepiej pilnuje żony”. Tak powiedziała.

— „Niech pan lepiej pilnuje żony”?

Skinęła głową i wpatrywała się z natężeniem w Morawskiego, gotowa na kolejne pytania. W tej samej chwili z pokoju hrabiny dobiegł dźwięk dzwonka. Dziewczyna ruszyła w tamtą stronę.

„Niech pan lepiej pilnuje żony” — to raz. „To nie ma sensu” — to dwa. Babskie łyzy publicznie. Julia trzy razy. Czy te trzy fakty się łączą? Jeszcze jedno. Umie strzelać. Czyli cztery fakty.

Jan dotarł do swojej sypialni. Otworzył szkatułkę Zosi i bez celu przekładał znajdujące się tam przedmioty. Postanowił sprawdzić wyjście z ogrodu zimowego.

Wyszedł od siebie, szybkim krokiem dotarł na miejsce i natychmiast tego pożałował. Zapomniał, kto zwykł tam spędzać czas na lekturze powieści, wyjadaniu słodyczy i flirtowaniu z każdym osobnikiem płci męskiej między piętnastym a osiemdziesiątym rokiem życia.

Była tam — rozciągnięta na kanapie, w wydekoltowanej sukni w kolorze atramentu i nasączona tak duszącymi perfumami, że na ich tle zgromadzone w ogrodzie kwiaty przestały pachnieć.

— Proszę, proszę. Przecież to pan Najmądrzejszy — przywitała go kąśliwie.

— Zapomniałem zapytać panią o kilka rzeczy — uśmiechnął się słodko.

— Nie sądzę, aby moje odpowiedzi cokolwiek dały, skoro i tak nie umie pan wyciągać wniosków.

— Z tego, co pani wspominała o polowaniach, rozumiem, że umie pani strzelać.

— Tak, i to lepiej niż większość mężczyzn.

Udawała zagłębioną w lekturze i w bombonierce. „Przybyszewski i praliny z marcepanem. Ciekawe, że taka książka nie szkodzi na apetyt...”

— Słyszałem też, że co najmniej raz miała tu pani ze sobą broń.

— Kobieta musi mieć możliwość bronić się przed natrętami.

Zdaniem Jana, narzucać jej się mógł tylko ktoś niepoczytalny.

— Czy ma pani broń ze sobą teraz?

— Przy sobie? Boi się pan? — irytujący śmieszek.

— Miałem na myśli pani obecną wizytę u państwa Tarnowskich.

— Nie. Wyjątkowo nie zabrałam broni. Coś mi się wydaje, że to mnie oskarża pan o ten atak. — Ponownie się roześmiała i kpiła dalej. — Będę zobowiązana, jeśli mnie pan oświeci co do motywów.

— Co pani robiła dziś nad ranem?

— Spałam.

— A pani brat?

— Przypuszczam, że również spał.

— Tuż przed tym, jak padły strzały, u pani brata świeciło się światło, a raczej nie jest on rannym ptaszkiem.

Zadziałało. Usiadła. A Jan nie rezygnował.

— Chociaż on ponoć nie umie strzelać. Może ktoś strzelał w jego imieniu?

Zerwała się z kanapy.

— Wiem też, że wczoraj przy kolacji pani brat... nadużył trunków.

— Proszę się liczyć ze słowami!

— Trochę to dziwne jak na kogoś pogrążonego w rozpacz po śmierci narzeczonej.

Nie odpowiedziała na tę jawną prowokację. O ile pominąć wzrok pełen nienawiści i przyspieszony oddech.

— A może to były toasty za nowe zaręczyny?

Zacisnęła pięści. Kąciki ust jej opadły, rysy twarzy stały się ostre, a nos zmarszczony. Wyglądała jak Baba Jaga.

— Natychmiast idę do brata i przekażę mu te insynuacje — usłyszał jej warkot. — Na potwarców są w tym państwie paragrafy.

Ruszyła tak ostro, że zrzuciła pudełko z pralinami stojące na stoliku i wyszła z ogrodu, trzaskając drzwiami. Jan aż się skrzywił. Podszedł do stolika i podniósł pudełko. Część pralinek wysypała się na podłogę. Usiadł na miejscu Pauliny i wpatrywał się w trzymaną bombonierkę. Nie lubił marcepanu.

Nagle w jego umyśle pojawiło się nowe pytanie: czy strzelała ta sama osoba, która zabiła Zosię?

Dotychczas zakładał, że za morderstwo dziewczyny i atak na jej brata odpowiada ten sam człowiek. A może zamieszane są dwie osoby? Jeśli tak, to czy współdziałają ze sobą? Może tylko ktoś chce wyeliminować Karola, aby bronić kogoś innego przed oskarżeniami o zamordowanie Zosi. Jakie pary można utworzyć z osób zgromadzonych w pałacu? Widział mnóstwo możliwości.

Nie żałował, że doprowadził do tej sceny, bo udało mu się wytrącić Paulinę z samozadowolenia. No i pozbył się jej stąd. Wszedł między rośliny. Znalazł drzwi na taras i drugie prosto na ścieżkę. Klucz był w zamku. Przykucnął. Otwierały się na zewnątrz. A na odgarniętym śniegu widać było lekki ślad łuku zakreślonego przez otwierane skrzydło. Zapomniał o roślinach znajdujących się nad nim i wstał. Zahaczył o gigantyczny liść bananowca i od razu musiał się lekko przygiąć. Na wysokości wzroku, tuż przy wyjściu zobaczył uszkodzony duży liść. Przytrzymał. Rana była świeża, a końcówka liścia nadal zielona. Botanika nie była jego pasją, ale zaryzykował wniosek, że roślinę naruszono całkiem niedawno.

\*

W salonie zastał pokojówkę dokładającą do ognia. Wymienili pozdrowienia i chciał iść dalej, gdy w stojącym obok dziewczyny koszu dostrzegł znany już sobie papier do pakowania pocięty na kawałki.

— Nie przeszkadzaj sobie — poprosił, podchodząc, gdy wstała z szacunkiem. — Chciałem tylko spytać, czy landrat jest jeszcze u pana Tarnowskiego.

— Tak, proszę pana.

— Używacie takiego papieru do rozpalania? — zapytał mimochodem.

— Tak.

— To papier pakowy. Dostajecie tyle paczek?

Starał się, żeby w głosie brzmiało jak najwięcej zdumienia. Roześmiała się:

— Nie, tyle nie. Nie wiem, skąd ten papier. To są takie duże kawały — jak obrusy. Czasem wydaje je pan Franciszek, a czasem pani Maria. Tniemy na kawałki i używamy do rozpalania.

— Rozumiem. Dziękuję.

Pan Franciszek lub pani Maria.

Na końcu korytarza natknął się na Marię i Julię.

— Nie wiem, Mario, zrób, jak uważasz.

— Na zimno, tak jak ostatnie dni.

— Dobrze — zgodziła się z ulgą Julia. — Ja pójdę do siebie. Nie czuję się dobrze.

— Może odprowadzę panią? — W głosie Marii pobrzmiwał niepokój.

— Nie, nie, masz dosyć zajęć, dam sobie radę.

W korytarzu panował półmrok i Jan czuł, że kobiety nie wiedzą o jego obecności. Dyskretnie kaszlnął.

— Ja panią odprowadzę — zaproponował.

— Wrócił pan?

— Jakiś czas temu. Chodźmy.

Podał Julii ramię, a ona po chwili wahania je przyjęła. Zadowolona Maria ruszyła w stronę kuchni, po drodze zakrywając taflę stojącego w korytarzu tremo, niewątpliwy ślad niedawnej obecności próżnej Pauliny.

— I co pan o tym myśli? O tych strzałach?

— Zepsuło mi to koncepcję, szczerze mówiąc. Już miałem całą układankę gotową w głowie, a poranne wydarzenia mi wszystko zniszczyły.

— Układankę — skinęła głową. — Tylko pan to dostrzegł. Że to nie pasuje.

— Nie tylko ja. Pani również.

Nie zrozumiała aluzji.

— Powtórzono mi, jak pani skomentowała próbę zabójstwa Karola. Że to nie ma sensu.

— Właśnie. A przecież byłam pewna... zresztą nieważne. Widocznie się myliłam.

— Słyszałem, że zdenerwowała się pani wczoraj przy kolacji.

Zarumieniła się, puściła jego ramię i ruszyła w górę schodów.

— Źle się poczułam.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego. Tadeusz wspominał, że dziś bardzo wcześnie pani wstała.

Nie spojrzała na niego. Głos jej zadrżał.

— Nie mogłam spać. Coś mnie pchało na dół.

— Czy mogę coś dla pani zrobić?

Stali pod drzwiami jej buduaru. Podniosła na niego szkliste oczy i wyszeptała:

— Proszę się opiekować Tadeuszem.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając oszołomionego Jana z jego własnymi myślami.

Ruszył z powrotem do holu, w którym natknął się na Franciszka.

— Obiad będzie tak jak ostatnio, na zimno. Jeśli to panu nie przeszkadza.

— Oczywiście, że nie. Franciszku, miałbyś chwilę na dokończenie rozmowy?

Zaskoczył go tym pytaniem, majordomus już się odwracał, żeby odejść.

— Ja jeszcze nie wszystkim powiedziałem o obiedzie — ociągał się Franciszek.

— Będę się streszczał.

Po tej obietnicy Jan ruszył w kierunku swojej sypialni, nie pozostawiając majordomusowi innej możliwości, jak tylko podążyć za sobą. W pokoju przeszedł od razu do rzeczy.

— Gdzie byłeś, jak usłyszałeś strzał dziś rano?

— W kredensie.

— Widziałeś kuchnię? Kto tam był?

— Witek, kucharka. I jedna ze służących.

— A pani Maria?

— Nie było jej. Jak usłyszałem strzał, to spojrzałem najpierw do kuchni, szukając Marii. Chciałem zobaczyć, czy ona też to słyszała. Nie było jej.

— A jak zszedłeś dziś na dół, to spotkałeś kogoś? Nie ze służby?

— Nie.

— A nie spotkałeś pana Tadeusza?

— Też nie, ale on jest o tej porze w gabinecie i nie wchodzimy tam, aby mu nie przeszkadzać. Rano zanosimy kawę, ale tylko raz.

— Następną sprawą: klucz w bocznych drzwiach na podwórze, tych przy gabinecie. Gdzie jest przechowywany?

— Jak to gdzie? Jest przecież w drzwiach.

— Zawsze?

— Zawsze. Odkąd pamiętam.

— Karol twierdzi, że wyszedł frontowymi drzwiami, bo w bocznych nie było klucza. Możliwe?

Franciszek wpatrywał się w Jana ze zmarszczonym czołem.

— Możliwe? — powtórzył Morawski.

— Niby tak, ale to by było pierwszy raz.

— Umiesz strzelać?

Franciszek zbladł i skinął głową.

— Kto jeszcze umie — według ciebie.

— Z domowników — wszyscy, z gości — panna Paulina. Nie umie pan Wacław — tak przynajmniej

wszyscy twierdzą, choć on powtarza, że umie. Jeśli chodzi o hrabinę, to nie wiem.

— A służba? Umieją strzelać?

— Fornale tak. Lokaje trochę, ale niespecjalnie.

— A kobiety? Maria?

Franciszek coraz mocniej zaciskał wargi.

— Maria umie? — naciskał Jan.

— Rok temu w czasie wyjazdu na polowanie jeden z psów zaatakował dziecko we wsi — wyrzucił z siebie jakby wbrew swej woli. — Zanim ktokolwiek się spostrzegł, Maria chwyciła za broń i zastrzeliła zwierzę. Jednym strzałem, z dużej odległości.

— A kto strzela najlepiej?

— Pan Tadeusz, oczywiście.

— Masz broń?

— Tak. Pistolet.

— Kiedy go widziałeś ostatnio?

— Kilka tygodni temu.

— Jak wyjdiesz stąd, idź jak najszybciej do siebie i sprawdź, czy masz ten pistolet.

Majordomus z trudem przełknął ślinę i przytaknął.

— Jeszcze jedno — wczorajsza kolacja. Coś się działo nie tak?

Franciszek nie odpowiedział. Jego myśli zaprzątnięte były nadal pistoletem.

— Karola nie było — podpowiedział Jan. — Bonikowski?

— Upił się. — Majordomus odchrząknął i poprawił. — Przepraszam. Pan Bonikowski trochę za dużo wypił.

— Był agresywny?

— Nie. Głośny. I trochę zbyt... otwarty. A jak szedł do siebie, a właściwie jak go odprowadzaliśmy, to zażyczył sobie kolejną butelkę.

— Mówił coś ciekawego?

— Że zbuduje stajnię wyścigową.

— Że co zbuduje?

— Powiedział: „Będzie akurat na stajnię wyścigową”. I dodał: „Pamiętaj, Fortuna sprzyja odważnym”.

„*Fortuna favet fortibus*. Co miał na myśli Wacław?”

— Landrat jest?

— Jak szedłem tutaj, to wyjeżdżał.

— Dziękuję ci. Idź sprawdzić, czy masz pistolet.

Wyszli razem. Franciszek ruszył w stronę bocznych schodów, a Jan główną klatką schodową na dół. Spojrzał przed siebie. Była tam. W tym zamieszaniu nawet się z nią dzisiaj nie przywitał. Czuł się tak znużony, że usiadł na stopniach. Zapatrzył się w nią.

...*spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział, czarne, aksamitne, a łzawe, a mieniące się, a ogniste (...). Nad tymi oczami jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi*

łukami, zarumienione policzki kwitnęły jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki jak perły, spod kapturka spływały bujne czarne warkocze...

„Taką Halszkę zobaczył Skrzetuski” — pomyślał Jan, zastanawiając się, dlaczego przyszło mu to do głowy właśnie w tej chwili. Pewnie pod wpływem rozmowy z hrabiną. Halszka i *Ogniem i mieczem*. A do tego on — Jan. „Nie Skrzetuski, niestety. Bynajmniej nie rzymska dusza, piękna pani” — zwrócił się w myślach do portretu.

Nie zauważył Tadeusza.

— Zakochałeś się? — zapytał ten zdumiony.

— Zdecydowanie tak. Miłość przez zapatrzenie. Landrat pojechał?

— Tak. Chodź, to ci opowiem.

\*

— W gruncie rzeczy było nieźle — opowiadał Tadeusz, gdy przeszli do gabinetu.

— Przede wszystkim krótko.

Tadeusz się rozluźnił.

— Przyjechał tu natychmiast po przeczytaniu wiadomości, a przypuszczam, że był znużony poprzednią podróżą, szczególnie w tych warunkach. Wyraźnie chciał problem szybko załatwić i to najchętniej zrzucając go na kogoś innego.

— To znaczy, że mamy trochę czasu?

— W rzeczy samej. Opowiedziałem mu, jak znaleźliśmy Zosię, że wygląda to na otrucie, że chyba zamieniono lek na morfinę...

— Nie sugerował samobójstwa?

— Sugerował i to z dużym uporem. Zastanawiałem się, czemu on ciągle do tego wraca...

— Dla niego to byłoby najlepsze rozwiązanie. Dorobiłby jakąś teorię — zawód miłosny czy coś takiego i nie ma sprawy.

— Musiał przyjąć wersję morderstwa, zwłaszcza po tym, jak mu opowiedziałem o strzałach do Karola.

— I co on na to?

— Popatrzył na mnie z takim... prawie zgorszeniem.

Tadeusz oparł się ciężko o parapet i patrzył przez okno. Jan podszedł bliżej.

— Obejrzał Zosię?

— Nie, nie chciał. Też się dziwiłem, ale nie naciskałem na niego. Nie wiem nawet, czy to należy do jego obowiązków. Pytał, kto stwierdził, że to morfina.

— I co mu powiedziałeś?

— Prawdę. Że jest u mnie przyjaciel, który brał kilkakrotnie udział w rozwiązywaniu spraw kryminalnych i że to on gromadzi fakty, które przekażemy prowadzącym śledztwo...

Jan był pełen uznania. Tadeusz wykorzystał swoje wieloletnie doświadczenie w kontaktach z władzą.

— Bardzo zręcznie.

— Trochę się martwiłem, jak zareagujesz na taką wersję. Dodałem, że zdarzało ci się współdziałać z pruską policją. Pytał o twoje nazwisko, a jak podałem, to powiedział, że słyszał o tobie. Ale czy faktycznie słyszał — nie wiem.

— Jakie ma plany?

— Wysyła po śledczych z policji kryminalnej z Poznania i ma nadzieję, że jutro do wieczora dotrą, w co raczej wątpię. Jechał z drogi, więc nawet nie mógł tu nikogo zostawić na straży. Ma przysłać kogoś jutro.

— Przysyła strażnika?

— Musi, żeby mu nie zarzucono zaniedbania. Strażnik ma pilnować, żebyśmy niezacierali śladów zbrodni.

— Po trzech dniach tu nie ma śladów — roześmiał się Jan.

— On ma swoje procedury i nie jest ważne, czy są sensowne.

— Legendarna pruska administracja.

Zamyślony Tadeusz nie zareagował na ten komentarz.

— Dwie rzeczy mnie uderzyły. Landrat pytał, kto dostarczał leki. Jak powiedziałem, że Weichert, to był zadowolony i powiedział, że to solidna firma.

— Co w tym złego?

— Co w tym złego!? — Uderzył pięścią we framugę. — To w tym złego, że pruski urzędnik wypowiada się dobrze o polskim aptekarzu. Weichert robi coś, czym zasługuje na ich uznanie.

Słowa Tadeusza przepełniała gorycz. Komentarz landrata oznaczał rzeczywiście, że Weichert należy do szeregu zdrajców. Tarnowski szybko się opanował i dalej mówił już spokojnie:

— Może czas poszukać innego aptekarza, czy to się Marii podoba, czy nie.

— A ta druga dziwna rzecz, o której mówił landrat?

— Pytał o gości i zdziwiła go obecność Waclawa. Wyjaśniłem, że to był narzeczony Zosi, a on mi na to, że myślał, że to skończone, bo tamta druga, Sawicka, ma przecież zostać panią Bonikowską.

Jan wolał nie kontynuować tego tematu.

— Zostawię cię za chwilę, ale przedtem dokończmy rozmowę o wczorajszej kolacji. Przerwaliśmy, bo przyjechał landrat. Coś się działo? Waclaw?

— A tak, wypił za dużo. — Tadeusz skrzywił się z niesmakiem. — Dużo za dużo, jeśli mam być szczery.

— Mówił coś ciekawego? Może mu się coś wymknęło?

— Gdy zostaliśmy sami w jadalni, to zaczął coś o koniach wyścigowych, o inwestycjach. Ale mówił takie bzdury, że po chwili przestałem słuchać. Zresztą rozeszliśmy się bardzo wcześnie.

Ktoś zapukał. Wszedł Franciszek z tak grobową miną, że Jan poczuł niepokój.

— Pan Waclaw pana szuka, chce przyjść.

Tadeusz w odruchu niemej desperacji wlepił wzrok w sufit.

\*

Poseł wyglądał jeszcze mniej zdrowo niż zwykle. Twarz, normalnie nalana, teraz była opuchnięta, oczy miał podkrążone i krople potu na czole. Szedł bardzo powoli, ostrożnie, jakby nie do końca koordynował swoje ruchy. Jan dostrzegł na jego szyi krwiste wybroczyny.

— Więc wrócił pan — wypłuł na jego widok Bonikowski, porzucając troskę o właściwe początki zdań.

Tadeusz, nauczony poprzednimi doświadczeniami, wolał nie dopuścić do bezpośredniej wymiany poglądów między oboma panami.

— Tak, na moją prośbę.

— Nie rozumiem, po co. Amatorzy nie powinni się zabierać za sprawy, na których się nie znają. To zajęcie dla policji.

— Jak na jeden dzień śledztwa Janowi udało się sporo ustalić.

— Na co takie ustalenia, skoro nie potrafił nawet zapobiec drugiej próbie morderstwa?

— Spójrz na to z tej strony, Waclawie: ledwo Jan wyjechał, od razu doszło do kolejnego ataku. Kto wie, czy miałyby to miejsce, gdyby tu był. Zresztą landrat z uznaniem wypowiadał się o dotychczasowych działaniach Jana.

— Landrat tu był?! — wrzasnął z furią Waclaw. — Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?



— A dlaczego miałbyś być informowany? Przecież to ja go wezwałem.

— Ale to ja jestem posłem i to ja powinienem brać udział w każdej konferencji z przedstawicielem władz.

— Trochę za późno, bo landrat już pojechał. — Jan nie zdawał sobie sprawy, że Tadeusz potrafi mówić tak chłodno. — Chciałeś się ze mną widzieć?

— Przyszedłem zakomunikować, że wyjeżdżam natychmiast.

Zaskoczył ich.

— Nie mogę tu dłużej pozostawać. Jestem przekonany, że morderstwo Zosi i zamach na Karola to zasłona dymna.

Tym razem nie spojrzeli na siebie. Czekali z niecierpliwością na ciąg dalszy.

— W rzeczywistości chodzi o mnie — ja będę kolejnym celem i to będzie morderstwo na tle politycznym.

Odjęło im mowę. On tymczasem zrozumiał ich milczenie jako podziw dla swojej przenikliwości i wyjaśniał:

— Chodzi o moją działalność parlamentarną. Człowiek o tak zdecydowanych poglądach, jak ja, ma wrogów.

Jan osłupiał. I przypomniał sobie słowa swego mistrza z Montaigne, że każdy czasem mówi głupstwa, ale nieznośne są tylko te wypowiedziane uroczyście. A w tym celował Waclaw.

— Zresztą nie chodzi o mnie, przyjąłem na siebie obowiązki posła z wszystkimi wadami i zagrożeniami. Tu chodzi o siostrę znajdującą się pod moją opieką. Nie mogę wystawiać jej, bezbronnej istoty, na takie niebezpieczeństwa.

Na myśl o bezbronnej istocie Jan wydał z siebie ciche parsknięcie.

— Wyjeżdżamy z Paulinką natychmiast. Nie dopuszczę, by przebywała pod jednym dachem z mordercą. Poza tym obowiązki mnie wzywają.

— Panie Waclawie, bardzo proszę, abyście państwo dali mi szansę i zostali.

— To wykluczone.

— Jesteśmy blisko rozwiązania.

Waclaw był usatysfakcjonowany — proszono go, by pozostał, a proszącym był ten nieznośny człowiek. Z przyjemnością odmówił.

— Powiedziałem — wykluczone, a moje decyzje, nie wiem, czy jest pan tego świadom, są nie-od-wo-łał-ne.

— Życzeniem landrata jest, aby nikt nie opuszczał pałacu, aż do przybycia śledczych z Poznania.

Ten argument podziałał na Waclawa jak płachta na byka.

— Nie będzie mi pan rozkazywał! Ani pan, ani żaden urzędnik, ani w ogóle nikt.

— Waclawie — wtrącił się Tadeusz. — Bardzo proszę, abyście zostali jeszcze jeden dzień. Dałem słowo landratowi, że wszyscy poczekamy na przyjazd policji kryminalnej.

— To nie dotyczy mnie. Gdyby landrat wiedział, że tu jestem, z pewnością wyłączyłby mnie z zakazu opuszczania Tarnowic.

— Ależ landrat wiedział, że jest pan wśród gości. — Jan postanowił przytrzeć trochę nosa zarozumialcowi. — Nie ukrywał zresztą swego zdziwienia tym faktem.

— Zdziwienia?

— Właśnie wracał od państwa Sawickich, gdzie otwarcie mówiono o pańskich zaręczynach z ich córką. Zdumiała go informacja, że jeszcze dwa dni temu był pan narzeczonym świętej pamięci Zofii.

W ataku furii, jaki nastąpił, Jan dostrzegł podobieństwo między Pauliną a bratem.

— A cóż to są za insynuacje?

— Waclawie, proszę cię, zostańcie chociaż do jutra.

— Wobec tych oskarżeń, które właśnie usłyszałem...

— Po pierwsze, to nie były oskarżenia, tylko wrażenia landrata.

Czerwień twarzy zaczęła zmieniać odcień w kierunku fioletu, a poseł usiłował rozluźnić kołnierzyk koszuli.

— A jeśli rozmawiamy o oskarżeniach, to landratowi z pewnością pański wyjazd wyda się podejrzany, nie uważa pan?

— A dlaczegoż miałyby to być podejrzane? Musi sobie zdawać sprawę, jaki jestem zajęty.

— W obecnych okolicznościach wyglądałoby to jak ucieczka. A uciekają winni...

— Waławie, tylko do jutra — nalegał Tadeusz. — Jestem pewien, że śledczy wykaże zrozumienie, przesłucha ciebie pierwszego i zwolni z obowiązku pozostawania tutaj.

— Dobrze, zostaniemy. — Waław przemyślał wszystkie konsekwencje. — Osoba o mojej pozycji powinna dawać przykład, jak należy współpracować z władzami.

Jan postanowił wykorzystać tę okazję.

— Pan landrat zostawił nam listę pytań i prosił, aby goście postarali się na nie odpowiedzieć, co przyspieszy jutro pracę.

Dostrzegł zdumienie Tadeusza i szybko wyciągnął z kieszeni kartkę z własnymi notatkami.

— Najpierw pytania dotyczące morderstwa: Czy zna pan aptekarza, który dostarczał leki dla zmarłej? Nazywa się — tu Jan usiłował odczytać — Weichert.

— Oczywiście. Zaopatruję się u niego.

— Pan landrat był bardzo... uspokojony faktem, że leki dla Zosi dostarczał właśnie Weichert.

Jan podniósł wzrok znad kartki, uważnie obserwując reakcję Bonikowskiego, który potwierdził:

— To doskonała apteka, a sam Weichert to lojalny poddany.

— Czy umie pan strzelać?

— Ależ oczywiście, każdy mężczyzna na poziomie...

— Czy posiada pan broń?

— Moja kolekcja jest słynna nie tylko w Wielkim Księstwie Poznańskim. Nawet wśród berlińskiej arystokracji mój zbiór wzbudza...

— Czy pańska siostra potrafi strzelać?

— O tyle, o ile kobieta jest w stanie. Oczywiście, ona twierdzi, że strzela lepiej niż większość mężczyzn, ale paniom należy pozwalać na takie przechwałki. To im poprawia humor.

— Landrat pytał, czy podczas wczorajszej kolacji wydarzyło się coś, co mogłoby uzasadnić zamach na Karola.

Podniósł wzrok na posła. Waław nerwowo kręcił się w fotelu, po czym krótko zaprzeczył. I zasnuował usta.

— Mówił też o dziwnej rzeczy, o której żaden z nas nie wiedział: być może ktoś ze służby mu o tym wspomniał. Otóż pytał nas, dlaczego tuż przed dzisiejszymi strzałami w jednym z pokoi gościnnych świeciło się światło. Wskazał jednoznacznie pana pokój.

— Mój?

Waław zadał to pytanie tonem zdziwionego oburzenia, ale zaraz potem nerwowo przełknął ślinę.

— Tak.

— To możliwe, pisałem rano list. W sprawach państwowych. Często troski nie pozwalają mi spać, wtedy wstaję i pracuję.

— Aha, to wszystko jasne.

Złożył kartkę i ku rozpaczy Waława przypomniał sobie.

— Jest jeszcze jedna sprawa, tym razem nie pytanie landrata.

Jan wstał i udając, że namyśla się nad doborem słów, spacerował wolno po gabinecie, wydymając usta. Chciał potrzymać Waława w niepewności.

— Wiem, że Zosia starannie przygotowywała się do roli pańskiej małżonki.

— Wielokrotnie odbywałem z nią konferencje, tłumacząc jej, czego się po niej spodziewam, oraz instruowałem ją, jakie będą jej nowe obowiązki jako żony człowieka na moim stanowisku.

— Wiem też, że Zosia zamierzała prowadzić po ślubie lekcje dla dzieci w pana majątku.

— Takie tam romantyczne mrzonki. Od razu wybiłem jej to z głowy. Jest to nielegalne i karalne. Nie dopuściłbym, aby moja żona robiła coś niezgodnego z prawem.

— Czy orientuje się pan, kto poddał Zosi tę myśl?

— Nie, ale chętnie bym z tą osobą porozmawiał. — Groźbę wypowiedział lodowatym tonem. — Oczywiście chcę wierzyć, drogi sąsiedzie, że to nie pana dom jest wylęgarnią buntu.

— Wie pan, że wśród książek Zosi znaleźliśmy podręczniki do nauki polskiego?

— Pewnie dostała je, kiedy jeszcze nie wiedziała, że się tej idei sprzeciwiam. Jak już wspominałem, byliśmy z Zofią całkowicie...

— Cóż, bardzo panu dziękuję. Odpowiedzi pańskie zanotowałem i przekażę je śledczemu.

Wacław usiłował skinąć głową, ale uniemożliwiła mu to sztywność karku, będąca niewątpliwie następstwem wczorajszej kolacji.

— Życzenie, aby goście i domownicy pozostali w pałacu do przyjazdu policjantów z Poznania dotyczy również pańskiej siostry, a także jej pokojówki.

— To zrozumiałe, że moja siostra tu zostanie, skoro zostają ja.

— Oczywiście panna Paulina będzie musiała odpowiedzieć na kilka pytań urzędników.

Bonikowski usiłował nabrać powietrza, a Tadeusz pospieszył z zapewnieniem.

— Wacławie, jestem pewien, że to czysta formalność. Kilka pytań.

— Ja się nie zgadzam!

Jan był uprzejmy przypomnieć troskliwemu bratu:

— Rodzina pośła powinna również dawać przykład. Zresztą jestem pewien, że ze względu na zajmowane stanowisko będzie pan mógł brać udział w rozmowie z pana siostrą.

Wacław zacisnął zęby, ale już nie protestował. Tadeusz po raz pierwszy od kilku minut się rozluźnił.

— Dziękuję ci, Wacławie, za zrozumienie. Pewnie Franciszek już cię poinformował, że obiad będzie niestety znowu raczej skromny.

— Tak, słyszałem. Nie ukrywam, że nie podoba mi się to. Mam delikatny żołądek i potrzebuję ciepłych lekkostrawnych dań podawanych o regularnych porach. Ale skoro tutejsza służba nie potrafi przygotować normalnego posiłku...

Wyszedł.

— Tadeuszu, ja wiem, dlaczego on postanowił wyjechać.

— Naprawdę?

— Tak, to przez to, że trzeci dzień z rzędu nie dostaje prawdziwego obiadu.

Coś na kształt uśmiechu przemknęło przez twarz Tarnowskiego.

— Myśl, że być może mamy tu podwójnego mordercę nie wpłynęła negatywnie na jego łakomstwo.

— Właściwie, skoro będzie następny, to powinien najeść się na zapas, nie sądzisz?

Zaśmiali się obaj.

— *À propos* podwójnego mordercy, czy przyszło ci do głowy, że być może do Karola strzelała inna osoba niż ta, która zabiła Zosię?

— Co takiego?

— Rozważam albo współdziałanie dwóch osób, albo taką wersję, że ktoś zamordował Zosię, a do Karola strzelał ktoś inny, kto uważa, że w ten sposób chroni mordercę. — Jan spojrział z zainteresowaniem na przyjaciela. Tadeusz patrzył w bok i bezmyślnie składał w harmonijkę leżącą na blacie kartkę. — Czy mogę ci zadać pytanie osobiste?

— Pytaj.

— Czy wszystko dobrze z Julią? Widziałem ją dzisiaj i wydawało mi się, że jest bardzo spięta.

Słyszałem też, że płakała wczoraj.

— Tak, coś jest nie tak, ale nie mogę ci powiedzieć, co, bo sam nie wiem.

— Przepraszam, że pytałem.

Tarnowski nie zwrócił uwagi na przeprosiny. Wstał, podszedł do okna i wpatrywał się w zaśniewany krajobraz.

— Źle sypia, dręczą ją koszmary, przecucia. Mówi zagadkami. Zawsze była skryta, ale wobec innych. Przede mną nie miała tajemnic. A teraz... stała się dla mnie nieprzejrzysta. Obca.

— I te dziwne słowa dziś rano. Pytałeś ją o ich znaczenie?

Tadeusz na ułamek sekundy spojrzął na Jana.

— Powiedziała, że pewnie się myliła. I to wszystko.

Nagle w cichym pokoju rozległo się szczęknięcie zębami. Jan uniósł głowę zdumiony.

— Jak sobie pomyślę, że ona tu jest. W domu. Razem z mordercą. Że coś jej może grozić. Mojej małej Julii. Co ja mam zrobić, Janie? Chciałbym stróżować pod jej drzwiami. Jak pies. — Tarnowski po chwili odzyskał równowagę lub jej pozory. Wyprostował się i posłał Janowi sztuczny uśmiech. Gorzki. W założeniu uspokajający. — Chodźmy lepiej na obiad.

— Ty idź. Dołączę do ciebie. — Jan podszedł do drzwi. — Idź i popatrz na Wacława, jak przez ciebie niszczy sobie delikatny żołądek.

Wrócił do siebie. W poszukiwaniu natchnienia wyciągnął szkatułkę Zosi, otworzył ją i rozłożył zawartość na stole. Listy, pamiętnik, kartki, pierścionek, róża. Wziął do ręki pierścionek i zaczął go oglądać. Wewnątrz dostrzegł zamazany napis i próbował go odczytać.

Na korytarzu rozległy się głosy i Jan rozpoznał śmiech pokojówki hrabiny. Przesunął się na krześle i z kieszeni wypadł klucz od pokoju Zosi. Spojrzął na podłogę. Może to znak, że tam jest rozwiązanie. Wyszedł ze swojej sypialni i ruszył w stronę prywatnej części domu. Otworzył drzwi dziewczęcej sypialni.

W środku było cicho i jasno. Spokojnie. Usiadł przy biurku. Starał się ją sobie wyobrazić. Rozwahał motywy mordercy. Podszedł do biblioteczki. Wśród książek zauważył *Ogniem i mieczem*. Często czytane. Było także *Bez dogmatu*.. Pomyślał, że zupełnie do niej nie pasuje. Tak, strony przecięte tylko na początku.

Ruszył w stronę szafy i zabębnił palcami o przód mebla. Coś go tknęło. Poczł niepokój. Otworzył drzwi, odsunął ubrania na drążku i wyciągnął pudła. I jeszcze nim podniósł podłogę szafy, czuł, wiedział, co zobaczy.

Skrytka była pusta.

Kto miał klucz do pokoju? Kto zabrał opakowanie?

Wyszedł. Zamknął drzwi i boczną klatką schodową ruszył na dół. Nie miał żadnego planu działania, żadnego pomysłu. Plan sam wszedł mu w oczy.

— Witek! Widziałeś Franciszka?

Chłopak niósł drewnianą skrzynkę, więc zamiast jak zwykle podbiec, odkrzyknął tylko:

— Jest w jadalni.

Franciszek zbierał ostatnie naczynia. Stropił się na widok Jana.

— Właśnie wszystko odniesiono do kuchni...

— Musimy porozmawiać.

— Chodźmy do mnie. — Ruszył w stronę męskiego kredensu.

— Co z pistoletem?

— Jest, był na miejscu. Zaniósłem go do kancelarii, do kasy ogniotrwałej. Nie chcę go mieć, dopóki to wszystko się nie wyjaśni.

Jan skinął głową z aprobatą.

— Kto ma klucze do pokoju panny Zosi?

— Przecież pan zabrał.

— Kto jeszcze?

— Pewnie Maria. Tak, na pewno Maria.

Jan czekał.

— Pan Tadeusz chyba też miał u siebie w gabinecie. Taki pęk do wszystkich zamków.

— Czy byłś dzisiaj w pokoju pana Wacława?

— Nie.

— A kto tam sprząta?

— Jadźka, jedna z pokojówek.

— Spróbuj się dowiedzieć, czy dzisiaj rano nie było w kominku śladów palenia papierów.

— Mam iść teraz?

— Jeśli możesz.

Majordomus wrócił prawie natychmiast.

— Sprząta na górze. Jak zejdzie, to ją zapytam.

— Byłbym zapomniał: widziałem, że rozpalacie w kominkach papierem pakowym.

— Tak, to jest cudowny papier. Z nim jest jak z chlebem nad Jeziorem Galilejskim — cudownie się rozmnaża — zaśmiał się Franciszek. — Te arkusze są w szafie i nikt nie wie, skąd się biorą. Mimo że je stopniowo wykorzystujemy, to zawsze są. Taki cud.

— Rzeczywiście cud. Idę. Jakby pokojówka coś wiedziała o tym paleniu, to proszę, daj mi znać.

— Na pewno nic pan nie zje?

— A są babeczki waniliowe?

— Obawiam się, że nie. Ale pytał pan wcześniej o makowiec i wiem, że kucharka planowała upiec ze względu na pana.

— Wspaniale.

— Sprawdź, czy już jest. Dostarczyć do pokoju?

— O ile nie sprawi to kłopotu...

— Żadnego.

Jan skinął głową i wyszedł.

\*

— Paulinko, rozpakuj się, nie możemy dzisiaj wyjechać.

— Nawet tego nie umiesz załatwić? — fuknęła jak rozłoszczona kotka. — Niezdara!

— To nie jest tak, jak myślisz. Ja sam...

— Co sam, co sam? Czy ty cokolwiek kiedykolwiek sam?

— To ja osobiście i z własnej woli dla dobra śledztwa podjąłem decyzję, że zostajemy do jutra.

— Mam w nosie dobro śledztwa.

W Wacławie natychmiast obudził się kaznodzieja.

— To bardzo niedobrze. Właściwie przeprowadzone śledztwo i ukaranie sprawcy utrwala fundamenty...

— Wyjeżdżamy stąd. Teraz!!!

— Paulinko, oczywiście jeśli nie masz ochoty posłuchać o znaczeniu policji w nowoczesnym państwie, to ja zamilknę.

— Zrób to.

Jej głos ciął jak brzytwa. Natomiast on był wyrozumiały dla słabości kobiecego umysłu.

— Nie wymagam od ciebie zrozumienia doniosłości tych kwestii. Młode damy mają inne zainteresowania.

— Ja tu nie zostanę, rozumiesz? Otruła Zosię, ja mogę być następną!

— Kto, ona?

— Jak to kto, ty idioto? Pani tego domu oczywiście.

— Przecież nie ona strzelała do Karola. Pistolet nie jest narzędziem zbrodni stosowanym przez kobiety. Według ustaleń ministerstwa w Berlinie, kobiety najczęściej...

— A czy ministerstwo podało, kto otruł Zosię? Idź do landrata!

— Właśnie próbuję ci powiedzieć, że landrat wyjechał. Jutro wieczorem...

— Wyjechał? Cudownie. Nikt nie będzie nas zatrzymywał. Jesteś spakowany?

— Nie możemy wyjechać. Landrat zakazał komukolwiek opuszczać pałac do czasu przyjazdu policji kryminalnej.

— Ciebie nie dotyczą zakazy byle urzędasza.

— Niestety, musimy zostać.

— Ja wyjeżdżam.

— Śledczy będzie chciał z tobą rozmawiać.

— Wiedziałam — chcą mnie oskarżyć!

— Paulinko, nie denerwuj się, on ci zada tylko kilka pytań. To zwykła formalność.

— A ten oficer śledczy? Ty go znasz? Jest miły?

— Jest bardzo miły. A jak ciebie zobaczy, to będzie jeszcze miłszy.

— Mam nadzieję, że miłszy niż ten gburowaty Jan.

— Paulinko, powinniśmy zostać z jeszcze jednego powodu.

— Nie chcę nic słyszeć, źle się czuję, mam migrenę.

— Twój narzeczony jest ranny, nie powinnaś stąd wyjeżdżać.

— Przecież byłeś niezadowolony, że on za mną lata. Choć, Bóg mi świadkiem, niczym go do tego nie zachęcałam.

— Wtedy byłem niezadowolony, bo był spadkobiercą tylko połowy majątku Tarnowskich, a teraz po śmierci Tadeusza odziedziczył wszystko.

— Nie chcę myśleć o pieniądzach — jestem ponad to. Zresztą musimy zostać — dodała płaczliwie, jak ktoś osłabiony chorobą — bo jestem w takim stanie, że nie mogłabym podróżować.

Rozległo się łkanie. Waclaw wyszedł na korytarz. Szloch ucichł.

— Rozpakuj to, słyszałaś, że zostajemy — rzuciła ostro do pokojówki subtelna i cierpiąca Paulinka.

— I pomóż mi się rozebrać, chcę się położyć. I nikogo nie wpuszczaj. Mam migrenę.

\*

Jan wyszedł z wnęki przy sypialni Pauliny i ruszył szybko w kierunku swego pokoju. Zatrzymał się na korytarzu kilka minut wcześniej, gdy usłyszał głos Waclawa. A potem już nie odszedł. Wyrzuty sumienia uspił przypomnieniem, że to wszystko dla dobra śledztwa — sam Waclaw przecież tak powiedział.

Wszedł do swojej sypialni. Rozległo się pukanie i pojawił się Witek z tacą, na której niósł talerz z makowcem, dzbanek z kawą, mlecznik, cukiernicę, filiżankę i talerz.

— Masz chwilę? — spytał chłopaka.

— Jasne.

Witek już dawno uznał Jana za swojego, a oznaką było to, że przestał się przy nim silić na ów wyrafinowany sposób mówienia, polegający na nadużywaniu strony biernej.

— Siadaj. Lubisz makowiec?

Chłopak usiadł na brzeżku krzesła i kręcił się niespokojnie.

— Pan pyta. Uwielbiam! A lubić to lubię wszystko.

— To jedz.

Chłopak siedział zdumiony z podstawkiem od filiżanki w ręku.

— Przecież nie będę jadł sam — zachęcił go Jan.

Dał swemu gościowi kawałek ciasta, nałożył też sobie i zaczął jeść. Makowiec miał cieniuteńką warstwę ciasta i mnóstwo masy makowej. Wilgotnej, pełnej rodzynek i suszonych śliwek. Po zjedzeniu pierwszego kawałka nałożył sobie drugi. Witek nadal nie jadł.

— Jeśli nie będziesz jadł, to ja zjem wszystko i na pewno mi to zaszkodzi.

Odgryzł wielki kawał i się nim delektował. Witek w końcu zaczął jeść. Najpierw starał się jeść elegancko, ale po chwili dał sobie spokój i po prostu cieszył się wspaniałym ciastem. Nagle zauważył leżącą na stole książkę Conan-Doyle'a. Jan wyjaśnił:

— To ulubiona książka Mateusza. Kryminał.

— Ja czytam *Piętnastoletniego kapitana*. Pożyczył mi pan Franciszek. Ma wszystkie książki Verne'a. Uwielbia je. Mówi, że przypominają mu stare czasy.

Jan wrócił do mniej przyjemnej rzeczywistości.

— Mówiłeś, że rano widziałeś światło u Wacława. Byłeś dziś u niego?

Chłopak przytaknął.

— Były ślady w kominku, że coś palił?

— Nie, ale w koszu było pełno kartek. Nie ma ich już, Jadźka spaliła.

— Szkoda. Jest szansa, że spojrzę na te papiery?

— Nie. Ona nie taka. Ta od hrabiny, to by przeczytała. Zwłaszcza jak by to było od panny Pauliny.

— Chodzi o Karola? — Jan dołożył obu makowca.

— Kocha się w nim na zabój. On niby jej unika, ale kiedyś wcześniej rano słyszałem ich w szwalni.

Uśmiechnął się znacząco, a Jan odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem.

— Powiedz mi, dostajecie dużo paczek?

— Nie, raczej nie.

— Pytam, bo widziałem, że na rozpałkę wykorzystujecie papier pakowy.

— To nie poczta. To z miasta przyjeżdżają. Czasami towar przysyłają właściciele składów, a czasami pani Maria jedzie na zakupy. I niektóre paczki są w takim papierze.

Chłopak oswoił się już z niecodzienną sytuacją, przestał krępować i jadł co najmniej tak samo szybko jak Jan.

— Czekam na rozmowę z dwiema paniami: Julią i Marią.

— Pani Julia jest cudowna, choć trochę dziwna. Wie pan, że ona się ciągle kąpie? I to we wrzątku? I do tego czyta w wannie! Najważniejsze, że zawsze jest zadowolona, nigdy o nic nie ma pretensji. — Na chwilę zamilkł. — Od kilku dni jest jeszcze dziwniejsza: płacze, wstaje o innych godzinach, siedzi na schodach pod portretem poprzedniej pani...

— Pani Maria to całkiem inna osoba. — Jan miał nadzieję zachęcić Witka do zwierzeń.

— Też miewa dziwne pomysły. Tak jak z tą służącą. Najpierw sama ją zatrudniła, a potem uparła się, żeby ją zwolnić.

Na korytarzu rozległ się dzwonek. Lokaj się zerwał.

— Muszę bieć. — Przy drzwiach odwrócił się i zaszurał nogami. — Dziękuję za podwieczorek. Ależ z pana człowiek.

Jan zaśmiał się i kiwnął mu ręką.

Zebrał drobinki maku z półmiska, zbił je w jeden kawałek i zjadł. Dopił kawę — czas na rozmowę z Marią.

Liczył na to, że na dole spotka kogoś, kto pomoże mu ją odnaleźć. Niestety, nikogo nie było, znikąd też nie dochodziły jakiegokolwiek odgłosy. W gabinecie także było pusto. Zadzwoił i po chwili pojawiła się pokojówka, chyba Teresa.

Czekając na ochmistrzynię, Jan usiadł na parapecie i rozglądał się po pokoju, w którym spędził tyle

czasu. Jego wzrok przyciągnął wiszący między szafami gobelin przedstawiający scenę z turnieju rycerskiego. Wstał i podszedł bliżej. Dotknął tapiserii i zamiast muru wyczuł za materia drewno. Odsunął tkaninę i zobaczył trzecie drzwi z gabinetu. Nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Przekręcił tkwiący w zamku klucz i delikatnie popchnął skrzydło. Znalazł się w holu. Z tej strony przejście było starannie ukryte jako panel boazerii pod schodami. Janowi przypomniało się, że lada chwila do gabinetu może wejść Maria, a nie chciał, aby zdawała sobie sprawę z jego odkrycia. Wrócił do gabinetu w samą porę. Gdy tylko przywrócił gobelinowi poprzednie ułożenie, usłyszał symboliczne pukanie, boczne drzwi się otworzyły i weszła ochmistrzyni.

Jan zaczął pokojowo.

— Przepraszam, że odrywam panią od obowiązków, ale...

— Słucham pana — ucięła ostro. Najwyraźniej chciała, by przeszedł od razu do rzeczy.

— Czy orientuje się pani, które z osób przebywających w pałacu potrafią strzelać?

— Pan Tarnowski i pan Karol. Pani Julia potrafi, ale chyba tylko do tarczy. Uwielbia strzelać panna Bonikowska.

— A jej brat?

— Tu zdania są podzielone. On twierdzi, że tak, wszyscy inni, że nie

— Czy ktoś ze służby strzela?

— Franciszek najlepiej, pozostali trochę.

— A pani?

Małe zawahanie.

— Potrafię.

— Przypuszczamy, że strzał oddano z jednego z pistoletów Tadeusza, gdyż jest to jedyna brakująca broń. Widziała ją pani kiedyś?

Jan wstał i z szafy na broń przyniósł kasetę z pistoletami. Położył ją na biurku i uniósł wieko, demonstrując ochmistrzyni częściowy brak zawartości pudełka.

— Kasetę widywałam. Pistoletów nie.

— Czy orientuje się pani w planach małżeńskich pana Bonikowskiego?

— Był przecież zaręczony z panią Zosią?

— Obecnie pan Wacław zamierza się ożenić z panną Sawicką. Czy coś pani o tym wiadomo?

Zasznurowała usta.

— Zauważyłem, że pani Julia jest przygnębiona, rozdrażniona. Wspominała, że nie może spać, dręczą ją dziwne sny.

— Nie można zestawiać zachowania pani Julii z zachowaniem innych kobiet, bo na ich tle prezentuje się odmiennie.

— Pewne reakcje są zaskakujące nawet jak na nią. Na przykład wybuch płaczu przy kolacji.

— Kobietom zdarza się płakać, zresztą to nic dziwnego — w domu popełniono morderstwo, co przy jej nadwrażliwości musiało być wstrząsem.

— A jej słowa po znalezieniu Karola: „To przecież niemożliwe, to nie ma sensu”?

— O to proszę spytać ją — nie ja to powiedziałam.

— To może wyjaśni pani sens swoich słów skierowanych do Tadeusza: „Niech pan lepiej pilnuje żony”.

— Niczego nie będę panu tłumaczyć.

— Zapewne wie pani, że pojechałem do miasteczka, aby spotkać się z aptekarzem, który dostarczał proszki dla Zosi.

Nawet nie mrugnęła okiem.

— Przed wyjazdem Tadeusz poradził mi, abym porozmawiał z panią, bo pani zna Weichertę najdłużej.

— Być może.



— Aptekarz to potwierdził. Dowiedziałem się przy okazji, że pan Weichert opuścił poprzednie miejsce pobytu w niejasnych okolicznościach. Zarzucano mu, że wyparł się brata więzionego za działalność niepodległościową, albo że otruł jedną z pacjentek. Czy coś pani o tym wie? — Jan przyjrzał się, czerwonym plamom pojawiającym się na policzkach ochmistrzyni. — Za tym pierwszym przemawia entuzjastyczna opinia, jaką Weichertowi wystawił landrat, uznając go za lojalnego poddanego, co dla Polaka nie jest komplementem.

— Niestety, nie mogę rozwiać pańskich wątpliwości — opanowała się. — Moja znajomość z panem Weichertem jest powierzchowna i pochodzi z bardzo odległych czasów. Sprzed wydarzeń, o które panu chodzi.

— Z tak odległych, że przyjęła pani do służby w pałacu dziewczynę tylko dlatego, że on ją przysłał? A potem uparła się pani, aby ją zwolnić, mimo że dowody przeciwko niej były słabe?

Strzał był celny, chyba nie wiedziała, że on wie.

— Znalezione w pobliżu jej pokoju skradzione przedmioty to są słabe dowody? A co jest dla pana pewnym dowodem? Złapanie na gorącym uczynku? Nic dziwnego, że nie może pan znaleźć mordercy Zosi.

Po tym ataku Jan poczuł się upoważniony do bezpardonowej walki.

— Zainteresował mnie papier, który wykorzystujecie na rozpałkę, a który widziałem też u aptekarza. W szafce z truciznami.

— Każdy ma prawo posiadać papier pakowy.

— Nie mówiłem, że chodzi mi o papier pakowy.

Popełniła błąd, na który liczył i który od razu wykorzystał. Uświadomiła to sobie.

— Przecież wiem, czym palimy w kominkach.

— Używacie różnych papierów. — Jan zdecydował się na zagrywkę pokerową. Po minie poznał, że nie chybił. Obserwował jej zdenerwowanie z satysfakcją i dorzucił lekkim tonem: — Taki sam papier widziałem w pokoju Zosi wczoraj przed swoim wyjazdem, a dzisiaj, proszę sobie wyobrazić, już go nie ma. A pokój był przez ten czas zamknięty.

— Nie rozumiem, po co mi pan to mówi.

— Może dlatego, że poza kluczem, który mam w kieszeni istnieje co najmniej jeszcze jeden klucz, który posiada pani.

Kurczowo zacisnęła usta i odwróciła głowę w bok. Jan niespodziewanie się podniósł i stanął przodem do okna. Serce biło mu tak mocno, że czuł ogień na twarzy. Przypomniał sobie, że po przeszukaniu pokoju Julia tam poszła i wybierała ostatnią suknię dla Zosi. Na szczęście Maria najwyraźniej o tym zapomniała.

— Jeszcze chwila i oskarży mnie pan o zamordowanie Zosi.

— To ciekawy pomysł. I ciekawe jest to, że wpadła na niego pani.

— Czy do pana Karola też strzelałam?

— Pani powinna wiedzieć, co wtedy robiła.

— Byłam w kuchni, już to ustaliliśmy.

— Niczego nie ustaliliśmy. Pani tak powiedziała, a ja nie zaprzeczyłem. Natomiast nikt tam pani nie widział.

— Ta rozmowa nie ma sensu.

— Zazwyczaj rozmowa nie ma sensu, gdy jedna ze stron... mija się z prawdą lub robi uniki.

— Muszę wracać do swoich zajęć.

— Jeszcze tylko jedna kwestia. — Maria szła w stronę wyjścia. — Czy nie orientuje się pani... — doszła do drzwi — kto podsunął Zosi pomysł z nauką polskiego? — Zamarła z ręką na klamce. — Albo skąd brała podręczniki? — wyszła i zamknęła drzwi.

Jan chodził po gabinecie.

Początkowo Maria współpracowała, kilkakrotnie dostarczyła przełomowych informacji. Suknia

hrabiny, kłótnia Waława z Zosią. A każda z tych rzeczy obciążała kogoś. Czyli odsuwała podejrzenia od niej samej. Oraz od rodziny.

Julia trzęsącymi się rękoma rozkładała karty taroka. Przerwała na chwilę i przyglądała się dłoniom — mimo panującego w pokoju ciepła, były sine, a końcówki palców prawie białe i bez czucia. Na moment włożyła dłonie w najcieplejsze miejsce pod pachami, ale to nie pomogło. Zaszczękała zębami.

Wróciła do wróżenia i nagle jednym ruchem zrzuciła karty na podłogę. Niczego jej nie wyjaśniały. Potarła zaczerwienione z niewyspania oczy. Błada, przezroczysta. Jak duch. Weszła do sypialni i w całkowitej ciemności położyła się na łóżku. Zwinęła się jak niemowlę w kłębek, ręce w obronnym geście skrzyżowała na piersi, zamknęła oczy.

Naraz zaczęła płakać zduszonym szlochem. Ukucnęła, schowała głowę na kolanach, objęła się ramionami. Ciałem wstrząsały spazmy. Wróciła do buduaru. Odłamała z ciasta kawałek kruszonki, za którą zwykle przepadała, i zjadła kilka okruchów. Zaczęła się gwałtownie krztusić.

Uspokoiwszy się, podeszła do kominka. Dotknęła delikatnie opuszką palca zdjęcia Tadeusza. Z oczu popłynęły łzy. Wyszła z pokoju i ruszyła przed siebie. Zatrzymała się przed drzwiami dawnego pokoju swojej teściowej. Na twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

Zapukała. Drzwi otworzyła pokojówka. Zdziwiła się na widok Julii, ale natychmiast uśmiechnęła.

— Przyszła pani Julia.

— Julia? Naprawdę?

W głosie hrabiny brzmiało niedowierzanie. Rozjaśniła się i wyciągnęła ręce do niespodziewanego gościa.

— Dziecko, co się stało?

— Nic się nie stało. Przyszłam panią odwiedzić, sprawdzić, jak się pani czuje.

Mówiła sztucznie ożywionym tonem i Kareńska wyczuła to od razu.

— U mnie już, dzięki Bogu, lepiej. Zwłaszcza odkąd moja rana została oczyszczona. Wiesz oczywiście o wszystkim?

— Nie. A co się stało?

Nie wiadomo, która z nich była bardziej zdziwiona: Julia, słysząc o oczyszczonej ranie, czy hrabina na wieść, że Tadeusz dochował tajemnicy. Kareńska uznała, że skoro już zaczęła ten temat, to powinna Julii o wszystkim opowiedzieć.

— Twój mąż i młody Jan byli dla mnie bardzo dobrzy, bardzo wyrozumiali — zakończyła swą opowieść.

Julia miała w oczach łzy wzruszenia nad tragedią tylu osób, ale po ostatnich słowach uśmiechnęła się tym swoim nieobecny uśmiechem. Kareńska patrzyła na nią, po czym dodała:

— Masz wspaniałego męża.

Julia siedziała z przyklejonym uśmiechem, od którego hrabinie ścisnęło się serce. Baczny wzrok Kareńskiej wyraźnie niepokoił panią domu, bo wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Hrabina wytrzymała tę nerwowość przez chwilę.

— Ja ci opowiedziałam. Opowiedz mi i ty. Coś cię zdenerwowało?

— Chyba tak, ale nie potrafię wyjaśnić, co.

Hrabina przez chwilę przyglądała się Julii wyłamującej palce. Ze spuszczoną głową przypominała

dziecko, które stanęło przed problemem i nie umie sobie z nim poradzić.

— Kiedy tu przyjechałam, patrzyłam na ciebie i Zosię i nie mogłam się nadziwić, że ją lubisz.

— Dlaczego? Przecież była taka dobra, taka prawa.

Julia wreszcie usiadła.

— Ja nie widziałam tego. Dla mnie ważna była tylko moja uraza, moja złość. I moja zazdrość, że ktoś mi zabiera Michała.

— Ona na pewno go nie zabierała — powiedziała Julia żarliwie. — Na pewno kochał panią tak samo.

Teraz hrabina odwróciła głowę w bok.

— Od pierwszej chwili widziałam, że ją kochasz. Tak jak widziałam od razu, że nie lubisz jej brata.

— To prawda, że go nie lubię. — Julia nie dosyć, że splotła ze sobą palce obu dłoni, to dodatkowo skręciła przeguby rąk. — Od samego początku. Zupełnie bez powodu. Tego też nie umiem wyjaśnić.

— Na wschodzie miałam z nim niewielki kontakt, mimo że trzymali się razem z Michałem, zwłaszcza po... zaręczynach z Zosią. Pamiętam, jak szalała dla Karola ta chora dziewczyna. Młody Rusiecki się podobał, nic dziwnego, że Bonikowska zwróciła na niego uwagę.

— Pasują do siebie. Są tacy... bezwzględni. — Julia zmarszczyła czoło. — Ona czasami sprawia wrażenie, jakby jej na Karolu nie zależało.

— Teraz, po śmierci Zosi, już go nie odstąpi. Jakby nie było, on odziedziczy cały wasz majątek, także to, co przypadłoby Zosi.

Julia opuściła głowę, a hrabina nie zwróciła uwagi na własną niedelikatność.

— A pamiętasz ten feralny wieczór, tę kolację przed morderstwem? Ja zaczęłam, że Rusieccy są niestali w uczuciach, że się zakochują i odkochują, pamiętasz?

Julia przytaknęła bez przekonania. Chyba jeszcze nie doszła do siebie po tym, jak hrabina, wspominając o adopcji Karola, przypomniała jej o braku dzieci. Kareńska niczego nie zauważyła i szarżowała dalej:

— Posłuchaj, co wyszło: Bonikowski od jakiegoś czasu prowadził pertraktacje z Sawickimi w sprawie zaręczyn z ich córką.

— Przecież on i Zosia...

— Właśnie. Ponoć on stoi na skraju bankructwa.

— Posag Zosi...

— Byłby niewystarczający. Tamta ma o wiele, wiele więcej.

— Jaśnie pani — z bocznego pokoju wyszła pokojówka — ja na chwilę zejść na dół. Dobrze?

Hrabina przyzwoliła z westchnieniem i dodała:

— Same kłopoty z tą służbą.

— Ale ona jest taka przyjemna.

— Zakochała się. I nie zgadniesz, w kim. Moim zdaniem w Karolu. Ciągle gdzieś znikła i myślałam, że durzy się w którymś z lokai. Kiedy dziś rano po tym strzale tak zawodziła, dotarło do mnie, że to w nim się zakochała. Zaczęłam ją wypytywać i przyznała, że go kocha bardziej niż życie i że dla niego wszystko. Cokolwiek to znaczy.

— Miłość nie wybiera.

To był cały komentarz Julii.

— Śmiać mi się chce, jak pomyślę, z kim ta Paulinka współzawodniczy w walce o względy Karola. A jak wasze poszukiwania tej złodziejki?

— Ona nie była złodziejką. Nie wiem, dlaczego te rzeczy tam znalezione, ale ona ich nie ukradła.

— Nie denerwuj się. Myślałam, że jej to udowodniono.

— Nic jej nie udowodniono. A tego, co teraz najważniejsze, czyli leków, w ogóle tam nie było.

Była tak napięta, że szczykała zębami. W końcu nerwy nie wytrzymały i Julię ogarnęły spazmy szłochu.

— Co się dzieje, maleńka? — hrabina gładziła Julię po włosach, a ona nagle zaczęła się histerycznie

śmiać.

— Nic. Zupełnie nic. To tylko te ostatnie dni.

Tu nastąpił kolejny wybuch śmiechu, jeszcze bardziej szalonego. Kareńska głaskała Julię po dłoni.

— To zrozumiałe, moja kochana. Ale to już nie potrwa długo, ja wierzę w Jana. On znajdzie tego, kto zabił Zosię.

— Niektórzy opowiadają takie śmieszne rzeczy. Proszę sobie wyobrazić, że Wacław uważa Tadeusza za mordercę, słyszała pani kiedyś coś równie wymyślnego?

Hrabina zmarszczyła czoło. Wstała, wolno podeszła do swojego poprzedniego miejsca i usiadła. Siedziała zaniepokojona, nie patrzyła na Julię. Coś rozważała.

— Pani Maria pytała o panią Tarnowską. — Wróciła pokojówka.

— Mówiła, co się stało?

— Chciała coś z panią skonsultować. Chodzi chyba o kwiaty dla panienki Zosi.

Hrabina wymownym ruchem brwi dała służącej do zrozumienia, że powinna wyjść i dziewczyna przeszła do bocznego pokoju.

Julia wstała w miarę już opanowana i dodała z przekąsem:

— Niestety, pan poseł nie wyjaśnił, po co Tadeusz miałby zabijać Zosię. — Ruszyła w stronę drzwi, a przed wyjściem odwróciła się do milczącej nadal Kareńskiej: — No i nie powiedział, kiedy. Przecież Tadeusz poszedł do Zosi tylko na chwilę, żeby jej zanieść mój diadem.

Z chichotem wyszła, pozostawiając przyjaciółkę swej matki siedzącą ze splecionymi dłońmi i z rozpaczą na twarzy.

\*

Julia czuła się do tego stopnia wytrącona z równowagi, że od razu poprosiła Marię, aby sama podjęła decyzję. Wracając, w holu spotkała Jana.

— Właśnie pani szukałem. Poświęciłaby mi pani chwilę?

— Oczywiście. Może porozmawiamy w bibliotece?

Weszli tam i Julia wskazała dwa fotele stojące przy stoliku niedaleko okna. Usiedli, a Jan patrzył z niepokojem na jej szarą suknię i szarą twarz.

— Czuje się pani lepiej?

— Tak, dziękuję.

— Mimo że śledztwo przejęła policja, nadal próbuję znaleźć mordercę Zosi. Wiem, że byliście w dobrych stosunkach. Czy Zosia się pani zwierzała?

— Była nieśmiała. A ja... nikomu się nie zwierzam i nie mogę żądać tego od innych.

— Może miała przyjaciółkę? Może z kimś korespondowała?

— Najbliżej była z tą Halszką, narzeczoną Karola. On ją poznał chyba przez Zosię. Przyjaźniły się w szkole. Potem pisały do siebie. Zosia marzyła o siostrze, nawet raz wspominała, że tamta była dla niej jak siostra.

— Szkoda, że nie znaleźliśmy całej korespondencji Zosi.

— Jak to całej?

— Mamy tylko listy z ostatnich kilku miesięcy, to samo z pamiętnikiem. Brakuje poprzednich zapisków.

Nie zareagowała.

— Orientuje się pani, czy Zosia dostawała przesyłki pocztą? Chodzi mi o paczki.

Wpatrywała się w Jana, szukając w pamięci, i nagle nieoczekiwanie zmarszczyła brwi.

— Kiedyś zobaczyłam u niej paczkę, niewielką. Powiedziałam, ot tak: dostałaś paczkę. A ona się zarumieniła. Pomyślałam, że może zamówiła coś, czego się wstydzi. Nie chciałam stawiać jej w

krepującej sytuacji i nie pytałam dalej. Zwróciłam na tę paczkę uwagę, bo sznurek był w pięknym kolorze. Szmaragdowy.

— Czyli zielony?

— Można tak powiedzieć.

Jan postanowił trochę się nad sobą poużalać, licząc, że czegoś się dowie od współczującej Julii.

— Cały czas mam wrażenie, że przyczyna śmierci Zosi kryje się w przeszłości. — Nie zareagowała.

— A do tego płacze mi się tu jeszcze ta sprawa polskich podręczników i tego pomysłu Zosi, że będzie uczyć dzieci. Chciałem wykluczyć związek morderstwa z tym wątkiem, ale nie udaje mi się ustalić, kto podsunął jej ten pomysł. Nawet nie wiem, kto prowadzi naukę tutaj.

— Wiele lat temu zaczęła to mama Tadeusza.

— A teraz?

Popatrzyła na niego bezradnie.

— I jeszcze ten Karol. Wspominała pani, że nie mogła spać tej nocy. Może widziała pani kogoś?

Pokręciła przecząco głową.

— Nikt nikogo nie widział, nikt nie ma alibi.

— Ja też nie.

— Nikt. Nikt też nie przyznaje, że zabrał klucz z bocznych drzwi wyjściowych. Nikt nie wierzy, że to możliwe, bo przecież ten klucz zawsze jest. A jak próbowałem ustalić, kto potrafi strzelać, to okazało się, że można by tu koszary otwierać. Do tego, jakby mało było skradzionego pakietu z lekami Zosi, teraz zaginął pistolet Tadeusza z szafy w gabinecie. Tadeusz nie wspominał?

— Nie, nic nie mówił.

— Brakuje jednego z pistoletów pojedynkowych. A sprawa tej kradzieży skomplikowała się jeszcze bardziej, bo odkryłem, że z gabinetu można łatwo wyjść do holu, nie narażając się na spotkanie kogokolwiek w bocznych korytarzach. Zna pani to przejście?

— Za arrasem? — Jan przytaknął. — Tak, oczywiście. Znam je.

— A kto jeszcze o tym wie?

— Domownicy. I służba.

Rozłożył bezradnie ręce.

— Sama pani widzi. Przy każdym tropie krąg podejrzanych rozszerza się natychmiast do kilku osób. Próbowałem zebrać te wszystkie wiadomości, podejść do tego metodycznie, ale nic.

— Niech pan spróbuje niemetodycznie. — Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał jej radę. — Skoro jeden sposób zawiódł, to niech pan zrobi na odwrót.

— Nie mam przeczuć, jak pani. A proroczych snów mogę tylko pozazdrościć.

— Niech pan nie zazdrości. To nie dar, to przekleństwo.

Ostatnie zdanie wypowiedziała zrozpaczonym głosem. Jana ogarnęła litość na widok jej cierpienia, ale starał się kuć żelazo póki gorące.

— Pani Julio, co znaczą słowa: „To niemożliwe. To bez sensu”?

— Nie mogę powiedzieć. Nikt by mi nie uwierzył.

Opuściła głowę i ruszyła w stronę drzwi. Zawołał ją, ale nie zareagowała. Wyszła.

Jan jeszcze przez chwilę siedział pogrążony w smutnych myślach. W końcu ruszył do siebie. W korytarzu spotkał pokojówkę hrabiny.

— Pani pyta, czy mogłaby z panem zamienić kilka słów.

— Oczywiście, już idę — zgodził się Jan, spiesząc śladem Anetki.

Kareńska czekała niecierpliwie.

— Przejdę od razu do rzeczy — oznajmiła wprost po wyjściu pokojówki. — Kilkanaście minut temu była u mnie Julia. Martwię się o nią. Coś ją dręczy.

— Próbowała się pani dowiedzieć, co?

— Nie odpowiedziała mi.

— A słyszała pani, że dzisiaj rano pani Julia prawie równocześnie z Tadeuszem pojawiła się na ganku?

Hrabina zaprzeczyła zdumiona.

— Rozumiem zatem, że nie zna pani jej słów? Powtórzyła je tam wielokrotnie: „To niemożliwe, to nie ma sensu”.

— O co mogło jej chodzić?

— Nie wiem. Pytałem, nie odpowiedziała. Pytałem też Tadeusza. Powiedział, że nie wie.

Kareńska poczuła się w obowiązku objaśnić Jana, tak jak bliski krewny tłumaczy się z dziwactw swej rodziny przed dalszymi znajomymi.

— Pewnie nie umie wyjaśnić tych słów. Ona wierzy we własne przeczucia i ignoruje fakty.

— Zachęcała mnie do tego samego.

Uśmiechnęli się do siebie, a hrabina przyznała:

— To się od czasu do czasu sprawdza. Przecież wyczuła, że Zosia jest bez skazy i w tym okazała się mądrzejsza ode mnie.

— Wracając do jej słów...

— Wie pan o jej... drugim życiu, tym mniej związanym z rzeczywistością, z naszym światem? Ciekawe, co w nim stworzyła, że strzały do Karola do tego nie pasują?

— Powiedziała mi tylko, że to straszne i że nikt by jej nie uwierzył. Kazała mi się opiekować Tadeuszem.

— Właśnie o tym chciałam z panem rozmawiać. Julia opowiadała mi, że Waław podejrzewa Tadeusza o zamordowanie Zosi. Śmiała się z tego jak z bzdury, ale to był śmiech histeryczny, śmiech osoby na granicy szaleństwa. Byłam przerażona.

Drgnął, bo usłyszał własne myśli. Hrabina zapytała wprost.

— To chyba niemożliwe, prawda? Żeby Tadeusz...?

Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, do pokoju weszła pokojówka z małą tacą.

— Pani lekarstwo, jaśnie pani.

— Proszę wybaczyć starej kobiecie, panie Janie. Zresztą wydaje mi się, że ma pan umysł czymś zaabsorbowany i rad pan będzie zostać sam, by w spokoju pomyśleć.

— Jest pani niebezpiecznie spostrzegawcza.

Uśmiechnął się i wstał, ale Kareńska go zatrzymała.

— Jeszcze chwila, coś mi się przypomniało. Gdy Julia opowiedziała mi, że Waław podejrzewa Tadeusza, to dodała, że jej mąż był tego wieczoru u Zosi. Poszedł tam zanieść dziewczynie ten diadem.

Jan nie zareagował, więc dokończyła:

— Z tego by wynikało, że Tadeusz mógł... hm, miał możliwość... podmienić lek.

Pokiwał głową i nadal nic nie mówił. Przypatrywała mu się zdziwiona, a po chwili zaczęła mrużyć oczy, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. W końcu przerwała ciszę.

— To wszystko.

Uklonił się i wyszedł.

U siebie zaczął chodzić po pokoju od drzwi do okna i z powrotem. Zastanawiał się ponownie, z kim Maria mogłaby stworzyć parę do zbrodni. Najbardziej pasował aptekarz, ale jego przecież nie było w pałacu. Nagle Jan uświadomił sobie, że to wcale nie jest wykluczone. Owszem, Zosię zamordował ktoś, kto był w pałacu. Wieczór, śnieżycy, wiadomo. Jeśli jednak zamieszana jest w to druga osoba, to ten, kto strzelał, nie musiał być z pałacu i nikt nie musiał go widzieć. Dalsze rozważania zostały przerwane, bo Jan dostrzegł, że na stole leży kartka papieru. Pismo rozpoznał od razu. Z zakrętasami. A to znaczyło, że piszącym był Witek, służący z ambicjami, który podpatrzył wytworne litery u aptekarzowej.

*Nie zastawszysz szanownego Pana, sobie pozwalam pismo zostawić. Rozmówiłem się z naszą Jadźką wedle tych papierów. Coś niecoś widziała. Jeśliby to było życzeniem pana, mogę ją pszyprowadzić.*

*Przyjaciół Wielmożnego Pana  
Witold.*

Jan pociągnął za sznur dzwonka.

\*

Witek chyba czekał na sygnał pod drzwiami, bo pojawił się właściwie natychmiast.

— Pan dzwonił?

— Tak, dostałem twój list. Jak się dowiedziałeś, że ona coś wie?

— Ona podziwia mój charakter pisma. Więc dzisiaj zagadałem ją o tym. — Spojrzał na Jana, oczekując pochwały, której Jan mu oczywiście nie poskapił. — Wtenczas jej powiedziałem, że pismo państwa jest trudniejsze do odczytania. A ona przytaknęła, że to prawda, że dzisiaj paliła te papiery, co to były w koszu u pana Wacława i to jego pismo to brzydkie, takie cienkie i pochylone.

— Widziała coś?

— Tylko niektóre słowa.

— Jakie?

— Pomyślałem, że lepiej, żeby pan ją spytał.

— Myślisz? Mnie się będzie krępować.

— Powiedziałem jej, że to może być coś w sprawie śmierci panienci.

— Zgodziła się?

— Nie bardzo. Powiedziała, że będą mieli do niej pretensje, że niby czyta listy państwa. Wytłumaczyłem, że będą pretensje, jak się potem nie daj Boże wyda, że ona wiedziała coś ważnego i nic nie powiedziała. I że nasz pan kazał wszystko mówić.

— Przyprowadź ją tu, ale tak, żeby nikt nie wiedział.

— Przecież ja nie głupi.

Po chwili rozległo się pukanie i Witek wciągnął dziewczynę do pokoju.

— Pan Jan to nasz przyjaciół.

Jan zauważył zaczerwienione oczy Jadźki, więc zwrócił się do niej tak łagodnie, jak tylko potrafił.

— Boisz się mnie?

— Nie, proszę pana. Ale ja tu nie powinnam przychodzić.

— Dlaczego?

— Pani Maria zawsze powtarza, że służącym nie przystoi być w pokoju u panów, od tego są lokaje.

— Możesz tu spokojnie być, bo nie będziemy sami. Przecież jest Witek.

— No niby tak.

— Czemu płakałaś? Może będę umiał ci pomóc.

— Pani Maria będzie się na mnie gniewać. A ja nic złego nie zrobiłam.

Poprowadził dziewczynę pod ramię do stołu i udało mu się ją posadzić na krześle.

— A teraz koniec płaczu i opowiadamy — rzekł z uśmiechem. — Od początku. O co pani Maria może się na ciebie gniewać?

— O plamy na świeżym praniu. Na najlepszym prześcieradle, co to leżało na stercie.

— No i co z tymi plamami?

— Nie wiem, skąd się wzięły. Próbowałam usunąć, ale się nie udało.

— Schowaj to prześcieradło.



— Są policzone.

— Na pewno nie da się usunąć tych plam?

— Niełatwo usunąć plamy z wosku.

Zamarł.

— Z jakiego wosku?

— Z błękitnego. Tego od panienki.

— Aha. A gdzie znalazłaś to prześcieradło?

— W szwalni.

„Znowu szwalnia”.

— Pamiętasz może, kiedy?

— Wczoraj. Ale pranie leżało na stole dwa albo trzy dni.

— Przynieś mi to prześcieradło, powiem pani Marii, że robiłem próby z woskiem. Przepraszę. Mnie nie zwolni.

— Naprawdę mogę przynieść? — nie wierzyła dziewczyna.

— Oczywiście. Dużo tego wosku?

— Takie maciupkie kropeczki. Jakby ktoś pryskał wodą.

Woskiem. Na suknię hrabiny. A przez przypadek też na prześcieradło. Późnym wieczorem, nocą albo bardzo wczesnym rankiem.

Pokojówka się rozpogodziła.

— Dobrze, że to było nasze prześcieradło, a nie hrabiny. Ona wozi ze sobą swoją pościel. Tak się bałam. Teraz pani Maria zwalnia o byle co, tak jak tę dziewczynę, co to niby kradła.

Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

— Jak to niby?

— No, przecież nikt by nie kradł takich rzeczy: starego szala, miseczki, nawet nie ze srebra, kilku monet. W tym domu jest tyle pięknych rzeczy.

— Tylko pani Julia stanęła w jej obronie — prowokował dziewczynę Jan.

— Moja mama mówi, że pani Julia ma nosa do ludzi. I że jeśli powiedziała, że Róża nie ukradła, to nie ukradła.

— Opowiedz lepiej panu Janowi, co widziałaś u pana Waława — pogonił Witek.

— Dzisiaj rano był cały kosz papierów. Nigdy tyle nie było.

— On mówi, że ciągle coś pisze — wtrącił Jan.

— Nigdy nie widziałam, żeby pisał. A dzisiaj kosz był pełen. Pogniecionych kulek. Zapytałam, czy mogę wziąć do spalenia. „Tylko żebyś nic nie czytała”. A potem zaczął się śmiać: „Co ja mówię, taki kocmołuch, jak ty, nawet nie umie się podpisać”. A ja przecież umiem, i pisać i czytać. Wszyscy umiemy.

— Opowiedz, jakie słowa widziałaś — pilnował tempa Witek.

— Nie czytałam, naprawdę. Widziałam tylko niektóre wyrazy. „Droga panno Klotyldo” — to było zawsze na górze, a potem „jestem wolny”, „szczęśliwy”, „ślub nawet teraz”, „nie chcę czekać”, coś o Berlinie. Na końcu „Całuję rączki”.

Jadźkę dręczyło sumienie. Splotła dłonie jak do modlitwy i poprosiła:

— Niech pan nie myśli źle o pani Marii. Może by mnie nie zwolniła. Ona jest dobra, tylko surowa. Wszystko, co umiem, umiem od niej. Jak tu przyszedłam, to nie umiałam nawet kurzu wytrzeć.

Rozległ się dzwonek. Dziewczyna od razu wstała.

— Przynieś to prześcieradło — przypomniał Jan. — Ja wytłumaczę pani Marii.

\*

Morawski uchylił drzwi małego salonu przy sypialni Karola.

— Można?

Chłopak siedział w fotelu i wyglądał zdecydowanie lepiej. Właściwie gdyby nie opatrunek na uchu, nikt by nie pomyślał, że tego ranka próbowano go zabić. Na stoliku przy fotelu stała wielka filiżanka z parującym płynem, z której unosił się silny ziołowy zapach.

— Jak samopoczucie?

— Pani Maria poi mnie swoimi kordiałami. Nie wiem, co w nich jest, ale sądząc po efektach, mogłaby na nich zbić fortunę.

— Pomyślałem, że zrelacjonuję panu, co udało mi się ustalić. I czego ustalić mi się nie udało. O ile ma pan siły i ochotę.

— Oczywiście.

— Uważam, że strzały oddano zza prawego cisu, tej wielkiej kuli. Osoba, która strzelała, zaplanowała miejsce i czas. Usunięto klucz z bocznych drzwi, *notabene* nikt nie zauważył tego braku. Drzwi otworzył Tadeusz, ale nie pamięta, czy klucz tam był...

— Pana Tadeusza nie było w gabinecie, gdy go szukałem.

— Jest kilka wyjść z gabinetu i mamy kłopoty ze stwierdzeniem, kto, gdzie się znajdował. Bez klucza był pan zmuszony wyjść przodem. Strzelano prawdopodobnie z broni Tadeusza, zniknął jeden z pistoletów pojedynkowych. Jeśli się znajdzie, to sądzę, że dopiero, gdy stopnieje śnieg. I nie wiemy, kiedy go skradziono, bo nigdy nie był używany. Następna zła informacja — na ścieżkach nie ma żadnego śladu, bo śnieg został uprzednio odgarnięty. A do tego każdy tu umie strzelać.

W pokoju zapadła cisza. Jan stał, opierając się o parapet, a Karol siedział w fotelu i wyglądał na przygnębionego.

— A co ze śmiercią Zosi? — zapytał.

— Teraz sprawą zajął się landrat.

— Przyjechał?

— Tak. Jutro przyjeżdża policja kryminalna i wierzymy, że sprawa ruszy.

— Mam nadzieję, że pan się nie poddaje?

— Próbuję — podziękował uśmiechem Jan. — A skoro ma pan taką nadzieję, czy mogę zadać panu kilka pytań?

— Oczywiście, jeśli uważa pan, że mogę pomóc.

— Czy do pańskiej siostry przychodziły paczki?

— Kilka razy widziałem u niej jakieś pakunki, ale wiem, że czasem pan Tadeusz, czasem pani Maria kupowali coś na prośbę Zosi, więc to mogły być zakupy od nich.

— A skąd powstał pomysł, żeby pana siostra uczyła dzieci w majątku męża? Kto jej to podsunął?

— Nasz opiekun opowiadał jej kiedyś, że taką naukę rozpoczęła tutaj jego matka — Karol ważył każde słowo. — Zosia ciągle potem pytała o poprzednią panią Tarnowską. Wydawała się pod dużym wrażeniem jej siły. Chyba najwięcej wypytywała Marię. I Franciszka.

Jan bębnił palcami po oparciu fotela.

— Czy zna pan sytuację finansową swego niedoszłego... lub przyszłego szwagra?

— Waclawa? Myślę, że jest bardzo zamożnym człowiekiem. Dlaczego pan pyta?

— Rozważam różne warianty.

Jan ponownie wstał, podszedł do kominka i nie patrząc na Karola, pytał dalej:

— A wie pan coś o rodzinie tej Kunegundy?

— Klotyldy. Bardzo bogaci. Milionowa fortuna.

Słychać było w głosie chłopaka wahanie, więc Jan odwrócił się w jego stronę i czekał na ciąg dalszy. Karol spytał, patrząc w filiżankę:

— Naprawdę Waclaw myśli poważnie o tym małżeństwie?

— To są ponoć plotki. Ale już nie tylko kuchenne. Nawet landrat o tym wie.

Jan podszedł do drzwi.

— Dam panu teraz odpocząć, Karolu.

— Spotkamy się na kolacji.

Ktoś zapukał.

Zanim Karol otworzył usta, do pokoju wkroczyła Paulina. Jan nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok jej zaskoczenia. Szarmanckim gestem zaprosił ją do wejścia i powiedział:

— Proszę, ja właśnie wychodzę.

Tak zrobił, a gdy zamykał drzwi, w jej oczach dostrzegł już nie znaki zapytania, lecz pioruny.

Ruszył do siebie i nagle, w miejscu styku korytarza i holu, zauważył ukrywającą się w półmroku postać. Rozpoznał Anetkę, obserwującą, jak Paulina wchodzi do Karola. Na widok zbliżającego się Jana dziewczyna odwróciła się i uciekła. Jan przypomniał sobie obóz Cyganów w Hiszpanii. Z dwóch kobiet mężczyzna wybrał tę bogatszą. Odrzucona zabiła najpierw rywalkę, a potem jego. Morawski uświadomił sobie, że nie sprawdził, co pokojówka robiła przed świtem.

W sypialni machinalnie przeglądał po raz kolejny zawartość szkatułki Zosi i jej listy. Podziwiał fotografię czwórki młodych. Dobroć na twarzach Zosi i Michała. Karol z miną zdobywcy. Bliskość obu dziewcząt trzymających się za ręce. *Zosia i Maszka. Maszka, czyli Maria.*

Wszedł Franciszek poinformować, że kolacja będzie o godzinie ósmej.

— Proszę wybaczyć pytanie, ale czy są wiadomości od Mateusza?

Jan zaprzeczył ruchem głowy.

— Czy wobec tego życzy pan sobie lokaja do pomocy — zatroszczył się posmutniały Franciszek.

— Nie, dziękuję, poradzę sobie.

— Czy mogę zająć panu jeszcze chwilę? Myślę o tym już od jakiegoś czasu, ale to takie dziwaczne.

— Franciszku, w tej sprawie wszystko jest dziwaczne.

— Męża mojej ciotki uznano za zmarłego — taka przyszła wiadomość, ciotka sobie znalazła nowego, a tu nagle, tuż przed ślubem wrócił tamten. Była straszna awantura, bo ten pierwszy mąż się wściekł, że ona go zdradziła.

— Jaki to ma związek z naszą sprawą?

— Za przeproszeniem, czy jest pewne, że syn hrabiny rzeczywiście nie żyje?

Ten nowy pomysł nie mieścił się Janowi w głowie. Patrzył z otępieniem na majordomusa.

— Może żyje i chciał się zemścić na paniencie za to, że się zaręczyła — nerwowo tłumaczył Franciszek. — Może współdziałał z hrabiną? Ja wiem, że to się może wydawać głupie, ale chciałem, żeby pan to przemyślał. Może to ma sens.

Jan kiwał głową i nic nie mówił. Franciszek wyszedł i wrócił jeszcze bardziej zdenerwowany.

— Franciszku, miej litość, jeszcze się nie otrząsnąłem po tamtym.

— To może ja kiedyś...

— Żartowałem, musiałem jakoś rozładować napięcie po tym, co przed chwilą powiedziałeś. Jaką sensacją mnie teraz poczęstujesz?

— Ja mam wątpliwości, czy powinienem. To tylko podejrzenia, a poza tym pracujemy tyle lat, i ja zawsze wierzyłem w lojalność, ale po tym, co się...

— Franciszku, o kogo chodzi?

— Kilkanaście dni temu widziałem, jak po zmierzchu Maria spotkała się z młodym człowiekiem w parku. Może to był Michał?

— Jesteś pewien, że to był młody człowiek?

— Tak, szczupły i zwinny, widziałem, jak wsiadał na konia.

Czyli nie aptekarz.

— Gdyby nie ta lekkość i sprawność, pomyślałbym, że to aptekarz — wyrwało się Franciszkowi.

— Podejrzewasz Marię o związek z aptekarzem? — Franciszek nie odpowiedział, więc Jan go

pogonił. — Daj spokój, słyszałem to już od co najmniej dziesięciu osób.

— Ona upiera się, żeby sama odbierać leki. Często tam jeździ, a przecież my tu nie chorujemy.

— Romans?

— Może przyjaźń. Znali się ponoć, jeszcze zanim on się tu sprowadził, ale w parku był ktoś inny.

Wydawało mi się, że coś sobie przekazywali.

— Paczkę? Tej wielkości?

— Raczej pakiet, płaski. Myśli pan, że to mogła być ta trucizna?

— Myślę, że to mogło być wszystko. Franciszku — Jan zaniepokoił się, że te oskarżenia to zemsta za to, że Maria woli innego — dlaczego dopiero teraz mi to opowiadasz?

— Nie pamiętałem o tym. Dzisiaj rano pierwszy raz pomyślałem, że może Maria ma coś na sumieniu.

A potem przypomniał mi się ten pies, którego zastrzeliła...

— Czy widziałeś cokolwiek, co wskazywałoby na to, że Maria z hrabiną znały się już wcześniej?

— Teraz wszystko mi się wydaje podejrzane. Przedtem nie.

Prawdziwa odpowiedź.

— Kto wie o trzecich drzwiach z gabinetu?

— O tych za gobelinem? Wszyscy domownicy. Na pewno.

— To przejście skraca czas potrzebny, aby się dostać do ogrodu zimowego, wyjść na zewnątrz i strzelić do Karola. Tłumaczy też, jak to się stało, że nikt ze służby nie widział nikogo podejrzanego przy bocznym wyjściu. Wystarczyło przez sień i gabinet wrócić do holu.

Franciszek siedział zdumiony. A Jan zadał mu temat do rozważań.

— W pomysle z Marią i hrabiną brakuje nam tylko jednego: łączącego je ogniwa. Ja go nie widzę. Może dostrzeżesz je ty.

— Przyniosłam prześcieradło, proszę pana.

— Świetnie. Pokaż.

Położyła prześcieradło na stole. Rozłożył je i przysunął bliżej lampę. Pewnie leżało jako pierwsze na stosie w szwalni i na nim morderca położył suknię. Do chlapania potrzebne były dwie ręce — próbował wyobrazić sobie Jan. Ale jak morderca zdobył suknię hrabiny? Czyżby środek nasenny?

— Proszę pana?

Aż go poderwało. Zapomniał zupełnie o pokojówce.

— Czy wszystko dobrze? Z prześcieradłem i w ogóle?

— Tak, tak, wszystko dobrze.

Prześcieradło ponownie przyciągnęło jego wzrok. Delikatnie przejechał po nim dłonią, wyczuwając wypukłości. Zastanawiał się, czy przyznać się Marii do odkrycia wosku. Jeśli miała z tym coś wspólnego, to lepiej, żeby nie wiedziała, że on wie.

W zamyśleniu potarł podbródek. Wyczuł szczecinę pod palcami i przypomniało mu się, że rano się nie ogolił. Nie mógł tak zejść na kolację, więc poprosił Jadźkę o ciepłą wodę i dalej stał nad prześcieradłem, rozważając, w jaki sposób unieszkodliwiono hrabinę w noc morderstwa. To był ten wieczór, gdy podano jej leki na uspokojenie. Czyli w grę wchodzi: Julia, Maria i zakochana pokojówka. Wróciła służąca z wodą.

— Na pewno nic więcej nie potrzeba?

— Na pewno.

— Bo może Witek...

— Postaram się nie zrobić sobie krzywdy.

Uśmiechnęła się i wyszła. Jan golił się, lecz myślami wracał do sukni i trzech pań. Najłatwiej przychodziło uwierzyć w winę Marii. Ale jeśli Franciszek ma rację i Michał Kareński żyje? Czyżby hrabina ściągnęła na siebie podejrzenia, obaliła je, a właściwie pomogła je obalić Janowi i Tadeuszowi i, raz uniewinniona, znalazła się poza oskarżeniami?

Tak go ten pomysł zafrapował, że usiadł na łóżku z zapiętym tylko jednym mankietem. Zmarszczył czoło, szukając związku hrabiny z Marią. Na szczęście na dole rozległ się gong wzywający na posiłek i Jan, zmuszony w błyskawicznym tempie dokończyć przygotowania, nie miał czasu oszaleć.

W jadalni, jeszcze zanim podano zupę szparagową, pan domu wzniósł toast za Karola, bez wątplenia bohatera dnia.

— Postarajmy się nie myśleć o tym, że prawie zginął, ale o tym, że przeżył. Jestem pewien, że to dobry omen i zapowiedź długiego, szczęśliwego życia.

Wzniesiono toast, unosząc kieliszki. Rozległy się życzenia. Paulina czule pogładziła dłoń siedzącego obok niej Karola. Zaczęli jeść kremową zupę, prawie nie rozmawiając, a Jan błogosławił wynalazcę puszek do konserwowania żywności, dzięki któremu możliwe było delektowanie się szparagami w styczniu.

Tadeusz spróbował rozpocząć niezobowiązującą rozmowę.

— Wspominałeś, Waclawie, że przystępujesz do nowej inwestycji?

— Tak, zakładam stajnię wyścigową. To pewny interes.

Jeśli byli zdziwieni wizją Waława prowadzącego stajnię wyścigową, to udało im się tego nie okazać.

— Taką jak w Krasnem? W Królestwie?

— Większą, znacznie większą.

— Pełna krew? — włączył się Karol.

— Oczywiście, już zatrudniłem specjalistę, Anglika oczywiście, bo poza nimi nikt się w tej branży nie liczy.

— Wybrałeś już konie? — Na bladą twarz Karola wypłynęły rumieńce.

— To będzie należało do Anglika, nie do mnie — wyjaśnił z wyższością Waław. — Za to mu płacę.

— Przecież to najciekawsze — nie pojmował Karol.

Problem wyboru koni rozwiązała Paulina.

— Ja będę wybierać. — A po doskonale obliczonej pauzie dodała wyzywająco: — Ale tylko konie płci męskiej. Na tym się znam.

Nikt nie zareagował, jedynie hrabina z dezaprobatą ściągnęła usta.

— To mi przyniesie szalone zyski — chwalił się Waław, wskazując Franciszkowi swój pusty kieliszek. — Hodowla i sprzedaż żrebacków po zwycięzcach.

— Masz widzę, drogi bracie, wszystko przemyślane i opracowane w najdrobniejszych szczegółach? — zakpiła Paulina.

— Mam już plany gotowe — siorbiąc, kończył jeść drugi talerz zupy. — Będzie to wymagało, co prawda, ogromnych nakładów finansowych, ale środki na to mam zapewnione. Pracowałem nad tym całą noc — zarechotał.

Tadeusz siedział z pochyloną głową, a jego serce gospodarskie ścisnęło się na samą myśl o tej inwestycji.

\*

— Szczęść Boże.

Wszyscy w kuchni podnieśli głowy i uśmiechnęli się na widok Mateusza. Jedyne z oczu Marii powiało mrozem bardziej przenikliwym niż ten na zewnątrz. Franciszek podszedł, podał Mateuszowi rękę i powiedział z ujmującą szczerością:

— Witaj, przyjacielu. A Józek?

— Odprowadza konie do stajni. A w jadalni kolacja?

— Tak.

Mateusz wahał się, jak postąpić. Wyjął z kieszeni kartkę, popatrzył na nią, po czym w zamyśleniu uderzył ją kilkakrotnie w otwartą dłoń. Schował ją z powrotem i oznajmił:

— Pójdę tymczasem na górę.

— Lepiej zejść do nas na kolację.

— Zobaczę.

\*

— Słyszałem, że landrat w końcu dotarł.

Ledwo Karol wypowiedział te słowa, a już zdał sobie sprawę z popełnionego nietaktu. Tadeusz usiłował odpowiedzieć rzeczowo.

— Tak. Jutro pod wieczór spodziewamy się przyjazdu specjalistów.

— Specjalistów? — prychnęła hrabina. — Prusaków i okupantów.

Zaczął się.

— Okupantów? — prawie się udławił Waław. — To jest legalna władza. I należy się jej podporządkować. Współpracować. Porozumieć się.

— Co ma wspólnego pana zdaniem legalność z zaborami? — spytała tonem uprzejmego zainteresowania Julia.

Nastąpiła cisza. Waław na wszelki wypadek zaatakował z innej strony.

— Teraz już jest dla mnie jasne, skąd Zofia czerpała swoje wichrzyielskie pomysły. Ośmieliła się prosić mnie, mnie!, o zdobycie podręczników dla dzieci wieśniaków. Dobrze, że w porę zainterweniowałem i udało mi się to ukrócić w zarodku.

— Nie wiem, czy ci się udało — Paulina natychmiast z radością pozbawiła go złudzeń — bo widziałam ją kiedyś z paczką na korytarzu i tak się z nią kryła, że tam musiało być coś zakazanego. Oczywiście mógł to być również prezent od kochanka.

Służba zaczęła podawać dodatki do kolejnego dania — żurawinę, borówki i wiśnie w occie. Prawdopodobnie więc słowa siostry nie dotarły do Waława w całości.

\*

Do kuchni wszedł Józek. Maria złowiła jego spojrzenie, a on nieznacznie skinął jej głową. Kucharka postawiła na stole miskę z szarymi kluskami z cebulą i słoniną.

— Siadaj, jedz.

— Bóg wam zapłać.

Wykładała gęś z brytfanny na półmisek.

— Jaka droga?

— Lepsza. Chciałem zostać do jutra, ale pan Jan przykazał panu Mateuszowi: czekać na telegram, a jak przyjdzie, wracać.

Franciszek wziął sztucce do krojenia mięsa i zaczął dzielić upieczonego ptaka.

— Dobrze, że luzowana<sup>[16]</sup>. I co, przyszedł telegram?

— Tak. Stamtąd.

— Od Prusaków?

— Od Prusaków. Od panienki.

— Od panienki? — zainteresowała się kucharka, węsząc romans.

— Przestańcie gadać — ucięła wszelkie dyskusje Maria. — Drób już dawno powinien być na stole.

\*

Pauliny nie interesowały kwestie narodowościowe.

— Mam nadzieję, że landrat, Prusak czy nie, zajmie się nie tylko sprawą Zosi, ale także tym łotrem, który próbował zabrać mi Karolka.

— Jan również pracował nad tym od chwili, kiedy wrócił — bronił przyjaciela Tadeusz.

— Chyba bez większych sukcesów. A może się myłę?

— Nie myli się pani — przyznał uprzejmie Jan.

Zaprzeczyła mu Kareńska.

— Co też pan opowiada? Przecież tyle spraw pan wyjaśnił.

— Powiedziałbym, że żadnej nie wyjaśniłem, a raczej wymieniłem te niejasne.

— Więc jakie to ciemne sprawy pan zaciemnił? — Paulina nie przepuściłaby takiej okazji.

— Wiem, z jakiej broni strzelano, panno Paulino, ale nie wiem, gdzie ona jest. Wiem, jak skłoniono Karola do wyjścia frontem i gdzie stał niedoszły morderca, ale nie wiem, kim on jest.

Nikt się nie odezwał.

— Przecież coś udało się chyba ustalić? — Hrabina nie wytrzymała tego pesymizmu.

— To, że każda z osób w pałacu umie strzelać.

— To musi być ktoś z nas — padł komentarz z ust niezawodnej Pauliny. — Czy to nie ekscytujące?

Zwłaszcza dla ciebie, Karolu? Siedzieć przy stole z kimś, kto do ciebie strzelał.

— Niekoniecznie ten, kto strzelał, tu jest — odpowiedział zimno Jan.

— Jak to?

Ku rozpaczy Pauliny wszyscy patrzyli na niego. Jan odczekał chwilę, po czym rzucił bombę.

— Nie jest pewne, czy ten, kto strzelał, przebywa w pałacu. To może być ktoś z zewnątrz.

W ciszy, która panowała w jadalni, słychać było tylko mlaskanie Waława.

\*

— Pilnuj pieca, Baśka, francuskie ciasto potrzebuje gorąca.

Kucharka sama poprawiła ogień. Lokaje wnieśli resztę gęsi, której nie zdołał zjeść Waław. Marianna zaproponowała:

— Józek, a może tej gęsi byś zjadł?

— A zjadłbym, czemu nie.

— A czemu ty mu tak nadskakujesz? — zainteresował się Franciszek.

— Bo chcę usłyszeć o tej panience, co to pisała do pana Jana.

Józek przyglądał się, jak kucharka nakłada szczodre kawały mięsa.

— Odpowiedź przysłała, ale dziwna.

— Pani Marianno, pasztet chyba gotowy.

— Pokaż. No jest. Dawaj półmisek. Chodź z tym na stół.

— Oberżysta przyniósł depeszę — opowiadał Józek między kolejnymi kęsami gęsi. — Mateusza nie było, to dał mi.

— Mam nadzieję, że przeczytałeś.

Zdażył tylko skinąć głową, bo weszła Maria i wycedziła:

— Czeka ją.

\*

W jadalni panowała konsternacja. Pierwsza odzyskała głos Paulina.

— Jak to ktoś z zewnątrz?

— Choćby tak, że morderca może mieć współnika, prawda?

Tadeusz postanowił przerwać tę rozmowę za wszelką cenę, choćby miał się uciec do metody angielskiej, czyli prowadzić konwersację na temat pogody lub stanu dróg.

— Cieszę się, że również pani, hrabino, poczuła się na tyle dobrze, że może pani zjeść z nami.

— Moje niedomagania to nic poważnego.

Powiedziała to lodowato, co raziło na tle uprzejmości gospodarza. Jan już wcześniej zauważył, że od początku kolacji hrabina spogląda na Tadeusza zimno, badawczo, prawie obraźliwie.

— Pani, zdaje się, wybiera się do uzdrowiska, prawda? — postanowił wesprzeć przyjaciela.

— Tak, zamierzam po wyjeździe stąd spędzić trochę czasu w korzystniejszym klimacie. A może byś, moja droga, wybrała się ze mną? — zwróciła się do Julii. — Jesteś ostatnio wytrącona z równowagi. Zmiana miejsca dobrze by ci zrobiła.

Jan podziękował opiekuńczym duchom za tę dziwną propozycję. Przyciągnęła ona bowiem ogólną uwagę i poza nim nikt nie usłyszał wypowiedzianego półgłosem komentarza Pauliny.

— Julia do uzdrowiska? Chyba do Plombières.



Dobrze, że to nie doszło do uszu Julii. Francuskie uzdrowisko Plombières-les-Bains słynęło z tego, że cesarzowa Józefina jeździła tam leczyć bezpłodność.

Wniesiono pasztety ze zwierzyny we francuskim cieście. Podawane były na ciepło, więc niebiański zapach wypieku na wiejskim maśle aż drażnił powonienie. Wacław ruchem ręki przywołał lokaja z butelką wina, zabrał mu ją i sam sobie nalał.

— A dokąd, jeśli można spytać, wybiera się pani? — spytał Jan.

— Mój lekarz zalecał mi wyjazd do Meran.

Karol aż się wzdrygnął.

— To nie jest najszcześniejszy wybór, jeśli wolno mi się wypowiedzieć — przełamał się Rusiecki niemal szeptem. — Zwłaszcza o tej porze roku. Szczerze odradzam.

— Ty tam byłeś, prawda? — drążyła Paulina.

— Tak — po chwili wahania odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

— Nie gniewaj się — przerwał ciszę sztuczny świergot Pauliny. — Ja zapomniałam, że była tam ona.

Karol zamknął oczy, a Paulina postanowiła pocieszyć chłopaka za wszelką cenę. Przybrała pozę skrzywdzonej sześciolatki z usteczkami wygiętymi w podkówkę.

— Proszę cię, Charles, bo będę płakała.

Karol, czule pogłaskany po policzku, trochę się rozjaśnił.

Hrabina tymczasem, korzystając z nieuwagi pozostałych biesiadników, odwróciła się w stronę Jana:

— Nie łąsiła się tak do niego, gdy miał odziedziczyć tylko połowę majątku Tarnowskich.

Karol rozpogodził się wystarczająco, żeby zasłużyć na pochwałę.

— Od razu lepiej. A teraz koniec smutków. Od tego momentu ja dbam o twój humor. Nie czekamy, aż minie żałoba, bierzemy ślub i ruszamy w podróż poślubną na Riwierę. *Il faut bien faire passer son temps.*

To było zbyt wiele dla Kareńskiej.

— Wstyd i hańba.

— Nie wolno mu cieszyć się życiem, tylko dlatego, że ktoś mu zamordował siostrę? Może waszym zdaniem powinien dziś rano dać się z tego powodu zabić?

— Milcz, dziewczyno! — tym razem krzyknęła hrabina.

Paulina była w swoim żywiole.

— Nie zamierzam milczeć. Jesteście kołtuny i liczą się dla was tylko pozory. Ja jestem od tego wyzwolona i nie zamierzam udawać tego, czego nie czuję. Mój brat ma rację. Zośka nie żyje, trudno, trzeba sobie znaleźć inną żonę. I to właśnie zrobił. Umarł król, niech żyje król.

Tę beczelną tyradę przerwał hałas odsuwanego krzesła. Julia stała, a na jej pustym talerz kapały łzy. Tadeusz również wstał, a zaraz po nim Jan.

— Jak możesz, Paulino? — wyszeptwała z wyrzutem Tarnowska.

— Pani też? A ja zawsze uważałam panią za wolną od przesądów.

— Smutek po śmierci kogoś bliskiego to przesąd?

— Jeśli to prawda, co mówią księża, to ten ktoś jest już w lepszym świecie — ironizowała Paulina. —

Dziwię się, że akurat pani jej żałuje. Przecież ona prawie zabrała pani męża.

— Żal mi cię, Paulino. — Julia stała ze łzami spływającymi po bladych policzkach. — Ktoś tak bardzo cię skrzywdził, że za wszelką cenę chcesz ranić innych.

Paulina poczerwieniała. Nie powiedziała nic. Julia ciężko usiadła.

— Co z tą pieczenią? — zapytał Wacław.

\*

— Co z pieczenią?

Maria, wyraźnie w złym humorze, dyscyplinowała wszystkich.

— Dochodzi. — Dla kucharki ważniejszy był w tej chwili Józek. — Mów, co z depeszą!

— Depesza? — niespodziewanie tematem zainteresowała się również Maria.

— Tak do końca to nie wiem, brzmiało jak po prusku.

— Mów szybciej, bo muszę wyciągać mięso.

— Telegram był taki: „Potwierdzono: pacjentka Rusiecka przyjechała do lecznicy w Meran osiemnaście miesięcy temu — nieuleczalna tuberkuloza. Konstancja”.

W kuchni słyhać było tylko trzask palącego się ognia.

— Nasza panienka — zaczęła chlipać kucharka. — Chora. Na suchoty.

— Ta... tuberkula to suchoty? — upewniała się Jadźka.

Kuchnię wypełniły głosy zebranych.

— To dlatego tak posmutniała.

— Jak pan ją przywiózł, już była chora.

— Pewno wróciła do domu, jak doktory powiedziały, że nie pomogą.

— Lepiej umierać u siebie.

W te komentarze wdarł się jasny głos Marii:

— Czyli samobójstwo. Tak jak mówiłeś, Franciszku, już pierwszego dnia.

— Ale pan Jan powiedział, że to niemożliwe.

— To teraz już wiemy, dlaczego nie udaje mu się znaleźć mordercy.

Maria chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie z jadalni dobiegł dźwięk dzwonka.

\*

Do jadalni wszedł Franciszek — z sercem na ramieniu i świadomością, że nie będzie umiał wytłumaczyć opóźnień w serwowaniu kolacji. Na szczęście Tadeusz nie miał zwyczaju ganić pracowników wobec obcych, więc zapytał tylko:

— Franciszku, czy są jakieś kłopoty?

— Bardzo państwa przepraszam, już podajemy.

Dobiegł go komentarz Pauliny:

— Same problemy z tą służbą.

— Moja służąca — zwróciła się do Jana hrabina — straciła tu dla kogoś głowę i nie nadaje się do niczego.

Spojrzała na Karola, ale on to wytrzymał bez mrugnięcia okiem. Bonikowska zachichotała.

— Zakochała się — pewnie w fornalu albo jeszcze lepiej w nosiwodzie.

Wniesiono pieczone, służący obeszlili stół z półmiskami.

Paulina od pieczeni wołała kpiny z bliźnich.

— Moja pokojówka niestety nie zakochała się w nikim — taka z niej nudziara. Przynajmniej miałabym zabawę. A odkryła pani, pani hrabino, o kogo chodzi?

— Mam podejrzenia i obawiam się, że chodzi o mężczyznę związanego z inną kobietą.

— No, to pewnie jest pan Tarnowski. Niech się pan przyzna. Nie wiedziałam, że z pana taki podrywacz.

Nikt się nie odezwał, natomiast Julia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Bonikowska nie ustępowała.

— Ja wytropię, o kogo chodzi, nawet Karol przyznaje, że w sprawach sercowych jestem ekspertem. Prawda, kochanie? — Nie odpowiedział, ale jej to nie przeszkadzało. — Wszystko wykryję. Nawet w takiej zapadłej dziurze są pikantne historyjki. Jest przecież tajemnicą poliszynela, że nasz pan aptekarz ma romans z Marią.

— Naszą Marią? — nie dowierzała Julia.

— Prawda, że to brzmi nieprawdopodobnie? Zwłaszcza gdy się na nią spojrzy.

— To niemożliwe — przerwał ciszę Tadeusz.

— Możliwe i bardzo prawdopodobne. I ta jego zazdrosna żona — przecież coś w tym musi być. Weszła służba i Paulina zamilkła. Poza Waławem nikt nie chciał więcej pieczeni.

\*

— Mówiłam wam, że ten cały Jan nic nie jest wart — triumfowała Maria.

— Przecież zna się, było widać.

— Co było widać? Chwalisz go, bo się zachwyca twoimi ciastami.

Wszyscy podzielali zdanie kucharki, ale wobec agresywnej postawy ochmistrzyni bali się odezwać.

— Jest niekompetentny. Chodzi, wypytuje i obraża ludzi. Każdy tak potrafi.

— Ale to on wysłał pytanie do tej lecznicy w sprawie panienki — spokojnie powiedział Franciszek.

— To znaczy, że się domyślił.

Kiwali potakująco głowami.

Coś zaczęło syczeć na płycie.

— Baśka! Groszek. Puszka zaraz wybuchnie.

— Nasza biedulka — oznajmiła ni stąd, ni zowąd kucharka, gdy sytuacja została opanowana. — Musiała planować samobójstwo od dawna.

— Ciekawe, skąd miała morfinę — zastanowiło Marię. — Może od pani Julii?

\*

— Poza tym słyszałam, że waszą świętą Marię widywano z jakimś mężczyzną na obrzeżach miasteczka

— Paulina była w swoim żywiole. — To mógł być aptekarz. Albo ktoś inny. Powinien pan mu się lepiej przyjrzeć — poradziła Janowi — krążą plotki, że tam, gdzie poprzednio mieszkał, jedna z pacjentek została otruta.

— To nieprawda — z pełnym przekonaniem odezwała się Julia. — Nieprawda.

Przy drugim zaprzeczeniu głos już jej drżał, a z oczu znowu zaczęły płynąć łzy.

— Rzeczywiście zrobiła się pani, jak by to powiedzieć, nadpobudliwa — stwierdziła Paulina ironicznie. — Może ten wyjazd to nie jest taki zły pomysł.

Służba wniosła jarzyny: groszek, kardy i brukselkę.

— Moglibyśmy panią odwiedzić w Meran, ale nie wiem, czy tam leczą schorzenia nerwowe.

Julia pochyliła głowę, a Tadeusz, rozdarty między chęcią wsparcia żony a nawykami uprzejmości gospodarza, tak ścisnął w dłoni sztucce, że wykrzywił widelec. Odsiecz przybyła z nieoczekiwanej strony. Hrabina wstała, podeszła do Julii, ujęła ją pod rękę i powiedziała ciepło:

— Chodź, kochana.

Julia się podniosła. Tadeusz chciał iść z nimi, Jan wstał.

— Zostań, Tadeuszu, zaopiekuję się nią — zdecydowała Kareńska. — I tak nie mogłabym siedzieć przy stole z tą... zołą.

Zaległa cisza. Nikt nie jadł — nawet Waław, zajęty dolewaniem sobie wina. Paulina chyba się zorientowała, że przesadziła. Mimo to nie zamierzała milczeć.

— Waławie, ustaliłeś z Klotyldą datę ślubu?

Udało jej się wprawić w zakłopotanie nawet własnego brata. Tadeusz na wspomnienie Klotyldy i zdrady Waława zakrzuszył się winem. Franciszek, który sprzątał z lokajami, aż przystanął w pół kroku.

— Pomyślałam, że mogłybyśmy razem pojechać do Berlina po wyprawę, ale teraz, gdy zamierzamy

pobrać się z Karolkiem jak najszybciej, chyba nie będzie na to czasu.

— Tadeusz wspominał, że Karol powinien tu pozostać do czasu decyzji o ewentualnej adopcji — wpadł na pomysł Jan.

Położył taki akcent na słowie „ewentualnej”, że zamilkła. Tadeusz spojrział na Jana z wdzięcznością, a Paulina z nienawiścią. Po chwili zdołała przywołać obojętny wyraz twarzy. Wstała i z nonszalancją oznajmiła:

— Nie mam ochoty na deser. Zostawiam panów.

\*

— Nie uwierzycie, co tam się dzieje! — Franciszek wrócił z jadalni.

W kuchni ciągle jeszcze debatowano o Zosi, kobiety płakały, a tort nadal spoczywał na blacie roboczym.

— Ta wstrętna Paulina wygadywała takie rzeczy, że pani Julia zaczęła płakać.

— Jakie rzeczy?

— Ano na przykład takie, że panienka Zosia odbiła pani Julii męża.

— Jezusie święty, co ona za bezceństwa wygaduje?

— Pani hrabina zabrała panią Julię na górę, bo nie będzie siedziała z żołą. Tak powiedziała.

Maria, która dotychczas się nie odzywała, szybko wyszła i po chwili usłyszeli jej kroki na schodach.

— Co z deserem? — przypomniał Franciszek.

— Zaraz. Już. Baśka! Wykładamy.

— Twoja pani poszła na górę — chłodno poinformował wykwinłą pokojówkę Pauliny Franciszek.

Na jej zwykle nieruchomej twarzy pojawiła się panika, zerwała się i wybiegła z kuchni.

\*

— Gdzieś ty była, łajzo? — Paulina rzuciła w pokojówkę szczotką do włosów. — Całymi dniami siedzisz tu, że nie mam chwili dla siebie, a jak raz jesteś potrzebna, to cię nie ma! Pomóż mi się rozebrać — warknęła.

Służąca w nerwach szarpnęła sznurówkę za mocno i zarobiła szturchnięcie.

— Nie ciągnij tak. Przez ciebie upuściłam kolczyk.

Pokojówka pochyliła się i usiłowała znaleźć błyskotkę na dywanie.

— Ściągnij tę szmatę z lustra! Przecież ci mówiłam, że nie chcę tu tego widzieć.

— To nie ja. To tutejsza służba zakrywa lustro. Ja zdjęłam...

— Wyszczotkuj mi włosy.

— Słyszała pani o telegramie? — pokojówka próbowała rozchmurzyć Paulinę plotkami.

— Jakim znowu telegramie?

— W kuchni mi powiedzieli. Ten pan Jan, jak był w mieście, wysłał telegram do jakiejś panienki i teraz...

— Nie chcę słyszeć ani słowa o żadnej panience, ani o tym przeklętym Janie, niech go piekło... — oberwała znowu dziewczyna.

— Okazało się, że panienka Zosia miała nieuleczalną gruźlicę.

Paulina aż się obróciła w stronę służącej.

— Co ty mówisz?

— Miała gruźlicę, lekarze nie dawali szans, więc wyjechała z lecznicy. I popełniła samobójstwo.

— To znaczy, że oszukiwała mojego brata. Taka świętoszka.

— Przecież samobójstwo to grzech, proszę pani.

— Tak, grzech — potwierdziła pani z radosnym uśmiechem. — Czyli nie ma żałoby. Podaj bombonierkę.

\*

— Już mi lepiej, dziękuję pani, pani hrabino.

— Na pewno mogę cię zostawić?

— Tak, oczywiście. Maria się mną zajmie.

Maria tylko skinęła głową. Hrabina wstała, pochyliła się nad Julią i pocałowała ją w czoło.

— Dobranoc — spojrzała z czułością i dodała: — I zapomnij o niej.

Wyszła na korytarz.

— Z panią Julią wszystko dobrze? — spytała Anetka, która czekała na swoją panią niemal pod drzwiami.

— Tak, Maria się nią zaopiekuje.

— Naprawdę? A dzisiaj rano radziła panu Tarnowskiemu, aby się zajął żoną.

— Co takiego?

— Dzisiaj rano pani Maria powiedziała do pana Tarnowskiego: „Niech pan lepiej pilnuje żony”.

— A cóż to miało znaczyć?

— Nie wiem. Ale chyba nie posłuchał, skoro przy pani Julii jest pani Maria. A słyszała pani o telegramie?

— O telegramie?

— Napisali, że panienka Zosia miała suchoty. I że umierała.

Kareńska zbladła i chwyciła się za gardło.

— Umierała? Na gruźlicę?

— Tak, telegram przyszedł z lecznicy. Wyjechała stamtąd, jak powiedzieli, że nie mogą jej pomóc.

— Kiedy to było? Kiedy?

— Osiemnaście miesięcy temu.

— Czyli zanim poznała Michała — wyszeptała hrabina. Weszły do sypialni.

— A wie pani, co jest najgorsze? Że ona się otruła. A tu wszyscy szukają mordercy.

Dumna arystokratka usiadła na brzegu łóżka i kiwając głową, szeptała prawie jak modlitwę:

— Biedna mała. Biedna mała.

\*

Franciszek wniósł imponujący tort orzechowy, a Witek *blanc-manger*.

— Nareszcie — powitał ich Wacław ze sztucami w dłoniach, gotów do ataku na słodczyce.

Karolowi Franciszek nałożył wąski kawałek tortu, Tadeusz i Jan odmówili.

— Udało się panu ustalić, czy Zosia otrzymywała paczki? — Cisza ciążyła Karolowi.

— W jej sypialni znalazłem brązowy papier pakowy — wytłumaczył Tadeuszowi Jan. — Myślałem, że otrzymywała jakieś przesyłki.

— Ja przywoziłem Zosi książki, ale tylko w kolorowym papierze. Ten brązowy jest taki... wulgarny, nie chciałem, żeby coś takiego dostawała.

— Powinien pan, panie Tadeuszu, pohamować swoją żonę — wdarł się pijacki bełkot Wacława. — Jest niedopuszczalne, aby szerzyła herezje nauki na wsi. Oni mają pracować. Jak ona ich nauczy czytać... to będzie początek końca. — Przemowę przerwało beknięcie. — Przyjadą ci... agitatorzy i zrobią rewolucje. Pana żona nas... wszystkich puści z torbami. Zresztą... porozmawiam o tym z landratem.

— Nie zwracaj na niego uwagi — poprosił Jan.

Wacław spojrzawszy błędnym wzrokiem na Jana i wycelował w niego palec.

— Ty jesteś agitator. Jeździsz i... agitujesz, bezbożniku.

— Policja przyjedzie jutro, prawda? — cicho spytał Karol.

— W zależności od stanu dróg.

— Józek mówił, że jest coraz lepiej — włączył się Franciszek, który kończył dolewać wino.

— Józek wrócił? A Mateusz?

— Ja przepraszam, myślałem, że pan wie.

Jan zerwał się na równe nogi.

— Tadeuszu?

— Oczywiście, Janie, idź.

Morawski wybiegł.

Znalazł się w holu w chwili, gdy ukrytymi w boazerii drzwiami wychodziła z gabinetu Maria.

Odczekał chwilę i jak była na schodach, ruszył za nią.

— Pani Mario!

Odwróciła się, a na jej twarzy dostrzegł niechęć.

— Tylko jedna sprawa.

— Pan wybaczy, ale się spieszę.

— Pożyczyłem jedno prześcieradło z pani zbiorów.

— To są zbiory państwa Tarnowskich, nie moje — skorygowała go lodowatym tonem.

— Obawiam się, że je zniszczyłem. Robiłem próby z woskiem i nie chciałem ochlapać mebli, więc zabrałem prześcieradło ze szwalni. Niestety, nie umiem teraz usunąć z niego wosku.

— Zajmę się tym. Dobranoc.

Ruszyła w stronę pokoju Julii. Nie zareagowała ani na wosk, ani na prześcieradło, ani na szwalnię. Jan wszedł do siebie i ciepło spojrzawszy na kamerdynera. Znowu czuł się sobą.

— Nie powiedzieli mi, że jesteś, Mateuszu. Dobrze, że wróciłeś — uścisnął dłoń przyjaciela.

— Przecież wiem, że myśli pan tylko o tym, żebym jak najszybciej oddał depeszę — żartował wzruszony.

Podał kartkę. Jan czytał, a Mateusz się poskarżył.

— Nic z tego telegramu nie rozumiem. Od panny Konstancji to ja myślałem, że będzie miłosny.

— Ja rozumiem, ale mam mętlik w głowie. Muszę to przemyśleć.

— Pan się tego spodziewał?

— To był tylko taki pomysł. Chyba miałem rację.

Znowu zapatrzył się w depeszę.

— Ja też co nieco się dowiedziałem — pochwalił się Mateusz.

— Jadłeś coś?

— Maciejowa tak mnie tuczyła, że chyba przejdę na dietę.

— To mów.

— Najpierw aptekarz. Od tego służbisty na poczcie nic się nie dało wyciągnąć, ale Maciej powiedział, że paczki nie przychodzą do aptekarza pocztą.

— Specjalne przesyłki z zaopatrzeniem apteki?

— Maciej kiedyś widział taką w skrzyni pod lekami.

— Tak właśnie byłoby najbezpieczniej. Dowiedziałeś się czegoś o przeszłości Weichertów?

— Nic pewnego nie ustaliłem.

— A historia z bratem?

— Uciekł z transportu do więzienia. Co Weichert miał z tym wspólnego, nie wiadomo. Z nim jest takie wszystko... mgliste. O cokolwiek zapytałem, wszyscy opowiadali fantastyczne historie. A gdy próbowałem dojść, skąd to wiedzą, to nie potrafili powiedzieć.

— Nie chcieli czy nie potrafili?

— Chyba jednak nie potrafili.

— Plotki?

— I to jakby celowo rozsiewane. Tylko nie wiem przez kogo. I po co. Gdy wspomniałem, że on chyba współpracuje z Prusakami, przytakiwali, ale potem się okazało, że podejrzenie opiera się na tym, że Niemcy dobrze o nim mówią i że często jeździ do Berlina. A zwolnionej służącej aptekarzowa robiła awantury, ale zdaniem Maciejowej, głośniejsze niż zwykle.

— Jak to głośniejsze?

— Scysje były z każdą służącą, ale Weichertowie się z tym kryli. A na tę dziewczynę aptekarzowa narzekała w całym miasteczku, a aptekarz skarżył się na kłótnie nawet w oberży.

— I znowu pytanie: po co? I dlaczego Maria ją zwolniła? Najpierw ją przyjęła z rekomendacji Weicherta, a potem usunęła ze służby. I to tak... ostro. A co mówią o tej dwójce — Marii i aptekarzu?

— Na pewno się znają. Widywano ich razem i to często... Maciejowa mówi, że w oberży rzadko pojawiają się zupełnie obcy goście, ale czasami się tacy zdarzają i jednego z nich widziała rozmawiającego z Marią na zapleczu gospody.

Jan zapoznał Mateusza z przypuszczeniami Franciszka dotyczącymi Marii i śmierci Michała. Gdy tylko kamerdyner ochłonął, kontynuował:

— Ta książka, którą znaleźliśmy u panienki. Pamięta pan? Popytałem Macieja i przyznał, że pojawiło się ich ostatnio sporo, a Prusacy chyba nic o tym nie wiedzą, bo już by robili hałas.

Nagle cały się rozpromienił.

— Zapomniałbym o najważniejszym! Spotkałem u Maciejowej Żyda, postawiłem mu kolejkę i potwierdził, że bankrutami są i Klotylda, i Waclaw. Boję się tylko, że to zbyt cudowne, żeby mogło być prawdziwe.

Jan patrzył na kamerdynera z rozbawieniem. Opowiedział mu o najnowszych genialnych planach inwestycyjnych pana pośła i pomysły założenia stajni wyścigowej.

— Czyli oświadczył się — ucieszył się Mateusz.

— Czy Józek zna treść depeszy?

— Tak. Dostarczono ją, gdy byłem w składzie, w tym żelaźniaku. On mi ją później przekazał.

Jan popatrzył na znużonego Mateusza.

— Idź spać, druhu. Ja muszę pomyśleć.

Kamerdyner się położył, a Morawski wyciągnął poprzednie notatki i stwierdził, że potrzebuje kawy. W holu spotkał Franciszka.

— Ja chciałem przeprosić. Że nie poinformowałem o powrocie Mateusza.

— Nie szkodzi, straszny był dzisiaj zamęt. Idę po kawę.

— Proszę się nie kłopotać. Przyślę Witka.

— Dziękuję.

Jan wrócił do siebie.

— Pan pracuje?

— Jeszcze trochę.

Witek wyjątkowo nie zagadywał Jana i wyszedł. Morawski wstał, wyciągnął z neseseru paczkę pierników norymberskich. Jadł je, popijał kawą i dopasowywał elementy układanki.

Zapisywał je w myślach w dwóch kolumnach. Maria tu — zdecydowanie, a także druga narzeczona, papier do pakowania, błękitny воск, pierścionek, zwolniona służąca, aptekarz, diadem i pistolet Tadeusza, Maszka i aptekarzowa. A zamach — zamach po tej stronie.

I podsumowanie.

To niemożliwe, to nie ma sensu.

A jednak.

---

[16] Drób pozbawiony kości i niejadalnych ścięgien; w ich miejsce nakładany jest farsz.



Jan kończył śniadanie w pustej jadalni. Był zadowolony z tej chwili samotności — potrzebował ciszy, aby zebrać wszystkie wątki. Odpowiedzi Anetki na ostatnie dwa pytania potwierdziły wysuwaną koncepcję — wszystko przebiegło tak, jak przypuszczał.

Świeży chleb, świeża kawa.

Panowała dziwna atmosfera, której Morawski nie potrafił ani określić, ani tym bardziej zinterpretować.

Pałac ucichł, opustoszał, wymarł. Jan nie spotkał żadnego z domowników lub gości, w jadalni od czasu do czasu pojawiał się nieznany mu lokaj, który coś przynosił, nie wypowiadając ani jednego słowa.

— Wszędzie cię szukałem — wpadł Tadeusz.

Przysiadł na krześle koło Jana, który zastygł z resztą chleba w dłoni.

— Co się stało?

— Franciszek właśnie powiedział mi o telegramie. Przecież ona by nie mogła... Próbowalibyśmy ją leczyć. Sama powtarzała, że póki życia, póty nadziei. Dlaczego mi nie powiedziała?

Jan przypominał sobie treść telegramu i usiłował zrozumieć zachowanie przyjaciela. Coś mu zaczęło świtać.

— Może nie chciała cię martwić?

— I wołała takie rozwiązanie? Liczyła, że tym mnie nie zmartwi?

— Masz rację. Powinna była ci powiedzieć.

Zastanawiał się, czy Tarnowski spytał Karola o szczegóły pobytu Zosi w sanatorium.

— Zbierz wszystkich, Tadeuszu.

— Przecież sprawa jest jasna. Popełniła samobójstwo, bo była skazana na śmierć.

— Będzie lepiej, jeśli powiemy wszystko na głos. Unikniesz plotek, domysłów, nadinterpretacji. Zaufaj mi.

— Gdzie? — zrezygnował Tadeusz.

— Biblioteka. Godzina dziesiąta? — Tadeusz apatycznie przytaknął. — Dopilnuj, żeby Maria i Franciszek też przyszli — poprosił Jan.

— Oni też?

— Tak, koniecznie.

Wytarł usta, złożył serwetkę i odłożył obok talerza. Tadeusz wyszedł, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi.

Jan powoli dopijał kawę. W nocy wszystko scalił. Miał nadzieję, że wszystko.

Dziesięć minut przed oznaczoną godziną dotarł z Mateuszem do biblioteki. Byli pierwsi, powoli schodzili się pozostali. Najpierw Tadeusz z Julią, która wyglądała tak mizernie, że na jej widok Janowi ścisnęło się serce. Potem hrabina Kareńska, wyniosła i dziwnie spokojna, a zaraz za nią Maria z Franciszkiem. Żadne z tych dwojga nie spojrzało Janowi w oczy. Dokładnie o dziesiątej dotarł Wacław, na którego pogniecionej twarzy widoczne były ślady wczorajszego... nieumiarkowania, oraz Karol, wyglądający zdecydowanie lepiej. Kilka minut po dziesiątej zrobiła wejście Paulina. Jaskrawo różowa suknia podkreślała, że panna Bonikowska nie pozostaje w żałobnym nastroju. Rozsiadła się w

malowniczej półleżącej pozie, anektując wszystkie poduszki dla zapewnienia sobie wygody. Pozostali również zajęli miejsca, z wyłączeniem Marii, Franciszka i Mateusza, którzy stali.

— Dziękuję, że zechcieli państwo do poświęconego mi już czasu dołożyć to spotkanie. Chciałbym przedstawić rozwiązanie tajemnicy śmierci Zosi.

— Ależ pan odkrywco — prychnęła ironicznie Paulina. — Wiemy o wszystkim od wczoraj.

Nikt nie odniósł się do jej słów.

— Odkąd znaleziono ciało Zosi i pan Tarnowski poprosił mnie o pomoc w ustaleniu sprawcy, natrafiałem na mnóstwo śladów. Jakakolwiek wersję rozwiązania przyjmowałem, zawsze kilku tropów nie udawało się powiązać z pozostałymi.

— Nic dziwnego, skoro odrzucił pan prawidłowe rozwiązanie już pierwszego ranka — wybełkotał Waław.

— Zacząłem podejrzewać, że tylko niektóre ślady związane są ze śmiercią panny Rusieckiej, natomiast pozostałe należą do zupełnie innej historii, która rozgrywała się w tym samym miejscu i dotyczyła po części tych samych osób.

— To znaczy, że zamach na Karola nie jest związany ze śmiercią Zosi? A nie mówiłam... — Paulina po prostu musiała się odezwać.

— Przypominam, że to pan Jan odkrył, że w tej historii jest więcej niż jeden wątek — lodowatym głosem ucięła hrabina. — Pozwólmy mu dokończyć.

— Ta druga sprawa nie była przyczyną śmierci Zosi, aczkolwiek dziewczyna miała w niej swój udział. Musiałem oddzielić elementy związane z morderstwem od pozostałych, a było to o tyle trudne, że w nich wszystkich występowała Zosia. Zacznę od tego drugiego wątku.

Trafiłem do sypialni Zosi kilkanaście minut po tym, gdy odkryto jej śmierć. Wkrótce potem ja i mój kamerdyner mieliśmy okazję dokonać wstępnego przeszukania. — Jan zaczął spacerować po bibliotece. — Od pierwszej chwili odnieśliśmy wrażenie, że coś nie pasuje.

Jan spojrzał na służącego, który ruchem głowy potwierdził.

— W sypialni Zosi wyglądało tak, jakby mieszkały tam dwie różne osoby. Jedna to romantyczna panią, która maluje, gra, czyta poezje, a druga to realistka, przygotowująca się do roli pani domu, czytająca poradniki gospodarstwa domowego i książki religijne. Jak się okazało, tę pierwszą przekonano, iż biorąc pod uwagę stanowisko przyszłego męża, powinna spoważnieć.

— Większość dziewcząt przechodzi taką metamorfozę — głos zabrała hrabina. — Co prawda, zwykle ma to miejsce dopiero po ślubie. Zosia po prostu rozpoczęła przygotowania wcześniej.

— Też tak to z początku tłumaczyłem. Jednakże pomiędzy rzeczami Zosi znaleźliśmy kilka zaskakujących publikacji.

— Jak to zaskakujących? — spytał Waław.

— Pierwszą był podręcznik języka polskiego. — Poseł poruszył się w fotelu, a Jan mówił dalej: — Wiemy, że Zosia postanowiła wprowadzić naukę polskiego w majątku męża. Wyjawiała ten zamiar narzeczonemu, który jej tego zabronił. Był zaszokowany i oburzony — jest przecież wiernym poddanym Kaisera, a Polacy muszą ustępować Prusakom, aby pokazać dobrą wolę...

Wszyscy spojrzeli zimno na Waława, który wyprostował się dumnie w fotelu, wyprężył pierś i uniósł brodę.

— Tak było.

Hrabina popatrzyła na młodego panka z pogardą.

— Zosia pozornie uległa, ale w przeciwnym kierunku pchały ją dwie inne siły. Pierwszą była osoba, która podsunęła dziewczynie ten pomysł i dostarczyła znaleziony podręcznik, ktoś, kogo można nazwać przewodnikiem Zosi. Poza tym dziewczyna, zapatrzona w Tadeusza i jego codzienną pracę, czuła, że narzeczonego nie ma racji i nic mu nie mówiąc, kontynuowała przygotowania do nauki dzieci w jego majątku.

— Co? Nie podporządkowała się mojej decyzji?

— Razem z podręcznikiem znaleźliśmy książkę, która jest zakazana i tępiona przez władze pruskie.

Takich książek jest oczywiście w całym Księstwie mnóstwo w każdym prawdziwie polskim domu...

— Przepraszam, u mnie nie ma... — Waclaw po prostu musiał to dodać, a odpowiedział mu Tadeusz:

— I dlatego Jan powiedział: w prawdziwie polskim domu.

— Takich książek jest mnóstwo, ale nie są one pozostawiane na wierzchu. Poza tym nie spotyka się ich w pensjonarskich pokojach, bo kto by do tego stopnia zaufał młodej dziewczynie? Przecież to zagrożenie dla całego domu. I tu pojawiło się to samo pytanie: od kogo Zosia dostała tę książkę?

— Może ją ze sobą przywiozła? — zasugerowała hrabina.

— Brałbym taką możliwość pod uwagę, gdybyśmy znaleźli tylko to. Ale w szafce nocnej Zosi natrafiliśmy na szkatułkę. Poza innymi przedmiotami była tam kartka z wykazem miejscowości. Od razu zauważyłem, że są to polskie dwory w Wielkim Księstwie Poznańskim sprzedane Niemcom.

W bibliotece zapanowało poruszenie.

— Wydaje się, że jest to część całości, która pod nazwą *Czarnej Księgi* jest przygotowywana do druku we Lwowie.

— Część wykazu majątków sprzedanych przez Polaków zaborcom? — Tarnowski nie mógł uwierzyć.

— To jest jakiś skandal! — Waclaw odzyskał głos. — Pan dopuszczał do tego?

Tadeusz nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, podobnie jak reszta zebranych.

— To nie był koniec naszych znalezisk. Okazało się, że szafa w pokoju Zosi ma podwójne dno! Niestety, skrytka była pusta. Znaleźliśmy w niej tylko kilka arkuszy papieru pakowego i przecięty zielony sznurek. Wyglądało na to, że w paczce były przedmioty lub przedmiot tej wielkości — zademonstrował gabaryty przesyłki — czyli wielkości kilku, kilkunastu książek.

— Może schowała tam po prostu opakowanie po czymś, co dostała? — zasugerował Karol.

— Do zamaskowanej skrytki? Mało prawdopodobne. Poza tym pańska siostra nie otrzymywała przesyłek pocztą. Skąd więc wzięłoby się u niej takie opakowanie?

Karol wzruszył ramionami.

— Ten papier zresztą pojawiał się w wielu dziwnych miejscach. Jest wykorzystywany do palenia w kominkach w pałacu, przy czym nikt nie potrafi mi powiedzieć, skąd się bierze.

Jan zrobił pauzę, by po chwili zaskoczyć zebranych.

— Poza tym papier ze skrytki Zosi zniknął.

Zapanowała konsternacja, a Tadeusz spytał z niedowierzaniem:

— Jak to zniknął?

— Ktoś go zabrał. Ktoś, kto był w pałacu w ciągu doby mojej nieobecności, bo kiedy po powrocie zajrzałem do skrytki, papieru już nie było.

Przyglądali się sobie z podejrzliwością. Jan pozwolił im na to przez chwilę i przyznał:

— Szczerze mówiąc, miałem wątpliwości, czy nie przypisuję temu opakowaniu zbyt dużego znaczenia

— w końcu brązowy papier pakowy to bardzo powszechny przedmiot. Ale później znalazłem taką paczkę u osoby, na którą natykałem się na każdym kroku w tej historii.

— U kogo? — nie wytrzymał pan domu.

— Taką paczkę zobaczyłem w szafce na trucizny w aptece Weichert.

— Przecież to oczywiste — prychnęła z wyższością Paulina. — W taki sposób zapakował jej i dostarczył truciznę, którą się otręła.

— Aptekarz pojawiał się jako podejrzany o dostarczenie morfiny dla mordercy. Wszystko przemawiało przeciw niemu. Po pierwsze uważa się, że współpracuje z Prusakami.

Waclaw prawie się zachłusnął oburzeniem.

— Nie powie mi pan chyba, że to przemawia przeciwko...

— Weichert pojawił się tu kilka lat temu, zaczął prowadzić w małej mieścinie nowoczesną aptekę i

nikt nie rozumie, jak udaje mu się ją utrzymać. Powód jego przeprowadzki jest niejasny. Być może musiał opuścić poprzednie miejsce, ponieważ jego pacjentka, młoda dziewczyna zmarła z powodu zatrucia... lub otrucia.

W bibliotece zawrzało.

— Aptekarz nie został o to oskarżony, ale pojawiły się plotki, które są gorsze niż oficjalne oskarżenie. Przed sądem można się bronić. Przed ludzkim gadaniem — nie.

Hrabina zauważyła rzeczowo:

— Analogia tamtego otrucia do śmierci Zofii sama się narzuca.

— Racja. To między innymi dlatego przez dłuższy czas nie potrafiłem oddzielić tej sprawy od śmierci Zosi. W obu przypadkach otrucie i młoda dziewczyna, ten sam aptekarz. Podawana jest też druga przyczyna przeniesienia się Weicherta: ponoć wyparł się własnego brata, który był zaangażowany w konspirację i został złapany. Z powodu tej zdrady, zdrady nie tylko rodziny, ale i narodu, Weicherta spotkał ostracyzm ze strony otoczenia.

W tym momencie hrabina ostrzegła Wacława.

— Niech pan lepiej nic nie mówi.

Poseł zacisnął szczęki, a Jan z radością obserwował, jak hrabina doskonale radzi sobie z Bonikowskimi.

Tadeusz wypowiedział na głos pytanie, które zadawali sobie chyba wszyscy:

— Jaki to ma związek z nami? Że u niego kupujemy? Tak robi większość dworów w okolicy.

— Jest wiele związków z aptekarzem. Pierwszy to zwolniona służąca.

Tadeusz spytał z niedowierzaniem:

— Ta, która ukradła leki?

— Ona niczego nie ukradła — zaprotestowała Julia.

— Zanim tu przyszła, była zatrudniona u aptekarza. Jego żona robiła mu z powodu tej dziewczyny awantury, a w końcu oskarżyła służącą albo o szpiegostwo na rzecz policji pruskiej, albo o kradzież. Nie udało się ostatecznie ustalić, co jej zarzucono. Dziewczyna odeszła i została zatrudniona tutaj.

Tadeusz poczuł się w obowiązku wytłumaczyć.

— Potrzebowaliśmy pokojówki, a ona posługiwała się starymi referencjami, których nie mogliśmy sprawdzić — w tym czasie drogi były zalane i kontakt z miasteczkiem niemal się urwał. Gdy zaczęły ginąć rzeczy, dziewczynę usunięto.

— Zostawmy na moment aptekarza i wróćmy do Zosi, do *Czarnej Księgi* i zakazanych książek. Od początku było jasne, że wśród pałacowej służby i wsi prowadzone jest tajne nauczanie i to od lat, gdyż umięją tu czytać i pisać po polsku wszyscy — starzy i młodzi. Wiem od ciebie, Tadeuszu, że naukę w majątku zapoczątkowała twoja matka, kiedy polityka antypolska nie była jeszcze tak agresywna, ale nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę, że jej dzieło — zorganizowana nauka i do tego dobrze zakonspirowana — jest kontynuowane.

— Wielu czyta i pisze, ale jest możliwe, że są uczeni w domach, przez rodziców i krewnych, których uczyła moja matka.

— Zanim powiecie panowie cokolwiek więcej — usłyszeli zimny ton hrabiny Kareńskiej — chcę ostrzec tego pana — tu spojrzała na Wacława — że jeżeli przyjdzie mu do głowy przekazać komukolwiek cokolwiek z tego, o czym tu mówimy, to po pierwsze, ja wszystkim zaprzeczę, a po drugie, wykorzystam wszelkie swoje wpływy, aby uniemożliwić temu panu kontynuowanie działalności politycznej.

Wacław cały się nadał i oburzył:

— Czy mam rozumieć, że pani mi grozi?

— Może pan rozumieć, co tylko pan chce. Nic mnie to nie obchodzi. Dodam tylko, że szczegóły udziału pańskiego ojca w haniebnym bankructwie Tellusa są mi doskonale znane.

Tadeusz na wzmiankę o słynnym upadku banku akcyjnego aż uniół brwi.

— Teraz sobie przypominam. Senior Bonikowski był najbliższym przyjacielem hrabiego Platara. A więc to stąd pochodzi wasz majątek.

Panna Bonikowska oszołomiona wpatrywała się w brata, który zdołał wyjąkać płaczącym głosem:

— To nieprawda. Tatuś mi mówił, że to nieprawda. Powiedział...

Hrabina ostro mu przerwała:

— Widziałam dowody. I mam do nich dostęp. A zatem jedno słowo o tym, co tu zostało powiedziane, i koniec z waszą pozycją towarzyską, koniec z karierą polityczną. Proszę mówić dalej, panie Janie.

— Po jednej stronie mamy zatem zorganizowaną tajną naukę, Zosię, naklonioną do wprowadzenia tego systemu w posiadłości przyszłego męża, zakazane książki i broszury. Po drugiej — niejasną postać aptekarza.

Paulina, mimo szoku wywołanego groźbami hrabiny, nie wytrzymała tego, że rozmowa toczy się bez jej udziału.

— Tym, co łączy Zośkę z aptekarzem, jest tamta otruta dziewczyna.

— Tym, co łączy Zosię z aptekarzem, jest papier do pakowania, zwolniona służąca oraz *spiritus movens* całej organizacji. Ktoś, kto tym wszystkim zawiaduje.

W bibliotece zapanowała całkowita cisza.

— Kiedy jechałem do miasteczka, Tadeuszu, dałeś mi rekomendację do aptekarza. I coś jeszcze dodałeś, pamiętasz?

— Tak. Żebyś porozmawiał z Marią, bo ona zna się z... aptekarzem... Maria. Dobry Boże. Maria.

Tadeusz patrzył na kobietę, którą znał od lat, z którą pracował, która była jego podporą, prawą ręką i przyjacielem. Patrzył na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Julia przytuliła się do jego ramienia, także wpatrując się w Marię, a Tadeusz pogładził żonę po nadgarstku. Do świadomości innych osób również powoli zaczynała docierać ta sensacyjna wiadomość.

Hrabina Kareńska wstała, powoli podeszła do ochmistrzyni, pogłaskała ją po policzku i pocałowała. Maria zaczerwieniła się, a w jej oczach ukazały się łzy.

Jan kontynuował:

— Pani Mario, będę mówił dalej. Na pewne rzeczy znalazłem dowody, inne to tylko wnioski, w razie czego, proszę mnie korygować.

Skinęła głową bez słowa.

— To pani Maria podsunęła Zosi pomysł z nauką polskiego w majątku Wacława. Sądzę również, że wprowadziła ją pani w sekrety tutejszego nauczania. Służba pilnie strzegła tajemnicy — udziału pani, ale również samego faktu nauki. Tylko raz Witek z dumą wspomniał, że umie pisać i dodał, że wszyscy tu umieją. Druga wzmianka padła z ust Jadźki, która powiedziała: „Wszystko, co umiem, umiem od pani Marii”.

Ochmistrzyni odwróciła głowę, zakłopotana nie tylko słowami Jana, ale także ciepłymi spojrzeniami hrabiny, Julii i Tadeusza.

— Pani znajomość z aptekarzem zwracała uwagę. To pani upierała się przy osobistym odbieraniu leków, a przede wszystkim zakazanych w Księstwie książek, broszur i ulotek. Weichert przywoził je z Berlina razem z zaopatrzeniem apteki, zwykle w paczkach, jakich resztki widziałem u Zosi. Część przemytu pochodzi z za kordonu — to zawdzięczamy dzielnej aptekarzowej, która wracając od córki, osobiście przewozi ten bardzo niebezpieczny towar.

Maria z troską pokiwała głową.

— Ona bardzo ryzykuje. Próbowaliśmy ją od tego odwieść, ale bez skutku. Żadne argumenty jej nie przekonują.

— Weichert celowo utrzymuje z Prusakami kontakty bliższe, niż to przystoi Polakowi. W razie kłopotów, władze stawiają go poza podejrzeniami.

— To trudna i niebezpieczna sytuacja — uzupełniła współczująco Maria. — Udawać zdrajcę własnego narodu.

— Zwłaszcza gdy w rzeczywistości jest odwrotnie.

— On po prostu kontynuuje misję brata. Tego, którego złapali.

— Przypuszczam, że to właśnie brat nakazał aptekarzowi, aby publicznie się go wyparł, słusznie uważając, że pod przykrywką lojalnego poddanego łatwiej będzie dalej prowadzić działalność konspiracyjną.

Maria potwierdziła wszystkie domysły Jana.

— Ważne informacje i specjalne przesyłki są przewożone przez umyślnych kurierów. Dziwi się pani, skąd to wiem? Oberżystka widziała panią z obcym człowiekiem na zapleczu karczmy, gdy coś pani przekazywał, a u jednego z gości widziała paczkę, którą jej opisałem.

— Będziemy musieli zmienić całą organizację. Teraz, gdy on — wskazała na Wacława — o tym się dowiedział, będę musiała zrezygnować z mojego udziału we wszystkim. Weichertowie też.

— Koniecznie. Wracając do kurierów — kilka tygodni temu widziano panią z kimś takim po zmroku, w pałacowym parku.

— Kto?

Była autentycznie zdumiona, po chwili także zdenerwowana.

— Ktoś oddany pani, kto opowiedział mi o tym dopiero wczoraj, kto wcześniej zachował tę informację dla siebie, ukrywając to najpierw przed resztą domowników, a potem także przede mną.

Zagryzła wargi, ale o nic nie pytała. Lata działania w konspiracji nauczyły ją, że czasami lepiej nie wiedzieć.

— Na wczorajszy ranek była pani również umówiona z kurierem. Wymknęła się pani z kuchni, a w tym samym czasie strzelano do pana Karola.

— Próbowałam odwołać to spotkanie. Wiedziałam, że przy zamieszeniu po śmierci Zosieńki niebezpieczeństwo wykrycia jest większe. Ale przez ten śnieg nie udało mi się zmienić terminu.

Zebrani z zapartym tchem wsłuchiwali się w sensacyjną opowieść, a w oczach większości postaci Marii, dotychczas sztywnej, nudnej i męczącej ochmistrzyni, urastała do niebotycznych rozmiarów.

— Dzień wcześniej na wieść, że jadę do miasteczka spotkać się z Weichertem wpadła pani w panikę.

— Próbowałam was do tego zniechęcić.

— Nie udało się, bo Tadeusz już wyraził swoją zgodę.

— Napisałam do aptekarza list z ostrzeżeniem.

— I dała pani Józkowi, aby mu go przekazał. List, na szczęście dla mnie, dotarł do Weicherta dopiero następnego dnia po mojej z nim rozmowie.

— Jak to? Józek nie dostarczył listu?

— Dostarczył. Następnego dnia. Naprawdę nie mógł wcześniej. Mateusz widział, że pani podała kartkę Józkowi. Domyśliliśmy się, że to wiadomość dla Weicherta.

— Zabraliście Józkowi list? — popatrzyła na obu karcąco.

— Uspiliśmy go.

— Uspiliście go?

Odpowiedział jej z szelmowskim półuśmiechem:

— Musiałem się spotkać z Weichertem, zanim otrzyma list od pani, więc podaliśmy Józkowi proszki nasenne Zosi.

W bibliotece zapanowało niedowierzanie wymieszane z rozbawieniem.

— Teraz sprawa oskarżonej o kradzież służącej. Przypuszczam, że była to uciekinierka z za kordonu i Weichert miał ją na jakiś czas ukryć. Zrobiło się niebezpiecznie?

— Tak. Zaczęli węszyć.

— Dlatego Weichert przygotował przeniesienie jej tutaj. Aby uzasadnić usunięcie służącej, żona

zaczęła robić mu awantury, a w końcu on, pod pozorem ratowania spokoju, zgodził się na zwolnienie dziewczyny. Dał jej list i wysłał tu, do pani. Nie chciała pani jednak, aby ona była tu długo i zorganizowała jej pani ucieczkę dalej na zachód. Aby uwiarygodnić zniknięcie, zaaranżowałyście to przedstawienie z kradzieżami i ze zwolnieniem.

— Chodziło o to, żeby jej tu nie znaleźli. Jak pan to odkrył?

Wzruszył ramionami, nie wspominając o wszystkich wątpliwościach i udrękach rozwiązywania tej sprawy:

— Już wcześniej doszedłem do wniosku, że musiała być niewinna temu, co jej przypisywał aptekarz, bo przecież nie wysłałby do pani złodziejki. Ani tym bardziej szpiega. A wie pani, kiedy po raz pierwszy wpadłem na pomysł, że pani za tym stoi?

Odpowiedzią były uniesione brwi.

— Mam ogromną słabość do portretu poprzedniej pani Tarnowskiej — Jan wymienił uśmiech z Julią — i często się koło niego zatrzymuję. Stojąc tam kiedyś, pomyślałem, że skoro to ona zapoczątkowała naukę we wsi, to kontynuować jej dzieło mógł tylko ktoś, kto ją znał, kto z nią pracował i kto ją podziwiał. I wtedy wyszło mi, że to musi być pani.

Tadeusz miał żal do Marii.

— Dlaczego to przede mną ukrywałaś? Dlaczego mnie do tego nie włączyłaś?

— Gdyby odkryto pana udział, skonfiskowano by majątek, a utrzymanie ziemi w polskich rękach jest najważniejsze. Dopóki pan nie wiedział o niczym, mógł pan z czystym sumieniem przyrzec, że nie brał pan w tym udziału.

— Przecież mógłbym...

— Te zorganizowane ucieczki, przerzuty zza kordonu, książki, ulotki — to jest ważne, ale nie najważniejsze — rzekła twardo Maria. — Ta walka toczy się o jedno — ziemia musi pozostać nasza. A pozostaje nasza, gdy dobrze na niej gospodarujemy. Tak jak pan. Dlatego pan musiał być poza wszelkim podejrzeniem.

\*

— Pozostaje sprawa podstawowa, czyli śmierć Zosi.

Tarnowski lekko zmarszczył czoło, rozejrzał się po zebranych, po czym z wahaniem zasugerował:

— Przecież sam ustaliłeś, że to było samobójstwo. Wszyscy to wiemy. Po co do wracać?

— Musiał pan do tego dojść, bo w przeciwnym razie nie wysłałby pan do sanatorium prośby o potwierdzenie — poparła hrabina, lecz nagle nieoczekiwanie zażyczyła sobie: — A swoją drogą, to ja bym chętnie usłyszała, w jaki sposób pan to stwierdził.

Paulina nie podzielała tego pragnienia.

— Dajcie spokój. Mam dosyć tego. Najpierw oblepialiście miodem służącą...

Julia przerwała jej ostro.

— Maria nie jest służącą.

— Jak dla kogo. Najpierw oblepialiście miodem ją, a teraz mądry pan Jan wygłosi hymn ku swojej chwale, a wy będziecie pisać peany na jego cześć.

Hrabina natychmiast jej przycięła:

— Ty chyba jesteś zazdrosna?

Paulina aż się zapowietrzyła. Hrabina przekonywała ją łagodnym tonem:

— W twoim wieku powinnaś już rozumieć, że nie cały świat kręci się wokół ciebie.

Tadeusz znał tę złą minę Pauliny i szybko zdecydował:

— Zatem mamy ustalone — słuchamy.

Jan się podniósł i przeszedł kilka kroków, by zebrać myśli. Chciał, aby jego *résumé* było jasne i

zrozumiały.

— Podstawowe fakty są znane: trzy dni temu pokojówka znalazła martwą Zosię w jej sypialni. Przyczyną śmierci było zatrucie morfiną, którą dziewczyna wzięła z pakietu zawierającego środki nasenne. Nie wiadomo było, czy sama zamieniła zawartość, czy zrobił to ktoś inny. Były trzy możliwości: pierwsza, że dziewczyna celowo zażyła morfinę, druga, że zażyła ją przypadkiem i trzecia, że ktoś podmienił pakiety. W skrócie: samobójstwo, nieszczęśliwy wypadek lub morderstwo.

Zatrzymał się, czekając na komentarz Pauliny, ale się zawiódł.

— Odrzuciłem dwa pierwsze rozwiązania: samobójstwo uznałem za nieprawdopodobne ze względu na religijność Zosi, nie ukrywała swojego potępienia dla tej metody rozwiązywania problemów i mimo że wiedziałem, w jak trudnej atmosferze przyszło jej ostatnio żyć, nie wierzyłem, by mogła targnąć się na swoje życie. Ona po prostu nie pasowała do obrazu samobójczyni.

— Myślę, że nie pan pierwszy mylnie ocenił... — odezwała się z wyrozumiałością hrabina.

— Wykluczyłem też nieszczęśliwy wypadek. Zosia nie miała innych dolegliwości, na które zażywałaby ten narkotyk, musiałyby go zdobywać, potem zamienić, a to byłoby działanie intencjonalne. Pozostawało morderstwo.

— To się chyba nazywa błąd w założeniu — błysnął Wacław.

Jan uodpornił się już na te przerywniki.

— W poszukiwaniu mordercy z pomocą przyszła mi pogoda. Od poprzedniego dnia intensywnie padał śnieg, dzięki czemu pałac stał się wkrótce odcięty od świata. Mogłem wykluczyć udział kogoś z zewnątrz, gdyż nikt nie byłby w stanie opuścić domu. Tym samym grono podejrzanych ograniczyło się do osób przebywających tej nocy w budynku.

— Czyli nas — wyjaśniła Paulina.

— Czyli domowników, gości i służby — uściślił Jan.

Wacław poczuł się dotknięty.

— Rozumiem, że podejrzewał pan służących, ale nigdy nie pojmem, jak choć przez moment mógł pan przypuszczać, że ktoś z nas, ludzi na poziomie, byłby w stanie popełnić morderstwo.

Jana wyręczyła hrabina.

— Ma pan luki w wykształceniu ogólnym, panie pośle. Historia uczy, że najbardziej obrzydliwych zbrodni dopuszczali się właśnie ci, których nazwał pan ludźmi na poziomie.

Jan kontynuował.

— Morderca musi mieć motyw, okazję do popełnienia przestępstwa i dostęp do narzędzia zbrodni.

Chodził wzdłuż jednej z krótszych ścian biblioteki i widział wszystkich przed sobą.

— Gdy przy pierwszym podsumowaniu wymieniłem te trzy warunki, pan Karol stwierdził, że nikt nie miał powodu, by zabijać jego siostrę. Okazało się wręcz odwrotnie. Osób mających powód, aby życzyć Zosi śmierci, znalazłem aż nadto. Właściwie prawie wszystkich.

Najpierw zrobiło się cicho, po czym wszyscy zaczęli mówić naraz. Jan spokojnie przeczekał.

— Jak mówiłem: kandydatów mi nie brakowało. Proponuję, abyśmy im się po kolei przyjrzel. Zacznijmy od pani Marii.

— Janie, ty chyba żartujesz?

— Absolutnie nie, Tadeuszu. Okazja — tych jej nie brakowało. Nie uczestniczyła w kolacji i jest jedyną chyba osobą, która może pojawić się w dowolnym miejscu w pałacu i nie wzbudzi to żadnych podejrzeń. Bez trudu mogła zdobyć morfinę — ma pod swoją pieczęcią domową apteczkę, utrzymuje kontakt z lekarzami. O znajomości z aptekarzem nawet nie wspominam.

Hrabina miała wątpliwości:

— Jaki mogłaby mieć powód?

— Różne. Mogła mieć żal do matki Zosi o odrzucenie Tadeusza. Mogła latami pielęgnować nienawiść do dziewczyny, która zraniła panicza. Motyw zemsty nabierał realności zwłaszcza po zamachu na Karola.



Wyglądało na to, że ktoś chce zniszczyć rodzeństwo.

Patrzyli na niego zdumieni. Chyba nikt nie wziął tego pod uwagę.

— I do tego te wszystkie podejrzone działania Marii: list do aptekarza, jej zniknięcie, gdy strzelano do Karola, spotkanie z obcym mężczyzną w parku. Poza tym kilkakrotnie to właśnie Maria była świadkiem wydarzeń, które obciążały innych, a tym samym odsuwały podejrzenia od niej.

Maria płakała.

— Kochałam ją. Była taka dobra. Nie rozumiem, jak można było ją zabić.

Franciszek podszedł do niej i pogłaskał ją po ramieniu, a Mateusz przysunął fotel, po czym niemal zmusili ją, aby usiadła.

— Tak się zaangażowałam w naszą działalność, że musiałam ją powstrzymać. Nie wtajemniczyłam jej w przerzut książek, ale powierzyłam jej naukę dzieci tu, w majątku.

Tadeusz otworzył szeroko oczy.

— Zosia uczyła tu dzieci?

— Tak i świetnie jej to szło. Myślę, że to właśnie te lekcje pomogły jej przeżyć koszmar ostatnich dni — oskarżeń i prześladowań.

Wacław nie zareagował, jakby uznał, że to nie odnosi się do niego, natomiast hrabina zagryzła wargi.

— Była dla mnie jak dziecko. Nigdy bym jej nie skrzywdziła. Musi mi pan uwierzyć.

— Ależ wierzę. Wiem, że to nie pani zabiła Zosię.

Maria zapanowała nad płaczem, a Jan kontynuował.

— Zajmijmy się kolejną osobą. Franciszek. Okazja — tych mu również nie brakowało. Ma dostęp do wszystkich pomieszczeń. Mógł wymknąć się na górę w czasie naszej kolacji lub późniejszego spotkania w salonie. Mógł również dokonać podmiany już wcześniej tego popołudnia, przychodząc pod byle pretekstem do sypialni Zosi.

Franciszek prawie się obraził.

— Ciekawe, skąd wziąłbym morfinę?

— Na pewno byłoby ci trudniej niż pani Marii. Ale wiem od Tadeusza, że towarzyszysz mu w jego wyjazdach do Poznania i Berlina. Jesteś przedsiębiorczy, sprytny i wzbudzasz zaufanie. Umiałbyś zdobyć narkotyki.

— A powód, Janie? — bronił i tym razem Tadeusz. — Nie wierzę, że Franciszek mógłby mieć jakikolwiek powód, aby zabić Zosię.

— Podobnie do pani Marii, mógłby chcieć się zemścić za rany zadane przez matkę Zosi tobie, Tadeuszu. Mógł też zakochać się w Zosi i zabić ją, aby nie wyszła za mąż za innego.

— Przyznasz, że to trochę naciągane.

Jan się uśmiechnął ze skruchą.

— To prawda. I dlatego zacząłem poważnie przyglądać się Franciszkowi dopiero po zamachu na Karola.

— Dlaczego? — zdumiał się Rusiecki.

— Przyszło mi do głowy, że niekoniecznie strzelał do pana morderca siostry. Zastanawiałem się, czy nie chodzi o dwie osoby, przy czym nie musiały one ze sobą współdziałać. Ktoś mógłby chcieć się pana pozbyć, aby bronić kogoś innego przed oskarżeniami o zamordowanie Zosi.

— Jak miałbym to zrobić? — bronił się Franciszek. — Przecież to ja go znalazłem.

— Cóż prostszego, niż po oddaniu strzału pobiec na ganek i zacząć wzywać pomocy?

Majordomus wydawał się zrozpaczony.

— Wystarczyłoby, abyś uznał, że Karol zagraża komuś, kogo kochasz : Tadeuszowi lub pani Julii. Może się mylę, ale uważam, że dla nich byłbyś w stanie popełnić nawet morderstwo.

Franciszek opuścił głowę. Jan obserwował Tarnowskich. Ich wzrok skierowany na majordomusa był ciepły i nie zawierał ani krzty potępienia.

— Obawiam się, Tadeuszu, że nie zasługujemy na nich, ani na Franciszka, ani na Marię — podsumowała Julia.

Na te słowa Franciszek wyprostował się i podniósł głowę. Widząc uśmiech Tarnowskich, odzyskał poczucie godności.

— Mogę mieć nadzieję, że już mnie pan nie podejrzewa? — upewniał się majordomus.

— Możesz. Nie miałeś nic wspólnego ani z otruciem Zosi ani z próbą zastrzelenia Karola.

Panował lekki gwar.

— Czyli Franciszka wykluczyliśmy — odczekał chwilę Jan. — Teraz pani Julia...

— Panie Janie... — w głosie hrabiny słychać było ostrzeżenie.

Maria wstała, a Tadeusz ścisnął Julię za rękę.

— To ja mu to podsunęłam! — Paulina rozejrzała się z triumfem po zebranych, ale zamiast oczekiwanego podziwu zobaczyła tylko niesmak.

— Niczego mu pani nie podsunęła — sprostował Tadeusz. — Jan rozważał to przy mnie już pierwszego dnia.

— Pani Julia była tego popołudnia w pokoju Zosi, proponowała, że jej pożyczysz diadem do kolacji — wyjaśniał Jan. — Miała to być osłoda ciężkich chwil, które dziewczyna przeżywała.

Hrabina niespokojnie poruszyła się w fotelu.

— Pani Tarnowska przyszła do Zosi wytrącona z równowagi. Poruszała się nerwowo, ciągle coś przewracała i rozerwała nowy pakiet z proszkami. To właśnie wtedy mogła je zamienić. A dostęp do trucizny? Nie muszę państwu tłumaczyć, że kobieta z tej sfery jest w stanie z łatwością zdobyć każdy narkotyk. Trzeba tylko znaleźć właściwego lekarza lub farmaceutę.

— Dlaczego miałyby zabijać dziewczynę? — Kareńska nie chciała w to uwierzyć.

— Jak to? Nie widzi pani? — zdziwiła się Paulina. — Z zazdrości przecież. Młoda i ładna — przynajmniej dla niektórych — kobieta. Własny mąż nie ukrywa, hm... sympatii dla tej dzierlatki. Nie wspominam już o tym, że Zośka mogłaby dać mu potomka i spadkobiercę. — Z uciechą patrzyła na pobladłą Julię. Tadeusz wstał.

Zareagowała Kareńska.

— Proszę, aby ona stąd wyszła.

— Wykluczyłem panią Julię, ponieważ nie wierzę, że byłaby w stanie na zimno otruć dziewczynę, którą lubiła.

Tadeusz usiadł z powrotem koło żony, przytulił ją i pocałował w skroń.

— Brałem jednak panią Julię pod uwagę jako niedoszłego zabójcę Karola — umie strzelać, nie miała alibi. A poza tym kocha męża tak mocno, że chcąc go obronić przed oskarżeniami o zamordowanie Zosi, byłaby gotowa zastrzelić Karola.

Zapadła cisza.

— Zajmijmy się następną kandydatką na morderczynię. Panna Paulina.

Brat natychmiast stanął w jej obronie, ale go uciszyła.

— Och, daj spokój. To może być zabawne.

— Wszyscy wiemy, że z łatwością przekonałaby pani lekarza, aby wypisał receptę na morfinę.

— Ciekawe tylko, kiedy miałabym ją Zośce podrzucić?

— To proste. Pan Karol poprosił pani brata o dostarczenie proszków do pałacu. Pani jechała z bratem.

— I co? Zabrałam mu leki i podłożyłam narkotyki?

— Brat odbierał przesyłkę na pocztę i zostawił leki w saniach razem z pani rzeczami. Bez trudu mogła pani zamienić pakiety.

Nikt się nie odezwał, a ona była zdecydowanie mniej pewna siebie.

— Proszę mnie jeszcze oświecić, dlaczego miałabym ją zabić.

— Mogłaby pani chcieć wyeliminować Zosię, aby większy majątek przypadł Karolowi, za którego

przecież ma pani wyjść. Mogłaby pani także chcieć usunąć kandydatkę na panią domu brata, ale doszedłem do wniosku, że Zosia z jej brakiem żądzy władzy była w pani oczach idealną bratową.

— Jednym słowem, Julia miała motyw, ale brak jej psychiki mordercy, natomiast panna Bonikowska nie ma powodu, chociaż inklinacji jej nie brakuje — podsumowała hrabina.

— No wie pani? — zachłysnęła się Paulina.

— Musiałem zatem wykluczyć pannę Bonikowską z grona podejrzanych. Może teraz przejdę do pani hrabiny.

Obie oponentki się zgodziły.

— Nad dostępem do morfiny nie będziemy się rozwodzić, wiemy, że to łatwe. Okazja była i opowiedziała nam o tym sama pani Kareńska.

Kilka osób podniosło głowy z zainteresowaniem.

— Gdy pod pozorem złego samopoczucia hrabina wyszła z jadalni, to w rzeczywistości poszła do sypialni Zosi szukać ostatniego listu od swego syna. Motyw znany wszyscy. Zosia była narzeczoną syna pani hrabiny, ale po zerwaniu zaręczyn Michał Kareński wyjechał i zginął za granicą. Pani hrabina przyjechała tu i prześladowała dziewczynę, oskarżając ją o śmierć syna.

Kareńska siedziała z głową uniesioną, ale oczy miała spuszczone. Po policzku płynęła jej łza, a dłonie splótła tak kurczowo, że pobieleły jej kostki.

— Ten sam list jednak, który był powodem... naruszenia prywatności Zosi, usunął motyw morderstwa. W liście młody Kareński jednoznacznie stwierdzał, że to on zerwał zaręczyny.

Tadeusz chciał, aby to było jednoznaczne.

— Czyli pani hrabina nie miała powodu zabijać Zosi?

— W żadnym razie.

Jan zajął ponownie wybrane miejsce, skąd widział wszystkich.

— Chciałbym wspomnieć o jednym z dowodów obciążających panią hrabinę. Jako potwierdzenie jej obecności w sypialni Zosi owego feralnego wieczoru dostałem do rąk suknię pani Kareńskiej. Prządki sukni popraskany był błękitnym woskiem, którego używała tylko Zosia. Te plamki dowodziły, że pani hrabina była w sypialni dziewczyny.

Maria zabrała głos po raz pierwszy.

— Przed chwilą sam pan powiedział, że pani hrabina była w sypialni Zosi.

— Tak, ale ze swoją świecą. W kolorze kremowym, a nie błękitnym.

Cisza.

— To znaczy, że ktoś celowo pochłapał suknię pani hrabiny, aby móc ją oskarżyć o morderstwo?

— Brawo, pani Mario.

— Kto?

— Wrócimy jeszcze do tego. Przejdźmy tymczasem do kolejnej osoby. Może pan Bonikowski.

— Stanowczo odmawiam poddawania się takiej...

— Nikt pana nie pyta o zdanie. — Hrabina odzyskała już panowanie nad sobą.

Jan popatrzył na nią z wdzięcznością.

— Dostęp — taki jak panie. Sposobność — doskonała. Pan Wacław przywiózł leki z apteki do pałacu. Mógł zamienić pakiety po drodze. Motyw. Po pierwsze, uraza i zazdrość o pierwszego narzeczonego, a po drugie, lepsza narzeczoną na horyzoncie.

Wacław najpierw poruszył bezgłośnie ustami niczym wyciągnięta z wody ryba, po czym wydukał:

— Jak pan śmie?

— Gdy dowiedział się pan o pierwszym narzeczonym Zosi, twierdził pan, że go oszukano, bo przecież musiał pan być dla niej pierwszym, jedynym i ostatnim.

Jan celowo zrobił pauzę przed przejściem do bardziej emocjonującego motywu.

— Jeśli chodzi o drugą możliwość, to po wiadomości o Kareńskim, a także gdy Zosia zwierzyła się ze

swych planów dotyczących nauki polskiego, na wszelki wypadek zdecydował się pan na odnowienie negocjacji małżeńskich z rodziną dziewczyny, z którą już kiedyś pana swatano.

— Pana bezczelność nie zna żadnych granic. — Waław aż się podniósł.

— Przecież nie mówię niczego nowego — i pana siostra o tym wspomniała, i pan Karol.

Paulina przyglądała się bratu, po czym poradziła mu, nie ukrywając lekceważenia:

— Usiądź i przestań robić z siebie jeszcze większego osła.

— Jednak podstawowym atutem drugiej narzeczonej jest jej wielki majątek.

— Mam dość własnych pieniędzy, żeby nie musieć kierować się tym względem przy wyborze żony.

— Obaj wiemy, że stoi pan na skraju bankructwa.

Ta wiadomość poderwała z kanapy Paulinę.

— O czym on mówi? — warknęła.

— Przyślę do pana moich sekundantów.

— Mam gdzie twoich sekundantów! Słyszysz?! — krzyczała Paulina, szarpiąc Waława za poły ubrania. — Chcę wiedzieć, co z pieniędzmi?!

— Pani brat stracił prawie cały majątek na nierozważnych i ryzykownych inwestycjach — dolewał oliwy do ognia Jan.

Trzymając oburącz kołnierz marynarki brata, Bonikowska wykręciła dłonie, pociągnęła go bliżej siebie i wysyczała mu prosto w twarz:

— Jeśli to prawda, to ja cię zabiję.

— Dlatego pani brat potrzebuje żony ze zdecydowanie większym majątkiem niż Zosi. Jej śmierć była mu na rękę. Pamięta pani plany budowy stajni wyścigowej? — podsycił jej wściekłość Jan. — Rewelacyjny projekt, który na pewno przyniesie fortunę. A na uruchomienie inwestycji zostanie przeznaczony posag panny Klotyldy.

Paulina wpatrywała się w przerażonego Waława, natomiast słuchała każdego słowa Jana. Nikt nie spuszczał rodzeństwa z oczu.

— Pan Bonikowski już jej się oświadczył.

Waław usiłował poluźnić kołnierz.

— Nieprawda.

— Proszę sobie przypomnieć kolację przed zamachem na pana Karola. Gdy pan Waław po znacznym nadużyciu trunków wychodził z salonu, powiedział: „Śmiałym szczęście sprzyja”. To wtedy zapadła decyzja. Potem do rana pisał listy — wiele wersji oświadczeń. Dlatego przed świtem w dniu zamachu w jego pokoju paliło się światło — tworzył ową ważną epistołę.

— Co zrobiłeś z moimi pieniędzmi, ty kretynie?

Jan zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że dzięki dalekowzroczności seniora Bonikowskiego jej posag jest bezpieczny, ale stwierdził, że Paulinie nie zaszkodzi, jeśli się trochę pomartwi. Natomiast postanowił dać spokój Waławowi, bo rzeczywiście mogło mu się coś stać. Do czerwieni na twarzy doszedł obrzęk żył na skroniach i wielkie krople potu na łysinie, odkrytej spod rozwichrzonych resztek włosów. Wyglądał naprawdę żałośnie.

Hrabina postanowiła przerwać tę niesmaczną scenę i zwróciła się do Jana:

— To już chyba koniec listy podejrzanym, prawda?

— Został nam jeszcze Tadeusz.

Julia aż się wzdrygnęła.

— Co takiego? Po co w ogóle rozważać taki absurd?

— Mam inne zdanie, pani Julio.

— Julio, jak wszyscy, to wszyscy.

— Tadeusz mógł kupić morfinę i mógł ją podłożyć — to on zaniósł Zosi diadem żony. Wtedy pakiet z lekami był już rozerwany, wystarczyło tylko zamienić pierwszą dawkę.

Widząc zmieszanie obecnych w bibliotece osób, Jan upewnił się, że o tym nie wiedzieli.

— Motyw również był — najważniejszy to zemsta na rodzicach Zosi, gdyż, jak państwo wiedzą, w jej matce zakochało się przed laty dwóch mężczyzn: Tadeusz i jego przyjaciel. Dziewczyna wyszła za tamtego. A Tadeusz został bez miłości i bez przyjaciela.

Jan dostrzegł, że Julia pogłaskała męża po rękę.

— Drugim możliwym motywem jest zazdrość o Wacława. Wszyscy wiedzieli o ogromnym uczuciu, jakim Tadeusz darzył Zosię, a niektórzy uważali, że wykracza ono poza przywiązanie czysto ojcowskie. Padały podejrzenia, że Tadeusz zabił Zosię, bo nie chciał jej oddać innemu.

Tadeusz był zbyt zdumiony, by się oburzyć.

— Kto mógłby coś takiego wymyślić? Przecież...

— Od początku odnosiłem wrażenie, że niektórzy starają się zasugerować mi lub wręcz wmówić, że to Tadeusz jest winny. Sporo okoliczności z nim związanych mogło niepokoić. Stały dostęp do pokoju Zosi, zaginiony pistolet Tadeusza, zniknięcie i brak alibi na czas strzelaniny przed pałacem, łatwość dyskretnego wychodzenia z gabinetu przez ukryte drzwi. To wszystko świadczyło przeciwko niemu.

— Skoro wiadomo, że Zosia popełniła samobójstwo, to w tym wszystkim musi być jakieś „ale” — Paulina nawet w stanie wściekłości na brata nie przepuściła okazji do drwin.

— Oto pani wyczekiwane „ale”. Jest jedna okoliczność, która sprawiła, że ani przez chwilę nie brałem pod uwagę, że mordercą Zosi jest Tadeusz.

Udało mu się sprawić, że słuchali z zapartym tchem. Kątem oka spojrzął na Tadeusza, który siedział z Julią na kanapie i trzymał ją za rękę. Jan odczekał chwilę i oznajmił:

— Zosia była córką Tadeusza.

Zebrani chyba zapomnieli, że trzeba oddychać. Tadeusz odchrząknął.

— Jestem wam winien kilka słów wyjaśnienia. Matka Zosi wyszła za męża za mego przyjaciela i straciliśmy ze sobą kontakt. Po kilku latach spotkałem się z nią we Włoszech. Niestety, jej małżeństwo nie okazało się szczęśliwe. Wybacz mi, proszę, Karolu, że tak o tym mówię. Mieliśmy romans, ale potem ona ze względu na syna zdecydowała się zostać z mężem. Resztę znacie. Kilka miesięcy temu dowiedziałem się o kłopotach Karola i Zosi po śmierci rodziców. Zaprosiłem ich do siebie.

Pierwsza odezwała się hrabina.

— Od kiedy, Tadeuszu, wiedziałeś, że Zosia to twoja córka?

— Od pierwszej chwili.

— To znaczy, że jadąc tam, wiedziałeś?

— Nie. — Uśmiechnął się i wyjaśnił: — Zosia wyglądała jak bliźniaczka mojej zmarłej siostry, Karoliny. Były jak dwie krople wody: z wyglądu, z zachowania, z temperamentu. Gdy tylko zobaczyłem Zosię, wiedziałem, że jest moja.

— Ty też wiedziałeś? — Hrabina zdecydowała się zadać Julii to pytanie.

— Tak. Od razu.

— Skąd? Ty przecież nie znałaś tej Karoliny.

Julia spojrzała z uśmiechem na męża.

— W gabinecie Tadeusza przez lata wisiał jej portret. Każdy, kto go widział, musiał rozpoznać Zosię.

A Jan dodał:

— Dlatego o tym, kim była Zosia, wiedzieli Maria i Franciszek. Wiedziałem także ja, bo widziałem kiedyś u Tadeusza dagerotyp jego siostry.

— To zaczyna coraz bardziej przypominać romans dla kucharek — skomentowała Paulina.

Wacław wstał i lodowato powiedział do Tadeusza:

— I wiedząc to wszystko, zgodził się pan na nasze zaręczyny?

Wszyscy spojrzeli na niego, nie rozumiejąc.

— Wyraził pan zgodę, abym ja, polski arystokrata, prawie się ożenił z... dziewczyną z nieprawego

łóża? — uściślił Waclaw.

— Powiedz wprost — z bękartem — nie darowała sobie Paulina.

Nieoczekiwanie jasnym i spokojnym głosem odezwała się hrabina:

— Połowa francuskiej arystokracji to dzieci z nieprawego łóża. Przypuszczam zresztą, że polskiej również. Niech pan siada i przestanie robić z siebie jeszcze większe pośmiewisko niż dotychczas.

Morawski zaczął znowu chodzić — zbierał myśli przed nadchodzącymi minutami.

— Tadeusz powiedział mi, że na podstawie telegramu, który został wczoraj dla mnie przywieziony, doszli państwo do wniosku, że Zosia popełniła samobójstwo. Czy tak?

Popatrzyli na siebie zakłopotani przypomnieniem, że znali treść adresowanej do niego depeszy, a Tadeusz potwierdził w imieniu wszystkich. Zaraz po nim odezwała się Paulina głosem pełnym znudzenia.

— Po co ten cały cyrk? Wszystko jest jasne, nad czym tu się, na litość boską, zastanawiać?

— A jeśli zapewnię państwa, że Zosia nie popełniła samobójstwa?

— To jednak był nieszczęśliwy wypadek? — wyraziła nadzieję hrabina.

Paulina prychnęła z pogardą.

— Nawet ona nie byłaby taka głupia, żeby przez pomyłkę zażyć morfinę.

Jan zacisnął zęby, żeby nie zareagować na tę prowokację. Przypomniał Tarnowskiemu:

— Pamiętam, Tadeuszu, jak powiedziałeś pierwszego ranka, że to niemożliwe, żeby ktoś mógł jej życzyć śmierci, bo nigdy nie wyrządziła nikomu najmniejszej przykrości.

Tadeusz skinął głową. Nie tylko to pamiętał, ale nadal tak uważał.

— Taka była reakcja każdej osoby — niedowierzenie. W trakcie kolejnych rozmów budowałem obraz zmarłej i zacząłem rozumieć to zdziwienie. Wszyscy się zgadzali, że była dobra i bezbronna. A jednak mogła komuś zaszkodzić — nieświadomie. Przy okazji poszukiwań mordercy zaczęły wypływać na powierzchnię fakty, dotychczas skrzętnie ukrywane, bo dla różnych osób niewygodne, krępujące, wstydlive. Lub niebezpieczne. I coraz częściej zastanawiałem się, czy przyczyną śmierci Zosi nie była wiedza, którą o kimś posiadała.

Tadeusz zrozumiał to jednoznacznie.

— Trudno sobie wyobrazić Zosię jako szantażystkę.

— Nie chodzi mi o szantaż. Raczej o jej roztargnienie, impulsywność, spontaniczność. Przyznasz chyba, Tadeuszu, że nie chciałbyś powierzyć jej tajemnicy, od której wiele by zależało?

— To prawda — potwierdził niechętnie Tadeusz. — O kim ona mogła coś wiedzieć?

Jan nie odpowiedział. Przyglądał się, jak wysilali własną pomysłowość. Poddali się, ale tylko hrabina miała odwagę to przyznać.

— Nie widzę żadnego rozwiązania.

Tadeusz ją poparł.

— Ja też nie. Sam wszystkich wykluczyłeś.

— Wszystkich nie.

Jan wyczekał napięcie zebranych.

— Pozostał jeszcze Karol.

Julia wpiła paznokcie w dłoń Tadeusza, Karol wpatrywał się w Jana szeroko otwartymi oczyma. Hrabina spojrzała z wyrzutem. Gospodarz zdołał się odezwać:

— Janie, chyba żartujesz?

— Bynajmniej, Tadeuszu.

Paulina odwróciła się na kanapce i zachichotała.

— On zwariował, Karolu.

Jan wstał, powiódł spojrzeniem po zebranych i zatrzymał je na Karolu. Mocnym, pewnym głosem powiedział:

— Oskarżam Karola Rusieckiego o to, że z zimną krwią zamordował swoją siostrę.

Napięcie w bibliotece sprawiało ból.

Karol wpatrywał się w Jana w otępieniu.

— Paulina ma rację. Pan naprawdę oszalał. Dlaczego miałbym ją zabijać?

— Aby nie zdradziła pana tajemnicy. Aby nie zdradziła, że jest pan człowiekiem żonatym.

Przez jarmarczny gwar, który wybuchł w bibliotece, przebił się Tadeusz.

— Janie, Karol nie mógł zabić Zosi, bo przecież popełniła samobójstwo.

Jan wyciągnął z kieszeni depezę i przeczytał na głos:

— Potwierdzono: pacjentka Rusiecka przyjechała do lecznicy w Meran osiemnaście miesięcy temu — nieuleczalna tuberkuloza. Konstancja.

— Właśnie.

— Nazwisko Rusiecka nosiła nie tylko Zosia, ale też żona Karola. Nie znając mojego pytania, zinterpretowali państwo odpowiedź według własnego pomysłu.

Tadeusz wstał, zajrzał Janowi przez ramię i przeczytał telegram. Usiadł. Nie sposób było odgadnąć jego myśli.

— Rok temu pan Karol poślubił we Lwowie Halszkę, dziewczynę, z którą był zaręczony, a która już wtedy chorowała na gruźlicę. Po ślubie okazało się, że posag dziewczyny, na który pan Rusiecki liczył i dla którego się z nią ożenił, nie istnieje. Ona wróciła na leczenie do Meran, a młody małżonek zataił fakt ślubu nawet przed najbliższą rodziną.

Karol się zaśmiał — jakby z niedowierzaniem.

— Gdy zginęli państwo Rusieccy, pod wpływem współczucia Halszka napisała do Zosi list, wyjawiając jej prawdę o ślubie i dodając, że „jest szczęśliwa i zachwycona tym, że ma siostrę”. Karol był zły, że Zosia się dowiedziała i zmusił ją do milczenia. Znał jednak jej roztrzepanie i łatwowierność — wiedział, że tajemnica nie jest bezpieczna.

— Ma pan bujną wyobraźnię.

— W szkatułce Zosi znalazłem zaczytany list, w dużej części zamazany. List Halszki do Zosi, w którym żona Karola wyraża radość z tego, że stały się siostrami. Podpis jest prawie nieczytelny i w pierwszej chwili odczytałem go jako Maszka, a nie Halszka. Wiedziałem jednak, że hrabina Kareńska nazywała narzeczoną Karola swoją imienniczką.

— Ale pani ma przecież na imię Elena — nie zgadzało się Julii. — Tak mówił mój ojciec.

— Wymawiane z francuskiego — ubiegł hrabinę Jan. — Czyli bez H na początku. A w rzeczywistości pani Kareńska ma na imię Helena. Ostatnio pokazała mi pani *Ogniem i mieczem*, wspominając, że mąż mówił do pani: „Halszko”. Dopiero później to skojarzyłem. A wówczas wystarczyło lepiej się przyjrzeć podpisowi pod listem, by zauważyć, że to nie Maszka nazwała Zosię swoją siostrą, lecz Halszka, czyli imienniczka pani hrabiny. Żona Karola.

— Ale skąd ty to wiesz? — nie dowierzał Tadeusz.

— Kilka drobiazgów. Zosia przy kolacji wspomniała, że brat był w Meran i nie dokończyła, bo zauważyła, że Karol jest wściekły. Opanował się, ale zdążyłem to dostrzec. Sama Zosia, bardzo zakłopotana, próbowała wybrnąć, robiąc z Halszki swoją przyjaciółkę. Zresztą były przyjaciółkami. W szkatułce znalazłem zdjęcie całej czwórki: Zosi i Michała, Halszki i Karola. Panny siedzą obok siebie i sprawiają wrażenie bliskich. Pokazałem zdjęcie pani hrabinie, która w Halszce rozpoznała ówczesną narzeczoną Karola, a obecną żonę.

Poszukał wzrokiem hrabiny. Przytaknęła, ale od razu spytała:

— Wiemy, że była narzeczoną Karola. Skąd pomysł, że wzięli ślub?

— Wysłałem telegram do przełożonej klasztoru, w którym swego czasu przebywały Zosia z Halszką.

Wpatrywali się w niego wyczekująco.

— Przyszła odpowiedź, że Karol wziął ślub z Halszką rok temu.

— Nawet jeśli wzięli ślub, to przecież ona nie żyje.

Chyba pierwszy raz Paulina przytaknęła hrabinie.

— Chyba pan o tym zapomniał — zadrwiła.

— Dlaczego sądzą panie, że Halszka Rusiecka nie żyje?

— Przecież była nieuleczalnie chora.

— Nieuleczalnie nie znaczy śmiertelnie, pani hrabino.

To im chyba wcześniej nie przyszło do głowy.

— Zresztą odpowiedź jest w tym telegramie — rozwiązał tajemnicę Jan. — Moje pytanie brzmiało: „Czy w Meran przebywa chora na gruźlicę Helena Rusiecka z Królestwa?”. A odpowiedź brzmi: „Pacjentka Rusiecka przyjechała do lecznicy w Meran osiemnaście miesięcy temu — nieuleczalna tuberkuloza”. Karol Rusiecki zatem nie jest ani kawalerem, ani wdowcem, lecz człowiekiem żonatym.

Jan zniszczył całe wyobrażenie, które mieli o tej sprawie. Wyobrażenie, które ich w gruncie rzeczy satysfakcjonowało.

— Przecież mógł powiedzieć, że jest żonaty — mówił do siebie Tadeusz.

— Wtedy nie mógłby się ożenić z panną Pauliną.

Teraz to do niej dotarło.

— Boże, on chciał zostać bigamistą, nasz ślub byłby nieważny, a ja... mnie by wykluczono z towarzystwa.

— Tuż po przyjeździe tutaj Zosia i Karol poznali młodych państwa Bonikowskich. Po jakimś czasie pan Waław rozpoczął starania o rękę Zosi, natomiast Karolowi bardzo spodobała się panna Paulina.

Uśmiezek zadowolenia na twarzy Pauliny.

— A raczej jej posag — uzupełnił Jan.

Zagryzła wargi.

— Ten motyw jest bardzo ważny w życiu pana Rusieckiego. Jego rodzice stracili majątek, widoki na posag żony okazały się ułudą.

Wpatrywał się lodowato w Karola.

— A on kocha luksus i prestiż, pieniądze są dla niego najważniejsze. Oraz władza, którą dają.

Jan wstał i powoli chodził.

— Przypuszczam, że w szkole, w owym ekskluzywnym sandomierskim Collegium, z racji doskonałego pochodzenia obracał się w najwyższych kręgach, z tym, że jego koledzy mieli pieniądze, a on nie. Nie



potrafił zrezygnować z kontaktów z arystokracją, nawet jeśli nie było go na nie stać. Sprawdził stan majątkowy Pauliny i dopiero wtedy zaczął poważnie rozważać pomysł małżeństwa. Pilnował Zosię, aby się nie zdradziła i czekał z niecierpliwością na wieści z Meran.

— Na wieści, czy już umarła?

Tylko hrabina odważyła się zadać takie pytanie. Jan potwierdził.

— A ona nie umierała. Przypuszczam, że początkowo nie myślał o zabiciu siostry — raczej o tym, jak usunąć żonę. Pojechał do Meran z zamiarem morderstwa. Jednak Halszkę poddawano eksperymentom naukowym i miała stale przy sobie pielęgniarkę kontrolującą postępy kuracji. Karolowi nie udało się zamordować żony.

— Wtedy zdecydował, że... usunie Zosię? — spytał cicho Tadeusz.

— Kilka razy prawie się zdradziła. Poza tym po śmierci Zosi cały majątek Tarnowskich przypadłby jej bratu.

Julia uniosła głowę i wyszeptała:

— Połowa to było za mało?

— On nie był pewien nawet tej połowy. Wiedział, że Zosia jest naturalną córką Tadeusza, sądzę, że myszkował w jego gabinecie i znalazł portret Karoliny. Poza tym czuł niechęć Julii i Tadeusza do siebie i bał się, że adoptują tylko Zosię. Wtedy on zostałby z niczym.

— Pieniądze. Zawsze pieniądze — ze smutkiem skomentowała hrabina.

Paulina odwróciła się do Karola.

— Powiedz, że to nieprawda. Wytłumacz się.

— Po co? Stracilibyśmy wtedy całą zabawę. Przecież to ciekawe, co on jeszcze wymyśli. Słuchamy.

Była w tym ironia — niepodobna do tego przyjacielskiego chłopaka, którego wszyscy znali. Wydawało się, że na masce, którą tak konsekwentnie nosił, pojawiają się pierwsze pęknięcia.

— Ależ proszę. Zaplanował pan to bardzo starannie. Przede wszystkim trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Usłyszał pan, że w sąsiedztwie przebywa pani Kareńska. Idealnie się nadawała — nienawidziła Zosi i tego nie ukrywała. Należało ją tu ściągnąć. Napisał pan list do wspólnej znajomej i wspomniał, że jesteście u Tarnowskich, że Zosia się zaręczyła, że szybko zapomniała o Michale czy coś takiego. Prowokacja się udała. Hrabina przysłała list do pani Julii, że chciałaby do niej przyjechać. Pani Julia wystosowała od razu zaproszenie — nie wiedząc, że Zosia była zaręczona ze zmarłym synem hrabiny. Ciąg dalszy państwo znają. Przyjazd pani Kareńskiej, lodowate przywitanie z Zosią i poinformowanie wszystkich, że to przez nią zginął Michał. Wacław, przekonany dotychczas, że Zosia nikogo przed nim nie kochała, uważa ją za zbrukaną. Atmosfera się zagęszcza — Karol jest zachwycony, Zosia nieszczęśliwa, a pani Julia pełna złych przeczuć.

Przyglądał im się, gdy przypominali sobie tamte dni.

— Dzień przed tragedią pani hrabina dowiedziała się, że Zosia posiada ostatni list Michała i zapragnęła go zobaczyć. A morderca zastawił już na nią pułapkę, aby móc ją potem oskarżyć o morderstwo. Czy przypomina pani sobie, kto pani powiedział o liście syna?

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— Dowiedziała się pani od swojej służącej.

— Chyba ma pan rację — zastanawiała się Kareńska. — Tak. To była ona.

— Pytałem ją o to dziś rano i przyznała, że mówiła pani o tym. A wiedziała o tym od Karola.

Kareńska nagle dostrzegła całą sytuację w nowym świetle.

— Manipulował mną.

— Dzień przed morderstwem Karol słyszał kłótnię Wacława z Zosią i natychmiast sprowadził pod byle pozorem pierwszą napotkaną na korytarzu osobę — panią Marię. Chodziło o to, żeby też słyszała krzyki narzeczonego Zosi.

Maria spytała od razu:

— Dlaczego?

— Na wszelki wypadek przygotowywał zapasowego winnego. Poprosił pannę Paulinę, żeby następnego dnia też przyjechali — miała zasugerować Julii, aby ich zaprosiła. I panna Paulina tak zrobiła. Mam rację?

Potwierdziła z niechęcią.

— Była przy tym Zosia. Wystraszyła się, że Paulinka zakochała się na serio w Karolu, który jest przecież żonaty. Mam mówić dalej?

— Jasne. Świetnie się bawię. — Rusiecki odpowiedział bezczelnie i jeszcze wygodniej rozparł się w fotelu.

— Zosia uważała, że nie powinien pan robić nadziei pannie Bonikowskiej na małżeństwo. Tym samym podpisała na siebie wyrok śmierci — upewnił się pan, że siostra pana wyda.

Karol przestał się kulić, zniknął układny uśmiech. To był inny człowiek i Jan to widział.

— Pojechał pan odebrać zamówiony dla Zosi lek. Wiedział pan, że Waclaw będzie w mieście, a znając jego pedantyczną punktualność, był pan pewien, że dojdzie do spotkania. Rzeczywiście, wpadliście na siebie „przypadkiem”. Wymawiając się pogarszającą pogodą, poprosił pan Waclawa, aby zabrał pakiet do pałacu. W aptece nastąpiła zamiana proszków nasennych na morfinę.

— Na oczach Weichertera i Waclawa? — Słaby punkt wykazał Tadeusz.

— Miał dwie okazje. Pierwsza, gdy postanowił przeliczyć ilość, ponoć chciał wiedzieć, na jak długo wystarczy leku. A druga, gdy pan Bonikowski z aptekarzem na chwilę poszli na zaplecze.

— A skąd morfina? — spytała Kareńska. — I skąd ten cały pakiet?

— Zwolniona służąca. Gdy zaczęto podejrzewać tę dziewczynę o kradzież, Karol zabrał leki i to też spadło na nią. Już wtedy planował zbrodnię.

Ta zimna kalkulacja, te przygotowania ich zaszokowały.

— Życie jednak zawsze okazuje się bogatsze od planów. Morderca nie przewidział wszystkiego.

— Doprawdy? — zakpił z bezczelną miną Karol.

— Wielokrotnie pojawiał się motyw aptekarskiej, jej wyjazdów i tego, że jest od dwóch tygodni nieobecna. Wspominał o tym aptekarz, a także pan Bonikowski. Jednocześnie służący Witek chwalił się przede mną swoim pismem, które podpatrzył u aptekarskiej. Bardzo mu się podobały jego zawijasy i zakrętasy, jak to sam nazywał. Utkwiły mi one w głowie, tym bardziej że widziałem je na pakietach z proszkami Zosi. Zrozumiałem, co nie pasowało: na pakiecie z zatrutym środkiem nasennym było nazwisko Zofii wypisane przez żonę aptekarza.

Patrzyli, nic nie rozumiejąc.

— Skoro na pakiecie z morfiną było nazwisko Zofii wypisane przez aptekarską, to leki musiały pochodzić z jednej z poprzednich partii, a nie z tej ostatniej. To było ostateczne potwierdzenie.

Karol po raz pierwszy okazał zaniepokojenie — lekko zbladł i nerwowo oblizał wargi.

— Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Waclaw z Pauliną i trucizną ruszył do pałacu. Po przyjeździe oddał Zosi pakiet, a potem pani Julia go rozerwała. Karol wpadł tuż przed kolacją i poprosił Franciszka o pomoc w przebraniu. Czy nie tak, Franciszku?

— Dziwiłem się, że panicz chce, żeby mu pomóc. Zawsze przedtem odmawiał.

— Twoja obecność miała zapewnić mu alibi — od powrotu do pałacu nawet przez chwilę nie był sam i nie miał możliwości podłożyć morfiny.

Karol coraz bardziej się wykrzywił, pozostali coraz bardziej się usztywniali.

— Później była kolacja, a pani hrabina wymknęła się, aby przeczytać list Michała. Następnie spotkaliśmy się w salonie, a potem Zosia poszła do siebie, przygotowała się do snu, zażyła pierwszą dawkę z pakietu, czytała Pismo Święte.

— A potem umarła — dokończyła Julia.

Patrzyła prosto na Karola, a on się arogancko uśmiechał.

— Rano służba znalazła martwą Zosię. Wezwano Tadeusza i mnie. A potem przyprowadzili brata ofiary, który doznał szoku i rozdzierał szaty na widok zamordowanej siostry, którą kochał nad życie.

Ostatnie zdanie Jan wykrzyczał z gniewem i bezsilnością, które odbiły się echem w cichej bibliotece. Karol przyglądał mu się z wyzywającą obojętnością. Morawski odetchnął głęboko.

— Co robił od rana morderca? Przygotowywał dowód oskarżenia. Coś, co by w sposób jednoznaczny potwierdziło, że poprzedniego wieczora pani Kareńska była w pokoju Zosi i podmieniła leki. Już wcześniej umówił się na rano w szwalni z pani pokojówką, hrabino.

— Co takiego?

— Flirtował z nią od pierwszego dnia, była mu potrzebna jako dostęp do pani. Umówili się na rano, bo „chciał dać jej buzi na dzień dobry”. Miała zejść na dół pod pozorem naprawy sukni, którą nosiła pani poprzedniego wieczoru. Karol odesłał dziewczynę na chwilę ze szwalni i wtedy poplamił suknię woskiem z pokoju Zosi. Miał to być koronny dowód przeciwko pani.

— Potwór.

— Od pierwszego momentu słyszałem o flircie między Karolem a pani pokojówką. Najpierw sygnalizował to Mateusz, potem Witek wspomniał, że słyszał ich w szwalni. Ja sam widziałem ją pierwszego dnia w prywatnej części domu, gdzie nie powinno jej być.

— Bezwstydna dziewczucha — nie wytrzymała Paulina.

Hrabina odcięła się od razu.

— I kto to mówi?

— Musi pani natychmiast zwolnić tę... kreaturę! — Paulina nie mogła pogodzić się z myślą o takiej konkurentce.

Wybuch zignorowano.

— Niestety, Karol nie wziął pod uwagę tego, co zawiera list od Michała. Nie zdawał sobie sprawy, że ujawnienie jego treści uniewinni hrabinę. Mógł sobie pogratulować, że zawczasu przygotował pułapkę na Waclawa.

— Ta podsłuchana awantura? — upewniła się Paulina.

— Postarał się, żeby Maria ją słyszała, a potem wielokrotnie w rozmowie ze mną powtarzał, że skoro Waclaw raz skłamał, to nie można mu w ogóle wierzyć. Że mógł skłamać na każdy temat.

— Dlaczego Waclaw?

— To oczywiste, panno Paulino, pani brat to drugi po hrabinie naturalny wróg Zosi. Poza tym korzyści finansowe. Liczył, że jeśli uda mu się oskarżyć Waclawa, to cały majątek przypadnie pani.

Waclaw oburzył się na taką perspektywę, ale jego protesty stłumiła w zarodku siostra.

— Przypominam ci, że już nie masz majątku.

— Wszystko tymczasem zmierzało do oskarżenia Tadeusza. Te aluzje, sugestie, że już wie, kto zabił Zosię i musi zadać mordercy ostatnie pytanie...

— Dlaczego ja?

— Bo go nie lubiłeś. Bo uważał, że matka zdradziła go dla ciebie i Zosi. Przede wszystkim zaś z powodu twojej fortuny. Marzył, że po skazaniu ciebie za morderstwo przejmie zarząd majątkiem. Tym, co miało ostatecznie dowieść winy Tadeusza, była próba morderstwa samego Karola. Zainscenizowana.

Siedzieli jak przymurowani.

— Najpierw zabrał z kasy jeden z twoich pistoletów, Tadeuszu, czyniąc cię pierwszym podejrzanym. Wybór broni był nieprzypadkowy — nie używasz tych pistoletów i nawet nie wiesz, kiedy je ostatnio widziałeś.

— To prawda.

— Miejsce znakomite: na ganku — w każdym innym miejscu ktoś mógłby go dostrzec. Należało tylko uzasadnić, co tam robił o tej godzinie. Twierdził, że chciał wyjść bokiem, ale w drzwiach nie było klucza. Dziwne, że nikt inny nie zauważył tego braku. Potem wielokrotnie mi przypominał, że szukał

Tadeusza i nie mógł go nigdzie znaleźć. To też było sprytne — wszyscy wiedzieli, że ranne godziny pan domu spędza w gabinecie sam. I nikt nie mógłby stwierdzić, gdzie Tadeusz był w chwili strzału.

Tarnowski wymienił spojrzenia z Marią i Franciszkiem.

— Wcześniej morderca odłupał fragment tynku na ganku, wskazując miejsce, gdzie odbiła się kula, która następnie rzekomo wpadła w zwały śniegu. Przygotował także trasę ucieczki swojego niedosłego mordercy — przez ogród zimowy.

— Przygotował?

— Tak, Tadeuszu. Przyciął drzwiami jeden z liści palmy, sugerując, że ktoś tamtędy wychodził. Wiedział, że nie musi preparować śladów w śniegu — ścieżki były odgarnięte.

— I strzelił do siebie? — Franciszek zainteresował się przebiegiem akcji.

— Nie było potrzeby, przecież to miało być tylko draśnięcie. Skaleczył się w ucho — celowo, bo ucho mocno krwawi, po czym oddał strzał, rzucił pistolet w zaspę i malowniczo się ułożył.

Franciszek przypominał sobie inne szczegóły.

— Drzwi zostawił otwarte, abym poczuł przeciąg?

— I abyś lepiej słyszał strzał.

Tadeusz wrócił do dręczącego go pytania.

— I to wszystko miało obciążyć mnie?

— To wszystko miało wyglądać tak, jakbyś z zemsty na matce zabijał dzieci, a dodatkowo próbował rzucić winę na swoich gości.

Siedzieli w ciszy.

— Wysłałem telegram do Bozen i czekałem już tylko na potwierdzenie, że pani Helena Rusiecka, jak najbardziej prawowita żona Karola Rusieckiego, nadal przebywa w Meran.

— Może coś nam powiesz, Karolu?

Ta propozycja padła z ust Tadeusza, który wciąż miał nadzieję, że istnieją jakieś okoliczności łagodzące. Nie potrafił uwierzyć w taki ogrom podłości i bezwzględności, z jakim mieli do czynienia. Jeśli spodziewał się skruchy i poczucia winy, to srogo się zawiódł.

— A co chciałbyś usłyszeć? — spytał cynicznie Karol. — Przepraszam? Niedoczekanie wasze. Tak, zrobiłem to. Zabiłem ją.

\*

— Musiałem zabić tę idiotkę, bo by wszystko zepsuła.

Głos miał zmieniony nie do poznania. Był agresywny, bezczelny, pewny siebie i do wszystkich mówił per ty.

— Zabiłeś swoją siostrę i mówisz to, ot tak sobie? Nie żałujesz?

— Żałuję, że się wydało. Plan był świetny. — Rzucił im uśmiezek zadowolenia. — Wykonanie też niczego sobie. Diabli cię tu nadali — wysyczał do Jana.

— I to wszystko dla pieniędzy. — Tadeusz był zrozpaczony.

— A co wy o tym wiecie? Od zawsze mieliście wszystko. Co wiecie o upokorzeniach, o kpinach przyjaciół, gdy oni mieli, co chcieli, a ja musiałem sam prać bieliznę, bo wstydziłem się ją pokazać nawet służbie. Nauczyłem się radzić sobie. — Znowu usłyszeli jego okropny śmiech. — Podkradałem, komu się dało: rodzicom, kiedy mieli, rodzinie w czasie odwiedzin, kolegom w szkole. Żeby kupić frak. Żeby zaprosić przyjaciół. Żeby mnie było stać na kochanki. Kradłem albo grałem.

— Hazard? — oburzył się Waław.

— Odezwał się świętoszek. Myślisz, że nie wiem o twoich dziwkach w Berlinie?

Paulina szeroko otworzyła usta, a Waław zrobił się pąsowy. Nie zaprzeczył.

— Wymyślił pan małżeństwo z Halszką — wrócił do tematu Jan.

— To się wydawało świetnym pomysłem. Bez problemu ją w sobie rozkochałem. Nieziemsko bogata sierota pod opieką stryja, do tego zdychająca na gruźlicę. Przymknąłem nawet oczy na to żałosne pochodzenie — nie można mieć wszystkiego. Ożeniłem się z nią, licząc na jej szybką śmierć, lekarze zapewniali mnie, że to tylko kwestia tygodni. — Znowu zaczął się śmiać szyderczo. — Okazało się, że ona obejmie majątek dopiero po śmierci stryja — na razie nic nie posiada. Dałem się nabrać. — Pokręcił głową z niedowierzaniem. — Potem zginęli starzy i zostawili mi wszystko na głowie. Długi, długi, długi. I Zośkę. A na dodatek ta idiotka, moja żona, napisała do drugiej idiotki, mojej siostry, że się ożeniłem. Jedyne dobre, że nareszcie mogłem przestać udawać, że studiuje — brak pieniędzy był świetnym pretekstem. Zośkę wysłałem do klasztoru, a na swoje potrzeby zarabiałem kartami.

— A potem przyjechałem ja — rzekł do siebie Tadeusz.

— Bogaty, bezdzietny i zakochany w Zosi. I prosty. Do bólu prosty. — Rusiecki patrzył na swego dobroczyńcę z pogardą. — Od razu wiedziałem, że cię oszukam, grając prawego młodzieńca.

Tadeusz się zaczerwienił na myśl o swojej łatwowierności.

— No, a potem ona się we mnie zakochała. — Skinął na Paulinę. — Tym razem byłem mądrzejszy i sprawdziłem, jaki ma posag. Pojechałem do Meran i zaproponowałem gruźliczce rozwód, ale się nie zgodziła.

— I wtedy wymyślił pan morderstwo — domyśliła się hrabina.

— Ależ skąd — roześmiał się okrutnie. — Morderstwo wymyśliłem już tu, ale postanowiłem dać jej najpierw szansę. Niestety, propozycji rozwodu nie przyjęła, a przez te doświadczenia naukowe planu usunięcia jej nie udało się zrealizować.

Kiwał głową z ubolewaniem.

— Moja święta siostrzyczka przyczepiła się, że: „nie można zwodzić Paulinki, musisz jej powiedzieć o Halszce” — przedrzeźniał nieżyjącą Zosię. — Najpierw tłumaczyłem, że jestem miły, bo to przyszła szwagierka. Ale potem ta tutaj pochwaliła się Zośce, że planujemy ślub. Musiałem siostrunię uciszyć.

Ostatecznie rozpadła się maska czarującego i dowcipnego młodego człowieka, którego, jak sądzili, znali.

— Decyzja zapadła, gdy znalazłem pamiętnik Zośki, w którym napisała, że pojechałem do Meran spotkać się z żoną. Chciałem spalić cały kajet, ale tak ryczała, że w końcu wyrwałem tylko kilkanaście stron — kilka z czasu ostatniego wyjazdu i kilka z poprzedniego.

— Przecież usunięcie Zosi niczego by nie zmieniło, nadal byłby pan człowiekiem żonatym — nie mieściło się w głowie hrabinie.

— A co to za małżeństwo, o którym nikt nie wie?

Paulina zerwała się z zaciśniętymi pięściami.

— Ale to byłaby bigamia!

— Mnie to nie przeszkadzało.

— Chciałeś mnie zhańbić!

— Ciebie? Nie pochlebiaj sobie, moja słodka. Nie musiałem się z tobą żenić, żebyś mi się oddała.

— Co takiego? — wykrztusiła.

— To przytulanie, głaskanie, pocałunki, czułe słówka. — Doskonale naśladował jej klejące zachowanie i węzowe ruchy. — Za kogo ty mnie masz? — Roześmiał się z zarozumiałością. — Znam to na pamięć. Jedno moje słowo i tej samej nocy zdjąłbym twój wianuszek. O ile go jeszcze masz.

Stała naprzeciwko niego purpurowa na twarzy, a on był bezlitosny.

— Kręciłaś się wokół mnie, jak sprzedajna dziewczka. Zresztą nie ukrywam, że ta twoja... gotowość i chęć stanowiły jeden z uroków perspektywy małżeństwa z tobą. Zaraz po twoim posagu, oczywiście. Najpierw jednak należało uciszyć tę niepohamowaną paplę, moją siostrę. A resztę znacie z jego wykładu.

Nikt się nie odezwał.

— Czyli to wszystko dla posagu? — upewniła się hrabina. — Przecież miał pan być spadkobiercą

połowy majątku Tarnowskich.

— Bałem się, że adoptują tylko Zośkę. Natomiast gdyby jej nie było, nie pozostałoby im nic innego, jak zadowolić się mną.

Paulina siedziała nadal czerwona. Miała opuszczoną głowę i ciężko dyszała. Karol patrzył na nią z rozbawieniem.

— Zresztą posag to był początek. Potem wymyśliłem, żeby się pozbyć jej niedorozwiniętego brata, a już najlepszym rozwiązaniem było wysłanie Tadeusza na szubienicę i zajęcie całego majątku.

— W miarę jedzenia apetyt rośnie — rzekła do siebie Julia. — Pazerność bez granic.

— Tobą też bym się... zaopiekował — dodał z nikczemnym uśmiechem Karol.

Spojrzał na nią tak, że zadrżała. A Tadeusz miał minę, jakby teraz on planował morderstwo. Karol tymczasem wstał. Nie kulił się tak jak dotychczas. Wydawał się wyższy, potężniejszy.

— Chyba mamy wszystko wyjaśnione — stwierdził pewnym głosem.

Jan uprzejmie potwierdził.

— Raczej tak.

— W takim razie na mnie już pora.

Wyrwał ich tym stwierdzeniem z marazmu. Tadeusz rzucił okiem na Jana.

— Jak to — na ciebie już pora? — spytał Rusieckiego.

— Nie myślałeś chyba, że tu zostanę.

— Czekamy przecież na śledczych.

W bibliotece rozległ się wybuch demonicznego śmiechu.

— Sądzisz, że pozwolę się zamknąć i powiesić?

— Przecież...

— Cały Tadeusz. Jesteś przezabawny. — Nagle Karol zmienił ton. — Żarty na bok. Na mnie pora.

Zerwał się w kierunku środkowego okna. Najbliżej niego stał Franciszek, który próbował go zatrzymać. Morderca odepchnął majordomusa, wskoczył na niski parapet i wypchnął okno na zewnątrz. Przedarł się przez zbitą szybę, zeskoczył na taras, zbiegł po kilku stopniach i uciekał przez zaśnieżony trawnik.

Jan wydostał się z biblioteki tą samą drogą i biegł za Karolem, po drodze wyciągając browninga. Tuż za nim ruszył Tadeusz. Mateusz podbiegł do kotary i, ku zdumieniu pozostałych osób, wyciągnął zza niej karabin. Otworzył porte-fenêtre, wyszedł na taras i zaczął składać się do strzału. Paulina także wydostała się na zewnątrz i wyrwała Mateuszowi broń.

Pościg trwał. Karol, Jan, Tadeusz.

Na tarasie Mateusz zdążył tylko krzyknąć:

— W nogi, pan kazał strzelać w nogi.

Strzeliła. Karol złapał się za udo i zwolnił. Jan był coraz bliżej i morderca zdawał sobie z tego sprawę. Morawski już podnosił w biegu pistolet, gdy Karol raptownie skręcił i zniknął w ośnieżonych zaroślach, otaczających jeden ze stawów. Wbiegł na lód.

Tadeusz krzyknął:

— Janie, nie!!!

Karol był już na lodzie. Jan przedarł się przez chaszczę, uniósł broń i wymierzył. Lód pod uciekającym pękł i Karol zniknął pod taflą. Morawski opuścił rękę. Do stawu dobiegł Tadeusz, jednym rzutem oka ogarnął sytuację i wychrypiał:

— Gdzieś tu musi być drabina. I liny.

Rozdzielili się i szukali. Karol wynurzył się na chwilę. Potem jeszcze raz. Nadbiegli Mateusz z Franciszkiem. Tadeusz złapał się za głowę.

— Chryste, wczoraj wyciągaliśmy stajennego na innym stawie, pewnie wszystko tam zabrali.

Jan popatrzył na staw. Karol się już nie pokazywał. Zebrali się w jednym miejscu na brzegu, wpatrzeni

w punkt, gdzie łód był przerwany.

— Kto strzelił? — spytał Jan.

Mateusz się zawahał.

— Panna Paulina.

\*

Znajdowali się w salonie. W bibliotece panowało przeraźliwe zimno.

Tadeusz tulił w ramionach Julię. Wacław siedział i przysypiał. Hrabina miała zamknięte oczy i splecione dłonie, być może się modliła. Marii i Franciszka nie było. Paulina siedziała i martwym wzrokiem wpatrywała się w okno. Jan podszedł do niej i na ramiona zarzucił jej pled. Do ręki wcisnął szklaneczkę, podaną przez Mateusza.

— Co to jest?

— Proszę wypić.

— Nie chcę.

— Nie pytałem, czy pani chce.

Krzywiąc się, wypila.

— Doskonały strzał — uśmiechnął się Jan.

— Doskonała broń.

Wszedł Franciszek i Tadeusz spytał:

— Wysłałeś wiadomość do landrata?

— Józek pojechał.

Hrabina otworzyła oczy i zapytała zachrypniętym głosem:

— Co dalej?

— Dalej Jan nam opowie, jak na to wpadł. O ile macie ochotę tego wysłuchać.

— Ja mam.

Nikt nie zaprotestował. Jan spytał Paulinę:

— Dobrze się pani czuje?

— Nie tak łatwo mnie pokonać.

— Nie wątpię.

Martwił się o nią. Nieważne, jak arogancka i nieczuła była na zewnątrz, właśnie przyczyniła się swoim strzałem do śmierci człowieka. A przedtem usłyszała kilka słów prawdy o sobie, co było dla niej chyba boleśniejsze.

— Po pierwsze czułem, że to nie jest zbrodnia w afekcie. Widziałem zimną kalkulację. I do tego miałem wrażenie, jakby ktoś mną manipulował. Ta niemożność ustalenia czegokolwiek. To wyglądało na działanie z premedytacją.

— Jak wpadłeś na to, że to Karol?

— Ani przez moment nie przyszło mi to do głowy. — Paulina po raz pierwszy przyznała się do porażki.

— Wydawał się taki spokojny, serdeczny — przytaknęła Kareńska. — Aż za bardzo spolegliwy.

— Jego dwulicowość poraża. Był bezwzględny, egocentryczny, podstępny. Niestety, towarzyszyła temu inteligencja i spryt. Dlatego był tak niebezpieczny. Prawdziwy Valmont z *Niebezpiecznych związków*. Jedynej książki, jaką u niego widziałem.

— Wcielone zło — podsumowała hrabina.

— Na zewnątrz szczerłość, pod spodem fałsz. Sterował nami, sączył oskarżenia, rzucał podejrzenia na innych, pozwalając nam wierzyć, że sami do czegoś dochodzimy.

Szukali w pamięci potwierdzenia.

— On... dawał do zrozumienia, naprowadzał na trop — przyznała Paulina. — Ja wyciągałam wnioski, dzieliłam się z nim, a on najpierw się dziwił, a potem podziwiał moją przenikliwość.

Jan przytaknął.

— Poza tym Karol w każdym układzie zyskiwał. Ktokolwiek został oskarżony, on na tym korzystał. Pierwszy na to zwrócił uwagę aptekarz, a potem słyszałem to wielokrotnie.

Tadeusz z uporem wracał do tego samego.

— Jak wpadłeś na to, że to on?

— To nie ja. To twoja żona. Jestem racjonalistą i pani podejście do życia, Julio — nielogiczne, intuicyjne — fascynowało mnie od początku. Tak samo jak pani znajomość ludzi, o której słyszałem — od Tadeusza, od służby. Powtarzali, ilu osobom pani zaufała i się nie zawiodła. Gdy rozmawialiśmy po morderstwie, oznajmiła pani wprost, że mordercą jest Karol.

Oszłomienie pozostałych nie miało granic.

— Julia nie ukrywała swojej niechęci do niego — potwierdził Tadeusz.

— Gdy wyjeżdżałem do miasteczka, powiedziała mi pani, że ma złe przeczucia, a akurat Karol rzucał podejrzenia na Tadeusza. Wszyscy mi odradzali wyjazd, a pani przekonywała mnie, że wszystko będzie dobrze. I było. W drodze podstawilem pod przebieg akcji Karola w roli mordercy — tak jak od początku pani twierdziła — i nagle się okazało, że wszystko pasuje i idealnie się układa.

Tadeusz uderzył się w pierś i skłonił przed żoną głowę.

— *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.*

— Naprawdę? — zaśmiała się Julia.

— Ja, mąż, nie wierzyłem twoim przeczuciom, a obcy ci uwierzył. A przecież jak przyszedłem do ciebie wtedy rano, to zanim powiedziałem ci o Zosi, opowiadałaś mi sen. Ten, który twoim zdaniem zapowiadał śmierć.

Wpatrywał się w żonę z mieszaniną podziwu i przestachu, podobnie zresztą jak pozostali.

— Ze służącą też pani miała rację — dodała Maria, wróciwszy z kuchni po zadysponowaniu ciepłego posiłku. — Ona przecież nie była złodziejką.

— Telegram od przeoryszy potwierdził, że Halszka i Karol wzięli ślub — wyjaśniał dalej Jan. — Było jednak możliwe, że Halszka umarła potem w Meran. Wysłałem więc drugą depeszę, żeby to sprawdzić.

— I sprawdził pan — skomentowała hrabina.

— A wcześniej powtarzano mi reakcję pani Julii na wieść o strzałach do Karola.

— To niemożliwe, to nie ma sensu — zacytował Tadeusz.

— I to nie miało sensu — dokończył Jan. — Ten zamach nie miał sensu, jeżeli się wiedziało, że to Karol jest mordercą. A pani Julia to wiedziała.



## EPILOG

Siedzieli we trójkę w zalanym zimowym słońcem buduarze Julii — Tadeusz z żoną na kanapie, a Jan na fotelu. Pomiedzy nimi stał niski stolik, a na nim srebrna zastawa do kawy i pożegnalny prezent dla Jana: babeczki waniliowe. Były jeszcze inne ciasta, między innymi kruche z wiśniami, z którego Julia wyjadała owoce, jednak dla Jana najważniejsze były te rozplływające się w ustach ciasteczka wypełnione aksamitnym kremem.

— I nic cię nie przekona, żebyś został? — wciąż miał nadzieję Tadeusz. — Wiem, że tu nie jest teraz wesoło, ale tyle obiecywaliśmy sobie po twoim przyjeździe. Tobie też należy się trochę odpoczynku po ostatnich wydarzeniach.

— Odpoczynku to przede wszystkim wy potrzebujecie.

— Zostań. Proszę cię.

— To nie jest dobry pomysł. Zaraz będziesz miał tu gości, którzy przyjadą na pogrzeb.

— Spodziewamy się tylko kilku osób. Pora nie sprzyja podróżom, a poza tym oni właściwie nie mieli krewnych.

Temat był nadal trudny.

— Na kiedy to zaplanowaliście?

— Za trzy dni.

— I tak jak mówiłeś? Sama Zosia?

Tadeusz skinął głową.

— Tadeuszu, a on?

— Osobno. Nie wiem, kiedy, nie wiem, jak.

— Przecież widziałeś się z księdzem.

— Uzgodniłem wszystko w sprawie Zosi, ale jeśli chodzi o Karola, to najpierw musi się wypowiedzieć landrat. Śledczy mieli mu wszystko przekazać wczoraj rano w drodze powrotnej.

— Chciałabym, aby Zosia była pochowana w moim diademie.

Wzruszony Tadeusz skinął głową, a Jan dodał:

— Może dołożylibyście także jej skarbczyk. Te rzeczy chyba wiele dla niej znaczyły. Choć może te listy i zdjęcia będą jeszcze potrzebne śledczym.

— A co z listem? Tym ostatnim, od Michała? — zastanawiał się Tadeusz.

— Dajcie go hrabinie — zaproponowała Julia. — Dla niej to będzie najdroższy skarb. Tak bardzo jej przecież na nim zależało, że aż...

— Jak ona się czuje? — zatroszczył się Jan. — Nie widziałem się z nią jeszcze dzisiaj.

— Twierdzi, że dobrze.

— I wygląda coraz lepiej — dodała Julia.

— Okazała się całkiem sympatyczna — Tadeusz uśmiechnął się nieznacznie. — Widziała, że trudno jest mi zabrać się do napisania listu do Halszki i sama zaproponowała, że skoro ona i tak jedzie do Meran, to mogłaby przekazać dziewczynie wiadomość osobiście.

— Tak będzie lepiej. Zanim cokolwiek powie, będzie się mogła zorientować, w jakim dziewczyna jest stanie. A przy okazji, hrabina zostaje na pogrzebie?

— Tak, zdecydowała się zostać i zaraz potem chce wyjechać.

— A pokojówka?

— Jedzie z nią.

Julia nałożyła sobie kolejny kawałek wiśniowego placka.

— Powiedziałam hrabinie, że jeżeli zamierza zwolnić tę dziewczynę, to niech ją zostawi u nas.

— Dla hrabiny fakt, że ty chciałaś zatrudnić jej pokojówkę jest niepodważalnym dowodem na uczciwość dziewczyny — zaśmiał się gość.

— Pani Kareńska zaprosiła wczoraj Marię do siebie i powiedziała jej, że chciałyby pomóc w przewozie zakazanych druków — zaskoczył Jana Tadeusz. — Często podróżuje i sądzi, że mogłaby być przydatna.

— To świetny pomysł. Byłaby poza podejrzeniami. Arystokratka, bogata, w... pewnym wieku.

— I to zachowanie w stylu udzielnej księżnej — dokończyła charakterystyki Julia.

— Żaden celnik nawet się do niej nie zbliży — uśmiechnął się Jan.

— Maria oczywiście przyjęła propozycję. Przypuszczam zresztą, że jej deklaracja o wycofaniu z działalności była tylko grą na użytek Wacława. Nie sądzę, aby zrezygnowała.

Siedzieli w ciszy. Julia skubała wiśnie, Jan rozkoszował się wspaniałym kremem, a Tadeusz w końcu znalazł na paterze coś dla siebie — trójkąty z ciasta francuskiego, które wyglądały na mało słodkie. Panowała całkowita harmonia i wszyscy to czuli. Jan strzepnął okruszki z dłoni i wprawił przyjaciół w osłupienie.

— Wyobraźcie sobie, że zgłosiła się do mnie wczoraj przed odjazdem Paulina. Prosiła, żebym przekazał Marii, że chce się zaangażować w konspirację. Nie róbcie takich min.

— A to niespodzianka — wyjąkał Tadeusz, gdy już udało mu się złożyć proste zdanie.

— Oczywiście od razu pozbawiła mnie złudzeń, dodając, że, broń Boże, nie robiłaby tego ze względu na jakieś bzdurne ideały, tylko dla wyzwania, dla dreszczyku emocji.

— Jej też nikt nie będzie podejrzewał — rozważała Julia. — Jest atrakcyjna i do tego taka... skoncentrowana na sobie. I przebojowa.

— Tupetu jej nie brakuje. No i te zdolności aktorskie.

— A co na to Maria? — zainteresował się Tadeusz.

— Zamurowało ją. Obiecała, że to przemyśli i przekaze osobie, która przejmie po niej dowodzenie siatką. Nie ufa Bonikowskiej.

— Franciszek wspominał, że Paulina dostała na odjeźdny prezent od ciebie — zwrócił się gospodarz do przyjaciela.

— Tak. Karabin. Ten, z którego postrzeliła swego narzeczonego.

Julia osłupiała.

— Podarowałaś kobiecie broń?

— Bardzo chwaliła ten karabin, tak jak ja chwaliłem jej strzał. To zresztą nie jest taka sobie pierwsza lepsza strzelba, tylko najnowszy mauser. Model 98.

Tadeusz aż gwizdnął.

— Nie było ci szkoda?

— Trochę było, ale ona naprawdę na niego zasłużyła.

— Wygląda na to, że Maria będzie mogła przebierać w kandydatkach na konspiratorki jak w ulęgalkach.

Jan był bardziej sceptyczny.

— Zobaczmy, ile z tego to chwilowe chęci i zrywy, a ile prawdziwa gotowość narażania się. Bez perspektywy nagrody.

— Jedno Marii nie grozi. — Jan i Julia spojrzeli na Tadeusza pytająco. — Współpraca z Wacławem.

Roześmiali się, a Jan dodał:

— Ciekawe, czy Paulina mu się przyzna, że zaproponowała Marii swą pomoc.

— Jeśli będzie mu chciała dopiec.

— Bardzo szybko wczoraj wyjechali, właściwie natychmiast po śledczych.

— Wacław się spieszy — Tadeusz dołał sobie kawy — musi zacząć przygotowania do ślubu. Nie wspominając o stajni — mrugnął porozumiewawczo do Jana. — Będę obstawiał na wyścigach i zbiję fortunę.

— Na twoim miejscu, Tadeuszu, nie robiłbym sobie zbyt wielu nadziei. Z planów Wacława także i tym razem niewiele wyjdzie. Sawiccy to bankruci i pilnie szukają bogatego męża dla córki.

Tarnowscy oniemieli. Tadeusz wydukał:

— Czyli żadne z nich nie ma majątku i każde jest przekonane, że to drugie ma?

— Trafiłeś w sedno.

— Niezły pasztet.

— Mateusz nazwał to bankructwem krzyżowym.

— Co za historia!

Dalej się śmiał. Jan patrzył na niego ciepło. W końcu Tadeusz zauważył to intensywne spojrzenie i nie wytrzymał.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Uśmiecham się, bo nareszcie wrócił ten Tadeusz, którego znam: spokojny, zrównowagony, ironiczny. Bardzo się o ciebie martwiłem.

Julia się dołączyła

— Ja też.

Wprawili Tadeusza w zakłopotanie — komplementem i troską. Przyznał:

— To może być wstrętne, co powiem, ale lepiej się czuję, że go tu nie ma.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Przyglądali mu się obydwójce, czekając na to, co powie.

— Nie chodzi tylko o to, że wyjaśniła się sprawa morderstwa... Nie umiem tego wytłumaczyć.

— Spróbuj, a my postaramy się zrozumieć — zachęcała Julia.

— Czuję się swobodniej, lżej mi się tu oddycha. To jest tak, jakbym odzyskał dom dla siebie, dla nas.

Julia kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Ja też tak czuję. On był złem i to nam ciążyło.

— Nie debatujmy już nad tym — zaproponował delikatnie Jan.

Pierwszy otrząsnął się z przygnębienia Tadeusz.

— Po pogrzebie wrócimy do swych zajęć. Jan do podróży, ja do hreczkosiejstwa, a Julia do wymyślania lepszych zakończeń książek.

Jana zamurowało.

— Wymyślasz nowe zakończenia dla książek?

Zarumieniła się, a mąż odpowiedział za nią:

— Tylko jeśli jej nie satysfakcjonują. Wszystkie już przerobiła, ale jednej nie potrafi. Męczy się nad tym, odkąd ją znam.

Jan był autentycznie zainteresowany.

— Jaka książka?

— *Księżna de Clèves*.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

— Wiem, to głupie i dziwaczne — tłumaczyła się — ale nie potrafię się oprzeć tej pokusie.

— Jesteś drugą znaną mi osobą, która ma tę pasję.

Julia spojrzała na niego czujnie.

— Pierwszą jest owa tajemnicza Konstancja?

— Jesteś naprawdę czarownicą. — Nie mógł pojąć Jan.

— Kto to jest? — zainteresował się Tadeusz. — To ta Konstancja od depezy?

— Tak.

Odpowiedź była celowo krótka, Jan miał nadzieję, że Tadeusz potraktuje tę lakoniczność jako aluzję, żeby nie tykać tematu. Ten najwyraźniej jednak uważał, że jako przyjacielowi należą mu się wyjaśnienia.

— Nie daj się prosić. Powiedz coś.

— Nie ma nic do opowiadania. To siostra mojego przyjaciela Antoniego. W dzieciństwie czasami spędzałem święta lub wakacje u dziadków, a potem, po ich śmierci, bywałem w domu dalekiego kuzyna ojca. Pewnie dlatego, że tam były dzieci prawie w moim wieku. I to są właśnie moi przyjaciele, Antoni i Konstancja.

— Podtrzymujesz ten kontakt?

— Raczej tak.

Tadeusz patrzył na Jana, mrużąc oczy.

— On coś przed nami ukrywa...

— Zdecydowanie.

— Patrz, Julio, Jan się zaczerwienił. Czyżbym słyszał w oddali marsz weselny?

— Niczego sobie nie wyobrażaj, Tadeuszu. Ja się nie nadaję do małżeństwa, byłbym fatalnym mężem i decyzję w tej sprawie podjąłem już wieki temu.

Miało to zabrzmieć zdecydowanie i zakończyć temat. Tadeusz się nie poddawał.

— Uważam, że powinieneś zaryzykować.

— Śmiałym szczęście sprzyja — zażartowała pani domu.

Roześmiali się. Julia wyręczyła męża w dręczeniu gościa.

— Kiedy ją poznamy?

Był zdumiony pomysłem, który im się wydawał naturalny.

— Może jak przyjedziesz spędzić z nami Wielkanoc? — Propozycja Tadeusza kompletnie zaskoczyła Jana. — To będzie prawdziwa polska Wielkanoc na wsi. Z rezurekcją, święconym i dyngusem.

— Z mazurkami i babką muślinową. — Julia wysunęła argument koronny. — Odmowy nie przyjmujemy. Powiedz: tak.

— Tak.

Julia nałożyła sobie kolejny kawałek ciasta i tak jak poprzednio oddzieliła nadzienie od ciasta, wiśnie zjadła, a resztę odłożyła. Tadeusz przyglądał się temu z mieszaniną rozbawienia i zainteresowania.

— Co cię naszło z tymi wiśniami? Nigdy ich nie jadłaś.

— Teraz już jem.

— A to ciasto?

Uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

— Zostawiam dla ciebie.

— Kupię ci psa, żeby to za ciebie zjadał.

— Poproszę.

Jan przysłuchiwał się temu przekomarzaniu. Nagle, ku ich i własnemu zdumieniu, zaczął wspominać.

— Miałem kiedyś psa. Setera szkockiego. I zawsze oddawałem mu ostatni kęs z kromki chleba, którą jadłem. Kiedy zmarł, przez dłuższy czas nadal zostawiałem ostatni kawałek i rozglądałem się wokół, szukając go.

Julia przyglądała mu się ze współczuciem.

— I później już nie miałeś psa?

— Już nie. Zresztą przy moim trybie życia...

Zapukano do drzwi i weszła Maria z tacą.

— Przyniosłam jeszcze jeden dzbanek kawy.

— Dziękujemy — uśmiechnął się Tadeusz.

— Właśnie o tym marzyłam — wyznała Julia.

— Dla pani przyniosłam herbatę rumiankową.

Popatrzyli zaskoczeni.

— W pani stanie nie powinna pani pić za dużo kawy.

Wyjaśniła się płaczliwość Julii i niespodziewany apetyt na wiśnie, a Jan zrozumiał teraz sens słów

Marii: „Niech pan lepiej pilnuje żony”.

A Julia patrzyła na Tadeusza i czekała na jego reakcję na tę upragnioną od dziesięciu lat wiadomość.

Zabrakło mu słów. Wskazał na jej brzuch i spytał:

— Ty?

— Ja.

# ZBRODNIA W BŁĘKICIE

Spis treści





















































Copyright © by Katarzyna Kwiatkowska, 2010  
All rights reserved

Projekt okładki  
Agnieszka Herman

Redaktor  
Hanna Kossak-Nowocien

Redaktor techniczny  
Teodor Jeske-Choiński

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-794-1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 853 27 67  
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
sklep@zysk.com.pl  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

  
czytanie zdarza się wszędzie

[www.woblink.com](http://www.woblink.com)

Plik EPUB przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: kontakt@elib.pl  
<http://eLib.pl>

KATARZYNA KWIATKOWSKA

# ZBRODNIĄ W BŁĘKICIE



ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

